

ZUPEŁNIE INNY THRILLER

MARCIN  
ADAM



# LEŚNA RZEKA

KAŻDY MA SEKRET, KTÓREGO NIE CHCE WYJAWIĆ

Marcin Adam

# **Leśna Rzeka**

Fonts by «ParaType»

Redakcja i korekta: Anna Kandzior-Zug

*Korektor* Anna Kandzior-Zug

© Marcin Adam, 2022

„Przez długi czas między nami panowała cisza, ale teraz wszystko się zmieni. Znowu rozbłysło dla Ciebie zielone światło” – te słowa z tajemniczego maila uruchamiają spiralę śmierci w Szpitalu Psychiatrycznym św. Wawrzyńca w Quebec City w Kanadzie. Ich adresatka, Jasmine Reynolds, przebywa tam z powodu oskarżenia o morderstwo rodziców, do którego jednak nigdy się nie przyznaje. Niejednoznaczni bohaterowie i dynamiczna akcja naszpikowana sekretami. Zakończenie skrywa prawdę, która wbija w fotel.

ISBN 978-83-8273-755-4

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

# SPIS TREŚCI

Leśna Rzeka

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49  
Rozdział 50  
Rozdział 51  
Rozdział 52  
Rozdział 53  
Rozdział 54  
Rozdział 55  
Zakończenie  
Podziękowanie

*Tę książkę dedykuję Mamie,  
która była moim aniołem*



*Wielkie wydarzenia poruszają się  
na małych zawiasach.  
Stephen King*





# ROZDZIAŁ 1

*Powszechna to wada ludzi nie pamiętać o burzy, gdy morze spokojne.*

Niccolò Machiavelli, *Księżę*

## Sally

*Kanada, Saint-Hyacinthe*

Była już jesień, a w Saint-Hyacinthe, sennej miejscowości leżącej na północny-wschód od Montrealu, wiatr gnał pożółtkłe liście klonów. Na ulicy Eugène Delacroix przy numerze tysiąc dziewięćset dwudziestym droga zakręca ostro, a pędzone wichrem liście zawsze tworzą w tym miejscu naturalny kopiec. Stojący tu dom od pięciu lat był opuszczony. Służby miejskie jakoś nie kwapiły się, by sprzątnąć susz nagromadzony przed nim przez ten czas.

Podobno budynki stojące na zakrętach lub rozstajach dróg nie należą do zbyt szczęśliwych. Sally Paterson, mieszkająca w domu obok, wierzyła w to bardzo mocno, co było zrozumiałe, gdyż była pasjonatką feng shui. Nie lubiła mieszkać obok tego opuszczonego domu, przerażał ją. Wiązało się z nim to wszystko, o czym chciała raz na zawsze zapomnieć.

Tego wieczoru Sally usiadła na welurowej kanapie w salonie i delikatnie przejechała dłonią po nowym obiciu. Było przyjemnie gładkie i miękkie, przypominało jej skórę cieląt, które widywała na farmie wujka Maurice'a, gdy była małą dziewczynką.

– Należysz wina? – zwróciła się do męża, który kręcił się przy wyspie kuchennej.

– Właśnie otwieram butelkę – odparł Thomas. – Dzisiaj jest piątek i nasz romantyczny wieczór. – Thomas był w dobrym nastroju. Za trzy lata miał przejść na emeryturę, a Sally stale mu się podobała. Miała w sobie coś z arystokratki, zawsze myślał o niej właśnie w ten sposób. Błyszczące, jasne włosy falami splotywały jej na ramiona. Nie wiedział, jak to robiła, ale wyglądały i pachniały dokładnie jak tego dnia, kiedy ją poznał na uniwersytecie. Naprawdę mało się

zmieniła i nie widać było po niej, że skończyła pięćdziesiąt osiem lat. Ciągle miała w sobie dużo dziewczęcej świeżości. Jej dziadek i babka byli Rosjanami, uciekli przed rewolucją, zostawiając w kraju okazały majątek, pałac, kilka kamienic i fabrykę. Wiatr historii zdmuchnął to wszystko niczym garść okruszków. Zabrali tylko siebie i swoją miłość. Może jednak właśnie to było najcenniejsze. Ta historia i słowiańskie geny Sally sprawiły, że była taka niezwykła.

Znała tylko dwa słowa po rosyjsku – *kartinki*, czyli obrazki, i *bladź*, podobno jakieś straszne przekleństwo. Nie potrafiła jednak wyjaśnić, co oznaczało. *Bladź* i tyle.

– To ja zrobię nastrój. – Sally wstała i wzięła z regału ciemny lampion z ręcznie robioną świecą Stoneglow Leather & Saffron. Takie świece można znaleźć w paryskim hotelu Ritz. Sally kochała ekskluzywne przedmioty. Postawiła świecę na barku przed kanapą i włączyła telewizor. Natychmiast rozległ się dźwięk o wiele za głośny, gdyż Thomas poprzedniego wieczoru słuchał koncertu The Rolling Stones, swojego ulubionego zespołu. Włosy miał już przeredzone, ale ta muzyka sprawiała, że znowu mógł poczuć ducha buntowniczej młodości.

– My również jesteśmy drapieżnikami. Pionowa postawa, oczy ustawione na wprost, niezwykła inteligencja to cechy typowego drapieżnika. – Z telewizora przemówił poważnym głosem spiker. – Gen zabijania... Czy można w ogóle o czymś takim mówić? Zdecydowanie tak.

– Co to ma być? – oburzyła się Sally, natychmiast wyciszając dźwięk. – Znowu jakieś głupoty. Czy w tej telewizji nie mogą puścić już niczego normalnego? Ciągle tylko jakieś zabójstwa.

– Kochanie, wyłącz to pudło, już nadciągam z winem.

– No właśnie, po co ja w ogóle włączyłam telewizor? – zbesztła się Sally.

– Tadam! – zawołał wesoło Thomas, podchodząc ze srebrną tacą, na której stały kryształowe kieliszki i butelka Pillitteri Cabernet Merlot z regionu Ontario, rocznik dwa tysiące trzynaście. Nie zabrakło małego talerza serów beaufort i camembert, prosto z Francji.

– Dziękuję, pięknie to przygotowałeś – pochwaliła go Sally, czyniąc jeden zgrabny ruch, by wyłączyć telewizor. Uśmiechnęła się przy tym w filmowy sposób.

*Mam żonę jak Trump* – pomyślał Thomas z dumą. *Nie lubię drania, ale nie jest głupi i wie, co dobre. Słowianki są najpiękniejsze na świecie.*

Postawił tacę na barku przed kanapą. Wino zakołysało się w kieliszkach. Z jednego z nich kilka czerwonych kropeł poleciało na śnieżnobiały dywan.

– Uważaj, co robisz?! – fuknęła Sally, której dobry nastrój prysł nagle jak bańka mydlana. Już przestały ją obchodzić romantyczny wieczór i początek weekendu. Czerwona plama na białym dywanie i słowa spikera uruchomiły spiralę ponurych wspomnień.

– To się da wyczyścić – bąknął Thomas, ale żona już go nie słuchała. Podał jej kieliszek, który odebrała machinalnie, patrząc daleko w przestrzeń.

Zapadło krępujące milczenie, zupełnie jak na pierwszej randce, kiedy niespodziewanie skończą się tematy, a przecież Sally i Thomas byli małżeństwem od ponad trzydziestu lat.

– Słuchaj – odezwała się nagle – jak myślisz, co się z nią mogło stać?

– Niby z kim? – zdziwił się Thomas.

– Z tą małą od Reynoldsów. – Sally wskazała ręką w stronę opuszczonego domu sąsiadów. – Nie udawaj, że nie pamiętasz, co się tam stało pięć lat temu.

Thomasowi stężała twarz. Upił łyk wina. Już wiedział, że wieczór jest zniszczony.

## **Zoo**

*Polska, Warszawa*

– Witam, tu Robert z recepcji – oznajmił głos w domofonie. – Przyszła dziennikarka na spotkanie. Czy mogę ją do pana wystać na górę?

– Tak, niech wjedzie – mruknął Zoo, przecierając oczy. Włosy miał rozczochrane, bo przed chwilą drzemał na kanapie. Spojrzał na zegarek, dochodziła piętnasta. *Pewnie znowu jedna z tych blogerek, których teraz pełno* – pomyślał, udając się do łazienki, by trochę się odświeżyć. Z lustra spojrzęła na niego twarz czterdziestoletniego mężczyzny, łudząco podobna do twarzy aktora grającego Sawyera w serialu *Lost*. Zoo często w swoim życiu słyszał to porównanie.

Miał jeszcze sporo czasu do wizyty. Wjechanie windą na ostatnie, pięćdziesiąte drugie piętro najwyższej wieży mieszkalnej w Unii Europejskiej, potocznie nazywanej Żaglem, zabierało trochę czasu. Co ciekawe, inspiracją dla projektanta budynku Daniela Libeskinda wcale nie był kształt żagla, tylko

skrzydło orła – symbol zmieniającej się Warszawy. Jak to zwykle bywa dzieło na przekór zamysłowi twórcy zaczęło żyć własnym życiem. Skrzydło jako inspiracja gdzieś uleciało, a żagiel pozostał.

*Wczoraj też jakaś była* – przypomniał sobie Zoo, przemywając twarz. *Sama nie wiedziała, o co ma pytać. Dziennikarki od siedmiu boleści. I wszystkie w okularach zerówkach.*

Ruszył do kuchni, nalał wody do szklanki i wyszedł na balkon. Powoli zbliżył się do balustrady, która była podłużną taflą szyby, i oparł się o nią. Widok na centrum Warszawy był oszałamiający, ale Zoo miał lęk wysokości. Codziennie jednak starał się z nim walczyć, chociaż serce zawsze mocniej mu biło, gdy był na balkonie. Gdy tylko podchodził do balustrady, upewniał się, że ta znajduje się na swoim miejscu.

*Muszę powiedzieć Tatianie, żeby nie czyściła tej szyby tak dokładnie, może wtedy będzie lepiej widoczna* – pomyślał.

Gdy zadźwięczał dzwonek, Zoo otworzył drzwi, za którymi stała ciemna szatynka w wysokich szpilkach, prawie równa z nim wzrostem. Miała duże brązowe oczy, a pod jej bluzką rysował się kształt całkiem sporych piersi. Usta też miała wydatne.

*Czy one wszystkie usta i cycki robią sobie u tego samego chirurga?* – przemknęło mu przez myśl.

Ostatnio przeżywał istny najazd młodych dziennikarek. Wszystko przez artykuł o muzykach, którzy stali się milionerami. Ponad dziesięć lat temu Zoo nagrał piosenkę, która nie schodziła z list przebojów. Później dobrze zainwestował pieniądze z pierwszej i zarazem ostatniej płyty. Teraz, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszyscy sobie o nim przypomnieli. Nawet jakaś telewizja śniadaniowa chciała go zaprosić, ale odmówił i oświadczył, że o siódmej nie wstanie nawet dla papieża, przez co zrobił się wokół niego jeszcze większy szum. Wszystko przypominało wielką śnieżną kulę pędzącą ze stoku. Z każdą sekundą kula rosła, przyklejając do siebie nowe warstwy śniegu, choinki i zabłąkanych narciarzy. Zoo miał szczerze dosyć tej odgrzewanej popularności.

Nie pracował nad żadnym materiałem, a po tym, co ostatnio się wydarzyło, najbardziej chciał, by o nim zapomniano. Na szczęście jak na razie nikt nie odkrył jego tajemnicy. Był jednak czujny, dobrze wiedział, że dziennikarze potrafią dotrzeć do najpilniej skrywanych sekretów. Niby rozumiał, że taka była

ich pracą, ale uważał, że tak naprawdę to lubowali się w wyciąganiu trupów z szafy. Niczego nie tworzyli sami, tylko krążyli w bezpiecznej odległości niczym sępy wypatrujące ofiar.

Zoo zmierzył wzrokiem dziewczynę. W zeszłym tygodniu odwiedziła go podobna dziennikarka. *Cholera, może to ta sama?* Odruchowo dotknął czoła. Na szczęście rozwiła jego wątpliwości.

– Bianka Kowalska. – Wyciągnęła do niego dłoń. Jej paznokcie zdołał starannie wykonany hybrydowy manicure w kolorze klasycznej czerwieni. Ten sam odcień miały jej szpilki. Poprzednia dziewczyna nazywała się jakoś inaczej, ale na pewno nie Bianka, to dosyć charakterystyczne imię, zapamiętałby. Poza tym gdyby się znali, to by się nie przedstawiała. *Te laski czasami są strasznie głupie, ale z pewnością nie aż tak* – pomyślał.

– Witam. – Uścisnął jej rękę. Przedstawianie się uznał za zbędne. Przyszła, więc wiedziała, kim jest.

– Chciałam zrobić z panem wywiad – powiedziała dziewczyna, uśmiechając się szeroko.

– Zapraszam w moje skromne progi. – Uczynił szeroki gest ręką, ale towarzyszyło temu lekkie westchnienie, sugerujące, że kosztowało go to sporo wysiłku. Dziewczyna nie zauważyła tego, wodząc ciekawie wzrokiem po luksusowym apartamencie. Rozległy hol, wyłożony po sufit płytami z naturalnego kwarcu, otaczały masywne filary. Po lewej stronie hol zmieniał się w kuchnię, która błyszczała czernią i łączyła się z salonem odgrodzonym od aneksu kompletem wypoczynkowym i doskonale wyposażonym barem, którego nie powstydziliby się najbardziej ekskluzywny nocny klub. Salon przechodził w sypialnię z ponadstandardowo szerokim łóżkiem umieszczonym na lekkim podwyższeniu. Wszystko było jedną wielką przestrzenią. Zero funkcjonalności, ale rozmach zapierał dech w piersiach. Spokojnie można by tu było biegać i porządnie się przy tym zmęczyć.

Od sypialni biegł korytarz prowadzący w głąb do dalszej części apartamentu, która niknęła w mroku. Tam znajdowało się studio nagrań i jeszcze parę innych pokoi, do których Zoo rzadko zaglądał. Na samym końcu było wyjście na rozległy taras, gdzie znajdował się prywatny odkryty basen, teraz nieczynny z powodu zimy. Wzdłuż niego rozciągał się zewnętrzny bar. Wszystko przygotowane do organizowania wielkich imprez. W zasadzie odbyła się tylko jedna, ale to był istny armagedon. Usuwanie zniszczeń

i sprzątanie trwało tydzień. Na tym się skończyło, Zoo więcej imprez już nie urządzał.

Główny element wystroju salonu stanowiła olbrzymia tafla szkła sięgająca od podłogi do sufitu. Rozpościerający się za nią widok na miasto był naprawdę powalający. „Architektura jest jak muzyka, ma poruszać duszę” – w istocie, w tym wnętrzu słowa Libeskinda nabierały prawdziwego znaczenia.

– Tam jest szafa. – Zoo wskazał na lustrzane drzwi. – Jeżeli chcesz coś powiesić.

Bianka uśmiechnęła się, podając mu płaszcz. *Kobieta niewiele słów* – pomyślał.

– Zapraszam. – Podeszedł do czarnej skórzanej sofy. Już czuł, że czeka go kolejny sztamkowy wywiad. Ale musiał ich udzielać; może był dupkiem, ale na pewno inteligentnym. Fala go niosła, płynął więc na niej. W końcu życie było teatrem i gdy wzywano na scenę, po prostu trzeba było wyjść i grać swoją rolę najlepiej, jak się potrafiło.

Dziewczyna usiadła w wyreżyserowany sposób, odwracając się trochę bokiem w stronę Zoo. Dobrze wiedziała, jakie przybierać pozy, by wyglądać lepiej. On tymczasem rozsiadł się wygodnie i zarzucił ręce na oparcie.

– Pierwsze pytanie zadam ja – powiedział.

– Zatem słucham – odparła, a Zoo spostrzegł, że obserwuje go z zaciekawieniem dziewczyny, której podoba się mężczyzna. Na chwilę zapadła pełna oczekiwania cisza.

– Czego się napijesz?

– Może być woda, cokolwiek. – Uczyniła nieokreślony ruch dłonią. W drugiej trzymała planer.

*Pewnie tam są te „inteligentne” pytania. Ale dłonie ma ładne* – pomyślał Zoo. Zawsze zwracał uwagę na dłonie.

Gdy podał jej szklankę wody, poprawiła się na kanapie. Burgundowa spódnica z czystego jedwabiu opinała jej pośladki.

*Ona jest całkiem, całkiem* – przyznał w myślach. Lubił kobiece kształty i ubolewał, że ludzie, którzy obecnie zajmowali się modą, oględnie mówiąc, nie przepadali za kobietami. A w końcu to oni kreowali trendy. Teraz każda kobieta z założenia była za gruba. Zoo nigdy nie spotkał dziewczyny, która nie miałaby kompleksów, a zawsze chciał taką poznać. Normalną dziewczynę,

człowieka z krwi i kości. Było to jednak nierealne marzenie. W zwariowanych czasach spotkanie kogoś normalnego zakrawa na cud.

– Będę nagrywała, dobrze? – Bianka poczekała, aż Zoo zaaprobuje skinieniem jej propozycję, a następnie włączyła dyktafon w telefonie i położyła go na stoliku przed kanapą.

– Nie ma problemu. – Zoo wzruszył ramionami. – Nie mam nic do ukrycia.

– Jest pan nazywany awangardą hip-hopu... – zaczęła.

– Doprawdy? – parsknął śmiechem. *Skąd biorą się te grafomanki?* – pomyślał.

Dziewczyna zmieszana się lekko.

– Jakie są teraz pana plany? W końcu od wydania pierwszej płyty, która była niezwykłym sukcesem, minęło już wiele lat.

– Jaki pan? – zachnął się. – Po prostu Zoo.

– A więc jakie są twoje plany... Zoo? – poprawiła się.

– Myślę o nagraniu nowego materiału ze starym składem. Ale do tego muszę przekonać jeszcze resztę. To nie jest proste. Każdy zajął się swoimi sprawami i potrzeba czasu, nim się ich wszystkich pozbiera. Na przykład Misiek projektuje ubrania, ale sądzę, że powrócimy do robienia muzyki. Czuję odzew publiczności.

– A czy nie myślałeś o innym gatunku muzycznym?

– Tak. – Zoo podrapał się po brodzie. – Ostatnio zastanawiam się nad operą.

– Nad operą? – Dziewczyna szerzej otworzyła oczy.

– Właśnie tak, nie chcę się zamykać. – Zoo spojrzął na wydatny biust rysujący się pod bluzką dziennikarki. Zastanawiał się, jak wyglądałaby nago na sofie.

Bianka spostrzegła to i poczuła się nieswojo.

– Proszę, powiedz coś więcej.

– To tajemnica. – Zoo uśmiechnął się krzywo. – Nie mogę zdradzać wszystkich moich pomysłów. Co by to było, gdybyście wszystko o mnie wiedzieli z wyprzedzeniem. Jak podam terminarz na dziesięć lat do przodu, to nikt do mnie nie przyjdzie i będę musiał siedzieć tu sam. – Wskazał ręką na apartament.

– No tak.



– Widzę, że obserwujesz mój tatuaż. – Zoo lekko podniósł rękaw T-shirtu. – To celtycki znak szczęścia – wyjaśnił. – Tu mam najnowsze dziecko. Chcesz zobaczyć? – Dotknął dłonią lewej piersi.

Dziewczyna skinęła głową.

– To chyba bardziej zainteresuje czytelników niż moje kolejne wymądrzanie się o muzyce. Chyba wszyscy mają mnie już dosyć. Nie jestem przecież żadnym Chopinem czy Lutosławskim. – Roześmiał się.

Bianka również się uśmiechnęła.

– Ale to będzie kosztowało – powiedział z zawadiacką nutą w głosie.

– Nie rozumiem.

– Skoro mam zdjąć koszulkę, to ty też coś zdejmij. Nie ma nic za darmo.

Dziennikarka uniosła brew.

– Może szpilki?

*O, jaka negocjatorka* – pomyślał Zoo.

– Szpilki nie. Ja zdejmuję koszulkę, a ty bluzkę – stwierdził z kamienną twarzą.

– Nie, to nie najlepszy pomysł. – Dziewczyna udała oburzenie, ale on już widział, jak błyszczą jej oczy, a powiększone usta rozchylają się.

*Idziemy w dobrym kierunku* – pomyślał.

## **Sally podejmuje decyzję**

*Kanada, Saint-Hyacinthe*

Thomas nic nie odparł. Od dawna nie rozmawiali na ten temat, który teraz znowu powrócił jak bumerang, roztrzaskując w drobny mak ich strefę komfortu. Nieraz byle szczegół potrafił uaktywnić i wydobyć na powierzchnię wspomnienia.

– No, powiedz, co myślisz? – drążyła dalej Sally.

– Przecież mieliśmy o tym nie rozmawiać – odparł ostrożnie Thomas. Czasami czuł się jak ofiara demonów swojej żony.

– Mieliśmy również nie wylewać czerwonego wina na nowy dywan – skrzywiła się złośliwie.

– Daj spokój. Rozmawialiśmy już o tym z tysiąc razy.

– I może właśnie za mało. Ciągle uważam, że ona to zrobiła. Słyszałam te krzyki, a gdy wyszłam z domu od strony ogrodu, przez duże okno ich salonu

widziałam, jak ta mała stoi z zakrwawionym nożem, a krew kapie na dywan obok ciał rodziców. W tym miejscu żywoptot jest tak przerzedzony, że wszystko widać...

– Przestań, znam tę historię na pamięć. Do domu Reynoldsów jest dobre dwadzieścia metrów, może coś ci się przywidziało. Przyznaj się, nigdy o tym nie pomyślałaś?

– Przestań wszystko bagatelizować! – Sally z rozmachem wstała z kanapy. W ręce trzymała kieliszek, z którego znowu rozlało się trochę wina.

– Uważaj, dywan – ostrzegł ją Thomas.

– A co, tylko tobie wolno wylewać?

– Proszę, uspokój się. Porozmawiajmy. Nie chcę, żebyś się denerwowała tą sprawą, to już jest dawno za nami.

– Nie, mój drogi. Nie sądzę, żeby to było za nami. Dobrze wiem, co widziałam. Kiedy przyjechała policja, byłam pierwszą osobą, która złożyła zeznania. Ta mała zabiła swoich rodziców. Miała wtedy trzynaście lat. Wyobrażasz to sobie? Oczywiście każdy powie, że po nastolatce można się wszystkiego spodziewać. W każdym razie ja złożyłam zeznania i byłam na kilku rozprawach w sądzie. Siedziała w kapturze i wyglądała jak mniszka, a wierz mi, do świętej jej daleko. Ty jeździłeś do pracy, ale ja spędzałam tu całe dni i widziałam co nieco. Ona wcale nie była taka porządna. Mam wrażenie, że prawo w naszym kraju ma jeden cel: chronić bandziorów, a jeśli przestępca jest niepełnoletni, to już z miejsca staje się świętą krową. – Mówiąc to, rozłożyła ręce. – Najgorsze jest jednak zupełnie coś innego.

– No powiedz, co – zachęcił ją pojednawczo Thomas.

– To, że ona niedługo wyjdzie. Może jutro, może pojutrze. Pewnie zwolnią ją za dobre sprawowanie. Wróci do swojego domu, bo niby gdzie miałyby się podziać? Będzie znowu naszą sąsiadką, może nawet kiedyś urządzi grilla i zaprosi ciebie, bo mnie to na pewno nie. Myślisz, że chciałabym stanąć z nią oko w oko?!

– Rozumiem, ale już o tym rozmawialiśmy – uciął Thomas. Wiedział, do czego zmierza tyrada żony.

– Przestań mi to powtarzać jak mantrę. Po prostu chcę sprzedać dom i wynieść się daleko stąd. Zeznawałam przeciw niej, a ona tu niebawem wróci. To cholerne prawo tak działa, że uczciwy człowiek zostaje na lodzie.

Zeznawałam przeciw tej małej psycholce, narażając siebie. Powinni byli skazać ją na długie lata, żeby gnęła gdzieś w lochu...

– Kochanie, to tak nie działa. To nie średniowiecze. – Thomas zaśmiał się lekko.

W odpowiedzi Sally spiorunowała go wzrokiem.

– Przestań, bo znowu się czuję jak w sądzie. Nikt nie bierze mojej strony.

– Daj spokój, nie mów tak, przecież ja jestem z tobą.

– To się wyprowadźmy – wypaliła.

– Wiesz, że na razie jest to niemożliwe – odparł Thomas. – Musimy spłacić kredyt. Zostały nam jeszcze dwa lata. No i kupiliśmy nowy dywan i kanapę, nie mówiąc już o pomalowaniu salonu.

– Dywan jest poplamiony, a kolor ścian przestał mi się podobać, to nie jest dokładnie ten odcień lawendy, o który mi chodziło, jest za zimny. Jedynie kanapa jest w porządku. Ma ładne obicie, ale ją przecież możemy zabrać do nowego domu. I proszę, nie powtarzaj ciągle o kredycie, nie jestem idiotką. Można dogadać się z bankiem i spłacić go wcześniej. Mamy w końcu trochę oszczędności. Pomyśl, możemy sprzedać ten dom i wynieść się, gdziekolwiek chcemy. Może gdzieś nad jakieś piękne jezioro. W końcu dzieci są już dorosłe, a ty już niedługo przechodzisz na emeryturę. Chyba nie zamierzasz tu tkwić do samego końca?

– I co wtedy? – spytał Thomas. – Chcesz powiedzieć, że wszystkie twoje traumy miną?

– Oczywiście, że miną – stwierdziła bez chwili wahania. – Mogę ci obiecać, że w nowym domu nigdy nie wrócimy już do tego tematu. Daleko stąd nie będę musiała się zastanawiać, czy ta mała faktycznie zabiła, czy mi się przywidziało.

– Nigdy nie mów nigdy. – Thomas roześmiał się.

– Ja nie żartuję – odpowiedziała. W głębi duszy czuła jednak, że nie mówi mężowi prawdy. Obawa tkwiła w niej bardzo głęboko, a wielka niewiadoma dotycząca Jasmine i miejsca jej pobytu napawała ją grozą. Sally odbyła już z mężem dziesiątki takich rozmów, ale każdy drobiazg mógł przywołać te natarczywe myśli o ponurym listopadowym piątku sprzed pięciu lat, kiedy to wszystko się wydarzyło, a światła radiowozów rozświetliły senną zazwyczaj ulicę.

Sally podświadomie czuła, że Jasmine pewnego dnia pojawi się nieproszona jak zjawa z koszmaru. Rozmawiając z mężem, który niechętnie

wracał do tego tematu, świetnie zdawała sobie sprawę, że dobre kłamstwo może zadziałać niczym magiczne zaklęcie.

– Pojedźmy jutro nad jezioro Saint Matthias – zaproponowała.

– Wspaniały pomysł – odparł Thomas, nie dając po sobie poznać, że słowa małżonki wzbudziły w nim czujne zdziwienie.

– Moglibyśmy obejrzeć domy. Podobno budują tam piękne strzeżone osiedle – dodała Sally, przytulając się do męża.

– Dobrze, pojedziemy – zgodził się z westchnieniem. – A czy teraz możemy już zapomnieć o tej sprawie i spokojnie napić się wina?

– Teraz tak. – Sally uśmiechnęła się szeroko. Nadal czuła jednak w sercu dziwny chłód i mimo że usiłowała toczyć normalną, przyjemną rozmowę, jej myśli wciąż krążyły wokół nastoletniej zabójczyni. *Ta mała kiedyś tu wróci. Muszę zrobić to, co zaplanowałam tydzień temu* – pomyślała.

## ROZDZIAŁ 2

*Kiedy wariat zaczyna wyglądać na takiego, który zachowuje się już całkiem rozsądnie, to znak, że czas założyć mu kaftan bezpieczeństwa.*

Edgar Allan Poe

### **Anna Bouchard**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Gdy mecenas Anna Bouchard podjechała pod Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca, lekko się wzdrygnęła. Budynek wyglądał jak pełne mrocznych tajemnic zamczysko. Kamienną elewację porastał leśny mech. W starych świątyniach jego obecność dodaje scenerii spokoju i powagi, jednak tutaj przypominała raczej o tym, jak bardzo to miejsce było zapomniane przez tych wszystkich, którym jeszcze na coś zależało. Wysoko u góry na narożnikach umieszczono maskarony, które niczym demony pilnowały, by nikt nie uciekł z budynku. Ale to był zbyteczny trud, gdyż w wysokie gotyckie okna wstawiono masywne kraty.

Teren szpitala otaczał potężny kamienny mur. Na noc zamykano kutą bramę i nikt już nie mógł wejść ani wyjść. Dodatkowo w stróżówce przy wjeździe czuwał uzbrojony strażnik. Ten ponadstuletni budynek położony kilka mil za Quebec City w cienistej dolinie otoczonej lasami kiedyś był klasztorem. Zamieniono go później na szpital psychiatryczny, z początku dla dorosłych, a następnie dla nieletnich.

Pojawiały się głosy, że zdrowienie kształtujących się jeszcze młodych osobowości nie ma prawa mieć miejsca w tak ponurych warunkach, jednak w obliczu kryzysu psychiatrii dziecięcej prowincja Quebec z wdzięcznością przyjęła propozycję adaptacji gmachu. Chodziło przecież o to, żeby gdzieś te zagubione dusze upchnąć, schować przed „normalnym” światem i prawidłowo

uzupełnić statystyki miejskie. Polityka społeczna rządzi się jednym prawem – wszystko musi wyglądać dobrze w sprawozdaniach.

Ponury kamienny budynek miał tylko jedno piętro, ale i tak sprawiał wrażenie wysokiej, posępnej twierdzy. Gmach miał kształt dużej litery L. Pod całym budynkiem ciągnęły się piwnice, gdzie były jeszcze pozostałości szpitala dla dorosłych. Były tam wyłożone popękkanymi kafelkami dziwne nieduże baseny, które kiedyś służyły za zbiorowe wanny, łóżka i sprzęt do elektrowstrząsów, których stosowania zaniechano w obliczu postępu farmakologii. Te ponure pomieszczenia rodem z horrorów zamieniono na rupieciarnię, do której znoszono wszelkie zepsute sprzęty i starą dokumentację szpitala.

Dawniej szpital był zamkniętym, samowystarczalnym gospodarstwem. Uprawiano tu warzywa i hodowano zwierzęta na własne potrzeby. Należały do niego nawet las i tartak. W okolicy można było jeszcze natrafić na wąskie tory kolejki, którą transportowana drewno i płody rolne do szpitalnych magazynów.

Teraz wyżywieniem pensjonariuszy zajmowała się zewnętrzna firma cateringowa. Niewielki parowóz i wagoniki dożywały swoich dni, rdzewiejąc w zaroślach pod kamiennym murem. Latem niektórzy pensjonariusze palili tu papierosy. Jasmine nieraz tu bywała, a jej kolega, ponury skinhead Rudolf, snuł swoje opowieści o wielkich bitwach Trzeciej Rzeszy. Opowiadał z takim zapamiętaniem, że Jasmine siedząc w zardzewiałym wagoniku, odnosiła wrażenie, że znajduje się we wnętrzu nazistowskiego czołgu.

W każdym razie szpital nie był już taki jak dawniej. Przestał być samodzielną placówką, zamkniętą przed światem na cztery spusty. Zlikwidowano nawet pralnię i co czwartek niebieska ciężarówka firmy Blue Bubble zabierała wielkie worki bielizny. Odwiedziny odbywały się w każdą sobotę, a korytarze pomalowano na wesołe pastelowe kolory.

Pani mecenas dobrze znała historię tego miejsca. Jak każdy i ona miała swoją tajemnicę, o której nie chciała wspominać.

W pierwszej kolejności skierowała swoje kroki do barku, gdzie zamówiła dużą latte z syropem klonowym. W domu nie mogła zrobić swojej ulubionej kawy, bo córka jak zwykle nie kupiła mleka. Myśląc o tym, Anna aż ciężko westchnęła. To był naprawdę jeden z niewielu obowiązków Emily, a mimo

to średnio raz w miesiącu dziewczyna zapomniała o zakupach, przez co obie wychodziły z domu spragnione, głodne i naburmuszone.

Anna od rana marzyła o gorącej, słodkiej kawie ze spienionym mlekiem. Nie podążała za zdrową modą na rezygnację ze słodzików, jej kawa zawsze musiała być gęsta i słodka. „Jestem Kanadyjką, w moich żyłach płynie syrop klonowy” – mawiała często w towarzystwie, nalewając solidną porcję tego płynu do swojej filiżanki. Teraz to marzenie ziściło się za dolara i dziewięćdziesiąt dziewięć centów. *Jak chcesz coś zrobić dobrze, to zrób to sam* – pomyślała Anna, której do końca nie minęła jeszcze złość na córkę. Z dużym kubkiem kawy ruszyła po schodach na pierwsze piętro, gdzie znajdował się oddział zamknięty.

Wysłużona krata blokowana była brzęczącym elektrozamkiem. Tuż przed nią znajdowała się dyżurka, na której framudze ktoś wyskrobał niewielki napis „freaki”. Ilekroć Anna na niego patrzyła, ogarniało ją rozbawienie. Zastanawiała się, czy autor określił tak osoby przebywające w tym pokoju, czy poza nim, na oddziale?

Z dyżurki wychyliła się słusznej postury postać strażnika. *Mogliby sobie odpuścić* – jak zawsze powtórzyła w myślach Anna, kiedy ta sama pielęgniarka co zwykle sprawdzała jej prawo jazdy i potwierdzała tożsamość. Po tym jeszcze chwila wypełniania papierów, aż w końcu zabrzączał elektryczny zamek. Anna weszła na oddział zamknięty oddziału psychiatrycznego dla nieletnich.

Nieodmiennie dziwiła ją panująca tu cisza. Było to jednak oczywiste, biorąc pod uwagę fakt, że na samym początku oddziału znajdowały się składziki, pomieszczenia techniczne, a dalej pokoje lekarzy i pomieszczenia socjalne dla personelu. Była tu również sala obserwacyjna z pancernego szkła ochrzczone przez obsługę mianem „akwarium”, gdzie pacjent przez czterdzieści osiem godzin pozostawał pod stałą obserwacją. Dzięki temu po zaaplikowaniu leków można było bez przeszkód sprawdzać ich działanie.

Anna minęła akwarium, a następnie kolejną dyżurkę pielęgniarek, by w końcu wejść do właściwej części oddziału, który tętnił prawdziwym życiem, godnym szpitala psychiatrycznego. Wrzaski, krzyki, napady histerycznego śmiechu – to wszystko zdawało się być dodatkowo spotęgowane przez młody wiek pacjentów. Zwożono tu z całego dystryktu dzieci do lat osiemnastu. Mury zdawały się czasem nie wytrzymywać skumulowanej w tym miejscu energii.

Na końcu korytarza znajdował się pokój widzeń z dużym stołem przykręconym do podłogi. Nie było tam okna, a zielonkawe światło, które miało działać uspokajająco, sprawiało, że miejsce to przypominało trochę wnętrze statku kosmicznego. Pomieszczenie było wyciszone i gdy Anna postawiła kubek na stole, rozległ się dźwięk o wiele za głośny jak na tę czynność. Kobieta usiadła i otworzyła organizer. Chwilę przeglądała papiery, a gdy przestała, zapadła denerwująca cisza. Zazwyczaj wystarczała tylko chwila siedzenia w wytłumionym pokoju i już miało się wrażenie, że słyszy się pracę własnego żołądka. Po dziesięciu minutach przebywania w tym pokoju dosłownie każdy zaczynał mówić, by po prostu przerwać upiorną ciszę.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł barczysty pielęgniarz Bob, który powitał Annę szerokim uśmiechem. Lubił ją i nie ukrywał, że mu się podoba. Wysoka brunetka nieraz pojawiała się w jego skrytych fantazjach. Zamienili kilka zdań. Anna bywała tu od niemal pięciu lat minimum raz w miesiącu. Znali się już na tyle dobrze, by mieć sporo niezobowiązujących tematów do rozmowy. Gawędzili o rodzinie, dzieciach, wakacjach, weekendach i grillach, kuchni i książkach. Bob uwielbiał czytać, Anna również. Tyle że Bob czytał więcej, bo Annie wciąż brakowało czasu.

– Im człowiek dłużej żyje, tym mniej ma czasu – mawiał Bob i miał świętą rację. Anna również odczuwała, że po czterdziestce czas w tajemniczy sposób jakby przyspieszył, tygodnie mijały tak szybko jak dni.

– Mam ją przyprowadzić? – spytał Bob.

– Tak. – Anna skinęła głową.

Pielęgniarz wyszedł i zamknął drzwi pokoju widzeń.

Anna westchnęła ciężko. Minęło kolejne kilka minut martwej ciszy i drzwi ponownie się otworzyły. Do pokoju niespiesznie weszła wysoka postać w szarej bluzie z kapturem na głowie. Reszty jej stroju dopełniały za krótkie spodnie od pizamy w różowe jednorożce i grube wełniane skarpety. Dziwny gość wyglądał jak karykaturalnie wyrośnięte dziecko.

– Witaj, Jasmine. – Anna wstała i uściśnęła dziewczynie rękę.

## **Jasmine**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*



Z wnętrza kaptura błysnęły duże zielone oczy. Kiedy za pielęgniarzem zamknęły się drzwi, dziewczyna zsunęła kaptur. Cały pokój nagle pojaśniał. Długie blond włosy spłynęły łagodną falą na lewe ramię dziewczyny.

– Tęskniłam, długo cię nie było – powiedziała. Symetryczna twarz patrzyła na prawniczkę spokojnie i smutno.

– Niestety, praca – wyjaśniła Anna z westchnieniem. – Proszę, usiądź. – Wskazała krzesło.

Jasmine posłusznie zajęła miejsce. Ręce położyła równo na blacie. Uroda dziewczyny była dla wszystkich wyjątkowo hipnotyzująca. Anna zwykła myśleć, że Jasmine to Anita Ekberg rzucona daleko w czasie. Może sprawiały to wyraziste oczy, a może ostro zarysowane kości policzkowe. Wyglądała bardzo dojrzałe jak na swoje osiemnaście lat. W jej urodzie było coś filmowego, błyszcząca mimo marnego stroju.

Mecenas Anna Bouchard poprawiła się na krześle. Meble w szpitalu świętego Wawrzyńca były dramatycznie niewygodne. Wszystko było tu toporne i archaiczne.

– Znowu był apel? – spytała, wskazując na piżamę Jasmine.

– Tak. – Dziewczyna wyduła usta. – Odebrali mi punkty.

– Za co?

– Za późno biorę prysznic czy coś w tym stylu. – Jasmine uczyniła niedbały ruch ręką. – Przez cały tydzień będę musiała chodzić w tej głupiej piżamie. To ma mnie niby czegoś nauczyć.

Anna pokiwała ze zrozumieniem głową. Dobrze wiedziała, że w szpitalu świętego Wawrzyńca na zamkniętym oddziale psychiatrycznym wprowadzono system punktów. Zamiast jednak przyznawać punkty, odejmowano je. Założenia miało to być pozytywne, a było tak pokręcone, że nikt nie mógł się do końca w tym wszystkim połapać. W poniedziałek każdy miał piętnaście punktów. Za każde przewinienie odbierano jeden. Spóźnienie na śniadanie i jeden punkt odpadał. Niegrzeczne zachowanie wobec innych pacjentów i znowu utrata kolejnego punktu. Pielęgniarki skrupulatnie zapisywały wszystko w małych notesikach.

Na koniec tygodnia, w piątek, był wielki apel, na którym odbierano punkty. Gdy ktoś stracił wszystkie, przez cały następny tydzień musiał chodzić w piżamie. To była najgorsza kara. Gradacja kar była oczywiście różna. Na przykład za utratę pięciu punktów nie podawano deseru. Karą był również

zakaz widzenia z kimś z rodziny, wychodzenia na przepustkę czy telefonowania z automatu przy dyżurce pielęgniarek. W następnym poniedziałek punkty znowu wracały do puli piętnastu i cała zabawa powtarzała się od nowa.

Nic nie można było na to poradzić. Były to wewnętrzne regulacje szpitala, Anna nie rozwodziła się nad tym tematem.

– Nauczyciele mówią, że jesteś najlepsza – powiedziała. – Podobno robisz duże postępy.

– Nietrudno być tu najlepszym – parsknęła Jasmine. – Ta szkoła na oddziale to jedna wielka kpina. Nauczyciele mogliby się ode mnie uczyć. Niektórzy chyba nawet nie mają studiów.

– Wiem. – Anna uśmiechnęła się. – Ale i tak jestem z ciebie dumna. Zresztą rodzice też by byli.

Jasmine spuściła wzrok.

– Dziękuję, że tak mówisz – odparła.

– A jak terapia?

– Nudy, leżymy na materacach, gapimy się w sufit, ale przeszłam cały cykl i wyrzuciłam z siebie wszystko, co miałam wyrzucić.

– Zawsze sądziłam, że dobrze, że tu jesteś. Chociaż na początku uważałaś, że to niesprawiedliwe. Ale kończysz już liceum, wykonałaś olbrzymią pracę nad wszystkim, co mogło cię złamać. Przepracowałaś wszystkie swoje traumy.

W odpowiedzi Jasmine pokiwała głową.

– Bez ciebie byłabym zgubiona – wyznała. – Gdy zaczęło się to całe szaleństwo, wszyscy na siłę chcieli znaleźć kozła ofiarnego i szybko wybrali sobie mnie. Pasowałam im do tej roli. Poza tobą nie miałam nikogo po swojej stronie.

– Pamiętaj, że nigdy ani przez moment nie wierzyłam w twoją winę – powiedziała Anna, ściągając brwi, przez co jej twarz wyrażała pełne oddanie.

– Wiem. I za to ci dziękuję. Zobaczyć dobro w człowieku, któremu inni przypisują tylko zło i który jest samotny, to jest naprawdę duża sprawa. Ty to zrobiłaś. Jesteś moim aniołem. – Dla podkreślenia swoich słów Jasmine nagle położyła dłoń na ręce Anny i lekko ją zacisnęła. – Szkoda, że nie mogę dać ci żadnego prezentu za to wszystko, co dla mnie zrobiłaś. – Cofnęła ręce z powrotem na blat, układając je równo jakby od linijki.

Anna uśmiechnęła się, naprawdę lubiła tę dziewczynę. Czasem myślnami wracała do przeszłości i odnajdywała w Jasmine samą siebie.

– Nie martw się tym – powiedziała. – Najważniejsze, że już stąd wychodzisz, rozpoczynasz nowy rozdział w swoim życiu. Miałaś spędzić pięć lat na oddziale zamkniętym i właśnie zbliżamy się do końca.

– Trochę się boję...

– Nie musisz się niczego obawiać, wszystko jest już załatwione. Dzisiaj możemy wypełnić wniosek o zmianę twojego imienia i nazwiska. Mam ze sobą wszystkie potrzebne formularze. To pozwoli ci odciąć się od tego wszystkiego, co za tobą. Dodatkowo mam dla ciebie pewną małą niespodziankę.

– Jaką? – Zielone oczy błysnęły z zainteresowaniem.

– O tym za chwilę – odparła Anna.

## **Zoo udziela wywiadu**

*Polska, Warszawa*

– Udzielę ci takiego wywiadu, że padniesz – szepnął Zoo, dotykając włosów dziennikarki. *One wszystkie mają takie same włosy* – przemknęło mu przez myśl. *Jakby wyprasowane żelazkiem.*

Chwilę później apartament wypełniły jęki dziennikarki Bianki Kowalskiej. Zoo chwycił mocno jej krągłe biodra i wchodził w nią powolnymi ruchami. Dziewczyna miała piękne plecy, jej skóra była opalona, ale nie za bardzo. Pachniała perfumami, ale nie za mocno. Jęczała, ale nie za głośno. Ktoś mógłby powiedzieć, że to piękna kobieta, ale jakby wycięta z szablonu, jak idealna dziewczyna z gazety, poprawna i ładna, a jednak mająca w sobie coś irytującego. Zoo nie chciał jednak o tym myśleć, przymknął oczy i rozkoszował się seksem. Zaczynał już czuć falę gorąca wędrującą po kręgosłupie. Sytuacja wydawała się idealna, bo zamiast udzielać nudnego wywiadu, po prostu miał udany seks z dziennikarką.

Nic go nie rozpraszało. Nie słyszał na przykład wody ciekącej z kranu. Kiedyś wynajmował mieszkanie w pewnej obskurnej kamienicy na warszawskiej Woli. Nie było tam centralnego ogrzewania, tylko piece kaflowe. Aż dziw brał, bo przecież Niemcy w czasie wojny zburzyli prawie całe miasto, a ta rudera jakimś cudem się ostała. Naturalnie w tym mieszkaniu ciekł kran. Ciężki, zardzewiały, nawet jakby człowiek go mocno zakręcił, to i tak woda kapiała. Zoo kiedyś obserwował ten proces, paląc skręta. Kropla rosła, a potem odrywała się i leciała leniwie. Na koniec rozbryzgiwała się w zlewie w miejscu rdzawego

śladu. Przynajmniej tak to zapamiętał w oparach marihuany. Od razu było widać, że woda ciekła z tego kranu latami. Uprawianie seksu przy jednostajnym odgłosie kapiącej wody naprawdę może dekoncentrować.

Nagle Zoo zamarł w bezruchu. Ciężko dysząc, otarł czoło. Znowu pojawiła się ta gonitwa myśli, która czasami zagłuszała wszystko, niszczyła każdą przyjemność. Odpędzał z głowy niechciane obrazy, ale te nie chciały odpuścić. Zaczęły dryfować w zupełnie innym kierunku, a on już wiedział, czym to się skończy.

Przyspieszył, a dziewczyna opadła głową na kanapę, jej jęki stały się bardziej koncertowe. Zoo wyciągnął z niej swojego penisa i za chwilę wsunął go delikatnie, ale tylko trochę. Potem znowu wysunął i nagle wepchnął na siłę, ostro i brutalnie. Ta zabawa trwała przez dobrych parę chwil.

## **Anna i Jasmine**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

– Po zmianie nazwiska wyjdiesz stąd jako zupełnie inny człowiek – powiedziała Anna. – Imię możemy wybrać wspólnie, ale nazwisko nadadzą ci z urzędu. Tylko ty i ja będziemy je znać. Myślałaś już o jakimś imieniu?

Jasmine zamyśliła się.

– Może Cristine? Co myślisz?

– Bardzo ładnie.

– Tak naprawdę najbardziej podoba mi się Anna, ale to chyba głupie – stwierdziła Jasmine.

– Wybierzesz, co zechcesz, na koniec spotkania wypełnimy ten formularz – odparła Anna.

– Dziękuję, że mi pomagasz. Nie wiem, jak bym to przetrwała bez ciebie. Wszyscy zmuszali mnie, żebym się przyznała. A ja niczego nie zrobiłam. Czułam się taka zagubiona. Zrobili ze mnie potwora. Ludzie tam na zewnątrz już mnie osądzili i skazali. Nawet nie masz pojęcia, ile razy w długie wieczory zastanawiałam się, dlaczego właśnie mnie musiało to spotkać. Największym moim przekleństwem jest to, że ten świr, który włamał się do domu i napadł moją rodzinę, oszczędził mnie. – Jasmine zakryła oczy ręką.

– Nie mów tak – szepnęła Anna.

– Ale tak właśnie sędzę. Nawet nie wiesz, jak paskudne jest teraz moje życie. – Dziewczyna opuściła rękę, oczy miała czerwone, ale nie było w nich łez. – Ty jedna wzięłaś moją stronę.

– Taka jest rola obrońcy. Teraz to wszystko masz już za sobą. – Anna ścisnęła jej dłoń. – Przeszliśmy przez to razem. Nie musisz już nigdy wracać do tamtego domu.

Jasmine spojrzała pustym wzrokiem w przestrzeń. W jej spojrzeniu pojawił się jednak jakiś ostry, zdawało się metaliczny błysk. Prawniczka nie dostrzegła tego i mówiła dalej:

– Tydzień temu miałaś osiemnaste urodziny i uzyskałaś pełnoletność – stwierdziła poważnym głosem. – Przykro mi, że nie mogłam cię wtedy odwiedzić. Za kilka dni opuszczasz oddział zamknięty, przywiozłam ci dokumenty zwalniające.

– I co potem się ze mną stanie?

– Zgodnie z decyzją sądu trafisz na oddział otwarty. Spędzisz tam jeszcze rok, a szpital oceni postępy twojej terapii.

Jasmine skrzywiła się boleśnie.

– Ale jest też dobra wiadomość – powiedziała Anna. – Mogę zostać twoim przedstawicielem prawnym.

– Naprawdę może tak być?

– Oczywiście. – Anna pokiwała głową. – Wystarczy, że to podpiszesz. – Podała Jasmine kwestionariusz i długopis. – Wszystko jest już wypełnione.

Dziewczyna przechyliła głowę. Błyszczące włosy dotknęły blatu. Starannie podpisała formularz w wyznaczonym miejscu. Anna odebrała od niej dokument.

– Od teraz jesteś pod moją kuratelą. Mogę pomagać ci we wszystkich sprawach. Z oddziału otwartego będziesz oczywiście mogła wychodzić.

– O, to super! – ucieszyła się Jasmine.

– Chciałabym jednak, byś dobrze wykorzystwała ten czas i skończyła liceum. – Dla podkreślenia swoich słów Anna postukała palcem w blat. – Jeżeli ci się to uda, pójdiesz na studia pod zmienionym nazwiskiem. Otrzymasz specjalne stypendium. To twoja wielka szansa na odmianę losu. Inaczej wszystko może się zagmatwać.

– A będę mogła czasami widywać się z tobą?

– Oczywiście, zawsze będziemy się widywać. Mam nadzieję, że skończysz studia, wyjdiesz za mąż i będziesz mnie odwiedzać ze swoimi dziećmi.

Po policzku Jasmine spłynęła łza.

– Proszę, nie płacz – powiedziała Anna.

– Nawet nie wiesz, jakim stałaś się ważnym człowiekiem w moim życiu – szepnęła Jasmine.

– Przestań. – Anna uśmiechnęła się mgliście. *Gdyby moja córka potrafiła tak czytać z mojej twarzy – pomyślała. Tak się we mnie wczuwać, jak ta dziewczyna. Gdyby choć raz okazała wdzięczność za wszystko, co dla niej robię. Dla tej dziewczyny zrobiłam tak niewiele, a nie przestaje mi dziękować.*

– Proszę cię, nie patrz tak, mam wrażenie, że jesteś smutna – powiedziała Jasmine.

W odpowiedzi Anna wierzchem dłoni startła łzę spływającą z jej policzka. To było nie na miejscu, ale nie potrafiła ukryć uczuć do dziewczyny, która w jakiś sposób ją rozczulała. Zresztą wszelkie bariery i tak już zostały dawno przekroczone. Tak naprawdę nawiązała się między nimi dziwna forma więzi, niemal takiej jak pomiędzy matką i córką.

## **Dziwny nastrój Zoo**

*Polska, Warszawa*

Zoo wystrzelił potokiem nasienia na opalone plecy dziennikarki. Czuł się podle i to nie tylko przez to, że dziewczyna była kolejną zupełnie pustą znajomością, ale dlatego, że znowu zaczął myśleć o matce i zakłuło go serce. *Dlaczego tak musiało się stać?* – pomyślał. Poczuł, że w lewym oku zaczyna zbierać się łza. Denerwujące wrażenie. Ubrał się pospiesznie. W środku był cały poraniony, czasami dosłownie czuł te rany. Ból psychiczny jest rzeczywistością nie mniej realną niż ten fizyczny. Bez słowa wyszedł na taras. Bianka doprowadziła się do ładu i po chwili dołączyła do niego.

Zoo zapalił, stojąc przy szklanym stoliku, na którym leżała popielniczka. Dziewczyna poprosiła o papierosa, podał jej paczkę. Pałac, patrzyła na niego badawczo. Musiała dostrzec te dziwne cienie przemykające po jego twarzy. Kobiety posiadają zadziwiającą zdolność odgadywania tego, co gra w duszy mężczyznom. Szkoda, że mężczyźni nie mają takiej umiejętności w stosunku do kobiet, wówczas życie byłoby stokroć prostsze.

Dziewczyna strząsnęła popiół na posadzkę. Zoo wypuścił wolno dym.

– Nie śmieć na moim tarasie – powiedział lodowatym tonem. To wystarczyło. Po kilku chwilach dziennikarki już nie było. Usłyszał tylko, jak trzasnęły za nią drzwi.

Zoo położył się na kanapie i pogrążył w myślach. Palił, wydychając dym wysoko do góry. Patrzył, jak rozptywa się w powietrzu. Nienawidził tego salonu, nienawidził całego swojego życia, a najbardziej to siebie samego. Był wściekły i pusty, zupełnie jakby ktoś go wypatroszył. Był żywym eksponatem – chodził, mówił, ale był pusty i nie panował nad swoimi myślami. Na to nie pomoże ani najpiękniejszy apartament w najwyższym wieżowcu w mieście, ani najnowszy mercedes.

Ostatnio często wracał myślami do wcześniejszych lat, kiedy nie miał niczego, a jednak był szczęśliwy. Sukces potrafi człowieka przeczłochać. Nie mając problemów finansowych, ludzie zazwyczaj znajdują problem w sobie. Czasami odnajdują wewnątrz siebie bezdenną otchłań. W końcu każdy ma swoje demony.

*Muszę zadzwonić do Miśka, może odwiedzimy stare osiedle* – pomyślał Zoo, gasząc papierosa. Czasami trzeba wrócić tam, skąd się przyszło. Westchnął ciężko. Był cały poraniony i pełen tajemnic.

## ROZDZIAŁ 3

*Każdy ma swoje miejsce ulubione w dzieciństwie. To jest ojczyzna duszy.*

Stefan Żeromski, *Przedwiośnie*

### **Niespodzianka Anny**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

– Wróćmy do tematu. – Anna odchrząknęła, otrząsając się ze smutnych myśli. – Ukończenie szkoły jest bardzo ważne.

– Tak, wiem. – Jasmine pokiwała głową. – Ale wierz mi, to nie będzie trudne, oni tu mają poziom jak dla jaskiniowców.

– Dobrze, ale nie lekceważ tego, czasem jakiś niepozorny przedmiot może zaskoczyć. Musisz skończyć szkołę, to jest dla ciebie najważniejsze. A co należy robić?

– Trzeba zawsze w pierwszej kolejności robić rzeczy najważniejsze – odparła Jasmine.

– Dokładnie – ucieszyła się Anna. – Powtarzam ci to bardzo często, bo to grunt do podejmowania właściwych decyzji. Nie masz czasu na popełnianie błędów. Chcę, żebyś dobrze zagrała tymi kartami, które masz. Wykorzystaj swoje szanse.

– Rozumiem. Wreszcie uwolnię się od tych tępych pielęgniarek, obleśnych pielęgniarzy i beznadziejnych punktów. – Jasmine odetchnęła z ulgą.

– Czy ktoś ci coś zrobił? – Anna zmarszczyła groźnie brwi.

– Nie, to nie tak...

– Na pewno?

– Pielęgniarki są wredne, a pielęgniarze czasem głupio się gapią. Ale najbardziej dobijają mnie te punkty. Zawsze coś pokręcę i mi je odbierają.

– Jeżeli coś się wydarzy, masz mi o tym natychmiast powiedzieć. Jesteś bardzo ładną, młodą kobietą, a świat wcale nie jest dobry. Pamiętaj, że jesteś



pod moją opieką i zawsze ci pomogę.

– Dobrze, dziękuję.

– To mamy wyjaśnione. Na oddziale otwartym oczywiście jest personel, ale nie ma tylu absurdalnych obostrzeń. Z tego, co wiem, nie ma systemu punktów, on został specjalnie wymyślony dla oddziału zamkniętego, by dyscyplinować pacjentów. Skończysz spokojnie szkołę, a potem razem wybierzemy studia. Myślałaś już o jakimś kierunku?

– Tak, o prawie.

– Naprawdę? – Annie błysnęły oczy.

– Chcę być taka jak ty. – Jasmine uśmiechnęła się pierwszy raz podczas tego spotkania. – Myślisz, że będę mogła zaprosić cię kiedyś na kawę?

– Oczywiście, nawet dzisiaj możesz to zrobić. – Anna uśmiechnęła się tajemniczo.

– Jak to? Nie rozumiem.

– To się wiąże z niespodzianką, o której ci wspominałam. – Prawniczka sięgnęła do teczki i wyciągnęła dokument. – Wiesz, co to jest?

– Nie mam pojęcia – odparła zmieszana dziewczyna.

– To jest stała przepustka, do końca roku. Udało mi się ją dla ciebie załatwić. Dzięki temu papierowi będziesz mogła wychodzić z oddziału.

– Naprawdę? I muszą mnie wypuścić?

– Muszą – odparła z triumfem Anna.

– Jesteś niezwykła. – Jasmine nie mogła się opanować, wstała i przytuliła się do Anny.

*Boże, dlaczego ona nie jest moją córką?* – Anna zapytała siebie w duchu. *Może jestem potworem, ale gdybym mogła zamienić Emily na nią, zrobiłabym to bez wahania. Ona z pewnością kupowałaby to cholerne mleko i byłaby wdzięczna za każdy drobiazg.*

Anna i Jasmine wyszły z oddziału zamkniętego i udały się do barku, tego samego, w którym Anna kupiła swoją latte.

– Wreszcie napiję się kawy – ucieszyła się Jasmine.

– Wiem, że ci ciężko – pocieszyła ją Anna.

– Wierz mi, brak dobrej kawy może załamać człowieka – odparła Jasmine. – Mam niskie ciśnienie, piję kawę od trzynastego roku życia i przeżywam tu istne tortury.

– Ja stawiam – powiedziała Anna, stając przed barkiem.

– Ale to ja cię miałam zaprosić – zaproponowała dziewczyna.

– Dobrze, w takim razie niech tak będzie – odparła Anna. Wiedziała, że Jasmine chce się jakoś zrewanżować i nie chciała jej tego odmawiać. Dziewczyna zamówiła dwie latte, ale gdy przyszło do płacenia, okazało się, że nie ma pieniędzy. Spojrzała smutno na Annę.

– Przepraszam. Miałam trochę pieniędzy, ale zostały w ubraniu, które mi zabrali – wyjaśniła bezradnie.

– Nie ma problemu. – Anna wyjęła kartę z szerokiego portfela Louis Vuitton. Zawsze miała wszystko w najlepszym gatunku. – Może chcesz czekoladową muffinkę?

– Tak – odparła ucieszona Jasmine – uwielbiam je.

– To poprosimy jeszcze dwie muffinki. – Prawniczka zwróciła się do sprzedawczynie. Po chwili zabrały zamówienie i usiadły przy małym okrągłym stoliku.

– Zapomniałabym zupełnie... – powiedziała nagle Anna, dotykając czoła. – Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę.

– Jaką? – Jasmine błysnęły oczy.

– Udało mi się załatwić dla ciebie oddzielny pokój. Za kilka dni już będziesz mieszkać sama.

– O, jak dobrze! Teraz mieszkam z jedną dziewczyną... Ona jest totalnie zwariowana – stwierdziła Jasmine. – Jest anorektyczką i to co wyrabia, to istny cyrk. Rano zakłada na siebie kilka warstw ubrań, żeby oszukać na porannym wazeniu. Co chwila wymiotuje, a w nocy chrapie jak niedźwiedź.

– Teraz będziesz miała spokój. Zajmie to pewnie kilka dni, nim przygotują dla ciebie osobną salę, ale to już niedługo.

– Dziękuję. – Jasmine dotknęła jej dłoni. Dotyk był miły i ciepły. Anna zmieszła się i na chwilę zapadło milczenie.

– Czy chciałabyś mnie kiedyś odwiedzić? – spytała nagle. – Mam domek nad jeziorem, otoczonym lasami. Zresztą niedaleko, dwie godziny drogi stąd.

– Naprawdę chcesz mnie zaprosić? – Jasmine zdziwiła się.

– Oczywiście, przecież po to załatwiłam ci tę przepustkę. – Anna puściła do niej oczko. – Spędzimy trochę czasu razem, odpoczniesz od tego miejsca. Chcesz jechać?

– Oczywiście, że tak. Nienawidzę tu być. – Jasmine skrzywiła się. – Każdy kolejny dzień przypomina poprzedni. Bzika można dostać. Nie dziwię się,

że nikomu się tu nie polepsza. Tu tak naprawdę nie da się nikogo wyleczyć. Zresztą lekarze są gorsi od pacjentów. Ci przynajmniej wiedzą, że są stuknięci.

Anna zaśmiała się.

– Jesteś bardzo dowcipna – zauważyła.

– Może kiedyś napiszę książkę o tym miejscu, będą się mieli z pyszna.

– Tylko ani się waż pisać o mnie. – Anna zrobiła surową minę i pogroziła palcem.

– Ty nie masz się czego obawiać – stwierdziła Jasmine. – Byłabyś jedynym pozytywnym bohaterem.

– To może przyjedziesz do mnie w następny piątek?

– Super, zresztą i tak nie mam planów.

– To jesteśmy umówione. – Anna uśmiechnęła się szeroko.

– Tylko proszę, nie odwołaj tego, będę żyła tym wyjazdem przez cały tydzień.

– Bez obaw, nie odwołam. Pójdziemy na długi spacer po lesie, poznasz moją córkę. To będzie babski weekend.

Jasmine rozczuliła ją w jakiś sposób. Zawsze potrafiła zmiękczyć jej serce.

– Chciałabym też odwiedzić kiedyś mój dom – powiedziała powoli dziewczyna. Prawniczka spojrzała na nią badawczo. Wiedziała, że ten temat w końcu kiedyś wypłynie.

– Moim zdaniem nie powinnaś tego robić. – Zmarszczyła brwi. – To stanowczo za wcześnie. Zresztą, po co w ogóle masz tam jechać? Jako twój przedstawiciel prawny mogę go sprzedać w twoim imieniu.

– O nie! – zaprotestowała żywo Jasmine. – Na pewno kiedyś tam wrócę. Czuję, że muszę stawić temu czoła, żeby się od tego odciąć raz na zawsze. Inaczej będzie się to za mną ciągnąć do końca życia. Tak mówili mi na terapii.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą?

– A mogłabyś? Nie chcę być tam sama.

– To może po drodze do domku nad jeziorem? – zaproponowała Anna, sama nie wiedząc, czy to dobry pomysł. Miała jednak jedną intencję: chciała, by Jasmine raz na zawsze uwolniła się od swojej przeszłości.

– Wspaniale. Naprawdę nie mogę w to uwierzyć, że mnie zapraszasz. Powiedz tylko, czy twoja córka nie będzie miała nic przeciwko temu? Może będzie zła, że psuję wam weekend?

– Daj spokój, moja córka spędza ze mną wystarczająco dużo czasu – odparła Anna. – Zresztą pogramy razem w planszówki, porozmawiamy, na pewno się polubicie.

– Jak ona ma na imię?

– Emily.

– Musi być szczęśliwą, mając taką matkę.

– Chyba tak. – Anna spojrzała gdzieś daleko. W tym spojrzeniu kryło się jednak coś bardzo smutnego.

### **Dziwna wiadomość**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Jasmine stała na parkingu i długo machała ręką odjeżdżającej Annie. Czekwała do chwili, aż potężny SUV adwokatki zniknął w zimowej mgle zasnuwającej aleję wjazdową do szpitala. Potem wróciła na oddział, do swojego pokoju. Był czas kolacji i współlokatorki nie było. Jasmine włączyła laptopa, którego dostała od Anny wraz z dostępem do Internetu. Chciała obejrzeć jakiś film, ale na początku sprawdziła pocztę. Serce mocniej jej zabiło, bo znowu zobaczyła ten dziwny adres mailowy, ten sam, z którego od pięciu lat dostawała tajemnicze wiadomości. Zaczynał się od przypadkowych znaków alfabetu, zupełnie jakby ktoś na chybił trafił wciskał litery, coś w stylu „dghbrtkjhxyzcvbmkjh”. Jasmine otworzyła wiadomość z mocnym biciem serca, które po chwili przeszło w łomot. Szybko zaczęła czytać. Na pierwszy rzut oka był to zwykły mail. Dziewczyna jednak przeczuwała, że zaraz dowie się czegoś ważnego.

„Jasmine,

przez długi czas między nami panowała cisza, ale teraz wszystko się zmieni. Potrzebny czas minął i już nikt nie będzie domyślał się naszych kontaktów. Sprawdzaj pocztę, będę pisać częściej i powiem Ci dokładnie, co robić. Znowu rozbłysło dla Ciebie zielone światło. Widzisz, jak migocze daleko w ciemności? Pewnie trochę się denerwujesz, ale zupełnie niepotrzebnie. Gratuluję zakończenia odbywania kary na zamkniętym oddziale. Zobaczysz, teraz wszystko się zmieni.

Nie wiesz jeszcze tego, ale czeka Cię podróż. Dlatego skup się i zapamiętaj, co należy zrobić. Napisz maila pod ten adres: [marta.naturalnie@gmail.com](mailto:marta.naturalnie@gmail.com). To twoja daleka krewna z Polski. Twoja matka była jej kuzynką. Poproś o możliwość przyjazdu na święta. E-mail wyślij jak najszybciej. Następnie poproś Annę o pozwolenie na wyjazd do rodziny w Boże Narodzenie. Niech to wyjdzie ze zwykłej rozmowy. Ona cię lubi, z pewnością się zgodzi. Potrzebna będzie też opinia psychiatry. Musisz to załatwić. Zresztą... inwencji Ci nie brakuje, jesteś sprytna jak lis. Użyj umysłu i ciała. Ważne, żeby się udało to załatwić. Zrób też zdjęcie jakiegoś pisma z podpisem prawniczki. Zostanie ściągnięte z Twojego telefonu i dzięki temu załatwimy Ci wizę do Polski. O nic się nie martw, postępuj tylko zgodnie z instrukcją, a wszystko uda się załatwić. Wielki krokami zbliża się D-Day, czyli dzień, w którym będziesz siedzieć w samolocie lecącym do Polski. To teraz główny cel i wszystko jest temu podporządkowane.

I pamiętaj: wszystko przyjdzie do tych, którzy potrafią czekać. Zapamiętałaś adres? Jeśli nie, to zrób to szybko, a teraz licz do dziesięciu. Jeden... dwa... trzy...”

Jasmine pospiesznie chwyciła jakąś kartkę i zapisała adres mailowy krewnej. Ledwo to uczyniła, litery w wiadomości zaczęły się ruszać. Kiwały się na wszystkie strony, nagle zaczęły się obracać, jakby tańczyły. Potem podskoczyły do góry. Chwilę wirowały, aż w końcu zaczęły spadać niczym deszcz, zupełnie jak w *Matriksie*. Po chwili wiadomość była pusta. Jasmine siedziała z rękoma na kolanach, wpatrując się w ekran.

– Zaczęło się – szepnęła. W głowie szumiąco jej od emocji.

## **Marta**

*Polska, Warszawa*

Marta wstawiła wodę na herbatę w wysłużonym czajniku i wyjrzała przez okno w kuchni. Widać było z niego ulicę i niewielki park, który nazywali w rodzinie Irysek. Chodzili po nim Marek i Apis, nieduży kudłaty kundelek przygarnięty ze schroniska. Chłopak miał jedenaście lat, ale był bardzo wysoki jak na swój wiek.

*Po kim on tak wyrósł? – pomyślała Marta. Przecież ani ja, ani Mikołaj do wielkoludów nie należymy. Tak samo nasi rodzice.*

Chłopiec spacerował z pochyloną głową.

*Wygląda jak profesor na przechadzce, i jeszcze te za krótkie spodnie. Boże, ten chłopak rośnie jak na drożdżach. Lepiej go żywić, niż ubierać, ciągle wszystko jest za małe.*

– Na co patrzysz? – Z zadumy wyrwał ją głos Mikołaja.

– A taki jeden pan spaceruje po parku Irysek.

– Jaki pan? – zainteresował się żywo Mikołaj.

Marta wskazała na Marka.

– No proszę, nasz syn we własnej osobie. Niezłe ciacho, jak wy to mówicie.

– Tak, masz rację, niezłe ciacho, tylko trzeba mu kupić spodnie, bo trochę głupio wygląda.

– Wiesz, że teraz krucho u nas z forszą. Zresztą ja też chodziłem w ciuchach po starszym bracie i jakoś przeżyłem.

– Oj, Mikołaj, wtedy wszyscy chodzili w ciuchach po kimś. Tylko Jaruzelski miał nowy mundur, prosto od krawca. To były inne czasy, wystarczy, że chłopak nie ma komórki.

– To może zadzwonisz po wsparcie do swojej mamy. Święta idą i w ogóle.

– Daj spokój – zachnęła się. – To już lepiej niech chodzi w tych spodniach.

– To jeszcze się nie pogodziłyście? – zdziwił się Mikołaj. Sądził, że sprzeczka, o której słyszał jakiś czas temu, to tylko jedna z wielu małych prób sił na linii matka – dorosta córka.

– Nie, i pewnie nieprędka to nastąpi.

– Za trzy tygodnie wigilia, chyba nie ma sensu się kłócić o jakieś głupoty.

– Mikołaj, nie mów tak, nie lubię tego twojego relatywizmu, tej nieokreśloności. „W imię zasad”, jak powiedział w którymś filmie Linda. I to wyczerpuje temat.

– Tam jeszcze było chyba jedno słowo na końcu, w tym cytacie. „W imię zasad, skurwysynu” – poprawił ją Mikołaj.

– Mój drogi, proszę cię, żebyś nie kłął.

– Daj spokój, jedyna osoba, którą mogłoby to zdeprawować, spaceruje po parku w przykrótkich spodniach. A jak cytować, to dokładnie. Trochę szacunku do źródeł.

– Weź tu dyskutuj z nauczycielem polskiego – odparła.

– Chodzi mi tylko o to, że uważam, że jedna z was powinna wyluzować, bo to do niczego nie prowadzi.

– Zgadzam się z tobą, ale powiedz mi, dlaczego tą osobą zawsze muszę być ja? Uważam, że jestem naprawdę dobrą córką, a teraz mam tak zwany *hard time*, jest krucho z kasą i nie potrzeba mi ze strony rodzonej matki permanentnej krytyki w dawkach stężonych i śmiertelnych.

– Dobrze. – Mikołaj przytulił ją. – Nie chciałem wywołać burzy. Ze Stasiem damy sobie radę, sama zobaczysz, kiedyś będziemy się z tego śmiać. – Pocałował ją w czoło.

– Obyś miał rację – westchnęła.

– Zmieniając temat, czy mi się wydaje, czy robisz herbatę?

– Dobrze ci się wydaje.

– To zalej dla mnie dziką różę, bądź człowiekiem.

– Dobrze, a dokąd idziesz?

– Staś zasnął, sprawdzę sobie maile – odparł Mikołaj.

– A już myślałam, że będziesz pisał.

– Jakoś nie mam dzisiaj weny.

– Okay, sam mnie prosiłeś w ostatni weekend, żebym cię motywowała, więc to robię. I dam ci jedną radę, mój drogi, nie czekaj na wenę, bo może nigdy nie nadejść.

– To co mam niby robić? – Mikołaj zmarszczył z zaciekawieniem brwi; lwia zmarszczka nad nosem dodawała mu powagi, która nie współgrała z jego łagodnym usposobieniem.

– Po prostu zacznij pisać, to sama przyjdzie. Wena ma w sobie coś z kota, bywa przekorna.

– Zacznę jutro – odparł ze śmiechem.

– Pomyśl, co by było, gdyby Sienkiewicz tak mówił, albo Żeromski – powiedziała tajemniczo.

– Daj spokój, to były inne czasy.

– Uciekaj już, bo nie dostaniesz herbaty, wstrętny ty.

Mikołaj wyszedł z kuchni, a Marta wróciła do rozmyślań. *Może faktycznie Mikołaj ma rację, może to moja wina, zawsze wszystko wyolbrzymiam. Ale matka przesadziła w swoich pretensjach. Muszą być przecież jakieś granice. Ostatnio mówiła okropne rzeczy, słowa, które zostaną ze mną na długo*

**Ławka na osiedlu**

## *Polska, Warszawa*

Zoo i Misiek siedzieli na ławce pod krzakiem bzu. Była pierwsza w nocy. W wysokich wieżowcach na osiedlu Ruda paliły się światła. Budynki przypominały trochę wielkie statki kosmiczne, które wylądowały w dużej grupie. Klatki schodowe były podświetlone od góry do dołu, co potęgowało jeszcze to dziwne wrażenie. Delikatnie padał śnieg i chwycił lekki mróz, ale Zoo i Miśkowi nie przeszkadzało to ani trochę. Sączyli wódkę, zapijając ją piwem i sokiem porzeczkowym.

To była ich ławka. Dawno temu, kiedy byli nastolatkami, przenieśli ją w to miejsce i tak została. Teraz, nadgryziona zębem czasu, wyglądała trochę jak ławka z horroru, ale nie miało to znaczenia.

– Słuchaj, możesz mi wyjaśnić, po co kupiłeś ten wypasiony apartament w centrum, skoro tak często chcesz tu przyjeżdżać? – spytał Misiek.

– Nie wiem. – Zoo wzruszył ramionami. Był w nastroju do wspomnień. W końcu kiedy coś nie wychodzi, chcemy wrócić do tego, co już było, co dobrze znamy. Nagle okazuje się, że gdzieś tam w przeszłości byliśmy szczęśliwi, że wtedy były nasze najlepsze dni.

– Widzisz, zamiast kupować jeden apartament, mogłeś kupić całe piętro w swoim starym bloku. – Misiek wskazał na wysoki wieżowiec stojący naprzeciwko.

– Może masz rację. – Zoo pokiwał głową.

– Przemyśl to, zawsze możesz go sprzedać i wrócić tutaj, będziesz miał widok na naszą ławkę. I pomyśl o dzieciakach.

– Jakich znowu dzieciakach? Czy to jest już twój jedyny temat?

– Dzieciakach z osiedla – wyjaśnił Misiek. – Oszaleją, jak się dowiedzą, kto kupił całe piętro w bloku. Będą szeptać pod trzepakiem: „A wiesz, że ten sławny raper tu mieszka?”. „No co ty gadasz!”. „Mówię ci, widziałem go w zsypie, wyrzucał całe wiadro zużytych kondomów”.

– Bardzo śmieszne, ale to nierealne i dobrze o tym wiesz.

– A to niby dlaczego? – Dla Miśka wszystko zawsze było proste. Taki był już w szkole podstawowej.

– A powiedz, czy widziałeś ostatnio gdzieś jakieś dzieci na osiedlu?

Misiek pokręcił głową.



– No właśnie, wszędzie pustka. Stary, to już nie są czasy trzepaka, kapsli i band. To my się tak bawiliśmy, oni – Zoo wskazał na blok – siedzą w domach i zamiast wyjść na podwórko, wchodzą na Facebooka.

– To racja. – Misiek pokiwał głową z kwaśną miną. – A pamiętasz naszą bandę?

– No pewnie, Klaudyny zawsze miała na pieńku z Gwiazdzistą – przypomniał Zoo.

Na tym osiedlu, tak jak na każdym innym w Polsce, bandy tworzyły się w obrębie ulic, które zwalczały się nawzajem. Klaudyny i Gwiazdzista były zażartymi wrogami. No, chyba że we wszystko wmieszał się jeszcze Potok, czyli osiedle za trasą. Wtedy wspólny wróg wiązał mocniej niż cement.

– Zobacz, spadł śnieg. – Zoo wskazał ręką na ziemię. – Wszędzie biało jak na Syberii, niedługo święta, a czy widzisz jakiegoś gówniarza na sankach?

– No, czekaj. – Misiek rozejrzał się. – Faktycznie, jakoś nie widzę.

– Bo oni już nie mają sanek.

– Tak, teraz tylko fejs – zgodził się Misiek.

– Pamiętam taki czas przed świętami – rozmarzył się Zoo. – Miałem może dziewięć lat. Dom był cały wysprzątany, podłogi wypastowane, książki wypożyczone z biblioteki szkolnej, ferie świąteczne się już zaczęły, choinka prosto z lasu stała na balkonie gotowa do obsadzenia. Leżę już w łóżku i czytam książkę.

– To ty taki trochę intelektualista byłeś. – Misiek zaśmiał się.

– Oj, zamknij się. – Zoo machnął ręką. – Leżę i czytam *Dzieci z Bullerbyn* czy inne *Muminki*, a tu do pokoju jak bomba wpada siostra i mówi, że spadł śnieg. Chwilę później już byliśmy na sankach. To były czasy... Dlatego my jesteśmy, jacy jesteśmy, a oni są po prostu inni. Nawet jakbym kupił cały blok, wszyscy mieliby mnie tu centralnie w dupie, drogi kolego. To już nie jest nasze osiedle.

– Nie rozumiem. – Misiek zmarszczył czoło.

– To kiedyś było nasze osiedle, ale to było dawno temu – wyjaśnił Zoo. – Tu na tej ławce pisałem moje pierwsze teksty i paliłem pierwsze papierosy. A teraz? Ty mieszkasz gdzie indziej...

– A ty mieszkasz tam, gdzie mieszkasz – dodał Misiek.

– No właśnie, mieszkam tam, bo tego miejsca tutaj już nie ma. Nawet ciebie już nie ma, bo tak rzadko się widzujemy, że już rzadziej to chyba nie można.

– Przestań. Żona, dzieci w domu płaczą, a ty wyjeżdżasz z takimi tekstami. – Misiek wyciągnął nogi przed siebie i wyduł usta.

– Daj spokój, tak tylko powiedziałem – burknął Zoo. – Po prostu mam czasami wrażenie, że wszystko gdzieś jakby uleciało, że ten sukces coś mi odebrał, że to już nie jestem ja. Prawdziwy ja byłem na tej ławce, tu, bez kasy. Nawet jednego głupiego piwa nie mogłem sobie kupić.

– Nie wspominając o fajkach.

– Dokładnie, fajek też ciągle brakowało.

– Może coś w tym jest. – Misiek spojrzał gdzieś w dal. – Ale przestań już pieprzyć, bo się smętnie robi.

– No właśnie. – Zoo ożywił się. – Dlatego żeby podkreślić atmosferę, mam dla ciebie pewną propozycję.

– Co tam znowu wymyśliłeś?

– Może pójdziemy do kasyna sprawdzić nasze szczęście? Co ty na to?

– Znowu grasz? – zapytał posępnie Misiek.

– Nie, tak mnie tylko wzięło na te sentymentalne rozkminki.

– I postanowiłeś znowu wpaść w to bagno.

– Nie przesadzaj, jakie tam znowu bagno. Raz się wygrało, raz się przegrało. W sumie jakby to wszystko zliczyć do kupy, to pewnie wyszedłem na zero.

– Jak tak wyszedłeś na zero na tym hazardzie, to czemu ciągle chcesz grać? Kaśka mówiła, że za rzadko się odzywasz i pewnie znowu zacząłeś swoje harce. Ostrzegала mnie, żebym palca do tego nie przykładał. Więc wybac, stary, ale odpadam.

– Wiem, jak Kaśka coś powie, to dla ciebie prawda objawiona. Z weekendowej leśnej chatki zmieniasz się w Wilczy Szaniec.

– Możesz sobie gadać. – Misiek zaczął intensywnie obserwować czubki butów. – Ale i tak mnie nie przekonasz. Po prostu nie idę.

– Zawsze tak na koniec wszystko musisz, kurwa, zepsuć. Taki się zrobiłeś stetryczały zgred. Jednym słowem zero szaleństwa.

– Mam lepszy pomysł. Strzelmy jeszcze po piwie, a potem rozstaniemy się i każdy pójdzie leczyć kaca – zaproponował Misiek.

– Okay, jak chcesz – odparł ponuro Zoo. W głowie układał już swój własny plan wieczoru. Z kompanem czy bez niego musiał być zrealizowany.

– Kupiłeś merca? – zagadnął go przyjaciel. Najwyraźniej temat kasyna był dla niego skończony.

– Tak. – Zoo uśmiechnął się krzywo. – W zasadzie nie wiem po co. Kurzy się tylko w garażu, a ja jeżdżę Uberem.

– A kto bogatemu zabroni? – Misiek zaśmiał się.

Zoo nie odpowiedział, tylko wypił ostatni łyk wódki.

– To do twojej nowej fury. – Misiek podał mu mp3. – Postuchasz sobie czegoś fajnego.

– Dziękuję – mruknął Zoo. Był zły, chciał, żeby Misiek z nim poszedł do kasyna. Znowu odniósł wrażenie, że wszystko jest odmienione. Kumpel też był jakiś inny. Dawniej poszedłby i graliby całą noc. Teraz Misiek odpływał swoją łódką pełną dzieci i pieluch, z Kaśką u steru. Zoo natomiast płynął w przeciwną stronę, zupełnie sam, a szalone prądy niosły go w niebezpieczne rejony, gdzie wszystko mogło się zdarzyć.



## ROZDZIAŁ 4

*Lepiej nic nie wiedzieć, niżli wiele, a połowicznie! Lepiej być głupcem na własną rękę, niżli mędrce według cudzego mniemania.*

Friedrich Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*

### **Rozmowa dwóch przyjaciół**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Bob wrócił z wieczornego obchodu po oddziale, wesoło pogwizdując. W pokoju socjalnym dla pielęgniarzy za biurkiem siedział już Stary Tom, który przyszedł wcześniej na nocną zmianę.

– Witaj, przyjacielu. – Bob przywitał się wylewnie, robiąc misia i poklepując energicznie Starego Toma po plecach. Ostatnio nie za często się widywali, ich grafiki jakoś się nie zazębiały.

Tom pracował w szpitalu od niepamiętnych czasów, stąd wziął się jego przydomek. Nikt nie mówił o nim inaczej jak Stary Tom. Bob dobrze pamiętał, jak uczył się u niego podczas pierwszego dnia w pracy. Miał do tego wspomnienia duży sentyment. Trudne, niewdzięczne obowiązki zawsze zbliżają. Szczególnie zaś praca z wariatami.

– Wariat zawsze będzie wariatem i żadne leki na to nie pomogą – mawiał Stary Tom. Był mistrzem śmiesznych powiedzonek. – Każdy ma w sobie wariata, tylko czasem on po prostu śpi.

Jedna z sióstr prowadziła specjalny zeszyt, gdzie zapisywała mądrości Starego Toma. Było ich naprawdę dużo. W chwilach nudy czasami sięgano po ten notes, zawsze było wtedy dużo śmiechu. Cechą charakterystyczną Starego Toma był cynizm. Wszyscy myśleli, że to tylko żarty. Najzabawniejsze było jednak to, że Stary Tom wcale nie żartował.

Bob już zakończył swoją zmianę i miał wychodzić, ale postanowił jeszcze zostać i porozmawiać ze starym przyjacielem. Trochę żartów, potem rozmowa

o rodzinie, a na koniec jak zwykle plotki i nowości z pracy. Zawsze był jakiś temat. A to ktoś dostał szału, ktoś inny nie chciał przyjąć leków. Jednym słowem ciekawa praca z wariatami.

– Wiesz, że wypuszczają Chucky? – zapytał powoli Bob, robiąc tajemniczą minę.

– No proszę, Laleczka Chucky wyfruwa na wolność. – Stary Tom pokręcił głową z niedowierzaniem. Zawsze nadawali ksywy pacjentom, ta dotyczyła Jasmine. – Myślałem, że trochę dłużej u nas zabawi. To kiedy wychodzi? Jak przed świętami, to może zdąży kogoś pociachać w ramach prezentu na Boże Narodzenie.

W odpowiedzi Bob roześmiał się szeroko, ukazując garnitur białych zębów, które mocno kontrastowały z jego ciemną karnacją. Stary Tom odkręcił termos z kawą.

– Chcesz trochę?

– A wlej. – Bob podsunął duży kubek, w którym bez problemu mieścił się litr napoju.

Stary Tom parsknął, widząc naczynie rozmiarów wiaderka na lód.

– Skąd masz to maleństwo?

– Dostałem od młodszej córki na nocne zmiany.

– Od Lucy?

– Dokładnie – wyszczerzył się Bob. – Od mojej księżniczki.

– Ty naprawdę uwielbiasz tę małą, co?

– Tak, ona jest moim aniołem. Starsza córka ciągle się tylko wyklóca. Odkąd skończyła trzynaście lat, jest nie do zniesienia. A jak tylko zwróci jej się uwagę, to od razu płacze. Istny cyrk! – Bob zmarszczył brwi. – Mam nadzieję, że z małą Lucy nigdy tak nie będzie. – Spojrzał z czułością na kubek. Kochał Lucy i wszystko, co się z nią wiązało.

*Olbrzym o dobrym sercu* – pomyślał Stary Tom. *Mam nadzieję, że będzie tak, jak mówi, i los nie spleta mu żadnego wrednego figla.*

Naprawdę lubił Boba, który mimo atletycznej budowy miał w sobie niezmiernie pokłady tkliwości i dobra. Nawet gdy pacyfikował pacjenta w histerii, to robił to bez zbędnej przemocy.

– To są tylko chore dzieci – mawiał Bob. Nie było w nim wrogości. Olbrzym, który nie skrzywdziłby muchy. Kiedy na wiosnę przez uchylone okno

pokoju socjalnego wpadały zabłąkane motyle, Bob zawsze z wielką delikatnością łapał je za skrzydełka i wypuszczał na wolność.

Stary Tom zamyślił się głęboko. Z nim było inaczej, miał swoje ciemne sprawy, które skrzętnie skrywał przed światem. Na szczęście nikt o niczym nie wiedział. Nawet żona, a wiadomo, że żony zawsze wszystko wiedzą. Właściwie to powinno się o nim mówić Mroczny Sprytny Tom.

Gdy trzy lata temu zdarzył się wypadek i pęknięty nóż z kosiarki do trawy poharatał mu nogę, Stary Tom natychmiast wszystko zmienił w niezwykłą opowieść. Tragiczny wypadek na motorze, atak węża morskiego – historie układały się same w zależności od audytorium. Nigdy jednak nie pojawiała się w nich poczciwa stara kosiarka. Jakoś nie pasowała do jego zmyślonych dramatycznych historii.

Stary Tom tak bardzo lubił Boba chyba za cechy, których sam nie posiadał.

– To w końcu kiedy ta mała wychodzi? – zapytał.

– Kilka dni temu wpłynęły papiery. Mają ją wypuścić po świętach, a właściwie to przenieść na oddział otwarty – wyjaśnił Bob.

– A kto przyniósł papiery?

– No jak to kto? Seksowna pani prawnik.

– Obrończyni świrów – skwitował kwaśno Stary Tom.

– Słuchaj – zagadnął Bob – a ty uważasz, że Chucky naprawdę wszystkich zabiła?

– Oczywiście, że tak. – Stary Tom zrobił poważną minę. – Wiesz przecież, że mam swoje dojścia.

Bob pokiwał głową, dobrze wiedział, że szwagier Starego Toma jest zastępcą szeryfa.

– Pamiętaj, że żaden z tych dzieciaków nie siedzi tu za niewinność, to jest w końcu oddział zamknięty szpitala psychiatrycznego. Wszyscy tu mają coś za uszami.

– Wytłumacz mi tylko, dlaczego nie wsadzili jej do więzienia? – dopytywał Bob. Nie był obeznany w sądowych procedurach.

– Takie mamy właśnie prawo w naszym kraju. – Stary Tom rozłożył ręce. – Niepełnoletni mordercy są jak święte krowy. Nie można ich wsadzać do więzień, bo to ich niby zdemoralizuje.

– Tak, to jest naprawdę chore. – Bob zadumał się. – Ja jednak nie wierzę, że Chucky to zrobiła. – Pokręcił głową. – Słyszałem, że podobno tam ktoś

włamał się do domu. Ona wydaje mi się jakaś za delikatna na to wszystko.

– Słuchaj, Bob, ja wiem, że ona wygląda jak niewiniątko, ale nie daj się zwieść. Ja psychopatę rozpoznam od razu, oni zawsze mają coś takiego w oczach. Napatrzyłem się na to tu, w szpitalu. Oczy Chucky są wystarczająco szalone, żebym miał pewność, że to zrobiła. Powiem ci tylko: lepiej na nią uważaj. – Stary Tom pogroził palcem. Nagle wstał i otworzył drzwi. Wyjrzał na korytarz, ale ten był pusty i ponury. Jarzeniówki mrugały niespokojnie.

– Co robisz? – zdziwił się Bob.

Tymczasem Stary Tom zamknął drzwi i usiadł z powrotem na krześle.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem. Miałem wrażenie, że Chucky się tu kręci. Zawsze chodzi w samych skarpetkach i skrada się jak duch. Mam nadzieję, że niczym jej nie podpadłeś.

– A czym mógłbym podpaść? – Bob wzruszył ramionami.

– Lepiej sobie przypomnij – powiedział kpiąco Stary Tom. – Może przez przypadek za mocno zawiązałeś jej kaftan albo coś innego i jesteś na czarnej liście. Przyznaj się, były jakieś macanki?

– Jakże znowu macanki? Ja nie robię takich rzeczy – obruszył się Bob. – To są dzieci, chore, bo chore, ale dzieci.

– Daj spokój, tylko żartuję. Ale sam przyznaj, że ta mała jest naprawdę niczego sobie. Mam taką teorię, że te najlepsze laski są zawsze ostro porąbane.

– Może coś w tym jest. – Bob zamyślił się. – A ty dobierałeś się do niej, stary cwaniaku?

– Ja jestem święty. – Tom roześmiał się, oblizał grube wargi i błysnął z ukosa małymi oczkami. Było w nim coś obleśnego. Gdyby prostolinijny Bob znał całą prawdę, nie lubiłby aż tak bardzo Starego Toma, to pewne.

## **Wynurzenia Starego Toma**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

– Chcę ci tylko powiedzieć, że jak coś kombinowałeś z Chucky, to lepiej uważaj. – Bob zrobił tajemniczą minę.

– A to niby dlaczego? – Stary Tom zmarszczył brwi.

– Masz dzisiaj nocny dyżur. Złe rzeczy dzieją się zawsze po zmroku, a dodatkowo wysiadł monitoring.



– Jak to wysiadł?

– Po prostu się zepsuł. W całym szpitalu kamery nie działają. Ale cicho sza, prawie nikt o tym nie wie, żeby ktoś przez przypadek nie rozgadał. – Bob położył palec na mięsistych ustach.

– I kiedy zamierzają to naprawić?

– Nie wiadomo. – Bob wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko. Wreszcie udało mu się napędzić stracha Staremu Tomowi. – Dzisiaj od rana latały chude palanty w okularkach i sprawdzały wszystkie kamery. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie mogą zrobić tego raz a dobrze. To już się psuło dwa razy.

– Trzy – poprawił go Stary Tom. – A zresztą nieważne, kiedyś nie było w ogóle kamer i jakoś ludzie żyli. Ale przyznaj się, żartujesz z tym monitoringiem? Chcesz mnie pewnie nastraszyć.

– Nie żartuję, ale to żaden problem, jutro pewnie naprawią. Jak się już tak straszymy, to opowiedz, co się tam dokładnie stało wtedy, jak ona wszystkich pokroiła nożem.

– Mogę ci powiedzieć. – Stary Tom poprawił się na krześle i zrobił poważną minę. – Wiesz, że mam informacje z pierwszej ręki. Szwagier przyjechał kiedyś w odwiedziny. Akurat robiłem grilla, podałem mu piwo, a on ledwo wypił pierwszy łyk i zaczął opowiadać historię Chucky. Ktoś z ich komendy pomagał przy sprawie. Powiedział mi wtedy, że ona pewnościami trafi tutaj, do nas. Sądy nie wysyłają nieletnich do więzień, tylko zawsze do wariatkowa. A wiadomo, że nasz szpital jako jedyny w całej prowincji ma oddział zamknięty dla dzieci. Szwagier ostrzegł mnie, żebym uważał na tę małą. Pierwszy raz widział coś takiego. Ciała zabitych rodziców miały po trzydzieści ran kłutych. I to wszystko zrobiła trzynastoletnia dziewczynka!

– To naprawdę przerażające. Dokładnie tyle samo lat ma moja starsza córka – zauważył Bob.

– Ale nie przejmuj się. – Stary Tom machnął ręką. – Tobie to nie grozi, twoje dzieci są normalne. Teraz rozumiesz, dlaczego Chucky jest taka groźna. Niby miła i spokojna, ale ma ukrytą, inną twarz. Mroczne oblicze diabła.

– Myślisz, że jest opętana? – zapytał wyraźnie poruszony Bob. Był bardzo religijny, na piersi ciągle nosił krzyżyk, który dostał od babki. Przed wejściem pod prysznic zawsze go całował i z wielką czcią odkładał potężną dłońią na szafkę.

– Naturalnie – odparł Stary Tom. – Myślę, że Chucky jest szalona i mieszka w niej co najmniej pięć wrednych diabłów.

Bob odruchowo przeżegnał się, a Stary Tom ciągnął dalej, napawając się nastrojem, jaki wywoływały jego słowa. Lubił być ważny i dzwonić kluczami na oddziale. Jego wzrok zdawał się wtedy mówić: „Mógłbym wszystkich stąd wypuścić, ale dzisiaj jakoś nie mam nastroju”.

– Tak samo było z Tedem Bundym, najstłynniejszym seryjnym zabójcą – ciągnął Stary Tom. – Podobno jakieś głosy namawiały go do zbrodni i zmieniał mu się wtedy kolor oczu. Największy sukces diabła polega na tym, że wmówił ludziom, że go po prostu nie ma. Szatan istnieje po to, by kusić, więc robi to, i nigdy nie śpi.

– Masz rację. – Bob pokiwał głową.

– Wiesz, że opętani ludzie mają nadnaturalną siłę. Widziałem kiedyś, jak jedna dziewczyna rzuciła pięcioma facetami o ścianę jak szmacianymi pacynkami.

– Słyszałem o tym – odparł Bob.

– Właśnie takie rzeczy się dzieją na egzorcyzmach. Pełno jest tego w Internecie, ale nie o tym chciałem mówić – powiedział Stary Tom, a Bob z oczami powiększonymi z przerażenia znowu przeżegnał się pospiesznie.

– Pytałeś mnie o sprawę Chucky i powiem ci, że nie mogłeś wybrać lepszej osoby. Wszystko wydarzyło się pięć lat temu w pewną listopadową noc. Gdy przyjechała policja, Chucky w ręku ścisnęła nóż. Mówiła, że ktoś był w domu i uciekł, gdy zeszła z góry. Kim był ten człowiek, tego nigdy nie ustalono. Sąsiadka zeznała, że przez okno w salonie dojrzała naszą laleczkę stojącą nad ciałami rodziców z nożem w ręku, ale nie widziała samego zabójstwa. Powiem ci tylko w sekrecie – Tom zniżył głos, a Bob nachylił się w jego stronę – że z akt policji wynika, że ktoś obcy istotnie był w domu tego wieczoru. Znalezione ślady, nawet pies policyjny złapał trop, ale zgubił go dwie przecznice dalej. Ktoś musiał wsiąść do samochodu i odjechać.

– Widzisz, więc całkiem możliwe, że ona mówi prawdę i jest niewinna – zapalił się Bob.

Stary Tom pokręcił przecząco głową.

– To nie takie proste. Pamiętam, jak Chucky trafiła tutaj. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, mógłbym przysiąc, że ma co najmniej dwadzieścia lat. Była za bardzo rozwinięta jak na swój wiek. Przyznam się, że z początku myślałem,

że to jakaś pomyłka. Sądziłem, że może policja zgarnęła jakąś bogu ducha winną studentkę. Przysięgam, naprawdę nigdy czegoś takiego nie widziałem. Trzynastolatka prawie równa ze mną wzrostem, a do ułomków nie należę.

Bob w odpowiedzi pokiwał głową.

– No i te cycki. – Stary Tom zarysował w powietrzu kształt dużych piersi. – Lekarz, który przyjmował ją na oddział, trzy razy pytał policję, czy to właściwa osoba. Mówię ci, istny cyrk. Cały personel się zbiegł. Ale wszystko się zgadzało. Koniec końców Chucky wylądowała w akwarium na obserwacji jak każdy groźny świr, którego przyjmujemy. Przez kilka dni była tematem numer jeden. Chodziły słuchy, że rodzice zabraniali jej spotykać się z jakimś o wiele starszym chłopakiem i po prostu postanowiła się ich pozbyć. Sąsiadka zeznała, że często kręcili się tam jacyś chłopcy. Zresztą nie dziwię się, dla takich cycków też bym przyjeżdżał.

– Takie mamy czasy – odparł Bob. – Telewizja, Internet... Ten cały syf robi swoje, nieźle miesza dzieciakom w głowach. Niektórzy nie potrafią się od tego odciąć. Nurtuje mnie tylko, dlaczego to zrobiła. Jej rodzice nie byli chyba żadnymi potworami?

– Oczywiście, że nie. To byli zwykli, mili ludzie. Czasami zastanawiasz się, dlaczego ludzie robią różne szalone rzeczy. Do głowy przychodzą ci niestworzone historie, a prawda czasami jest prozaiczna. – Stary Tom skrzyżował ręce na piersiach. – Może zrobiła to, bo po prostu chciała zobaczyć, czy ujdzie jej to na sucho. To też dobry powód.

– Dobry powód, by wymordować całą rodzinę? – zdziwił się Bob.

– Przecież mówię ci, że to psychołka. Tacy ludzie nie mają uczuć, kierują się czystym egoizmem. Powiem ci, że widzę dwie opcje. Albo namówiła jednego ze swoich chłopaków do zabicia, stała i patrzyła, albo sama chwyciła za nóż, a chłopak tylko przyjechał, by ją zabrać. Gdy nadjechała policja, przestraszył się i uciekł. W każdym razie ktoś tam z nią był, to pewne. Ale ona na procesie była sprytna. Grała biedną sierotkę. Kurczowo trzymała się swojej wersji, że usłyszała kogoś i zeszła na dół, a tam wszyscy już nie żyli. Przestraszyła się, że zabójca jest w domu, i podniosła nóż, by się bronić. Ciągłe powtarzała to samo i jej metoda okazała się skuteczna. Ława przysięgłych dała wiarę tym bajeczkom. Zasądono jej tylko pięć lat zamkniętego szpitala psychiatrycznego, by uleczyła swoją traumę. Takie mamy sądy. Dawniej sąsiedzi z zapalonymi pochodniami powiesiliby ją na drzewie. Prawo było ostre

i świry się bały, a teraz szaleją. Pamiętaj, co ci powiem: świr musi czuć nad sobą bat, inaczej wariuje. To moja autorska teoria. – Stary Tom popukał się z dumą w pierś.

– Całkiem niezła. – Bob pokiwał głową.

## **Król Nocy**

*Polska, Warszawa*

Taksówka podjechała pod hotel Marriott. Portier otworzył drzwi i Zoo wszedł po czerwonym dywanie do wielkiego holu. Minął recepcję i skierował się od razu na prawo w stronę bocznych schodów. Tam na pierwszym piętrze znajdowało się kasyno, do którego zmierzał.

Tuż obok wejścia mieściła się rejestracja. Trójka Hiszpanów również przyszła spróbować swego szczęścia. Śmiali się, jeden długo szukał paszportu. Zoo zły przestępował z nogi na nogę, sapał. Wejścia do dużej sali chronił niczym cerber potężny ochroniarz. Ale widać już było stąd stoły do ruletki i wiszące nad nimi mosiężne lampy dające to specyficzne światło charakterystyczne dla wszystkich kasyn. Żadnych okien, wszędzie mrok i tylko punktowo oświetlone stoły niczym samotne wyspy. W końcu Hiszpanie przeszli wszystkie procedury i recepcjonistka z szerokim uśmiechem zaprosiła do kontuaru Zoo. Znała go doskonale, bo był stałym bywalcem, ale procedury musiały być zachowane. Podał dowód i nawet trochę żartował, a kobieta uśmiechała się krwiście pomalowanymi ustami. W komputerze odznaczyła stałego gracza. Ta informacja natychmiast została przekazana do centrali, która powiadomiła wszystkich inspektorów w kasynie, że oto przybył Król Nocy.

Stałym graczom zawsze nadawano pseudonimy. Każdy z nich miał swój profil i krótką charakterystykę. Na przykład pan Mietek, który od ponad dwudziestu lat przychodził nieodmiennie w tej samej jeansowej koszuli, miał pseudonim „Pan Mietek”. Moda się zmieniała, a Pan Mietek trwał na przekór wszelkim trendom niczym skała. Zawsze był ubrany w ten sam sposób.

Pracownicy żartowali, że to ubranie to jego kasynowy uniform. Już z daleka można było poznać Pana Mietka po jego błękitnej jeansowej koszuli z kieszeniami na piersiach. Pan Mietek był dusigroszem, odmawiał sobie wszystkiego, nie dojadał, nie dopijał, byle tylko w każdy weekend pojawić się w kasynie hotelu Marriott. Nie zawsze jednak tak bywało, podobno kiedyś Pan Mietek przyjaźnił się z Pershingiem, bossem mafii z Pruszkowa. Podobno złote

okulary, które stale nosił, dostał właśnie w prezencie od niego. No, ale cóż, wszystko się zmienia, wszystko płynie. Pershinga dawno temu zastrzelono w Zakopanem, a Pan Mietek pozostał ze swoimi złotymi okularami. Odtąd grał spokojnie na małe stawki, ale gdy wygrywał większą sumę, stawał się nerwowy. Może jako stary hazardzista wiedział, że trzeba już wyjść, ale nie chciał i summa summarum kończył ze smętną miną i jednym żetonem obracany w niespokojnych palcach.

Stawał się wtedy naprawdę nieprzyjemny. Rzucił przekleństwami na wszystkie strony. Obsługa miała zalecenie, by uważać na Pana Mietka, który był przewrotny niczym wąż. Uprzejmy i czarujący, w jednej chwili potrafił zmienić się w bestię, gdy obstawienia poszły nie po jego myśli i kulka wskoczyła w nie tę przegródkę, co trzeba. Alkoholu też nie podawano mu za dużo.

Zupełnie inaczej było z Królem Nocy. W jego wypadku alkohol musiał lać się strumieniami. Odpowiednio podlany Król Nocy płynął na fali, wygrywał spektakularnie i dużo, ale jeszcze więcej przegrywał. W zasadzie przynosił pieniądze, więc cieszył się wielkim szacunkiem wśród pracowników. Nigdy się nie kłócił. Gdy przegrywał, stawał się tylko bardziej posępny. Wtedy darmowy drink rozładowywał sytuację, a Król Nocy wypłacał z bankomatu kolejne pliki banknotów. Część obsługi wiedziała, że kiedyś tam nagrał jakiś hit, że był piosenkarzem i że ma swój pseudonim artystyczny. Kasyna żyją jednak własnym życiem i w hotelu Marriott Zoo dla obsługi był po prostu Królem Nocy.

Zoo minął bar, gdzie siedziało kilka dyżurnych prostytutek i dwóch smutnych panów rodem z amerykańskiego filmu gangsterskiego. Pokiereszowane ryje wciśnięte w drogie garnitury. To była tak zwana lichwa. Poważni panowie nigdy nie grali, ale zawsze okupowali bar. Wszyscy wiedzieli, kim są i czym się zajmują, ale kasyno nigdy nie wtrącało się w ich mętne interesy. Ważne, by gra mogła się toczyć bez żadnych problemów, a oni to zapewniali.

Starzy hazardziści często prosili o pomoc smutnych panów, a oni zawsze skutecznie załatwiali każdą ilość gotówki. Zoo oczywiście nigdy nie korzystał z tych usług, ale dobrze wiedział, co tu się działo. W kasynie lubił zatapiać się w grze. Nie rozmawiał z nikim, takie miejsca zawsze przyciągają ćmy barowe. Zresztą starzy bywalcy też za bardzo nie rozmawiają, każdy udaje, że jest tam pierwszy raz.

Kiedyś Zoo odwiedzał kasyno z ustalonym z góry limitem na grę. Zazwyczaj było to czterysta złotych. Piątek był dla niego zawsze dniem imprezy. Lubił wpaść do kasyna, wypić kilka darmowych drinków, a potem ruszyć dalej w miasto. Kasyno było tylko krótkim przerywnikiem. Ale to się szybko zmieniło. Teraz przeznaczzał na grę duże kwoty, a imprezy zeszły na dalszy plan. Kasyno niepostrzeżenie stało się miejscem docelowym, głównym portem, do którego zmierzał.

Zabierał co prawda tylko jedną kartę, na którą przelewał sporą sumę z zamiarem niewykorzystania całości. Od dłuższego czasu jednak po powrocie do domu karta była wyczyszczona do zera. To, co było kiedyś, wydawało mu się pięknym snem. Dawniej, kiedy przegrał te swoje czterysta złotych, po prostu wstawał i wychodził. Teraz już nie chciał wychodzić, chciał grać dalej, rozpuścić się w tym wszystkim.

Minął strefę z automatami i podszedł do swojego ulubionego stołu, który znajdował się najbliżej wejścia. Grało już trochę osób, co zapowiadało dobrą zabawę. Zoo nigdy nie lubił grać w ruletkę sam przeciwko krupierowi, to zawsze pachniało porażką. W grupie kilku graczy zawsze panował duch zabawy. Stół zapełniony stosami żetonów, kulka skacząca po przegródkach koła, ktoś się śmiał, ktoś był ponury, coś się działo.

Już czuł podniecenie na myśl, że oto zaraz zatraci się w grze. U przechodzącej kelnerki zamówił piwo. Wyciągnął plik banknotów i usiadł na wysokim krześle pośrodku stołu.

### **Tajemniczy plan Starego Toma**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

– W każdym razie Chucky jest chora i nigdy nie powinna stąd wyjść – stwierdził Stary Tom z miną znawcy. – Ale sam wiesz, jak jest – westchnął. – Nasz poczciwy Chomik jest za miękki i te młode świry robią z nim, co chcą. A mógłby przedłużyć jej zwolnienie. W zasadzie laleczka całe życie mogłaby tu siedzieć i żaden sąd by nie pomógł. Myślę, że ty i ja bylibyśmy lepszymi lekarzami od Chomika.

Bob zaniósł się głośnym śmiechem.

– Masz rację, ten facet o niczym nie ma pojęcia.

– Niby jest lekarzem, ale sam jest niezłym świrem – dodał z powagą Stary Tom. – Pracuję tu długo i wiem, co mówię.

– Chodzą słuchy, że mają go wywalić.

– Dobrze by się stało. Przydałby się tu ktoś bardziej stanowczy, kto by niektórym przykręcił śrubę, na przykład temu Skinheadowi.

– No, jemu by się ewidentnie przydało, ciągle tylko pyskuje – stwierdził Bob.

– On mnie najbardziej martwi. – Stary Tom pokiwał głową. – To jakiś mutant, jest wielki jak dom, a jeszcze nie skończył osiemnastu lat. Czasami myślę, że jak mu do końca odwali, to łby nam tu wszystkim poukręca, śpiewając *Deutschland, Deutschland über alles*, i nikt nie zdoła go powstrzymać.

– Nie wiem, skąd się biorą tacy ludzie. – Bob skrzywił się. – Ten chłopak jest wielką, chodzącą swastyką. Czy on naprawdę nie wie, co się działo w czasie wojny?

– Daj spokój. – Stary Tom machnął ręką. – To skończony wariat, jemu się wydaje, że jest jakimś ważnym niemieckim dowódcą – zachichotał.

– Nie ma co, naprawdę mamy ciekawą pracę. – Bob splótł ręce za głowę i wyciągnął przed siebie wygodnie nogi.

– No, ale wracając do Chucky, to nieźle się urządziła.

– Co masz na myśli? – Bob zmarszczył brwi.

– Zobacz, starych usunęła, mieszka tutaj wygodnie na koszt podatników, ma wyżywienie, uczy się, nie musi pracować.

Bob w odpowiedzi znowu pokiwał głową.

– Czasami myślę, że tak naprawdę bardziej opłaca się być mordercą, a nie uczciwym człowiekiem – ciągnął dalej Stary Tom. – Uczciwego człowieka czeka w życiu tylko wysiłek.

– Masz rację.

– Ale to nie koniec. – Stary Tom zrobił tajemniczą minę. – Musisz wiedzieć, że za chwilę nasza Chucky weźmie udział w programie stypendialnym. Zostanie wysłana na studia i my wszyscy za to zapłacimy. Taki prezent. Ale gdybyś ty chciał studiować, to już nie. – Pomachał palcem. – Ty musisz zapłacić. Więc widzisz, może jest tak, że ona sobie to wszystko wykalkulowała? Starzy ją wkurzali, więc postanowiła ich posłać do piachu. Była wystarczająco wyrośnięta, by zrobić to sama. W sumie jak się głębiej nad tym zastanowić, to źle się jej nie dzieje.

Bob pokiwał głową i zasepił się. Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Nie za bardzo lubił takie poważne tematy. Jego świat był prosty, nie lubił doszukiwać się ukrytych znaczeń. Wariaci byli raczej śmieszni niż przebiegli. Z opowieści Starego Toma rysowała się inna, zupełnie nowa rzeczywistość, zahaczająca o wizję spisku świrów. To ewidentnie burzyło porządek świata Boba. Stary Tom dosłownie buldożerem rozwał wszystko na miazgę.

– Zresztą ona potrafi świetnie wpływać na ludzi. Zobacz, co zrobiła z tą swoją adwokatką. Ta babka czasem patrzy na mnie takim lodowatym wzrokiem, zupełnie jakbym tutaj anioła więził. – Stary Tom wykrzywił usta.

– Racja – przytaknął Bob – ona czasem bywa taka oschła. W sumie nie wiadomo, co ta mała na nas gada, gdy są same w tym pokoju zwierzeń.

– Ta prawniczka niby mądra, a nie wie, że Chucky ma dwa oblicza, jak księżyc. Jedna strona jest zawsze ukryta. Ten, kto ją pozna, ginie. Zresztą ile mamy z Chucky problemów na oddziale... Stale dokucza innym dziewczynom. I z kim się przyjaźni? Z Festerem, małym mordercą, i tym wielkim Skinheadem.

– Masz rację, jednak swój do swego ciągnie – zauważył Bob.

– W rzeczy samej. Gdyby była niewinna, siedziałaby tu cichutko jak mysz pod miotłą. Ale ona nie boi się niczego. Pani mecenas ją uwielbia, a Chomik na wszystko przymyka oko.

Bob pokiwał głową. Stary Tom miał rację. Spora część dzieciaków na oddziale była zupełnie niegroźna. Jakieś nieudane próby samobójcze, zażywanie narkotyków, anoreksja, bulimia, depresja. Było tu jednak parę osób szczególnie niebezpiecznych. Do tej grupy w pierwszej kolejności personel zaliczał Jasmine. Niestety lekarz prowadzący Philip Qusack z zupełnie niewyjaśnionych względów nie podzielał tych obaw.

– Jeżeli to by ode mnie zależało – powiedział Stary Tom – to zamknąłbym Chucky w izolatce i wyrzucił klucz. Taki powinien być jej los. Tylko szkoda jednego...

– Niby czego? – Bob zmarszczył brwi.

– Pary takich cycków! – Stary Tom zarechotał.

Bob też się zaśmiał, ale bardziej dla towarzystwa. Nie lubił takich żartów. Przeciągnął się na krześle

– Jeżeli to prawda, co mówisz, i naprawdę zabiła rodziców, to ja bym jej postął kulkę w łeb, i nieważne, jakie ma cycki.



– Ciszej – syknął Stary Tom. – Przecież ona może gdzieś tu krążyć, jeszcze nie ma ciszy nocnej.

– Przestań, robisz się przewrażliwiony. A nawet jak się gdzieś kręci i to słyszy, to niech wie, jakie mamy o niej zdanie. Chyba się nie boisz tej gówniary?

– Ja się nie boję, za rok idę na emeryturę. Martwię się o ciebie. Ty jesteś w końcu młodszy i zostajesz. – Stary Tom znowu zachichotał.

Bob westchnął, nawet nie liczył lat do emerytury, to była odległa przyszłość.

– No, muszę iść na obchód. – Stary Tom wstał, wziął latarkę i klucze. – W końcu przyszedłem tu pracować – wyszczerzył się. Nagle przystanął. – Powiem ci tylko w sekrecie, że mam dowody na to, że Chucky jednak to zrobiła.

– No to usiądź jeszcze na chwilę i mów! – Bob ożywił się.

– To dłuższa historia, ale obiecuję, że dowiesz się wszystkiego w przyszłym tygodniu.

– Powiedz chociaż cokolwiek – prosił Bob.

– To będzie naprawdę bomba. – Stary Tom spoważniał. – Wpadłem na ślad osoby, która była z Chucky w noc morderstwa.

– To dlaczego jeszcze nie powiedziałaś o tym policji?

– Właśnie zamierzam. – Stary Tom uśmiechnął się tajemniczo. – Może to przedłuży pobyt Chucky na naszym oddziale. Może uda mi się to załatwić. Taki prezent na nadchodzące święta. Muszę to zrobić, skoro wszyscy nawalili. Tylko pamiętaj, cicho sza, nikt nie może wiedzieć. – Położył palec na ustach. – Muszę tylko ustalić jedną bardzo ważną rzecz. Inaczej cały plan weźmie w łeb.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytał Bob.

– Nie, po prostu zapomnij o wszystkim. W przyszłym tygodniu wszystkiego się dowiesz.

– Dobrze, będę milczał jak grób – zapewnił Bob. – Ważne, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Przyjacielu, wierz mi, że tak się stanie. Pokrzyżujemy plany Chucky, nie ucieknie nam tak szybko – zawyrokował Stary Tom. – Pędź do domu, a ja idę na obchód.

Niedługo potem Bob opuścił szpital. Idąc do wozu, wesoło pogwizdywał. Zapowiadał się naprawdę ciekawy tydzień.



## ROZDZIAŁ 5

*Często się zdarza, że gracz traci nie tylko to, co ma, ale i to, czego nie posiada.*

*Aleksander Dumas, Hrabia Monte Christo*

### **Kasyno**

*Polska, Warszawa*

– Jaki kolor żetonów? – Krupier z haczykowatym nosem spojrzął pytająco na Zoo.

– Jakikolwiek. – Zoo machnął ręką.

– Proszę położyć pieniądze na stole – poinstruował go krupier, ale zupełnie niepotrzebnie, Zoo dobrze znał te rytuały. Położył dwa tysiące. Krupier rozłożył banknoty niczym karty, potem podsunął kilka kolumn pomarańczowych żetonów.

– Nie wiem, czy z tym kolorem coś pan wygra, ale zobaczymy. – Uśmiechnął się demonicznie. Zoo odczytał te słowa jak wyzwanie. Przygarnął do siebie żetony, a kelnerka przyniosła mu zamówione piwo. W tym czasie krupier puścił kulkę w ruch. Zoo patrzył na coraz wolniej wirujące koło i starał się odgadnąć, co wypadnie. Jego uwagę przykuły numery dwadzieścia dziewięć, trzynaście i czerwona jedyńska.

W tym czasie do stołu podszedł stary, wysuszony Chińczyk z długimi, żółtymi paznokciami. Azjatów zawsze było tu pełno. Pracownicy nie nadają im specjalnych pseudonimów. Mówi się o nich po prostu „żółtki”, zresztą i tak nikt ich nie rozróżnia, są traktowani jak jedna osoba. Nie sprawiają żadnych problemów, są spokojni i grają na wysokie stawki. Kasyno uwielbia takich gości.

Chińczyk szybko postawił na zero. Kulka zwolniła, robiąc ostatnie okrążenie. Zoo poczuł impuls i również szybko obstawił trzy żetony na zero i tyle samo na numery czerwone sąsiadujące ze sobą: dwadzieścia siedem i trzydzieści; trzy żetony na styku dwóch liczb. Postawił jeszcze dwieście

złotych na pierwszy tuzin. *Chyba będą czarne* – przemknęło mu nagle przez myśl. Przymknął oczy. *Nie, czarnych na pewno nie będzie* – zawyrokował.

– Koniec zakładów – ogłosił krupier, powstrzymując tym samym zasuszonego Chińczyka przed dalszym obstawianiem.

Kulka jeszcze chwilę skakała po przegródkach koła, aż na końcu wylądowała w przegródce z numerem dwadzieścia dwa, kolor czarny. W tym momencie Zoo uświadomił sobie, że nie wiedział dokładnie, jaki ma wypaść numer, ale czuł wyraźnie, że wypadną czarne numery.

Na kole ruletki europejskiej znajduje się trzydzieści osiem liczb i jedno zielone zero. Połowa liczb jest w kolorze czerwonym, druga w czarnym. Zoo był wściekły na siebie, że nie obstawił na kolor. To przecież najprostszy sposób zgarnięcia wygranej. Stawiając sto złotych, można w prosty sposób wygrać kolejne sto. Ma się pięćdziesiąt procent szans na wygraną. No chyba, że wypadnie zero. Kasyno ma swoje sztuczki, by zawsze wyjść na swoje.

Krupier spojrzął z ukosa i uśmiechnął się jak złośliwy chochlik. Z tym swoim haczykowatym nosem faktycznie przypominał małego diabełka, który zjawił się tylko po to, by ostro namieszać. *Trzeba obstawiać, kiedy ma się wyraźne przeczucie* – pomyślał Zoo.

– Może coś panu podać? – zapytała kelnerka. Król Nocy ewidentnie wymagał rozkręcenia.

– Poproszę Jacka Daniel'sa z lodem i colę osobno.

– Nowe zakłady – ogłosił krupier. Puścił powoli kulkę.

Tym razem Zoo obstawił zero, czarną dwójkę i czarną osiemnastkę. Co do tych numerów miał przeczucie. Postawił coś jeszcze bez namysłu. Pozwolił, by ręka sama niosła żetony. Przez kołcem zakładów zarzucił nimi prawie cały stół. Tymczasem wypadł ponownie numer dwadzieścia dwa, którego nie obstawił. *Przecież zawsze jak krupier rzuca słabo, zazwyczaj jest powtórka* – ganił się w myślach Zoo. W następnym rzucie obstawił czarne: czwórkę, dwójkę i siedemnastkę. Wypadł czarny numer trzynaście. Stary Chińczyk westchnął ciężko – też nic nie wygrał.

Zoo zaklął pod nosem. Stos żetonów topniał z każdą chwilą. *Mogłem obstawić czarne, już trzeci raz wypadają* – pomyślał. *Nieźle bym się obłowił. Mam postawić na czarne i ciągle nie stawiam.* Oddzielił sporą część żetonów i postawił ją na polu z szansami czarnymi. *Muszę coś w końcu wygrać, zaraz zostanę bez grosza.*

Tym razem krupier mocno zakręcił kołem. Chińczyk postawił na szanse czerwone, ale o wiele mniej żetonów niż Zoo. Kulka zaczęła zwalniać. Krążyła coraz wolniej. Chińczyk i Zoo śledzili jej ruch jak zahipnotyzowani.

– Koniec zakładów – poinformował krupier. Zoo przymknął oczy. – Siedem, czerwone.

*Nie tak miało być* – pokręcił głową Zoo.

Krupier zabrał jego żetony i wypłacił Chińczykowi wygraną.

Zoo zostało ostatnie dwadzieścia żetonów. Postawił je na szanse czerwone, licząc na powtórkę. Krupier mocno zakręcił kołem. Zoo patrzył, jak kulka wiruje i nagle wiedziony jakimś przeczuciem w ostatniej chwili zmienił zakład i przesunął żetony na czarne. Postawił też kilka żetonów na czerwoną siódemkę. W tym samym momencie krupier ogłosił koniec zakładów. Wypadło czerwone dwadzieścia trzy.

– To niemożliwe – jęknął Zoo.

– Proszę pana, tu wszystko jest możliwe, jesteśmy w kasynie – odparł z wesołą miną krupier. Przegrywanie Króla Nocy bardzo go bawiło.

Zoo nic nie odparł, stracił wszystkie żetony, a było tego naprawdę dużo. Miał wrażenie, że to wszystko zbyt szybko się potoczyło, że właściwie mógł poczekać na prawdziwe przeczucie, a nie obstawiać cały czas. Chciał nadal grać, miał pełną szklankę piwa, ale żadnych żetonów. Czuł się jak człowiek, który wszedł do klubu, planując wspaniałą imprezę, a okazało się, że klub po piętnastu minutach zamknięto.

Zaczął pospiesznie przeszukiwać kieszenie. Miał nadzieję na znalezienie jakiegoś zapomnianego zwitka banknotów. Zabrał ze sobą kartę, ale nie chciał wyciągać pieniędzy. W niecałe pół godziny przegrał dwa tysiące. Był na siebie wściekły.

Nagle pod palcami wyczuł jeszcze jeden żeton. Wyciągnął go szybko i bez namysłu położył na zero. Zrobił to w ostatnim momencie, bo krupier właśnie ogłaszał zamknięcie zakładów. Kulka chwilę skakała po przegródkach koła. Zoo wstał i zagryzł wargi. Przymknął oczy, wszystko zamarło.

– Zero – ogłosił triumfalnie krupier. – No i się pan doczekał.

Zoo aż się poderwał na równe nogi.

– Jest! Nareszcie!

– Proszę bardzo, oto pańska wygrana. – Krupier przysunął do niego trzydzieści pięć żetonów w pomarańczowym kolorze.

– A więc jednak można wygrać tym kolorem – stwierdził Zoo.

– Można – zgodził się krupier.

Zoo pozostawił dziesięć żetonów na zero i trzy na numer dwadzieścia dziewięć. Krupier zakręcił kołem i ponownie wypadło zero.

– Same powtórki u pana – zauważył Zoo.

– A tak mi jakoś dzisiaj wychodzi. – Krupier podsunął do niego kolejny stos wygranych żetonów. Przed Zoo piętrzyła się teraz spora piramida. Kelnerka przyniosła mu zamówioną whiskey. Zoo poczuł, że wieczór nie jest stracony. Postawił na pierwszy tuzin i znowu wygrał. Góra żetonów rosła coraz bardziej, a był to dopiero początek. Król Nocy był na fali wznoszącej, dokładnie czuł, co zaraz wypadnie, i wszystko się sprawdzało. Zupełnie jakby o kilka sekund wyprzedzał czas. Było to naprawdę magiczne uczucie. Cały świat jakby zniknął, teraz istniała tylko gra.

## **Ostry kac**

*Polska, Warszawa*

Zoo stracił wszystko, co udało mu się wygrać. Potem wyciągnął jeszcze pieniądze z karty, której obiecał sobie nie ruszać. Ten wieczór kosztował go dwanaście tysięcy złotych i potężnego kaca, którego już czuł w taksówce, wracając do domu. Była ósma rano, normalni ludzie spieszyli się do pracy, a on jechał przegrany i zgnębiony. W tym momencie chciał być jednym z tych ludzi, których widział za szybą. Gra w ruletkę zawsze kończy się tak samo – wielką przegraną. To kasyno przecież zawsze wygrywa.

Na domiar złego nie miał przy sobie ani grosza, karta była wyczyszczona do zera. Gdy taksówka podjechała pod apartamentowiec, Zoo kazał kierowcy poczekać i poszedł pożyczyć pieniądze od recepcjonisty Roberta. Ten ze zrozumieniem pokiwał głową i poratował bankruta.

*Trzeba było zrobić tak, jak mówił Misiek: wypić piwo i wrócić do domu – wyrzucił sobie Zoo, wjeżdżając windą na górę.*

W apartamencie padł w ubraniu na wielkie łóżko i natychmiast zasnął. Obudził się o czternastej z ciężkim wódczanym oddechem. Powłókł się do kuchni. W szklance wody zaszumiła pastylka elektrolitów. Jak już dzień zaczyna się od tego, to nie jest dobrze. Zoo był wściekły na siebie, przez zaciśnięte zęby klął pod nosem. Mało pamiętał z wieczoru, ale strzępy

wspomnień zaczynały się pojawiać w jego głowie niczym rozbłyśki fajerwerków. Nie da się ukryć znowu popłynął. Przetarł oczy i wcisnął guzik ekspresu, który posłusznie zaczął mielić kawę. Podstawił kubek i poszedł do łazienki wziąć prysznic.

Kiedy wrócił, kawa była gotowa, pachniało nią w całej kuchni. Elektrolity też się rozpuściły. Założył bluzę i wyszedł na taras. Stanął pod dachem przy zewnętrznym barze i patrzył na basen, który zakryty drzemał zimowym snem. Był lekki mróz, który delikatnie szczypał w skórę, co sprawiło, że Zoo trochę się ożywił. Postanowił zrobić jajecznicę. Ledwo rozpuścił masło na patelni, gdy usłyszał jakiś dziwny, stłumiony dźwięk. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś był w apartamencie.

### **Jasmine pod prysznicem**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Jasmine nienawidziła ранego wstawania. Ociężale zwlokła się z łóżka o ósmej. W dodatku w nocy przyśnił się jej bardzo męczący sen. Znajdowała się w wielkiej podziemnej sali pełnej łóżek. Nieliczne pochodnie dawały nikłe światło. Jasmine usiadła na łóżku i zobaczyła, że jest zupełnie sama. Czuła, że się na coś spóźniła, ale nie wiedziała, na co. Chciała sobie to przypomnieć, ale w głowie miała mętlik. Wtem zobaczyła, że z końca sali idzie ku niej jakaś wysoka postać. Serce zabiło jej mocniej, siedziała na łóżku sparaliżowana strachem. W końcu postanowiła się położyć i nakryć kołdrą. Głupi pomysł, ale mogło się udać. Czasami głupie pomysły mają w sobie coś genialnego. Leżała pod kołdrą, tłumiąc oddech z nadzieją, że postać minie ją i pójdzie dalej. Tak się jednak nie stało. Nagle usłyszała kobiecy głos.

– Po co te wygłupy? Wstań, przyniosłam ci ubranie. Wszyscy już dawno poszli, a ty jak zwykle jesteś ostatnia. Ciągle są z tobą problemy. Jak nie trzeba, jesteś pierwsza, a jak trzeba, to zawsze się spóźniasz.

Jasmine udawała, że jej nie ma.

– Nie bądź głupia. – Głos nie odpuszczał. – Przecież widzę, jak leżysz pod kołdrą. To, że zamkniesz oczy, nie oznacza, że znikniesz. Nigdy się tak nie stanie. Nigdy nie znikniesz, słyszysz mnie?

Ten sen ciągnął się przez całą noc. Głos ciągle namawiał Jasmine, żeby wstała z łóżka, a ona wciąż udawała, że jej nie ma.

Gdy w końcu się obudziła, chwilę nastuchiwała. Współlokatorka poszła wziąć prysznic, Jasmine mogła więc czuć się swobodnie. Otworzyła okno i spod blaszanego parapetu z wąskiej szczeliny wyjęła czarny notes. Szybko opisała w nim sen, a potem jeszcze tajemniczy mail, który dostała. Od czasu tych dziwnych zdarzeń, które miały miejsce w jej życiu, wszystko zapisywała w czarnym notesie moleskine. *Może to kiedyś pomoże mi wyjaśnić wszystko, co się wydarzyło* – myślała.

Potem schowała notes i zabrała się za ścielenie łóżka. To była ważna czynność, której nie można było przeoczyć. Życie w szpitalach zaczyna się zazwyczaj bladym świtem. Należało wstać i od razu pościelić łóżko, bo wszędzie niczym gołębicę latały siostry w białych fartuchach. Spóźnialscy mieli przez cały dzień różne problemy, niby nic wielkiego, ale siostry potrafiły uprzykrzyć życie. Na przykład nie chciano im zaparzyć herbaty i tym podobne sprawy.

Współlokatorka Jasmine, wysoka anorektyczka, już wróciła z łazienki i krzątała się po pokoju.

– Przestań hałasować, Indygo – warknęła Jasmine. – Za jakie grzechy muszę cię znosić? Mam nadzieję, że szybko zmienią mi pokój.

Dziewczyna aż podskoczyła ze strachu. Była przeraźliwie chuda. Miała piegowatą twarz o delikatnych rysach. Przywodziła na myśl kruchego owada. Jej nogi i ręce były szczupłe jak nitki makaronu, a długie czarne włosy sięgały do pasa. Wszystko się w niej teraz trzęsło jak u marionetki.

Jasmine z groźną miną ruszyła w jej kierunku i fuknęła:

– Uciekaj stąd! Jak wyjdę do łazienki, to sobie wrócisz.

Dziewczyna szybko wyszła z pokoju cała rozdygotana. Umierała ze strachu przed Jasmine. Od roku dzieliły pokój i była to dla niej istna męka.

– Idiotka – mruknęła do siebie Jasmine i wróciła do ścielenia łóżka. Nie była to prosta sprawa. Równo złożona kołdra musiała zakrywać poduszkę i tworzyć idealną płaszczyznę. To ścielenie zajmowało dobry kwadrans. Wszystko musiało być równe niczym blat stołu. Pielęgniarki biegały po oddziale i sprawdzały łóżka, a za uchybienia odbierano punkty.

Nagle drzwi otworzyły się szeroko i pojawiła się w nich pulchna siostra Betty. Zazwyczaj miła i przyjazna, tego ranka krytycznym okiem obrzuciła łóżko



Jasmine.

– Trzeba jeszcze poprawić – stwierdziła sucho.

– Niby gdzie? – mruknęła niechętnie Jasmine.

– Tam w rogu od ściany. – Siostra Betty wskazała palcem.

Faktycznie, poszwa była w tym miejscu lekko pofałdowana. Nie było o czym dyskutować. Jasmine bez słowa wygładziła kołdrę. Siostra Betty była perfekcjonistką.

– Teraz może być. – Pochwaliła dziewczynę i zniknęła.

Jasmine udała się do łazienki, która znajdowała się przy dyżurce pielęgniarek. Łazienka była wyłożona od podłogi do sufitu białymi kafelkami, które już dawno straciły połysk. Przypominała rzeźnię i tym mianem określali ją pacjenci. Nikt nie mówił inaczej jak po prostu: „Idę do rzeźni”. Pośrodku czerniała kratka odpływowa. Zupełnie jakby zaraz mieli kogoś pochłastać i by krew mogła spokojnie spłynąć. W dodatku słabo działały grzejniki, zawsze więc było przeraźliwie zimno. Jednym słowem łazienka w pełni zasługiwała na swoje miano.

Podłoga była pochyła i łatwo można się było nie niej przewrócić. Ale to nie była jedyna niedogodność. Pod ścianą stał rząd starych masywnych umywalek, przy których oczywiście nie było ani lusterek, ani haczyków na ręczniki. Ściany były gładkie, żeby przypadkiem nie ułatwić zadania tym, którzy chcieli zrobić sobie krzywdę. Pysznice nie miały zasłon. Krążyły słuchy, że kilka lat temu ktoś się powiesił, więc zdemontowano je, a przy okazji wyjęto również drzwi do toalet. Zresztą zawsze po jakimś wariackim wygłupie coś demontowano albo wprowadzano nowe zakazy. Lista obostrzeń wciąż rosła.

Siostry często kontrolowały pacjentów w łazienkach. Najbardziej upokarzające było, gdy ktoś siedział akurat na toalecie.

Teraz łazienka była pusta. Szumił tylko jeden natrysk, pod którym stała Amelia, najchudsza z anorektyczek na oddziale. Na rękach miała podłużne blizny sięgające aż do łokci. Kilka razy chciała się zabić, bo ciągle czuła się za gruba. Samobójstwo jakoś nigdy jej nie wychodziło, zawsze w ostatnim momencie ktoś ją odratowywał. Jednak nie jest tak łatwo umrzeć. W końcu jej rodzice stwierdzili, że mają dość i umieścili dziewczynę na oddziale. I całe szczęście, bo to był ostatni dzwonek. Amelia w ogóle nie jadła i była na skraju wyczerpania. W szpitalu ją dokarmiano, a po każdym posiłku razem z innymi anorektyczkami szła na godzinną odsiadkę. Do tego celu służyły krzesła

przy dyżurce pielęgniarek. Przez godzinę po posiłku żadna z anorektyczek nie miała prawa wstać.

– Co tu robisz? – Jasmine uniosła brwi. – Zmiałaj na śniadanie. Chcę się w spokoju umyć.

Amelia posłusznie zakręciła wodę.

– Raz, raz! – Jasmine klasnęła w ręce. – Już cię tu nie ma, chodzący szkielecie!

Dziewczyna nawet się nie wytarła, tylko w biegu narzuciła na siebie szlafrok i pędem ruszyła w stronę drzwi. Szlafrok nie miał paska, w ogóle żadne ubrania nie mogły mieć na oddziale pasków, sznurków, wstążek, a buty były pozbawione sznurówek. Oczywiście wszystko ze względów bezpieczeństwa.

Amelia tak się spieszyła, że przewróciła się na mokrej posadzce, tuż przy czarnej kratce odpływowej. Dźwięk upadającego kościstego ciała był okropny.

– Wstawaj, łamago – syknęła Jasmine, stając nad nią. – Ale ty jesteś paskudna. Szkoda, że nie ma luster i nie możesz się zobaczyć. Chuda jak śmierć, a nogi jak goryl. Owłosiona małpa. Wynoś się!

Dziewczyna z trudem wstała z podłogi. Jedną ręką rozcierała bolące biodro, całe szczęście nic sobie nie złamała. W pośpiechu zebrała rozsypane rzeczy. Z oczu ciekły jej łzy. To nie była jej wina, na oddziale nie wolno było mieć żadnych ostrych przedmiotów, pilników, pęset ani oczywiście maszynek. Wszyscy chodzili zarośnięci jak w epoce dzieci kwiatów. No, może nie wszyscy. Jasmine zdjęła szlafrok, jej nogi były zupełnie gładkie.

– Widzisz, tak wygląda człowiek, przyjrzyj się dobrze. – Stała teraz nago na środku łazienki. – Zapamiętaj sobie, jak wygląda ktoś idealny.

Za dziewczyną trzasnęły drzwi.



## ROZDZIAŁ 6

*Nie jestem szalona. Moja rzeczywistość jest tylko inna od twojej.*

Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*

### **Dziwne zdarzenie**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Jasmine nie spiesząc się, położyła na rancie umywalki szlafrok i ręcznik. *Mogliby zamontować przynajmniej jakieś małe haczyki – pomyślała. Niedługo przez tych wariatów wszystko wyniosą z tego oddziału. Będziemy spać na betonie i przykrywać się powietrzem.* Schyliła się, pogrzebała chwilę pod jedną z umywalk i z tajnego schowka wyjęła maszynkę do golenia. Wzięła tubkę z ulubionym żelem mandarynkowym i tak zaopatrzona ruszyła pod natrysk. Ledwo włączyła wodę, a otworzyły się drzwi.

– To ty jeszcze nie na śniadaniu? – Siostra Betty wybałuszyła oczy. Wyglądała teraz jak mały, wściekły pekińczyk. Zresztą takim przezwiskiem określali ją pacjenci.

Jasmine ledwo zdążyła ukryć w ręku maszynkę. Stała pod prysznicem, a ciepła woda spływała po jej ciele, tworząc małe strumyczki, które łączyły się w większe kaskady. Siostry często robiły naloty na łazienki i sprawdzały, czy ablucja przebiega, jak należy, ale o tej godzinie rzadko ktoś tu zaglądał.

– Przecież dzisiaj nie ma apelu – zauważyła dziewczyna.

Siostra Betty wzięła się pod boki i zmarszczyła brwi. Przyglądała się uważnie Jasmine stojącej w strugach wody. Intymność w szpitalu nie istniała, wszystko było wspólne i otwarte. Oczywiście dla dobra pacjentów, ale było to naprawdę bardzo poniżające. Wszyscy nowi pensjonariusze mieli z tym na początku wielki problem. Z biegiem czasu przyzwyczajali się, bo człowiek do wszystkiego może przywyknąć.

– Wariaci to wariaci i koniec kropka. Zawsze coś kombinują, zupełnie jak niegrzeczne dzieci. Dlatego muszą być pod stałą obserwacją. – Tak mawiał dyrektor szpitala Max Bronko, chudy, wysoki facet w średnim wieku z potarganą fryzurą i wieczną pretensją w głosie. U pacjentów miał przezwisko Dupek, krótko i zwięźle. U pracowników zaś Dupek Służbista, też bardzo trafnie. Jedno i drugie pasowało do niego jak ulał.

– To prawda, dzisiaj nie ma apelu – potwierdziła siostra. – Ale to nie znaczy, że możesz się spóźnić na śniadanie. Potem wszystko jest zimne. To nie jest hotel, moja droga, tylko szpital. No już, pospiesz się, kończ te kąpiele.

Siostra Betty nie lubiła Jasmine i nie zadawała sobie trudu, by to ukryć. Był to oddział szpitala psychiatrycznego dla nieletnich. Przebywały tu dzieci od ósmego do osiemnastego roku życia. Naturalnie na najstarszych zwracano baczną uwagę. Siostra Betty uważała, zresztą bardzo słusznie, że to głupi pomysł, by prawie dorosłe osoby były trzymane razem z dziećmi. W szpitalach psychiatrycznych istnieje pewna prawidłowość, otóż pacjenci zaprzyjaźniają się ze sobą zgodnie ze swoimi schorzeniami. I tak anorektyczki trzymają się razem. Osoby, które mają halucynacje i słyszą głosy, też razem. Psychopaci również lgną do siebie. Jasmine obracała się w grupie psycholi, nazywanych tak pieśczośliwie przez siostry. Określono ją jako niezwykle groźną pacjentkę i zwracano na nią szczególną uwagę.

– Dobrze, zaraz przyjdę – mruknęła Jasmine.

Siostra uczyniła ruch, by odejść, ale nagle przystanęła.

– Pokaż, co tam chowasz?

– Niby gdzie?

– W ręce. – Jasmine w odpowiedzi wyciągnęła przed siebie pustą dłoń.

– A tamta? – Dziewczyna z uśmiechem otworzyła drugą dłoń. Ta również była pusta. Przez te kilka lat stała się mistrzynią w ukrywaniu wszelkich przedmiotów. W zasadzie niejeden iluzjonista mógłby brać u niej lekcje. Trzeba było posiąść różne sztuczki, jeśli chciało się w miarę normalnie funkcjonować w szpitalu.

Siostra Betty skrzywiła się. *Sprytna jak lis* – pomyślała. Zawsze chciała przytapać na czymś Jasmine. To jednak nigdy nie wychodziło.

– Pamiętaj, że nie wolno używać maszynec. – Pogroziła palcem. – Nie chciałabym być w twojej skórze, jeśli cię kiedyś na tym złapię. Wiem,

że to robisz.

W odpowiedzi Jasmine tylko się uśmiechnęła.

– Znowu stracisz wszystkie punkty na apelu i będziesz chodzić w piżamie.

Dziewczyna nic nie odparła, zaczęła mydlić ciało.

– I przestań dręczyć Amelię, ciągle się nad nią pastwisz. Łazienka jest dla wszystkich. To nie jest hotel, a ty nie jesteś tutaj na wakacjach.

Słyszając te słowa, Jasmine odwróciła się do pielęgniarki plecami i zaczęła mydlić włosy. Siostra wyszła i zamknęła drzwi, o wiele za mocno. Wtedy Jasmine otworzyła usta i wyjęła z nich maszynkę. Bez słowa zaczęła golić nogi.

Gdy skończyła, schowała na powrót maszynkę do skrytki pod umywalką i wróciła do sali. Przebrała się w szarą bluzę z kapturem i wciągnęła na siebie obciste spodnie od dresu. Całość stroju dopełniały grube skarpetki, które pełniły rolę pantofli. Założyła kaptur na głowę, bo miała mokre włosy, a nigdy nie lubiła ich suszyć, i niespiesznie ruszyła do stołówki.

Kiedy przechodziła koło przeszklonej dyżurki, pielęgniarki piły kawę i o czymś żywo dyskutowały. Gdy zobaczyły Jasmine, natychmiast umilkły. Dziewczyna nawet się nie wysilała, aby dowiedzieć się, o czym rozmawiają. Nic jej nie interesowało, czuła się okropnie, marzyła o kawie. Ten zapach z dyżurki jeszcze bardziej ją rozeźlił. W szpitalnej stołówce podawano tylko kawę zbożową. Takie było zalecenie, nie chciano pobudzać pacjentów kofeiną. *Jak dobrze, że mam tę stałą przepustkę, będę mogła chodzić na kawę – pomyślała. Tylko ciekawe, czy te pindy będą to respektować. Najwyżej poskarżę się Annie, to się za nie weźmie.*

Przeszła koło rzędu krzesel ustawionych pod ścianą. Leżały na nich gazety i kolorowe pisma kobiece. Było to miejsce odsiadki anorektyczek po jedzeniu. Nie chciano, by od razu po posiłku zwracały w toalecie zawartość żołądków. Na jednym z krzesel siedziała Indygo. Głowę miała pochyloną i z flegmą przeglądała jakiś magazyn. Włosy zakrywały jej twarz, były barierą odgradzającą ją od świata. Indygo przewróciła z szelestem kolejną stronę.

– Uważaj, bo ci się ręka złamie – syknęła Jasmine.

Dziewczyna zamarta. Nic nie odparła, dobrze wiedziała, że Jasmine nie należy odpowiadać, istniała wtedy szansa, że odpuści. Na oddziale nosiła ksywę Wiedźma. Z nią po prostu się nie zadzierało, każdy to wiedział.

Na końcu korytarza było wejście do dużej stołówki. Już od progu załatywało stamtąd niefajnym jedzeniem, jakimiś skistymi zlewkami, jednym

słowem śmietnikowy zapach. Jasmine zatkała ręką nos. W stołówce zawsze brało ją na wymioty. Na szczęście na dłoni czuła jeszcze zapach balsamu.

Za dużymi zakratowanymi oknami widać było wirujące wielkie białe płatki. Tego dnia zaczął padać pierwszy śnieg. Stołówka była pustawa, śniadanie miało się ku końcowi. Nieliczni pacjenci, którzy jeszcze spożywali posiłek, wybrali stoliki przy oknach i ciekawie spoglądali na zimowy krajobraz.

– *Jingle bells, jingle bells* – zanuciła pod nosem Jasmine.

## **Tatiana**

*Polska, Warszawa*

– Przepraszam, myślałam, że pana nie ma – powiedziała Tatiana, rozwijając w salonie wielki, kosmiczny odkurzacz.

Zoo wszedł do pokoju, chcąc sprawdzić dziwne odgłosy dobiegające z apartamentu. Czuł się podle, a Tatiana jak zwykle była w świetnym nastroju.

– Widział pan, jak pięknie pada śnieg? – Wskazała na okno.

Faktycznie, biały puch pokrył taras. Na ulicach już zamienił się w błoto, ale tu na górze wyglądał wciąż bajkowo.

– Dzisiaj jest środa? – zapytał zdziwiony Zoo.

– Tak, oczywiście, zawsze wtedy przychodzę.

– Ale ze mnie idiota. – Zoo złapał się za czoło. – Miałem być przecież w studiu.

– To niech pan zadzwoni i powie, że się spóźni. Gdzie jest pana telefon?

– No właśnie, gdzie jest mój telefon? – Zoo bezradnie rozłożył ręce.

– Już do pana dzwonię. – Tatiana szybko wybrała numer. Gdzieś w głębi apartamentu rozległ się przytłumiony dzwonek.

– Dzwon, nie przestawaj, gdzieś go pewnie wrzuciłem. – Zoo podreptał w stronę dobiegającego dźwięku.

– Dobrze, dzwonię – odparła. Śmieszył ją ten cały Zoo. Niby miał wszystko, a tak naprawdę nie miał niczego. Gdyby nie koledzy od kieliszka, byłby sam jak palec.

Dobry kwadrans później Zoo wrócił spod prysznic. Ubrany i skropiony wodą od Armaniego już przypominał człowieka. Na ustach błąkał mu się nawet jakiś niewyraźny uśmiech.

Tatiana zawsze na niego dobrze wpływała, była tą częścią świata, którą lubił, normalną i uczciwą. Niby tylko sprzątała apartament, a tak naprawdę była aniołem. Zawsze w środę wychodził z domu później, by móc z nią chwilę porozmawiać.

– Zrobiłam świeżą kawę. – Kobieta podała mu duży kubek.

– Połodzona?

– Tak. Wczoraj chyba znowu zszedł pan na złą drogę?

Zoo spuścił głowę.

– Trochę tak, ale już jestem na właściwym kursie.

– Dobrze, że przyszedłam i zaczęłam hałasować, bo zmarnowałby pan cały dzień, a tak to pojedzie pan do studia i popracuje. Praca jest ważna, zawsze trzeba coś robić. Mój dziadek całe życie ciężko pracował, stale był zajęty. Bawiłam się, pomagając mu. A to rąbał drewno, a to pracował w ogródku. W końcu gdy nie mógł już pracować, to po prostu umarł. Ale to było dobre, on umarł z uśmiechem na ustach. Człowiek zawsze musi coś robić. Inaczej się wypacza, zupełnie jak deska, która za długo leży. Tak samo jest z ludźmi. A co pan robi w święta? Wigilia już za niecały miesiąc.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Może gdzieś wyjadę, może w góry.

Tatiana pokręciła głową.

– Powinien pan odwiedzić siostrę.

– Przecież jesteśmy pokłóceni, wiesz o tym, wszystko ci opowiadałem. Ona nie chce mnie znać.

– Tak tylko powiedziała. Na pewno chce się spotkać. Takie już są siostry. Powinien pan o tym pamiętać i nie ranić jej serca.

Zoo, nie wiedział, co ma powiedzieć. Tatiana zawsze mówiła prawdę, nie dało się z nią dyskutować.

– Musi mi pan obiecać, że zadzwoni do niej na święta. Pan pewnie myśli, że jestem prostą kobietą i nie mam racji, ale prawda jest inna. To wszystko, co pan osiągnął, ten sukces, całe życie, to wszystko jest wspaniałe, ale potrafi zagłuszyć serce. Trzeba wsłuchać się w jego cichy szept. Ono coś tam mówi, każdy z nas ma taki swój cichy wewnętrzny głos. Często zagłuszamy go i wtedy wprowadzamy nasze życie na drogi, po których wcale nie chcieliśmy iść.

Zoo pokiwał głową.

– Zadzwoni pan?

– Tak.



– Przyjemnie mi to słyszeć, a teraz biorę się za sprzątanie, bo jeszcze mnie pan wyrzuci. Przychodzi głupia baba i się mądrzy.

– Nie powiem tak, Tatiano.

– Nie wiem. – Nagle posmutniała. – Wiele już słyszałam słów, których nie powinnam słyszeć. Ale może to lepiej. Życie wypala w nas to, co słabe – westchnęła.

## **Dziwny wieczór**

*Polska, Warszawa*

Wczorajszy wieczór w kasynie prawie w połowie był dla Zoo tajemnicą. Kac mocno go męczył. Po wyjściu Tatiany otworzył butelkę piwa Kasztelan. Już po pierwszym łyku poczuł ulgę. Nie miał w planach iść do żadnego studia nagraniowego. Tak tylko powiedział Tatianie. Głupio mu było, że całymi dniami nic nie robi. Dawniej po takiej pijatyce miał wstręt do alkoholu co najmniej do następnego weekendu. Ale to minęło, był już na zupełnie innym poziomie. Teraz pił codziennie. Czasami mniej, ale zawsze przynajmniej dwa razy dziennie zaszczała otwierana puszka z piwem.

Apartament był sprzątnięty. Dobrze się siedzi w czystym wnętrzu, wtedy jakoś ten wewnętrzny bałagan mniej doskwiera. Zoo rozwalik się na kanapie z piwem i zaczął przerzucać kanały. Nie znalazł nic ciekawego, więc włączył w telewizorze aplikację YouTube.

Na początek obejrzał dokument o tajnych stowarzyszeniach, potem o wojnie w Wietnamie. Gdy zdawało mu się, że już wszystko wie, na chwilę przysnął. Obudziły go wybuchy – okazało się, że włączył się kolejny dokument, tym razem o wojnie w Afganistanie. To też obejrzał. Na pasku w sugerowanych filmach pojawiła się kolejna propozycja. *Bocznica. Wakacje w wagonach kolejowych* – przeczytał Zoo w opisie. Włączył film, który wciągnął go do zupełnie innego świata.

Urlop na Helu w wagonach na bocznicy. Zoo pamiętał te wagony; widać je z drogi, kiedy się jedzie na Hel. Film był o ludziach, którzy spędzają w nich wakacje. Skrzypiące fotele turystyczne z aluminiowych rurek, obciążone materiałem w psychodeliczne kwiaty. Wszyscy mają koszmarne stroje kąpielowe. Ludzie opalają się, rozmawiają, piją piwo. Dzieci krzyczą i piszczą.

Pod płot podchodzi stado dzików. Rodzice spokojnie palą papierosy, a dzieci gonią małe warchlaki.

*Gdzie by to teraz było możliwe – pomyślał Zoo. Każdy, jak już mu się urodzi jakiś bachor, to pochyla się nad nim jak nad jakąś kryształową szklanką.*

Tymczasem w wagonie młody chłopak podrywa dziewczynę, rozmawiają, słuchają wspólnie muzyki z walkmana – on w uchu ma jedną słuchawkę, a ona drugą. Zoo uśmiechnął się sam do siebie.

– Tak kiedyś było – westchnął.

Dziewczyna ma ładną twarz. Jest miła i taka normalna, nie ma w niej niczego sztucznego, wyreżyserowanego.

*Dlaczego ja nigdy nie trafiam na takie dziewczyny? – pomyślał Zoo. A może takich ludzi już po prostu nie ma?*

Wstał z kanapy i wziął następne piwo. Potem przełączył na kolejny dokument. *Fabryka Wolność* o warszawskim squacie. *Byłem tam kiedyś na koncercie* – pomyślał leniwie. Był już bardzo senny, właściwie odpływał, przeniknęło go przyjemne uczucie roztopienia się w filmach i piwie. Za oknem zalane blaskiem centrum rozświetlało mrok. Dobrze jest mieć apartament na ostatnim piętrze. Człowiek czuje się trochę jak w chmurach. Zoo ułożył się wygodnie i nawet nie zorientował się, kiedy odpłynął. Znowu przyśnił mu się ten dziwny, zagadkowy sen, który powtarzał się bardzo często.

### **Jasmine w stołówce**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

W stołówce przy samotnym stoliku tuż obok okna siedział Skinhead z kamienną twarzą. Był zwałisty jak góra, a łysa skóra na jego głowie błyszcząca niczym wypolerowany hełm. Skinhead od dawna był na wojnie z całym światem. Jego szlafrok miał rękawy do połowy łokcia. Równie często, co Jasmine, chodził po oddziale w piżamie. Wszystko oczywiście przez utratę punktów. Przykrótki rękaw odstaniał na lewym przedramieniu tatuaż z odwróconym krzyżem. Aż dziw brał, że był to krzyż. Każdy patrząc na chłopaka, spodziewał się raczej swastyki. Ta zajmowała jednak całe szerokie plecy Skinheada. Pod nią widniał napis wytatuowany gotycką czcionką: „Sieg heil, mein Führer”. Jasmine skierowała kroki w stronę chłopaka.

Gdy ten dojrzał nadchodzącą przyjaciółkę, pomachał do niej. Uniósł lekko rękę na znak, że dostrzega jego powitanie. Uśmiechnął się, odczytując to jako dyskretne „Sieg heil”.

Wtem do Jasmine podbiegł całkiem łysy chłopiec.

– Wreszcie jesteś, wziąłem dla ciebie całą tacę jedzenia. Już nic prawie nie ma. – Wyrzucał z siebie słowa w zawrotnym tempie karabinu maszynowego. Jako żywo przypominał Festera z rodziny Addamsów: mały i gruby z rozbieganymi oczkami i haczykowatym nosem. Odstające uszy dopełniały reszty. Jedyna różnica między nim a jego filmowym sobowtórem była taka, że prawdziwy Fester miał zaledwie dwanaście lat.

Trzeba przyznać, że chłopak był bardzo ciekawym przypadkiem. Był najmłodszym mordercą w Kanadzie. Zabił pogrążonego we śnie członka rodziny. Po prostu pewnego dnia poczuł impuls. Wydarzyło się to piątego listopada, dzień po jego dziesiątych urodzinach. Głosy, które słyszał w głowie, odkąd pamiętał, kazały mu w nocy chwycić za nóż. Ani myśląc, wziął się do dzieła. Pewnie wymordowałby wszystkich domowników, ale pies się obudził i zaczął szczekać. Dzięki temu ofiarą nocnego rajdu Festera z nożem padł jedynie daleki krewny, który przyjechał z wizytą.

Sąd skazał chłopaka na dziesięć lat pobytu w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym. To był maksymalny wymiar kary, jaką mogło dostać dziecko. Fester miał być diagnozowany, ale w szpitalu świętego Wawrzyńca jakoś marnie to szło, terapia była fikcją. Chłopiec dostawał jedynie leki, a głosy nadal go męczyły. Po dziesięciu latach, o ile diagnoza by na to pozwoliła, miał opuścić szpital, ale wcale się na to nie zanosilo. Rodzina go skreśliła, bo chłopak tamtego pamiętnego wieczoru wyłożył wszystkie karty na stół, ale okazało się, że nikt nie chce z nim grać.

Fester siedział więc już drugi rok i świat jakby stanął dla niego w miejscu. Nikt go nie odwiedzał, wszyscy o nim zapomnieli. Było więcej niż pewne, że szpital już go nie wypuści. Po prostu Fester w nim ugrzązł. To miejsce było jak wielkie bagno, niepostrzeżenie wciągało. Wcale nie pomagał fakt, że chłopak nie sprawiał żadnych problemów. Czasami ci, którzy przysparzają kłopotów, są bardziej zauważalni i ktoś w końcu zajmie się ich sprawą, dobierze odpowiednie leki, przeprowadzi porządną terapię.

Dodatkowo głosy w głowie zawsze mówiły coś złośliwego.

– Jesteś nieudacznikiem, Fester. Zobacz, jaki jesteś głupi. Zabiłeś tylko jakiegoś nikomu niepotrzebnego wujka i już cię stąd nie wypuszczą. I co teraz zrobisz? Skończony idiota. Ten szpital to twój nowy domek. Zobacz, nawet nikt cię nie odwiedza. Nikt cię już nie chce. Kretyn. – To właśnie mówiły głosy, i nie mijaly się z prawdą.

Na swoje szczęście Fester poznał Jasmine – Wiedźmę. Tak właśnie o niej mówiono. Anorektyczki pierzchały przed nią jak ranne gazy. Kilka miesięcy temu Jasmine, o której wiele słyszał i którą bardzo szanował, poprosiła w stołówce, żeby przyniósł jej jogurt. Fester dosłownie pofrunął przez pomieszczenie. Ktoś go w końcu zauważył, i to nie byle kto, tylko sama Wiedźma. Od tego czasu Fester zawsze pytał Jasmine, czy coś jej przynieść. Powoli się zaprzyjaźniali. W końcu swój do swego ciągnie. Ona też wymordowała swoją rodzinę, tyle, że jej się udało i żaden pies w niczym nie przeszkodził. U niej to była porządnie przeprowadzona akcja, nie jakaś amatorszczyzna inspirowana przez głosy.

Ukoronowaniem ich znajomości był dzień, gdy Jasmine niby dla żartu położyła mu dłoń na głowie.

– Błagam, potrzyj jeszcze – jęknął wtedy Fester.

– Spokojnie, mały, bo jeszcze orgazmu dostaniesz – zażartował Skinhead, który akurat siedział obok.

Fester nawet na niego nie spojrzał. Okazało się bowiem, że nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystkie głosy w jego głowie ucichły. Zupełnie jakby znajdowały się w innym pokoju, a Jasmine po prostu zamknęła za nimi drzwi.

Chłopak miał swoją teorię na ten temat. Głosy zawsze są, tylko zazwyczaj ludzie ich nie słyszą. Po prostu te drzwi w ich głowach są zamknięte. Czasami ktoś albo jakieś zdarzenie otwierają to przejście i wtedy robi się nieciekawie. Mało kto potrafi to odwrócić i sprawić, by znowu wszystko ucichło. Jedynie leki mogą to wytłumić, ale wtedy i tak jest gorzej – głosy przechodzą wówczas w ciche szepty. Człowiek zaczyna się w nie wstuchiwać, wyczekuje, napina się. To może wykończyć każdego.

W kilka dni po tym zdarzeniu Jasmine udała się z Festerem na pogawędkę do palarni. Był to kawałek korytarza za stołówką prowadzący na przeciwpożarową klatkę schodową. Drzwi na schody były zamknięte na głucho. Stały tam zdezelowane fotele i popielniczka na nóżce. Personel

też tam przychodził, ale wieczorami. Pacjenci tam nie bywali, bo żadne z dzieci nie paliło. W efekcie z palarni korzystali tylko Skinhead i Jasmine, która też nigdy nie paliła i traktowała to miejsce tylko jako klub sekretnych rozmów. W stołówce ktoś zawsze mógł coś podsłuchać; w palarni było to niemożliwe.

Fester kroczył dumnie przez stołówkę. Nie mógł uwierzyć, że spotkał go taki zaszczyt. Każdy na oddziale wiedział, że palarnia to teren Wiedźmy.

– Proszę, usiądź. – Jasmine zamknęła przeszkolone drzwi i wskazała na wysłużony skórzany fotel. Fester zapadł się w nim wygodnie. Uśmiechał się od ucha do ucha. Gdyby mógł, to z tego szczęścia latałby pod sufitem.

– Zabrałam ci głosy – powiedziała Jasmine, siadając w fotelu. – Teraz musimy pogadać. Nic nie jest za darmo.

– Skąd wiesz, że miałem głosy?

– Nie bądź głupi, to od razu było widać. Stale coś mamrotałeś do siebie, czegoś nasłuchiwałeś. Teraz tego nie ma.

– Odkąd położyłaś rękę na mojej głowie, głosy zniknęły.

– Jeżeli nie chcesz, żeby wróciły, musimy zawrzeć układ. – Jasmine spojrzała przeciągle.

– Jaki? – zapytał żywo Fester.

– Czasami będę prosić cię o różne rzeczy. A ty po prostu będziesz je robił. Teraz ja będę twoimi głosami, ale przynajmniej mnie widzisz.

Fester w odpowiedzi skinął głową.

– A co będzie, jak wrócą? Przerwy czasami się zdarzają.

– Rób, co mówię, a nie wrócą. Wymyślimy też tajne hasło, na wypadek gdyby nie było mnie przy tobie. Jak je wypowiesz, wszystko wróci do normy. Zawsze rano będziesz podchodził do mnie, a ja ci będę mówić, czy jest coś do zrobienia. Taka mała odprawa. To chyba dobre warunki.

– Tak, zgadzam się – odparł wyraźnie ucieszony.

– To jakie hasło proponujesz? – zapytała.

– Królowa ciemności – wypalił Fester. – Tak będę teraz o tobie mówił.

– To już nie Wiedźma? – Jasmine uśmiechnęła się przekornie. – Niech będzie, podoba mi się. W takim razie od dziś jest to nasze tajne hasło. Tylko moje i twoje.

Fester aż poczerwieniał z dumy.

– Dlaczego powiedziałaś, że kiedyś mogłoby cię przy mnie nie być? Zamierzasz zwać? Obiecuj, że mnie wtedy ze sobą zabierzesz – powiedział

wyraźnie podniecony.

– Zwariowałeś? Powiedziałam tak, bo wszystko może się zdarzyć – odparła.

– Sam nie wiem. – Spojrzał podejrzliwie. – Myślę, że coś planujesz. Na mnie można polegać. Pamiętaj, że kiedy trzeba, milczę jak grób. Ale nie słyszałem, żeby komuś udało się stąd nawiać.

– Ucieczka ze szpitala to wcale nie jest dobry pomysł. Są inne metody na opuszczenie tych murów – odparła tajemniczo Jasmine.

Fester już nic nie powiedział, tylko otworzył usta ze zdumienia. Drzwi skrzypnęły i wszedł Skinhead. Rozmowa była zakończona.

Od tamtego dnia Fester niezwykle rzetelnie wywiązywał się z umowy. Zawsze rano w stołówce podchodził do Jasmine, przynosił jej jedzenie i pytał, czy ma dla niego jakieś zadania. Tak więc i tym razem tradycji stało się zadość.

– Przynieś mi jedzenie, idę do Rudolfa.

– Ale ja zająłem dla nas miejsce tam. – Fester wskazał w głąb stołówki. Jasmine wzruszyła ramionami.

– No i co z tego, przyjdź do nas. – Ruszyła w kierunku potężnego Skinheada, który ciągle patrzył w jej stronę.

## ROZDZIAŁ 7

*Są granice, których przekroczenie jest niebezpieczne; przekroczywszy je bowiem, wrócić już niepodobna.*

Fiodor Dostojewski, *Zbrodnia i kara*

### **O co właściwie chodzi?**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Jasmine głośno odsunęła krzesło i usiadła z rozmachem.

– Zobacz, jak fajnie pada śnieg. – Skinhead wskazał na okno. – Prawdziwie świąteczny klimat.

– Zwariowałeś, Rudolf – prychnęła. – Wiesz, że nienawidzę świąt. Może jeszcze zaśpiewasz mi *Last Christmas*?

– Gdzie Fester?

– Robi swoje – odparła. – Nie ma co, paskudny dzień. Ciśnienie spada, czuję się jak zombie i jeszcze od rana ciągle wpadam na szkielety. Nienawidzę ich. Od braku żarcia mają zlasowane mózgi. Była przecież umowa, że wstaję jako ostatnia i idę do łazienki, która ma być pusta. – Popukała palcem w blat. – Oczywiście wpadłam na jedną, tę najbardziej kudłatą.

– Amelię?

– Dokładnie, na kudłatą Amelię, która ma nogi jak yeti.

– Masz rację, nie wiem, po co tacy ludzie żyją. Głodzą się, zamiast normalnie zjeść. – Rudolf zmarszczył czoło. – W *Mein Kampf* może nie ma nic wprost o anoreksji, ale...

– Przestań, wiem dobrze, co jest w *Mein Kampf* – zachnęła się Jasmine. – Nie mam dzisiaj do tego nastroju. Pamiętaj, że Adolf był za eksterminacją wszystkich pensjonariuszy w psychiatrykach, więc również i ciebie.

– Ja to co innego – mruknął Rudolf. – Ale cała reszta powinna być w obozie. *Arbeit macht frei*.

– Tak, ty to co innego – przedrzeźniała go. – Wierz mi, gdyby Adolf rządził teraz, już by nas tu nie było. Wylecielibyśmy stąd przez komin.

Rudolf nic już nie powiedział, widać tylko było, jak napięty mu się mięśnie potężnej żuchwy.

– Nie chcę o tym słuchać. Nie jestem w nastroju – powtórzyła. – W dodatku dzisiaj mam terapię, na której muszę być. Lepiej się zastanów, co zrobić ze szkieletami, a szczególnie z Amelią. Ktoś jej musi powiedzieć, że tu panują zasady. – Nachyliła się nad stolikiem i spojrzała głęboko Rudolfowi w oczy. – Zasady, które ustalamy my.

Rudolf chciał coś odpowiedzieć, otworzył nawet usta, ale w tym momencie do stolika podszedł Fester z tacą. Było na niej po trochu wszystkiego, co oferowała kuchnia: naleśniki, zupa mleczna, kilka jogurtów i herbata.

Jasmine spróbowała zupy.

– Tego nie da się jeść. To jest zimne. – Odstawiła miskę ze wstrętem. Otworzyła jogurt. – Jak zwykle, kurwa, light, czyli zero wartości odżywczych. – Ugryzła naleśnik. – Zimny jakby leżał tydzień na śniegu – stwierdziła. – Ale coś muszę zjeść, bo inaczej zaczną mnie wysyłać na odsiadki ze szkieletami – zachichotała. Fester i Skinhead zawtórowali jej. Jasmine zjadła z obrzydzeniem połowę naleśnika, a resztę rzuciła ostentacyjnie na tacę i wstała.

– Idę do barku po kawę – oznajmiła. – Wy w tym czasie przemyślcie kwestię szkieletów.

– Masz przepustkę? – zainteresował się Skinhead.

– Oczywiście, że mam, prawniczka mi załatwiła – odparła z dumą.

– Kupisz mi muffinkę? – jęknął Fester.

– Zwariowałaś? O tej porze już dawno nie ma muffinek.

– Ale jakby była, to mi weź – prosił dalej chłopak.

– A co, głosy ci mówią, że masz ją zjeść? – Skinhead parsknął ironicznym śmiechem.

– Kup mi, proszę, proszę... – powtarzał maniakalnie Fester.

– Dobrze, jak będą, to ci wezmę.

– Jest zła. – Chłopak wskazał za odchodzącą Jasmine.

– Oj, zamknij się – zachnął się Rudolf. – Wszyscy są źli, w ogóle cały świat jest zły.

Fester zmarkotniał. Odkąd nie słyszał głosów, ciągle był w doskonałym nastroju. Śmiał się do świata i chciał, żeby ten też się do niego uśmiechnął,



ale jakoś to nie następowało. Szpital psychiatryczny nie jest do tego odpowiednim miejscem.

Rudolf siedział zaszepiany. To, co powiedziała Jasmine, zabolęło go. Czasami jej słowa potrafiły ciąć jak nóż. Może miała rację? To wszystko było bez sensu. On w psychiatryku, i to nie wiadomo na jak długo. To nie były czasy dla niego. Fester znowu zaczął coś mówić, ale Skinhead nie słuchał, zupełnie się wyłączył. Spojrzał na okno i wirujące płatki śniegu. Przymknął lekko oczy i już był w Stalingradzie w dywizji Das Reich. Niektórzy twierdzili, że lepsza była tylko pancerna dywizja Adolf Hitler złożona z fanatyków z Hitlerjugend, ale to były młokosy. Zbyt fanatyczni, wykrwawiali się w samobójczych atakach.

– Szykujemy się do wyjazdu do Francji, odeprzemy aliantów, złamiemy francuski ruch oporu, który nęka nasze dostawy. Zepchniemy wrednych Amerykańców i Brytoli do morza. Niech ich zeżrą ryby – wyszeptał do siebie Rudolf. – Już nigdy nie zobaczę śniegu. Widzę go po raz ostatni. Zginę na plaży w Normandii, prowadząc atak. – Westchnął ciężko. – A teraz to gówno. Odrodzony tu, w drugim życiu, siedzę zamknięty w szpitalu jak jakiś wariat. I tylko ja wiem, jaka jest prawda, że czasami odradzamy się powtórnie. To jest jakaś próba dla nas. Boże, czemu mnie pokarałeś? I nawet ona nie wie, kim jestem. Od razu ją poznałem, jak tylko spojrzałem w jej oczy. To nie żadna Jasmine, tylko moja słodka Irma. Ona też się odrodziła, tylko mnie nie pamięta. Ma mnie za zwykłego wariata.

– Mówisz coś? – spytał nagle Fester.

– Gówno, po prostu gówno – wyszeptał zamyślony Skinhead. Oczy miał zamglone.

– Dobra, nieważne. – Fester machnął ręką. Zawsze czuł się nieswojo sam na sam ze Skinheadem. Gdy była Jasmine, byli grupą. Gdy gdzieś zniknęła, ich wspólnota rozpadała się natychmiast. Jasmine niczym klamra spinała wszystko w całość. Fester wziął do ręki kubek i upił łyk zimnej, mętnej herbaty. On też zaczął patrzeć na padający śnieg.

## **Opuszczone miasto**

*Polska, Warszawa*

Z wolna, małymi krokami nadchodziło popołudnie. Później bardzo powoli zaczął skradać się wieczór. Zoo jak zaklęty ciągle siedział i palił. Zmieniał tylko

co chwila pozycję i dolewał do szklanki Jacka Daniel'sa. Gdy słońce zaczęło zachodzić, butelka była już prawie pusta. Kilkakrotnie dzwonił telefon, ale Zoo nie odebrał, nie sprawdził nawet, kto dzwoni. Chciał zniknąć, zdematerializować się, taką potrzebę czuła jego dusza.

Ocknął się w środku nocy z uczuciem olbrzymiego pragnienia. Zbolały poczłapał do lodówki. Nalał sobie szklankę zimnej wody. Podszedł do olbrzymiego okna i spojrzął na miasto. Nieliczne światła paliły się jeszcze w biurówkach. Ktoś tam jeszcze odwałł mrówczą robotę. Zoo wcale jednak nie cieszył fakt, że może oddawać się słodkiemu lenistwu i degustacji Jacka Daniel'sa. Wieczne wakacje są odarte z magicznego uroku. Wypił jeszcze jedną szklankę wody i na powrót poszedł spać, tylko tym razem dla odmiany uwalil się na wielkim okrągłym łóżku w sypialni.

Obudził go potężny ból głowy, który stalową obręczą zdawał się miażdżyć czaszkę. Tym razem rano wypadło w okolicach czternastej, co zważywszy na pustą butelkę Jacka Daniel'sa i tak było dobrym osiągnięciem. Zoo ponownie powlókł się do lodówki niczym do wodopoju. Napętnił szklankę zimną wodą z dystrybutora. To naprawdę było dobre rozwiązanie. Niewyczerpane prywatne źródło.

Połknął kilka tabletek przeciwbólowych i wyszedł na balkon zapalić porannego papierosa. Rozkoszował się dymem w najlepsze, gdy wtem jego uwagę przykuł pewien dziwny szczegół. Ulice były zupełnie puste, a przecież o tej porze powinien być duży ruch. Zdziwiony zbliżył się do balustrady. Wyjrzał na wyludnione miasto. Martwe ulice, żadnych samochodów ani przechodniów, po prostu zero jakiegokolwiek ruchu.

Wyrzucił niedokończony papierosa za barierkę i ruszył na poszukiwanie telefonu. Odnalazł go na kanapie między poduszkami. Bateria była na skraju rozładowania, ekran wyświetlał komunikat o utracie sieci. Nie namyślając się długo, założył w pośpiechu bluzę z kapturem i opuścił apartament. Wcisnął guzik, by przywołać windę, ale tu też zaskoczył go zupełny brak reakcji.

– To winda też zdechła? Pięknie – mruknął gniewnie i pchnął stalowe drzwi przeciwpożarowe prowadzące na schody. Zdyszany zbiegł z czterdziestego piętra. *Ciekawe, jaką będę miał zadyszkę, gdy będę wracał* – pomyślał.

Na parterze znajdował się obszerny hol. Za szerokim kontuarem zazwyczaj siedział recepcjonista Robert, teraz jednak jego fotel był pusty. Na oparciu

wisiała służbowa marynarka z identyfikatorem.

– Gdzie zniknąłeś, Robercie? – Zoo przechylił się przez kontuar i chwycił telefon recepcjonisty. – Chyba czas zadzwonić na policję – zdecydował. Wybrał numer, ale telefon zakomunikował, że sieć jest niedostępna. – Co się dzieje? – Zoo przetarł twarz, jakby chcąc się obudzić z koszmarne go snu.

Wyszedł na ulicę. Wiatr pędził strzępy gazet, a wokół nie było absolutnie nikogo, panowała zupełna cisza. Przeszedł kilka przecznic i nie spotkał żadnego człowieka ani zwierzęcia.

– To się nie dzieje naprawdę – jęknął. – To jakiś cholerny kac, mega delirium tremens. Może Kurczak ma rację i faktycznie za dużo piję? Muszę zrobić jakiś porządny detoks, bo będzie po mnie. Zacznę chodzić na siłownię. Przeszanę pieprzyć blogerki i nagram jakiś porządny kawałek. Dobra, czas zapalić.

Zoo skierował swoje kroki w stronę kiosku z gazetami. W środku oczywiście nikogo nie było, więc zbił szybę koszem na śmieci. Co prawda od razu pękła, ale wciąż trzymała się mocno dzięki folii ochronnej. Zoo na głodzie nikotynowym przypuścił frontalny atak. Kopał, walił koszem, ale wszystko na nic. W końcu dopadł niewielką stojącą reklamę i tak uzbrojony ruszył do ostatecznej ofensywy. Po krótkim, ale intensywnym natarciu szyba w końcu ustąpiła i z rozpędem wpadł do wnętrza.

Trzeba przyznać, że nałóg bywa często świetnym motywatorem dla mozolnych starań. Zawartość półek posypała się Zoo na głowę. Teraz dosłownie nurzał się w papierosach. Natychmiast rzucił się na podłogę i na czworakach zaczął szukać białej paczki Marlboro. Nurkował w papierosach niczym poławiacz pereł. W końcu zdyszany i zziębnięty pochwycił wymarzony łup. Z okrzykiem zwycięstwa usiadł na stercie rzeczy i odfoliował zdobycz. Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, ale natrafił na pustkę.

– No, to jest, kurwa, szczyt wszystkiego! – Ze złością kopnął nogą w ścianę, aż cała budka się zatrzęsała. – Spokojnie, stary, w końcu jesteś w kiosku, oni tu mają wszystko – mruknął do siebie i rozejrzał się uważnie. Po chwili znalazł paczkę zapalek. Z lubością zaciągnął się dymem.

Przed opuszczeniem pechowego kiosku podpalił gazetę i zostawił ją w środku.

– Już nikogo nie wkurzysz – rzucił na odchodnym, zabierając ze sobą kilka kartonów papierosów. Po przeciwnej stronie ulicy zauważył bank. Natychmiast

skierował tam swoje kroki. Otworzył ciężkie drzwi i wszedł do środka. Tu również nikogo nie było. Przechylił się przez kontuar. *To będzie najprostszy rabunek w historii* – pomyślał. Nie okazało się to jednak takie łatwe. Za kontuarem oprócz krzesła i kalkulatora nie było żadnej kasy, jedynie niewielki sejf zabezpieczony zamkiem cyfrowym. Zoo zaatakował krzesłem, ale sejf go zignorował.

– Upiekło ci się tym razem. – Zziębnięty Zoo machnął ręką i wyszedł na ulicę.

Niedaleko dojrzał sklep jubilerski. Tam poszło o wiele łatwiej. Po chwili wyszedł z niego obwieszony biżuterią. Na każdym palcu błyszczały byle jak wciśnięte pierścienie z brylantem. Na szyję założył pęk złotych łańcuszków. *Trzeba korzystać, zaraz wszystko wróci do normy, ale co wezmę, to moje.* Zahaczył jeszcze o sklep monopolowy, z którego zabrał kilka butelek wódki Pan Tadeusz 0,7 i litrowych puszek piwa Baltika. Zaopatrzył się również w Jacka Daniel'sa i colę. Na końcu ulicy wesołe płomienie skakały już po dachu kiosku, a kłęby czarnego dymu buchały w błękitne niebo.

Zoo pogwizdując, powrócił do swojego apartamentowca. Wcisnął kilka razy guzik windy, ale ta nie zareagowała.

– No a jakby inaczej, winda zepsuta na amen – mruknął zniechęcony. – Dlaczego nie kupiłem apartamentu na trzecim piętrze? Bo własny taras z basenem i mega widok na Warszawę? Idiota!

Po godzinie, w czasie której zaliczył kilka postojów, w końcu dotarł na sam szczyt. Sięgnął do kieszeni i nagle zdębiał. Nie miał kluczy. Zaczął w pośpiechu przeszukiwać ubranie. Z tego wszystkiego wyślizgnęła się jedna z butelek Jacka Daniel'sa i trzask! Rozbiła się w drobny mak.

Zoo zaklął siarczyście. By nie było więcej strat, postawił wszystkie butelki na podłodze i zaczął metodycznie sprawdzać zawartość kieszeni.

– Musiałem zgubić te klucze. Pewnie wypadły w tym kiosku, który spaliłem. Skończony idiota! – Zostawił stojącą przed drzwiami baterię alkoholi i ruszył z powrotem na klatkę schodową. – Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć klucze, bo inaczej będę spał na korytarzu. – Marzył już tylko o tym, by zaszyć się w mieszkaniu. Opustoszałe miasto miało w sobie coś upiornego.

Na szczęście znalazł zgubę na swoim piętrze, tuż przy drzwiach na klatkę. Musiały mu się wyślizgnąć. Szybko wszedł do mieszkania. Postawił alkoholową zdobycz na blacie w kuchni i zamknął drzwi na wszystkie zamki. Potem już spokojnie wrzucił potężną puszkę Baltiki do zamrażarki i wcisnął przycisk

Super Freeze. Wyszedł na taras i zapalił papierosa. Po niebie krążyły samotne ptaki. Na dole na ulicach wciąż żadnego ruchu, wszędzie absolutna cisza. Słońce już zachodziło i nadciągała noc.

Zoo zapalił wszystkie światła. Teraz jego rozległy apartament na ostatnim piętrze przypominał latarnię morską pośród morza mroku. Włączył Dominikański Chillout i poszedł po schłodzone w zamrażarce piwo.

– Nie ma jak zmrożona na kość Baltika – mlasnął. Usiadł na barowym stołku i palił, patrząc na puste niebo. Niespodziewanie zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. – No i koniec imprezki – westchnął. Wyłączył muzykę i wrócił do apartamentu. Na platformie CDA szybko odszukał swój ulubiony film, *Piąty element*. Nim minęły napisy, zdążył wstawić jeszcze popcorn i wziąć kolejną puszkę Baltiki. Tak upłynął wieczór.

Świt zastał go na kanapie. Zoo przeciągnął się, czuł się cały połamany. Wyłączył telewizor i powlókł się do łazienki. Umył zęby i poszedł spać do sypialni. Spał do południa, a gdy po przebudzeniu wyszedł z kawą na porannego papierosa, nic się nie zmieniło. Miasto było ciągle opustoszałe. Czuł się tak, jakby podstępni kosmici zapakowali wszystkich na wielkie statki i cichaczem odlecieli. Jego za karę, a może dla żartu, zostawili. Jednego na całej ziemi. Naprawdę przygnębiające uczucie.

Tego dnia okazało się, że wysiadł prąd. Zoo dowiedział się o tym, otwierając lodówkę, która stała w kałuży wody. Żywności nie było szkoda, bo Zoo nie trzymał w lodówce niczego do jedzenia. Zazwyczaj jadał na mieście albo zamawiał coś do domu. W każdym razie wódka się rozmroziła. Otworzył szafkę i wyjął paczkę zupy miso. To był cały jego prowiant.

– Muszę iść po jakieś jedzenie – mruknął i skrzywił się na myśl o wspinaczce po schodach.

Odtąd Zoo siedział wieczorami przy świecach. Zaczął chodzić wcześniej spać, bo ile można siedzieć w ciszy i gapić się na ciemne miasto. Ani jednego światła. Po dwóch dniach zabrakło wody, akurat gdy namydlił głowę szamponem. Zawsze się tak dzieje – woda zwykle wysiada, gdy myje się włosy. Zaczął więc czerpać ją z basenu. Nosił ją do kuchni, podgrzewał w dużym garnku i mył się w misce. Gaz na szczęście działał.

Do picia zużywał zapasy wody. Dobrze, że w schowku było kilka zgrzewek. Ale za to skończyło się mleko, a właściwie skisło, a Zoo nie był w stanie przetrknąć czarnej kawy. Wyprawił się więc do miasta, wtaszczył na górę

najpotrzebniejsze rzeczy i zaczął się zastanawiać, co robić dalej. Nie mógł przecież dekwalić się w apartamencie pośrodku pustki, to było bez sensu. Może coś się wydarzyło, może wybuchła wojna, a poza miastem było nadal jakieś życie? Takie myśli krążyły mu po głowie. Tego wieczoru, gdy słońce zaczęło zachodzić, zapalił świece w salonie i udał się do schowka. Znajdowała się tam szafka z bronią. Otworzył ją i wyjął karabin z lunetą. Usiadł na tarasie i jak snajper zaczął obserwować miasto.

Nie miał lornetki, ale luneta miała doskonałe przybliżenie i dobrze spełniała swą funkcję. Nagle aż podskoczył. Daleko na północy zobaczył coś niebywałego. Ulicą szedł na dwóch nogach przedziwny stwór. Cały szary i pomarszczony, jakieś pięć razy wyższy od normalnego człowieka. Przypominał trochę wielkiego ucztowiezonego jaszczura. Szedł powoli, nastuchując. Zaglądał ciekawie do okien mieszkań. Najwyraźniej czegoś szukał. Co chwila przystawał i rozglądał się bacznie na wszystkie strony.

Wtem Zoo obserwując stwora przez obiektyw lunety, złapał jego spojrzenie. Monstrum patrzyło dokładnie na niego. Zoo załomotało serce. Schował się za barierkę.

– Jak to możliwe, że mnie widział? – szepnął. – Może luneta błysnęła? – Nagle przypomniał sobie o świeczkach. Jak szalony wpadł do salonu i wszystkie pogasił. Może ten stwór już od dawna go tropił?

*Jaki ze mnie idiota. Zachowywałem się tu jak na wakacjach* – myślał w panice. Podbiegł do drzwi i upewnił się, że są zamknięte.

Potem wrócił na taras i chowając się za barierkę, zaczął szukać stwora. Ten jak na złość zniknął. Po prostu zapadł się pod ziemię. Zoo długo obserwował miasto, ale niczego już nie dostrzegł. Może to było przywidzenie? Bił się z myślami. Zapadła noc. Ze ściśniętym sercem powłókł się na kanapę. Usiadł i zaczął nastuchiwać, trzymając w ręku karabin. Zasnął, nie wiadomo kiedy i jak, mimo że miał czuwać. Nagle ocknął się w ciemności, usiadł i nadstawił uszu, ale panowała zupełna cisza. Wiedział jednak, że coś go wyrwało z drzemki.

Nieoczekiwanie usłyszał ciche pukanie do drzwi. Ciche, a jednak natarczywe. Aż podskoczył, a serce podeszło mu do gardła. Nie wiedział, co ma zrobić, myśli hulały w głowie jak szalone. Przetarł oczy. *Może tylko mi się zdawało* – pomyślał. Ale pukanie powtórzyło się, tylko tym razem bardziej stanowczo. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś wiedział o jego kryjówce. Cicho szedł z kanapy. Włączył małą latarkę, którą od czasu awarii prądu stale nosił

w kieszeni, i na palcach podkradł się do drzwi. Wyrzął przez wizjer, ale niczego nie zobaczył, bo na korytarzu panowały nieprzeniknione ciemności.

Wtem usłyszał przytłumiony kobiecy głos:

– Wpuść mnie. Wiem, że tam jesteś, widzę światło.

*No pięknie, trzeba było wyłączyć latarkę, skończony dureń* – pomyślał. W myślach policzył do trzech i z rozmachem otworzył drzwi. Na szczęście nie było tam dziwnego jaszczura. Na progu stała dziewczyna w bluzie z kapturem. Głowę miała opuszczoną tak, że nie widać było twarzy.

– Nie świeć po oczach. – Wyciągnęła przed siebie dłoń.

Zoo opuścił latarkę, a wtedy dziewczyna uniosła głowę i Zoo dojrzał błyszczące zielone oczy.

– Nie jesteś tu bezpieczny – powiedziała.

– Jak to? – Zmarszczył brwi.

– Ten stwór już wie, że tu się ukryłeś. Tropi cię już od dawna. Daj mi rękę.

– Skąd to wiesz?

Dziewczyna spojrzała mu głęboko w oczy. Nie zdjęła kaptura i widział tylko jej źrenice. To było dziwne uczucie, jakby coś z jej wnętrza zajrzało z zaciekawieniem do jego środka.

– Daj mi rękę – powtórzyła z mocą.

Zoo wyciągnął do niej dłoń i poczuł jej miękkie dotyk.

– Musisz mi zaufać. W końcu musisz komuś zaufać – szepnęła.

W tym momencie Zoo obudził się zlany potem i z bijącym sercem. Po dziewczynie nie było najmniejszego śladu, a za oknem świtało. Jak zwykle zasnął na kanapie. Powłókł się do łazienki, by umyć zęby. Idąc, spojrzał przez okno, by sprawdzić, czy miasto wciąż jest wymarłe. Mimo wczesnej pory po ulicach pędziły już jednak samochody.

Ten sen prześladował go już od dawna. Zawsze ten sam, nic się w nim nie zmieniało, może poza jakimiś drobnymi elementami. W myślach ciągle widział oczy dziewczyny i czuł dotyk jej ręki. Zupełnie jakby była realnym człowiekiem, a nie wytworem sennych marzeń. Zawsze po tym śnie odnosił wrażenie, że dziewczyna po prostu go odwiedza. *Jeżeli ona gdzieś jest i kiedyś się spotkamy, to poznam ją po oczach* – pomyślał. Może to było szalone, ale przecież czasami urzeczywistniają się najdziwniejsze idee.





## ROZDZIAŁ 8

*Kochać kogoś, to przede wszystkim pozwalać mu na to, żeby był, jaki jest.*

William Wharton, *Tato*

### **Kiedy Harry spotkał Sally**

*Kanada, Saint-Hyacinthe*

Harry Symond przyjechał na spotkanie godzinę przed czasem. Robił tak od lat, nigdy się nie spóźniał. Jako prywatny detektyw nie dawał sobie na to przyzwolenia, mogłoby to świadczyć o jego niesolidności. Może osoby z innych branż mogły sobie pozwolić na spóźniałstwo, może to czasami nawet pomagało w budowaniu marki. On nie mógł, a może nie potrafił. Miał już swoje przyzwyczajenia i sześćdziesiąt pięć lat na karku.

*Może taki artysta wręcz musi się spóźniać? Podobno im lepszy, tym dłużej każe na siebie czekać. Ci najlepsi pewnie wcale nie zjawiają się na spotkaniu.* – Harry uśmiechnął się do swoich myśli.

Siedział w Srebrnym Kole, jednym z przydrożnych barów jakich pełno na wyjeździe z Saint-Hyacinthe. Na parkingu stały rzędem zaparkowane ciężarówki, a w środku baru grube, obite sztuczną skórą kanapy, wytarte stoliki i specjalność zakładu – szarlotka na ciepło z lodami i naleśniki. Maria, energiczna kelnerka, bardzo je polecała.

– Jeszcze kawy? – zapytała, przechodząc obok z dzbankiem.

– Tak, poproszę – odparł Harry. *Chyba wpadłem jej w oko. Już drugi raz pyta mnie o kawę* – pomyślał.

Z uśmiechem nalata mu mocnego napoju, patrząc na niego z ukosa. Spojrzał na jej zniszczone od pracy ręce. Na serdecznym palcu nie było ślubnej obrączki.

*Już długo jest kelnerką* – zauważył w myślach. *Pracuje tu od zawsze, to jej miejsce, chodzi po tej sali jak po swoim pałacu. Dobrze wykonuje swoją pracę i nie ma się czego wstydzić. Jest najlepsza, sprzedaje najwięcej naleśników, gdyby*

*trzeba było, to zachwalałaby pieczone szczury. Nie ma co, prawdziwa służbistka, od razu to widać. Ma pewnie swoją dewizę, która brzmi: to, co jest do zrobienia, po prostu trzeba zrobić, więc lepiej załatwić to szybko i sprawnie. Potem pewnie wraca do swojego schludnego mieszkania, gdzie na komodzie stoi zdjęcie zmarłego męża. Takie kobiety się nie rozwodzą, mają w sobie za dużo przyzwoitości.*

Harry czuł się artystą w swoim fachu. Był naprawdę świetnym detektywem. Dodatkowo zawsze miał swoje zdanie, które opierało się na obserwacji życia. Energia kobiet według Harry'ego brała się zazwyczaj z ud. Te zaokrąglone były najlepsze. Czasami zdarzały się wyjątki, ale cóż, wyjątek tylko potwierdza regułę. Najlepsze usta to oczywiście te pełne – w nich zamykał się pogodny charakter.

Symond istotnie miał dobre oko. Maria dobiegała sześćdziesiątki i od zawsze pracowała w tym barze. Tego dnia chciała zostać w domu na kanapie pod kocem, ale szef poprosił, żeby przyszła. Lubiała swoją pracę. Tak jak przypuszczał detektyw, jej wynajmowane niewielkie mieszkanko na pierwszym piętrze było czyste i uporządkowane. Harry pomylił się tylko w jednym: Maria co prawda kiedyś miała męża, ale on wcale nie umarł – kobieta najzwyczajniej w świecie się z nim rozwiodła. Jej mąż Edwin zawsze rano brał prysznic, wesóło przy tym pogwizdując. Pewnego dnia Maria parzyła kawę i po raz tysięczny usłyszała jego radosne gwizdy.

*Nie, tego nie da się znieść – pomyślała. Nie mogę do śmierci słuchać tych koncertów.*

Niedługo potem rozwiodła się z Edwinem. Ale to było dawno, kiedy była młoda i myślała, że życie stoi przed nią otworem. A życie, jak to życie, ukradło jej tylko czas. Dni szybko minęły i oto pewnego dnia obudziła się, mając pięćdziesiąt dziewięć lat i całą masę siwych włosów, które z trudem pokrywała farba. Nie miała partnera ani dzieci. Życie jest podstępne. Kiedy jesteśmy młodzi, mami nas, że wszystko jest możliwe, że osiągniemy wszystko, co chcemy, wystarczy tylko zakasać rękawy do pracy. Ale wcale tak nie jest. Maria miała całe dni wypełnione pracą, a jednak czegoś zabrakło, może zwyczajnie tego, by na chwilę przysiąść i po prostu zastanowić się nad wszystkim. Tak właśnie pomyślała pewnego dnia. To było dokładnie w jej pięćdziesiąte dziewięte urodziny. Od tej pory zawsze spoglądała śmieiej na mężczyzn, którzy wpadli jej w oko.

Wcześniej miała zasady, nigdy nie flirtowała z klientami, chociaż podobała się mężczyznom i otrzymywała od nich różne propozycje. *Tyle czasu zmarnowałam* – myślała często. Miała rację, jej były mąż ułożył sobie życie i teraz pogwizdywał w nowej łazience, w nowym domu, a słuchała tego jego nowa żona. Życie Edwina przypominało kulę, rozrastało się w każdą stronę. Może w tym gwizdaniu było jednak coś inspirującego?

Teraz Maria częściej przechadzała się po sali. Harry mógł się podobać – atletyczna sylwetka, mocne dłonie (Maria zawsze lubiła potężne ręce u mężczyzn), głęboki głos i to spojrzenie szelmy. Czoło miał porane bruzdami, widać, że wiele przeszedł. Pewni ludzie w jednym życiu przeżywają jakby kilka istnień. Właśnie do takich typów ciągnęło Marię. Jej coś uciekło, więc starała się pochwycić coś innego. Życie polega na tym, by w końcu coś dogonić i złapać, w przeciwnym razie człowiek nie zazna spokoju. Kelnerka ukradkiem przyjrzała się dłoniom Harry'ego, ale nie widać było obrączki ani śladu po niej.

Harry spojrzął na zegarek. Do spotkania z klientką pozostało jeszcze pół godziny. Ponownie zatopił się w rozmyślaniach. Miał kiedyś żonę i syna, ale to wszystko zasnuła mgła przeszłości. To był skrzętnie skrywany przez Harry'ego sekret. Od prawie dwudziestu lat z nikim o tym nie rozmawiał. Jednak już od jakiegoś roku zaczęło chodzić mu po głowie nowe małżeństwo. Ot tak, po prostu. Ta myśl pojawiła się sama. Rozglądał się więc bacznie, podchodząc do pomysłu jak do zadania. Znaleźć żonę, towarzyszkę, przyjaciółkę. Nie gderliwą jędzę, nie takiej kobiety szuka się po sześćdziesiątce. To musiało być coś. Dodatkowo osoba niewiele młodsza, ktoś na resztę życia.

Harry coraz bardziej pogrążał się w rozmyślaniach, a czas mijał niepostrzeżenie. W końcu nadeszła godzina dziesiąta i do baru weszła szczupła kobieta z sięgającymi ramion jasnymi, lśniącymi włosami w odcieniu cynamonu. Pół jej twarzy zakrywały duże przyciemniane okulary.

*To na pewno ona – pomyślał Harry. Taka trochę dama. Idealna w każdym calu.*

Dla Harry'ego było jasne, że kobieta stara się coś ukryć, załatwić jakąś na wpół legalną sprawę. Wprawne oko byłego policjanta od razu namierzyło podejrzaną. Tak samo jest z pijanymi kierowcami. Policja szybko ich wytapuje. Z reguły zatrzymywani są ci, którzy jadą w nienaturalny sposób, co od razu sugeruje, że coś ukrywają: jadą za wolno, czają się. *Ludzie są tacy naiwni, czasami zupełnie jak dzieci. A wystarczy tylko zachowywać się najnormalniej*

*w świecie, po prostu nie rzucać się w oczy. Gdybym ja był przestępcą, nikt nigdy by mnie nie złapał* – pomyślał Harry.

Kobieta szła powoli przez salę, szukając kogoś wzrokiem. Harry wyprężył się, by było go dobrze widać, i spojrzał na nią wymownie. Minęła go jednak bez słowa.

*Co jest?* – pomyślał. *Przecież to na pewno ona, dałbym sobie głowę uciąć.*

Obejrzał się, kobieta przeszła przez całą salę i usiadła na końcu przy wolnym stoliku.

*I co teraz? Może to jednak nie ona?*

Wtem zadzwoniła komórka. Harry odebrał.

## **Gdzie jest Sally?**

*Kanada, Saint-Hyacinthe*

– Dzień dobry, przepraszam, że dzwonię. – Z telefonu dobiegał bezradny kobiecy głos.

– Nie ma problemu... Proszę mówić – zachęcił ją Harry.

– Chyba coś pokręciłam, albo godzinę, albo miejsce. Sama zresztą nie wiem. W każdym razie siedzę w barze, ale pana nie ma.

– A w jakim barze pani siedzi? – spytał lekko rozbawiony Harry.

– No, w tym... – zająknęła się kobieta – Złotym Kole.

– Chyba srebrnym? – poprawił ją.

– Tak, tak – przytaknęła skwapliwie. – Oczywiście, że w srebrnym. Przepraszam, przejęzyczyłam się.

– Trzeba przyznać, że te kruszce czasami się mylą – odparł z udawaną powagą.

– Tylko... kiedy pan będzie? Rozumiem, że jest jakieś opóźnienie, korek czy coś w tym stylu...

– Żaden korek i o żadnym spóźnieniu nie może być mowy – zaprotestował Harry.

– To ja już sama nie wiem – jęknęła kobieta. – Chyba wszystko zupełnie pokręciłam... Chce pan zrezygnować? Proszę mi to powiedzieć wprost.

– Wydaje mi się, że minęła mnie pani.

– Jak to?

– Dostownie przed minutą obok mojego stolika przeszła atrakcyjna kobieta. Miała przeciwsłoneczne okulary i beżowy płaszcz, czy to przypadkiem nie pani?

– Tak, to ja. Przepraszam, jestem taka zdenerwowana. Najwyraźniej nie zauważyłam pana – odparła pośpiesznie. – I co teraz?

– Po prostu wstanę i podejść do pani stolika. – Uśmiechnął się szeroko.

– No tak, oczywiście. – Kobieta odetchnęła z ulgą.

Harry wstał, zabrał płaszcz leżący obok i ruszył na koniec sali.

– Przepraszam, przesiadam się, przyszła moja znajoma – zwrócił się do kelnerki, którą profilował przez ostatnie pół godziny.

– O, jakoś nie wpadł jej pan w oko – odparła Maria przekornie.

– Taki ze mnie niepozorny facet – odpowiedział.

Kelnerka oddaliła się z uśmiechem, a Harry dosiadł się do stolika Sally.

– Witam, Sally Paterson. – Kobieta wstała i podała mu wypielęgnowaną dłoń.

– Bardzo mi miło. – Harry uścisnął jej rękę, ale uważał, by przypadkiem nie zrobić tego za mocno. W kobiecie było coś kruchego i musiał przyznać, że była bardzo atrakcyjna. W jej wyglądzie zostało wiele śladów młodości, kiedy naprawdę musiała łamać męskie serca na pół niczym wprawny karateka. Ale to nie było dobre porównanie. W rzeczywistości to powściągliwość w zachowaniu Sally zawsze intrygowała mężczyzn.

– Proszę, niech pani zdejmie okulary, nie ma aż takiego słońca – zachęcił ją detektyw.

– Ma pan rację, przez nie chyba za bardzo rzucam się w oczy. – Sally drżącą ręką schowała okulary do etui.

Tego dnia była rozkojarzona. Byli umówieni z mężem na oglądanie wymarzonego domu nad jeziorem, ale Thomas wykręcił się pod pretekstem konieczności oddania wozu do serwisu. Sally czuła, że wszystko bierze w łeb. Thomas jak zwykle stawiał bierny opór. Był za sprytny, by w oczy powiedzieć jej „nie”.

*Przynajmniej zrealizuję część tego, co zaplanowałam – pomyślała Sally, spoglądając na detektywa.*

## **Zauroczenie Harry'ego**

*Kanada, Saint-Hyacinthe*

Kiedy Sally zdjęła przyciemniane okulary, Harry w końcu mógł spojrzeć jej w oczy. Były błękitne i migotały w nich wesołe punkciki. *Naprawdę piękne oczy* – pomyślał. Sally jakby to odgadła i na moment zmieszana się. Detektyw zganiał się w duchu za brak profesjonalizmu i spuścił wzrok. Dla odmiany spojrzął na dłonie kobiety. Na jednym z palców widniała obrączka, a na drugim pierścionek z dużym brylantem. *Czemu ja nigdy nie mogę spotkać takiej kobiety?* – pomyślał z lekką goryczą.

– Naprawdę nie ma powodów do nerwów – zwrócił się do Sally. – Nie chce mi przecież pani zlecić niczego nielegalnego.

– Oczywiście, wykluczone – zaprotestowała żywo.

– Tak więc proszę, może pani mówić...

– Tak teraz? Już?

– Ma pani rację, na początek zamówmy kawę. – Spojrzął jeszcze raz w oczy Sally. Polubił ją, chociaż w ogóle jej nie znał. To było bardzo dziwne, nigdy nie przytrafiło mu się nic takiego.

Gdy kelnerka Maria przyniosła kawę, rzuciła kobiecie mordercze spojrzenie. Sally nawet na nią nie spojrzała. Naprawdę miała w sobie coś z arystokratki. Harry zaczął słodzić, zajęło mu to trochę czasu, bo wsypał pięć łyżeczek cukru.

– Oj, nie wiem, czy to się rozpuści. – Sally uśmiechnęła się.

– Życie trzeba sobie dosładzać, to moja dewiza.

– Ja wzięłam rozwód z cukrem już wieki temu – odparła z godnością.

Harry chciał powiedzieć, że ma inny, o wiele poważniejszy rozwód za sobą, ale ugryzł się w język. *Żadnych wycieczek osobistych* – skarcił się w myślach. To była jego główna zasada.

– Skoro już mamy kawę, to porozmawiajmy o sprawie, która panią do mnie sprowadza.

– Tak, oczywiście, już wszystko mówię, tylko nie wiem, od czego zacząć. To bardzo zagmatwane.

– Czy to dotyczy pani męża?

– Nie, Thomas nie ma w tym nic wspólnego – ucięła.

*A to szkoda* – pomyślał zawiedziony Harry. Miał nadzieję, że facet coś przeskrobał. Mężowie pięknych żon zazwyczaj nie zasługują na nie ani trochę.

– Chodzi o bardzo delikatną sprawę. – Sally rozejrzała się, ale wokół było raczej pustawo. Żaden z sąsiednich stolików nie był zajęty. Tylko z oddali Maria

przyglądała się ich spotkaniu z wyraźnym zainteresowaniem.

– Chodzi o ustalenie miejsca pobytu pewnej osoby.

– To ktoś z pani rodziny? – zainteresował się Harry.

– To moja sąsiadka.

– Zamieniam się w słuch.

– Pięć lat temu widziałam, jak dokonuje morderstwa...

– Jeżeli pani sąsiadka kogoś zamordowała, to zapewne przebywa w więzieniu – odparł powoli Harry.

– Zapewne słyszał pan o tej sprawie. Trzynastoletnia dziewczyna kilka lat temu zabiła całą swoją rodzinę.

– Chodzi o Jasmine Reynolds? – zapytał detektyw, a Sally przytaknęła. – Tak, słyszałem o tym. Proszę powiedzieć, jak to się właściwie skończyło?

– Byłam głównym świadkiem oskarżenia, ale tej małej nie udowodniono zabójstwa, wykpiła się.

– Jak to zwykle bywa. Prawnicze sztuczki – zauważył z krzywym uśmiechem. – Dwadzieścia lat pracowałem w policji. My łapiemy, a oni wypuszczają – stwierdził cierpko.

– Ona siedzi gdzieś w jakimś zakładzie, ale niedługo wychodzi, możliwe, że już za chwilę – powiedziała Sally.

– Rozumiem, że mam ustalić gdzie obecnie przebywa?

Harry lubił intrygujące sprawy, a ta była nad wyraz interesująca. Czuł już lekki dreszczyk emocji. Był w swoim żywiole.

– Dokładnie tak, chcę, żeby ją pan odszukał.

– I co dalej?

– Nic. – Sally wzruszyła ramionami. – Po prostu chcę wiedzieć, gdzie jest. Jako główny świadek czuję się zagrożona.

– Czy mieszka pani nadal w tym samym domu?

Sally w odpowiedzi skinęła głową.

– To radzę się wyprowadzić, lepiej nie mieć do czynienia z tą małą. – Harry wziął łyk kawy. – Mam nadzieję, że nie chodzi pani po głowie wznawianie procesu czy coś takiego?

– Nie! – Sally zaprotestowała. – Wiem, że to niemożliwe.

– Dokładnie, nie można sądzić kogoś dwa razy za to samo przestępstwo. Swoje odsiedziała. Ustalenie jej pobytu będzie kosztowało więcej niż zwykła sprawa. Tu nie chodzi o wyjaśnienie, gdzie wieczorami szwenda się mąż.

– Rozumiem, proszę mi zatem powiedzieć, na jaką sumę muszę być przygotowana.

– Za chwilę do tego przejdziemy – odparł Harry. – Ważne jest to, że pani sąsiadka w chwili czynu była osobą niepełnoletnią. – Zniżył głos. – Zgodnie z naszym prawem jest teraz dzieckiem plakatu i to komplikuje nam całą sprawę.

– Dzieckiem plakatu? Co to oznacza? – Sally zmieszła się.

– Ta dziewczyna została objęta specjalnym programem resocjalizacji. Rząd zapewne nada jej nową tożsamość, być może już to zrobił – wyjaśnił Harry. – Miejsce jej pobytu jest objęte tajemnicą, a szukanie jej w celu odkrycia nowej tożsamości jest zabronione. Dostała szansę na nowe życie. Ma trafić do społeczeństwa jako zupełnie nowa osoba. Czy wie pani, że nawet publikowanie jej starego imienia i nazwiska jest zabronione pod groźbą kary?

– Tak, to akurat wiem, ale uważam, że to chore.

– Rząd ma jednak inne zdanie. Mówiąc o niej, można tylko używać inicjałów, tak jak robili to dziennikarze. Wszędzie pojawiała się jako JR.

– Widzę, że w tym kraju najbardziej dba się o przestępców. A kto ochroni mnie? – Sally skrzyżowała ręce na piersi.

– Rozumiem pani wzburzenie, ale to bardzo delikatna sprawa. Muszę mieć pewność, że zdobyte przeze mnie informacje nie posłużą do nielegalnych celów.

Sally przytaknęła.

– Będą one wyłącznie do pani wiadomości. Nie wolno pani nikomu przekazać informacji, które pozyskam. Jeżeli pani to zrobi, będzie miała wielkie problemy. To bardzo niebezpieczna gra. Mogę wiedzieć, po co pani ją rozpoczyna?

– Po prostu chcę wiedzieć.

– Nie lepiej się wyprowadzić? – Zmarszczył brwi. – Zapomnieć o tym wszystkim, żyć spokojnie w innym domu?

– Skoro ja mogę ją znaleźć, to ona równie dobrze może znaleźć mnie, czyż nie tak? – zauważyła przytomnie Sally.

– Oczywiście, ludzie pozostawiają ślady, po których specjalista – wskazał na siebie – bez trudu może odszukać każdego wszędzie. Chcę tylko powiedzieć, że gdy się pani wyprowadzi, to mało prawdopodobne, by ona pani szukała. Dostała nową tożsamość, zaczyna nowe życie. Spotkanie z panią wiązałoby się także dla niej z niebezpieczeństwem. Ona z pewnością ma



już dosyć przebywania w zamknięciu – perorował. – Mam jedno pytanie – powiedział w końcu.

– Słucham.

– Czy jeżeli ustalę, jak obecnie się nazywa i gdzie przebywa Jasmine, to czy będzie pani chciała się z nią spotkać?

– Oczywiście, że nie. Zamierzam się wyprowadzić, ale... mąż... to nie są tylko moje decyzje. – Sally rozłożyła ręce.

– Mógłbym z nim porozmawiać, uświadomić mu pewne rzeczy... Może on nie rozumie powagi sytuacji. Już dawno powinniście państwo byli zmienić dom. Jest tyle pięknych miejsc, w których można mieszkać bez bagażu smutnych wspomnień.

Sally uniosła brew, a jej oczy błysnęły z zainteresowaniem. Ten detektyw zaczynał się jej coraz bardziej podobać.

– Nie, to nie będzie potrzebne, w zasadzie już go przekonałam – odparła powoli. Lojalność jednak zwyciężyła. Sally zdusiła w zarodku propozycję detektywa, jakby bojąc się samej siebie. – Wracając do sprawy, po prostu chcę wiedzieć, jak ta mała się obecnie nazywa i gdzie przebywa. Przynajmniej będę miała pewność, kogo się wystrzegać. Boję się, że mogła zmienić wygląd i nawet jej nie rozpoznam, kiedy ją spotkam.

– Istnieje taka możliwość. – Harry pokiwał ze zrozumieniem głową. – Rząd czasami umożliwia takim osobom pewne korekty plastyczne. Nawet nie wie pani, jak mało potrzeba, by człowiek zmienił się nie do poznania.

– Cieszę się, że mnie pan rozumie.

– Mogę przyjąć to zlecenie. Ale niech pani nie robi nic więcej z informacjami, które zdobędę. Ta dziewczyna jest bardzo niebezpiecznym i przebiegłym człowiekiem.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– To będzie taka kwota. – Harry zapisał na serwetce sumę trzech tysięcy dolarów.

– Akceptuję warunki – odparła szybko Sally. – Zależy mi na czasie i dyskrecji. Kiedy mogę się spodziewać wiadomości od pana?

– Myślę, że jeszcze przed świętami dostarczę pani komplet informacji. Wówczas rozliczymy się gotówką.

– Tak szybko? – zdziwiła się.

– Jestem profesjonalistą. Czy koleżanka, która mnie polecała, nie wspominała o tym?

– Rzeczywiście, bardzo szybko się rozwiodła – zauważyła rozbawiona Sally.

– Dzięki mojej pracy – dodał. – Zadzwoń, jak tylko coś ustalę. I niech się pani przeprowadzi.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się.

Wstali i uścisnęli sobie ręce. Trwało to jednak o wiele za długo. Coś ich przyciągało do siebie. Harry spostrzegł to, Sally również. Zmieszali się obydwójce jak dwójka nastolatków.

– Zapomniałabym na śmierć – powiedziała nagle Sally.

– Co się stało? – Harry'emu mocniej забиło serce.

– Nie zapytałam pana, czy mam zapłacić jakąś zaliczkę. Mogę podejść do bankomatu, jest tuż za rogiem.

– Nie ma takiej potrzeby – uspokoił ją. – Chyba mnie pani nie oszuka. Rozliczymy się na koniec zlecenia.

– O to się proszę nie obawiać, nigdy nikogo nie oszukałam.

Harry nic nie odparł, to były jego słowa. Sam zawsze tak mówił. Stał teraz zmieszany, a Sally patrzyła na niego badawczo.

– Naprawdę, proszę mi wierzyć, nie oszukam pana.

– Przepraszam, zamyśliłem się. – Dotknął ręką czoła i uśmiechnął się bezradnie.

*No proszę, brutal o czułym sercu* – pomyślała Sally. Widziała, jakie zrobiła wrażenie na tym mężczyźnie. Wstała i ruszyła do wyjścia, lekko kotłując biodrami. Detektyw musiał przyznać, że miała naprawdę świetną figurę. Gdy przepuszczał ją w drzwiach, spojrzeli na siebie ostatni raz. Harry'emu naprawdę było przykro, że odchodziła. W jednej chwili poczuł się okropnie samotny.

Sally szybko skręciła za róg, gdzie wcześniej zaparkowała. Jej też nie było do śmiechu. Serce biło jej mocno. Ten nieznajomy facet rozumiał ją lepiej niż Thomas, z którym przeżyła szmat czasu i wychowała dwójkę dzieci. *Jak to możliwe?* – zapytała w myślach sama siebie. Idąc do wozu, rozmyślała o tym, jak przez te lata oddalili się z Thomasem od siebie. Miała wrażenie, jakby był dla niej obcym facetem. Ten detektyw bardziej interesował się jej sprawami niż jej własny mąż. Nawet kilka razy doradzał wyprowadzkę. Był po jej stronie, wiedział, że Jasmine to groźna psychopatka. Nie bagatelizował tego jak Thomas,

który po godzinach pracy w biurze najwyraźniej obojętniał na jej problemy. No i jeszcze to nabite, sprężyste ciało. Taki typ faceta z dwudniowym zarostem, który pójdzie do lasu i siekierą narąbie drzewa. Nie będzie się przy tym bał kleszczy, komarów ani odcisków na dłoniach.

Sally odgoniła te fantazje i posmutniała, bo w myślach zobaczyła blade, rozmiękłe ciało Thomasa. Otworzyła wóz i chwilę siedziała w nim bez słowa. *Thomasie Paterson, lepiej kup ten dom nad jeziorem, bo nie wiem, jak będzie* – pomyślała i odpaliła silnik. Coś z wolna zaczęło w niej kiełkować. *Kiedy Harry poznał Sally* – to była jej ulubiona komedia romantyczna. Jadąc, lekko uśmiechała się do siebie.

## ROZDZIAŁ 9

*Nie można przeżyć na nowo czasu, który się już raz przeżyło.*

F. Scott Fitzgerald, *Wielki Gatsby*

### **Harry wraca do domu**

*Kanada, Lac-Écho*

Po wyjściu ze Srebrnego Koła Harry ruszył w przeciwną stronę niż Sally. Szedł powoli, a jego buty rozgniatały świeży śnieg, który skrzypiał przy każdym kroku. Idąc wzdłuż witryny baru, złapał wzrok Marii sprzątającej stolik. *Mogłem się przynajmniej umówić z kelnerką. Nie można gonić za czymś nieosiągalnym. Może właśnie to ta osoba? Tamta kobieta ma męża i pewnie go kocha. Jest tylko kolejnym zleceniem* – przemknęło mu przez myśl. Schylił się i zgarnął trochę śniegu. Szybko uformował kulkę i lekko rzucił nią w witrynę.

Maria podniosła głowę zaskoczona. Pokiwał do niej, a ona posłała mu uśmiech. *Harpun zarzucony* – pomyślał. *Teraz na pewno mnie zapamięta. Po rozwiązaniu sprawy wrócę tu i wypiję z nią kawę.* Dziarskim krokiem ruszył do wozu. Nie chciał być nostalgiczny, szybko otrząsnął się z tego dziwnego uczucia po spotkaniu. Zaczął myśleć o zleceniu. Czuł to lekkie podniecenie związane z niebezpieczeństwem, a ta nowa sprawa była niebezpieczna. Naprawdę lubił to. *Ja chyba nigdy nie przejdę na emeryturę* – pomyślał, zatraskując drzwi wozu. *Umarłbym z nudów.* Uruchomił silnik i ruszył do domu. Już wiedział, od czego zacznie poszukiwania.

Minął Montreal i ruszył boczną drogą do domu położonego w lesie nad jeziorem Lac-Écho. Zaparkował wóz na podjeździe i wszedł na ganek. Po prawej stronie wejścia utworzyła się mała kałuża wody, teraz z powodu mrozu była zamarznęta. *Trzeba w końcu naprawić ten przeciek* – pomyślał. Wszedł do domu, który był mroczny i ponury, zupełnie jak jego nastrój. *Muszę się napić* – stwierdził i udał się do kuchni, gdzie nalał sobie Jacka Daniel'sa. Potem usiadł na kanapie w salonie i z ciężkim westchnieniem wziął

pierwszy łyk, który rozgrzał mu gardło. Przynajmniej whiskey zawsze smakowała tak samo. Harry miał swoją tajemnicę. Teraz siedząc na kanapie, powrócił do niej myślami.

## **Tajemnica Harry'ego**

*Kanada, Lac-Écho*

Harry nalał sobie kolejną szklankę Jacka Daniel'sa. To, co wydarzyło się pomiędzy nim a jego synem Alexem, nie powinno mieć miejsca. Detektyw czuł to teraz bardzo wyraźnie. Syn nie powinien zachowywać się tak w stosunku do ojca. A wszystko przez głupią sprawę. To były stare dzieje, dwadzieścia lat temu pod koniec studiów Alex wyjechał na wakacje do Europy, gdzie poznał jakąś dziewczynę. Po powrocie zaczął się jednak spotykać z inną. Nawet się z nią zaręczył. Jednak pewnego dnia, kiedy jeszcze pomieszkiwał w domu rodzinnym, zadzwoniła jego wakacyjna przyjaciółka. Traf chciał, że tego dnia nie było go w domu i to Harry odebrał telefon. Powiedział dziewczynie całą prawdę, że jego syn się żeni, żeby dała sobie z nim spokój. Może zrobił to zbyt ostrym tonem, ale uważał, że trzeba być fair. Sam zawsze był w porządku wobec ludzi, nigdy nikogo nie oszukał. Zły był wtedy jak diabli na Alexa.

Kiedy po jakimś czasie jego syn dowiedział się o tym, wpadł we wściekłość. Właśnie rozstał się z narzeczoną i chodził jak beczka prochu. Ta mała sprawa była iskrą, która spowodowała wybuch. Alex oznajmił, że tamta dziewczyna z wakacji była jego prawdziwą miłością i że Harry wszystko zepsuł.

– Ty zawsze wszystko niszczysz! – wykrzyczał wtedy. Może to była tylko zwykła awantura, ale Harry zapamiętał ją, słowa syna zraniły go. Nie dał jednak po sobie nic poznać, tylko po cichu zaczął budować wokół siebie mur.

Alex później dzwonił do tej dziewczyny, ale nie chciała z nim rozmawiać. *Jednak miała charakter. Nie można dać się traktować jak towar zastępczy* – myślał o całej sprawie Harry. Kłopoty lubią chodzić parami. Jest wiele prawdy w tym powiedzeniu, o czym Harry przekonał się na własnej skórze. Dziwił się, że jego żona Lucy nie kwapiła się, by pogodzić zwaśnionych domowników, okazało się jednak, że była zajęta zgoła czym innym. Jej uwagę zaprzętał płomienny romans z agentem nieruchomości Johnem Brodym. To był ich wspólny znajomy. Harry mówił o nim Pan Tupecik albo Sztuczny Ząbek. W rzeczy samej Brody był typem podstarzałego playboya, jeździł sportowym czerwonym kabrioletem

i ubierał się w najlepsze garnitury. Harry ani przez moment nie czuł się zagrożony i był to błąd. Czasem pojawiające się niespodziewanie romanse potrafią uderzyć z siłą tornada. I tak po niedługim czasie detektyw został zupełnie sam. Żona odeszła w siną dal z agentem, a syn również się od niego odsunął. Za rozpad małżeństwa obwinił Harry'ego, co było zupełnie bez sensu, bo to przecież nie Harry odszedł z Panem Tupecikiem. Czasami życie naprawdę potrafi zaskoczyć. Człowiek otoczony jest ludźmi, a tu nagle trach, zostaje sam jak palec. Dobrze, że Harry miał pracę, to jedno mu pozostało.

Zresztą nie miało to obecnie żadnego znaczenia. Nie można przecież żyć przeszłością, rozpamiętywać hipotetycznych sytuacji. To jest droga wprost na zapomnianą bocznicę zardzewiałych wagonów kolejowych. W powietrzu unosi się woń smaru, a na ziemi płożą się kłujące zielska. To nie jest dobre miejsce. Z takiej bocznicy żaden pociąg już nie wyjedzie. Harry dobrze o tym wiedział i nie zamierzał się poddawać.

### **Philip Qusack**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Philip Qusack przyjechał do szpitala jak zwykle spóźniony. Pospiesznie przywitał się z pielęgniarkami i wszedł na oddział. Musiał się jednak cofnąć, bo zostawił na blacie recepcji wysłużoną skórzaną teczkę. Gdy po nią wrócił, pielęgniarki chichotały.

– Chomik znowu zapomniał teczki – szeptały rozbawione.

To było jego sekretne przezwisko, ale dziwnym trafem każdy w szpitalu je znał, łącznie z pensjonariuszami. Nie wiadomo, kto je wymyślił, ale trzeba przyznać, że idealnie pasowało do Philipa Qusacka: wypisz wymaluj przypominał dużego chomika. Nawet podobnie ruszał nosem, zupełnie jak gryzoń.

Philip akceptował swoje przezwisko. Trzeba podkreślić, że cechowało go ambiwalentne podejście do wszystkiego.

– On chyba musi coś palić – plotkowały pielęgniarki. – A może sam sobie przepisuje jakieś leki? Tylko żeby mu nie odwalilo po tych psychotropach i żeby to się nie skończyło tym, że wpadnie tu kiedyś z siekierą niczym Rambo i łby nam wszystkim poobcina.

Tak żartowano sobie z Qusacka i było w tym dużo racji, gdyż zawsze był wyluzowany, i to aż zanadto. Sprawiał wrażenie nieobecnego, jakby cały czas śnił na jawie. Ruchy miał ospałe, a gdy szedł, zdawało się, że nogi same go niosą. Powieki ciążyły mu niemiłosiernie, jakby ciągle drzemał. Jednak wcale nie palił skrętów ani nie brał psychotropów. Miał za to inny nałóg, starannie ukrywany i o wiele bardziej ekscytujący.

Tego dnia Philip Qusack od razu skierował swe kroki do pokoju Jasmine. W jednej ręce niósł teczkę, a w drugiej kubek z kawą i muffinkę, która prawie wypadła mu z ręki. Kubek boleśnie parzył w palce. Chomik niemal biegł truchtem, żeby jak najprędzej dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Korytarz na tym odcinku był pusty. Nie było tu żadnego stolika, na którym mógłby na chwilę postawić rzeczy i upić trochę kawy, która zalewała mu mankiet koszuli.

Gdy dotarł na miejsce, czubkiem wystużonego buta zapukał w drzwi. Odpowiedziała mu cisza. Zapukał ponownie, znowu cisza. *Cholera, chyba jej nie ma* – pomyślał w panice. Znowu kopnął w drzwi, tym razem bardziej energicznie. Muffinka prawie wypadła mu z ręki. *Już drugiej takiej nie kupię* – pomyślał. To było ostatnie ciastko w barku. Wszystko tam było niedobre, poczawszy od kawy i skończywszy na herbacie. Nawet cola w małych butelkach wydawała się jakaś niesmaczna, a przecież wiadomo, że cola w małych szklanych buteleczkach jest najlepsza. W szpitalnym barku wszystko było okropne. Wszystko oprócz muffinek, które w swym wnętrzu skrywały lekko płynną czekoladę. Dlatego już po dziesiątej były sprzedane i zostawały po nich tylko czekoladowe okruszki. Zapewne i na nie znalazłby się amator, ale nikomu nie przyszło do głowy wystawić okruchów na sprzedaż.

Nagle drzwi otworzyły się i stanęła w nich Jasmine, piękna jak zawsze, mimo legginsów i za dużego T-shirtu z Myszka Minnie.

– Co tak pukasz jak wariat, szpital się pali? – spytała z cynicznym uśmiechem.

– Widzę, że księżniczka bez nastroju.

– Bez nastroju – prychnęła. – Przecież rano księżniczka zawsze ma wkurwa. Powinieneś już to wiedzieć, znamy się w końcu kilka lat. Nie jesteś chyba aż tak tępy. – Spojrzała na niego wymownie.

– Muffinka mi wypada – jęknął bezradnie.

– Masz muffinkę? – ożywiła się. – Daj gryza.

Nim zdążył coś powiedzieć, wyjęła mu z ręki ciastko i odgryzła spory kawałek, właśnie ten z płynną czekoladą.

– Pycha! – Oblizwała się. – Ten, kto piecze te ciastka, powinien dostać Nobla. Rozdają tę nagrodę za jakieś bzdury, a geniusz cukiernika pozostaje niedoceniony. Czekolada jeszcze ciepła, chcesz trochę? – Dotknęła palcem ust.

– Cholera jasna, Jasmine! Oddaj mi natychmiast to ciastko! – Chomik zirytował się nie na żarty. Położył rzeczy na stoliku i zabrał jej z ręki resztki babeczki. – Kup sobie swoją, zjadłaś mi prawie połowę, w dodatku tę najlepszą część!

– Śmieszny jesteś, tyle rabanu o głupie ciastko. – Wydęła usta. – Zresztą nie powinieneś jeść słodczy. W twoim wieku to jak wyrok śmierci. Masz pewnie cukrzycę i różne inne.

– Nie mam cukrzycy ani żadnych innych. Nie rozumiem, czemu sama nie pójdziesz do barku i nie kupisz sobie ciastka. Wiem, że dostałaś stałą przepustkę. Prawniczka ci załatwiła.

– Dostałam, bo jestem grzeczna. – Uśmiechnęła się przekornie. – Osobny pokój też mam za dobre sprawowanie. A muffinki zawsze kupujesz ty, a ja ci je tylko wyjadam.

Chomik nic nie odparł, tylko wziął łyk kawy i zmarszczył nos. Jako żywo przypominał teraz najprawdziwszego chomika, powiększonego i wciśniętego w ubranie.

– Słyszałem, że przenoszą cię na oddział otwarty. – Usiadł na krześle i założył nogę na nogę.

– Widzę, że dobre wieści szybko się rozchodzą.

– Nie dla wszystkich dobre – zauważył.

– Jak mam to rozumieć?

– Świat może trochę ucierpieć, w czasie gdy będziesz na oddziale otwartym.

– To decyzja sądu, nie bądź głupi. Skończyła się moja terapia i to wszystko. – Rozłożyła dłonie w geście bezradności. – Jestem już zdrowa. Stoi przed tobą żywy dowód sukcesu terapeutycznego tego zacnego szpitala.

– Powinni cię tu zatrzymać – zawyrokował Chomik, przybierając minę mędrca.

– Ale jakoś nie mogą. Wszystkie testy mam idealne, więc tak już musi być – odparła. W jej głosie jednak dało się wyczuć lekkie zirytowanie. Jasmine



z natury była nieufna i już zaczęła wietrzyć podstęp.

Chomik nic nie odpowiedział, tylko z pietyzmem wyjął z teczki kartkę papieru. Trzymał ją chwilę w rękach tak, jakby była polisą wartą miliony dolarów.

– Dawaj! – Jasmine leżąc na łóżku, wyciągnęła rękę.

– Nie tak szybko, moja panno.

– Nie rozśmieszaj mnie – prychnęła. – Wiem, co to jest. Nie rób głupich gier.

## ROZDZIAŁ 10

*Zanim człowiek osiągnie lata wystarczające do obrania kierunku, kość zostaje rzucona i już dawno minęła chwila, która zadecydowała o przyszłości.*

Zelda Fitzgerald

### **Chomik**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

– Za chwilę ci to dam – odparł Chomik. – Jeszcze tylko ci chcę powiedzieć...

– No, co chcesz mi powiedzieć? – przerwała mu ze śmiechem. – Powiesz mi jakąś wielką mądrość, na którą czekam od pięciu lat, czy znowu się rozczaruję? – Ten cały Chomik bawił ją okrutnie.

– Przyszedłem się pożegnać, odchodzę na emeryturę.

– Co? Ty na emeryturę? – zmarszczyła brwi. – Jesteś co prawda okropnie stary, ale jeszcze się trzymasz.

– Tak jakoś wyszło. – Wzruszył ramionami. – Bez przerwy powtarzasz mi, że jestem stary i się jakoś zestarzałem.

– W sumie tak, ale żeby tak od razu przechodzić na emeryturę? Bez ciebie ten oddział już nie będzie taki sam. Jesteś jak taki szalony profesor. Wpadasz tu z rozwianym włosom, rozdajesz jakieś leki na chybił trafił...

– Przestań, tylko raz się zdarzyło, że jeden z chłopaków dostał ciut mocniejszą dawkę – zaprotestował Chomik.

– Dobre sobie, przez tydzień koleś leżał jak warzywo. Dobrze, że pielęgniarki się pokapowały, bo by wąchał kwiatki od spodu. Zresztą ciągle się myliłeś.

– Nie bądźmy takimi formalistami, wszyscy moi pacjenci żyją i mają się dobrze – stwierdził Chomik z godnością.

– A wszyscy, którzy nie żyją, też mają się dobrze, bo fruują z aniołkami i brzdąkając na harfach, wspominają z rozrzewnieniem wspaniałego lekarza, który skrócił ich męki.

– Ale ty jesteś cyniczna. – Phil smętnie zwiesił głowę. – Nie ma w tobie żadnych uczuć i sentymentu.

– Nie bój się, jest we mnie tyle uczuć, ile dokładnie potrzeba. Oczywiście, że mi smutno, że odchodzisz. Kto nas, biednych wariatów, będzie teraz leczył? Bez ciebie to wszystko może runąć. A wtedy fala szaleńców zaleje świat. Pomyślałaś o tym, nim zgodziłaś się odejść?

– Daj spokój, moja zgoda nie miała tu nic do rzeczy. Mój kontrakt się skończył i po prostu nie został przedłużony. Przyjęli już na moje miejsce nową lekarkę. Muszę przyznać, że to całkiem miła i rozsądna kobieta.

Jasmine parsknęła głośno śmiechem.

– Skoro według ciebie jest miła, to musi być straszną suką.

– Doktor Hakimo jest nadzwyczaj skrupulatna i sumienna – powiedział Chomik.

– Japonka?

– W rzeczy samej.

– No tak oni lubią być skrupulatni. A zresztą, co mnie to wszystko obchodzi? – Jasmine wzruszyła ramionami. – Może tu przyjść nawet sam doktor Zygmunt Freud.

– A ja myślę, że jednak powinno cię obchodzić, moja droga – powiedział tajemniczo Chomik. – Byłem dla ciebie zbyt pobłażliwy. Przymykałem oczy na wszystkie twoje kręactwa. Mam nadzieję, że pani doktor Hakimo trochę cię naprostuje. Będzie twoim lekarzem prowadzącym na oddziale otwartym. To ci się przyda, żebyś nie myślała, że cały świat musi grać w twoją grę. Jej opinie będą wiążące dla sądu, a ja zamierzam się z nią spotkać i opowiedzieć jej co nieco o pacjentach. Na co zwrócić uwagę i tym podobne.

– Widzę, że strasznie chcesz mnie dzisiaj wkurzyć – syknęła Jasmine. – Ale pamiętaj, że wiem o tobie tyle, że mógłbyś długo posiedzieć. Więc lepiej uważaj, o czym będziecie plotkować z panią doktor Nagasaki.

– Hakimo – poprawił ją Chomik.

– Nieważne, to był żart – stwierdziła cierpko. Zapadła cisza. Chomik na moment przymknął powieki, można było odnieść wrażenie, że przysnął.

– Tak się dzisiaj zastanawiam nad wszystkim... – odezwał się nagle. – To mój ostatni dzień w pracy.

– Strasznie jesteś dzisiaj filozoficzny, Chomiczku. – Jasmine wstała i chwilę pokręciła się po pokoju bez celu. Nagle dopadła do biurka i chwyciła kartkę, którą miał jej dać.

### **Jasmine czyta tajemniczą kartkę**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Jasmine rozprostowała kartkę. Szybko przebiegła oczami linijki. Na koniec na jej twarzy pojawił się triumfujący uśmiech.

– Przyznam, że naprawdę pięknie to napisałeś. Prawdziwa laurka. Dzięki twojej opinii puszczą mnie nawet na Księżyc. – Uśmiechnęła się słodko.

– A dokąd chcesz jechać? – zapytał.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Niedługo Boże Narodzenie, może odwiedzę świętego Mikołaja. Pomogę mu pakować prezenty, przytulę renifera Rudolfa. Ale to się jeszcze okaże. Nic nie jest pewne. W każdym razie bardzo dziękuję, zawsze lepiej mieć stosowny papierek. – Złożyła kartkę i wsunęła ją do kieszeni. Zapadło milczenie.

– Ale wrócisz? – spytał nagle Chomik.

– Wrócisz, nie wrócisz, a jakie to ma znaczenie? Przecież gdzieś będę, nie rozpułnę się w powietrzu.

– Wiesz, nie po to wypisywałem ci tę opinię, żebyś nie wracała – odparł bezradnie.

– Wypisałeś mi tę opinię, bo taka była między nami umowa. – Jasmine nachyliła się nad nim. – Nie zapominaj o tym, że dobrze wiem, co ze Starym Tomem wyrabiacie w piwnicy szpitala. Na emeryturze nie wystrzelą cię w kosmos, będziesz niedaleko.

Chomik nic nie odpowiedział.

– Dla ciebie na pewno byłoby lepiej, żebym nie wróciła, ale niestety muszę cię rozczarować. – Usiadła z powrotem na łóżku szeroko rozkraczona. – Dobrze mi tu, kończę szkołę, idę na studia.

– Na jakie?

– Będę prawnikiem.

– O mój Boże. – Chomik zakrył ręką usta. – A to ci chichot losu. Sędziowie, strzeżcie się.

– Jak widzisz, mam szeroko zakrojone plany. Z pewnością jeszcze o mnie usłyszysz. Ucieczka nie leży w mojej naturze.

– Wiem. – Pokiwał smętnie głową.

– I nie strasz mnie żadną Japonką. Wymyśl coś lepszego. Jak będzie trzeba, to rozgniotę ją jak robaka. – Wykrzywiła się ze wstrętem. – Mam nadzieję, że będziesz o mnie myślał na tej swojej emeryturze. – Założyła nogę na nogę i wygięła się prowokująco w jego stronę.

– Oczywiście, że będę.

– Przestań, droczę się tylko. To pewne jak dwa razy dwa. Wiem, że jesteś sentymentalny.

– A ty pomyślisz o mnie czasem, o dobrym, starym Chomiku?

– Obiecuję, że czasami zastanowię się nad twoją marną osobą, jak nie będę miała nic lepszego do roboty. A teraz nie obraż się, ale chcę wrócić do swoich spraw. – Jasmine wstała i podeszła do drzwi.

Chomik również wstał. Był bardziej zgarbiony niż zwykle, widać było, że ogarnęła go bezradność. Emerytura trochę go przerażała. Był jak stary krzew, którego na szybko przesadzono do nieznanego ogrodu. To wszystko było podszyte wielką niepewnością. Jeszcze to spotkanie z Jasmine, która wcale nie była miła. Po tym, co dla niej zrobił, jakoś inaczej sobie wyobrażał pożegnanie. W końcu mieli swoje tajemnice, a teraz okazało się, że nie miało to żadnego znaczenia. Jasmine przeżuła go i beznamiętnie wypluła.

– Do zobaczenia. – Phil wyciągnął do niej rękę.

– Po co tak mówisz, przecież już się nie zobaczymy – odparła.

– W sumie tak – skwitował roztargniony. – To dbaj o siebie.

– Ty też. Dziękuję za muffinkę. I nie smuć się emeryturą, teraz będziesz naprawdę wolny. Pomyśl, ile cudownych rzeczy możesz zdziałać. Może zacznij kręcić filmy? – Puściła do niego oczko. – Z chęcią pójdę do kina na twoją produkcję.

– Niczego nie będę kręcił – zachnął się.

– Oj, przestań, znam twoje pasje. – Uśmiechnęła się szeroko.

Chomik wyszedł. Był naprawdę przygnębiony. *Niepotrzebnie napisałem jej tę opinię – zbeształ się w myślach. To prawdziwa psychopatka, i w dodatku groźna. Ale cóż, trzeba było, po prostu musiałem. A wszystko przez to, że nie potrafię się*

*opanować. Mam nadzieję, że nie wynikną z tego żadne problemy. Może ta nowa lekarka odkręci to wszystko. Mnie to przerosło.*

## **Ostatni obchód**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Po wizycie u Jasmine Philip Qusack zrobił obchód po oddziale. Dziwnie się czuł, idąc ostatni raz przez znane korytarze. Zostawił tu kawał swojego życia. To miejsce zmieniało się razem z nim. Zaczął tu pracować jeszcze w latach siedemdziesiątych. Jako młody lekarz od razu po studiach czuł wielki zapal. Chciał zmieniać psychiatrię, wprowadzić ją na nowe tory. Miał w planach naprawdę leczyć pacjentów, a nie tylko podawać leki, które zazwyczaj tylko otępiaty.

Po czasie okazało się, że w zasadzie niczego nie dokonał. Szpital powoli go przemielił na drobną mączkę. Pasje, marzenia, zapal – to wszystko zostało dokładnie rozkruszone i wyspane do małej torebki. Tylko tyle zostało z jego ambicji: garstka proszku. Najgorszy był jednak fakt, że wszystko i tak szło swoim starym torem. Płynęło leniwie niczym wielka rzeka, której nijak nie da się uregulować. Odwieczna siła natury, o której tylko młody człowiek naiwnie sądzi, że sobie z nią poradzi.

Teraz Philip ostatni raz szedł znanymi korytarzami. Oczywiście zawsze na emeryturze mógł odwiedzić szpital, tak przynajmniej mówił dyrektor, ale to były mrzonki. Zazwyczaj jak ktoś odchodzi z pracy, to już znika i nigdy nie wraca. Chomik łowił każdy zapach i dźwięk, wszystko chciał zapamiętać, żegnał się. Te lata pracy minęły jak parę dni. Teraz idąc schodami w dół do holu, pomyślał, że w zasadzie nigdy nie przyszło mu do głowy, że kiedyś będzie schodził nimi po raz ostatni.

Nawiedziło go niejasne uczucie, że coś mu zabrano, że nie tak miało być. Tak naprawdę nie chciał odchodzić, ale dyrektor był nieugięty.

– Wiesz, Phil, teraz są inne czasy, wszystko jest na widelcu, jesteśmy pod ciągłym obstrzałem – tłumaczył się.

Podświadomie Chomik wiedział, że szef ma rację. Za dużo było tych pomyłek z lekami.

Pożegnał się w recepcji z pielęgniarkami i wyszedł z budynku. Niebo było zachmurzone. *Chyba będzie padało* – pomyślał. Obejrzał się i spojrzął ostatni raz na kamienny budynek szpitala. Gdy wszedł do swojego wystłużonego chevroleta, zaczęło padać. Wóz powoli ruszył aleją wysadzaną potężnymi morwami. W lusterku szpital małał w oczach i stawał się coraz bardziej odległy.

Philip Qusack włączył radio i chwilę szukał stacji. Potem znowu zerknął w lusterko. Chciał jeszcze raz spojrzeć na szpital, ale budynku już nie było. Po prostu rozpułynał się w zimowej mgle. Gdy jesteśmy młodzi, czas jakby nie istnieje, ale to ułuda. On stale przesypuje się w niewidzialnej klepsydrze. Ziarenko po ziarenku, aż nadchodzi koniec, który zawsze jest wielkim zaskoczeniem.

## **Zoo odwiedza Kurczaka**

*Polska, Warszawa*

Zoo, tak jak obiecał Tatianie, pojechał odwiedzić stare osiedle, bo tam mieszkała jego siostra Amelia, z którą jakiś czas temu pokłócił się o jakąś głupotę. Kiedy zadzwoniła, akurat był na ostrym kacu i od słowa do słowa zrobiła się sprzeczka. Amelia ochrzaniała go, że znowu schodzi na psy, a on się bronił. Oczywiście wiadomo, że najlepszą obroną jest atak, więc rozpętało się z tego prawdziwe piekło. Teraz bez żadnego umawiania się podjechał na ulicę Klaudyny pod blok, w którym kiedyś mieszkali. Siostra zajmowała dawne mieszkanie rodziców. Wjechał na szóste piętro, przeszedł długim, ciemnym korytarzem i stanął pod drzwiami. Nasłuchiwał chwilę, ale z mieszkania nie dobiegały żadne dźwięki. Zwiesił głowę i zadzwonił.

Bejsbolówka z daszkiem zasłaniała mu całą twarz. Usłyszał kroki. Po chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich wysoka, smukła dziewczyna z rękami skrzyżowanymi na piersi. Widząc Zoo, uśmiechnęła się krzywo. Na prawym przedramieniu miała wytatuowaną krwiście czerwoną różę, ślad po buntowniczej przeszłości. Kruczoczarne włosy z jednej strony były wycięte, a z drugiej opadały grzywką na oko. Miała w sobie zadziorność dzikiego kota. Całości dopełniały duże, ciemne oczy podkreślone grubą, czarną kreską. To wszystko mówiło: jestem tu i teraz, koniec kropka.

– Cześć, Kurczaku – rzucił Zoo, ale dziewczyna bez słowa obróciła się na pięcie i ruszyła w głąb mieszkania. Nie zatrzasnęła drzwi, więc odczytał

to jako zaproszenie. Wszedł do przedpokoju ze ścianami wyłożonymi drewnianą boazerią i zdjął buty.



## ROZDZIAŁ 11

*W życiu chodzi o to, by być trochę niemożliwym.*

Oscar Wilde

### **Marta sprawdza pocztę**

*Polska, Warszawa*

Marta otworzyła pocztę i zaczęła sprawdzać wiadomości. Ku swemu zdziwieniu natrafiła na mail od Moniki, kuzynki, która od dawna mieszkała w Kanadzie. Dwadzieścia lat temu razem studiowały romanistykę. Monika poznała Richarda, za którego wyszła. Wyjechała do Paryża, gdzie Marta ją raz odwiedziła. Do tej pory wspominała wspólne szalone lato na Lazurowym Wybrzeżu, a czasami nawet błękitne oczy pewnego Kanadyjczyka Alexa, którego tam poznała.

– Może też wyjdiesz za niego i będziemy mieszkać razem we Francji albo Kanadzie – powiedziała kiedyś Monika.

Niedługo później wszystko miało się zmienić. Lato się skończyło, wszyscy powrócili do swoich spraw, pracy, nauki. Alex także wyjechał. Wrócił do Montrealu, skąd miał zadzwonić. Marta mieszkała wtedy z koleżankami na stacji w Warszawie. W tamtym czasie nie miała jeszcze komórki, więc uprzedziła współlokatorki, że na telefon stacjonarny będzie dzwonił pewien uroczy obcokrajowiec. Mijały dni, a po miesiącu było wiadomo, że Alex już nie zadzwoni. Marta dokładnie pamiętała, jak głupio było jej przed dziewczynami. Dźwięk telefonu zawsze sprawiał, że mocniej biło jej serce, ale w końcu sprawa się rozmyła, czas wszystko zatarł. Jesienią Richard, mąż Moniki, który był menedżerem dużej sieci sklepów, dostał roczny kontrakt w Kanadzie. Chcieli zarobić i wrócić do Europy, ale kontrakt został przedłużony. Jak to zwykle bywa, z krótkiego wyjazdu zrobiło się całe życie.

Monika zniknęła z radaru Marty i nagle po niemal dwudziestu latach taka bomba! Mail jak z innego świata. *Ciekawe, co z Alexem* – przemknęło przez myśl

Marcie. Kiedyś często o nim myślała, teraz coraz rzadziej, w końcu minęło dwadzieścia lat od ich ostatniego spotkania. Powoli dzień po dniu życie odarło ją z romantycznych wspomnień. Ta wiadomość była jak pobudzający koktajl witaminowy, który sprawił, że oczy kobiety zaczęły błyszczeć. *Co mogło skłonić Monikę do napisania? – pomyślała. Może chce przyjechać do Polski?*

Otworzyła mail i zaczęła czytać.

„Droga Marto,

Piszę do ciebie ufając w Boga, że jest u ciebie pomyślnie”.

*No proszę, już zapomniała polskiego – przemknęło Marcie przez myśl.*

„Ufam, że szczęście panuje w twojej rodzinie. Pewnie zastanawiasz się, czemu kontakt odnowił po takim czasie. Składa się na to dwie ważne sprawy. Moja córka Jasmine, chce odwiedzić Polskę, a ja z uwagi na zajęcia i moje leczenie nie mogę jej towarzyszyć. Proszę odpisz jak najszybciej czy jest możliwość pobytu. Naturalnie ona weźmie pieniądze na jedzenie i mieszkanie u ciebie.

Bardzo mi zależy, by ona poznała Polskę. Nie mam kontaktu z innymi krewnymi, a my w młodości miałyśmy dobry kontakt. Zawsze traktowałem cię jak przyjaciela.

Jeżeli nie będziesz mogła wziąć ją do swojego domu, ja zrozumiem, ale to przekreśli poznanie kraju ojców. Miej to na względzie I zgódź się na moją prośbę. Obecnie jestem hospitalizowana i nie mam możliwości rozmowy telefonicznej z tobą.

To jest dla mnie duża przykrość, nie móc rozmawiać normalnie, teraz z tobą. Ale może nadejdzie czas naszego spotkania, tylko muszę wyzdrowieć.

Jasmine ma 18 lat, to mądra dziewczyna, jest ciekawa Polski, ciebie i twojej rodziny.

To będzie wspaniałe, że będzie mogła być z tobą. Ona mówi po polsku, ale zdarza jej się robić błędy, dzięki temu wyjazdowi podszkoli język. Ona będzie miała pieniądze, dla was wszystkich, ode mnie za gościnę.

Ona nie robi problemów to dobra i grzeczna dziewczyna. Chodzi do katolickiej szkoły i ma same sukcesy we wszystkich dziedzinach. Wiem, że ty też jesteś blisko Boga.

Proszę napisz na moją wiadomość czy Jasmine może być u ciebie. Ja wykupię dla niej bilet i również bilet powrotny. Kiedy mi odpiszesz i dasz swoją zgodę napiszę ci, kiedy Jasmine przyjedzie.

Ona pomoże ci we wszystkich pracach. To odpowiedzialna dziewczyna o czułym sercu. Zaręczam ci, że nie będziesz chciała kończyć jej pobytu. Czekam z niecierpliwością na twoją odpowiedź. Przepraszam za wiele błędów, ale mój polski jest słabym. Mało rozmawiam i nie żyje z Polakami. Mój mąż jest Francuzem jak wiesz i są u nas dwa języki angielski i francuski i polski trochę. Ale bardziej w mowie niż w piśmie. Czekam na twoją odpowiedź, uściski twoja Monika”.

Po przeczytaniu wiadomości Marta wzięła łyk kawy, którą zawsze piła przy sprawdzaniu porannej korespondencji. Odchyliła się, opierając się wygodnie na fotelu. Patrzyła w skupieniu na ekran laptopa.

## **Haba**

*Polska, Warszawa*

Mieszkanie było jakby żywcem przeniesione z PRL-u. Kurczak bardzo lubiła ten design. Zoo ruszył do salonu.

– Wujek! – Z kanapy poderwała się trzyletnia Julia. Miś Uszatek w telewizorze nagle przestał być interesujący.

– Moja piękna księżniczka – wyszczerzył się Zoo. – A już się bałem, że gdzieś uciekłaś.

– Na rączki, na rączki! – zapiszczała radośnie dziewczynka.

– Nie róbcie tyle hałasu – mruknęła Amelia. – Obudzicie Jasia i pozostałą dwójkę.

– Są dzieci? – zapytał konspiracyjnym szeptem Zoo, przytulając małą.

– Tak – odparła również szeptem Julia.

– Jakież fajne?

– Jeszcze nie mówią, na razie bawią się z Jasiem.

– Chcesz Habę? – Zoo zapytał tajemniczo dziewczynkę.

– Tak! – krzyknęła rozradowana Julia. – Na Habę, na Habę!

– Julka, ciszej – syknęła Amelia. – Wujek jest pewnie zmęczony po imprezie, nie ma siły na Habę.

– Nie jest jeszcze ze mną tak źle. – Zoo chwycił dziewczynkę pod rękę i zaczął podrzucać do góry. Trzymał ją mocno, a mała prawie dotykała nogami sufitu i piszczała zduszonym głosem.

– Nie, ja nie mogę na to patrzeć. – Amelia zasłoniła oczy.

– A wiesz, że ona sama wymyśliła tę Habę? Moja mała księżniczka jest taka mądra. – Zoo uśmiechnął się. Pohuśtał jeszcze małą kilka razy, a potem rzucił ją na kanapę.

Amelia wciąż stała pośrodku z salonu z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Wiesz, że jesteś skończonym idiotą?

– Wiem.

– To bardzo mnie to cieszy. Masz tylko mały, maleńki, o, taki tycki plusik za to, jakim jesteś wujkiem dla Julii.

– Kurczak jest zły?

– Mało powiedziane. – Wydęła usta. – Kurczak jest wściekły.

Zoo podszedł do niej i pocałował ją w policzek.

– To nie załatwi sprawy – mruknęła.

– Będzie przemowa?

– Niestety będzie.

– A gdzie Kojkoj, Juleczko? – Zoo zwrócił się do dziewczynki. – Czemu on mnie nie wita?

– Kojkoj śpi – odparła dobitnie dziewczynka.

– Jak to śpi? – Zoo zmarszczył czoło. – To nie przyjdzie się pokazać?

– Cicho. – Julka położyła palec na ustach. – Musisz mówić cicho, on jest chory.

– A co mu się stało?

– Boli go brzuszek. – Dziewczynka posmutniała. – Musi jechać do Patanów.

– Do kogo?

– Ona ma na myśli lekarzy – wyjaśniła Amelia. – Od czasu sprawy z mamą wszystkie misie teraz ciągle chorują.

– Patany, dobre. – Zoo uśmiechnął się krzywo. – Trochę jak palanty.

– Pilnuj słownictwa – ostrzegła go Amelia. – Nie jesteś na bitwie raperów.

– Mamo, ale on jest naprawdę chory.

– Kochanie, musisz mówić ciszej, bo obudzisz Jasia.

– Dobrze – odparła dziewczynka.

– I to mi się podoba – pochwaliła ją Kurczak. – Dziecko zgodne, dziecko dobre.

## **Dziwna wiadomość**

*Polska, Warszawa*

Marta jeszcze raz przebiegła szybko wzrokiem cały tekst, by mieć pewność, że wszystko zrozumiała z okaleczonej polszczyzny. *Dziwne, tyle błędów?* – pomyślała. *To mało prawdopodobne, żeby aż tak zapomnieć języka, nie mówiąc o kulturze. Pobyt w Kanadzie nie powinien przecież wykorzenić dobrych manier pisania zaimków osobowych od dużej litery. Może to jakiś żart?* Marta zmarszczyła czoło. Z drugiej strony chciała wierzyć w prawdziwość maila. Ostatnio w jej życiu nie wiodło się dobrze, sklep internetowy ze zdrową żywnością działał bardzo słabo i były miesiące, że trzeba było do niego dokładać. Z pensji Mikołaja, który pracował w szkole jako polonista, ciężko było pokryć wszystkie wydatki.

Marta odgarnęła włosy z czoła i upiła trochę kawy. O Stasiu, młodszym synu, nie chciała nawet myśleć, zadawało jej to fizyczny ból. Dwulatek, który nie chodzi i nie mówi, a lekarze nie mają pomysłu, co mu jest. Nóżki były proste i wyglądały na zdrowe. Za to rączki były przykurczone, a chłopiec nie mógł ich wyprostować, bo mięśnie były tak napięte. Dodatkowo czasami chwycił go gwałtowny skurcz i całe ciało Stasia napinało się boleśnie. Maluch płakał wtedy żałośnie, a Marcie serce dosłownie pękało na pół.

Dwa dni temu wszyscy wrócili z Poznania, gdzie dowiedzieli się, że Stasio jednak nie ma zwyrodnienia kości, które zdiagnozował w Warszawie doktor Kobuszewski, idiota do potęgi entej. Przynajmniej tyle dobrze, wszystkim spadł kamień z serca.

W pociągu Marek pytał Mikołaja, czy pojedą gdzieś na święta. Od dawna rozmawiali o wyjeździe w Bieszczady do bajkowej miejscowości Leśna Rzeka. Chłopiec miał bardzo dobre oceny w szkole. Rodzice obiecali mu, ba, prawie przysięgli, że w nagrodę pojedą na wyjątkowe święta i odbiją sobie wakacje, które z braku pieniędzy musieli spędzić w mieście. To miał być niezwykle wyjazd, magiczne święta w górach.

Mikołaj wykręcał się wtedy, jak mógł, rzucając Marcie rozpaczliwe spojrzenia, i w końcu nic nie powiedział, bo ciężko wyznać dziecku,

że tak długo planowany wyjazd po prostu nie dojdzie do skutku. A tu taka wiadomość: przysłowiowa bogata ciocia z Ameryki ratuje sytuację.

Marta wzięła kolejny łyk kawy. *Nie będę musiała odwoływać rezerwacji domku w Leśnej Rzece* – pomyślała. Codziennie zwlekała z telefonem, czekając na jakiś cud. I ten cud właśnie się wydarzył.

## **Harry przygotowuje dokumenty dla Sally**

*Kanada, Lac-Écho*

Harry był naprawdę mistrzem w swoim fachu. Załatwianie spraw pokroju tej, którą zleciła mu Sally Paterson, nie nastęczało mu żadnych problemów. Miał wystarczająco dużo kontaktów w policji, by tego typu zlecenie załatwić od ręki. Wystarczyło jedno spotkanie ze starym przyjacielem Stevenem, a po zaledwie trzech dniach otrzymał pełne dossier wraz z aktualnym zdjęciem Jasmine Reynolds. Co prawda Sally nie prosiła o fotografię dziewczyny, ale Harry uznał, że będzie to promocyjny dodatek. Oglądając zdjęcie, zmarszczył brwi. *Jeśli ona ma osiemnaście lat, to ja jestem baletnicą z teatru Bolszoi* – pomyślał. *Coś tu śmierdzi, Steven pewnie się pomylił. Ona wygląda na co najmniej dwadzieścia pięć lat.*

Postanowił to sprawdzić, bo nie mógł sobie pozwolić na takie potknięcia, na pewno nie przy takim honorarium.

W teczce znalazły się pełne dane na temat procesu i wyroku. Były tam też nowe akta personalne, które Jasmine wypełniła razem z Anną Bouchard. To, że Anna stała się prawnym opiekunem dziewczyny, też było odnotowane. Teczka liczyła ponad dwadzieścia stron kserokopii wszelkich dokumentów dotyczących sprawy. Harry oczywiście nie mógł przekazać Sally materiałów w takiej formie, od razu byłoby wiadomo, że wyciekły z komendy. Musiał sporządzić z nich raport, ale nim zabrał się do pracy, postanowił zadzwonić do Stevena.

– Słuchaj, stary, dziękuję za materiały, ale powiedz mi, ile tak naprawdę ta dziewczyna ma lat.

– Przecież masz wszystko w dokumentach, teraz tego nie pamiętam – odpowiedział sennie Steven. Było już późne popołudnie i telefon wyrwał go z drzemki. Właśnie odsypiał poprzedni długi dzień w pracy.

– Z dokumentów wynika, że ta mała dopiero co skończyła osiemnaście lat.

– W takim razie tak jest – odparł z flegmą Steven. – Dokumenty nie kłamią.  
– No dobrze, ale dołączyłeś mi do nich zdjęcie jakiejś starszej babki. Coś tu chyba nie gra, a niedługo chcę przekazać raport klientce.  
– Słuchaj, nie ma mowy o żadnej pomyłce. Ona po prostu tak wygląda.  
– Chcesz mi wmówić, że ta kobieta na zdjęciu to osiemnastoletnia dziewczyna? – zdziwił się Harry.  
– No cóż, takie cuda się zdarzają. – Steven zaśmiał się. – Zresztą wiesz, jak jest. Teraz takie mamy żarcie, same hormony i inne dopalacze.  
– Czyli nie ma żadnej pomyłki, mogę przekazać raport?  
– Przekaż, a nasze sprawy załatwimy w przyszłym tygodniu. W centrum otworzyli nową knajpę, Retro Village. Mówię ci, padniesz.  
– Dobrze, zarezerwuję stolik – zakończył rozmowę Harry. Zapisał na kartce nazwę restauracji. Zawsze po takiej przysłudze spotykał się z Stevenem, wręczał mu w kopercie zazwyczaj kilkaset dolarów i płacił rachunek za wieczór. To było w porządku, jego kumpel też ryzykował, przygotowując materiały, ale znali się całe wieki i mieli do siebie zaufanie. To była ich tajemnica, taki rodzaj wsparcia. Steven dobrze wiedział, że życie spłatało Harry'emu figła. Przynajmniej w ten sposób mógł mu jakoś pomóc.

Harry napisał raport, co zajęło mu dwa wieczory w asyście stale uzupełnianej szklaneczki burbona. Opisał wszystko bardzo dokładnie, zaś kserokopie dokumentów spalił w kominku.

Materiał był gotowy o wiele szybciej, niż obiecał to Sally. Lubił to uczucie, gdy przekazywał całe dossier klientce, a ona nie mogła się nadziwić, jak szybko zebrał tak wiele informacji. Następnego dnia przejechał koło domu Patersonów. Sally nie podała mu wprawdzie adresu, ale szybko go ustalił. Z ciekawości chciał zobaczyć, gdzie mieszka jego klientka. *Może osobiście podrzucę jej dossier* – pomyślał. Minął opuszczony dom Reynoldsów, następny należał do Sally. Na podjeździe krzątał się pulchny mężczyzna z wyłupiastymi rybimi oczami. Usta też miał jakiegoś rybie, nalane i wykrzywione w grymasie wielkiego wysiłku. W końcu wystawiał śmieci, a to wymaga pewnej sprawności. Duży brzuch, którego nie była w stanie ukryć zimowa kurtka, z pewnością nie pomagał.

*A więc to jest mąż* – pomyślał Harry, wciskając gaz. Nie chciał spotkać się z Sally. *Co za głupi pomysł z przejeżdżaniem tu i wcześniejszym dostarczeniem raportu* – zganił się w myślach, zwiększając prędkość wozu. *Przecież prosiła*

*o spotkanie w Srebrnym Kole. Dobrze, że nie wystawiła śmieci razem z tym grubasem. Wyglądał, jakby miał paść na zawał. Nie ma co, wyszedłbym na maniaka, który śledzi klientkę.*

Harry wrócił do miasta. Postanowił zadzwonić do Sally i umówić się na kawę, by przekazać jej dossier i się rozliczyć.

## **Kojkoj**

*Polska, Warszawa*

– To co z tym Kojkojem, Juleńko, gdzie on się schował? Pokaż mi go, rzucę na niego okiem – powiedział Zoo.

– Jest tutaj. – Dziewczynka podeszła do kanapy, gdzie przed chwilą siedziała, oglądając bajkę. Na poduszce leżał pluszowy różowy flaming.

– Kojkoj, no co ty, udajesz chorego, nie przywitasz się ze mną? – Zoo zrobił zatroskaną minę.

– Bardzo boli mnie brzuch – zapiszczała Julia, śmiesznie udając ptasią mowę.

– Nie przejmuj się, zaraz przykleję ci plasterek i poczujesz się lepiej – pocieszył zabawkę Zoo.

– Wujku, naprawdę mu pomożesz? – Julia rozpromieniła się.

– Oczywiście, że mu pomogę, księżniczko, po to przyszedłem. Czułem, że masz jakieś kłopoty.

– Ale ja nie mam kłopotów, to Kojkoj ma kłopoty.

– Zamknij na chwilę oczy i wyciągnij rączkę. – Gdy dziewczynka spełniła jego prośbę, z kieszeni wyjął paczkę gum.

– Mamba! – ucieszyła się mała.

– Julka, ciszej – przypomniała Amelia.

– Ale zobacz, wujek dał mi Mambę.

– Super, a co masz dla mnie? – Amelia spojrzała wymownie na Zoo.

– Dla ciebie mam to. – Z kieszeni obszernej bluzy wyciągnął butelkę jabłkowego Redd'sa. – Przepraszam Amelia, byłem strasznym dupkiem, nie powinienem na ciebie krzyżeć. W ogóle nie powinniśmy się kłócić, na pewno nie po tym, co się stało. Mama by tego nie chciała.

– Wiem, Zoo. – Kurczak smętnie pokiwała głową.

– Wujku, a czy Kojkoj może zjeść trochę Mamby?



– Oczywiście, poczęstuj go. To pomoże mu na brzuch.

– Słuchaj no... – zagadnęła nagle Amelia. – A czy ty ostatnio nie siedziałeś pod naszym blokiem?

– Jak to? – zmieszał się Zoo.

– Chyba widziałam cię na ławce z tyłu bloku. Przesiadywałeś na niej w liceum. Akurat wyglądałam przez okno w sypialni i zobaczyłam dwóch smutnych typków w bejsbolówkach pijących wódkę z gwinta. To pewnie byłeś ty i ten twój kumpel przygłup?

– Misiek?

– Właśnie on, ten najgłupszy, taki twój pomagier od wszelkiej maści idiotyzmów. Jak trzeba się spić, wiadomo, dzwoni się po Miśka. Jak trzeba się nawciągać, to samo, Misiek poda pomocną dłoń. Kompan do wszystkiego, bo każdy inny ma coś w życiu do roboty.

– A wiesz, że to nieprawda? Ożenił się i ma dzieci.

– Wow, wielki mi wyczyn, ma dzieci, zupełnie jak połowa tego świata. Ciekawe tylko, czego je nauczy. Tata Misiek, spec od kleju.

– Przestań, naprawdę się zmienił, a klej to był tylko epizod w podstawówce. Dawno i nieprawda. Zresztą dzięki Miśkowi zarobiłem kupę forsy.

– I co z tego? – Kurczak wzruszyła ramionami. – Czy naprawdę forsa to dla ciebie wyznacznik wszystkiego? Nawet człowiek chory psychicznie może mieć olśnienie biznesowe. Nie zapominaj, że takie epizody z klejem przestawiają coś w mózgu. Zresztą nieważne, powiedz lepiej, czy siedziałeś wtedy na tej ławce?

– Siedziałem. – Zoo zwiesił głowę.

– I nie wpadłeś do siostry? Przygłup – prychnęła.

– Daj spokój, było już okrutnie późno, nie chciałem pobudzić dzieciaków, zawsze ich tu tyle.

– No wiesz, z czegoś muszę żyć. Nie mam na swoim koncie złotej płyty. – Błysnęła zaczepnie czarnymi oczami. – Spełniam się, daję dzieciom możliwość obcowania z moją bogatą osobowością, a ludzie jeszcze mi za to płacą. Przy okazji dwójka moich dzieci ma swoje własne, prywatne przedszkole. Julia zawsze robi rekrutację. Mała zna się na ludziach, nie ma co.

– Wiem, że ci ciężko, i przyniosłem coś dla ciebie. – Zoo wyciągnął gruby plik banknotów.

– Schowaj to. – Amelia skrzywiła się. – Daję sobie radę. Mam mój klubik, sklep z zabawkami, piszę bloga, uczę angielskiego i naprawdę daję sobie radę. Możesz być pewien, że kiedyś kupię dom pod lasem dla Julii i Jasia. Posadzimy róże...

– I będziemy mieć biedronki – dodała Julia.

– Dokładnie, dużo biedronek.

– To zrobmy to – wyszczerzył się Zoo

– Niby co? – Amelia zdziwiła się.

– Wybierz dom, a ja za niego zapłacę.

– O nie, kochany. – Zaśmiała się. – To będzie mój dom, zdobyty bez twojego udziału. Kiedy zapijesz, nie będziesz mi mógł niczego wypominać. – Jej czarne oczy posmutniały. – Powiem ci, że zrobiło mi się mega przykro, że nie zajrzałeś do mnie, kiedy siedziałeś na tej ławce. Wpadasz tu tylko, kiedy się pokłócimy. Wyrzuty sumienia zagłuszasz kupowaniem prezentów. Wszystko chcesz załatwić pieniędzmi. To jest strasznie słabe. Powinieneś mieć ksywę „Brat Pieniążek”. Traktujesz mnie jak ostatnią luzerkę. A ja się staram, i to bardzo. Odkąd musiałam pogonić tego debila, czasami jest trudno.

– Tata uderzył mamę – dodała szybko Julia.

– Na szczęście z młodych lat zostało mi jeszcze dużo umiejętności z kick boxingu. – Amelia zaśmiała się. – Gdybyś tylko widział, jak dostał z półobrotu, to osobiście wręczyłbyś mi medal.

– Wiem, Kurczaku, znam tę historię. Obiję mu jeszcze wredny ryj.

– *Language, please.* Nie musisz nikomu nic obijać, już swoje dostał.

– Chodź, przytul się. – Zoo wyciągnął rękę.

– Spadaj – zachnęła się. – Nie chcę się do ciebie przytulać. Przychodzisz tu na ostrym kacu jak zombie i wszystko jednym ruchem chcesz zamieść pod dywan. A ja ci powiem, że pod tym chodniczkiem to już te wszystkie twoje brudy się nie mieszczą. Zmieniłeś się. Gdyby stary Zoo, ten, którego znam, był na osiedlu, to wpadłby odwiedzić siostrę. Nowy Zoo przychodzi pewnie po kilku dniach ostrego chlania i grania. Mam rację?

– Powinnaś pracować w policji.

– Nie wiem, gdzie powinnam pracować, na razie jestem na macierzyńskim i mam swoje małe biznesy. A ty się nie wykręcaj. Poszedłeś grać, powiedz mi to prosto w oczy. – Spojrzała na niego ostro.

– Tak – przyznał cicho.

– Skończony kretyn – warknęła. – Siedzisz zimą na ławce pod blokiem z jakimś kumplem idiotą... Zresztą wszyscy twoi kumple to skończeni idioci. Niektórym się poszczęściło i są teraz przy forsie, ale to nie zmienia faktu, że nadal są idiotami. Więc siedzisz tam i odmrażasz sobie tyłek, zamiast wpaść do mnie. A potem idziesz grać. I co, wygrałeś coś przynajmniej?

Zoo w odpowiedzi pokręcił głową.

– To po co tam łazisz, możesz mi to wytłumaczyć?

Zoo nic nie odparł, tylko spuścił głowę i wzruszył ramionami.

## ROZDZIAŁ 12

*Kobiety potrafią być takimi fajnymi przyjaciółmi.*

Ernest Hemingway, *Słońce też wschodzi*

### **Monika**

*Polska, Warszawa*

Marta już od dawna nie miała kontaktu z Moniką. Nieraz szukała jej na Facebooku, ale nie mogła znaleźć. No cóż, nie wszyscy chcą być widoczni na portalach społecznościowych. Czasami szkoda, bo chciałoby się wygrzebać kogoś z przeszłości i zobaczyć, jak żyje. Jej myśli znowu bezwiednie powędrowały do Alexa. Ciekawe, jak potoczyło się jego życie. Czy ma żonę? A może nadal jest podrywaczem szukającym wielkiej miłości? Niektórzy faceci tak mają.

– Mikołaj – zawołała – pozwolisz na chwilę?! – Jej głos miał w sobie coś uroczego.

Do pokoju wszedł jej mąż, trzymający na rękach Stasia.

– Słucham cię. Ten pan ma pieluchę do zmiany, powiedz, że to coś ważnego.

– Daj mi go – Marta wyciągnęła ręce – i przeczytaj tego maila.

Mikołaj oparł się o blat biurka, zmarszczył brwi i szybko przebiegł oczami tekst.

– No to mamy wyjazd w góry – stwierdził.

– Przybij piątkę. – Marta roześmiała się. – Odpiszę jej, a ty... Proszę, weź Stasia.

– Chodź, kolego. – Mikołaj wziął malucha na ręce. – Tylko nie zrób tylu błędów, co ona! – Puścił oczko do żony.

– Albo nie! – Marta poderwała się z krzesła.

– Nie rozumiem, odrzucasz szeleszczące dolary ciotki?

– Zaparzę drugą kawę, a potem odpiszę. Niech nie wygląda na to, że jesteśmy takimi desperatami.

– Dobrze mówisz. Stasiu, twoja pielucha musi poczekać.

– Przestań, zmień mu ją – powiedziała Marta. – Zobacz, jaką ma nieszczęśliwą minę.

– Okay, a wieczorem trzeba to opić winem.

– Co trzeba opić? – spytał Marek, wchodząc z balkonu, gdzie lepił niewielkiego bałwana.

– Synku, uważaj na podłogę. – Marta wskazała na kałużę stopniałego śniegu, która momentalnie pojawiła się w miejscu, gdzie stał.

– Ale co trzeba opić? – dopytywał Marek

– Jak to co? Jedziemy w góry. – Mikołaj uśmiechnął się. – A teraz marsz po ścierkę i wytrzyj to jezioro.

– Robi się.

– Tylko się wyrażaj! – Marta pogroziła mu palcem. – To nie jest odpowiednie słownictwo w tym domu.

– A gdzie jedziemy?

– Boże, co za chłopak. Uciekaj już na balkon. – Marta machnęła ręką.

– Do Leśnej Rzeki na święta – powiedział Mikołaj.

– A kiedy?

– Musimy poczekać na przyjazd twojej kuzynki z Kanady. Przy niej podszkolisz trochę swój francuski i angielski – wyjaśniła Marta.

– Ktoś z nami jedzie? – Marek skrzywił się. – To przecież miał być nasz rodzinny wyjazd.

– Cały czas jest rodzinny, nie słyszałeś, jak mówiłam o kuzynce? – Marta parsknęła śmiechem.

– A nie mam żadnego kuzyna? – nadąsał się Marek.

– Synu, weź się za podłogę – przypomniał mu Mikołaj.

– *Yes, sir.*

– No, tak już lepiej – pochwaliła go Marta, która uwielbiała pilnować dobrych manier. Ekspres zasyczał, kawa była gotowa. Zaczynał się nowy rozdział w ich życiu, który miał postawić wszystko na krawędzi.

## **Mądrości Kurczaka**

*Polska, Warszawa*

– Wiesz, każdy hazardzista powinien na moment zatrudnić się w kasynie. Wtedy od razu by pojął, jak rzadko ludzie wygrywają. Tak naprawdę to tylko zostawiasz tam pieniądze. Powiem ci, że są lepsze cele, na które można wydawać kasę. Dam ci radę: dawaj na sieroty. Masz tam więcej nie chodzić. – Amelia pogroziła palcem Zoo. – Mówię ci to, bo cię kocham i nie chcę, żebyś skończył na dnie.

– Jest mi ciężko – szepnął.

– Wujku, zobacz, Kojkój je Mambę.

– Widzę, Juleńko – odparł smutno Zoo.

– Chcę, żebyś wiedział, że mnie też jest ciężko, ale nie chleję na umór, nie przegrywam kasy, bo nie mam jej za dużo, i co najważniejsze – Amelia zawiesiła głos i zrobiła poważną minę – nie daję sobie prawa, żeby na ciebie krzyżeć. Zadzwoiłam do ciebie kilka dni temu, żeby po prostu pogadać. A ty byłeś na kacu, rozdrażniony. Wiadomo, mogę w ogóle do ciebie nie dzwonić i zostawić cię w spokoju, ale wiesz, dlaczego to robię? Dlaczego dzwonię do ciebie?

Zoo milczał.

– Bo jesteś moim bratem. Nie zmienimy tego, że mama umarła. Nie wyrzucaj sobie ciągle, że mogłeś zrobić więcej. Widocznie tak miało być. Nie rozpuszczaj tego wszystkiego w alkoholu i grze, bo to mętne jezioro, a ty wchodzisz w nie coraz głębiej. W końcu ono cię pochłonie. I wtedy zostanę już zupełnie sama.

Amelia zaczęła płakać. Zoo przytulił ją.

– Przestań, Kurczaku, proszę, przestań.

– Mam tylko ciebie i dzieci. Nawet nie wiesz, jak to jest. Ja nie nagrałam złotej płyty, nie odniosłam sukcesu, tak o mnie myślisz, wiem to.

– Mama płacze – pisnęła Julia. Podbiegła i przytuliła się do nogi Amelii. – Nie płacz, mamo, nie płacz, proszę.

– Nigdy tak o tobie nie myślałem – zapewnił siostrę Zoo. – Pamiętasz, jak dokuczali ci w podstawówce i pobitem całą klasę?

– Pamiętam, jesteś wariatem. – Amelia zaśmiała się przez łzy.

– Jesteś moim Kurczakiem, przyszedłem cię przeprosić. Uwielbiam cię i tylko ciebie mam. Odkąd nie ma mamy, powoli idę na dno. Ona miała taką

małą pieczętkę i pyk! wszystko nią zatwierdzała. Była moim drogowskazem, przed nią było mi głupio pić, a teraz już jej nie ma...

– Mamo, teraz wujek płacze – pisała Julia.

– Widzisz, zmusiłaś mnie do łez.

– Nie płacz, życie zawsze coś kradnie – pocieszyła go Kurczak i otarła łzy. – Pamiętaj, że teraz jesteśmy takimi trochę rozbitkami, musimy się trzymać razem, inaczej pójdziemy na dno. Chcę, żebyś wiedział, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś, tak samo ja. Po prostu najwidoczniej tak miało być.

– Nie czuję tego – odparł.

– A ja ci mówię, że tak jest.

– Przepraszam cię, że krzyczałem, to było słabe.

– Okay, ale nie nadużywaj mojego dobrego serca. A co do twojego pójścia na dno, to mama zawsze powtarzała, że coś trzeba w życiu robić. Było jej ciężko, ojca nigdy nie było, ale stworzyła dla nas piękny dom. Powiedz, czy czegoś kiedyś ci brakowało?

Zoo pokręcił głową.

– Ja też nie miałam nigdy takiego wrażenia. To zawsze będzie z nami, mamy siebie.

– Wiem, Kurczaku.

– Więc przestań tonąć i zrób coś. – Czarne oczy spojrzały na niego z wielką mocą. – Zrób coś w swoim życiu, a potem przyjdź do mnie i razem przy herbacie pogadamy o tym, czy to podobałoby się mamie.

– Dobrze – pokiwał głową.

– Obiecujesz czy to tylko taka gadka na kacu?

– Obiecuję.

– A jak przyjdiesz, to razem przybijemy to tą małą pieczętką, potwierdzimy to. Krok po kroku nadejdą dobre dni. Zawsze kiedyś nadchodzą. Wiem, że ci ciężko. Ja mam tyle na głowie, że nie wiem jak się nazywam. Ale pamiętaj, że masz mnie, a Kurczak zawsze ci pomoże. A teraz chodź i przytul się. – Amelia wyciągnęła do niego ręce.

Zoo nic już nie powiedział, tylko przytulił mocno siostrę.

– I odwiedzaj mnie, jak będziesz na osiedlu, bo się obrażę.

– Dobrze.

– Wujku, obejrzyś ze mną *Krecika*? – zaszczębiotała Julka.

– Obejrzę. – Zoo otarł rękawem ostatnią łzę. Taką grubą jak groch.

– To ja zrobię herbatę. Widzę, że kryzys został zażegnany. – Amelia ruszyła dziarsko do kuchni.

– Wujku, to usiądź przy mnie i przy Kojkoju.

– Dobrze, księżniczko.

– Obejrzymy na telefonie.

– Jasne. – Zoo wyciągnął z kieszeni telefon i włączył YouTube. – Który chcesz odcinek?

– Ten o tych myszkach i robocie. – Dziewczynka pokazała palcem.

– Proszę, połóż się wygodnie, oglądamy. A czy Kojkoj też obejrzy z nami?

– Tak, już go nie boli brzuch.

– A w ogóle to powinieneś mieć dzieci – stwierdziła Amelia, stawiając kubki z herbatą na stoliku. – Nie wiem, czy ci to kiedyś mówiłam, ale byłbyś fajnym ojcem.

– Dziękuję, ale jakoś na razie się na to nie zanosi. Reproductorki brak. – Zaśmiał się.

– Mamo, co to jest reproductorka?

– Pilnuj się trochę – skrzywiła się Amelia. – Reproductorka, kochanie, to...

– Taka koleżanka krecika – wypalił Zoo.

Amelia nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Nie ma co, ty zawsze potrafisz mnie rozśmieszyć.

– Widzisz, nie jestem taki zły – odparł chętnie.

– Wujku, nie jesteś zły, jesteś najwspanialszy – zapiszczała Julia.

– Mam nawet swój mały fanklub. – Zoo puścił oczko do Amelii.

– Żeby podsumować jakoś naszą rozmowę, to pamiętaj, że nie można być jednocześnie dupkiem i spoko gościem. Jesteś jednym albo drugim, tego nie da się łączyć.

– Mamo, kto to jest dupek?

– Kochanie, daj trochę porozmawiać – zdenerwowała się Amelia.

– Ale kto to jest? – dopytywała uparcie dziewczynka.

– Dupেক, kochanie, to taki kolega reproductorki – wypaliła Kurczak. – Widzisz, też jestem niezła. – Tym razem to ona mrugnęła do Zoo.

– Szacunek! – Zoo stuknął się z nią kubkiem herbaty.

Siedział jeszcze godzinę, a potem powiedział, że musi iść pobiegać. Po spotkaniu z Kurczakiem był naładowany pozytywną energią.

– Ale chyba nie do Lasu Bielańskiego? – zapytała Amelia.



- No pewnie, że do lasu, a niby gdzie mam biegać? – Wzruszył ramionami.
- Dobra, dobra, nie chojrakuj – prychnęła. – Jest tu mnóstwo miejsc do biegania, choćby Kanalek, zrobili tam fajne ścieżki.
- Wolę do lasu.
- A ja cię proszę, żebyś tam nie szedł. – Wzięła się pod boki. – Wiem, co się tam wydarzyło.
- Dobrze. – Uśmiechnął się i pocałował siostrę w policzek.
- Obiecuj, że nie pójdziesz. To cię zdołuje. – Kurczak otworzyła przed nim drzwi.
- Obiecuję – wyszczerzył się. Zarzucił kaptur na głowę i zamachał pięściami. – Rocky Balboa idzie biegać.
- Kłamiesz mnie, zawsze się wtedy tak beznadziejnie wygłupiasz.
- Trochę kłamię. – Znowu się uśmiechnął. – Ale nie martw się o mnie, będzie dobrze. – Pocałował siostrę w drugi policzek i sprintem pobiegł do windy.
- Cześć, wariacie.
- Cześć! – zawołał z końca korytarza.

### **Kogo można poznać w lesie?**

*Polska, Warszawa, Las Bielański*

Kurczak nie myliła się, dobrze znała swojego brata. Zoo wybrał się na bieganie po Lesie Bielańskim. Dziwne to było miejsce. Od osiedla odgradzała je ulica Podleśna, potem był parkan, a za nim zaczynał się mroczny, podmokły las. Była to pozostałość wielkiej Puszczy Mazowieckiej, która stopniowo kurczyła się, znikła, aż w końcu miasto wzięło ją w kleszcze i otoczyło ze wszystkich stron betonem i asfaltem. Została jednak zielona wyspa, rezerwat przyrody na tyle rozległy, że żyły tu dzikie zwierzęta: sarny, lisy, a nawet ponure watahy dzików. Zazwyczaj w okolicach trzeciej w nocy całe to towarzystwo przekraczało granicę cywilizacji, czyli ulicę Podleśną, i bez żadnego skrępowania buszowało po śmietnikach. Ot, taka symbioza. Nad ranem można było na osiedlu natknąć się na przemykające dzikie zwierzęta.

Zoo wbiegł na ścieżkę i ruszył w stronę klasztoru kamedułów, który znajdował się na końcu lasu na najwyższym wzgórzu. Biegnąc, minął piaskownicę otoczoną drewnianymi palikami. Obok znajdował się stolik zбитy

z potężnych bali. Las był pusty i ciemny, ale Zoo inaczej zapamiętał to miejsce. Pamiętał jeszcze teatr i dużą figurę słonia z dykty. Przed laty po lesie biegały chmary dzieci. W tej piaskownicy Zoo i Kurczak zawsze się bawili, teraz wokół nie było żywej duszy. Odkąd zmieniono las w ścisły rezerwat przyrody, zdemontowano teatr i słonia, las stał się smutny i ponury i mało kto tu przychodził.

Zoo usiadł przy stole. W tym lesie wydarzyło się wszystko, co najważniejsze w jego życiu. Pierwszy raz palił tu haszysz, pierwszy raz całował się z dziewczyną, tu był na ostatnim spacerze z mamą. Kurczak dobrze o tym wiedziała, dlatego przestrzegała go przed bieganiem w tym miejscu. Kiedyś na spacerze Zoo wyrył na drewnianym stole datę i napisał SNIKERS. To była tajna rodzinna ksywa mamy. Teraz z trudem odnalazł napis. Dobry nastrój przysł. Zoo przejechał ręką po chropowatych literach. Był tu z mamą, kiedy była jeszcze zdrowa. Opowiadała mu, jak się bawili w piaskownicy. „Kurczak rozmawiała z dziećmi, zabierała im wszystkie zabawki, przynosiła je tobie, a resztę dzieciaków angażowała do budowy wielkiego zamku. Zawsze była dobrą siostrą, nigdy cię nie uderzyła” – mówiła wtedy mama. Zoo doskonale pamiętał tę rozmowę. Nie wiadomo, dlaczego wyrył ten napis z datą, może coś przeczuwał?

– Nie powinienem był tu przychodzić – mruknął. – Kurczak miała rację.

Na blat stołu spadła pierwsza łza. Zoo zaczął chaotycznie myśleć, a każda myśl była wyrzutem, że czegoś nie zrobił: że nie nagrał żadnej porządnej piosenki, a ten jeden hit to był dziki fuks; że miał tyle pieniędzy, a nie potrafił wyleczyć mamy. Zresztą nikt tego nie potrafił, cały świat rozłożył ręce. Rak dróg żółciowych jest nieoperacyjny. Mama od diagnozy żyła tylko pół roku. *Mogłem bardziej o nią dbać, wyciągać na jakieś badania.* Popłynęły kolejne łzy. Zoo miał wszystko: sławę i pieniądze, wystarczyło jednak, że z jego życia zniknął jeden element, a wszystko runęło niczym domek z kart.

– Chuj z tym bieganiem – mruknął i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Chciał zapalić, ale po policzkach ciągle nieprzerwanym strumieniem płynęły mu łzy. Rzucił papierosa na ziemię i ukrył głowę w rękach.

Nagle poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Podniósł głowę, przetarł oczy rękawem bluzy i ujrzał nieznaną kobietę.

– Czy wszystko w porządku? – Kobieta miała piękny głos, śnieżnobiałe zęby i filmowy uśmiech. Cała zdawała się lśnić. Modny dres opinał jędrny biust.

– Przepraszam. – Zoo machnął ręką. – Zamyśliłem się. – Było mu głupio, nie jest dobrze być nagle nakrytym na przeżywaniu głębokiego smutku.

– To chyba nie były dobre myśli. – Kobieta ponownie się uśmiechnęła. – Odpędzam je! – Zamachała dłońmi.

– Święta racja, trzeba je odpędzić – odparł Zoo, wyciągając paczkę papierosów.

– W taki sposób nie powinien pan tego robić. – Skrzywiła się. Pięknemu głosowi towarzyszyła idealna dykcja. – Niech pan lepiej pobiega. Zresztą chyba pan po to przyszedł. – Wskazała ręką na jego dres.

– Przepraszam, ale muszę, to moje lekarstwo.

– Oby było skuteczne. – Nieznajoma ponownie się uśmiechnęła i zaczęła truchtać w miejscu. Zoo mógł coś zrobić, coś powiedzieć, kobieta najwyraźniej czekała na jakiś gest. Tymczasem on po prostu zapalił papierosa, chyba zbyt oszołomiony tym nagłym spotkaniem. Wtedy nieznajoma zgrabnie odwróciła się i odbiegła. Ciemne spięte włosy zakotływały się niczym koński ogon. Po chwili zniknęła za zakrętem ścieżki. *Anioł, to był najprawdziwszy anioł* – pomyślał wtedy Zoo. Zaciągnął się dymem.

– Przyznaj się, mamó, że to twoja robota – szepnął i spojrzał w górę. – Ty nigdy nie chciałaś, żebym się smucił. Pamiętam, jak mi powiedziałaś na naszej ostatniej kawie: *Synu, masz swoje życie, więc przeżyj je tak, żebyś był zadowolony. Ja ze swojego jestem zadowolona. Nie mogło być lepsze. Zoo westchnął ciężko. Staram się, mamó, chociaż wiesz jak jest, ale obiecuję, że już nie będę się rozklejał. I co, mam teraz za niq biec?* – pomyślał.

– No tak, co za idiota ze mnie. – Popukał się w czoło. – Muszę ją dogonić. – Poderwał się na równe nogi, wyrzucił papierosa i ruszył w ślad za kobietą.

Biegł długo, błędząc po ścieżkach rezerwatu, ale nieznajoma zniknęła, po prostu rozpułyła się w powietrzu. Zrezygnowany Zoo zapalił papierosa i wolnym krokiem opuścił las. Jednak nie jest łatwo złapać anioła. *Ale dupę miała niezłą* – Zoo uśmiechnął się do swoich myśli. *Muszę tu częściej przychodzić na bieganie. Koniec z tą idiotyczną depresją. W końcu najważniejsze w życiu to nie złapać króliczka, ale gonić go. Tak zawsze mówiła mama.*

## **Zoo ma nowy plan**

*Polska, Warszawa*

Po rozmowie z Kurczakiem Zoo postanowił coś zrobić. Już w drodze powrotnej do domu w głowie kietkował mu pewien plan, ale to był na razie zarys, jakiś cień, którego kontur powoli wyłaniał się z mroku.

Następnego dnia Zoo wstał około siódmej rano. Zaparzył kawę i zasiadł do komputera. Dzięki Wujkowi Google mglisty plan szybko zaczął nabierać realnych kształtów, stawał się namacalny, a gdy kawa była skończona, Zoo oparł się wygodnie na krześle i spojrzał w ekran. *Dom w Jastarni z widokiem na zatokę* – brzmiał tytuł ogłoszenia na portalu z nieruchomościami.

Do Jastarni jeździli z Kurczakiem, odkąd pamiętał. Cokolwiek by się nie działo, zawsze co roku spędzali tydzień w Jastarni. Towarzyszyła im zawsze mama.

Pamiętał, że gdy byli dziećmi, natychmiast po przyjeździe biegli przez las, by zobaczyć morze. Z oddali słycać już było jego szum, ale wydma zasłaniała widok. Wbiegali na nią zziębnięci i nagle ich oczom ukazywały się błękit morza i białe grzywy fal. Widział to teraz tak wyraźnie, jakby w głowie wyświetlał mu się jakiś film. Następnie szli ulicą Abrahama nad zatokę. Na początku ulicy czuć było zapach ryb i węgla, bo w stojącym tam w małym domku z czerwonym dachem mieściła się wędzarnia. Szli dalej, uliczka zwężała się, a na samym końcu, przy zakładzie przetwórstwa ryb, zmieniała się w ścieżkę, która prowadziła na szeroką plażę porośłą trzcinami. Człowiek miał wrażenie, że zaraz wyjdzie nad wielkie jezioro, a wychodził nad zatokę. Nie było tu fal, a delikatny wiatr kołysał małymi łódkami rybaków. Zoo i Kurczak podwijali spodnie i wchodzili do wody. Woda w zatoce sięgała im kolan. Daleko od brzegu, w miejscu, gdzie cumowały łódki, też było płytko. Rodzeństwo z łatwością docierało do łódek i potrafiło bawić się w nich godzinami.

Teraz Zoo jeszcze raz oglądał dom, dwupiętrowy z wysokim poddaszem, gdzie umieszczone było duże, otwarte studio z kamiennym kominkiem. Zupełnie osobne mieszkanie. *Na froncie każę zrobić duży napis „Kurczak”. Albo nie, lepiej „Willa Kurczak”. Dam jej ten dom pod choinkę. A studio będzie moim mieszkaniem. Będziemy mogli być razem, a jednak oddzielnie. Zresztą tak jak zawsze* – Zoo uśmiechnął się do swoich myśli. Amelia była od niego starsza, ale niewiele, zawsze razem chodzili do przedszkola, a potem do szkoły. Co prawda edukacja Zoo zakończyła się na liceum, ale zawsze byli razem. Tak miało być nadal.

Zoo wystukał na klawiaturze numer do agentki Klaudii, który widniał pod ogłoszeniem. W telefonie zabrzmiał miły kobiecy głos. O dziwo, wydał się Zoo znajomy. Pełno w nim było uśmiechu i ciepła. Podobno sprzedawców szkoli się, by uśmiechali się, rozmawiając. Podobno dobrze wpływa to na klientów, kiedy słyszą uśmiech w głosie. Agentka Klaudia z pewnością uczęszczała na taki kurs, w jej głosie naprawdę było słychać uśmiech, troskę o klienta, zapowiedź dobrego interesu i jeszcze nutkę tajemnicy, ale o tym Zoo miał dowiedzieć się później. Ten jeden telefon rozpoczął bardzo dziwną historię.

Ponieważ godzina była jeszcze wczesna, umówił się na oglądanie domu w tym samym dniu na osiemnastą. Wziął prysznic, umył zęby, wtarł we włosy wodę kolońską, założył koszulę, by wyglądać porządnie, jak prawdziwy inwestor, levisy pięćset jeden i bluzę z kapturem od Armaniego. *Niech kobieta wie, że jestem przy forsie* – pomyślał. Zjadł kanapkę z żółtym serem, bo tylko na to natrafił w lodówce, umył jeszcze raz zęby i nałożył specjalny żel na opuszczające się dziąsła. Ciągłe przekładanie wizyty u dentysty dawało się we znaki.

Chwilę później siedział w samochodzie, czarnym błyszczącym mercedesie G500, i kłął w żywy kamień. Zapomniał mp3 z muzyką od Miśka. Nie chciało mu się znowu wracać windą na sam szczyt wieżowca i szukać tego małego badziewia. *Trzeba kupić ten dom choćby po to, by móc wchodzić do mieszkania z poziomu gruntu* – pomyślał i odpalił silnik.

Mercedes zagrał pięknie i ruszył z piskiem opon. Podziemny parking był stworzony do piszczenia oponami. *To im się najbardziej udało w tym całym budynku* – pomyślał Zoo.

W ciągu godziny udało mu się wydostać z miasta i wyjechać na autostradę. W radiu jak zwykle było za dużo gadania, głupich żartów i durnych konkursów, a jak grała muzyka, to nie dało się jej słuchać. Wyjął telefon i włączył YouTube. Puścił swoją playlistę. Wcisnął gaz i pomknął, na początku w stronę Łodzi, by potem odbić na Bydgoszcz. Tu ruch był o wiele mniejszy, jakoś nikt za bardzo się nie wybierał nad morze o tej porze roku.

Słońce ostro świeciło, więc założył przyciemniane ray-bany. Czuł się szczęśliwy i wolny. Jechał samochodem kupić dom. Był to może szalony pomysł, ale czasami szalone pomysły mają w sobie coś ożywczego.

Przed Bydgoszczą jego zapak zaczął słabnąć. *A co będzie, jak Kurczak nie zechce tam zamieszkać? Może to jednak głupi pomysł?* – pytał sam siebie. *A zresztą, jeden dom w tę, drugi we w tę, co to ma za znaczenie, najwyżej po roku sprzedam go z zyskiem. Będzie jak z kasą z płyty.* Wszystko zostało wtedy ulokowane na giełdzie kryptowalut. Zoo już nie pamiętał, na której imprezie Misiak opowiedział mu o bitcoinie. To była dla Zoo jakaś zupełnie abstrakcyjna idea, ale na początku kolejnego roku za namową kolegi kupił tysiąc sztuk tej dziwnej cyfrowej waluty. Jeden bitcoin kosztował wówczas pięć dolarów.

– Nie myśl, że wierzę w to gówno – powiedział do Miśka. – Czuję, że wywaliłem ot tak pięć tysięcy dolarów.

Przyjaciel nic nie powiedział, tylko zwiesił głowę.

– Nie wierzysz w to, stary, ale to przyszłość.

– Dobra, koniec tematu, zdecydowałem się. Nie musisz mnie już przekonywać, ale nigdy w to nie uwierzę.

Okazało się, że Misiak słabo ufał swoim przeczuciom, bo sprzedał posiadane bitcoiny za jakąś śmieszłą kwotę. Zoo tego nie zrobił, bo najzwyczajniej w świecie o tym zapomniał. Przypomniał sobie w dwa tysiące osiemnastym, kiedy wszystkie media już trąbiły o bitcoinach. Kryptowaluta kosztowała wówczas sześćdziesiąt tysięcy złotych. W jednym dniu za pomocą jednego kliknięcia Zoo sprzedał wszystkie bitcoiny i stał się milionerem. Na jego konto wpłynęło sześćdziesiąt milionów złotych. Tak, są różne złote strzały, a to był najprawdziwszy z nich. Istna złota bomba atomowa. Są też co prawda inne złote strzały, takie, które bezboleśnie potrafią przenieść człowieka w stanie nirwany na tamten świat. Zoo dobrze o tym wiedział, bo miał swój drobny epizod. Ten złoty strzał był jednak na szczęście czysto biznesowy. Co jak co, ale Zoo miał farta do pieniędzy. Pod taką gwiazdą najwyraźniej się urodził. Cała reszta kulą, ale pieniądze lały się szerokim strumieniem.

Przed Bydgoszczą zatrzymał się jeszcze na stacji. Uzupelniał paliwo, zjadł hot doga i kupił kawę na wynos. Potem mocno wcisnął gaz. Chciał minąć to miasto jak najszybciej. Miał ku temu swoje powody. *Nigdy więcej tam nie pojadę* – grzmiał w myślach.



## ROZDZIAŁ 13

*Nie mogę uwierzyć, że tak normalnie wyglądam na zewnątrz, choć w środku mam kompletne pobjowisko.*

Suzanne Collins, *Kosogłós*

### **Zoo wjeżdża na półwysep**

*Polska, Półwysep Helski*

Kiedy Zoo wjechał na Półwysep Helski, nie minął go żaden samochód. Było poza sezonem i jedyna droga ciągnąca się wzdłuż Zatoki Puckiej była zupełnie pusta. Zatrzymał wóz na poboczu i wysiadł. Mocno wciągnął powietrze, by poczuć zapach morza. Szalony wiatr potargał mu włosy. Zza lasu dobiegał odgłos sztormowych fal.

Zoo wsiadł z powrotem do auta i ruszył dalej. Przejechał przez Kuźnicę, która spała pogrążona w zimowym śnie. W małych rybackich domkach paliły się nikłe światła. W całym miasteczku nie dojrzał żadnego człowieka. Spadł świeży śnieg i na białym puchu nie widać było ani jednego śladu. Wszyscy siedzieli w ciepłych domach.

Chałupy, mekka polskich surferów, były zupełnie wyludnione. Na wielkich polach kempingowych drzemały przyczepy przysypane śniegiem. Migające błękitne światełka telewizorów ze stróżówek świadczyły o tym, że ktoś tam jednak mieszka i pilnuje, by żadna przyczepa w tajemniczy sposób nie odjechała w siną dal.

Jastarnia znajdowała się w szerszej części półwyspu, który mierzeją wybiegał daleko w morze. Dawno temu Półwysep Helski powstał naturalnie z połączenia kilku wysp. Był prawdziwym cudem natury. Kto raz tu przyjechał, zawsze potem wracał. Zoo był tu pierwszy raz jako dziecko z mamą i Kurczakiem. Potem przyjeżdżali co roku. Teraz jechał sam, ale w myślach miał tylko dobre wspomnienia. Dobrze mieć takie miejsce na świecie.



Równy o siedemnastej dwadzieścia minął stację paliw Lotos, która znajduje się przy wjeździe do Jastarni. Wpisał adres pensjonatu, gdzie wynajął pokój. Miał jeszcze pół godziny do spotkania z agentką, postanowił się więc zainstalować.

## **Kłótnia**

*Polska, Warszawa*

Mikołaj poszedł na pocztę wysłać paczki dla klientów sklepu internetowego. Marta zajrzała do Stasia, który na szczęście spał jak kamień, i wstawiła kolejne pranie.

*Dobrze, że balkon jest zadaszony. Ciągle pada śnieg. Najwyżej odwiruję pranie, to szybciej wyschnie* – pomyślała.

Była zadowolona, zawsze lubiła robić pranie i nawet gdy zupełnie nie mieli pieniędzy, kupowała dobre płyny. Uwielbiała wyciągać z pralki czyste, pachnące ubrania. Teraz wstawiając kolejny cykl, czuła się podwójnie zadowolona, gdyż nic na nią tak dobrze nie wpływało, jak robienie prania przed wyjazdem.

Ostatnio wszystko układało się pomyślnie. Już od dawna nie było tak korzystnych zbiegów okoliczności.

– Gdzie się podziała miska? – Marta zapytała samą siebie, rozglądając się po łazience. Wzięła mokre pranie i włożyła je do wanny. Usłyszała, że w salonie obudził się Staś. Na zmianę płakał i wykrzykiwał: „Am, am!”. *Pewnie znowu Marek za głośno bawił się na balkonie* – przemknęło jej przez myśl.

Weszła do salonu i pogłaskała malca po głowie.

– No, zaraz będzie zupka – powiedziała. – Widzę, że pielucha jest do zmiany. – Poszła do kuchni i postawiła na kuchence garnek z zupą. Gdy obiad się podgrzewał, szybko przewinęła syna.

Będąc matką, nauczyła się robić kilka rzeczy jednocześnie. Zawsze śmiała się z Mikołaja, który nie miał takiej wprawy i miotał się, gdy miał coś zrobić przy dzieciach. Idąc po jedzenie, zabrała ze sobą brudną pieluchę, wyrzuciła ją do kosza, po czym przelała zupę do butelki i już po chwili siedziała w salonie z malcem na ręku.

Staś jadł, ale minę miał jakąś niewyraźną i drapał się po nodze, tej, która była lekko wykrzywiona.

– Wiem, że cię boli, synku – powiedziała Marta – ale nie przejmuj się, wyleczymy ją. – Pocałowała dziecko w czoło. – O, już skończyłeś? Zuch chłopak. Założę ci kombinezon i wystawię na chwilę na balkon.

Na balkonie, który był w zasadzie dużym tarasem, jak zwykle urzędował Marek. W dużej misce do prania, której szukała w łazience, urządził małe lodowisko.

– A, to ty mi zabrałeś miskę, złodziejaszku. Musisz mi mówić, że ją bierzesz. Szukałam jej.

– Zobacz, mamo, ja tu mam prywatną ślizgawkę!

– Wiem, to naprawdę niezwykle, ale musisz mi oddać miskę. I dosyć zabawy na balkonie, przeziębisz się.

– Ale przecież mam kurtkę i czapkę, i nawet szalik.

– Powiedziałam i koniec. Zresztą i tak nie będzie miejsca, zaraz wstawiam tu suszarkę z praniem i wózek ze Stasiem, on też musi trochę poodychać powietrzem, a nie mam czasu wyjść z nim na spacer. Zanieś miskę do łazienki i wyrzuć z niej lód, tylko nie zrób mi tam potopu.

– Zobacz, ja się zmieszczę, a obok suszarki będzie nawet miejsce dla Stasia.

– Powiedziałam nie. Będziesz musiał go tu popilnować trochę. Nie możesz cały dzień się bawić, jesteś już duży i musisz mi trochę pomagać. Dziękuję za współpracę – dodała, gdy zrezygnowany Marek wytaszczył miskę do pokoju.

– Pooglądasz sobie świat – powiedziała do Stasia, wystawiając wózek na balkon.

– Ada, ada! – zawołał chłopiec, widząc dużego czarnego psa, który biegał po skwerze. Mieszkanie znajdowało się na szóstym piętrze i z balkonu był świetny widok na park.

– Tak, synku, ada – pochwaliła go Marta i wskazała na kolejnego psa, który biegał w oddali. – Zobacz, tam druga ada. Marek, chodź, popilnujesz brata – zawołała starszego syna.

Marek pojawił się, ale jakiś nieobecny, ruszał się ociężale jak zepsuty robot.

– Zobacz, jak on się cieszy, kiedy widzi psy. – Marta wskazała na malca.

– Wiem, pokazujesz mi to codziennie – mruknął chłopiec.

– Synku, przestań. Nie obrażaj się, mamy naprawdę dużo przygotowań przed wyjazdem. Muszę zrobić dzisiaj wszystkie prania, żebyśmy mieli ubrania na święta. Jest zima i wszystko wolno schnie. – Chciała pogłodzić chłopca po głowie, ale lekko odtrącił jej rękę.

– Dobrze, to w takim razie wyraż swój gniew – powiedziała – to jest zgodne z naszymi zasadami. Po prostu wykrzycz to, co masz w środku, albo popłacz. Widzę, że w oczach kręcą ci się łzy i chcesz to wyrazić, więc nie wstydz się.

– Nie chcę niczego wyrażać i nic mi się nie kręci! – krzyknął Marek i wybiegł z balkonu.

– Zobaczysz, zaraz wróci ojciec i wszystko mu powiem, że jesteś niegrzeczny i mi nie pomagasz – zawołała za nim Marta. – Chodź, Staśku. – Wzięła młodszego syna na ręce. – Nie będziesz siedział na balkonie, bo twój starszy brat jest niepoważnym człowiekiem. – Rozebrała dziecko z kombinezonu i włożyła na powrót do kojca stojącego w salonie. Malec zaczął rozpaczliwie płakać. W drzwiach niczym cień pojawił się Marek.

– Mamo, przepraszam... – powiedział cicho.

– Zobacz, co najlepszego zrobiłeś. – Marta wskazała na kojec, w którym histeryzował Staś.

– Pomogę ci, on zaraz przestanie płakać.

– Zejdź mi z oczu! – krzyknęła Marta.

– Mamo, przepraszam – powtórzył Marek.

Marta zaczęła intensywnie pocierać czoło.

– Idź do swojego pokoju. Zasady zostały złamane. Sprowokowałeś mnie do podniesienia głosu.

Marek wyszedł, a Staś słysząc krzyki, o dziwo, uspokoił się.

– No, wreszcie spokój – mruknęła Marta i poszła wieszać pranie. *Czasem jednak trzeba tupnąć nogą na tych facetów* – pomyślała.

## **Zakaz palenia**

*Polska, Jastarnia*

Ulica Jeżynowa znajdowała się na początku Jastarni. Kiedyś były tu torfowiska. Zoo pamiętał, że w czasach, gdy przyjeżdżał tu jako dziecko, na tym terenie rosły same trzciny. Bawili się z Kurczakiem i bandą innych dzieciaków w Indian i tym podobne głupoty. *Ależ to było dawno* – pomyślał. *Dzieciństwo, świat bez problemów... Gdzie się to podziało? Wtedy wszystko było takie proste, dosłownie na wyciągnięcie ręki.* Zaparkował wóz i wysiadł.

Pierwsze wrażenie, gdy się przyjeżdża do Jastarni po sezonie, jest zawsze takie samo. Cisza i zapach morza. Zoo wciągnął głęboko powietrze. Polskie morze zimą ma w sobie coś magicznego.

Pensjonat, w którym wynajął pokój, był zupełnie nowym budynkiem. Otworzyła mu młoda kobieta, ani ładna, ani brzydka, taka, na którą nikt nie poleciał oprócz męża, bo on musi. Obliguje go do tego przysięga małżeńska, a za zdradę czeka piekło.

Pokój był ładny i pachniał nowością, ale był mniejszy niż łazienka w apartamencie Zoo. W dodatku nie było balkonu, a w środku nie można było palić, o czym informowały rozwieszane wszędzie kartki. Właściwie to zdawało się, że pokój jest wytapetowany piktogramami z zakazem palenia. Zoo coś świtało, że prosił o pokój z balkonem, ale nie chciał na wstępie być roszczeniowy, więc nic o tym nie wspomniał. *Trudno, zapalę na dworze* – pomyślał. Jednak sama myśl o pokoju wkurzała go, coś w nim było nie tak. Takie niewyartykułowane duże coś.

Gdy ruszył na spotkanie, śnieg wciąż prószył. Cała Jastarnia pokryta była nieskazitelnie białym puchem. Podjechał pod umówiony adres pięć minut przed czasem. Na pustej uliczce stał zaparkowany maleńki biały smart. Zoo zaparkował koło niego. Przy potężnym mercedesie smart wyglądał jak zabawka. Agentka nieruchomości, bo nie ulegało wątpliwości, że to do niej należało autko, miała zgoła odmienny gust motoryzacyjny od swojego klienta.

Dom, który zamierzał kupić Zoo, był tylko dwupiętrowy, ale i tak górował nad okoliczną zabudową. Miał spadzisty, niebieski dach, skrywający studio z kominkiem, które tak urzekło Zoo. Budynek nie był cudem architektury, był trochę za wysoki, a dach miał zbyt spiczasty. *Taki wysoki kurnik. W sam raz dla kurczaka* – przemknęło Zoo przez myśl. Wyjął telefon i zadzwonił.

– Już wychodzę – odezwał się kobiecy głos w słuchawce.

Zoo był naprawdę bardzo ciekawy, jak wyglądała ta kobieta. Jej głos miał w sobie coś niezwykłego, chciało się go słuchać. Często jednak piękny głos nie idzie w parze z urodą. Zoo dobrze o tym wiedział i to jeszcze bardziej podkreślało jego ciekawość. Nim zdążył dotrzeć do furtki, drzwi domu otworzyły się i na ganek wkroczyła właścicielka głosu. Zoo zdębiał, serce zabiło mu mocniej. Zobaczył bowiem kobietę, którą spotkał w Lesie Bielańskim. Tę samą, której nie udało mu się dogonić. Ona też go poznała, bo uśmiechnęła się

szeroko. Błysnęły zęby białe jak śnieg. Spojrzenie miała intensywne, poczuł je jak dotyk.

*Ale zbieg okoliczności – pomyślał.*

## **Burzliwa rozmowa Marty**

*Polska, Warszawa*

Gdy tylko Mikołaj wrócił do domu, Marta opowiedziała o zajściu z Markiem. Mikołaj od razu zaczął wyjaśniać sprawę.

– Rozumiem, że się zdenerwowałaś, ale ja sam dałem mu tę miskę, żeby zrobił sobie w niej lodowisko. Właściwie to mieliśmy zrobić to razem. Chciałem, żeby zobaczył, jak zamarza woda, trochę fizyki i takie tam. Poza tym kupiłem mu spychacz i mieliśmy sprawdzić, jak zgarnia śnieg, ale poprosiłaś mnie, żebym poszedł na pocztę.

– Mikołaj, ja to doskonale rozumiem, te wasze męskie sprawy, zabawy w odśnieżanie, ale Marek nie może cały czas się bawić. Bywa tak, że plany się zmieniają i trzeba ustąpić, a nie być egoistą, który całymi dniami okupuje balkon. A to się bawi żaglówką, a to moczy głowę, ciągle coś.

– Dobrze, porozmawiam z nim.

– Nie, kochanie, porozmawiamy z nim razem. Mam dosyć waszych męskich rozmów, z których nic nie wynika. Ty zawsze wszystko przysypujesz piaskiem, uklepujesz, rozkładasz na tym dywan i udajesz, że wszystko jest okay. Nie muszę ci mówić, że przez to nie zmienia się absolutnie nic.

– Dobrze, skarbie, zawołałam go tutaj i porozmawiamy wszyscy razem, tylko ochłoń trochę. Marek, przyjdź do salonu – zawołał Mikołaj.

Chłopiec wszedł do pokoju, minę miał niepewną. Marta siedziała na kanapie ze splecionymi na piersi rękoma. Czoło miała zmarszczone, a w jej oczach czaiły się oczekiwanie i zaczepność. Ojciec był poważny i wiało od niego chłodem, chociaż od rana mieli się bawić spychaczem i robić lodowisko. *To po co obiecywał? – pomyślał Marek. Sam kazał mi nalać wody do miski.*

– Wiesz, o co nam chodzi? – spytała Marta i jeszcze bardziej zmarszczyła czoło. – Może masz jakiś pomysł?

Marek nic nie odparł, ale nie miało to żadnego znaczenia. Przemowa i tak była przygotowana, wystarczyło tylko stać i słuchać. Marek dobrze znał ten rytuał. W myślach nazywał to teatrem.

– Stajemy z ojcem na głowie, żebyś pojechał w góry. Przechodzimy teraz ciężki okres, bo Stasio jest chory. Wiesz o tym doskonale, bo jesteś już duży, a mimo tego egoizm bierze u ciebie górę. Całymi dniami okupujesz balkon, a gdy proszę, żebyś zajął się bratem, to się obrażasz. Na koniec Staś wpada w histerię, a ja urabiam się po pachy, by wszystko przygotować na nasz wyjazd. Jeszcze trzeba sprzątnąć dom, bo przyjeżdża kuzynka z Kanady, więc chyba sam rozumiesz, że zabawa spychaczem jest na ostatnim miejscu. Ale nie to jest najgorsze. Mówiłam, żebyś nie tłamsił swoich emocji, abyś wykrzyczał to, co w tobie się tam nazywało, albo sobie popłakał. Ty natomiast zamiast to zrobić, obrażasz się. Przecież dobrze wiesz, że lepiej coś z siebie wyrzucić, niż dusić. Na sam koniec krzyknęłam na ciebie. Dobrze wiesz, że zmusiła mnie do tego cała sytuacja. Rozumiesz mnie?

– Tak – odparł cicho Marek.

– To co należy teraz zrobić? – spytał Mikołaj łagodniejszym tonem.

– Przeprosić.

– Właśnie tak – zgodziła się Marta – i powinieneś częściej angażować się w prace domowe.

– Dokładnie, kolego. – Mikołaj pogroził synowi palcem. – Jesteś już duży.

– Mikołaj, proszę cię – powiedziała Marta.

– O co chodzi?

– Proszę, nie zwracaj się do Marka per „kolego”, nie chcę takiego słownictwa w domu.

– Dobrze – odparł pojednawczo Mikołaj, bo najwyraźniej ostrze krytyki skierowało się w jego stronę. – A więc chodzi o to, drogi Marku, żebyś bardziej pomagał mamie. Czy dasz radę to zrobić?

– Tak.

– Ona ma naprawdę dużo na głowie. – Mikołaj pogłaskał chłopca po włosach.

– Mamo, przepraszam. – Chłopiec przytulił się do Marty.

– Już dobrze, synku. – Pocałowała go w czoło. – Jesteśmy jedną drużyną, zawsze o tym pamiętaj.

– Dobrze – odpowiedział Marek.

– Skoro wszystko już zostało wyjaśnione, chyba możemy siadać do obiadu. – Mikołaj klasnął w ręce.

– Najważniejsze, że obyło się bez kary – dodała Marta. Marek nic nie powiedział, czuł się kozłem ofiarnym całej sytuacji.

## **Agentka Klaudia**

*Polska, Jastarnia*

Zoo pchnął zardzewiałą furtkę, która stawiała zdecydowany opór. Klamka nie chciała zadziałać, szamotał się więc dobrą chwilę, aż w końcu ustąpiła. Wtedy szybko wbiegł po schodach, by nadrobić stracony czas, i stanął oko w oko z kobietą, która z rękoma splecionymi na piersi bacznie przyglądała się jego zmaganiom. Po jej ustach błąkał się delikatny uśmiech, ale nie kpiący, raczej z tych przyjaznych i nonszalanckich. Zoo poczuł zapach mocnych, słodkich perfum. Miał wrażenie, jakby ktoś mu zamieszał w głowie. To było dotknięcie magii. Był jak mała muszka, która zupełnie nieświadomie wpadła w sieć doświadczonego pająka. Zoo poczuł, że musi przespać się z tą kobietą.

– Cóż za spotkanie. – Kobieta wyciągnęła do niego rękę. – Mam na imię Klaudia i jestem pana agentką.

– Miło mi. – Uścisnął jej dłoń. Już miał przedstawić się swoim pseudonimem, ale ugryzł się w język. To wszystko było bardzo profesjonalne.

– Przepraszam, nie dosłyszałam pana imienia.

– Mam na imię... Antoni – powiedział z wahaniem. Nie lubił swojego imienia. Osiem lat gehenny w podstawówce zrobiło swoje. Na szczęście w liceum kiedyś tak skutecznie przeszkadzał na lekcji, że zdesperowana nauczycielka stwierdziła, że zachowuje się jak w zoo. W ten sposób narodziła się jego ksywa i sprawy potoczyły się inaczej. „Raper Antoni” – to nie brzmiałoby dobrze.

– Piękne imię – skwitowała agentka. – A więc, panie Antoni, czy jest pan gotowy na zwiedzanie swojego nowego domu? – spytała z uśmiechem.

– Tak, oczywiście – odparł.

– To proszę o wypełnienie tego formularza. – Wypielęgowaną dłonią podała mu kartkę i długopis ozdobiony kryształkami Swarovskiego. Wszystko u niej było perfekcyjne. – Tu proszę wpisać imię i nazwisko. – Paznokiec wskazał właściwą rubrykę. – Tu pesel, a tu proszę o podpis.

Antoni vel Zoo posłusznie wypełniał formularz. W głowie miał jednak dziwne uczucie, jakby zaczynała się tam kłębić wata, coraz więcej miękkiego

puchu. Ociężałe myśli krążyły, płacząc się leniwie. Czuł się zupełnie jak w podstawówce, gdy do jego ławki zbliżała się atrakcyjna nauczycielka z nieziemsko długimi nogami. Pomalowanymi na czerwono paznokciami stuknęła w blat ławki i mówiła:

– Antoni, proszę, pokaż mi swoje szlaczki. Bardzo ładnie, jestem z Ciebie dumna.

Wtedy w głowie Zoo też powstawały kłęby waty, zupełnie jak teraz. To głos agentki tak na niego działał. Jej słowa sprawiały przyjemność, nieważne, co mówiła.

– Skoro już wszystko mamy wypełnione, to zapraszam do środka. Oprowadzę pana po domu. – Kobieta odebrała od Zoo formularz i długopis. – Zapraszam. – Otworzyła drzwi.

– Pani przodem – odparł Zoo.

Kobieta uśmiechnęła się i weszła do przedpokoju. Zamiotła przy tym długimi włosami, które lekko musnęły jego twarz. Szła wyprostowana niczym struna, a wszystko było u niej sprężyste i napięte. Idąc za nią, Zoo mógł dobrze przyjrzeć się jej figurze, długim nogom i krągłej pupie.

– To niezwykły dom, najwyższy w okolicy, co zapewne nie umknęło pana uwadze. – Mówiąc to, nagle obróciła się i spostrzegła wzrok Zoo wbity w jej pośladki. On lekko się zmieszał, ale ona nie zareagowała, chyba było to dla niej normą, że kiedy tylko się odwróci, wszyscy podziwiają jej tyłek.

– Jest tu naprawdę sporo miejsca. A pod nami – wzięła się pod boki i zastukała lekko w podłogę obcasem – jest obszerne przyziemie, czyli taki rodzaj suterenu z oknami.

*Talia osy* – pomyślał Zoo.

– Tam znajdują się pralnia, kotłownia i pomieszczenia techniczne – mówiła dalej kobieta. Biały golf ściśle opinał jej jędrny biust. – Jest tam sporo miejsca, można zrobić na przykład siłownię. – Mówiła z niezwykłym przejęciem, zupełnie jakby dom był jakimś wielkim wieżowcem z bogatym zapleczem technicznym.

– Tu na parterze jest jedno mieszkanie. Możemy je zobaczyć, bo jest puste. – Agentka wprowadziła Zoo do obszernego trzypokojowego mieszkania. Ściany były poszarzałe, podłogę pokrywał stary parkiet w jodełkę. Z sufitów zwisały się jakieś przedpotopowe lampy, designerskie koszmary rodem z PRL-u.



*O, to mi się podoba – pomyślał Zoo. Kurczak lubi takie klimaty.*

– Czy można zobaczyć górę? – zapytał.

– Niestety dzisiaj to niemożliwe, nie mam kluczy do tamtego mieszkania – wyjaśniła kobieta. – Ale zaraz pokażę panu ogród.

– To nie będzie potrzebne – odparł – podoba mi się ten dom, chcę go kupić. Zależy mi na tym, by do transakcji doszło jeszcze przed świętami.

– Widzę, że jest pan bardzo zdecydowanym inwestorem, panie Antoni. – Kobieta uniosła lekko jedną brew, a Zoo poczuł, że jeszcze bardziej chce z nią pójść do łóżka.

– Myślę, że uda nam się wszystko załatwić, mam nawet ekipę, która może pomalować wnętrze. Rozumiem, że dom ma być prezentem, czyż nie tak? – Kobieta spojrzała pytająco.

– Tak, dla mojej siostry – wyjaśnił Zoo.

– O proszę. – Uśmiechnęła się. – Dobry z pana brat. To mi się podoba. Mam jeszcze w ofercie kilka innych ciekawych nieruchomości w Jastarni. Dzisiaj jest już za późno, ale jutro w południe możemy spotkać się na kawie i z chęcią je panu zaprezentuję. Będę tu jutro do godziny czternastej, potem jadę do Sopotu.

– To dobry plan – ucieszył się.

– A teraz uciekam do hotelu – odparła. – Życzę panu miłego wieczoru.

Wyszli z domu. Gdy agentka wsiadała do smarta, Zoo nie mógł oderwać od niej oczu. Zawracając, postąpiła mu uśmiech na pożegnanie.

*Nie wiem, ile ona ma lat, chyba jest trochę starsza ode mnie. Ale jest naprawdę niezła – pomyślał.*

Nim wykręcił mercedesem, po małym autku agentki nie było ani śladu. Piękna Klaudia była jednak gdzieś w Jastarni, czuł jej obecność, to było naprawdę dziwne. Zoo powoli ruszył do swojego pensjonatu, w którym nie można było palić.

## **Zoo w barze**

*Polska, Jastarnia*

Po rozstaniu z Klaudią Zoo nie miał zupełnie pomysłu na wieczór. Usiadł więc w fotelu i włączył telewizor. Na jednym kanale akurat zaczął się program *Królowe życia*. W tym odcinku Dagmara ze swoimi kompankami weszła do knajpy na krakowskim Rynku. W knajpie znajdowała się wielka tarcza

z desek, taki olbrzymi dart, do którego rzucało się siekierami. Dagmara podeszła z wolna, wzięła potężny zamach i bach! trafiła siekierą prosto w dziesiątkę. Istotnie, Dagmara była królową życia, nic nie mogło jej powstrzymać.

Zoo zaczął się zastanawiać, czy nie zignorować wszystkich kartek i po prostu nie zapalić papierosa. *W końcu co mi zrobią? Przecież rano wywietrzę – pomyślał.*

– No, zadzierzgnij kopyto! – W telewizorze Dagmara ponaglała swoją kompankę. Królowe życia były teraz na basenie i wykonywały jakieś skomplikowane ćwiczenia. Wtem zadzwonił telefon Zoo.

To była Klaudia. W tle słychać było muzykę. Agentka zaprosiła go na drinka do Domu Zdrojowego. Poinstruowała go, jak dostać się do baru, w którym siedziała.

Przejechanie przez pustą Jastarnię zajęło Zoo niecałe dziesięć minut. Dom Zdrojowy znajdował się w lesie na wydmach. Był położony tak blisko morza, że zdawało się, że jest luksusowym okrętem, który szykuje się do rejsu. Elewacja była połączeniem drewna i stali, a wszystko otaczały sosny kołyszące się na wietrze.

Półokrągły bar, w którym Zoo umówił się z Klaudią, znajdował się na dachu i wychodził na lądową stronę półwyspu. Zlokalizowany był tu również duży taras, obecnie zamknięty z uwagi na pogodę. Na niebie świecił księżyc w pełni, a w prawie pustym lokalu przy stoliku obok wielkiego okna wychodzącego na nadmorski las siedziała Klaudia. Księżycowa poświata rozświetlała okolicę i postać kobiety zdawała się również jaśnieć tym blaskiem.

Kiedy Zoo dosiadał się do stolika, serce waliło mu jak młotem. A gdy witał się z agentką i poczuł jej zapach, jeszcze bardziej przyspieszyło. Klaudia zdążyła się przebrać. Czarna mieniąca się bluzka odsłaniała głęboki dekolt.

– Wydał mi się pan samotny – powiedziała, uśmiechając się delikatnie.

– Samotny i zły – dodał. – W moim pensjonacie nie można palić.

– Prawdziwe dno – pokiwała głową, a Zoo zaśmiał się. – Tam w Lesie Bielańskim też wyglądał pan na smutnego. Taka sierotka w środku lasu, aż miałam pana ochotę przytulić.

– Może przejdziemy na ty? – spytał Zoo.

– Też chciałam to zaproponować – ucieszyła się.

- Tylko nie mów do mnie Antoni – zastrzegł.
- To jak mam mówić?
- Po prostu Zoo.
- Czekaj... No tak, ty jesteś tym raperem, o którym tak ostatnio głośno.

Miałam wrażenie, że skądś cię znam.

- Tak, to ja. – Schylił głowę.
- Widzę, że popularność nieźle cię przeczłgała.
- Tak jakby.

– W takim razie będę udawała, że nic nie wiem – postanowiła. – A swoją drogą to niesamowite, że się spotkaliśmy ponownie, sam przyznaj.

– Totalna magia – stwierdził Zoo i pomyślał: *Ale ona jest piękna i seksowna.*

– Jest taka teoria, że to, co ma się stać, po prostu się wydarza. –

Uśmiechnęła się tajemniczo.

Zoo nie mógł się już dłużej opanować, nachylił się nad stołem i pocałował Klaudię w usta.

– Co robisz? – Momentalnie zeszywniała i odsunęła się. Uśmiech nagle zniknął z jej twarzy.

– Myśl, co chcesz, ale po prostu nie mogłem się powstrzymać.

Klaudia patrzyła teraz na niego przenikliwie. W jej oczach przemykały dziwne mroczne cienie.

– Wyglądasz, jakbyś chciała mnie zamordować – zauważył.

– Skąd wiesz, może lubię zabijać. – Wydęła usta. – Nie znasz mnie wcale.

– Wydaję mi się, że cię znam całe wieki – odparł.

– Nie bądź taki pewien. – W jej oczach znowu pojawił się dziwny błysk. –

Kobieta dla mężczyzny zawsze jest zagadką.

## ROZDZIAŁ 14

*Przynajmniej słońce jest zawsze za darmo.*

Haruki Murakami, *Przygoda z owcą*

### **Seks na pierwszej randce**

*Polska, Jastarnia*

Zoo dopił swojego drinka. Po jego niefortunnym wybryku nastrój trochę się zmienił. Klaudia była lekko zdystansowana. *Może źle, że ją pocałowałem tak z zaskoczenia* – ganił się w myślach.

– Czas na nas. – Agentka odstawiała na stół pusty kieliszek po margaricie.

– Chyba tak – odparł powoli Zoo.

– Mówiłeś coś o paleniu.

– A to ty palisz? – zdziwił się.

– Czasami mi się zdarza.

– No to chodź. Może tam na tarasie nikt nie będzie się nas czepiał. –

Wskazał na wielkie przeszklone drzwi.

– Żartujesz? Zobacz, jak tam wieje. Zapraszam na papierosa do mojego pokoju. Ale musisz obiecać, że nie będziesz mnie już więcej całował.

– Obiecuję – odparł z uśmiechem.

Wychodząc z restauracji, Klaudia podała kelnerowi numer pokoju, by dopisał kolację do rachunku. W windzie wisały reklamy nowego francuskiego menu restauracji na dachu.

– Zobacz, mają mule i nawet ostrygi. – Klaudia wskazała na plakat.

Winda zatrzymała się na drugim piętrze. Wysiedli i ruszyli korytarzem, który zakręcał. Hotel miał owalny kształt i wszystkie korytarze biegły po łuku. Klaudia szła pierwsza, a Zoo nie mógł oderwać wzroku od jej sprężystej pupy. Nagle stanęła przed drzwiami pokoju i Zoo omal na nią nie wpadł.

Agentka otworzyła drzwi kartą i weszli do ciemnego wnętrza. Księżyc bladym światłem ledwo oświetlał rozległy apartament. W pokoju pachniało tak,

jak zawsze pachnie w dużych luksusowych hotelach – wanilią i nowym wnętrzem. Klaudia chwyciła Zoo za koszulę i przyciągnęła do siebie.

– Palenie to głupi pomysł – wyszeptwała. – Jestem starsza od ciebie, muszę być odpowiedzialna.

Położyła mu ręce na piersi i pchnęła tak, że oparł się o ścianę.

– Pocałuj mnie tutaj. – Wskazała na szyję. – A teraz tu. – Wskazała na dekolt.

Podczas gdy Zoo ją całował, szeptała dalej.

– Widzisz, to są idealne cycki. – Chwyciła jego rękę i położyła na jędrnym biuście. – A to jest idealna dupa. – Drugą rękę Zoo położyła na swoim pośladku. – A to... – Pocałowała go przeciągle, wprowadzając język do jego ust. – To, mój drogi, jest idealny pocałunek.

Stała teraz chwilę i spoglądała na niego zawadiacko. Miał wrażenie, że patrzy raz w jego lewe, raz w prawe oko. Taka dziwna sztuczka. Klaudia była mistrzynią różnych gier.

– Mówię ci, ja to czuję. – Popukała się w jędrną pierś.

– Co czujesz?

– Razem zrobimy superbiznes. Sprzedam ci pół Jastarni. Z minimalną moją prowizją, oczywiście, ale to będziesz musiał wynegocjować sobie sam.

– To zaczynam negocjacje. – Chwycił ją w pasie i obrócił do tyłu. Klaudia oparła się o blat biurka, a on wodził rękami po całym jej ciele.

– Widziałam w windzie, że jest tydzień francuski, może pójdziemy coś zjeść? – wydyszała.

– Przecież już tam byliśmy – wysapał, całując jej kark i rozpinając bluzkę.

Klaudia nic nie odpowiedziała, tylko położyła się na blacie biurka.

– Nie zdejmuj mi bluzki – wyszeptwała.

Zoo podwinął jej spódnicę.

– O właśnie, tak na szybko – pochwaliła go. – Chcę tylko trochę i powoli – jęknęła. – Takich kilka ruchów.

Zoo klepnął ją w pośladek.

– Au – krzyknęła – za co?!

Zoo nic nie odparł, tylko wszedł w nią powolnym ruchem. Przymknął oczy. Zatopił się w uczuciu zupełnego połączenia, a kiedy był już na granicy wszystkiego i poczuł, że zaraz eksploduje, Klaudia nagle wywinęła się jak wąż i po prostu uciekła.

Stała teraz przed nim, śmiejąc się i poprawiając ubranie. Olbrzymie oczy iskrzyły się radośnie. Ciężko dysząc, roztrzęzionymi palcami zapinała guziki bluzki.

– Dobrze, bardzo dobrze – wysapała. – O to właśnie chodziło, o takie krótkie coś. – Dotknęła dłonią czoła Zoo, który stał jak zamurowany.

– No chodź, zaraz wrócimy. Miało być tylko troszkę. Taka była umowa. Umieram z głodu, a zaraz zamykają restaurację.

Zupełnie zaskoczony Zoo otrząsnął się z odrętwienia. Zapiął spodnie i przetaił oczy jak zamroczony. Klaudia poprowadziła go za rękę do wyjścia. W głowie mu szumiło. Na krawędzi rozkoszy przyjemność jest największa. Zdążając teraz korytarzem do baru na kolację francuską, odczuwał to każdą komórką swojego ciała. Są pewne rzeczy, które można tylko poczuć, nie da się ich zrozumieć. Klaudia uwolniła coś w Zoo. Wcześniej uprawiał seks, ale to, co działo się teraz, było zupełnie inną jakością. Zupełnie jakby otworzyły się przed nim tajemnicze, niewidzialne drzwi i nagle znalazł się w innej rzeczywistości, gdzie wszystko jest intensywne, gęste, zapachy są namacalne, a kolory biją po oczach.

Wrócili do restauracji na dachu. Podszedł nowy kelner, poprzedni najwyraźniej skończył zmianę. Był to szczupły mężczyzna ze starannie wypielęgnowaną brodą. Gdy składali zamówienie, bacznie się im przyglądał. Czujna Klaudia natychmiast to dostrzegła i spuściła wzrok. Nie lubiła, gdy ktoś obcy zbyt długo się w nią wpatrywał.

Wybrali mule i butelkę francuskiego wina. Gdy kelner odszedł, Klaudia usiadła tyłem do sali. Zoo niczego nie dostrzegł, bo kobieta absorbowwała go bez reszty. Uroda była jej potężną bronią.

Zoo mało mówił, ciągle był oszołomiony. Czuł, jakby w jego życie wsączono gęstą esencję, która sprawiła, że wszystko, co było dotąd uśpione, zaczęło się budzić. Odnajdywał w tym dawnego siebie, człowieka, który miał pasję, chciał coś robić, a nie tylko zatracać się.

– Masz dzieci? – Klaudia spytała nagle, płucząc smukłe dłonie w miseczkę z wodą, w której pływał plasterek cytryny. Skończyła właśnie mule i szykowałą się do degustacji kolejnej butelki wina. Nim jednak Zoo zdążył odpowiedzieć, mówiła dalej.

– Nalej mi, proszę – powiedziała. – Poczekaj. – Zastoniła nagle ręką kieliszek, by go powstrzymać. – Na początku dla siebie, ale tylko trochę –

poinstruowała. – Weź w usta odrobinę i lekko przepłucz... Czujesz to? – Uniósł brwi. – To jest właśnie smakowanie bukietu. Czy wino jest okay?

– Tak. – Skinął głową.

– To teraz nalej dla mnie. – Cofnęła rękę znad kieliszka. – Ale nie tak mało, to jak dla kota. Wino przecież jest dobre, to mogę pić. – Błysnęła oczami. – Zresztą w tym hotelu wszystko jest wspaniałe. Uwielbiam tu przyjeżdżać, zawsze czuję się tu jak w domu. – Zamilkła na chwilę rozmarzona. – No dobrze, ale powiedz, co z twoimi dziećmi?

– Nie mam.

– Jak to, tak przystojny facet i zero, nic?

– Dokładnie, zero, nic.

– Gdzie te dziewczyny mają oczy? – parsknęła. – Idiotki, na niczym się nie znają.

– A ty?

– Oczywiście, że mam. Dzieci są zabawne. Na początku są małe, bezradne i słodkie. Przypominają wtedy trochę małe zwierzątka. Potem jest okres przejściowy, wtedy jest trochę gorzej. Dużo płaczu, grymaszenia, ale na końcu jest najlepiej.

– Dlaczego?

– Wtedy stają się twoimi przyjaciółmi. Jedynymi ludźmi, na których możesz tak naprawdę liczyć. Moje dzieci już dawno żyją swoim życiem, ale spotykają się ze mną, są najlepszymi przyjaciółmi, jakich mam. W końcu pracowałam na to latami. A co, nie widać po mnie?

– Jakoś nie.

– Muszę ci się zwierzyć. – Pochyliła się nad stolikiem i zniżyła głos. Zoo przysunął do niej swoją głowę. Prawie stykali się czołami. – Tak naprawdę jestem syreną. Pływam sobie całymi dniami w lodowatym Bałtyku, to świetnie konserwuje. Wieczorem wypęlam na piasek, zrzucam rybi ogon i haruję po mieście. My, syreny, nigdy się nie starzejemy, jesteśmy wieczne.

– Wariatka. – Zoo zaśmiał się.

– Mówię prawdę, szczerą prawdę. Dlaczego nikt nigdy mi nie wierzy? Dobrze, niech ci będzie. – Machnęła dłonią. – Mam dobre geny po mamie. Zobacz. – Sięgnęła za dekollet i wyjęła złoty medalion. Otworzyła go powoli. Jedną część zgrabnie zakryła dłonią, znajdowało się tam coś, czego nie chciała mu pokazać. Na wieczku znajdowało się zdjęcie pięknej pani w kapeluszu.

– To moja mama. – Klaudia przejechała palcem po fotografii. – Sam przyznaj, że urocza, i zobacz, jakie ma mądre oczy. Uwielbiam mądre oczy. – Uśmiechnęła się przeciągle. – To odnosi się do kobiet i mężczyzn. Ale wracając do mamy, widzisz, to były czasy, gdy kobiety chodziły w kapeluszach i rękawiczkach.

Zoo posmutniał. Szybko odszukał w myślach swoje wspomnienia. Klaudia natychmiast wyczuła jego roztargnienie. Miała jakieś wewnętrzne radary, które sprawiały, że zawsze potrafiła naprowadzić rozmowę na właściwe tory.

– Ale wróćmy do dzieci. – Uczyniła dłonią nieokreślony ruch, który nagle odczarował wszystko. Spojrzała głęboko w oczy Zoo. – Dzieci są fajne i fajnie je mieć. Fajnie z nimi rozmawiać i żartować. Jak są małe, we wszystko wierzą, są takie naiwne. Najlepsze są ich maleńkie stopy, kiedy śpią, takie ciepłutkie. Uważam, że każdy powinien mieć przynajmniej dwójkę dzieci. Wiesz, jak to wzbogaca? Przy nich odnajdujesz w sobie pokłady emocji, o których nie masz pojęcia.

Zoo pokiwał głową.

– To jednak masz dzieci, tylko mnie wypuszczasz i droczysz się.

– Mam siostrzenicę i siostrzeńca.

– Czyli masz jakieś pojęcie o tym, co mówię. Za dzieci. – Uniósł kieliszek do toastu. Opróżniła go jednym haustem i odstawiła na stół. – No, kolacja skończona – stwierdziła. – Mule były pyszne. Wiesz, na co mam teraz ochotę?

– Nie. – Zoo pokręcił głową.

– Chcę wrócić do pokoju i pieprzyć się z tobą całą noc. Już bez żadnego przerywania. Podoba ci się mój plan?

– Tak.

– To chodź. – Klaudia wstała od stolika i wyciągnęła do niego rękę.

## **Harry przekazuje raport**

*Kanada, Montreal*

Harry umówił się z Sally na przekazanie raportu w Montrealu w Tommy Café, klimatycznej knajpce położonej na tyłach bazyliki Notre-Dame. Jak zwykle przyszedł przed czasem, a Sally odrobinę się spóźniła i oczywiście wyglądała nieziemsko: cielisty płaszcz, przyciemniane okulary i zapach dobrych perfum. Harry uścisnął jej wypielęgnowaną dłoń. Czuł się niezręcznie, Sally zaś tryskała



dobrym nastrojem. Poprzedniego dnia spotkała się z córką Victorią i wnukami. Oznajmiła im, że zamierza zamienić stary dom na willę nad jeziorem, gdzie wszyscy będą mogli spędzać weekendy. Victoria bardzo się ucieszyła. Stwierdziła, że to świetny plan.

– Już dawno powinnaś była to zrobić – powiedziała.

Sally po tym spotkaniu dosłownie rozpieęła energia. Dodatkowo tego dnia po południu mieli z Thomasem obejrzeć dom. Wisienką na torcie miał być raport przygotowany przez detektywa. Wszystko zmierzało więc w dobrym kierunku.

Harry zajął w kącie kawiarni miejsce z dużymi fotelami, które zwrócone tyłem do sali zastaniały widok, w sam raz na dyskretną rozmowę. Pokazał Sally raport. Omówił wszystkie najważniejsze punkty, a na koniec przekazał jej szeroką kopertę.

– A tu jest bonus – powiedział tajemniczo. – To jej zdjęcie. Będzie pani wiedziała, jak obecnie wygląda.

Sally mocno zabiło serce. Ostrożnie wysunęła fotografię, zaledwie do połowy. Lekko przy tym poblądła.

– Tak to ona – szepnęła – tylko teraz jest o wiele starsza. – Schowała zdjęcie z powrotem do koperty.

– Wygląda bardzo poważnie – zauważył Harry. – Na początku myślałem, że to jakaś pomyłka.

– Z nią zawsze było coś nie tak – podsumowała Sally. – Czasami zastanawiałam się, czy przypadkiem nie była adoptowana i ktoś nie oszukał tych biednych rodziców w kwestii jej wieku. Zresztą wcale nie była do nich podobna. Matka była drobną szatynką, a ojciec brunetem i też nie należał do olbrzymów. Tymczasem Jasmine była wysoką blondynką. To wszystko od samego początku było podejrzane. Więcej w tym wszystkim pytań niż odpowiedzi. Bardzo panu dziękuję. – Położyła Harry'emu swoją chłodną dłoń na rękę.

Detektyw spuścił wzrok, ta kobieta posiadała zadziwiającą umiejętność onieśmiania go.

*Czuły brutal* – pomyślała Sally, cofając rękę.

– Ja też mam coś dla pana. – Sięgnęła do żółtej torebki. Harry nie znał się na modzie, ale gdyby miał choć trochę pojęcia, to wiedziałby, że był

to najnowszy tegoroczny model Chanel. Na wierzchu w torbie leżały rękawiczki z cielęcej skóry. Pod nimi drzemała gruba koperta wypchana banknotami.

– To dla pana. – Sally podała Harry'emu pieniądze. – Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Również za wszystkie rady. Właśnie zmieniamy z mężem dom. – Oczy błysnęły jej wesoło, a Harry wyraźnie posmutniał. To było dziwne, nie poznawał samego siebie. Spotykał się przecież z Marią i wszystko układało się między nimi pomyślnie. Teraz jednak poczuł w sercu ostre ukłucie. Sally mówiąc, rzucała jakby zaklęcia, a każde jej słowo działało na Harry'ego. Czuł, że to ich ostatnie spotkanie. Ona miała męża i szczęśliwe życie. Detektyw przygasał i nie pocieszała go nawet gruba koperta, którą bez otwierania wepchnął do kieszeni marynarki.

– Nie przeliczy pan? – zdziwiła się Sally.

– Ufam pani – odparł z godnością. W jakimś sensie czuł się przegrany. Już wiedział, dlaczego tak naprawdę zwlekał z przekazaniem raportu. Czuł, że jeżeli to nastąpi, to już nigdy więcej nie spotka Sally. Ona już związała żagle na swoim luksusowym jachcie i była gotowa do odpłynięcia. On powinien uczynić to samo, ale siedział nieporuszony.

Sally uczyniła ruch, by wstać. Harry też podniósł się z fotela. Pomógł jej założyć płaszcz.

– Też pan idzie do samochodu? – zapytała.

– Muszę jeszcze udać się tam. – Wskazał na toaletę.

– W takim razie do widzenia. – Wyciągnęła do niego rękę.

– Do widzenia. Miło było panią poznać. – Ucisnął jej dłoń. – Mam nadzieję, że przynajmniej trochę pomogłem.

– Oczywiście, że pan pomógł, i to bardzo. – Sally rozpromieniła się. – Nie chcę być wścibska, ale odnoszę wrażenie, że coś pana trapi.

– Nie, to nic. – Harry machnął ręką i zamarkował uśmiech.

– To dobrze, w takim razie jeszcze raz dziękuję za wszystko – powiedziała. Jej też jakoś ciężko było się z nim rozstać. Coś ją do niego przyciągało. To było zupełnie irracjonalne i szalone. Sally wręcz zmusiła się, by wyjść. Kiedy była już na ulicy, obejrzała się i zobaczyła przez szklaną witrynę, że Harry wciąż stoi nieporuszony i patrzy za nią. Pokiwała mu. Wyciągnął rękę i zamachał. Kobieta odwróciła się i ruszyła do samochodu. Nie wiedziała dlaczego, ale było jej smutno. Polubiła tego człowieka. Chwytał jej myśli w lot. W jakimś sensie był jej bratnią duszą. Dodatkowo rozbrajały ją jego kilkudniowy zarost i nieco

przyciasne ubranie. Harry przypominał jej na siłę wciśniętego w tweedową marynarkę wielkiego niedźwiedzia, który w potężnych łapach nieporadnie trzyma malutką filiżankę z kawą. Dziś w tym dotąd profesjonalnym i rzeczowym mężczyźnie dostrzegła jakiś nieokreślony smutek, co dodatkowo ją rozczuliło. Ten człowiek miał w sobie jakąś tajemnicę, co też zaintrygowało Sally. Może dlatego, że jej życie było jasne i proste? Przynajmniej za takie je uważała.

Harry po rozstaniu z klientką był zupełnie nie do użytku. Przygnębiony wrócił do domu i od razu nalał sobie drinka. Sally niczym kolorowy motyl wpadła do jego mrocznego, zakurzonego życia, zatrzepotała skrzydłami i zniknęła tak nagle, jak się pojawiła. Zupełnie nie rozumiał, co się z nim dzieje. Nie wiedział tego, bo nigdy wcześniej nie był nikim tak silnie zauroczony. Teraz czuł się paskudnie, jak pies, któremu zabrano kość. Taka wściekłość pomieszana ze smutkiem.

## **Harry i Maria**

*Kanada, Saint-Hyacinthe*

Harry Symond uwielbiał pokazy monster trucków. Wielka maszyna skacząca po innych samochodach, ryk silnika – to było naprawdę coś. W działaniu detektyw przypominał właśnie jedną z takich wściekłych maszyn. Gdy trzeba było coś zrobić, po prostu ruszał na pełnym gazie w przód, a wielkie koła gniotły wszystko na miazgę.

By pozbyć się nostalgicznego nastroju, który owładnął nim po spotkaniu z Sally, pewnego popołudnia Harry podjechał do zajazdu Srebrne Koło na naleśniki. Zjadł, wypił kawę, a na koniec umówił się na randkę z kelnerką Marią. Rozpoczął tym samym nowy etap w swoim życiu. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Zrobił to z premedytacją, zupełnie wbrew swojemu sercu. To, co działo się na spotkaniu między nim a Sally Paterson, uznał za pochodną dziwnego nastroju. W końcu nowa klientka miała męża, a on nie chciał żyć w oparach iluzji. Harry był pragmatykiem z krwi i kości.

– Życie jest tylko życiem – mawiał. – Trzeba się naprawdę zdrowo napocić, by jakoś je sobie zorganizować. Od bajek to jest Hollywood. – Harry absolutnie nie wierzył w przeznaczenie i tym podobne sprawy. To wszystko to były bzdury dla naiwniaków. Nie wierzył też w miłość, bo po prostu jej nie znał. To,

co spotkało go w życiu, można było określić jedynie mianem zauroczenia, a potem przyzwyczajenia, które zakończył rozwód.

## **Cieniste Dęby**

*Kanada, okolice Lac-Écho*

Po kilku wieczorach w towarzystwie burbona Harry w końcu otrząsnął się z dziwnego uczucia, jakie wzbudziła w nim Sally. Nie lubił siebie takiego. Po przyjęciu od niej honorarium miał sporo gotówki. Zawiesił więc tymczasowo sprawy zawodowe i rzucił się w wir niezobowiązujących spotkań z Marią. Chciał skupić się w końcu na tym, co najstabilniej wychodziło w jego życiu, czyli miłości. Po kilku wyjściach na kolację w końcu postanowił iść z Marią na całość. Wynajął pokój w zajezdzie Cieniste Dęby, który znajdował się niedaleko jeziora Lac-Écho. Znał to miejsce bardzo dobrze, gdyż było często odwiedzane przez śledzonych przez niego niewiernych partnerów.

Droga, przy której stał zajazd, była mało uczęszczana, ale nie na tyle, by obiekt miał podupaść. Znajdował się w lesie, spory kawałek za miastem. Ta kameralność, odosobnienie i romantyczna nazwa działały niczym lep na muchy, przyciągając zarówno szukających dyskrecji kochanków, jak i zwykłych turystów. Budynek był pomalowany na ciemnozielony kolor. Główne wejście znajdowało się w szerokim podcieniu wspartym na potężnych drewnianych kolumnach. Nad wejściem widniał szyld, na którym jakiś miejscowy malarz wiernie przedstawił cztery potężne drzewa. Poniżej widniał napis wykonany ozdobną czcionką: *Zajazd Cieniste Dęby 1935 rok*. Miejsce to było wpisane na listę obiektów historycznych.

Kiedy Harry podjechał pod recepcję, Maria uśmiechnęła się.

– Podoba mi się tutaj – stwierdziła i nie kłamała. Zajazd nie był żadną zapyziałą dziurą, gdzie meldują się na dłuższy czas przeróżnej maści wyrzutki społeczne. Kiedy Harry powiedział, że znajdzie motel, naprawdę bała się, dokąd ją zaprosi. Umierała ze strachu, że będzie to jedno z tych obskurnych miejsc. Bała się swojego obrzydzenia, którego, znając siebie, nie potrafiłaby ukryć. To z pewnością mogłoby coś między nimi zepsuć. W końcu mężczyźni mają często odmienne od kobiet poczucie estetyki i dla nich biegający w zlewie karaluch jest nieszkodliwym małym żuczkiem. Trzeba jednak przyznać, że w tym wypadku Harry stanął na wysokości zadania.

Obok drewnianej recepcji, która lśniła od grubej warstwy lakieru, znajdował się niewielki bar. Siedziało tam kilka osób, ktoś czytał gazetę, ktoś popijał drinka. Nagle Harry omal nie podskoczył. Przy jednym ze stolików siedział blady, rozmiękły facet. Detektyw od razu go rozpoznał. Nie było mowy o żadnej pomyłce, był to we własnej osobie Thomas Paterson, mąż Sally. Jej samej jednak nie było nigdzie w pobliżu. Obok Thomasa, przybierając wdzięczne pozy, siedziała apetyczna brunetka o plastikowej urodzie. Na stoliku przed nimi stał kubetek do szampana.

*A to gnojek – pomyślał Harry.*

– Proszę podpisać się na formularzu. – Z zamyślenia wyrwał go głos recepcjonistki. Zmieszana Maria spojrzała na niego pytająco. Zauważyła tę chwilę zadumy i odczytała ją jako wahanie. Ale Harry szybko wszystko odczarował, rzucił kilka żartów o ciężkiej pracy i szalonym życiu i dziwne wrażenie rozwiało się niczym dym z jesiennego ogniska. *W końcu to nie moja sprawa* – pomyślał, kiedy mijali z Marią stolik niewiernego Thomasa. W sercu poczuł jednak delikatne ułkucie.

Wieczór przebiegł zgodnie z planem. Harry kochał się z Marią, potem rozmawiali, pili szampana i znowu się kochali. Gdzieś z tyłu głowy wciąż myślał o Sally, chociaż odganiał te myśli żartami i seksem. Coś w nim kiełkowało niczym nieznana roślina, której właściwości nie znał nikt. Czuł się trochę jak we śnie, w którym wszystko dzieje się na opak.

### **Rozczarowanie Sally**

*Kanada, Saint Matthias*

Sally była rozczarowana. Thomas tego dnia nie pojechał oglądać nowego domu, tak jak się umawiali. Tym razem wymówił się jakimś spotkaniem w biurze. Ostatecznie jednak wybrali się tam razem w kolejnym tygodniu.

Osiedle było przepiękne, okalały je lasy, a w krystalicznie czystej wodzie jeziora Saint Matthias odbijały się wiekowe świerki. Białe domy schodziły w dół po zboczu w stronę jeziora. Na dole była przystań dla łodzi.

Thomas z miejsca zaczął marudzić, że osiedle jest na zboczu i że ciągle trzeba będzie chodzić pod górę.

– Przecież ty wciąż jeździsz samochodem – odparła Sally.

– No, ale do sąsiadów pewnie będę chciał się przejść – zripostował, głośno sapiąc.

– To musisz zrzucić brzuch. – Zaśmiała się. – Pijesz za dużo piwa.

Thomas spochmurniał i zamilkł.

Kiedy oglądali dom z przestronnym salonem, który przechodził w taras z widokiem na jezioro, Sally aż zaparło dech w piersiach. W salonie zbudowano kamienny kominek, obok sporej wielkości kuchni znajdowała się oddzielna pralnia, a na górze ulokowano trzy sypialnie. Był to idealny dom, jasny, z dużym salonem do przyjmowania gości i szerokim, zadaszonym tarasem.

– Proszę spojrzeć na podłogę: piękny miodowy kolor, naturalny modrzew, olejowany – zachwalał agent.

Thomas skrzywił się.

– Szkoda, że podłoga nie jest ciemna – mruknął pod nosem.

– A to miejsce jest idealne na jacuzzi. – Agent wskazał na róg zadashzonego tarasu. Sally uśmiechnęła się, zawsze marzyła o jacuzzi.

– Zupełnie nie rozumiem ludzi, którzy chcą mieć jacuzzi – stwierdził Thomas. – Co jest fajnego w siedzeniu na zimnie w wielkiej wannie? Prysznic jest o wiele bardziej orzeźwiający.

Sally spojrzała na męża i w duchu zadała sobie pytanie, jak mogła wyjść za tego człowieka. Ostatnio coraz częściej odnosiła wrażenie, że zupełnie do siebie nie pasują. W ich wspólnym życiu szybko pojawiły się dzieci i cała masa obowiązków z nimi związanych. Sally nie pracowała, zajęła się domem. Teraz, gdy ich dzieci Mark i Victoria założyli własne rodziny, okazało się, że z Thomasem więcej ich dzieli, niż łączy. *Szkoda, że nie ma tu mojego detektywa – przemknęło jej przez myśl. Ciekawe, co on by powiedział. Może nie byłby takim skończonym durniem i chciał zrobić żonie trochę przyjemności. O Boże, w moich myślach już jesteście po ślubie!*

– Sally, czy ty mnie w ogóle słuchasz? – usłyszała natrętny głos swojego męża. – Proszę, powiedz, że ci się tu nie podoba. Ten dom jest położony... nigdzie. – Thomas szeptał pospiesznie, korzystając z tego, że agent udał się na chwilę na górę po teczkę z dokumentami. – Owszem, jest tu urokliwie, ale na Boga, co będziemy robić w tej głuszy? Żeby nas odwiedzić, dzieci będą jechać pół dnia. Dla Victorii tak daleki wyjazd z małymi bliźniakami będzie koszmarem. Będziemy tu siedzieć zupełnie sami.

– No i właśnie o to chodzi – wypaliła. – Przepraszam, ale co ty właściwie chcesz robić na emeryturze? Na tym to właśnie polega, na spędzaniu czasu we dwoje.

– No tak – bąknął zmieszany. – Ale wiesz, o co mi chodzi.

– Nie, nie wiem, o co ci chodzi – odparowała. – Po prostu powiedz lepiej, że w ogóle nie chcesz kupować nowego domu.

– A nasz stary jest aż taki zły? Wszystko jest tam urządzone, jak chciałaś. Latami go ulepszaliśmy. Teraz chcesz to wszystko jednym ruchem wyrzucić do kosza.

– Nie chcę niczego wyrzucać, tylko sprzedać z zyskiem i mieć na starość nowy, piękny dom. Stać nas na to.

– Starość – jęknął Thomas. – No tak, ale czy on musi być w tej głuszy?

– Wiesz, mój drogi, ostatnio mam wrażenie, że nasze pomysły w ogóle do siebie nie pasują.

– Co ty opowiadasz, chodzi mi tylko o jakiś kompromis – mruknął Thomas.

– Daj spokój, przestań mi mydlić oczy. Chodzi ci o to, by zostać w starym domu, a mnie najlepiej wystać na jakąś terapię. Moich potrzeb w twoim życiu po prostu nie ma. – Sally rozłożyła ręce. – Thomas, spójrz prawdzie w oczy, ty żyjesz sam ze sobą.

– Widzę, że państwo się naradzacie – powiedział agent, wchodząc do salonu.

Sally odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę wyjścia.

– Właśnie skończyliśmy – rzuciła na odchodne.

– Będziemy w kontakcie – bąknął Thomas, również wycofując się.

– W takim razie do usłyszenia – wymamrotał zawiedziony agent. Ta para wydawała mu się zgrana i miła. Już myślał, że ma pewnych klientów. Dla tego spotkania zrezygnował nawet z cotygodniowego squasha z przyjaciółmi. No cóż, pozory czasem mylą.

Thomas i Sally wrócili do domu już bez słowa.

*Co za gnojek – myślała Sally w samochodzie, a do jej oczu cisnęły się łzy. Co mu szkodzi kupić ten cholerny dom? Wcale nie jest drogi. Ze sprzedaży starego jeszcze by zostało trochę pieniędzy na samochód, który też można by już było zmienić.*

Jej mąż prowadził z zaciętą miną i z każdym kilometrem Sally czuła, że wcale nie przybliży się do domu, ale oddala się od niego. Nie chciała już być z Thomasem. Wspomnienia wszystkich dramatycznych dla niej wydarzeń ostatnich lat – zabójstwa sąsiadów, którego była świadkiem, wyprowadzki dzieci z domu – powróciły teraz jak wielka fala tsunami.

Sally czuła, że potrzebuje w życiu wielkiej zmiany. Nie wyobrażała sobie siebie za kilka lat z Thomasem w jednym domu. On żłopiący piwo, a ona jak zwykle sama ze swoimi myślami. Chciała kogoś aktywnego, wesołego, bratnią duszę, której tak naprawdę nigdy nie miała. Nagle uświadomiła sobie, że jest z Thomasem po prostu z przyzwyczajenia. Zaczęli ze sobą chodzić już podczas studiów na uniwersytecie. To Thomas starał się o względy Sally. Ale wtedy był inny, żwawy, społecznie zaangażowany. Miał lewicowe poglądy, chciał wszystko zmienić, wywrócić świat do góry nogami. Był zafascynowany Mao.

– Wszystkich po czterdziestce należy zamknąć w obozach i reedukować – mawiał.

*Ciekawe, co by było, gdyby młody Thomas spotkał samego siebie, stetryczalego i wypalonego – pomyślała. Pewnie powiedziałby: „Rzuć tego burżuja, kobieto, i żyj pełnią życia”. A więc zrobię to, co by mi doradził młody Thomas. Pamiętam go jeszcze. Ten stary już niestety o nim zapomniał.*

Sama nigdy nie była lewicująca. Miała to po rodzinie, która została naznaczona przez rewolucję. Jakoś nie mogła przekonać się do tych nowatorskich poglądów. Teraz na stare lata jednak stała się rewolucjonistką. Postanowiła przeprowadzić mały przewrót w swoim życiu.

*Tylko ciekawe, co na to dzieci – zastanowiła się. A zresztą i tak mają swoje życie. Mały rozwód jeszcze nikomu nie zaszkodził. Nie zamierzam im przecież otruć ojca. Jak chcą, mogą się z nim spotykać, kiedy dusza zapagnie.*

Wóz podjechał pod dom. Thomas w milczeniu wysiadł.

*Zacięta świnią – myślała dalej Sally. A taki był uroczy, jak się poznaliśmy, taki dobry.*

Bez słowa, z ciężkim sercem poszła spać do pokoju gościnnego. Thomas również się położył, naiwnie sądząc, że to tylko incydent i że żonie minie zły nastrój, tak jak już to nieraz bywało. Nie wiedział, że nadciąga burza, którą sam nieopatrznie wywołał. Powinien był być ostrożniejszy, szczególnie, że miał wiele grzeszków do ukrycia. Teraz wszystko miało wyjść na światło dzienne.





## ROZDZIAŁ 15

*Ludzie zawsze mają swoje tajemnice.*

*Chodzi tylko o to, żeby je odgadnąć.*

*Stieg Larsson, Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet*

### **Rozterki młodego Festera**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Przez cały tydzień Jasmine wstawiała wcześniej niż zwykle. Bardzo pilnowała, by się nie spóźnić na śniadanie. Nie chciała stracić punktów, co mogło skutkować zakazem wyjazdu na weekend do Anny.

W tym czasie nie działo się nic. Jasmine była jak powietrze, nikogo nie zaczepiała i z nikim za bardzo nie rozmawiała.

W końcu przyszedł piątek. Dziewczyna długo nie mogła się go doczekać. Tego dnia miała przyjechać Anna i zabrać ją do domku nad jeziorem. Jasmine musiała oczywiście wziąć udział w apelu. Wszyscy pacjenci stali równo w rzędzie w stołówce pod ścianą z oknami. Naprzeciwko nich ubrany w biały fartuch ordynator oddziału doktor Max Bronko tradycyjnie wygłosił rozwlekłe przemówienie. Mówił cicho, a jego wąskie usta z namaszczeniem wypowiadały każde słowo. Bronko uwielbiał swoje przemowy. Wszyscy stali w zupełnej ciszy, a siostry łypały groźnie niczym stróżujące psy.

Na początku była ogólna pogadanka o tym, jak ważne jest przyjmowanie leków i przestrzeganie procedur, które mają uporządkować zabałaganione życie.

– Bałagan w życiu to bałagan w głowie, moi drodzy – mówił ordynator, a pielęgniarki kiwały głowami. – Co by było, gdybyśmy codziennie nie sprząkali naszego oddziału? – zapytał retorycznie. – Z pewnością zaczęłyby się szerzyć tu jakieś groźne choroby – zauważył. – Dlatego też każdego dnia dezynfekujemy podłogi. To samo jest z waszymi głowami: leki i nasze pogadanki

wysprzątają psychikę każdego z was. Dosłownie wyszorują do białości, zupełnie jak chlor podłogi na naszym oddziale. Dzięki temu rozkwitniecie. Trzeba tylko chcieć, wówczas to nastąpi szybciej. Pamiętajcie, że ja osobiście czuвам nad każdym z was. No dobrze, a teraz czas na komunikaty. – Ordynator odchrząknął. – W tym tygodniu w piątek o godzinie siedemnastej w świetlicy będzie seans filmowy. Film edukacyjny niespodzianka zostanie wyświetlony dla tych pacjentów, którzy nie stracili punktów. Nowe menu obiadowe wisi w gablocie przy dyżurce pielęgniarek. Teraz przejdziemy do punktów, na co najbardziej czekacie.

W dalszej części apelu było żmudne odbieranie punktów, konsultowane na głos z pielęgniarkami. Anorektyczka Amelia straciła punkty za oszukiwanie. Okazało się, że by sfałszować swoją wagę, zakładała większą ilość ubrań, niż powinna. Odebranie punktów skutkowało tym, że przez cały tydzień miała chodzić w pizamie.

– Siebie oszukasz – grzmiał ordynator – ale z nami nie pójdzie ci tak łatwo. Szpitala nie da się oszukać, zapamiętaj to sobie.

Amelia spuściła głowę.

– Wróć do szeregu – dodał łagodniejszym już głosem Bronko. – Twoje racje żywnościowe zostaną zwiększone, cały twój trud jest więc bezsensowny. Musisz się nauczyć, Amelio, że tylko stosowanie się do poleceń ma sens, przeciwstawianie się im, kombinowanie przyniosą efekt odwrotny.

Siostra Betty zapisała polecenie ordynatora w kalendarzu.

Następnie na środek wystąpił Skinhead. Odebrano mu punkty za szereg grzeszków: pyskowanie siostram, spóźnianie się na posiłki, niegrzeczne odzywki do innych pacjentów. Jak zwykle miał cały tydzień chodzić w pizamie.

O dziwo, tym razem na środek nie została wywołana Jasmine. W tym tygodniu nie straciła ani jednego punktu.

Po apelu wszyscy udali się do stołówki. Fester biegał wokół Jasmine jak mały piesek.

– Coś się szykuje, czuję to, widzę, że masz plan – szeptał nerwowo, a Jasmine wykręcała się półstówkami. W końcu Fester został wysłany po jedzenie, a Jasmine i Skinhead usiedli przy stoliku. Rudolf oparł swą potężną łusą głowę na rękach. Rękawy szlafroka jak zwykle były o wiele za krótkie, wyglądał tragikomicznie. Gladiator wciśnięty w za mały szlafrok w różowe kwiatki.

- Fester mówi, że coś szykujesz – mruknął.
- Nie wiem, co on gada – odparła Jasmine, splatając ręce na piersiach.
- Zrobiłem, o co poprosiłaś.
- Nie rozumiem.

– Wspominałaś o anorektyczkach, że wchodzą ci w drogę i tym podobne, postraszyłem je porządnie i już będzie spokój. Dlatego znowu jestem skazany na to. – Wskazał z odrazą na przyciasny szlafrok.

Jasmine tylko wzruszyła ramionami.

– Mam wrażenie, że mnie unikasz, w ogóle ze sobą nie gadamy – ciągnął z żalem Skinhead.

– Przecież rozmawiamy – zachnęła się. – Siedzę z tobą przy jednym stoliku.

– Tak, ale jesteś milion kilometrów stąd. – Wbił w nią kamienny wzrok.

– Aha, widzę, że tylko tobie wolno się czasem zamyślić. – Uśmiechnęła się z roztargnieniem.

– Czemu mnie tak traktujesz, przecież widzisz, że robię dla ciebie wszystko – mruknął pojednawczo.

– Na razie chcę być sama. Czasem tak mam, wtedy chcę rzadziej rozmawiać, czy to taka wielka zbrodnia?

– Oczywiście, że nie – zmieszał się.

– Doceniam to, że zawsze mogę na ciebie liczyć, ale potrzebuję teraz spokoju.

– Rozumiem. – Skinhead pokiwał smutno głową. – Po prostu brakuje mi naszych rozmów. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto tak dobrze znałby *Mein Kampf* i w ogóle historię...

Do stolika podszedł zaferowany Fester. Z trudem niósł dwie tace, na których piętrzyło się jedzenie.

– Dzisiaj jest nowe menu, dali nawet jakieś jogurty i ciasto czekoladowe.

– A naleśniki znowu zimne. – Jasmine skrzywiła się, próbując jedzenia.

Skinhead nic już nie mówił, tylko wodził smutnym wzrokiem po sali. Czuł, że coś się dzieje, ale nie potrafił tego nazwać. Jasmine była nieobecna i chłodna. *Może zrobiłem coś nie tak* – zachodził w głowę. *Zawsze była moją przyjaciółką.* Usiłował jeść, ale nie bardzo mu szło, żołądek miał ściśnięty w małą kulkę.

Jasmine tymczasem jadła i nawet żartowała z Festerem. Po śniadaniu szybko odeszła, a chłopiec podążył za nią. Skinhead widział, że rozmawiają, i czuł się

odsunięty. *Ten gnojek musi coś wiedzieć* – przemknęło mu przez myśl, kiedy patrzył na Festera. *Mała, sprytna wesz*. Zaciśnął potężne szczęki.

## **Pałarnia**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Fester tak długo męczył Jasmine, aż wreszcie zgodziła się z nim porozmawiać. Nie chciała, by zbyt natarczywe zachowanie chłopaka zwróciło na nich uwagę, przez co ktoś mógłby zacząć się nią interesować.

Po śniadaniu udali się do pałarni.

– Powiedz, co planujesz – wypalił Fester.

Jasmine usiadła wygodnie w fotelu.

– Nie rozumiem, nic się nie dzieje. – Wzruszyła ramionami. Nie mogła się skupić na rozmowie. Ciągle myślała o spotkaniu z Anną, zostało do niego jeszcze dwadzieścia minut.

– Możesz tak oszukać Rudolfa, on jest jak dziecko. – Fester zachichotał złośliwie. – Ciągle uważa, że jest bohaterem spod Stalingradu odrodzonym w nowym życiu.

– Może jest. – Jasmine uśmiechnęła się tajemniczo. – W końcu wszystko jest możliwe

– Nieważne. – Fester machnął ręką. – Każdy ma tu jakiegoś fioła.

– Doprawdy? – Jasmine uniosła brew, a chłopak ciągnął dalej niezrażony. Mówiąc, ciągle się przemieszczał po pałarni. Jasmine miała wrażenie, że zaraz wejdzie na ściany i zacznie chodzić po suficie, taki był nakręcony.

– Siadaj wreszcie, straszny zamęt wprowadzasz – mruknęła.

Fester przycupnął na drugim fotelu.

– Ten biedak Rudolf naprawdę wierzy w te swoje urojenia, a dodatkowo podkochuje się w tobie.

– Chyba nie przyszedłeś rozmawiać tu ze mną o Rudolfie – skrzywiła się.

– A wiesz, za co on tu trafił? Nic nie zrobił, po prostu z kimś się pobił, i to nawet nie za ciężko. W zasadzie trafił tu za wygląd i swoje wielkie uczucie do Adolfa Hitlera, to nie jest teraz w modzie. On nie może ci w niczym pomóc, bo nawet samemu sobie nie pomaga. Gdyby skończył opowiadać te brednie, pewnie już dawno by go wypuścili. Ordynator z chęcią by się go pozbył. Ma

prawie osiemnaście lat, a jest wielki jak góra. Szkopuł w tym, że Rudolf chyba lubi tu być. Pobyt tutaj to dla niego wielki sen, nic nie musi robić, całymi dniami duma o tych swoich niby-bitwach.

– O co ci chodzi? – Jasmine poruszyła się nerwowo.

– Chcę powiedzieć, że na mnie możesz liczyć. Wiem też coś, co może cię zainteresuje. – Fester zrobił tajemniczą minę.

– Mów dalej.

– Stary Tom szykuje coś na ciebie. Lubię kręcić się wieczorem to tu, to tam i słyszałem, jak mówił Bobowi, że czegoś się o tobie dowiedział.

– Ciszej – syknęła Jasmine.

– Przecież mówię najciszej, jak się da.

– Po prostu powiedz to szybko, bez tych wstępów.

– Stary Tom czegoś się dowiedział i teraz uważaj, będzie najlepsze... On odnalazł kogoś z tamtej twojej sprawy. Chce iść z tym na policję. Tylko to usłyszałem.

– Też mi rewelacja. – Jasmine wzruszyła ramionami. – Stary Tom zawsze lubił bawić się w detektywa, nikt nie bierze go na poważnie. To, że jego szwagier jest zastępcą szeryfa, nie czyni z niego policjanta. Mój proces już dawno się odbył, nie można być sądzonym dwa razy za to samo. Stary Tom to skończony osioł, jeżeli uważa inaczej.

– Ale on wcale nie chce wznawiać procesu.

– To czego chce ten dureń? – zainteresowała się Jasmine.

– Chcę cię tu zatrzymać – odparł powoli Fester. – Jak sama widzisz, mogą być z tego jakieś problemy. To może pokrzyżować twoje plany. – Spojrzał przeciągle na Jasmine.

– Nie mam żadnych planów – wzruszyła ramionami – więc niczego mi to nie krzyżuje.

– Ty już sama wiesz najlepiej – skwitował Fester. – Chcę się tylko zapytać, czy w związku z tym mam coś zrobić?

– A niby co?

– Sam nie wiem, dowiedzieć się czegoś więcej albo sama wiesz... – Zawiesił głos i spojrzał wymownie na Jasmine, a w jego spojrzeniu było coś bardzo mrocznego.

– Nie, nic nie rób – zaprotestowała żywo – szkoda twojego zachodu.

– Dobrze, chciałem tylko, żebyś wiedziała. – Zwiesił głowę lekko zawiedziony.

– Załatwiłeś to, o co cię prosiłam?

– Oczywiście, na mnie zawsze można liczyć – odparł z poważną miną.

– To na co czekasz? – Wyciągnęła rękę. – Dawaj.

Fester sięgnął do bluzy i wyjął małe przedmiot przypominający pendrive. Bez słowa podał go Jasmine.

– Nie zapomniałeś o czymś? – Uśmiechnęła się zjadliwie.

– No tak, instrukcja. – Chłopak sięgnął do drugiej kieszeni i podał jej złożoną kartkę.

– Połapię się w tym? – spytała podejrzliwie.

– Napisałem wszystko najprościej, jak się da.

– Mam nadzieję – mruknęła Jasmine, chowając kartkę i pendrive. – Teraz już muszę iść. Pamiętaj, że to, o czym rozmawialiśmy w palarni, zostaje...

– W palarni – dokończył. – Pamiętam o tym. Możesz na mnie liczyć.

Jasmine ruszyła w stronę drzwi, a Fester podążył za nią, skacząc i wciąż wyrzucając z siebie niezliczoną ilość słów.

– Powiedz, że nie wyjedziesz. Nie chcę tu zostawać sam. Rudolfa mogą wypuścić, jak tylko przestanie opowiadać te brednie o Stalingradzie. Ja nie mam na to szans.

– Zawsze są jakieś szanse – odparła. – A Rudolf nie opowiada o Stalingradzie, tylko o bitwie w Ardenach.

– Wielka mi różnica – prychnął Fester. – Historyczne nudy, dawno temu i nieprawda. Kto o tym teraz pamięta? Chyba tylko Rudolf. – Zaśmiał się jadowniczo. Szli teraz przez stołówkę i jego głos niósł się echem w pustej sali.

– Na twoim miejscu byłabym cicho – szepnęła dziewczyna. – Jeszcze cię usłyszy ... – Na moment zapadła cisza.

– Proszę, powiedz, że nie zostawisz mnie tu samego – zagaił znowu Fester, gdy szli przez korytarz do swoich pokoi.

– Uspokój się – syknęła Jasmine – ja nigdzie nie wyjeżdżam. – Spojrzała na niego uważnie. – Mam teraz stałą przepustkę i jadę na weekend odwiedzić prawniczkę. Zresztą ty też byś mógł odwiedzić rodzinę, w końcu idą święta.

– Daj spokój, oni zamknęli mnie tu i wyrzucili klucz – odparł z żalem Fester. – Ja już nie mam nikogo. Teraz ty jesteś moją rodziną. – Spojrzał na nią smutno. – Wrócisz z tego weekendu? No powiedz.

- Oczywiście, że wrócę, co ci chodzi po tej głowie?
- Nie wiem, głupi jestem. – Wzruszył ramionami. Jasmine pogłaskała go.
- Tak naprawdę to jesteś śmieszny. Czasami mam wrażenie, że twoja głowa żyje własnym życiem.
- Po prostu boje się, że jak wyjedziesz, to głosy wrócą.
- Przestań już – fuknęła. – Nie chcę więcej o tym słuchać, rozumiesz?
- Tak – odparł zniechęcony.

Jego głowa naprawdę żyła własnym życiem i za nic miała zapewniania Jasmine. To nie mogło przynieść nic dobrego. Dziewczyna miała mieszane uczucia po tej rozmowie.

Anna napisała SMS-a, że spóźni się pół godziny. Jasmine postanowiła sprawdzić w tym czasie pocztę. Serce zabiło jej mocniej, bo otrzymała znowu dziwny mail. Tym razem było to tylko ostrzeżenie, ale potraktowała je poważnie...

„Droga Jasmine,

piszę do Ciebie, bo kłębią się nad Twoją głową ciemne chmury. Nie rozmawiaj za dużo z nikim. Ci, którzy pomagają, mogą w efekcie bardzo zaszkodzić. Czasami lepiej nie robić nic, niż zrobić za dużo. Bądź czujna, najważniejszym celem jest opuszczenie szpitala. Potem dowiesz się, co robić dalej. Już został wysłany do Ciebie opiekun, który ma Cię chronić. Zgłosi się do Ciebie niebawem. Poznasz go po pierwszych słowach, jakie wypowie: „Mała czarownica”. On zrobi wszystko, żeby Cię ochronić. Postępuj zgodnie z jego instrukcjami. Pamiętaj: czekaj i obserwuj, przyczaj się. Teraz sprawy załatwiają się same. Zbliża się D-Day, wszystko jest postawione na jedną kartę”.

Po przeczytaniu mail zniknął w ten sam sposób jak poprzedni.

*Może źle zrobiłam, że rozmawiałam z Festerem – pomyślała Jasmine. On jest dość szalony, by zrobić każde głupstwo. Jak dobrze, że już weekend i jadę do Anny.*

Dziewczyna zamknęła laptopa. Czasami trzeba przestać działać i należy po prostu czekać. Czowała to teraz wyraźnie.

**Anna zabiera Jasmine na weekend**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*



Anna weszła na oddział z nieodłączną latte w ręku dokładnie o jedenastej. Poranny rozgardiasz przeszedł już w rutynowe działania. Leki zostały podane pacjentom. Ktoś wpadł w histerię, więc dostał mocniejszą dawkę. Pielęgniarki piły kawę w swoim kantorku. W głównej recepcji rozdzwonił się telefon, ale nikt go nie odbierał, bo akurat przyjmowano trudnego pacjenta, chudego chłopaka, który wijąc się jak piskorz, jakimś cudem wyswobodził się z kaftanu bezpieczeństwa. Rzucił się teraz po podłodze tuż obok automatu z kawą i kopął w niego z całej siły.

– Jestem normalny! Jestem normalny! – darł się wniebogłosy. Niczym chart ścigający zwierzynę nadbiegł Bob, wściekły jak diabli, bo musiał przerwać picie kawy ze swojego olbrzymiego kubka.

– Oczywiście, że jesteś normalny, ale my cię tu wyleczymy – wysapał, przygważdżając chłopaka potężnym kolaniem. – Podajcie kaftan – wyciągnął rękę – ten jest jakiś wadliwy.

Siostra Betty podała mu nowy kaftan. Bob sprawnie zapakował w niego chłopaka.

– Jediną normalną osobą na tym oddziale jestem ja. – Pielęgniarz postawił chłopca na nogi jednym szarpnięciem potężnej ręki. – I ja tu rządzę, zapamiętaj sobie to dobrze.

Chłopak nic nie odpowiedział, nagle zapadł w jakieś odrętwienie.

– Zapraszam do apartamentu. – Bob ruszył korytarzem, prowadząc przed sobą niesfornego pacjenta. – Gdzie z nim? – zapytał siostrę za kontuarem.

– Już się uspokoił, więc do zabiegowego na badanie, a potem do akwarium – odparła.

– Z tym jedynym normalnym to oczywiście żartowałem – powiedział Bob do pielęgniarki konspiracyjnym szeptem. – Wiesz, że niezły ze mnie wariat. – Zrobił głupią minę, wywracając oczy.

– Uciekaj mi stąd. – Siostra Betty zaśmiała się. Lubiała Boba, zresztą kto go nie lubił. Zawsze potrafił obrócić wszystko w żart. Jednym słowem dzień jak co dzień. Szpital niczym parowiec na Missisipi płynął powoli, ale stanowczo całą naprzód. Nic nie mogło go powstrzymać.

Na dworze mocno wiało.

– Ale pogoda – jęknęła Jasmine, wychodząc z budynku. Wiatr potargał jej włosy.

Gdy wsiadły z prawniczką do wozu, Jasmine energicznie roztarła ręce.

- Szkoda, że nie wzięłam rękawiczek.
- Lodowaty wiatr, z Alaski – zauważyła Anna.
- Raczej z Syberii. – Jasmine zaśmiała się.

Anna włączyła samochód i podkręciła nawiew. Wnętrze wypełniło szybko ciepłe powietrze. Wóz popłynął przez miasto.

### **Jasmine odwiedza stary dom**

*Kanada, Saint-Hyacinthe*

Gdy zaparkowały przed starym domem Jasmine, dziewczyna chwilę siedziała w milczeniu. Czuła się, jakby przyjechała do obcego, nieznanego sobie miejsca. Nie wywołało ono w niej żadnych emocji, zupełnie jakby nigdy tu nie mieszkała. Wsiadła powoli, nogi same ją niosły. Anna otworzyła przeszklone drzwi ganku. Gdy weszły do salonu, otoczył je zapach dawno niewietrzonego pomieszczenia. Jasmine spojrzała na kanapę. Obok niej na wykładzinie widać było dwie poczerwiałe plamy krwi. Tu leżeli Richard i Monika, te dwie osoby, które zginęły. Właśnie tak o nich myślała, nigdy nie nazywała ich w duchu rodzicami. Po prostu „te dwie osoby”. Zresztą bardzo rzadko wracała do nich myślami. Całe jej wcześniejsze życie jakby nie istniało. Było jednym wielkim oszustwem, iluzją. Nawet te plamy na wykładzinie były jakies nierealne. Ktoś nieznający ich historii mógłby pomyśleć, że wylało się wino, którego od razu nie wytarto.

Z tamtych wydarzeń zapamiętała zapach, mdły i gorący, i jakby lepki. Odruchowo zasłoniła dłonią usta i nos, by tego nie czuć. Anna spojrzała na nią uważnie.

- Chcesz iść na górę? – spytała.
- Tak. – Jasmine skinęła głową.
- Iść z tobą?
- Nie, chcę być sama.
- Dobrze, to zaczekam tutaj.

Jasmine weszła po schodach, które znajdowały się obok kominka. Dobrze, że w domu był prąd, bo na korytarzu nie było okna. Musiała zapalić światło, żeby nie iść w zupełnej ciemności. Dom, który długo stał pusty, ma w sobie coś przerażającego. Niby wiadomo, że nikt w nim nie mieszka, ale pozostawione bezwładnie przedmioty codziennego użytku budzą grozę. Jasmine przeszła

obok łazienki. Na umywalce w kubeczku nadal stały szczoteczki Richarda i Moniki. Było w tym coś przygnębiającego, zatrzymany czas w upiornym muzeum przeszłości. Rzeczy ludzi, którzy dawno już nie żyli, podczas gdy wszystko toczyło się dalej. Świat gnał do przodu, to zdarzenie nie miało dla niego żadnego znaczenia.

Jasmine dotarła do gabinetu Richarda. Nim weszła do środka, spojrzała na schody, ale z dołu nie było słychać żadnego odgłosu. Anna pewnie usiadła na kanapie i czekała.

Gabinet był niewielkim pokojem. Wszystkie ściany zastawione były regałami z orzechowego drzewa, na których pełno było książek. Richard postanowił za pieniądze z jednej z premii zrobić bibliotekę z prawdziwego zdarzenia. Ściągnął listę najważniejszych dwustu książek w historii świata i kupił je w księgarni wysyłkowej. Chciał je przeczytać na emeryturze.

– Przeczytam wszystko słowo po słowie i zobaczę, co świat ma do zaoferowania. Potem powiem wam, jakie jest moje zdanie.

Jasmine pamiętała, jak śmiał się, mówiąc to w salonie przy kominku w święta, gdy dostał od firmy czek z premią. Niedługo potem przyszły wielkie pudła z regałami, które pieczołowicie skręcał w weekendy, a na koniec paczka z księgarni. Dwieście książek ledwo zapełniło jeden regał, Richard musiał więc rozszerzyć swoją listę. W końcu gdy wszystko było gotowe, z dumą zaprezentował bibliotekę.

– I oto, co proponuje nam świat: najważniejsze bestsellery w historii ludzkości. Tam na samym początku stoi Biblia, dalej Koran, a potem Fryderyk Nietzsche, który pogrzebał wszystkich bogów. Tu Machiavelli i jego słynny *Księżę*. Dalej beletrystyka, a tu... coś dla cię. – Richard nacisnął na półkę z imitacją grzbietów książek. Oczom Moniki i Jasmine ukazał się wtedy schowek skrywający bar. Kieliszki i butelki odbijały się w lustrze, które stanowiło tylną ścianę półki.

– Wspaniały pomysł – ucieszyła się Monika.

– Ty też będziesz mogła korzystać z biblioteki – ojciec puścił oko do Jasmine – ale trzymaj się z daleka od barku.

Stojąc teraz w pustym pokoju, dziewczyna odtwarzała w pamięci tę scenę. Istotnie, przeczytała wiele książek z tej biblioteki, a część tylko przejrzała. Ale Richard miał jeszcze jeden pomysł, o wiele lepszy, wręcz genialny.

Teraz Jasmine podeszła do biurka, które stało pod oknem. Odsunęła fotel obity zieloną skórą. Zapaliła zieloną lampkę gabinetową. Wysunęła szufladę z klawiaturą i włączyła komputer ukryty w szafce biurka. Ekran powoli się rozświetlił.

– No dalej, działaj – zachęciła go Jasmine.

– Potrzebujesz pomocy? – Z dołu dobiegł ją głos Anny.

– Nie, dziękuję, daj mi jeszcze chwilę – odchrząknęła Jasmine. – Cholera – mruknęła pod nosem. Dobroć Anny i jej chęć niesienia pomocy zawsze i wszędzie były czasami naprawdę irytujące. Komputer zaszumił i na ekranie powoli zaczęły pojawiać się ikonki.

– Szybciej, szybciej. – Dziewczyna bębniła palcami o blat biurka.

W oczekiwaniu na uruchomienie się urządzenia Jasmine poszła do swojego pokoju i otworzyła od niego drzwi. Ale nawet tam nie zajrzała, od razu wróciła do gabinetu, na wypadek gdyby Annę coś podkusiło do wejścia na górę.

Gdy podeszła do biurka, komputer był gotowy do pracy.

Wyjęła z bluzy urządzenie, które dostała od Festera, i umieściła je w stacji USB. Następnie rozłożyła kartkę z instrukcją. Postępowała zgodnie z zaleceniami. Na początku otworzyła folder, w którym przechowywane były bitcoiny. Dokładnie sto sztuk. Richard kupił je dla żartu dawno temu, gdy jedna sztuka kosztowała kilka dolarów.

– Wyrzucasz pieniądze – denerwowała się wtedy Monika.

– To tylko kilkaset dolarów – śmiał się.

– Miał jednak rację – szepnęła do siebie Jasmine. Kliknęła na plik i zaczęła kopiować go na dysk zewnętrzny przeznaczony do przechowywania kryptowalut.

– Może przyjdę do ciebie? – Ponownie usłyszała głos Anny z dołu. Po jego natężeniu Jasmine wywnioskowała, że kobieta stoi tuż przy schodach.

– Nie, naprawdę nie trzeba – pisnęła, nadając swojemu głosowi ton bezradności. – Już schodzę, proszę, daj mi jeszcze chwilę. *Szybciej!* – pospieszała komputer w myślach, znów nerwowo bębniąc palcami po blacie. Ale nie było się czemu dziwić, sprzęt od kilku lat nie był włączany. Teraz wcale nie zaczął przelewać bitcoinów, tylko wziął się za powolną instalację. Jasmine kliknęła szybko na wymagane zgody.

– Idę do ciebie, nie możesz się tam sama zamartwiać. – Na schodach rozległy się kroki Anny.

Jasmine serce podeszło do gardła. *Jak ją zatrzymać?* – pomyślała w panice.  
*Przecież już więcej tu nie przyjadę, muszę to załatwić dzisiaj.*

## ROZDZIAŁ 16

*Człowiek musi jeść, pić i ubierać się; reszta jest szaleństwem.*

Stanisław Lem, *Powrót z gwiazd*

### **Jasmine realizuje plan**

*Kanada, Saint-Hyacinthe*

Gdy Anna weszła na górę, zastała Jasmine w jej pokoju. Dziewczyna siedziała na łóżku i przeglądała jakąś książkę.

– Co robisz? – Anna usiadła obok niej.

– To mój pamiętnik – powiedziała Jasmine. – Dobrze, że przyszłaś. – Chwyła Annę za rękę.

– Chyba powinniśmy jechać – stwierdziła prawniczka.

– Też tak myślę.

– To chodź. – Anna ruszyła na dół.

– Poczekaj na mnie, chcę tylko coś zabrać, kilka drobiazgów. – Jasmine cofnęła się.

– Dobrze, będę czekać na dole.

– Daj mi dwie sekundy. – Dziewczyna wróciła do swojego pokoju. Chwyła jakieś przypadkowe rzeczy, a gdy usłyszała, że Anna już zeszła na dół, szybko wskoczyła do gabinetu. Kliknęła, by zakończyć instalację, i zleciła transfer bitcoinów. Serce waliło jej jak młotem. Anna na dole krążyła niespokojnie, słychać było jej kroki.

– Chodź już – ponaglała – zaraz zaczną się korki, utkniemy na autostradzie.

– Idę! – odskrzyknęła Jasmine. Komputer guzdrał się niemiłosiernie. Zwykła złośliwość przedmiotów martwych. – Tylko się nie zawieszaj ani nie zaczynaj aktualizacji – szeptała Jasmine. Na szczęście był to stary, dobry Windows 98, najlepszy z najlepszych, który nigdy nie potrzebował żadnych aktualizacji. Był genialny w swojej prostocie i chyba dlatego zarzucono ten projekt. Teraz

wszystko musi być skomplikowane i awaryjne. W końcu udało się przelać kryptowaluty. Jasmine wyłączyła komputer, po prostu wyciągając wtyczkę z prądu.

– *Bye, bye*, dziękuję. – Poklepała pieszczotliwie monitor. Potem zbiegła po schodach, ściskając w kieszeni bluzy przenośny portfel kryptowalut.

– Zabrałaś wszystko? – spytała Anna, stojąc pośrodku salonu z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Tak. – Jasmine pokazała małego misia. – Na tym mi zależało.

– Okay. – Po ustach Anny przebiegł lekki uśmiech.

Jasmine ruszyła do wyjścia. Co prawda nie pamiętała zupełnie tej zabawki, ale nie miało to znaczenia. Wsiadając do wozu, nie mogła się opanować i uśmiechnęła się sama do siebie. *Udało się, jestem bogata*. Serce biło jej mocno, a w uszach szumiąco. Zerknęła na Annę, ale ta była zajęta zapinaniem pasa. Dopiero gdy wóz ruszył, spojrzała z ukosa na Jasmine.

– Dobrze się czujesz?

– Tak.

– Przepraszam, nie chciałam cię popędzać, ale w piątek wszyscy wyjeżdżają gdzieś na weekend. I jeszcze ten śnieg. Zapowiada się gigantyczny korek.

– Może nie będzie tak źle – odparła Jasmine. – Dziękuję, że tu ze mną przyjechałaś. To było dla mnie ważne. – Chwilę jechały w ciszy. Gdy Anna wjechała na autostradę nagle zatrąbiła trzy razy.

– Co się stało? – Jasmine aż podskoczyła.

– Nic. – Anna roześmiała się. – Właśnie ogłosiłam rozpoczęcie weekendu. I zobacz nawet nie ma korka. – Wskazała na drogę. – Jak tylko przyjedziemy, od razu napalę w kominku. Zapach palących się sosnowych polan i gorąca herbata to jest to, o czym teraz marzę.

– I kocyk – dodała Jasmine.

– Tak. – Anna spojrzała na nią z uśmiechem. – Dużo ciepłych kocyków. Zobacz, jak pięknie pada śnieg, las będzie wyglądał bajkowo. Domek na pewno ci się spodoba, są w nim duży salon i kominek z kamienia. Mamy też saunę i jeszcze kilka innych fajnych rzeczy, ale na razie o tym szał, inaczej nie będzie niespodzianki.

– Dziękuję, że mnie zabrałaś. – Jasmine uśmiechnęła się swoim najpiękniejszym delikatnym uśmiechem.

## Weekend u Anny

*Kanada, Lac Marois*

Śnieg sypał coraz mocniej. Wszystko momentalnie zrobiło się białe.

– Zaraz pewnie będzie jakaś stłuczka i utkniemy w korku – zawyrokowała Anna. – Ludzie jeżdżą zbyt szybko. Wydaje im się, że coś przyspieszą, a tylko wszystko komplikują.

Jasmine nic nie odparła, jedynie uśmiechała się porozumiewawczo, a ten jej uśmiech zdawał się mówić: „Masz zupełną rację, zgadzam się z tobą w stu procentach”. Anna również się rozpogodziła, w końcu dobrze jest być zrozumianym. Z córką nigdy nie miała takiego porozumienia. *Dobrze, że zabrałam Jasmine na ten weekend – pomyślała. Może w końcu Emily zobaczy jakieś inne zachowanie, kogoś, kto potrafi być wdzięczny i miły.*

Po prawej stronie autostrady ciągnął się las, odwieczna puszcza z wiekowymi świerkami. Na każdym z drzew wisiła potężna śnieżna czapa. Anna skręciła w zjazd prowadzący w stronę jeziora Lac Marois. Droga wiodła teraz pod górę, a po obu jej stronach stały olbrzymie drzewa z pniami porośniętymi mchem. Gdy wóz wjechał na szczyt wzniesienia, oczom kobiet ukazał się widok na dolinę z rozległym jeziorem. To przepiękne miejsce otaczały zalesione wzgórza. Na ich zboczach widać było luksusowe weekendowe domy. Każdy z nich miał własny pomost i przystań. Enklawa szczęśliwości położona w głuszy.

Jechały teraz tuż nad urwistym zboczem. Jasmine rozglądała się ciekawie. Od razu było widać, że dawno nigdzie nie wyjeżdżała, bo oczy błyszczały jej jak dwie gwiazdy. Wszystko było dla niej ekscytujące i niezwykle.

Droga wiodła łagodnymi serpentynami. Przez ten cały czas nie minął ich żaden wóz. Przejechały jeszcze kilka mil i Anna skręciła w leśny dukt. Drzewa czasem szorowały gałęziami o dach wozu.

– Niezła kryjówka – zauważyła Jasmine.

– I o to chodzi, nikt tu nie trafi bez wyraźnych wskazówek.

Wóz wjechał na polanę, przy której stał dom z grubych drewnianych bali. Na zadaszonym ganku, na który wchodziło się po schodach, stała nieruchomo ubrana na czarno szczupła dziewczyna z nasuniętym na głowę kapturem. Przypominała strażnika jakiegoś tajnego leśnego obozu, na którym dzieją się nie do końca legalne rzeczy. To posępne wrażenie dopełniał jej stojący



nieopodal samochód. Był to czarny Jeep Wrangler z przyciemnianymi szybami i potężnymi, karbowanymi oponami do jazdy terenowej, opasującymi błyszczące felgi. Na dachu srebrzyły się szperacze. Jednym słowem samochód na specjalne akcje.

– Moja córka Emily już na nas czeka – zauważyła Anna.

– Fajnie, że będziemy razem – powiedziała Jasmine.

Tymczasem Emily łyptała ponuro spod kaptura. Jej pomalowane na ciemnobordowy kolor usta były wykrzywione, jakby nawiedziła ją jakaś silna niestrawność. Oczy podkreśliła grubą czarną kreską. Po prostu czerń i mrok. Podobno potrzeba tylko trzydziestu sekund, by kogoś trafnie ocenić. Jasmine wystarczyły zaledwie trzy. *To jakaś totalna idiotka. Pewnie ma okres i lubi zrządzić* – pomyślała.

– W końcu jesteście. – Emily zeszła z ganku jak z królewskiego podestu i całując powietrze przy policzkach Anny, przywitała się z nią.

– Palitaś – skarciła ją matka.

– Mamo, przestań – mruknęła Emily. Zmierzyła ponurym wzrokiem gościa.

– To Jasmine, o której ci opowiadałam – powiedziała Anna.

– A tak, cześć. – Dziewczyna z roztargnieniem podała gościowi rękę, nie patrząc na nią. Była o wiele niższa od Jasmine. Jej twarz przypominała piegowaty naleśnik, a nos był jakimś żartem, wydawał się za mały w stosunku do twarzy. Z daleka Emily wyglądała o niebo lepiej.

*Tylko samochód ma fajny* – pomyślała złośliwie Jasmine, ale uśmiechnęła się szeroko i uścisnęła dziewczynie rękę, która była wiotka jak płetwa śniętej ryby.

– Cieszę się, że mogę cię poznać – rzuciła przyjaźnie, ale Emily nic nie odparła. Tylko bordowe usta wydęły się lekko. *Głupia cipa* – stwierdziła w duchu Jasmine. Denerwowały ją zblazowane dzieciaki, które niczego nie przeżyły.

– Strasznie długo jechałyście – zauważyła cierpko Emily.

– Jak widzisz, kochanie, pada śnieg – odparła Anna, wyciągając torby z bagażnika.

– Wiem, a ty nie lubisz szybko jeździć – skwitowała Emily.

– Pozwól, że ci pomogę – zaoferowała się Jasmine.

– Strasznie zmarzłam. – Emily skrzywiła się.

– To dlaczego nie napaliłaś w kominku? – Anna zmarszczyła brwi.

– Mamo – Emily wykrzywiła się jeszcze bardziej – przecież wiesz, że nie umiem rozpalać.

– Otwórz nam drzwi – powiedziała lekko już zirytowana Anna. – Obiecuję ci, że zaraz napalimy.

*Wściekła macica* – pomyślała Jasmine. *Powinno się ją zamknąć w psychiatryku na kilka dni. Od razu by się uspokoiła.*

Weszły do domu, w którym panowała zwykła temperatura, może lekko niższa niż zazwyczaj w mieszkaniu.

– Strasznie zimno. – Emily wzdrygnęła się, siadając na kanapie.

– Nie przesadzaj, proszę. Dom jest trochę wychłodzony, ale chyba nie zamarzasz. Pomóż mi lepiej włożyć jedzenie do lodówki.

– Może jednak najpierw rozpalmy – jęczała Emily.

– Dobrze, najpierw rozpalimy. – Anna szybko ułożyła polana w stos. Podłożyła w środku niewielką rozpałkę z trocin i przytknęła zapałkę. Ogień natychmiast zapłonął. Sosnowe drzewo zajęło się z trzaskiem.

– I gotowe. – Otrzepała ręce. – A teraz, proszę, pomóż mi z lodówką.

– Boże, ile ty tego kupiłaś? – Emily spojrzała na siatki wypchane zakupami.

– Dzisiaj robię kolację, nie zapominaj, że mamy gościa.

– Może wam pomóc? – powiedziała Jasmine.

– Ty sobie usiądź. – Anna wskazała wysokie krzesło przy wyspie kuchennej. – Za chwilę zrobię ci kawę, bo na pewno masz na nią ochotę.

– Kawy nigdy nie odmówię. – Jasmine usiadła przy szerokiej wyspie. Na jej środku znajdowała się kuchenka, nad którą zwiisał stalowy okap. Resztę stanowił czarny granitowy blat, który pełnił również funkcję baru. Dom pachniał drewnem, żywicą i odrobinę lasem. Naprawdę miła odmiana po szpitalu, gdzie wszystko załatuje lekami i środkami odkażającymi.

Anna naląka kawę do grubych fajansowych kubków. Kawa smakuje wtedy najlepiej, rozgrzany fajans potęguje jej aromat. Usiadły w trójkę przy kominku i piły w milczeniu. Jasmine nie przeszkadzało to ani trochę. I tak najciekawsze dialogi prowadziła zwykle w swojej głowie. Tak naprawdę jeszcze nie spotkała osoby, z którą rozmowa by jej nie nudziła.

W kominku iskry strzelały po sosnowych polanach. Salon był bardzo wysoki, przypominał stodołę. Po lewej stronie biegła podwieszona galeria, odgradzona balustradą. Widać było drzwi do kilku sypialni umieszczonych na piętrze. Naprzeciwko kominka znajdował się komplet wypoczynkowy

z szeroką ławą, na której bez trudu mogła się zmieścić każda gra planszowa. Telewizora nigdzie nie było widać. Zresztą tu, w leśnej głuszy, i tak musiały być problemy z sygnałem.

– A czy tu są jeszcze inne działki? – spytała Jasmine.

– Tak, całe jezioro otaczają domy. Obok – Anna wskazała sąsiedni dom – mieszka sędzia, a tam – skinęła w lewo – najlepszy chirurg plastyczny w Montrealu. Ale wszystko jest tak oddalone od siebie, że rzadko można tu się na kogoś natknąć.

– Tylko sam śnieg – dodała ponuro Emily.

– Teraz zimą tak, ale latem jest tu wspaniała przyroda, można się wyciszyć. Dalej za naszym domem płynie strumień, w którym są nawet pstrągi.

– Mamo, zawsze to powtarzasz, zupełnie jak agent, który sprzedawał ten dom. A przecież nie łowisz ryb.

– Może w końcu powinnam zacząć, podobno to wspaniale wycisza. – Anna uśmiechnęła się.

– To bardzo piękne miejsce. – Jasmine rozejrzała się po salonie. – Czuć tu taką przestrzeń.

– Też mnie to urzekło, dlatego kupiłam ten dom – powiedziała Anna. – Lubię ten wysoki salon i kamienny kominek.

– I te rogi – rzuciła Emily, wskazując na wielkie poroże jelenia umieszczone wysoko nad paleniskiem.

– Za rogami akurat nie przepadam.

– To czemu nigdy ich nie zdjęłaś? – zdziwiła się Emily.

– Są za wysoko, zresztą to pozostałość po poprzednich właścicielach. Zrobili gruntowny remont, ale niestety rozwiedli się. Niewiele zmieniłam w tym domu, właściwie nic nie trzeba było robić. Wstawiliśmy tylko z Emily nasze meble. Po kawie zapraszamy cię na zwiedzanie, dom kryje w sobie kilka niespodzianek.

– Piwnicę też chcesz pokazywać? – spytała Emily.

– Oczywiście – odparła Anna. – Kupiłam ten dom właściwie głównie ze względu na nią.

Jasmine uśmiechnęła się, czuła, że czekała ją teraz najlepsza część wieczoru.

## **Wielkie zmiany**

## *Polska, Warszawa*

Po powrocie do Warszawy Zoo chodził jak nakręcony, zupełnie jakby wstąpiły w niego nowe siły. Wstawał wcześniej rano i natychmiast udawał się na basen, który mieścił się w apartamentowcu. Odstawił alkohol i zaczął nawet odwiedzać siłownię. Umówił się z Klaudią, że przyjedzie z pieniędzmi na zadatek za dom dla Kurczaka. Ustalili kwotę: sto tysięcy złotych. Klaudia bardzo nalegała na gotówkę, Zoo zlikwidował więc jedną z lokat bankowych i przygotował pieniądze. Przed wyjazdem na wybrzeże wpadł również do Kurczaka na obiad. Siostra widząc, że jest odmieniony, zaczęła go wypytywać.

– Przyznaj się, poznałeś kogoś?

Zoo wykręcał się, jak mógł, w końcu powiedział tylko, że szykuje prezent na święta.

– I więcej nie pytaj, bo i tak ci nie powiem – zastrzegł. – A prezent będzie naprawdę mega. Kapcie ci spadną, dziaduchu.

– Przestań, bo przypomina mi się dzieciństwo i nasze przekomarzanki – powiedziała.

– Sama zaczęłaś. – Puścił do niej oczko.

– Cieszę się, że wróciłeś...

– Jak to, nie rozumiem. – Zmarszczył brwi i spojrzał uważnie na siostrę. *Chyba się czegoś domyśla* – przemknęło mu przez myśl. *Ona powinna pracować w policji.*

– Po prostu podoba mi się, że wrócił stary Zoo i nie ma już tego przechlanego flaka pełnego negatywnych emocji. – Tym razem Kurczak jednak nie była aż tak domyślna.

W piątek Zoo znowu wyruszył nad morze. Klaudia podała mu adres w Sopocie. Wstukał go w nawigację w telefonie. Tym razem pojechał inną trasą, by ominąć Bydgoszcz. Ciągle miał przed oczami mamę leżącą w szpitalu onkologicznym, kiedy okazało się, że operacja się nie udała. Właśnie wtedy nienawidził to miasto i obiecał sobie, że nigdy więcej go nie odwiedzi. Wybrał starą S7. Kiedyś to była główna droga z Warszawy do Trójmiasta. Teraz opustoszała, było na niej trochę utrudnień, jakieś remonty nawierzchni, ale przynajmniej nie przywozili na myśl złych wspomnień.

Już po zmroku w okolicach osiemnastej Zoo przejechał przez Górny Sopot, gdzie stały majestatyczne wille ze strzelistymi wieżyczkami. Obramowania okien były bogato zdobione i dosłownie każdy detal podkreślał piękno tego nadmorskiego kurortu. Gdy nawigacja ogłosiła, że dotarł do celu, zaparkował wóz i puścił Klaudii sygnał. Automatycznie uchyliła się kuta brama i Zoo wszedł na wysypane żwirem podwórko. Minął stojące na podjeździe porsche. Lakier wozu lśnił nowością.

Przeszedł obok fontanny z piaskowca, w której szeleściły zeschnięte liście. Woda została spuszczone na zimę, ale bogato zdobiony wodotrysk i tak przykuwał uwagę, chyba jeszcze bardziej niż sportowy wóz.

Klaudia otworzyła wysokie przeszklone drzwi.

– Wchodź szybko, bo strasznie zimno. – Zamachała ręką. Z jej pełnych ust wystawał biały patyk lizaka Chupa Chups. Zoo wszedł do holu. Klaudia wyjęła lizaka, przytuliła się do gościa i pocałowała go przeciągle. Poczł smak truskawek.

– Jak droga? – spytała.

– Pusta, mknąłem do ciebie jak rakieta.

Przeszli przez okrągły hol wsparty na marmurowych toskańskich kolumnach. Ta willa warta była fortunę, w zasadzie był to mały pałacyk, pełen antyków i tajemnic. Gdzieś w głębi tykał zegar, reszta tonęła w ciszy i mroku.

– Masz pieniądze na zadatek? – Wysoki hol odbił echem jej pytanie.

– Tak.

– To bardzo dobrze – odparła. – Posuniemy sprawę do przodu. A później gdzieś cię zabieram. – Uśmiechnęła się i ruszyła w głąb domu. Zoo podążył za nią.

W całym wnętrzu unosiła się dziwna aura opuszczenia. W kątach stały kartonowe pudła. W jadalni wszystkie meble przykryte były białymi płachtami. Ze ścian zdjęto obrazy. Klimat trochę jak w domu Franza Maurera z *Psów Pasikowskiego*. Wielki, pusty dom, a w nim Klaudia w stroju w sam raz do pakowania. Szary dres opinał jej sprężyste nogi, na których miała nieskazitelnie białe adidas. Całości jej kreacji dopełniały włosy związane w koński ogon, który wesóło podskakiwał przy każdym jej kroku. Trzeba przyznać, że Klaudia zawsze była dobrze ubrana. Na każdą okazję miała właściwy strój. Taką klasę ma się albo nie, tego nie można się nauczyć ot tak.

Podobnie jak nie każdy może poznać tajniki robienia perfum. To są pilnie strzeżone tajemnice, niedostępne dla zwykłych śmiertelników.

Klaudia szła przez dom i cały czas się uśmiechała. Miała w sobie coś z czarownicy, która potrafi nieźle zamącić w głowie.

*Jest niesamowita* – pomyślał Zoo.

Szła teraz pierwsza przez wielki salon. Zoo podążał za nią w odpowiedniej odległości, by jak zwykle móc obserwować jej sprężyste pośladki. Tyłkowi Klaudii naprawdę należało się uznanie. Zoo czuł się w pełni uzależniony od podziwiania go.

– Nie dziw się, że trochę tu pustawo, ale likwiduję dom – rzuciła od niechcena.

– Jak to likwidujesz?

– Może chcesz zapalić? – zapytała. Skinął głową w odpowiedzi. Zdążył się już nauczyć, że Klaudia nigdy nie odpowiadała od razu na zadane pytanie. Podała mu małą srebrną paczkę papierosów.

– A ty nie zapalisz ze mną? – zapytał.

– Ja mam lizaka – odparła i ruszyła w stronę wielkiego kominka, który służył teraz za rodzaj barku. Stały tam butelka prosecco i kieliszek.

– Przykro mi, ale będziesz pił ze mną – wzięła pierwszy łyk. – Mam tylko jeden kieliszek, drugi potłukł jeden z goryli od wyprowadzek. To będzie puchar naszej przyjaźni.

Zoo zbliżył się do kominka. Przez chwilę palił papierosa, delektując się jego smakiem. Klaudia podała mu prosecco.

– Proszę, idealnie schłodzone, orzeźwisz się.

Skosztował wina.

– Dlaczego likwidujesz dom? – powtórzył pytanie.

– Dlaczego, dlaczego... Bo nadszedł taki czas. – Uśmiechnęła się lekko. – Mój mąż przestaje być moim mężem.

– Co się stało? – zapytał.

– Bo to zły facet był. – Zaśmiała się, pozując na Bogusława Lindę. Jak zwykle piękna i seksowna stwarzała swój świat na własnych zasadach. Jednym słowem rozgrywała swoje życie po aktorsku.

Zoo sączył prosecco i czuł wyraźnie dotknięcie magii, która wszystko zmienia. Klaudia była osobą, która idąc przez ciemny i ponury las, w jednej chwili przemieniała go w miejsce pełne uroku i tajemnicy. Gromady świetlików

jak na zawołanie rozświetlały mrok, a zza postrzępionych chmur wyglądał księżyc. Klaudia kochała życie i wiedziała, że niesie ono ze sobą chwile dobre i złe. Zupełnie jak w wyszukanej potrawie, w której muszą być różne smaki. Dla takich ludzi rzeczywistość lubi się naginać.

– Smakuje ci prosecco? – spytała.

– Tak.

– To dokończ, bo chcę ci pokazać sypialnię. Ma niezwykle, okrągłe okno. Lubię okrągłe okna. Nie wiem, czy wiesz, ale dla naszych oczu proste linie to zbrodnia. Albo wiesz co, mam pomysł. – Zatrzymała się nagle.

– Jaki?

– Dopij spokojnie, wypal papierosa, a potem przyjdź do mnie na górę.

– Jak znajdę pokój?

– Szukaj okrągłego okna. – Uśmiechnęła się przekornie.

– A tak na poważnie?

– Spokojnie, to nie pałac w Wersalu. Wystarczy, że wejdiesz na górę. Zajrzysz do każdego pokoju, a w jednym z nich będę czekać na ciebie ja. Ciekawe, jak szybko mnie znajdziesz. No to co, jesteśmy umówieni?

– Umówieni – odparł Zoo.

## **Dom nad jeziorem**

*Kanada, Lac Marois*

– Zapraszam na górę. – Anna wskazała szerokim gestem drewniane schody. – Idziesz z nami? – Spojrzała na córkę.

– Wybacz, ale znam ten dom jak własną kieszeń – mruknęła Emily.

Anna nic nie odparła, weszła z Jasmine po schodach. Na górze znajdowało się kilka sypialni. Każda z nich urządzona była w innym stylu: jedna była ultranowoczesna, druga romantyczna, trzecia rustykalna, a ostatnia nijaka. Każdy pokój dla wygody gości posiadał własną łazienkę. W suficie nad korytarzem znajdowała się kłapa prowadząca na strych.

– Myślałam – powiedziała Anna – żeby zrobić tam kiedyś pokój, ale w zasadzie po co? Jesteśmy tylko we dwie, ja i córka, no i czasami przyjeżdża może ktoś jeszcze. Tak duża powierzchnia nie jest nam potrzebna.

Zeszły z powrotem do salonu. Z sufitu zwisały duże owalne żyrandole zrobione ze starych kół od wozu. W wystroju całego domu dominowało

drewno, podłogi były jasne, a ściany wykonano z grubych bali. Tylko kominek był wymurowany z szarego kamienia. Część salonu zajmowała kuchnia z jasnymi szafkami i potężną wyspą, pod którą znalazła miejsce również lodówka na wina. Dalej była strefa telewizyjna z dużym, wygodnym kompletem wypoczynkowym z brązowej skóry i potężnym barkiem. Jego podstawę stanowił wielki pień, co dawało wrażenie, jakby w środku domu rosnęło drzewo, które zostało wycięte. Na górze położono grubą taflę szkła.

Od północnej strony na tyły domu wychodziły duże okna sięgające do ziemi, przez które przechodziło się na drewniany taras. Stały tam leżanki i stół z krzesłami oraz żeliwne palenisko.

– Czasami siadam tutaj z kieliszkiem wina, rozpalam w palenisku i patrzę na ten oszałamiający widok. – Anna wskazała przed siebie. W dole teren opadał łagodną skarpą ku jezioru Lac Marois. Podesty schodziły coraz niżej, by w końcu wyprowadzić na pomost, przy którym zacumowana była kołysząca się delikatnie na falach jeziora biała łódka z silnikiem spalinowym.

– A to kolejna pozostałość po dawnych właścicielach – wyjaśniła Anna. – Jak będziesz chciała, jutro możemy popłynąć. Jezioro jeszcze nie zamarzło.

– A co jest na drugim brzegu? – zainteresowała się Jasmine.

– Domy, a za nimi już tylko las. Tu jest taka cisza, że można o wszystkim zapomnieć. – Anna rozmarzyła się. – A teraz chodź, chcę pokazać ci coś specjalnego. – Mówiąc to, zrobiła tajemniczą minę.

Z salonu wychodziły niewielkie kręte schody, którymi zeszły w dół. Dom stał na zboczu łagodnej skarpy i miał bardzo wysokie przyziemie. Tu zostały zlokalizowane sauna i pokój bilardowy. Pod ścianami stały automaty do gier, flippery, piłkarzyki i dart.

– Możemy dzisiaj zagrać, jeżeli chcesz – zaproponowała Anna.

– Z chęcią – ucieszyła się Jasmine. – W szpitalu mamy stół bilardowy, lubię czasem zagrać.

– A teraz pokażę ci coś, z czego jestem szczególnie dumna. – Anna otworzyła niewielkie drzwi i wprowadziła Jasmine do kamiennej piwnicy. Zatrzymała się przed szklanymi drzwiami i szybko wystukała na klawiaturze kod. Drzwi z cichym szumem rozsunęły się posłusznie, wpuszczając je do pięknie urządzonej winiarni.

– Zabezpieczenie musi być – stwierdziła Anna. – Emily czasami przyjeżdża tu sama na weekend, a te wina są warte fortunę. To moja kolekcja. – Anna



spojrzała dumnie na regały ustawione pod ścianami. – Sprowadzam wina z całego świata. Najbardziej lubię francuskie. – Wskazała na jeden z regałów. – Co ciekawe, nie wszystkie wina nadają się do leżakowania. Z niektórych robi się ocet, gdy za długo się je trzyma. Ale to są specjalne wina, które im dłużej leżą, tym są cenniejsze i lepsze w smaku. – Wzięła do ręki jedną z butelek. – To cudo kosztuje trzy tysiące dolarów. W zasadzie rzadko korzystam z tej piwnicy. No, ale cóż, czasami trzeba poświęcić jedną butelkę na jakąś ważną okazję. I właśnie tę butelkę przeznaczę dla ciebie, gdy dostaniesz się do college'u.

– Chcesz otworzyć dla mnie wino za trzy tysiące dolarów? – zdziwiła się Jasmine.

– Oczywiście, to będzie nasza specjalna okazja. Będziesz już wtedy wolna, zaczniesz nowe życie, będzie trzeba to opić. Kiedy jednak byłam w twoim wieku, preferowałam piwo. Ojej, wygadałam się. Może nie powinnam mówić o takich rzeczach, to niewychowawcze. – Zastłoniła ręką usta i zachichotała. – Ale jak widzisz, z biegiem czasu wszystko się zmienia. Po prostu człowiek dojrzewa, zupełnie jak wino. Tak jak mówiłam, wina są tym droższe, im są starsze, ponieważ wówczas ich bukiet jest coraz bardziej wyrazisty. Co ciekawe, z ludźmi bywa podobnie, trzeba tylko stworzyć im odpowiednie warunki. No, to by było na tyle, w kwestii wina oczywiście.

Jasmine zrozumiała aluzję i posłała Annie uśmiech.

– A teraz zapraszam cię na kolację. Może urządzimy potem wieczór gier planszowych? Co ty na to?

– Brzmi super – ucieszyła się dziewczyna.

– Jeżeli będziesz chciała, jutro Emily pokaże ci okolicę. Pogadacie sobie. Z pewnością brakuje ci rówieśników i zwykłych rozmów. Ja jestem starsza od ciebie, więc nie mogę być tak naprawdę dobrym kompanem

– Jesteś najlepszym kompanem – odparła poważnie Jasmine.

– W każdym razie sądzę, że spacer z Emily dobrze ci zrobi – dodała rozpromieniona Anna.

Jasmine skinęła głową.

– A możemy zagrać dzisiaj w bilard? – zapytała, zmieniając szybko temat.

– Pewnie – odparła Anna.

– A czy mogłabym z tobą o czymś porozmawiać?

– Naturalnie. Wróćmy do salonu, zrobię herbatę i porozmawiamy.

– Ale nie, nie tam... Czy mogłabyś pójść ze mną na spacer? Chciałabym się z czegoś zwierzyć.

## ROZDZIAŁ 17

*Jeśli się sami nie zabawimy, to nikt nas nie zabawi.*

Michel de Montaigne

### **Zoo szuka Klaudii**

*Polska, Sopot*

Zoo wszedł na górę po marmurowych schodach. Po obydwu ich stronach biegły szerokie poręcze z tralkami. Minął pierwsze wysokie drzwi i ruszył dalej. To byłoby zbyt oczywiste, by Klaudia znajdowała się w pierwszym napotkanym pokoju. Cały dom pogrążony był w ciszy, gdzieś palły się kinkiety dające aksamitne światło. Korytarz wyłożony był mięsistą wykładziną, która skutecznie tłumiała kroki. Każdy dźwięk zdawał się być obcy. Kolejne drzwi były uchylone i na korytarz padała nikła smuga światła. *Ciekawe, co będzie, jak w jednym z tych pokoi natknę się na jej męża – pomyślał Zoo. Zresztą to nie moja sprawa, trzeba było pilnować żony. A swoją drogą to ile ona właściwie ma lat?* Wcześniej nigdy się nad tym nie zastanawiał. Klaudia była tak seksowna, że z wyglądu mogła mieć co najwyżej trzydzieści pięć lat, ale na pewno była starsza. Zdradzała to bijąca z niej pewność siebie, nieosiągalna dla młodych osób.

Zoo delikatnie pchnął uchylone drzwi i wszedł do pokoju tonącego w półmroku. Pomieszczenie okazało się biblioteką. Pod ścianami stały potężne rzeźbione regały, a pośrodku masywne biurko na lwich łapach. Światło stojącej na nim gabinetowej lampy padało wprost na otwartą teczkę. Zoo zbliżył się do biurka. Teczka wypełniona była po brzegi równo ułożonymi plikami banknotów.

– Widzę, że biznes ma się nieźle – mruknął do siebie Zoo. Wyszedł z biblioteki i cicho zamknął drzwi. Ruszył dalej korytarzem na poszukiwanie Klaudii.

Otworzył największe drzwi i dobrze wybrał. Pośrodku pokoju stało okrągłe łóżko. Leżała na nim Klaudia w czarnej seksownej bieliznie. Wyglądała jak dwa miliony dolarów. *Jak ona zdążyła się tak szybko przebrać?* – przemknęło mu przez myśl. Za łóżkiem znajdowało się wielkie okrągłe okno.

– Możesz wszystko ze mnie zedrzeć. – Klaudia przeciągnęła się. – Będzie szybciej.

Zoo zatrzasnął drzwi i ruszył w stronę łóżka. Nie trzeba go było namawiać, szybko zdarł z Klaudii bieliznę.

– Chcę cię poczuć. – Przygarnęła go.

Zoo miał jednak inne plany, obrócił ją na brzuch, a raczej chciał obrócić, bo Klaudia stawiała zdecydowany opór.

– Przestań – wysyczała – nie chcę tak.

Zoo jednak chwycił ją za nogi i odwrócił, jakby była szmacianą kukiełką. Nagle zdębiał, bo widok, który zobaczył, totalnie go zaskoczył. Całe plecy Klaudii były jedną wielką blizną. Nigdy by nie przypuszczał, że jest tak oszpecona. Pewność siebie, która z niej emanowała, wykluczała takie mankamenty. Zoo przejechał dłonią po jej plecach. Skóra na nich była pofałdowana jakby ktoś zdierał ją całymi płatami. Rana zablizniła się nierówno, tworząc góry i doły z przerośniętych blizn. Z tyłu Klaudia przypominała wielką jaszczurkę.

– Przestań – warknęła, wrywając się.

– Co ci się stało? – zapytał zaskoczony.

– Jesteś zadowolony? – Klaudia wyswobodziła się i usiadła na łóżku. Zaczęła nerwowo poprawiać włosy. Znowu była piękna. – Mama cię nie nauczyła, że kobiety czasem odmawiają? – prychnęła. Nerwowo przebiegła oczami po całym pokoju. Wstała z łóżka.

– Ale co ci się stało? – dopytywał.

– Nie chciałam... To, co zobaczyłeś, nie chciałam tak... – powiedziała roztargniona. Oczy wciąż miała rozbiegane. Jej zwykła pewność siebie gdzieś nagle uleciała. Założyła delikatny szlafrok. – Nic się nie stało – powiedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Miałam wypadek. Nie lubię siebie takiej. – Dotknęła dłonią czoła i zastłoniła oczy, jakby się chciała schować. Czasem robią tak dzieci, bo wydaje im się, że ich wtedy nie ma. Zoo ewidentnie trafił w jej czuły punkt.

– Słuchaj, nie wiedziałem...

– Daj mi lepiej papierosa – przerwała mu.

Zoo wstał i podał jej paczkę. Po chwili Klaudia już paliła przy oknie. Jakieś mroczne cienie przemykały po jej twarzy. Zoo pozwolił jej spokojnie wypalić, a kiedy skończyła, podszedł do niej bez słowa i przytulił ją.

– Jesteś dobry w przepraszaniu – mruknęła. – Widzę, że wiesz, że słowa nie potrafią niczego naprawić.

– Wiem, tylko gesty – odparł. – Nauczyła mnie tego moja siostra. Naprawdę nie chciałem. – Pocałował ją w policzek.

– Okay – odparła powoli – ale nigdy więcej nie rób tego, czego nie chcę.

– Dobrze – obiecał.

Klaudia pocałowała go w usta i pchnęła na łóżko. Uśmiechnęła się zawadiacko i usiadła na nim okrakiem.

– Tak się dzisiaj będziemy kochać. – Odgarnęła włosy do tyłu. Jej niedawne skrępowanie już minęło. Była jak wąż, zawsze potrafiła wyślizgnąć się z niezręcznej sytuacji. Jej umiejętność budowania swojego pozytywnego obrazu naprawdę wprawiała w osłupienie. Jakimś cudem potrafiła podsuwać światu tylko swoje lepsze strony. Wady skrętnie skrywała w cieniu. Nie była to jednak ostatnia rzecz, która miała zaskoczyć Zoo tego wieczoru.

## **Głupi pomysł Harry'ego**

*Kanada, Saint-Hyacinthe*

To był zupełnie kretyński pomysł i Harry nie powinien był tego robić, ale nie mógł się powstrzymać. Zaczął śledzić męża Sally. Chciał tylko sprawdzić, czy ta zdrada to był pojedynczy wyskok. Wystarczyło jednak zaledwie pięć dni obserwacji, a wyszło na jaw, że Thomas regularnie po pracy w biurze spotyka się z seksowną brunetką. Schadzki niewiernego Thomasa odbywały się w zajeździe Cieniste Dęby lub małym domku turystycznym trzydzieści mil za Montrealem w niewielkiej miejscowości Abigail, która rozciągała się nad jeziorem Apaka. W centrum miasteczka znajdowały się sklepy, kawiarnie i restauracje. Dalej w stronę jeziora teren opadał łagodnym zboczem. Tu stały letnie domy z drewna we wszystkich odcieniach błękitu. Na brzegu jeziora znajdowała się przystań, w której kołysały się łódki. W jej pobliżu rozlokowano niewielkie domki kempingowe dla turystów, a każdy posiadał taras z widokiem na jezioro.

Pewnego popołudnia Harry śledząc Thomasa z kochanką, dotarł za nimi właśnie w to miejsce. Widział, jak Thomas z brunetką weszli do jednego z drewnianych domków. Pojechał dalej i zaparkował wóz za kępą drzew. Niby było mu to na rękę, że Thomas okazał się niewiernym mężem, na dnie serca czuł jednak gorycz. Żał mu było Sally.

– Ty złamasie, będziesz miał za swoje – syknął, podkradając się pod domek z numerem siedemnaście.

Bez problemu zlokalizował sypialnię, z której zaczęły już dochodzić namiętne kobiece jęki. *Szybcy są* – pomyślał Harry. *Nie marnują czasu.* Wyjął kamerę GoPro i trzymając za kijek, zaczął kręcić film.

– O, to będzie dobre ujęcie – cieszył się, zerkając ukradkiem.

Thomas akurat ukląkł na łóżku z wypiętym interesem. Detektyw ukrył się z powrotem, by dalej kręcić film. Kochanka tymczasem położyła się i otworzyła szeroko usta. Wszystko było w niej sztuczne. Była zupełnym przeciwieństwem Thomasa, którego blady brzuch zwisał niczym wór kartofli. *Ten facet nigdy nie widzi swojego ptaszka.* – Harry zaśmiał się w duchu. *Pewnie stale oblewa kibel. Biedna Sally, tyle sprzątań. Mam nadzieję, że ma jakąś kobietę do pomocy. Wycieranie moczu niewiernego męża to jednak depresyjne zajęcie.* Nagle z trzaskiem otworzyło się okno. Harry skulił się jak przestraszony zając. O parapet oparła się pulchna blada ręka Thomasa trzymająca papierosa. Na jego małym palcu dumnie błyszczał złoty sygnet z purpurowym oczkiem.

*I co? To już koniec?* – zdziwił się w duchu Harry. *Muszę bardziej uważać, to nie jest długodystansowiec.* Nie wyłączył nagrywania. Miał nadzieję na jakąś rozmowę. Film z dźwiękiem zawsze robił na klientach większe wrażenie.

– Ile dzisiaj? – spytał Thomas. Kobieta w odpowiedzi niewyraźnie wymieniła jakąś kwotę.

*Co za biznesmen* – pomyślał Harry. *No, ale nie ma się co dziwić, ten wielki kałdun z pewnością blokuje wszelkie możliwości normalnego podrywu. Jak chce się pociupciać, trzeba posmarować.*

Przez następne kilka dni Harry z wielkim zapałem nagrywał wyczyny Thomasa. Trzeba przyznać, że mąż Sally miał swoje zasady i pozostawał wierny jednej kochance. Spotkania odbywały się prawie codziennie zawsze w tych samych miejscach. Nudne schadzki nudnego Thomasa. Brunetka zazwyczaj nic nie mówiła, Harry nigdy nie usłyszał żadnego pełnego zdania wypowiedzianego z jej napompowanych ust. Porozumiewała się spojrzeniami i półsłówkami.

Zdawało się, że nie jest żywym człowiekiem, tylko sztuczną lalką. Może tego właśnie trzeba było Thomasowi? W końcu każdy ma swój wymarzony port, do którego zmierza.

Harry pstrykał zdjęcia, nagrywał filmiki, a materiał rozrastał się. *Ten gnojek pewnie zdradza Sally latami* – myślał detektyw, porządkując pewnego wieczoru zbiory. *Pewnie od lat w ten sam nudny sposób zdradza ją z tą tępą babą, która porządnego zdania nie potrafi sklecić. A może nie mówi, bo znają się od lat i wszystko już między nimi zostało powiedziane? Teraz tylko się pieprzą. Kiedyś gruby Thomas kipnie na zawal i na pogrzeb przyjdą dwie wdowy. Nie, tak nie może być* – pomyślał gniewnie Harry. Zgrał filmy i zdjęcia na pendrive'a ze zwiększoną pamięcią, bo materiału było naprawdę sporo, i wrzucił go do koperty, którą zakleił. Chwilę siedział w fotelu, bujając się i rozmyślając.

– Jednak muszę to zrobić, po prostu muszę – powiedział, jakby sam siebie chciał przekonać o tym, że postępuje właściwie. – Przykro mi, kotku, ale najgorsza prawda jest lepsza niż najpiękniejsze gówno – mruknął do siebie.

Następnego dnia tuż po porannej kawie wrzucił list do dużej czerwonej skrzynki stojącej przy piekarni na rogu ulicy. To z pozoru błahe wydarzenie niczym mały kamyczek uruchomiło potężną lawinę.

## **Kludia i Zoo wychodzą do kasyna**

*Polska, Sopot*

Kiedy leżeli już po seksie, Zoo patrzył w sufit sypialni, a Kludia przytuliła się do niego.

– Dlaczego byłeś taki smutny wtedy w lesie? – zapytała nagle.

– Straciłem kogoś.

– Dziewczyna?

– Nie, to inna strata – odparł wymijająco.

– Rozumiem, nie będę więcej pytać. Jak będziesz chciał, to kiedyś sam mi powiesz. Pamiętaj jednak, że życie to jedna wielka strata. Im szybciej to zrozumiesz, tym mniej będziesz cierpieć. Kiedyś i tak wszyscy się tam spotkamy – wskazała palcem w górę. – Ważne jest tylko to, co będziemy mieli sobie wtedy do powiedzenia, rozumiesz?

– Tak – odparł. Na chwilę zapadła cisza.

– Co robiłaś tam w lesie?

– Biegałam.

– Ale co robiłaś w ogóle w Warszawie? Jesteś przecież z Sopotu.

– Moje biznesowe macki sięgają daleko. Pracuję teraz dużo, bo mam plan, by za pięć lat nie musieć już pracować.

– Dobry plan.

– Która jest godzina? – spytała nagle.

– Zaraz północ. – Zoo spojrzął na zegarek.

– No to zgodnie z umową czas na nasz wieczór. Poczekaj na mnie, za chwilę wrócę – powiedziała, wstając z łóżka. Założyła krótki szlafrok i przeszła przez pokój, kołuszając biodrami.

Zoo podszedł do okna, otworzył je i zapalił papierosa. W ogrodzie zauważył rozświetlone halogeny i krzątających się robotników. Wypalił dwa papierosy. Klaudia niedługo potem wróciła do sypialni. Wyglądała olśniewająco. Czarna sukienka podkreślała jej kobiecą figurę, a na jej szyi lśnił sznur pereł.

– Jestem gotowa i mam nadzieję, że masz dowód osobisty. – Spojrzała na niego, unosząc brew.

– Mam. – Zoo sięgnął odruchowo po portfel.

– To chodź na dół do salonu, podpiszemy umowę przedwstępną i wpłacisz zaliczkę.

– Gotówką? – zapytał.

– Oczywiście, że gotówką, tak się umawialiśmy. Mam nadzieję, że przygotowałeś pieniądze.

– Tak, zostały w wozie – wyjaśnił.

– To proszę, przynieś je, a potem zapraszam cię do Grand Hotelu na noc hazardu.

– Brzmi nieźle. – Zoo błysnęły oczy.

– Mam nadzieję, że nie jesteś uzależniony czy coś w tym stylu i że nie łamię żadnych twoich postanowień.

– Nie, skądże znowu.

– Byłeś kiedyś w Grand Hotelu?

Zoo w odpowiedzi pokręcił przecząco głową.

– Jak to możliwe? – zdziwiła się. – Jakoś słabo się starasz. To najstarsze kasyno w Polsce. Proszę, uchyl okno, trzeba tu przewietrzyć. Paliliśmy papierosy, a jutro klienci przychodzą oglądać dom.

Zoo uczynił, o co prosiła, i zeszli na dół do salonu.



– Zapomniałem cię zapytać... Co to za ludzie kręcą się w ogrodzie?

– Ktoś musi pracować, żeby ktoś mógł się bawić. – Zaśmiała się. – A tak na poważnie, to kładą trawę z rolki.

– Trawę zimą o północy? – zdziwił się. – Przecież ma padać śnieg. – Weszli do salonu.

– Mówiłam ci, że jutro przychodzą klienci. A śnieg ma padać za dwa dni, sprawdziłam prognozę. Trawa sobie jakoś poradzi. To wszystko musi dobrze wyglądać. Ludzie kupują domy oczami i nosem, więc będę musiała jeszcze trochę poczarować. A teraz proszę, przynieś pieniądze, a ja przygotuję formularze.

Gdy Zoo wracał z samochodu, zajrzał na tył ogrodu. Przy zapalonych halogenach uwijali się robotnicy rozkładający bele trawy. Pochłonięci pracą nie zauważyli go. Zoo dostrzegł przeszkloną werandę. Szukając Klaudii, przeszedł przez cały dom, przynajmniej tak mu się wydawało. Wiedziony ciekawością wszedł cicho do ciemnego wnętrza. Stały tu meble ogrodowe zakryte płachtami, a na środku pomieszczenia królował sześcian, również zasłonięty białą płachtą. Był za duży na kartonowe pudło.

Zoo odkrył materiał i dostrzegł paletę, a na niej stosy banknotów, równo ułożonych i owiniętych przezroczystym streczem. Do wnętrza wpadało światło z halogenów w ogrodzie. Zoo widział wszystko bardzo dokładnie, nie mogło być mowy o pomyłce.

*Ciekawe, ile tu jest milionów – pomyślał. Biznes naprawdę nieźle idzie, skoro pieniądze stoją na paletach.* Zakrył na powrót znalezisko i wyszedł do ogrodu.

Wrócił do Klaudii podpisać umowę. Nie wspominał o tym, co widział, choć rozbudziło to jego ciekawość. Najwyraźniej kobieta miała nie jedną tajemnicę, ale całe mnóstwo sekretów. Zoo był jednak pewien, że pozna je wszystkie, potrzebował tylko trochę czasu.

## **Jasmine rozmawia o świętach**

*Kanada, Lac Marois*

Anna i Jasmine ruszyły na spacer ścieżką wokół jeziora. Gdy dom zniknął już za nimi w gęstwinie drzew, dziewczyna odchrząknęła i zaczęła mówić. Wcześniej Anna nie odzywała się, nie chciała płoszyć tych zwierzeń.

– Może nie powinnam o tym rozmawiać, ale ostatnio bardzo ciężko mi na sercu. Zbliżają się święta, a wtedy czuję się najbardziej samotna. Cała masa dzieciaków dostała przepustki i jedzie do rodzinnych domów. Zostają ci, którzy nikogo nie mają. Takie odrzuty jak ja. – Wbiła smutny wzrok w ziemię.

– Nie mów tak. – Anna objęła ją ramieniem. – To się wszystko kiedyś odmieni.

– Wiem. – Jasmine otarła oczy wierzchem dłoni. – Ale chciałam cię prosić... Nie wiem, czy w ogóle mogę...

– Jak nie spróbujesz, to nie dowiesz – odparła z uśmiechem Anna. Nagle podbiegła do nich zdyszana Emily.

– Krzyczę i wołam was, a wy nic – wysapała.

– Co się stało? – spytała zaskoczona Anna.

– Wstawiłam pizzę – odparła Emily – jest już gotowa.

– No to wracajmy – odparła Anna. – Dokończymy rozmowę później – powiedziała do Jasmine, która zaskoczona nagłym nadejściem Emily stanęła jak skamieniała.

## **Prośba Jasmine**

*Kanada, Lac Marois*

Po kolacji Anna zaproponowała Jasmine saunę. Poszły same, owinięte w białe ręczniki. Emily rozmawiała w pokoju ze swoim chłopakiem Jacobem, z którym jak zwykle był jakiś problem. Może to sprawiało, że ciągle była skwaszona. Paliwem niektórych związków jest permanentna kłótnia. Emily jednak miała nadzieję, że nadejdzie taki dzień, który położy kres wszystkim sprzeczkom.

W saunie Jasmine od razu przeszła do konkretów. Nie chciała, by Emily znowu im przeszkodziła. Już wystarczyło, że wyskoczyła z tą pizzą, co z pewnością zrobiła złośliwie. Kto biegnie przez las, by zawołać na pizzę? Chyba jakiś totalny desperat. Tym bardziej, że było jej mało, każdej z nich przypadł tylko jeden kawałeczek, a o ostatni wybuchł nawet drobny spór. Jasmine odmawiała, Anna wymuszała go w nią, a Emily tylko czyhała na to, by go pochłonąć.

Jasmine nie musiała zaczynać rozmowy, Anna sama podjęła przerwany wątek.

– O czym chciałaś rozmawiać? Pizza już zjedzona, na pewno nikt nam nie przeszkodzi.

– Wiesz, że moja matka pochodziła z Polski? – spytała Jasmine.

– Oczywiście, że wiem, znam twoje akta prawie na pamięć – odparła Anna.

– Zastanawiałam się, ale to chyba głupie...

– Powiedz.

– Mam ciotkę w Polsce. To co prawda daleka rodzina, ale zastanawiałam się, czy by nie pojechać tam na święta, oderwać się trochę od tego wszystkiego. Kontaktuję się z tymi ludźmi regularnie. Oni już od dawna mnie do siebie zapraszają.

– Uważam, że to bardzo dobry pomysł – odparła Anna. – Masz same sukcesy w nauce i w terapii. Wyzbyłaś się już traumy. Widziałam, jak zachowujesz się w tym domu, i myślę, że rany zabiłszy się. Kiedy chcesz jechać?

– A kiedy mogę?

– Mogę ci wypisać zgodę nawet dzisiaj.

– Naprawdę zrobiłabyś to dla mnie?

– Oczywiście. Pojedziesz, zmienisz otoczenie... To będzie dla ciebie dobre, bo cały czas tkwisz w jednym miejscu. Wypiszę ci zgodę, tylko powiedz, kiedy chcesz jechać.

– Jak najszybciej. Ostatnio czuję się samotna. Myślisz, że mogę jechać za kilka dni?

– A twoja rodzina zgodzi się na to?

– Tak, mama była z nimi bardzo blisko. Oni czekają na mnie, odbiorą mnie z lotniska.

– W takim razie zaraz wypiszę ci zgodę. Jak chcesz, możemy dzisiaj razem kupić bilet na najbliższy dostępny lot.

– Dziękuję, jesteś cudowna.

– Jeśli mogę pomóc, to po prostu to robię. Masz paszport?

– Oczywiście. – Jasmine skinęła głową. – Mam jeszcze ten wyrobiony przez rodziców.

– To bardzo dobrze. Na wyjazd do Europy na pewno jest potrzebna wiza, ale załatwimy to dzisiaj przez Internet.

– Naprawdę zrobisz to?

– Oczywiście. – Anna uśmiechnęła się. – Za chwilę do tego siądziemy. Jak będziesz chciała, mogę też odwieźć cię na lotnisko.

– Bardzo ci dziękuję – odparła Jasmine. Wtem otwarły się drzwi i do sauny w ręczniku weszła niezadowolona Emily.

– A tu się ukrywacie – rzuciła. Minę miała skwaszoną. Rozmowa z Jacobem najwyraźniej nie należała do przyjemnych.

*Czasem chyba lepiej nie mieć faceta* – stwierdziła w duchu Anna, ale nie odezwała się.

*Idiotka* – pomyślała Jasmine. *Robi to specjalnie. Może boi się, że ukradnę jej mamusię?* Nic jednak nie powiedziała, tylko uśmiechnęła się delikatnie. Gdy się czegoś nie mówi, to po prostu tego nie ma. Jasmine dobrze o tym wiedziała i trzymała się tej zasady.



## ROZDZIAŁ 18

*My, ludzie pracujący w tym fachu, mawiamy, że najniebezpieczniejszym zwierzęciem w zoo jest człowiek.*

Yann Martel, *Życie Pi*

### **Noc hazardu**

*Polska, Sopot*

Sala kasyna w Grand Hotelu jak zwykle była pełna o tej porze. Przy stole, gdzie w ruletkę grali Klaudia z Zoo, wypadło zero. Agentka wydeła usta, przegrała, zresztą tak jak Zoo, dwóch chudych facetów i małżeństwo już trochę znudzone grą i sobą nawzajem. To było widać w ich oczach, pasja już dawno się wypaliła.

Jak tylko krupier ogłosił nowe zakłady, Klaudia obstawiła numer dwadzieścia dziewięć na styku z dwadzieścia osiem. Położyła dwa żetony, na wierzchu żeton w różowym kolorze, którym grała, a pod nim czarny żeton o nominale stu złotych. Tak samo postąpiła z numerami siedemnaście i dwadzieścia, które sąsiadują ze sobą na polu obstawień. Potem jeszcze dwadzieścia siedem i trzydzieści pięć.

– Czemu tak robisz? – Zoo nachylił się do jej ucha.

– Po pierwsze pomagam szczęściu, mój drogi, a po drugie lepiej, że te setki są ukryte. – Usiadła wygodnie na krześle.

– Naprawdę jesteś dobra. – Uśmiechnął się.

– Najlepsza – poprawiła go.

– Wypijmy za to. – Zoo podniósł kieliszek szampana, którego zamówił. Klaudia uwielbiała bąbelki.

– A ty nie obstawiasz? – zapytała.

– No to może ostatni tuzin i dwadzieścia dziewięć czarne, coś tak czuję.

– Tak zrób. – Uśmiechnęła się. – Po zerze zazwyczaj wypada dwadzieścia osiem lub dwadzieścia dziewięć – zauważyła.

– Albo siedemnaście lub dwadzieścia.

– Widzę, że czujesz grę – pochwaliła go – ale lubi wypaść też jeszcze raz zero. – Obstawiła znowu kombinacją swoich żetonów czerwoną trójkę i zero, ukrywając pod spodem żeton o wysokim nominale.

Krupier puścił kulkę w ruch. Wyrzucił z numeru zero, który ostatnio wypadł, ale nie za mocno. Chciał być przyjazny, to był jeszcze ten czas, kiedy graczom się sprzyja i pozwala wygrać. Krupier rzuca miarowo, a gracze mogą oszacować, gdzie wypadnie kulka, i jest fajna zabawa. Kulka zaczęła zwalniać, skakała po przegródkach, wydając ten jakże charakterystyczny dźwięk. Zoo przymknął oczy, zawsze tak robił w tym momencie.

– Dwadzieścia dziewięć czarne – ogłosił krupier.

Zoo otworzył oczy, to była magia. Klaudia wstała i objęła go za szyję.

– Wygraliśmy – powiedziała i pocałowała go w usta.

Krupier postawił na wygranym numerze biało-czarny klocek. Następnie zwinnie zgarnął wszystkie pozostałe na stole żetony, które nie wygrały, i wrzucił je do specjalnego otworu. Później zaczął przygotowywać wygrane. Zręcznie układał żetony w kolumny.

– Zielone żetony to pan. – Krupier spojrzał na Zoo i przysunął do niego wygraną. – Kolor nadziei wygrywa.

Zoo rzucił kilka żetonów napiwku.

– Podziękował. – Krupier uśmiechnął się i spojrzał na Klaudię. – Widzę, że różowy również wygrywa.

– A jakże – odparła z uśmiechem.

– A tu na spodzie coś się ukryło. – Krupier wskazał na żeton o nominale sto. Inspektor siedzący na wysokim krześle obok koła spojrzał na stół i odznaczył coś w czarnym planerze.

– To mój żeton – odparła Klaudia.

– A więc zakochani wygrywają – stwierdził krupier.

Klaudia wygrała tysiąc siedemset złotych, Zoo pięćset. Podjechały w ich stronę potężne stosy żetonów. Ta wypłata zajęła trochę miejsca, reszta graczy spoglądała z zazdrością. Zoo zamówił nowe drinki, a Klaudia zaczęła się wiercić na krześle. Rozglądała się na boki, gra jakby nagle przestała ją interesować.

– Co się dzieje, czemu nie obstawiasz? – dopytywał Zoo.

– Nie rozumiem – wzruszyła ramionami – przecież cały czas gram. – Widać było jednak, że zmieniała taktykę. Teraz zaczęła grać tylko na kolor małymi

stawkami i żetonami na pojedyncze numery. Trochę wygrywała, ale jakby uszło z niej powietrze. Zoo tymczasem obstawiał zachłannie. Wygrał sporą kwotę, ale zaczął za dużo obstawiać i w ciągu kilku rzutów kulką stracił już połowę wygranej. Klaudia położyła mu dłoń na ramieniu.

– Basta, idziemy na papierosa.

– Poczekaj, chcę jeszcze obstawić – odparł.

– To postaw mi stówę na czerwone i przyjdź do palarni. – Podała mu kilka różowych żetonów.

– Zostawiamy żetony? – zapytał Zoo.

– Oczywiście, to porządne kasyno. Tylko oprzyj krzesła o stół, żeby nikt nas nie podsiadł.

Po chwili Zoo zjawił się w palarni, która znajdowała się przy bocznym barze. Klaudia sączyła margaritę. Obok stała druga, zamówiona dla niego.

– Chyba tylko w Polsce można rezerwować sobie miejsca w kasynie – zauważył.

– Raczej tak – odparła. – Nasze kasyna są najbardziej przyjazne. Zawsze czujesz się tu dobrze, nikt nie pogania cię z obstawieniami. Właściwie możesz siedzieć i tylko patrzeć. Najgorzej jest w Las Vegas, i jeszcze te ich limity na obstawiania.

– Tak, to jest wkurzające – zgodził się Zoo, podpalając papierosa. – U nas możesz obstawić nawet jednym żetonem.

– Jednym słowem prawdziwy hazard tylko w Polsce. – Klaudia zaśmiała się.

– Nieźle nam idzie – stwierdził Zoo.

– To prawda, mnie idzie całkiem dobrze, tylko martwię się o ciebie. Co ty, kotek, najlepszego wyrabiasz?

– Nie rozumiem. – Wypuścił dym.

– Ścigasz się z kimś? Czy bierzesz udział w konkursie „Kto więcej obstawi”? To ma być zabawa, a mam wrażenie, że ty jesteś w pracy.

– Kto gra grubo, wygrać musi – odparł.

– Właśnie widzę, że masz jakąś maniakalną potrzebę obstawiania. Przy ostatnim rzucie cały stół był w twoich żetonach, a w efekcie mało co wygrałeś. Chyba nie znasz podstawowych zasad.

– Niby jakich?

– Po pierwsze do kasyna nie przychodzi się zarabiać pieniędzy, mój drogi. A po drugie po dużej wygranej wychodzi się, inaczej przegrasz. Już prawie



wszystko im oddałeś.

Zoo nie odpowiedział, tylko wziął łyk margarity.

– Po prostu spójrz prawdzie w oczy, jak nie idzie, to nie idzie. – Położyła mu rękę na ramieniu.

– Podobają mi się, jak podłożyłaś tę stowę pod żetony.

– To się nazywa wkładka. – Uśmiechnęła się szeroko. – Oni wszystko obserwują z góry na kamerach. Myśleli, że tam leży tylko jeden żeton. – Uniosła kieliszek. – Za sukces! Ja już dzisiaj swoje wygrałam, mam około dwóch tysięcy. Proponuję, żebyśmy spędzili dzisiejszy wieczór po mojemu. Pomogę ci wygrać, a potem mam dla ciebie pewną niespodziankę, okay? – Zoo w odpowiedzi skinął głową.

– Pamiętaj, że przychodząc tu, musisz ustalić sobie jakieś limity, inaczej utoniesz. Nie bądź frajerem, który utrzymuje kasyno. Oni z nami grają, naszym celem jest nie dać się wyrolować, rozumiesz?

– Wiem. – Pokiwał głową. – Jakoś ostatnio chyba właśnie tonę.

– Rzucam ci koło ratunkowe. – Pogłaskała go swoją chłodną dłońią po policzku. – Wszystko jest dla ludzi, ale z umiarem. To też. – Postukała paznokciem w kieliszek. – A teraz chodź, wracamy grać, zmieciemy ich. Wymień trochę żetonów na wysokie nominały – instruowała go, gdy szli przez salę. – Zrób wkładkę, tak jak ja. Pamiętaj, że krupier zawsze wyrzuca z numeru, który właśnie wypadł. Jak rzuca miarowo, jest wielka szansa na powtórkę. Dobrze stawiać jest na krzyż od numeru, który wypadł. Ćwiartka koła to właśnie ostatnie decydujące skoki kulki. Dla przykładu jak wypada zero, to często wypadają wówczas numery siedemnaście, dwadzieścia, dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści i dwadzieścia siedem.

Stali teraz w lekkim oddaleniu od stołu. Klaudia mówiła szybko, półgłosem, a wszystko układało się w prosty system.

– Na stole z obstawieniami wszystkie numery są ułożone w porządku matematycznym. Na kole są pomieszane, to ma nas zmylić. Po ciągu liczb, gdy wypada na przykład często czerwone, zazwyczaj pada zero. Gracze wówczas zwykle czekają, aż wypadnie czarne, i to jest błąd. Każde zdarzenie należy traktować jako niepowtarzalne. Czerwone może wypadać pod rząd nawet dwadzieścia razy. Wcale nie zwiększa to prawdopodobieństwa wypadnięcia koloru czarnego. To właśnie paradoks hazardzisty. Najważniejsze

jednak jest przeczucie. Dobre przeczucie to podstawa całej gry. No i oczywiście w odpowiednim momencie trzeba dopierdolić kasy. – Zaśmiała się.

– Podoba mi się twój system – wyszczerzył się Zoo. Z Klaudią wszystko było proste.

– Jak dobrze, że pani wróciła – ucieszył się krupier, gdy w końcu podeszli do stołu.

– Melduję się do gry – odparła wesoło Klaudia.

– To proszę obstawiać, bo zaraz koniec zakładów. – Mężczyzna wskazał na wirującą kulkę. – A co z tymi żetonami?

Na polu z czerwonymi szansami leżał okazały stos różowych żetonów Klaudii.

– Czy to moje?

– Z tego co pamiętam, to tak. Odchodząc, ten pan – krupier wskazał na Zoo – obstawił za panią czerwone szanse. A ostatnio przez kilka kolejek ciągle wypada czerwone. – Wskazał na ekran, gdzie wyświetlone były poprzednie wyniki. Wszystkie cyfry były czerwone. – I ja, biedny miś, te żetony ciągle dokładam i czekam, aż pani wróci.

– Ma pan rację, trzeba coś z tym zrobić – powiedziała Klaudia, a kulka zaczęła niebezpiecznie zwalniać. Nie zastanawiając się długo, jednym ruchem przesunęła stos żetonów z pola czerwonego na czarne.

– A nie zero? – Zoo uśmiechnął się.

– Mam przeczucie – odparła Klaudia.

– *No more bets* – ogłosił krupier. Kulka zaczęła skakać po przegródkach koła. Klaudia wstała z krzesła i niespokojnie kręciła się na wszystkie strony, zagryzając wargi.

– Siedem czarne – ogłosił krupier. W tym momencie Klaudia opadła na krzesło. Wszyscy spojrzeli na nią w niemym podziwieniu.

– Powiem pani, że rzadko się coś takiego widzi – stwierdził krupier. – To było naprawdę epickie.

– *Just like that* – rzuciła Klaudia.

– Dokładnie – zgodził się krupier.

– Czy mogę coś zamówić? – spytała.

– Proszę bardzo, zaraz kogoś zawołam – odparł krupier, zgarniając przegrane żetony. Cmoknął na przechodzącą kelnerkę, która zbliżyła się do stołu.

– Państwo chcą coś zamówić.

Tymczasem znudzone małżeństwo przegrało wszystkie żetony i zrezygnowane odeszło od stołu. Gdy się w sobie nie ma pasji, to gra też nie idzie.

– Chciałam zamówić dwie piña colady i piwo dla mojego faceta – powiedziała Klaudia.

– Za chwilę przyniosę zamówienie – odparła kelnerka.

– Jestem twoim facetem? – zdziwił się Zoo.

– Tak to dzisiaj czuję – skinęła głową.

Zoo objął ją w pasie i mocno przytulił. Musnęła włosami jego twarz. Przymknął oczy, jej zapach sprawił, że poczuł gorąco.

– Wiem, że będziemy mieli jutro mega kaca, ale dzisiaj się bawimy – stwierdziła wesoło Klaudia. Opierała o niego swoje jędrne pośladki.

– Proszę obiecać, że pani przyhamuje, bo jak tak dalej pójdzie, to splajtujemy – powiedział krupier, przysuwając do Klaudii pokaźny stos żetonów.

Przy stole pojawił się inspektor. Smutny wysoki pan w czarnym garniturze. Pogratił Klaudii wygranej i ogłosił zmianę krupiera.

– Prosimy o ostatni rzut! – zawołała Klaudia.

– No dobrze – uległ inspektor – ostatni rzut.

– Stawiaj teraz z wkładką. – Klaudia szepnęła do Zoo.

Zaczęli obstawiać jak szaleni, a krupier puścił kulkę w ruch.

– I kończymy obstawienia. – Zoo postawił na numer dwadzieścia dziewięć z wkładką i to samo na zero.

– I *no more bets*, proszę państwa – ogłosił krupier. Wypadło zero, Zoo dostownie oszalał.

– Wygraliśmy, wygraliśmy! – Chwyił mocno Klaudię.

– Widzisz, wkładka działa – szeptała, całując go w usta. – Bierz wygraną.

Wesoły krupier pożegnał się, a na jego miejsce pojawiła się tyczkowata dziewczyna z odętą twarzą. Miało się wrażenie, że mięśnie jej twarzy zostały porażone paralizatorem przez jakiegoś sfustrowanego kochanka i tak już jej zostało na stałe. Już przy pierwszym rzucie krupierki było wiadomo, że zabawa się skończyła. Nikt nie wygrał. Zaczęła się równia pochyła w dół. Po kilku rzutach stół opustoszał, prawie wszyscy gracze odplynęli niczym

zdziesiątkowane okręty po krwawej bitwie. Na posterunku pozostali tylko Zoo i Klaudia, którzy obstawiali po jednym żetonie.

– Dokończmy drinki i chodźmy – powiedziała Klaudia.

– Dobrze – zgodził się Zoo. Faktycznie, przy tej krupierce nic, absolutnie nic nie dało się wgrać. Wstali z krzesel, zabrali swoje żetony i poszli do kas. Klaudia wygrała cztery tysiące, Zoo trzy.

– Widzisz, na tym właśnie polega dobra gra – powiedziała. – Graj, kiedy wygrasz, a kiedy ci nie idzie, przyczaj się, a nie graj tylko dla gry, bo wtedy zawsze przegrasz. Trzeba grać, żeby wygrać, a nie żeby tylko grać. Proste.

– Dokładnie, „bo grać to trzeba umieć”. Naprawdę jesteś niezła. – Pocałował ją.

– Najlepsza – poprawiła go.

– To co dalej? – zapytał, gdy wyszli z kasyna.

– Teraz mam dla ciebie niespodziankę. Zapraszam na francuską kolację, tu jest świetna restauracja. A potem...

– A potem co?

– A potem chcę się pieprzyć. W Grand Hotelu mają piękne pokoje. Rano zjemy angielskie śniadanie i popływamy w basenie.

Ruszyli do restauracji. Zoo był szczęśliwy, pierwszy raz wychodził z kasyna z naprawdę dużą wygraną. Jednak system Klaudii, chociaż bardzo prosty, działał, i to zadziwiająco dobrze.

## **Sally dzwoni do Harry'ego**

*Kanada, Lac-Écho*

Od wizyty w zajeździe Cieniste Dęby Harry widywał się z Marią codziennie. Spędzali razem wieczory. Jedli kolację gdzieś na mieście, a potem lądowali w czystym mieszkaniu kelnerki. Tu wszystko miało swoje miejsce i Harry, widząc w myślach swój dom, aż skręcał się ze wstydu. Był totalnym bałaganierzem. Trochę myszkował po domu, gdy Maria nie patrzyła. W każdej szafce, dosłownie wszędzie panowały sterylność i porządek. Każda rzecz miała tu swoje miejsce. *Jak ją zaproszę do domu, to się załamie, widząc ten chlew* – myślał. Faktycznie, pewnego wieczoru Maria wyraziła chęć pojechania tym razem do niego. Chcąc nie chcąc, Harry się zgodził, ale jechał wolno jak na pogrzeb.

Gdy w końcu dotarli do domu, od razu zrobił Marii drinka, który składał się z potężnej ilości ginu Ungava Canadian Premium ze śladową ilością toniku i kostką lodu.

– Mocne jak diabli. – Maria zaśmiała się. – Chcesz mnie upić, przyznaj się.

– Oczywiście, że tak – odparł.

Maria ciekawie wodziła wzrokiem po rozległym salonie połączonym z kuchnią. Ściana za kominkiem była zbudowana z wielkich czarnych kamieni. Tam na wątych haczykach wisiła kolekcja szabli i sztyletów. Nad nimi górował wielki topór. Dom Harry'ego przypominał Marii zapuszczone zamczysko.

– Rozumiem, że nigdy nie trzaskasz drzwiami – zauważyła.

– Co masz na myśli?

– No, żeby to żelastwo nie pospadało. – Maria ze śmiechem wskazała na ścianę ze sztyletami.

– A, o to ci chodzi. To jeszcze po poprzednich właścicielach, od których kupiłem dom – wyjaśnił.

Z salonu widać było wielki stos brudnych naczyń piętrzących się w zlewie.

– Kobięca ręka potrzebna od zaraz. – Maria uśmiechnęła się. – Proszę, potrzymaj mojego drinka. – Podała Harry'emu szklanekę z ginem. – Zobacz, tu jest zmywarka, wystarczy wszystko do niej włożyć. – Otworzyła klapę i zaczęła ładować brudne naczynia. – Długo tu mieszkasz? – zapytała.

– Będzie kilka lat – mruknął.

– Podoba mi się salon – powiedziała. – Lubię, kiedy pokój jest połączony z kuchnią. – Skończyła z naczyniami, opłukała ręce i włączyła program na garnki. – Kiedy my będziemy pili drinki, to cudo wykona za nas całą pracę. – Uśmiechnęła się. – A teraz pokaż mi dom.

Harry niechętnie zaczął ją oprowadzać. Czuł się podle, trochę jak Gargamel z jego śmiesznym, mrocznym i zabałaganionym zamkiem.

Dom sprawiał wrażenie jakiejś tymczasowości, a na dodatek zostało w nim sporo rzeczy po dawnych właścicielach. W zasadzie detektyw kupując go, przejął trochę ich bałagan, bo mieli mnóstwo rzeczy, z których wiele zostawili. Tak to jest, gdy jeden bałaganiarz kupi dom od drugiego. Nawet w garażu pełno było kartonów ze szpargałami. Harry kiedyś miał je przejrzeć, ale skończyło się na tym, że tylko dostawił swoje pudła. Po kilku latach już nie wiadomo było, które rzeczy są jego, a które pozostały po poprzednich mieszkańcach. Tak samo było na strychu. Rzeczy zmieszały się ze sobą w jeden wielki bałagan Harry'ego.

Nieprzyjemne wrażenie potęgowały przeciekający nad gankiem dach i wyczuwalna już od wejścia woń stęchlizny.

Dom detektywa z pewnością nie był romantycznym gniazdkiem. Było w nim coś ponurego. Może sprawiała to brązowa wykładzina w salonie, a może ściany obite ciemną boazerią? Kinkiety z czerwonymi abażurami dające nikłe światło też robiły swoje. Jednym słowem królestwo mroku. Taki nastrój nikogo nie uwiedzie i z pewnością nie sprzyja miłosnym uniesieniom. *Nie ma co, z seksu nici* – przemknęło przez myśl Harry'emu. By ratować nastrój, włączył *Casablankę* i w oklejonej tłuszczem mikrofalówce zrobił popcorn. Gdy zaczęli oglądać film, Maria położyła mu głowę na ramieniu. Kiedy w filmie dziewczyna Ricka wchodziła do baru, nagle zadzwoniła leżąca na stole komórka Harry'ego. Detektyw przeprosił na chwilę Marię i odebrał. Dzwoniła Sally.

– Muszę się z panem zobaczyć – oświadczyła, a głos drżał jej niespokojnie. Harry zmieszał się na moment. W mig pojął, że Sally otrzymała przesyłkę z dowodami seksualnych wyczynów Thomasa. Wyczuł w jej głosie tę niepokojącą wibrację, tak charakterystyczną dla ludzi, którym świat nagle zawalił się w gruzy. Serce забиło mu mocniej. *Dlaczego zadzwoniła do mnie?* – pomyślał. *Przecież dostała materiał anonimowo. Na pewno domyśliła się, że jestem nadawcą tego listu. Niepotrzebnie to zrobiłem, tylko wywróciłem jej życie do góry nogami* – wyrzucał sobie.

– Proszę się ze mną spotkać – jęknęła Sally.

Harry spojrzał na kanapę. Maria siedziała bez ruchu i oglądała film, jedząc popcorn. Detektyw ruszył w stronę wyspy kuchennej, by wstawić wodę na herbatę. Z tej odległości mógł bezpiecznie rozmawiać. Słyszał w telefonie oddech Sally. Miał wrażenie, jakby była przy nim. Nagle zapragnął ją przytulić. Zniszczył jej szczęście, czuł się winny, ale było w tym jeszcze coś. Znowu odżyło to dziwne uczucie z pierwszego spotkania. Serce waliło mu mocno jak młotem. Sally posiadała jakiś tajemniczy klucz, którym otwierała w Harrym szereg jakichś drzwi, o których istnieniu nigdy nie wiedział. To było fascynujące i przerażające zarazem.

– Spotkajmy się jutro w południe w centrum. Adres prześlę SMS-em – zaproponował.

– Dobrze, będę na pana czekała.

– To ja będę na panią czekał – odparł z lekkim uśmiechem. – Zawsze przychodzę przed czasem.

– No tak, ma pan rację – odpowiedziała i wyczuł, że też się uśmiechnęła. Słysząc było to w jej głosie.

Po chwili Sally rozłączyła się, a Harry z mocno bijącym sercem zalał herbatę ekspresową w dużym kubku z reniferem. To również była pamiątka po starych właścicielach. *Cholera, muszę tu naprawdę zrobić porządek. To jakiś skład starych przedmiotów* – postanowił w myślach.

– Chcesz herbaty? – zawołał do Marii.

– Tak, poproszę earl grey – odkrzyknęła. Salon był naprawdę duży.

– Nie mam.

– To zrób, co masz. Kto dzwonił?

– Klientka, szykuje się kolejna sprawa rozwodowa. – Przeszedł przez salon. – Proszę, twoja herbata. – Podał jej kubek z reniferem.

– O, jaki świąteczny nastrój. – Maria uśmiechnęła się. – Mam nadzieję, że ty taki nie jesteś.

– Jaki?

– Zdradzający. – Spojrzała mu w oczy. – Mam nadzieję, że nie będzie potrzeby cię śledzić. Zresztą to nawet mogłoby być zabawne. Wynająłabym ciebie, byś śledził siebie samego. Ciekawe, czy Harry Symond wykonałby to zlecenie uczciwie.

– Ależ oczywiście, Harry Symond zawsze wykonuje zlecenia uczciwie, ale jest jeden problem...

– Niby jaki? – zainteresowała się Maria.

– Harry nigdy nie zdradza – odparł niby poważnym tonem, a kobieta zaśmiała się.

– Zresztą widzisz, że żaden ze mnie podrywacz. Sama powiedz, czy podrywacz miałby taki dom?

– Dom zawsze można sprzedać albo posprzątać. – Puściła do niego oczko. – Chcę, żebyś dzisiaj opowiedział mi o swojej żonie.

– Zapowiada się ciężki wieczór. – Harry westchnął.

– Możemy jeszcze zacząć sprzątać twój dom.

– To już wolę spowiedź o byłej żonie. Ale ty też mi coś opowiesz.

– Coś tam powiem w rewanżu. – Uśmiechnęła się.

Harry nic nie odpowiedział. Czuł się jak zbrodniarz, ale bardzo chciał zobaczyć znowu Sally. To nie było w porządku w stosunku do Marii, ale chęć spotkania z klientką była jednak silniejsza niż wrodzona przyzwoitość Symonda.

Zupełnie jakby Sally dysponowała jakimś potężnym magnesem, który przyciągał go w jej kierunku wbrew jego woli. Umawiając się z Sally, nieświadomie podążył za białym królikiem. Kraina czarów była tuż, tuż, na wyciągnięcie ręki.



## ROZDZIAŁ 19

*Kotom bez trudu udaje się to, co nie jest dane człowiekowi: iść przez życie, nie czyniąc hałasu.*

Ernest Hemingway

### **Co się stało ze Starym Tomem?**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

W poniedziałek rano Anna odwiozła Jasmine do szpitala. Okolica błyszczała od niebieskich świateł, a pod budynkiem roiło się od radiowozów. Do wozu prawniczki podszedł młody oficer. Dał znać, żeby otworzyć szybę.

– Co się stało? – spytała Anna.

– Proszę tu nie stać, tamuje pani ruch.

– Ale co się stało? Jestem adwokatem.

Młody policjant spojrział na nią niepewnie.

– Był wypadek. Zginął ktoś z personelu.

Anna zamknęła szybę.

– Nie ma co, piękny koniec weekendu – mruknęła.

Jasmine przerażonymi oczami patrzyła na rozgardiasz i krążących wszędzie policjantów. Niebieskie światła pulsowały, odbijając się od mokrych szyb. Przed głównym wejściem ustawiono policyjny namiot przesłuchań. Co chwila wprowadzano do niego kogoś ze szpitala z kocem zarzuconym na plecy.

Jasmine pożegnała się z Anną i weszła na oddział. Szybko dowiedziała się, co się stało. O całym zdarzeniu opowiedziała jej pielęgniarka Betty, obserwując ją przy tym uważnie. Jej czujny wzrok zdawał się badać, czy dziewczyna ma coś wspólnego ze zdarzeniem. Jasmine obleciał strach. Czuła, że z ciemnych chmur, które zgromadziły się nad szpitalem podczas weekendu, zaraz rozpęta się wielka nawałnica, która zmiecie wszystko łącznie z nią.

Usiadła na łóżku w swoim pokoju i czekała, aż do drzwi zapuka policja. Czuła, że ta sprawa pokrzyżuje jej wyjazd do Europy. Philip Qusack przestał pracować, a nowa doktor Hakimo mogła wydać inną opinię niż poczciwy Chomik. To wszystko razem mogło przedłużyć jej pobyt w szpitalu. Jasmine czuła, że sprawy się zagmatwały. A przecież dotąd układało się tak pomyślnie. Wykonała wszystko, co było nakazane w dziwnym mailu. Kupiła nawet bilety lotnicze z Anną. Za dwa dni miało już jej tu nie być. Wtem z zadumy wyrwało ją energiczne pukanie do drzwi.

Powiedziała: „Proszę”, ale chyba za cicho. Nikt nie wszedł. Słyszała jednak, że ktoś stoi pod drzwiami, drepcząc niecierpliwie. A może ten ktoś też zastanawiał się, czy wejść. *To chyba policja – pomyślała w panice. Na pewno zablokują mój wyjazd.*

– Proszę – powtórzyła Jasmine drżącym głosem.

Drzwi z wolna otworzyły się. Dziewczyna wstrzymała oddech.

### **Tajemniczy gość**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Na progu pokoju Jasmine stał Fester, a po twarzy przemykał mu szatański uśmiezek.

– Ale masz minę – zachichotał. – Nieźle cię nastraszyłem. Szkoda, że nie możesz siebie teraz zobaczyć. Pewnie myślałaś, że to policja, przyznaj się?

– Nic nie myślałam – odburknęła Jasmine.

– Mogę wejść? – zapytał.

– Wchodź. – Jasmine machnęła ręką.

– Słyszałaś co się stało? – Fester usiadł na łóżku obok niej.

– Podobno Stary Tom się powiesił – odparła.

– Nie podobno, tylko dyndał nad biurkiem w pokoju pielęgniarzy. Jak przechodziłem, to go właśnie odcinali. Mówię ci, w życiu nie widziałem śmieszniejszego widoku. – Fester zachichotał. – To jakiś cud, że ten spaślak dał radę powiesić się na karniszu. Nie wiem, jak to możliwe, że tak cienka rurka utrzymała taką bekę sadła. Nie ma co – Fester pokiwał głową z miną znawcy – poczciwy Stary Tom chyba wziął do siebie to, że poprzedniego dnia siostry

ubrały w świetlicy choinkę na święta. Może miał zboczenie na punkcie bombek, chciał coś powiesić, ale nie wiedział za bardzo, co. Pomyślał wtedy: „W sumie sam jestem jak gruba bombka. Powieszę samego siebie. Przyozdobię ten żałosny, smętny szpital, będzie zabawnie i sprawię uciechę dzieciakom. Niech mają małe biedne świruski trochę radości na święta”. Jednak zawsze można było liczyć na Starego Toma. Służbista ofiarny do samego końca. Przecież mógł powiesić się u siebie w garażu. Miał chyba jakiś tam garaż dobry do powieszenia, albo szopę, krzywe drzewo czy coś w tym duchu. Ale on wybrał szpital, nawet w chwili śmierci chciał być na służbie. Naprawdę podziwiam tego faceta.

– Ciebie to śmieszy? – Jasmine skrzywiła się.

– No pewnie, a ciebie nie? – zdziwił się Fester. – W końcu to wariatkowo, tu zabawne okazują się dziwne rzeczy.

Jasmine nic nie odparła.

– W każdym razie – mówił dalej Fester – to może pokrzyżować twoje plany.

– Co ty znowu wymyśliłeś? – zachnęła się.

– A co będzie, jak policja pomyśli, że to jednak nie było samobójstwo, że Stary Tom wcale nie chciał być choinkową bombką? Może ktoś mu jednak pomógł. Założę się, że na pewno padnie na Rudolfa. Jest wielki jak olbrzym, a te jego wytatuowane swastyki od razu rzucą na niego podejrzenia. Tak, Skinhead ma przerąbane. – Fester pokiwał głową z udawanym smutkiem. W kąciu jego ust drżał jednak niespokojny uśmiezek. – Jeśli ktoś pomógł staremu Tomowi, to tylko Rudolf. A zresztą może ktoś inny? Ciekawe, co pomyśli policja. Oni w ogóle są dziwni – stwierdził Fester. – Przy sprawach oczywistych zawsze wietrzą jakiś problem. Jak dłużej się nad tym zastanowić, to policja w ogóle jest bez sensu. Powinni dać broń każdemu w tym kraju, nawet dzieciom, i niech każdy dba o siebie sam. Okradają cię, to wyciągasz broń i bam! bam! Policja jest bez sensu. Jak trzeba, to nigdy ich nie ma, a jak nie trzeba, to wszędzie ich pełno. Najgorsze jest jednak to, że pracuje tam całe stado osłów. Ktoś dał komuś po łbie, to miesiącami się zastanawiają, dlaczego, jaki miał motyw. A nie przyjdzie im na myśl, że ten ktoś może nie miał żadnego motywu. Może najzwyczajniej w świecie nasza go taka chęćka i tyle. Na to jednak nigdy nie wpadną, żałosne typy.

– Stop! – Jasmine nagle wstała i wyciągniętą ręką powstrzymała słowotok Festera.

– Przepraszam, rozgadałem się... – Chłopak zakrył dłonią usta. – Ale sama powiedz, że mam trochę racji. No, powiedz – dopraszał się.

– Może trochę masz, ale daj już spokój. Boli mnie głowa od tego twojego gadania. Idź do stołówki, ja zaraz przyjdę.

– No dobrze. – Fester przygasał. – Chciałem tylko pożartować. Nie mów mi tylko, że byłaś wielbicielką Starego Toma.

– Nie byłam, ale idź już, chcę być sama. Weź dla mnie jedzenie i zajmij stolik, ja zaraz przyjdę. Wiesz, gdzie jest Rudolf?

– Policja już go wzięła w obroty, przesłuchują go – wyjaśnił Fester. – Zresztą wszystkich będą przesłuchiwać. Ustawili sobie nawet specjalny namiot przed wejściem. Lepiej dobrze się zastanów, co im powiesz.

Jasmine zamyśliła się.

– Idź już – ponagliła go – zaraz przyjdę do stołówki.

Chłopak wyszedł, mamrocząc coś pod nosem. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Jasmine opadła na łóżko i położyła sobie rękę na czole.

– Jestem w jakimś koszmarze – jęknęła. Nagle poderwała się na równe nogi i wyjęła z kieszeni telefon. Wpadła na pewien pomysł. Wiedziona nagłym impulsem od razu postanowiła go zrealizować. Czuła, że wszystko się pogmatwało. Cały misternie przygotowany plan z wyjazdem najwyraźniej legł w gruzach. Tylko jedno mogło ją uratować

### **Harry ponownie spotyka się z Sally**

*Kanada, Montreal*

Harry umówił się na spotkanie z Sally w nowo powstałej restauracji, którą polecił mu Steven, kolega, który dostarczył materiały do raportu. Restauracja podobno słynęła z włoskiej kuchni i wielu gatunków piwa.

Detektyw jak zwykle przyszedł przed czasem. W kieszeni tweedowej marynarki schował małe bukietki. Nie wiedział, jak spotkanie może się rozwinąć i nie chciał afiszować się z kwiatami. Nie zdjął szalika, bo w restauracji było dosyć zimno. Trzy razy zmieniał miejsce. Zaczął od tego przy oknie, ale tam wiało, uciekł więc w głąb sali. W końcu przy trzeciej zmianie wylądował w samym kącie na niewielkim podeście otoczonym drewnianą balustradą, skąd był doskonały widok na salę i gdzie, co najważniejsze, było najcieplej.

Restauracja była zupełnie pusta. Był początek tygodnia i Harry był pierwszym klientem. Do stolika podszedł barman i przyjął zamówienie.

Harry poprosił o duże jasne piwo i orzeszki. W głowie miał zupełną pustkę, co było do niego niepodobne. Z każdą minutą przybliżającą go do spotkania z Sally czuł coraz większe zdenerwowanie. Zaczął się obawiać, że może ona będzie czynić mu jakieś wyrzuty z powodu wykrycia zdrady męża. Z pewnością przecież domyśliła się, kto był nadawcą przesyłki.

Detektyw czekał na zamówienie chyba z piętnaście minut. W końcu przyniosła je szeroko uśmiechnięta kelnerka z wielkim dekoltem, który śmiało prezentował silikonowy biust. Harry już chciał się poskarżyć, że czeka wieki na to piwo, ale widząc kelnerkę, bąknął tylko nieporadnie: „Dzień dobry”. Dziewczyna uśmiechnęła się uwodzicielsko. Jej strój był połączeniem perwersji ze stylem retro. Fartuszek i falbaniasta spódniczka fruwały przy każdym ruchu.

*Co ja najlepszego narobiłem?* – zbeształ się w myślach Harry. Dopiero gdy kelnerka przyniosła zamówienie, zrozumiał, jakie popełnił *faux pas*. Restauracja Retro Village była miejscem stworzonym specjalnie z myślą o mężczyznach. Główną atrakcją stanowiły kelnerki wciśnięte w skąpe stroje. Taki Hooters w wersji retro. Steven wspominał o tej knajpie i bardzo ją zachwalał. Mieli się tu wybrać na drinka. Teraz Harry wiedział już, dlaczego znajomy wybrał to miejsce. Trochę marny wybór jak na spotkanie, które mogło przerodzić się w pierwszą randkę, czego sobie życzył w duchu.

Wziął duży łyk piwa. Myślał, że dostanie je szybciej i zdąży wypić przed przyjściem Sally. Chciał dodać sobie trochę animuszu. Do spotkania zostało niecałe pięć minut, a szklanka była naprawdę spora. Dodatkowo po lokalu kręciła się kelnerka, zalotnie zerkając w jego stronę. Pewnie sądziła, że detektyw umówił się z kolegą, i oczekiwała obfitego napiwku. Robiła, co mogła, by swą osobą umilić czas Harry'emu, który wiercił się niespokojnie.

*Może przestawię to piwo na inny stolik – pomyślał. Ona zaraz przyjdzie. To spotkanie to jedna wielka katastrofa.* Odstawił wysoką szklankę z piwem kilka stolików dalej. *Przynajmniej nie wyjdzie na jaw, że musiałem się napić.*

Zadowolony rozsiadł się wygodnie i zaczął zjadać orzeszki, które zostawił na swoim stoliku.

Brzęknął dzwonek przy drzwiach wejściowych. Harry drgnął, już z daleka dojrzał Sally. Ona również go dostrzegła. Pomachała do niego i ruszyła w jego

stronę. Minęła wydekoltowaną kelnerkę i obrzuciła ją zaciekawionym spojrzeniem.

– A co to za knajpa? – zapytała rozbawiona, stając przed stolikiem Harry'ego.

– Nie pytaj, kolega mi polecił. – Detektyw wstał, by się z nią przywitać.

– Mężczyźni... – Sally parsknęła śmiechem. – To gdzie siadamy?

– Zapraszam tutaj. – Harry wskazał na stolik, przy którym siedział.

– To dlaczego tam stoi twoje piwo? – Sally wskazała w stronę samotnej szklanki stojącej przy oddalonym od nich miejscu.

– Przesiadłem się, chciałem lepiej widzieć, jak wchodzisz – mruknął.

– Dobrze, że nie chodziło o widok na tę panią. – Sally uśmiechnęła się przekornie. – Zresztą ona jest tak ubrana, że z każdej strony jest dobrze widoczna.

Harry nic nie odparł. Pomógł Sally zdjąć płaszcz i poszedł po swoje piwo.

### **Punkt przesłuchań**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Fester istotnie był dobrze zorientowany. Przed szpitalem policja rozstawiła namiot. Znalazły się tam biurko i kilka krzeseł. Prowizoryczny punkt przesłuchań otoczony był policyjnymi taśmami. We wnętrzu zainstalowano elektryczny piecyk, ale i tak było zimno. Policjanci siedzieli w grubych kurtkach i marzli.

– Szef nieźle zaszalał – szeptali między sobą.

Akcją dowodził młody inspektor Gary Mamond. To była jego pierwsza sprawa i bardzo chciał się wykazać. Pracę zaczął z przytupem. Wydawało mu się, że wpadł na jakiś trop. Z miejsca zdziwiło go, że rzekomy samobójca przywiązał pasek do tak mizernego haka. Już na pierwszy rzut oka widać było, że coś nie gra z tym samobójstwem.

Buty denata czubkami muskały blat biurka. W końcu gdyby zaczął się dusić, musiałby zgodnie z instynktem samozachowawczym próbować stanąć na blacie. Zaczęłyby się szarpać i próbować się uwolnić, a wówczas hak najzwyczajniej nie utrzymałby jego ponadstukilogramowego ciała. Po prostu ktoś go udusił

i dla niepoznaki powiesił na karniszu, przynajmniej tak widział to inspektor Mamond. Przesłuchania ruszyły więc pełną parą.

Do namiotu, w którym się odbywały, prowadziło wejście wytyczone taśmami, zupełnie jak na lotnisku. Z powodu zimna w dużym holu szpitala na parterze utworzono poczekalnię dla wszystkich, którzy byli na miejscu w czasie domniemanego zabójstwa Starego Toma. Po holu krążyło kilku funkcjonariuszy, którzy typowali osoby do przesłuchania. Na pierwszy ogień poszedł Skinhead jako najstarszy ze wszystkich pacjentów. Następny miał być pielęgniarz Bob, ponieważ to on znalazł denata. Bob usiadł na krześle w poczekalni i przymknął oczy. Chciał przed przesłuchaniem wszystko sobie przypomnieć. Wiedział, że najdrobniejszy szczegół może okazać się ważny. Stary Tom był w końcu jego przyjacielem. Teraz Bob w myślach odtwarzał chwilę, gdy wszedł do pokoju socjalnego.

## **Bob**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Kiedy Bob wszedł do namiotu, za biurkiem siedział przeraźliwie chudy policjant z czerwonym nosem, który wymagał stałego pocierania chusteczką. Był to inspektor Gary Mamond we własnej wątłej osobie. Wypełniał jakieś papiery. Nawet nie podniósł wzroku i nie spojrzał na Boba.

Pielęgniarz usiadł na składanym krześle, które jęknęło desperacko pod jego masywnym ciałem. Za plecami wyczuł czyjąś obecność. Wchodząc do namiotu, dostrzegł tylko jednego policjanta za biurkiem. Zmieszał się, zupełnie nie wiedział, co ma robić.

– No, niech pan zacznie mówić. – Za jego plecami odezwał się nieprzyjemny, gardłowy głos.

Bob drgnął i odchrząknął niepewnie.

– Powinniście ją zatrzymać, to na pewno jej robota. Ona zamierza wyjechać do Europy do swojej rodziny, tym ludziom grozi wielkie niebezpieczeństwo.

– Proszę trochę jaśniej. Jaka ona, jacy ludzie? Zacznijmy od początku. – Inspektor Mamond przestał wypełniać papiery i wbił w Boba zmęczone, przekrwione oczy.

– Nie rozumiecie, kim ona jest. To wiedźma, każdy, kto się z nią zetknie, musi zginąć.

– Dobrze. – Gary skrzywił się. Czuł, że chyba trochę się wygłupił z tymi przesłuchaniami i tego całego bałaganu nie da się ogarnąć. Powstanie z tego jedynie góra papierów, która niczego nie wyjaśni. – Niech się pan uspokoi, to nam nie pomaga.

Bob wziął głęboki oddech.

– Przepraszam – bąknął – ale zginął mój przyjaciel. – Poprawił się na krześle, aż zatrzeszczało. Było bardzo niewygodne.

– Niech pan opowie wszystko po kolei – zachęcił go inspektor. – Wtedy nam pan pomoże.

Bob skinął głową. Naprawdę chciał być pomocny.

## **Harry z Sally**

*Kanada, Montreal*

– Naprawdę przepraszam cię za to miejsce – mruknął Harry.

– Wiesz, dlaczego chciałam się z tobą spotkać? – spytała najwyraźniej niezrażona.

– Powiedz mi.

– Wydaje mi się, że każdy z nas przez życie płynie własną łódką. Czasami bywa, że nim się spostrzeże, nurt ponosi go w zupełnie inne miejsce, niż się spodziewał. Ja właśnie tak się czuję. Dodatkowo okazało się, że mój mąż Thomas wcale ze mną nie płynie. Jego łódka popłynęła w zupełnie innym kierunku.

– Rozumiem. – Harry pokiwał głową.

Do stolika podszedł barman. Chyba domyślił się, że Harry popełnił fatalny błąd, i męska solidarność kazała mu ratować tę randkę. Bo w istocie była to randka. Harry'emu tak mocno biło serce, że miał na policzkach wypieki. Co dziwniejsze, nie myślał wcale o Marii, zupełnie jakby należała do innej rzeczywistości.

Sally zamówiła wino.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała, gdy barman odszedł.

Harry spuścił wzrok.

– O co ci chodzi?



– Dlaczego wysłałeś mi te materiały o moim mężu? Nie myśl, że jestem na ciebie zła. Po prostu otworzyło mi to oczy. Okazało się, że całe moje życie jest ułudą, jakimś żartem, z którego wszyscy się śmieją i tylko ja odbieram go na poważnie jak ostatnia naiwniaczka. Kiedyś oglądałam taki film, że facet połyka tabletkę i raptem okazuje się, że żyje w jakiejś fałszywej, wirtualnej rzeczywistości.

– *Matrix* – odpowiedział Harry.

– O właśnie, *Matrix* – ucieszyła się Sally. – Czuję się zupełnie jak Neo. Więc teraz powiedz mi, czemu to zrobiłeś? Czemu zlitowałeś się nad biedną, głupią Sally? Tylko zastanów się dobrze nad tym, co powiesz. I nie mów mi, że nie wiesz, nie zbywaj mnie. Chcę wiedzieć, czy znowu się nie mylę.

Na chwilę zapadła cisza.

## ROZDZIAŁ 20

*Nie jesteśmy samoistni, jesteśmy tylko funkcją innych ludzi, musimy być takimi, jakimi nas widzą.*

Witold Gombrowicz, *Ferdydurke*

### **Folder spam**

*Polska, Warszawa*

– Mikołaj, zobacz, poczta pusta. – Marta popukała palcem w ekran komputera. – Odpisałam kilka dni temu, jest poniedziałek, a tu wciąż nie ma odpowiedzi. Boję się, że ona się rozmyśliła. – Marta podciągnęła kolana do góry i oparła na nich brodę. Wyglądała teraz jak naburmuszona dziewczynka.

– Sprawdziłaś folder spam? – Mikołaj podszedł do biurka.

– Nie, a niby dlaczego miałam go sprawdzać?

– Wiesz... – Mikołaj zaczął przeglądać maile umieszczone w spamie. – Czasami zdarza się, że przez przypadek trafiają tam zupełnie dobre wiadomości. Nie jakieś tam reklamy suplementów czy sklepów ze zdrową żywnością.

– Przestań! – Marta dała mu kuksańca w bok. – Nie nazywaj korespondencji mailowej mojego sklepu spamem.

– Zdarza się – ciągnął dalej niezrażony – że w spamie lądują nawet maile od mojego dyrektora ze szkoły.

– A to dobre! – Marta roześmiała się. – Powinieneś mu o tym powiedzieć, może da mu to do myślenia, zanim znowu zaczniesz zarzucać cię tą swoją natrętną korespondencją.

– Mam teorię, że on jest niespełnionym pisarzem.

– A wiesz, że tak może być? W końcu tyle talentów drzemie poukrywanych w szkołach. – Marta pogłaskała dłoń Mikołaja. – À propos, co z twoją książką?

– Na razie na tapecie są pieluchy Stasia – odparł.

– Przestań, rozmawialiśmy o tym, miałeś wstawiać wcześniej i wygospodarować dwie godziny na pisanie. Trzeba żyć kuliście w każdą stronę,

jak powiedziała pewna aktorka w filmie, który bardzo lubię.

– *Pod słońcem Toskanii* – odgadł Mikołaj.

– Dokładnie tak – pokiwała głową Marta.

– W takim razie posłucham twojej bohaterki i zacznę od jutra.

– Maniana, ciągle tylko maniana. – Marta zaśmiała się. Lubiła przekomarzać się z Mikołajem, to ją rozluźniało. Rozmawiali, a słowa same płynęły. Dyskusja niosła ich swoim nurtem czasami w zupełnie niespodziewane rejony.

– A, tu cię mam. – Mikołaj odnalazł zaginionego maila i pocałował żonę w czoło.

– Jesteś genialny, mówiłam ci już o tym? Mój Steve Jobs. Siadaj, przeczytam na głos.

Mikołaj usiadł po turecku na dywanie. Wyciągnął z kieszeni flanelowej koszuli elektronicznego papierosa.

– Mogę? – zapytał błagalnym głosem.

– Pal! – Machnęła ręką. – I niech ci idzie na zdrowie. Uwaga! Cisza, zaczynam czytać. – Odchrząknęła. – „Witam kochana...” bla, bla, bla. „Cieszę się z powodu twojej zgody...” bla, bla, bla. „Jasmine wprost nie może się doczekać przyjazdu. Zakupiłam jej szybki bilet, bo tak bardzo chcę być z wami. Przyjedzie jedenastego grudnia o trzynastej”. Boże! – Marta, złapała się za czoło. – To chyba dzisiaj?

– Nie, kochanie, to za dwa dni, dokładnie w czwartek – uspokoił ją Mikołaj.

– Geniusz czy szarlatan? – Marta uśmiechnęła się. – No dobrze, czytam dalej, gotowy?

– Zwarty i gotowy, czytaj, a ja będę palił.

– A pal sobie, nicponiu. „Moja córka przyjeżdża dzięki twojej dobroci poznać Polskę. Twoje serce, jest wspiane. To niezwykle, że zgodziłaś się gościć pod swoim dachem jej osobę...”. Gwoli ścisłości nie pod moim – Marta skrzywiła się – tylko góralskim dachem, ale niech będzie. „Mam tylko jedną prośbę, bądź dla niej wyrozumiała, to nastolatka. Czasem może mieć szalony pomysł, ale to nie przekreślają wielkiego serca i oddania tobie”. W poprzednim mailu była istnym aniołem, ale cóż, im bliżej przyjazdu, tym bliżej prawdy – stwierdziła Marta.

– Pamiętaj, że ona przywiezie dolary – zauważył Mikołaj.

– Tak, wiem, kanadyjskie. Uwaga, czytam dalej. Bla, bla, bla, „Odbierz ją z lotniska. Dbaj o siebie”, bla bla bla, „Ufam twojemu dobremu sercu. Wiem, że jesteś człowiekiem blisko Kościoła”.

– Boże, co za polszczyzna. – Mikołaj zakrył ręką twarz. – Tego się nie da słuchać.

– Wiem, że ten mail maltretuje drzemiącego w tobie belfra. Ale pamiętaj, że ona... – Marta zawiesiła głos.

– Przywiezie kanadyjskie dolary – dokończył Mikołaj.

– Dokładnie tak! I na koniec... – kontynuowała czytanie Marta – „Ocean pozdrowień dla Twojej wspaniałej rodziny. Na zawsze twoja Monika”.

– Iście poetyckie zakończenie – skwitował Mikołaj. – Ona chyba bardzo dawno stąd wyjechała i nie ma kontaktu z Polakami. To brzmi jak napisane po angielsku i przetłumaczone tłumaczem.

– A wiesz, że też miałam takie wrażenie? Ale nieważne! – Marta klasnęła w dłonie. – Ona przyjeżdża i jedziemy w góry do Leśnej Rzeki. Sam pomysł, zasypana śniegiem drewniana chatka, kominek, konie, sanie i oscypki! – Poderwała się z krzesła i zaczęła wirować. Mikołaj przytulił ją i zaczęli tańczyć wolny taniec na środku pokoju.

– Jedziemy. Nawet nie wiesz, jak tego potrzebuję. Sytuacja ze Stasiem po prostu mnie wykończyła.

– Odpoczniemy tam – pocieszył ją Mikołaj.

– Właśnie, odpoczniemy, a potem znowu do boju – odparła.

– Pewnie, postawimy chłopaka na nogi.

– Co robicie? – W drzwiach stanął Marek.

– Przytulamy się i tańczymy – odpowiedziała Marta.

– A ty nie lepisz bałwana na balkonie? – Mikołaj zmarszczył brwi.

– Już skończyłem, śniegu mi zabrakło.

– Jak to na balkonie, ilości śniegu są ograniczone. Ale widzę, że coś cię gryzie, synu.

– Czy ta kuzynka naprawdę musi przyjeżdżać?

– Oczywiście, zaprosiłam ją – odparła Marta. – W końcu to nasza rodzina. Bardzo daleka, ale zawsze rodzina. Przyjeżdża za dwa dni.

– Jak ona ma na imię?

– Jasmine.

– Jakoś dziwnie. – Chłopiec skrzywił się.

– Głuptasie, przecież ona mieszka w Kanadzie. – Marta pocałowała syna w czoło.

– Zawsze możesz mówić do niej „Joasiu” – zauważył Mikołaj. – Będzie bardziej swojsko.

– A czy ona mówi po polsku?

– Trochę tak – odparła Marta.

– Mam nadzieję, że nie tak jak jej matka, bo będzie kiepsko – zachichotał Mikołaj.

– Synku, wyczuwam jakiś problem. – Marta złapała Marka za rękę.

– Nie ma problemu, tylko czy ona naprawdę musi przyjeżdżać? Myślałem, że pojedziemy tylko my i będzie fajnie.

– Nie zapominaj o tym, że jak jest więcej osób, to zawsze jest fajniej.

– A ile ona ma lat? – drążył dalej Marek.

– Osiemnaście.

– To o czym ja z nią będę rozmawiał? Przecież ja mam dopiero jedenaście.

– Nie dopiero, ale aż – stwierdził Mikołaj z poważną miną. – Ona jest starsza od ciebie tylko o kilka lat, z pewnością znajdziecie jakiś wspólny temat.

– Nie bój się – powiedziała Marta – przecież Jasmine cię nie zje. Nie pozwolimy na to. Podszkolisz przy niej francuski i angielski.

Marek westchnął i smętnie zwiesił głowę.

– Może potem kiedyś ty odwiedzisz ją w Kanadzie – dodała Marta. – To dobry kontakt. Proszę cię, nie martw się takimi głupstwami. Idź teraz do Stasia i zobacz, czy śpi.

Marek z ociąganiem wyszedł z pokoju.

– Boże, jaki on jest nieśmiały – szepnęła Marta. – Widzisz? Wprost umiera ze strachu przed kuzynką. Zrób coś, jesteś w końcu jego ojcem, wpłynij na niego jakoś. Po kim on to ma?

– No na pewno nie po mnie. – Mikołaj wyszczerzył się.

– To co, może po mnie? – Marta dała mu kuksańca w bok. – To ja jeździłam do Jarocina i byłam punkową.

– Sam nie wiem, niech pomyślę... Pani od sklepu internetowego z komputerem włączonym non stop. Przecież ty praktycznie z domu nie wychodzisz.

– Przestań, à propos wychodzenia: trzeba wysłać coś do klientki. Pójdiesz na pocztę? – zapytała.

- Dobrze, niech będzie, moja bizneswoman.
- Jesteś kochany.
- Za to dziś wieczorem wybieram film.
- O nie, znowu będzie *Dyskretny urok burżuazji* – jęknęła Marta.
- Mogą być jeszcze bracia Marx.
- To już lepsi bracia.
- Okay, umówieni – odparł.
- A jak wrócisz z poczty, zadzwonisz do brata, żeby pożyczył Klekotka? To pojedziemy nim na lotnisko i w góry.
- Wstępnie już z nim rozmawiałem...
- I co?
- Nikodem w kwestii Klekotka jest na tak.
- *Yes, yes, yes!* – wykrzyknęła uradowana Marta. – Nie wierzę, wszystko się układa. Normalnie czuję się, jakbym wygrała w totka. – Klasnęła w ręce.
- Mam nadzieję, że to ja jestem tą wygraną, a nie kuzynka albo samochód mojego brata – zauważył Mikołaj.
- Wiadomo, że ty. – Marta uśmiechnęła się zalotnie. Lubiła, kiedy plan się realizował. Miała na to nawet pewne powiedzonko: „Najlepszy plan to plan zrealizowany”.

## **Opowieść Boba**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Bob zmarszczył czoło i spojrzał gdzieś daleko przed siebie. Jego wzrok nie widział już policyjnego namiotu, ale dzisiejszy poranek, kiedy to znalazł Toma w pokoju socjalnym.

- Opowiem wszystko, jak pamiętam. – Potarł ręką czoło.
- Na to liczę. – Gary pokiwał głową. – Niech pan mówi – zachęcił.

Bob miał wrażenie, że cofnął się w czasie. Nigdy nie lubił poniedziałków. Nie wiedział oczywiście, że ten dzień zapamięta już na zawsze. Gdy rano wszedł do pokoju socjalnego, był pewien, że zastanie tam Starego Toma pijącego kawę. Istotnie, zastał go, ale przyjaciel wcale nie pił kawy, tylko dyndał na karniszu powieszony na własnym pasku. Czubki czarnych, grubo gumowanych butów dotykały blatu stołu, na którym stały wysłużony termos i kubek z wystygłą

kawą. Twarz Starego Toma była wykrzywiona w jakimś nienaturalnym grymasie nieporadnego uśmiechu zmieszanego z przerażeniem. Jakby zdawała się mówić „Ojej, co to będzie, jak mnie znajdą rano?”. Wielkie wytrzeszczone oczy dopełniały tego obrazu.

Bob cofnął się wtedy w pierwszym odruchu na korytarz.

– Tom, co ty najlepszego zrobisz? – jęknął. – To niemożliwe. – Złapał się za głowę. Znał dobrze Starego Toma i wiedział, że myśli samobójcze nie leżały w jego naturze. Pielęgniarsz rozejrzał się podejrzliwie po pokoju, czuł, że coś tu nie gra. Nawet gdyby Stary Tom chciał się powiesić, to na pewno nie w pokoju socjalnym. Zawsze porządnie wygolony i pedantyczny, miał duży szacunek do pracy. *Gdyby już miał to zrobić, to pewnie w szopie na tyłach domu* – pomyślał Bob. Stary Tom był zbyt dumny, żeby robić z siebie takie widowisko. Bob niczym Sherlock Holmes zbliżył się do stołu. Stał na nim kubek z wystygłą kawą. Na jej powierzchni unosił się jakiś dziwny kształt. Bob, uważając, by niczego nie dotknąć, nachylił się, a to, co zobaczył, wprawilo go w zdumienie. W kubku pływała bowiem mała plastikowa figurka czarownicy na miotle. Głowę wiedźmy zdobił szpiczasty kapelusz. Każdy detal był widoczny: haczykowany nos, wykrzywione w drwiącym uśmiechu usta.

– Chucky – mruknął do siebie Bob. To w końcu ona nazywana była przez pacjentów Wiedźmą. Pielęgniarsz czuł, że powieszony na karniszu Stary Tom to jej robota. Mówił przecież, że ma o niej jakieś rewelacje dla policji. Może wtedy podsłuchiwała na korytarzu? Tom słyszał jakieś szelesty. Te wszystkie drobne fragmenty układały się teraz w umyśle Boba w mroczną całość.

Niczego nie dotknął. Z ciężkim sercem opuścił pokój i ruszył do recepcji pielęgniarek, by przekazać przerażającą nowinę. Poniedziałki zawsze są okropne, ten był jednak wyjątkowo paskudny.

W namiocie przesłuchań Bob opowiedział również policjantom o ostatniej rozmowie ze Starym Tomem.

– W każdym razie przesłuchajcie Jasmine – stwierdził na koniec. – Naprawdę powinniście to zrobić. Ona na pewno ma z tym coś wspólnego.

– Pomyślimy o tym – mruknął z tyłu właściciel gardłowego głosu. Przez całe przesłuchanie nie pokazał się Bobowi ani razu.

– Jak ona się nazywa? – zaciekał się inspektor.

– Jasmine Reynolds – odparł Bob.

– Hank, niech oni mi ją zaraz znajdą. Ona musi być gdzieś tam w holu.

– Naprawdę chcesz ją teraz przesłuchać? – Stojący za Bobem policjant podszedł do biurka. Był o wiele starszy i miał nieprzyjemną, ospowatą twarz.

– No przecież mówię, żeby ktoś ją tu przyprowadził – odparł Mamond, pocierając czerwony nos.

– Dobrze, to twoje dochodzenie, ty tu jesteś szefem – mruknął niechętnie Hank. – Mam tylko nadzieję, że skończymy przed świętami. – Wsunął ręce do kieszeni i z ociąganiem wyszedł z namiotu. Słysząc było, jak prosi jednego z policjantów, by przyprowadził Jasmine. Bob uśmiechnął się szeroko.

– Panu już dziękujemy – powiedział inspektor. – Proszę zapisać w tym formularzu swój telefon. Był pan pierwszą osobą, która widziała denata.

Pielęgniarka spełniła jego prośbę, a chwilę później opuścił namiot. Minął się z Hankiem, który obrzucił go złowrogim spojrzeniem. Ale Bob nie dbał o to ani trochę.

## **Nieoczekiwany obrót sprawy**

*Kanada, Montreal*

Harry poprawił kołnierzyk koszuli. Miał wrażenie, że nie ma czym oddychać. Nie potrafił rozmawiać o uczuciach, ale Sally przyparła go do muru. Patrzyła teraz na niego pytająco swoimi dużymi, błękitnymi oczami.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego dałem ci te dokumenty? – zapytał.

– Tak.

– Podobasz mi się – wypalił. – Coś mnie w tobie urzekło, gdy weszłaś wtedy do Srebrnego Koła i mnie minęłaś. Mnie też życie nie rozpieszczało. Miałem rodzinę, żonę, syna. Nagle okazało się, że kiedy pracowałem, żona zakochała się w kimś innym i po prostu uciekła. A syn obraził się na mnie. Przez lata myślałem, że jestem szczęśliwy, a również żyłem w matriksie, zupełnie jak ty. Kiedy zobaczyłem, że on cię zdradza, to nie mogłem tego znieść. Tak naprawdę to chciałem dać mu w zęby. – Harry wyrzucił to wszystko z siebie jednym tchem i poczuł ogromną ulgę.

– Pocałuj mnie – szepnęła nagle Sally.

– Słucham?

– Nie bądź idiotą, Harry. Słyszałeś dobrze, co powiedziałam.

Harry przymknął oczy, nachylił się nad stołem i pocałował ją przeciągle.



– Widzisz, to nie było takie trudne – mruknęła. – Ty też mi się spodobałeś. Ciągle odnoszę wrażenie, że masz w sobie dużo wrażliwości, którą starasz się napędce zamaskować.

– Naprawdę? – zdziwił się. Nagle złapał się za głowę. – Zupełnie zapomniałem, przecież mam coś dla ciebie. – Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął małe, pognieciony bukiet kwiatów.

– Proszę. – Wręczył go Sally.

– To najbardziej uroczy bukiet, jaki dostałam – stwierdziła.

– Przepraszam, trochę się pogniotły – mruknął.

– Właśnie to jest w nich najcudowniejsze. – Sally uśmiechnęła się. – Odeszłam od męża – powiedziała nagle.

– Uciekłaś? – zdziwił się.

– Tak. Postanowiłam mu zrobić przestrzeń dla jego spotkań. Teraz już nie musi się wymykać.

– To gdzie teraz mieszkasz?

– W hotelu.

– Daj spokój, nie można mieszkać w hotelu, to depresyjne. Zapraszam do siebie, mam duży dom.

– Okay – odparła z uśmiechem. – Jak się nie pozabijamy przez trzy dni, to może coś z tego będzie. Najlepiej rzucić się na głęboką wodę – stwierdziła.

## **Policjanci idą po Jasmine**

*Kanada, Quebec City*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Hank, policjant z ospowatą twarzą, wrócił do namiotu.

– Załatwiłeś z tą dziewczyną? – zapytał Gary, nie podnosząc oczu znad papierów.

– Tak, już jej szukają – odparł Hank. – Słuchaj, czy ty naprawdę wierzysz w historyjkę tego pielęgniarza? Mnie się wydaje, że oni wszyscy mają tu niezłego świra. Naprawdę chcesz przesłuchiwać te wszystkie dzieciaki?

– Coś tu śmierdzi, i to bardzo – stwierdził Gary. – To pierwsza sprawa, którą prowadzę, ale wytłumacz mi, jak ten grubas dał radę się powiesić na tym cienkim karniszu?

– Jakoś się powiesił, przecież sam go odcinałem. – Hank wzruszył ramionami.

– Ja uważam, że coś tu nie gra, dotykał czubkami butów blatu. Przyznaj, że to dziwne.

– Nie takie rzeczy widziałem. Facetowi po prostu odbiło – podsumował Hank. – Sam bym się powiesił, gdybym musiał tu pracować. A karnisz najwyraźniej jakoś wytrzymał, różne cuda się zdarzają.

– Nieważne, chcę przesłuchać tę dziewczynę – odparł Gary. Naprawdę bardzo przejął się swoim pierwszym śledztwem. Najwyraźniej nie wiedział, że nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu.

Gdy Bob wszedł do szpitala, w holu trwały gorączkowe poszukiwania Jasmine. Zaaferowani policjanci sprawdzali zebrane tam osoby. Panował niezły bałagan. Pielęgniarski dobrze wiedział, że ponad połowa szpitala została na oddziale. Część pacjentów kończyła jeszcze śniadanie. Postanowił pomóc, czuł, że jest to winny Staremu Tomowi. Podeszedł do jednego z policjantów.

– Szukacie Jasmine Reynolds? – zapytał.

Funkcjonariusz potwierdził.

– Mogę pomóc, pracuję w szpitalu, ona jest teraz na oddziale. Niech pan pójdzie ze mną. Ona może próbować uciec.

Policjant skinął głową i ruszył w ślad za Bobem

## **Kiedy spotkanie zmienia się w randkę**

*Kanada, Montreal*

– A co z rozwodem? – Harry spojrzał uważnie na Sally.

– Nie bój się, rozwód będzie, ale przecież nie muszę mieszkać do tego czasu z Thomasem. Moi dziadkowie pochodzili z Rosji. My lubimy odrobinę szaleństwa, rewolucje i tym podobne sprawy. A może uważasz, że zwariowałam? – zapytała Sally przekornie.

– Nie – zaprotestował żywo Harry.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się. – Z Thomasem robiłam wszystko, jak należało: randkowałam, ile trzeba, byłam narzeczoną, ile wypadało, a potem odbyły się ślub i wspaniałe wesele. Wszystko zgodnie z planem. Pojawiły się dzieci, którymi się zajęłam. Dzieci dorosły, założyły własne rodziny, a w tym wszystkim zabrakło miejsca dla mnie. Może za mało myślałam o sobie. Myślenie

o innych jest dobre, ale kiedy zabraknie maleńkiej cząstki egoizmu, to katastrofa.

– Może było za mało szaleństwa – zauważył Harry.

– Masz całkowitą rację – ucieszyła się. – Teraz będzie inaczej.

– Wypijmy za to. – Harry podniósł szklankę z piwem. Sally stuknęła się z nim i wzięła duży łyk wina.

– Mam ochotę się dzisiaj upić.

– To się upijmy – odparł wesoło.

– Harry?

– Słucham?

– Pojedziesz ze mną w podróż?

– Pojadę.

– Kupimy dom nad jeziorem?

– Kupimy.

– To teraz zapraszam na lunch. – Sally wstała. – Obiecuj, że odtąd to ja będę wybierać knajpy na nasze schadzki.

– Proszę bardzo – wyszczerzył się.

– Ale nie będę zaborcza. – Uśmiechnęła się. – Po prostu chcę żyć pełnią życia, podróżować i chcę, żebyś mnie nigdy nie oszukiwał. Jak będziesz chciał, to po prostu odejdziesz, nie musimy przecież brać ślubu.

– Sally?

– Słucham?

– Obiecuj, że nie uciekniesz, jak zobaczysz mój dom.

– Obiecuję. – Poklepała go po policzku. Harry pomógł jej założyć płaszcz. – I nie przejmuj się domem, ja na przykład w ogóle go nie mam i jestem szczęśliwa.

Detektyw uregulował rachunek, wyszli z restauracji i ruszyli do wozu. Sally chwyciła Harry'ego pod rękę.

– Podwieź mnie do hotelu – poprosiła. – Podasz mi adres i za godzinę, jak się spakuję, przyjadę do ciebie taksówką.

– Dobrze – odparł. Był lekko oszołomiony. Jeszcze niedawno był zupełnie samotny, a teraz był w dwóch związkach. Jednym słowem nawiedziła go klęska urodzaju. W samochodzie dyskretnie sprawdził telefon. Dzwoniła Maria.

*I co niby mam jej powiedzieć? Jutro coś wymyślę – zdecydował. Dzisiaj jestem na to wszystko za głupi.*

## **Fester czeka z jedzeniem**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Fester nałożył śniadanie dla siebie i Jasmine. Zajął stolik przy oknie, by móc obserwować, co się dzieje pod szpitalem. Z wielkich zakratowanych okien stołówki był doskonały widok na cały dziedziniec. Po sali krążyły siostry i pospieszały jedzących.

– Każdy, kto skończy jedzenie, niech schodzi do głównego holu na parterze – instruowały. – Przyjechała policja i chce zadać kilka pytań.

Przed wejściem do szpitala stało kilka radiowozów. Panował tam niezły rozgardiasz. Policjanci rozmawiali z personelem, technicy przenosili walizki ze sprzętem. Pokój socjalny był zamknięty i wszystko badano. Fester czekał i czekał na Jasmine, aż w końcu zaczął jeść mleczną zupę. Dziewczyny tymczasem ciągle nie było.

Kiedy zabrał się za jogurt, zdębiał. Dojrzał bowiem, jak Jasmine z prawniczką wychodzą przez główne drzwi szpitala. Minęły policjantów i przeszły przy radiowozach tuż obok namiotu przesłuchań. Nikt ich nie zatrzymał. Nikt nawet nie spojrzał na nie. Fester zerwał się na równe nogi i podbiegł do okna. Rozpłaszczył nos na szybie jak dziecko. W tym momencie Jasmine podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Jej ręka powoli uniosła się do góry. Dojrzał, jak kładzie palec na ustach, nakazując mu milczenie. Potem najzwyczajniej w świecie zniknęła za rogiem budynku. Fester spojrzał na pusty stolik z tacą pełną jedzenia dla Jasmine i nagle pojął, że ona już nie wróci. Powłókł się zrezygnowany do stolika i opadł ciężko na krzesło.

Jasmine załopotana skrzydłami i wyleciała z kartonowego pudełka niczym kolorowy motyl. Fester czuł się beznadziejnie, zupełnie jakby to on uchylił wieko. Zresztą nie miało to teraz już żadnego znaczenia, motyl odleciał. W chłopaku coś wzbierało, jakaś straszna żałość zmieszana ze złością. Nagle poderwał się na równe nogi, machnął ręką i zrzucił tacę ze śniadaniem dla Jasmine. Jedzenie rozbryzgnęło się na wszystkie strony. Potem przewrócił stolik.

– Wołajcie pielęgniarkę – zawołała jedna z sióstr. Po chwili Fester został zapięty w kaftan. Podano mu leki uspokajające i wylądował w izolatce. Był

wściekły, wierzgał nogami i krzyczał. Oczy wyszły mu na wierzch. Był cały czerwony, ledwo mógł złapać oddech.

– Ona odeszła – szeptał – odeszła na zawsze. Teraz głosy wrócą – jęczał – na pewno wrócą.



## ROZDZIAŁ 21

*A kłamstwa jak króliki... rodzą wciąż młode – młode kłamstewka – i nie da się tego zatrzymać.*

Magdalena Samozwaniec, *Czy pani mieszka sama?*

### **Poszukiwania Zoo**

*Polska, Jastarnia*

Szalony weekend z Klaudią był przeszłością. Zoo czekał na jej sygnał, by spotkać się ponownie i sfinalizować zakup domu dla Kurczaka. Telefon milczał jednak uparcie. Klaudia zapadła się pod ziemię. Nawiedziło go jakieś mgliste przecucie, że coś jest nie tak. Zadzwoił do niej, ale nadział się na pocztę. Wysłał kilka SMS-ów, ale nie dostał żadnej odpowiedzi. Wiele się nie namyślając, po prostu wsiadł w samochód i ruszył do Sopotu.

W willi, gdzie spotkał się z Klaudią, nikogo nie zastał. Powitały go ciemne okna i brama zamknięta na gruby łańcuch z kłódką. Ruszył więc do Jastarni, myślał, że może jakimś dziwnym trafem uda mu się ją tam spotkać. Była agentem nieruchomości i tam teraz głównie działała. Dobrze pamiętał jej słowa: „Každy chce mieć dom nad morzem”.

Przejechał przez Jastarnię, ale ulice były puste jak to zwykle zimą. Już miał pojechać do hotelu, postanowił jednak zrobić jeszcze jedno kółko po miasteczku.

Nagle ją zauważył. Sprężystym krokiem zmierzała do restauracji Weranda Ogrodnica mieszczącej się niedaleko dworca kolejowego. Z ust wystawał jej patyczek lizaka. Jak zwykle była świetnie ubrana, w cieliste spodnie i taliowaną kurtkę z kapturem wykończonym futrem. Zoo zwolnił i zrównał się z Klaudią. Była tuż przed restauracją, właściwie już miała wejść do środka. Gdy dostrzegła śledzący ją wóz, obróciła głowę. Zoo opuścił szybę.

– A, to ty – rzuciła chłodno.

– Tak to ja – odparł. – Jakoś nie mogę się do ciebie dodzwonić, więc postanowiłem przyjechać i sprawdzić, jak się mają sprawy.

– Wiesz, tu czasami jest słaby zasięg. – Uśmiechnęła się krzywo. – A sprawy mają się dobrze.

– No nie wiem. – Zoo pokręcił głową. – Wsiadaj, musimy pogadać.

– Właśnie idę na kawę. – Wskazała na Werandę. – Może dołączysz?

– Lepiej żebyśmy porozmawiali w cztery oczy – odparł.

– Dobrze, ale załatwmy to szybko, jestem trochę zajęta. – Otworzyła drzwi i z westchnieniem wsiadła do wozu. Wnętrze momentalnie zapachniało jej perfumami. Zoo ruszył, mocno wciskając gaz.

– O czym chciałeś ze mną rozmawiać? – spytała, nie wyjmując lizaka z ust.

– Dlaczego zniknęłaś? Przyjęłaś zaliczkę i po prostu rozpułyłaś się w powietrzu. Coś czuję, że sprzedaż tego domu to jedna wielka lipa.

– Nie bądź śmieszny – prychnęła. – Nie rozpułyłam się, przecież siedzę koło ciebie. A ten dom nie jest żadną lipą, ściemą czy jak to tam nazywasz. Mam mnóstwo pracy i po prostu czasami nie mogę odebrać telefonu. – Wyjęła lizaka i machała nim do taktu swoich słów niczym dyrygent.

– Wyrzuc to – obruszył się i uchylił szybę. – Chcę z tobą spokojnie porozmawiać.

– Zwariowałaś? – fuknęła. – Zamknij okno, przeziębnię się, jest mróz.

– To wyrzuc tego pieprzonego lizaka.

– Niczego nie wyrzucę. Nie będziesz mi mówić, co mam robić, nie od tego tutaj jesteś. – Po jej twarzy przemknął złowrogi cień.

– A niby od czego jestem?

Klaudia nic nie odpowiedziała, tylko spojrzała gdzieś w dal. Była mistrzynią niedopowiedzeń.

– Oddzwonić też nie mogłaś – powiedział Zoo. – Dobijałem się do ciebie chyba z dziesięć razy. Nawet się nagrałem. Nie wspominając już o SMS-ach.

– Słuchaj, transakcja dojdzie do skutku – powiedziała nagle. – Potrzebuję jeszcze tylko paru dni, żeby przygotować papiery dla klienta. To nie jest zakup pęczka pietruszki na bazarze. Tu chodzi o dom. Przepraszam, czy możesz zamknąć to cholerne okno?!

Zoo spojrzał na nią kątem oka. Był na siebie wściekły. Klaudia ciągle mu się podobała i chyba zdawała sobie z tego sprawę. Tak naprawdę nie chciał się kłócić. Chciał ją przytulić i pocałować, chciał, żeby było jak dawniej. Była jednak



niewzruszona. Zoo wyczuwał bijący od niej chłód. Zupełnie jakby między nimi ktoś umieścił blok lodu dopiero co wyjęty z przerębla na Grenlandii. Bez słowa zamknął szybę, a Klaudia na powrót włożyła lizaka do ust.

– Od razu lepiej – stwierdziła.

Zoo jechał ulicą księdza Sychty w stronę Juraty. Coś w nim narastało. W pewnym momencie skręcił w stronę portu.

– Wiesz co, dosyć mam tych gier – mruknął, marszcząc brwi. – Widzę, że nie chcesz ze mną szczerze rozmawiać. Tu przy porcie jest komenda policji, może tam rozwiąże ci się język.

– Co ty wyrabiasz?! – Klaudia zdenerwowała się. – Nie bądź głupi, przecież wsiadłam do samochodu, a nie musiałam. Ty czasami naprawdę niczego nie rozumiesz, jesteś jak dziecko. Chcesz rozmawiać, a więc dobrze, rozmawiajmy. – Otworzyła szybę i wyrzuciła lizaka. – Jedź prosto – poinstruowała go.

– Niby dokąd? – zdziwił się Zoo.

– Do Chałup. Tam jest dobra knajpa, o tej porze roku zupełnie pusta. Usiądziemy, wypijemy kawę i spokojnie pogadamy.

### **Sprytne posunięcie**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

– Dziękuję, że po mnie wróciłaś – powiedziała Jasmine, zapinając pas w wozie.

– Na szczęście nie zdążyłam zbyt daleko odjechać – odparła Anna. – Dobrze, że do mnie zadzwoniłaś.

– To, co się dzieje na oddziale, to istne piekło. Dlaczego on to zrobił? – Po twarzy dziewczyny popłynęły łzy. – Przechodziłam obok, widziałam, jak wkładali ciało do czarnego worka. Gdybym tam musiała zostać, to byłby jakiś koszmar... W dodatku wszystkich przesłuchują w jakimś namiocie na mrozie.

– To właśnie cała policja – westchnęła Anna z dezaprobatą. – Mogliby punkt przesłuchań urządzić w holu na dole. Zresztą ciebie to nie dotyczy, byłaś przecież u mnie. Nie płacz, proszę. – Anna pogłaskała Jasmine po głowie. – Pojutrze jest twój lot.

– Tak, a czy mogę poczekać u ciebie? Proszę, nie chcę tam wracać...

– Jutro mam ważne spotkanie z klientem.

– Chcesz mnie tam odwiedzić? – spytała przerażona Jasmine.

– Uspokój się, nie po to cię stamtąd zabrałam, by cię odwozić. Dzisiaj pojedziemy do domku nad jeziorem, spędzimy razem wieczór. Jutro posiedzisz tam sama, odpoczniesz, pójdziesz na spacer. Ja od razu po pracy przyjadę do ciebie. W środę rano zawiozę cię na lotnisko. To chyba dobry plan?

– Najlepszy – ucieszyła się dziewczyna.

– Na lotnisku kupisz jeszcze prezenty dla krewnych. Jak wylądujesz i odbierze cię rodzina, to od razu do mnie zadzwoń, bez względu na porę, żebym się nie martwiła.

– Dobrze – odparła Jasmine.

– Ale przecież ty nie zabrałaś żadnych rzeczy – zauważyła Anna.

– Bo właściwie nie mam ubrań. – Jasmine rozłożyła ręce. – Prawie ze wszystkiego wyrosłam.

– Rozumiem, w takim razie przed odlotem pójdziesz na zakupy. Kupisz sobie całą garderobę na wyjazd.

– Tylko ja nie mam żadnych pieniędzy – odparła bezradnie Jasmine.

– Teraz, kiedy jestem twoim prawnym przedstawicielem, mam dostęp do twojego konta. Dostaniesz pieniądze na zakupy i na podróż. – Anna uśmiechnęła się.

– Dziękuję – odparła dziewczyna.

Na chwilę zapadła cisza.

– Dzisiaj spędzimy czas w domku w górach – powiedziała Anna. – Wiesz, Emily ma teraz ciężki okres w życiu, przed nią wybór studiów, więc nie będzie jej z nami.

– Pewnie jest zła, że przyjechałam do was wtedy na weekend. – Jasmine spuściła wzrok. – Przepraszam, nie chcę psuć niczego między wami.

– Niczego nie psujesz. – Anna uśmiechnęła się lekko. – Zrobimy spaghetti i pooglądamy głupie filmy. Zapomnisz o wszystkich problemach. Naprawdę nie mogę zrozumieć, co strzeliło do głowy temu facetowi, żeby powiesić się na oddziale dziecięcym?

Anna skręciła na zjazd z autostrady i wóz pomknął pustą drogą przez las. Był poniedziałek i opustoszałe domy nad jeziorem czekały na następny weekend.

Jasmine spojrzała w bok na ciemny las i uśmiechnęła się sama do siebie. Sprawy znowu wróciły na dobry tor. *Wystarczy przetrwać tylko te dwa dni –*

myślała. *Pojutrze będę już w samolocie.* W kieszeni ścisnęła przenośny portfel kryptowalut. To był jej cały bagaż.

Skupiona na prowadzeniu Anna nie widziała tego tajemniczego uśmiechu. Często to, co ważne, drzemie skryte w cieniu.

### ***Come Prima***

*Polska, Jastarnia*

Pan Edward jak zwykle wstał o jedenastej. Wszystko przebiegało więc zgodnie z planem. Za kwadrans dwunasta wsiadł do kanarkowożółtego Fiata Pandy. Otworzył bramę pilotem i włączył płytę Freda Buscaglione. Przełączył na ulubioną piosenkę, *Come prima*.

– Najlepsze wykonanie w historii – mruknął do siebie. Powoli wyjeżdżał z bramy.

Podwórko było niewielkie, jak zresztą prawie wszystkie podwórka w Jastarni. Na działce królował dom, dworek z czerwonym dachem, skrywający dwie kondygnacje i sześć pokoi na wynajem dla letników.

Pan Edward dobiegał dziewięćdziesiątki i nadal prowadził samochód. Uważał się za dobrego kierowcę, ale to, co po chwili się wydarzyło, wprawiło go w osłupienie. Gdy już prawie wyjechał, nagle z wielką prędkością po zazwyczaj sennej i spokojnej uliczce księdza Stefańskiego śmignął wielki, czarny terenowy wóz. Pojawił się dostownie znikąd niczym cień. Pan Edward na szczęście zdążył wcisnąć hamulec i tym samym uniknął zmiecienia pocziwej Pandy.

– Co za diabeł – zaklął pod nosem. Po czarnym wozie nie było jednak ani śladu. Staruszek wyjechał spokojnie na ulicę i ruszył do sklepu. Zjawiał się tam zawsze w okolicach południa i kupował zestaw gazet konserwatywnych, liberalnych i lewicowych. Jako emerytowany dziennikarz lubił mieć wiadomości z kilku źródeł. Jednym słowem stara szkoła, kiedy jeszcze poddawało się krytyce otaczającą rzeczywistość. Do gazet dołączane było zawsze piwo Kasztelan niepasteryzowany w liczbie sztuk czterech. W piątki pan Edward kupował jeszcze małą wódkę cytrynowką, potocznie nazywaną małpką. To był jego zestaw weekendowy.

Od ponad dziesięciu lat był wdowcem i jego życie toczyło się utartym trybem. Prasówka, czyli czytanie gazet, odbywała się od razu po powrocie

ze sklepu. Pierwsze piwo w ciągu dnia otwierał zazwyczaj o piętnastej. Właśnie wtedy jadł obiad. Po skończonym posiłku zaczynał dzwonić do znajomych. Odpowiednio znieczulony niedługo po północy zazwyczaj zasypiał na pierwszym piętrze w swoim pokoju, którego okna wychodziły na niewielki ogród przed domem. Pnące wino zaciemniało je tak, że nawet latem trzeba było zapalać światło w pokoju.

Pan Edward dom zapisał córce Barbarze. Teraz to ona prowadziła niewielki pensjonat, on jedynie czekał na moment, gdy dusza zechce opuścić jego ciało. W takich okolicznościach naprawdę trzeba było się znieczulić, ale nie zawsze tak bywało. Pan Edward jako dziennikarz wiódł niegdyś ciekawe życie, a teraz czuł się trochę jak zawieszony w próżni. Po prostu czekał. W ciągu dnia zaglądała do niego córka, ale to były tylko przerywniki. Życie pana Edwarda biegło utartym torem, on sam nie był jednak jak szybki pociąg TGV. Taka była jego żona Halina, energiczna i wygadana. Nagle w ciągu roku po prostu zgasła. Po jej śmierci życie Edwarda straciło sens i zaczęło przypominać raczej zakopconą ciuchcią wąskotorową, która niespiesznie zmierza ku bocznicy, skąd nie ma już powrotu. Może to banalne, ale to właśnie Halina nadawała znaczenie jego działaniom.

Jadąc teraz do sklepu, pan Edward nie zdawał sobie sprawy, że już niedługo wszystko się zmieni i że w jego życiu rozbłyśnie jeszcze jedna gwiazda. Wszyscy w Jastarni znali jego żółtą Pandę. Gdy przejeżdżała, z głośników na pełen regulator nieodmiennie płynęły włoskie piosenki. Mieszkający na ulicy Ogrodowej znajomy rybak Stefan Kąkol, gruby niczym spławik na ryby, kolor samochodu określał mianem „yellow bahama”, ale wymawiał to jak „yellow dla chama”. Pan Edward śmiał się z tego powiedzonka. Chamem na pewno nie był. Zresztą nie sposób było go obrazić. W końcu jak mawiał, „prawdziwa cnota krytyki się nie boi”.

Potrafił się też zwinnie się odgryźć. Kiedyś powiedział do Stefana: „Kochany, ty lepiej schudnij, bo się zmienisz do reszty w Gargantuę”. Rybak wtedy nic nie odparł, bo oczywiście nie czytał przygód rubasznych olbrzymów. Jednak po tym przytyku już nigdy nie żartował na temat koloru Pandy.

Pan Edward był skarbnicą wielu powiedzonek, gdyby ktoś zrobił z nim wywiad, wyszedłby z tego niezły materiał z racjonalnym programem dla świata. „Rzeczy mądre zazwyczaj są niezwykle krótkie i zwięzłe”, jak zwykł mawiać. Był intelektualistą-buntownikiem. Tacy ludzie obecnie są na wymarciu i zawsze

mają w życiu ciężko. Ogarnianie złożonych problemów świata bywa naprawdę frustrujące. Najmocniej chyba, gdy się żyje na emeryturze w pokoju w małym rybackim miasteczku. Zupełnie inaczej sprawy się mają z ludźmi głupimi, ponieważ zgodnie z powiedzonkiem pana Edwarda, „głupota zawsze do swego szczęścia rzekomego pokrętną drogę znajdzie”.

## **Zoo jedzie z Klaudią na kawę**

*Polska, Jastarnia*

– Dobrze, pojedziemy na kawę do Chałup – zdecydował Zoo.

Wóz minął port i pomknął prostą drogą.

– Tylko proszę, jedź ostrożnie – powiedziała Klaudia. – Przed chwilą omal nie skosiłeś samochodu wyjeżdżającego z bramy.

– Jakiego samochodu? – Zoo zmarszczył brwi.

– A takiej żółtej Pandy.

– Nieważne – mruknął. – Przecież nic się nie stało. A jak się nic nie stało, to nie ma sprawy.

Klaudia nic już nie powiedziała. Oparła głowę na zagłówek. Energia, która nigdy jej nie opuszczała, nagle w tajemniczy sposób się ulotniła. Teraz przypominała balonik, z którego niegrzeczne dziecko spuściło powietrze. A wesoły balonik chciał dalej latać i podskakiwać.

– Zaczęłaś coś mówić – rzucił od niechcenia Zoo, gdy opuścili już Jastarnię. Droga wiodła teraz przez sosnowy las.

– A wiesz, że te zapory – Klaudia wskazała ręką na pobocze, gdzie leżały betonowe rozgwiezdy – są z czasów stanu wojennego? Leżą tak sobie tutaj od lat osiemdziesiątych. W stanie wojennym wojsko zrobiło tu roгатki i zagrodziło drogę. Nikt nie mógł wjechać ani wyjechać.

– To bardzo ciekawe, ale chyba nie o tym chciałaś mówić – odparł cierpko Zoo. Skończyły się ostatnie zabudowania i wjechali w las.

– Wiesz co, mam pomysł – powiedziała nagle Klaudia. – Weź mój samochód, to porsche, które widziałeś w Sopocie. Na pewno jest o wiele więcej warte niż te marne sto tysięcy, które mi wpłaciłeś.

– Nie chcę twojego samochodu – prychnął. – Mam swój i w dodatku bardzo go lubię. – Poklepał dłonią kierownicę.

– To je sprzedasz i zarobisz. Wiem, że pieniądze są dla ciebie niezwykle ważne.

– Co ty opowiadasz – obruszył się. – Chcę kupić ten dom dla siostry. Ale widzę, że ty wcale nie chcesz mi go sprzedać. Więc najlepiej zwróć mi zadatek. Kupię dom u kogoś innego, a my rozstaniemy się w przyjaźni. – Silił się na poważny, groźny ton, ale cały czas czuł słabość do Klaudii. Miała w sobie coś, co działało na niego zawsze i bez względu na okoliczności. Było to zgubne uczucie, prawdziwa pułapka. Im bardziej ją tracił, tym mocniej jej pragnął. Na chwilę zapadła cisza.

Szosa była oblodzona, ale wściekły Zoo coraz mocniej wciskał gaz. Klaudia rozglądała się dyskretnie, dostrzegł to kątem oka. Odniósł wrażenie, że sprawdza, czy nikogo nie ma w pobliżu, ale droga była zupełnie pusta. Spojrzał na nią i zobaczył ten ostry metaliczny błysk w jej oczach, ten sam, gdy pierwszy raz pocałował ją z zaskoczenia w restauracji. Miał wtedy wrażenie, że chciała go zabić, tylko jakimś cudem się rozmyśliła. Teraz też patrzyła w ten sam sposób. Coś się w niej czaiło, jakaś mroczna siła.

Klaudii przyszło do głowy, że może on odgaduje jej myśli, i odezwała się w zupełnie innym tonie:

– Ukrzyżuj mnie albo, jak wolisz, spal na stosie, ale Bóg mi świadkiem, w pięć minut nie załatwię ci takich pieniędzy. Mój wredny mąż ze wszystkiego mnie ogołocił. Został mi tylko samochód. Dlatego proponuję: weź go sobie. Nie sądziłam, że strata pieniędzy będzie dla ciebie aż tak bolesna. Nie chciałam cię skrzywdzić.

Zoo nic nie powiedział, tylko znowu mocniej wcisnął pedał gazu. Samochód wystrzelił do przodu.

Sprawy przybrały zupełnie inny obrót. Klaudia grała z nim, czuł to wyraźnie. Miała dużo forsy. Dobrze pamiętał teczkę pełną banknotów leżącą w bibliotece i paletę pieniędzy stojącą na werandzie willi w Sopotcie. Może była już tak znudzona życiem, że takie kręactwa po prostu ją bawiły. A może to wszystko miało jeszcze drugie dno? Zoo sam nie wiedział, co ma o tym myśleć. Tak naprawdę gdzieś w głębi siebie chciał się pogodzić z Klaudią. Coś go do niej przyciągało. Chciał po prostu, by rozwiła jego wątpliwości, uspokoiła go, zapewniła, że podpiszą tę nieszczęsną umowę i że będzie mógł kupić ten dom dla Kurczaka, a potem spędzą miły wieczór. Na nic takiego się jednak nie zanosilo. Klaudia była odległa i niedostępna niczym lodowa góra.

Taką górę można jedynie ominąć i iść dalej. To go przygnębiło i zmroziło jego serce na kość. Wcześniej nie myślał o związku z Klaudią. Po prostu spotykali się, to wystarczyło. Myślał, że ma czas, że to się jakoś spokojnie rozwinie. Teraz jednak czuł, że ją stracił. Choć udało mu się ją złapać i przez chwilę trzymać w rękach, to teraz wyślizgnęła mu się niczym mokra ryba. Naprawdę miała w sobie coś z syreny. Zaczął się zastanawiać, co mogło się stać. Co zrobił nie tak, gdzie popełnił błąd? Może wtedy w Willi w Sopocie zdenerwowała się, że zobaczył jej plecy z bliznami? Może to sprawiło, że postanowiła się wycofać? Ona zawsze lubiła być perfekcyjna. Zoo zastanawiał się usilnie. Jego myśli błąkały się jednak po omacku w zupełnych ciemnościach.

### **Dolce vita**

*Kanada, Lac-Écho*

Odkąd Harry zaczął spotykać się z Sally znalazł się w innym świecie. Pierwszego wieczoru upili się i poszli do łóżka, chociaż w tym wieku nie jest to takie oczywiste. Nie miał znaczenia zabałaganiony dom, Sally w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Dla niej nie był to problem. Jak jej coś nie pasowało, to po prostu zmieniała to i już. Miała rozmach, czuć w niej było tę słowiańską duszę, która była z szaleństwem za pan brat.

Kolejnego popołudnia Sally pijąc kolejnego drinka, snuła z Harrym plany pierwszej podróży. Detektyw był zachwycony, wyglądało na to, że zaczynał nowe życie i w dodatku nie musiał sprzątać domu, bo najzwyczajniej w świecie można się było z niego wyprowadzić. *Genialny pomysł, po prostu zostawię rzeczy nowym właścicielom* – myślał.

Sally siedziała naprzeciwko niego przy stole i podpierła dłońią podbródek. Po upojonej nocy wydawała mu się jeszcze piękniejsza. Trzeba przyznać, że miała piękne ciało. Tylko Słowianki mają tak delikatną skórę i taką żarliwość w sobie. Harry został wystrzelony na zupełnie nową, nieznaną mu planetę namiętności i beztroski. Ziemia ze swoimi problemami została gdzieś hen daleko, ukryta w mrocznych czeluściach kosmosu.

W łazience ukradkiem sprawdził telefon. Z przerażeniem dostrzegł kilkanaście nieodebranych połączeń od Marii. Siedząc na sedesie, zakrył ręką usta. *Dobrze, że miałem wyciszony telefon* – pomyślał. Napisał krótką wiadomość, że utknął w pracy i musi zarwać noc. Czuł się jak zbrodniarz. Nie ulegało

wątpliwości, że związek z Marią był już przeszłością. A wydawał się tak solidny. Wystarczyła jedna noc z Sally i okazało się, że runął niczym domek z kart. Harry wyłączył komórkę i nagle zaczął myśleć o Aleksie. Los bywa złośliwy i płata czasem dziwne figle. W jednej chwili detektyw był bliżej syna niż kiedykolwiek przedtem. Teraz mieli wspólne doświadczenie krętych ścieżek miłości.

*Muszę do niego zadzwonić – pomyślał. Teraz rozumiem, co czuł. Faktycznie, zniszczyłem wtedy jego związek z tą dziewczyną z Polski.*

Harry wrócił z łazienki i zrobił nowe drinki. To był szalony dzień po szalonej nocy. Wstali z Sally w południe, a już od trzynastej pili drinki. Nieźle im szło, bo w ciągu godziny mieli już kilka kolejek za sobą. Symond był w siódmym niebie. Sally wkroczyła do jego życia i odmieniła je w trzy sekundy. Była jak promyk słońca, wszystko sobą rozjaśniała.

– A co ze świętami? – spytała nagle Harry’ego.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami.

– Może Hawaje? Ostatnio mam dosyć rodzinnych klimatów – zaproponowała.

– Okay. – Roześmiał się.

– Ale do świąt jest jeszcze trochę czasu. Przed wyjazdem będę cię prosiła, byś zrobił dla mnie jedną rzecz. Coś nie daje mi spokoju. – Sally zrobiła poważną minę.

– Nie ma problemu – odparł.

– Jutro zajmę się porządkowaniem domu – stwierdziła Sally.

– Masz na myśli ten dom? – zmarszczył brwi.

– No oczywiście, ustaliliśmy, że jesteśmy razem, a przecież aktualnie jestem bezdomna. No chyba, że to była przygoda na jedną noc – zachichotała.

– Przestań – obruszył się.

– W takim razie jeżeli nasz związek tak wspaniale rozkwita, to ja wyszukuję dom do sprzedaży, a po świętach kupimy nowy, nad jeziorem.

– Dobrze – odparł – chociaż sądziłem, że sprzedam go tak, jak jest.

– Nie sądzę, żeby ktoś chciał go kupić w takim stanie. Chyba że za jakieś psie pieniądze. Ale nie przejmuj się, ja się tym zajmę. – Machnęła ręką. – Jutro trochę posprzątam i zamówię kontener. Ciebie natomiast będę prosiła o coś bardzo ważnego dla mnie.

– Zamieniam się w słuch – odparł.

– Zrób nam jeszcze po drinku i wszystko ci powiem.



- Rozumiem, że znowu chcesz mojito.
- Czytasz mi w myślach. – Uśmiechnęła się, podając Harry'emu szklanę.

## ROZDZIAŁ 22

*Lepiej jednak skończyć nawet w pięknym szaleństwie niż w szarej, nudnej banalności i marazmie.*

Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Szewcy i inne dramaty*

### **Co się działo dalej z Zoo**

*Polska, Jastarnia*

Zoo jechał wciąż przez las. W wozie zapadło milczenie i nic nie wskazywało na to, że cokolwiek się wyjaśni. Dotąd Klaudia wiła się jak piskorz. Umykała przed jakimikolwiek odpowiedziami. Zoo chciał zatrzymać samochód, chwycić ją za ramiona, mocno potrząsnąć i wykrzyknąć jej w twarz: „Zacznij w końcu ze mną normalnie rozmawiać!”. Przyhamował, dosyć miał tych gier. Wiedział, że na kawie w Chałupach i tak nic się nie wyjaśni.

– Co ty wyrabiasz? – spytała, widząc, że zwalnia w środku lasu. Chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył. Na drogę wypadł niespodziewanie jakiś cień. Wielkie zwierzę przeleciało nad maską wozu. Kopyta stuknęły o szybę i zerwały wycieraczki. Zoo zawahał się na moment, zdjął nogę z gazu, ale Klaudia nie straciła zimnej krwi. Mocno nacisnęła jego kolano.

– Gazu! – krzyknęła.

Posłuchał jej i wcisnął pedał do oporu. Samochód na ułamek sekundy zamarł. Komputer musiał to przetworzyć i wrzucić bieg. Raptownie wóz wystrzelił jak z katapulty i w samą porę, bo wprost na nich biegło już rozpędzone stado saren. W okamgnieniu znalazło się za tylną szybą samochodu i w pełnym galopie przebiegło przez drogę.

– Udało się – mruknęła Klaudia.

Nagle przed maską wyrósł potężny jelen. Przywódca stada, który dał hasło do startu, stał teraz pośrodku drogi i obserwował biegnące sarny. Widząc nadjeżdżający wóz, pochylił łeb z porożem rozłożystym niczym gałęzie dębu.

– Co do kurwy nędzy? – warknęła Klaudia. Chwyliła lewą ręką kierownicę i pomogła Zoo ominąć jelenia. Przez ten manewr samochód wpadł w poślizg i sunął teraz siłą bezwładu po oblodzonej drodze. Żaden z systemów stabilizujących jazdę się nie włączył. Po prostu wszystko zamarło. Przy prędkości stu dwudziestu kilometrów na śliskiej jezdni było więcej niż pewne, że wylecą na pobocze, wprost na drzewa. Samochód, nie reagując na żadne manewry, zjechał z drogi.

Klaudia wciąż pomagała Zoo i trzymała lewą rękę na kierownicy. Kiedy wóz zjechał na pobocze i koła zabuksowały na żwirze, odbiła kierownicą w prawo. Powrócili na drogę, a wtedy lekko skręciła w lewo.

– Wciśnij gaz – rzuciła do Zoo. Najwyraźniej dobrze wiedziała, co robić. Dzięki jej zręczności samochód jakimś cudem odzyskał przyczepność. – Jedź na wprost, wytrać prędkość – poinstruowała Zoo.

Zaczął powoli hamować. Serce łomotało mu rozpaczliwie, krew pulsowała w tętnicach. Zatrzymał wóz na poboczu. Nie było wątpliwości, że Klaudia ich uratowała. Znała się na prowadzeniu samochodu w ekstremalnych warunkach. Były to naprawdę zaskakujące umiejętności jak na osobę zajmującą się nieruchomościami.

Zoo wysiadł. Samochód nie miał prawie żadnych uszkodzeń, oprócz wycieraczek, które zostały zmiecione przez jedną z saren. Nad maską unosiła się para, był to jednak tylko stopniały śnieg. Wóz był sprawny. Klaudia też wysiadła i podeszła do Zoo.

– Uratowałam nas – powiedziała spokojnie, ale innym niż do tej pory tonem. Zupełnie jakby poprzednia Klaudia nie istniała, tylko była jakąś formą gry. – Wróć do swojego życia – spojrzała mu głęboko w oczy – i ciesz się z tego, że jest jak jest. Następnym razem jak się zobaczymy, możesz już nie mieć tyle szczęścia – powiedziała zaczepnie. Odczytał te słowa jako groźbę.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się

– Słyszałeś, nie będę się powtarzać. Wiesz dobrze, że to nasze pożegnanie, więc nie psuj wszystkiego głupim gadaniem.

Zoo nie odpowiedział, serce waliło mu jak młotem, czuł, że dzieje się coś nieodwracalnego, na co nie ma żadnego wpływu.

– Poczujesz mnie papierosem? – zapytała.

– Tak, proszę. – Sięgnął do kieszeni i podał jej paczkę.

Po chwili oboje palili w milczeniu. Klaudia odezwała się pierwsza.

– Chcę, żebyś wiedział, że cię lubiłam, i to bardzo. Czasem po fakcie żałuję, że byłam za dobra, ale wierz mi, w tym przypadku tak nie jest. Gdybyś znał całą prawdę, byłoby to dla ciebie bardzo niebezpieczne i pewnie przestałbyś mnie lubić. To wszystko, co się wydarzyło, musi pozostać naszą tajemnicą. Nie wracaj do tego. Nie rozumiesz, z czym masz do czynienia. Lepiej nikomu nie mów, że mnie poznałeś. Tak będzie najlepiej. – Pogłaskała go po policzku. – Jakoś dasz sobie radę, w końcu zawsze spadasz na cztery łapy, zupełnie tak jak ja. Od tej pory będę tylko tu. – Dotknęła jego głowy. – Obiecuję, że też o tobie czasem pomyślę. Będziesz to czuł. Będziesz wiedział, że gdzieś tam jestem i myślę o tobie. Byłam twoim lekarstwem, dobrze o tym wiesz. Ale leków nie można przedawkować, tak zawsze piszą na ulotkach. Ten dom sprzeda ci ktoś inny. Wróć do Jastarni i załatw to. Jesteśmy kwita, uratowałam ci życie, to jest więcej warte niż te głupie sto tysięcy. Pamiętaj o tym i nie szukaj mnie.

Zoo stał jak zaczarowany. To wszystko było jak dziwny sen.

– Proszę, zamknij na chwilę oczy – powiedziała Klaudia, wyrzucając niedopalonego papierosa. Gdy to uczynił, usłyszał szelest celofanu. Najwyraźniej otwierała swojego ulubionego lizaka Chupa Chups. Nagle pocałowała go przeciągle w usta. Zoo poczuł smak truskawek. Jej język wędrował delikatnie na wszystkie strony. Jej ciało nie chciało odejść. Na karku poczuł dotyk jej dłoni. Palce przebiegały, jakby nie mogąc się odkleić.

– Nie otwieraj oczu jeszcze przez moment – poprosiła. – Naprawdę miałam do ciebie słabość – szepnęła. – Pamiętaj, nigdy niczym się nie martw i niczego nie żałuj.

Niespiesznie zaczął sypać śnieg. Zoo słyszał tę jedwabistą ciszę, którą przynosi opadający delikatnie biały puch. Minęło może dziesięć sekund. Nic się nie działo, więc otworzył oczy. Po Klaudii nie było ani śladu. Po prostu rozplynęła się w powietrzu. Rozejrzał się, ale wszędzie było pusto. Na ustach czuł jeszcze jej truskawkowy pocałunek. Może faktycznie była syreną i wróciła do morza? Zostały po niej tylko smak truskawek na ustach i te wszystkie tajemnicze słowa, które powiedziała. Oszołomiony Zoo powoli ruszył w stronę wozu. Czuł się zgnębiony i przybity, życie niby toczyło się dalej, ale coś umarło. To samo uczucie nawiedziło Antoniusza w bitwie pod Akcjum, gdy dojrzał, że statki ukochanej Kleopatry niespodziewanie odpływają do Egiptu, porzucając go. Epoka i wiek nie mają znaczenia. Smutek zawsze ma ten sam smak gorzkości, a serce boli najbardziej, gdy złamane jest niespodziewanie.

To wszystko było bardzo dziwne. Zoo nawet nie przypuszczał, że Klaudia zakradła się do jego serca. Każdy człowiek ma swój mały świat. Ten Klaudii był wesoły, słoneczny i pełen niezwykłych zdarzeń. Teraz zniknął wraz z nią. Świat Zoo przypominał jeden z tych zimowych dni, gdy nie chce się wychodzić z domu.

Zoo zatrzasnął drzwi wozu i ruszył powoli w stronę Jastarni.

– Nie będę o tym dzisiaj myślał – mruknął do siebie.

## **Sally i jej prośba**

*Kanada, Lac-Écho*

– To co mogę dla ciebie zrobić? – spytał ponownie Harry, wracając z drinkami. – Mam nadzieję, że nie chcesz, bym zabił twojego męża?

– Nie żartuj – Sally wyduła usta – niech sobie żyje. Nie chcę budować naszego szczęścia w ten sposób. Musimy o wszystkim zapomnieć. – Spojrzała z mocą na Harry'ego. – Umówmy się, że odkreślimy wszystko grubą kreską. Ty swoje poprzednie życie, a ja swoje. Nigdy już nie będziemy do tego wracać. Odtąd będziemy tylko my.

– Zgoda. – Uśmiechnął się. – Podoba mi się twój plan. A teraz zdradz mi, o co chodzi.

– Ciągle dręczy mnie sprawa tej psychopatki. Muszę ci się do czegoś przyznać...

– Słucham – zaniepokoił się Harry. – Mam tylko nadzieję, że nie zrobiłaś niczego głupiego. Ostrzegałem cię przed tym.

– Nie wiem. – Sally wzruszyła ramionami. – Zresztą sam to ocenisz. Kiedy przekazałeś mi raport, coś nie dawało mi spokoju. W końcu nie wytrzymałam i zadzwoniłam do szpitala psychiatrycznego, w którym ją trzymają, i wiesz, co się okazało?

– Że zniknęła – dokończył Harry.

– Skąd wiedziałeś? – Sally nie kryła zdumienia.

– Po prostu zgadłem – odparł z rozbijającym uśmiechem. – Zresztą nie było to takie trudne. Dostrzegłem, jak błyszczą ci oczy, i poczułem, że chowasz w zanadrzu jakąś rewelację.

– Wyobraź sobie, że zadzwoniłam tam i zapytałam, czy przebywa u nich taka pacjentka. Przemiała siostra zapytała mnie, czy nie jestem z rodziny.

Skłamałam, że tak, a ona wyjaśniła mi, że Jasmine właśnie otrzymała przepustkę i poleciała na święta do krewnych w Europie. Zaczęła wypytywać, czy jestem jedną z tych krewnych. Nie potrafię za bardzo kłamać, więc się rozłączyłam. Ale to nieistotne. Wiesz, co to znaczy?

– Zapewne to, że spędzi święta z rodziną w Europie? – Harry uśmiechnął się przekornie.

– Oznacza to, że nadciąga do nich kanadyjskie tsunami – powiedziała poważnym głosem Sally. – Nie zapominaj, czego ta mała psycholka dokonała przed pięciu laty. Ci biedni ludzie są w wielkim niebezpieczeństwie. Do ich domu zawita groźna psychopatka, a oni pewnie nic o tym nie wiedzą. Pewnie ubierają choinkę, pakują prezenty. Nie mogę o tym spokojnie myśleć. Jestem wściekła, w tym szpitalu pracują chyba idioci. Dlaczego ją wypuścili, czy nie rozumieją, że narażają przez to zupełnie niewinnych ludzi? Zresztą wiadomo, że ona już z tych świąt nie wróci. Wymorduje całą rodzinę i rozplynie się w powietrzu.

– Co proponujesz? – Harry zmarszczył brwi.

– Nie wiem jeszcze, ale jakoś trzeba ją powstrzymać – odparła Sally. Może uda ci się zdobyć telefon tych krewnych. A potem możemy lecieć na Hawaje.

– No to widzę, że mamy napięty grafik. Do świąt zostały niecałe dwa tygodnie – zauważył Harry.

– Nieważne, ile zostało dni. Musimy pomóc tym ludziom – odparła poważnie Sally. – Proszę, ustal, dokąd ta mała wariatka pojechała, żebyśmy mogli ostrzec jej krewnych.

– Dobrze, zajmę się tym jutro – obiecał.

– Na pewno to zrobisz?

– Oczywiście, to dla mnie nic wielkiego.

– Przepraszam. – Uśmiechnęła się smutno. – Thomas stale coś obiecywał, a później nigdy tego nie robił.

– Rozumiem cię, ale proszę, zakopmy tego trupa. Zresztą sama to proponowałaś.

– Dobrze, obiecuję, że zakopię. – Sally zaśmiała się. – A teraz zrób jeszcze drinki. Dzisiaj mamy dzień lenistwa, ale jutro od rana bierzemy się do roboty.

## **Jasmine czeka na wyjazd**

*Kanada, Lac Marois*

Anna zabrała Jasmine do domku nad jeziorem, gdzie wcześniej spędziły weekend z Emily. Było tu cicho i spokojnie. Prawniczka tego dnia musiała jeszcze pojechać do pracy i dziewczyna została sama. Męczyła się okropnie, w jej głowie szalały niespokojne myśli. Chciała pójść na spacer, ale wszędzie leżały zaspy śniegu. Wróciła więc do domu i zaczęła oglądać telewizję.

Wieczorem po powrocie Anny zjadły razem kolację. Jasmine udawała, że wszystko jest w porządku, ale wcale tak nie było. Ciągle wietrzyła problem, uważała, że coś się wydarzy i podróż nie dojdzie do skutku. To była straszna męka. Przez całą noc nie zmrużyła oka. Przewracała się tylko z boku na bok i patrzyła się w sufit. Rano Anna pojechała do pracy, a Jasmine ponownie została sama. Sekundy dłużyły się jej niczym godziny. Siedziała jak na szpilkach czekając, aż nadejdzie wieczór. Następnego dnia miała wyjechać do Polski. Oczekiwanie to jednak najgorsza tortura.

Gdy nadeszła upragniona środa i Anna weszła do jej pokoju, by ją obudzić, udawała, że śpi. Potem ubrała się szybko i zeszła na dół

– To kawa dla ciebie. – Anna podała Jasmine gruby fajansowy kubek.

Jasmine piła kawę małymi łykami i wydawała się zupełnie spokojna, były to jednak tylko pozory. Wewnątrz niej szalała potężna burza. Nie marzyła o niczym innym, jak tylko o tym, by znaleźć się już na lotnisku. Umierała ze strachu, że coś przeszkodzi w wyjeździe i jej misternie uknutą plan runie. Wiedziała bowiem, że nawet najdoskonalszy plan potrafi często spalić na panewce z powodu byle błahostki.

Anna piła kawę i opowiadała o świętach, które zamierzała wyprawić w domku nad jeziorem. Żałowała, że nie będzie u niej Jasmine. Potem wspominała swoje podróże po różnych krajach. Dziewczyna udawała, że słucha, ale w duchu marzyła, by jak najszybciej wyszły z domu.

– Chcesz jeszcze kawy? – zapytała prawniczka, ziewając. – Dopóki nie wypiję dwóch porządnych kaw, nie jestem do końca obudzona.

Słuchając jej, Jasmine myślała, że oszaleje. To czekanie dosłownie ją zabijało. Jednak by nie wzbudzać podejrzeń, zgodziła się na drugą kawę. Anna znowu zaczęła opowiadać o podróżach, ale nagle zadzwoniła jej komórka. Jasmine aż podskoczyła na krześle. Czuła, że jej obawy się zmaterializowały.

Prawniczka z flegmą odstawiła kubek, wzięła do ręki telefon i spojrzała na ekran.

– Dziwne – zmarszczyła brwi – dzwonią z twojego szpitala. Ciekawe, co tam się znowu stało.

W tym momencie Jasmine zamarło serce. Musiała coś zrobić. Anna nie mogła odebrać tego telefonu, to było pewne.

## **Harry dzwoni do szpitala**

*Kanada, Lac-Écho*

Harry upił trochę kawy z dużego kubka i wybrał numer recepcji szpitala. Był kwadrans po dziesiątej. Poranny młyn musiał już trochę minąć, przynajmniej taką miał nadzieję.

– Szpital świętego Wawrzyńca, siostra Betty Franklin, w czym mogę pomóc? – W słuchawce rozbrzmiał ciepły kobiecy głos.

*To będzie kaszka z mleczkiem* – pomyślał Harry i powiedział:

– Witam, z tej strony Jeff Hamilton z serwisu. Chciałem zapytać, o której zaczynają się prace?

– Przepraszam, ale nie wiem, o czym pan mówi.

– Betty. – Ton głosu Harry'ego stał się łagodniejszy.

– Słucham... pana. – Kobieta wyraźnie się zmieszala, gdy zwrócił się do niej po imieniu.

– Chodzi mi o te prace, które u was wykonujemy, dzwonię już któryś raz. Na szczęście udało mi się połączyć i mam nadzieję, że możesz mi pomóc, bo szef zmyje mi głowę.

– Ale ja naprawdę nie wiem, o co chodzi – odparła bezradnie Betty.

*Do diabła* – pomyślał Harry. *Zwykle idzie o wiele łatwiej. Czy oni nie mają żadnych napraw w tym szpitalu? Muszę ją jakoś naprowadzić.*

– Chodzi mi o serwis sprzętu – powiedział szybko.

– A, to od razu trzeba było tak mówić – rozpromieniła się Betty, ciesząc się, że może być w końcu pomocna. W szpitalach panuje zazwyczaj chaos, ale wszyscy chcą nieść pomoc. Wyciągnięcie ogólnych informacji nie jest zazwyczaj trudne. Czasami trzeba jednak kogoś skierować na właściwą drogę.

– Chciałem się dowiedzieć, czy ekipa już skończyła – wyjaśnił Harry i po chwili usłyszał, jak siostra pyta się o to kogoś obok.

– Tak – zwróciła się do niego. – Kamery już działają. Bo rozumiem, że w tej sprawie pan dzwoni.



- Właśnie w tej. Nawet nie wiesz, Betty, jak bardzo mi pomogłaś.
- Nie ma problemu, zawsze do usług.
- Masz tak miły głos, że chyba jesteś aniołem.

Betty nic nie odpowiedziała, ten komplement trochę ją zażenował.

*Oj, ty stary draniu, znowu przeginasz* – pomyślał Harry.

– W każdym razie dziękuję ci za pomoc i życzę miłego dnia – powiedział do słuchawki.

– Cieszę się, że się przydałam. – Pielęgniarka rozpogodziła się.

Harry odłożył słuchawkę z poczuciem dobrze wykonanej misji. Był prawdziwym mistrzem w wyciąganiu niejawnych informacji. Zawsze potrafił tak zakręcić rozmówcę, że bez trudu dowiadywał się wszystkiego, czego chciał. Tak było i tym razem. Uśmiechnął się sam do siebie i upił spory łyk kawy. Lubił to uczucie, gdy sprawy zmierzały w dobrym kierunku.



## ROZDZIAŁ 23

*Ludzie z wiekiem nie stają się lepsi, stają się tylko sprytniejsi. Kiedy jesteś starszy i mądrzejszy, to wcale nie przestajesz obrywać skrzydełek muchom, po prostu potrafisz wymyślić lepsze powody, żeby to usprawiedliwić.*

Stephen King, *Carrie*

### **Zbity kubek**

*Kanada, Lac Marois*

Anna ciągle trzymała telefon w ręku. Trzeba przyznać, że nie spieszyło się jej, by odebrać. Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca był skostniałą instytucją, z którą były same problemy.

– Mam nadzieję, że nikt się znowu nie powiesił. – Prawniczka skrzywiła się.

Serce Jasmine biło jak oszalałe. Dziewczyna wiedziała, że musi przeszkodzić Annie.

– Sprawdźmy, o co tym razem chodzi – westchnęła kobieta.

W tym momencie Jasmine uczyniła nieskoordynowany ruch i strąciła z blatu ciężki fajansowy kubek z kawą. Spadł i roztrzaskał się w drobny mak. Przy okazji pękła jedna z wielkich płyt terakotowych, a na jej powierzchni powstała sieć spękań przypominająca jako żywo pajęczynę.

Anna opuściła telefon i dezorientowana patrzyła na pobojuwisko. Kawa chlusnęła na całą kuchnię. Aż dziw brał, że tyle jej zmieściło się w fajansowym kubku.

– Przepraszam – jęknęła Jasmine. – Kubek wyleciał mi z ręki.

– Nic się nie stało. – Anna uspokoiła ją.

Dzwoniący telefon zamilkł. Prawniczka ruszyła po szczotkę. Jasmine poderwała się z miejsca i zaczęła jej pomagać.

– Posprzątam – zaoferowała się. – W końcu to moja wina.

– Będę wdzięczna. Ja oddzwonię do szpitala. Nie chcę, żeby nękali mnie telefonami na spotkaniu. – Wybrała numer. – Oczywiście teraz nikt

nie odbiera – skrzywiła się. – Jak skończysz zmiatać, przygotuj się. Za piętnaście minut powinniśmy wyjść. Idę na górę do łazienki. Może stamtąd uda mi się dodzwonić do szpitala. Później pojedziemy razem do miasta. Wysadzę cię w centrum handlowym, a na lotnisko pojedziesz już taksówką.

– Dobrze – zgodziła się skwapliwie dziewczyna, zbierając szczątki kubka. Anna poszła na górę, a Jasmine zmiatała podłogę, jednocześnie nasłuchując, czy kobieta dzwoni do szpitala. Choć jednak wsłuchiwała się usilnie, nie doszły do niej żadne odgłosy rozmowy. Już sama nie wiedziała, co ma myśleć. Spodziewała się najgorszego.

### **Jasmine na lotnisku**

*Kanada, Quebec*

Anna w drodze do Quebec City nie powiedziała nic na temat tajemniczego telefonu ze szpitala. Najwyraźniej nie udało się jej dodzwonić. Jasmine również nie poruszyła tego tematu. Zastanawiała się, o co mogło chodzić, ale nie przychodziło jej do głowy żadne wytłumaczenie niż to, że z pewnością chciano zablokować jej wyjazd i w tym celu próbowano skontaktować się z Anną jako jej prawnym opiekunem. Przez całą drogę siedziała jak na szpilkach. Anna nie zaprzętała sobie jednak więcej głowy telefonem ze szpitala. W myślach była już na ważnym spotkaniu. Zawsze wychodziła z założenia, że jeżeli ktoś chce się z nią skontaktować, powinien próbować do skutku. To skaza dobrych prawników, zawsze wydaje im się, że są krok dalej niż zwykli śmiertelnicy. Jeżeli byłoby to coś ważnego, to telefon ze szpitala z pewnością zostałby ponowiony.

Wjechała na parking dużego centrum handlowego.

– Tu jest karta do twojego konta. Pin to dwa, jeden, dwa, zero. Zapamiętasz, czy ci zapisać?

– Zapamiętam. – Jasmine uśmiechnęła się. – Ile mogę wziąć pieniędzy?

– Wszystkie pieniądze są twoje, ale oczywiście nie musisz ich wydawać od razu. Zrobiłam specjalne subkonto i przelałam na nie piętnaście tysięcy dolarów.

– Dobrze, kupię ubrania i prezenty – postanowiła Jasmine. – Może będę też z tego musiała dołożyć się do jedzenia tam na miejscu.

– Weź, ile chcesz, i spędź miło święta. – Anna wyciągnęła ręce i przytuliła podopieczną. – Proszę, tu masz jeszcze pieniądze na taksówkę na lotnisko. A to jest mały prezent dla ciebie na święta. – Podarła jej płaskie pudełko.

– Mogę teraz otworzyć? – Jasmine zaświeciły się oczy.

– Na to liczę – odparła Anna.

Jasmine szybko rozdarła papier i jej oczom ukazało się płaskie opakowanie smartfona.

– Tu jest karta do niego. – Anna wręczyła jej kartonik z kartą SIM.

– Dziękuję za wszystko. – Jasmine przytuliła się do niej.

– Jak doleczysz, to natychmiast zadzwoń. A teraz uciekaj, nie lubię pożegnań, zawsze wtedy chce mi się płakać.

– Dobrze. – Jasmine wysiadła z wozu. Stała teraz na parkingu przy samochodzie. W okropnym ubraniu wyglądała trochę jak bezdomna.

Anna odsunęła szybę.

– Muszę jechać na spotkanie, uważaj na siebie. – Pomachała dziewczynie na pożegnanie i powoli odjechała. Jasmine chwilę stała i patrzyła, jak wóz wyjeżdża z garażu. Zamachała ręką, a potem zarzuciła na głowę kaptur bluzy i ruszyła do centrum handlowego.

## **Shopping**

*Kanada, Quebec City*

Zakupy najgorzej poszły w pierwszym sklepie. Obsługa patrzyła na Jasmine podejrzliwie, czy przypadkiem nie chce czegoś ukraść. Wszystko przez zniszczone ubranie, w którym wyglądała jak narkomanka żyjąca na ulicy. Gdy tylko zapłaciła, od razu przebrała się w nowe spodnie i nową bluzę z kapturem. Następnym jej zakupem były przeciwsłoneczne okulary od Gucciego i pasek z wielką błyszczącą klamrą od Dolce & Gabbana. Kupiła jeszcze kilka ubrań i niewielką walizkę.

Chciała kupić jeszcze kosmetyki, ale w centrum handlowym panował już przedświąteczny szal zakupów i w Sephorze były gigantyczne tłumy. Zrezygnowała i udała się jeszcze do salonu kosmetycznego na manicure. Wybrała jasnopomarańczowy lakier, mimo że polecano jej inny. Zupełnie nie wiedziała, dlaczego akurat pomarańczowy, ale taką miała zachciankę. Była szczęśliwa, to nagłe zachłyśnięcie wolnością upajało ją. Zamówiła Ubera. Gdy już wychodziła z centrum handlowego, kilku mężczyzn obejrzało się za nią.

Wyglądała naprawdę dobrze. Ciągłe jednak czuła podenerwowanie, bała się spóźnić na samolot. Lotnisko znajdowało się ponad jedenaście kilometrów na południe od centrum. Resztę rzeczy postanowiła więc kupić już tam. Jadąc Uberem, bębniła palcami po siedzeniu. Marzyła tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się na lotnisku.

Gdy w końcu dotarła na miejsce, zaskoczył ją wielki, przedświąteczny ruch. Nie była przyzwyczajona do tak wielu ludzi. Przez kilka lat była wyłączone z normalnego życia. Stała do odprawy w długiej kolejce, która wiała się niczym wąż pomiędzy barierkami. Już czuła, że się spóźni. Okazało się jednak, że była to pierwsza odprawa i kolejka szybko się rozładowała. Kiedy Jasmine przechodziła przez bramkę, strażnicy obrzucili ją uważnym spojrzeniem. Cieszyła się w duchu, że w centrum handlowym kupiła walizkę i trochę ciuchów, bo tak daleka podróż bez żadnego bagażu z pewnością wzbudziłaby czyjeś podejrzenia. Przeszła szybko odprawę i postanowiła dokończyć zakupy w strefie bezcłowej. Do odlotu zostały dwie godziny.

Ruszyła do sklepów. Na początku kupiła prezenty dla rodziny z Polski, jakieś czekoladki i wódkę (ciągle słyszała, że ludzie w Polsce stale popijają ten trunek). Dla siebie kupiła torbę podróżną Louis Vuitton na bagaż podręczny. Kupiła też taką samą torebkę na ramię, co Anna. Dobrała do niej również portfel. Teraz Jasmine wyglądała jak młoda kobieta sukcesu. Aż błyszczała od markowych rzeczy. Tak bardzo brakowało jej tego w siermiężnym szpitalu.

Udała się do terminalu A i odnalazła bramkę dwadzieścia trzy. Usiadła na jednym z wolnych krzesel. Jeszcze nie wpuszczano do samolotu, zostało pół godziny, siedziała więc jak na szpilkach i wciąż wietrzyła podstęp. Oczami wyobraźni widziała nadbiegającą policję, nic takiego jednak się nie wydarzyło. W końcu otworzono bramkę i Jasmine przeszła ostatnią odprawę. Po chwili siedziała w samolocie, a jej palce niespokojnie bębniły po oparciu fotela.

*Boże, nie wierzę w to wszystko – myślała. Niech on już wystartuje.*

Jej zdenerwowanie zauważyła stewardesa. Podeszła do niej i zapytała, czy wszystko w porządku. Jasmine zbeształa się w myślach za swoje zachowanie. Usiadła bez ruchu i czekała na start. W samolocie panował ruch, wciąż wsiadali nowi pasażerowie. Wszyscy powoli zajmowali miejsca, nikt się nie spieszył. Trzaskały zamykane szafki na bagaże. Wszystko szło opornie i bardzo wolno. Jasmine spojrzęła na telefon. Samolot już miał dziesięciominutowe opóźnienie i wcale nie zanosilo się na to, by szybko miał

wystartować. Nie włączono nawet sygnalizacji polecającej zapięcie pasów. *Co się dzieje?* – myślała w panice. *Może oni specjalnie grają na zwłokę i czekają na policję?* Zobaczyła, że w łączniku korytarza, stewardesy rozmawiały ze sobą i ta, która pytała ją o samopoczucie, dyskretnie na nią wskazała. Jasmine aż cała zeszywniała, coś było nie tak. Przeczuywała najgorsze, jej uwaga była napięta do granic możliwości. Ciągłe wyczekiwała momentu, gdy na pokład samolotu wejdzie policja, ale nic się nie działo.

## **W co może przerodzić się zwykła rozmowa**

*Kanada, Quebec City*

Spotkanie Anny okazało się bardzo owocne. Zadowolona ruszyła w drogę powrotną do domu. Jak zwykle były duże korki. Jechała, rozmyślając nad różnymi sprawami. Rozmowa, którą odbyła z klientem, była bardzo pomyślna. Przypadła jej w udziale sprawa rozwodowa zamożnego kardiologa, który przyłapał żonę na zdradzie. Było to raczej do przewidzenia, zważywszy na różnicę dwudziestu lat między małżonkami i fakt, że żona lekarza była kiedyś striptizerką. Anny jakoś to nie dziwiło, ale kardiolog o mało nie dostał zawału. Była to bardzo lukratywna sprawa, prawdziwa kura znosząca złote jajka. Chodziło o podział naprawdę sporego majątku i udziałów w klinice.

Wracając do domu, prawniczka uśmiechała się sama do siebie. To był naprawdę dobry dzień. Dodatkowo czuła spokój i cieszyła się, że mogła pomóc Jasmine. Wspólny wieczór jeszcze bardziej je do siebie zbliżył. Zawsze chciała jej powiedzieć: „Jasmine, widzę w tobie siebie”. Te słowa nigdy jednak nie padły. Anna miała burzliwą młodość. Ktoś w przeszłości jednak dał jej szansę. Bez tego jej życie z pewnością potoczyłoby się inaczej. Teraz Anna czuła, że spłaciła swój stary dług. *Jasmine też się uda* – przemknęło jej przez myśl. Wtem zadzwonił telefon, był to nieznany numer. Kobieta odebrała, marszcząc brwi.

Dzwonił inspektor Gary Mamond, który wyraził ubolewanie, że nie mógł wcześniej skontaktować się z Anną. Chodziło o możliwość przesłuchania Jasmine w sprawie śmierci Starego Toma. Lekko poirytowana Anna wyjaśniła policjantowi, że jako prawny opiekun pozwoliła Jasmine wyjechać na święta do rodziny, a w czasie, gdy pielęgniarz odebrał sobie życie, dziewczyna była pod jej opieką.

– To zmienia postać rzeczy – odparł zmieszany inspektor. – Przepraszam, zupełnie nie rozumiem, kto wciągnął tę dziewczynę na listę przesłuchiwanym osób.

– W ogóle warto by się zastanowić, kto wpadł na pomysł, by przesłuchiwać dzieciaki w sprawie dotyczącej samobójstwa – rzuciła oschle Anna.

– Są pewne nieścisłości, wersja o samobójstwie nie jest taka oczywista – wyjaśnił policjant.

– Proszę wykreślić moją podopieczną z tej listy – powiedziała z naciskiem prawniczka.

Inspektor jeszcze raz przeprosił, a kobieta gniewnie rzuciła telefon na siedzenie pasażera. *Na tę dziewczynę świat się naprawdę wziął – pomyślała. Zresztą po co ta cała farsa z przesłuchaniami przed świętami? Czy policja naprawdę nie ma nic lepszego do roboty? Przecież żadne z tych dzieciaków nie dałoby rady wciągnąć tego grubego pielęgniarza siłą na sznur. Coraz więksi idioci pracują w tej policji. Chyba czas powiadomić szeryfa o tej szopce. Na dziś koniec telefonów.*

Dojechała do domu. Poprawiła włosy i już w dobrym nastroju weszła do środka. Jednak tam czekała ją niemiła niespodzianka. Emily znowu pokłóciła się z Jacobem i krążyła po domu niczym chmura gradowa.

– Wreszcie wróciła matka marnotrawna – rzuciła cierpko. – Widzę, że dałabyś się pokroić za tę dziewczynę. Pomaganie jej to twój ulubiony sport.

– Dla ciebie pomaganie komukolwiek to fanaberia – odparła Anna. – Jeśli chcesz wiedzieć, to wracam z pracy, miałam spotkania. Ta dziewczyna w niczym ci nie zagraża i w żaden sposób nie narusza twojej pozycji.

– Nie o to mi chodzi – prychnęła gniewnie Emily.

– To czemu tak się zachowujesz? Mam wrażenie, że ciągle jesteś wściekła. Może przemyśl swój związek z Jacobem, bo chyba ponosisz w nim za wysokie koszty.

– Jego w to nie mieszaj – zdenerwowała się Emily – on jest oddzielnym światem.

– Nikt nie jest oddzielnym światem, moja droga. Wszystko jest połączone.

– Wierz mi, że problemu nie stanowi tu Jacob, tylko twoje stałe pomaganie tej wariatce. A gdzie w tym wszystkim jestem ja? Zadałaś sobie kiedyś to pytanie?

– Przestań być taka nerwowa – powiedziała Anna. – Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie możemy być przyjaciółkami.



– Ja uważam, że jesteśmy – odparła Emily.

– Nie jesteśmy – stwierdziła stanowczo Anna. – Przyjaciółki tak często się nie kłócą.

Emily nic nie odparła, tylko spojrzała na matkę. Jej oczy błyszczały, jakby pełno w nich było stalowych ostrzy.

– Widzisz, może ty uważasz inaczej, bo po prostu masz inną definicję przyjaźni.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Anna.

– Może uważasz, że przyjaźń jest wtedy, gdy ktoś stale robi dokładnie to, czego od niego oczekujesz. Uważam, że masz w głowie swój idealny świat, najlepiej by było, żeby składał się z samych prawników. Planeta prawników, może gdzieś w daleko w kosmosie taka istnieje? Choć Mały Księżę na nią nie doleciał ani nigdzie nie została opisana, z pewnością gdzieś jest. Cóż to musi być za cud! Wszyscy tacy mądrzy, elokwentni i wygadani. Wszyscy tacy logiczni, z pewnością nikt tam nie popełnia błędów w myśleniu. Za to nam, zwykłym śmiertelnikom, ciągle coś się w głowach pierdoli! Po prostu nie umiemy myśleć!

– Tylko proszę, nie podnoś głosu i nie przeklinaj.

– A co mi zrobisz? Weźmiesz młotek i zaczniesz walić, aż sala ucichnie? Nie jesteś w sądzie! – Emily poderwała się z kanapy.

Anna westchnęła ciężko. Nie potrafiła rozmawiać z córką, były jak dwa wrogie gatunki zwierząt na siłę zamknięte we wspólnej klatce. A przecież Emily była jej dzieckiem. „Kim ona jest, skąd się wzięła i dlaczego tak mnie nienawidzi?” – Anna milion razy zadawała sobie te pytania i nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Zachodzisz w ciążę, przez dziewięć miesięcy nosisz dziecko pod sercem. Potem rodzisz w bólach, niańczysz, zarywasz noce, których nikt nie zliczy, zmieniasz pieluchy, przytulasz, usypiasz. I oto po latach dostajesz słony rachunek. A gdzie został popełniony błąd, tego nie wie nikt.

### **Zoo po rozstaniu z Klaudią**

*Polska, Warszawa*

Klaudia była oszustką. Dom, który Zoo chciał kupić dla Kurczaka, był faktycznie na sprzedaż, ale zadatek wcale nie wpłynął do właścicieli. Zoo był zdołowany, Klaudia zniknęła, wykorzystała go, ale wciąż czuł do niej słabość. Odwiedził kasyno w Sopocie. Rozglądał się bacznie, szukając jej wzrokiem,

ale na próżno. Chciał grać systemem, którego go nauczyła, ale nic z tego nie wyszło. Czuł wewnątrz nieznośny ciężar, chciał się rozpuścić, rozpuścić w tym wszystkim. Stoczył się na samo dno samotności, jej ostatni poziom, poniżej którego było już nic.

Zamawiał kolejne drinki i patrzył ze smętną miną, jak krupier zabiera mu wszystkie żetony. Tego wieczoru nie potrafił wygrać niczego, ale brnął dalej w grę, wypłacając z karty coraz większe sumy.



## ROZDZIAŁ 24

*Drwi z blizn, kto nigdy nie doświadczył rany.*

William Shakespeare, *Romeo i Julia*

### **Emily**

*Kanada, Quebec City*

– Niby mnie tak kochasz – mówiła dalej Emily – a jakoś w twoim sercu nie ma tej prawdziwej mnie. Jest za to Emily wymyślona przez ciebie. Zupełnie sztuczny twór, który sobie wymyśliłaś na jednej z nudnych rozpraw. Ta twoja Emily ma się nijak do tej prawdziwej. – Popukała się w pierś. – Nie czuję ani grama twojej miłości. Ciągłe tylko nakazy i zakazy. A co ja robię złego? Nic, po prostu chcę być sobą. Widzę jednak, że to największa zbrodnia. Najlepiej zadzwoń po swoich kumpli i zamknijcie mnie, bo taka ze mnie zbrodniarka.

– Po nikogo nie będę dzwonić, usiądź i rozmawiaj ze mną normalnie, jak człowiek.

– A ja nie chcę siedzieć! – wrzasnęła dziewczyna. – I nie jestem żadnym człowiekiem, jestem kosmitą. Tak się właśnie przy tobie czuję, jak cholerny obcy.

– To proszę, wykrzycz to wszystko, co masz wykrzyczeć, a potem ja coś powiem, bo widzę, że inaczej niestety nie da się z tobą rozmawiać. – Anna rozłożyła ręce.

– O tak! Już ty mi powiesz! Jak zwykle wyrocznia przemówi – prychnęła Emily. – A ja powinnam wtedy stać z rozdziawioną gębą i słuchać. Powiem ci tylko, że nic o mnie nie wiesz i nic cię nie obchodzi. Dla ciebie najważniejsze jest to, że nie chcę studiować prawa.

– No właśnie, nie chcesz studiować prawa, a kiedy się wreszcie dowiem, jakie są w końcu twoje plany?

– Nie dowiadujesz się, bo się nie pytasz.

– Właśnie pytam.

– Teraz, postawiona pod ścianą, wyrażasz zainteresowanie. Nieważne. – Emily machnęła ręką. – Dowiesz się w swoim czasie, sama złożę papiery na wybraną uczelnię. Jakoś do tej pory nie miałaś czasu na szczerą rozmowę matki z córką. Wolisz niańczyć tę psycholkę. To twoje hobby. „Może załatwię ci to czy tamto, tylko powiedz. Jak chcesz, pójdę ci na rękę, a jakbyś przez przypadek kogoś zabiła, to dam ci alibi, moja mała, kochana wariatko” – przedrzeźniała matkę Emily.

– A więc to cię boli.

– Nic mnie nie boli – odparła Emily.

– Po prostu jesteś zazdrosna – stwierdziła Anna. – Powiem ci tylko, że to nie żadne hobby, lecz moja praca.

– Zapraszasz ją do domu, poświęcasz jej prywatny czas, a gdzie w tym wszystkim jestem ja? Miałyśmy jechać na wspólny weekend, porozmawiać, ale nie, ty musiałaś przywieźć tutaj tę wariatkę.

– Nie mów tak o niej, może jakbyś przeszła chociaż cząstkę tego, co ta dziewczyna, miałabyś więcej pokory.

– No tak, przepraszam bardzo, nikogo nie zabiłam, więc nie mam co się porównywać.

– Nie kpij sobie z tej sprawy, ona nikogo nie zabiła.

– Skąd możesz to wiedzieć? Byłam z nią na spacerze, na który sama mnie wysłałaś, i odniosłam zupełnie inne wrażenie.

– Chciałam, żeby się poczuła jak w normalnej rodzinie – powiedziała Anna.

– W normalnej, jak ty to nazywasz, rodzinie – prychnęła gniewnie Emily – to się rozmawia, a nie ciągle pracuje, a na weekendy zaprasza psychopatów.

– Nie przesadzaj. Widzę, że przyjęłaś ton głównego oskarżyciela.

– To chyba dobrze, jesteś w końcu obrońcą, możesz poczuć się jak w pracy – odparła Emily.

Anna nic nie odpowiedziała, tylko westchnęła ciężko. Miała już szczerze dosyć tej rozmowy. Toczyła ją jednak dalej wbrew sobie. W nastoletniej córce w wielki węzeł splotło się wiele problemów. Anna czuła, że lepiej nawet się kłócić, niż pozwolić córce zamknąć się w sobie. Siedziały w salonie, matka na kanapie, a córka w fotelu. Gdyby ktoś obserwował je przez okno, mógłby pomyśleć, że prowadzą miłą pogawędkę.

– Jesteś cyniczna – odezwała się Anna.

– Absolutnie nie – zaprotestowała Emily. – Zrobiłam, o co mnie prosiłaś. Chciałaś, żebym poszła w ramach tej normalnej rodziny na spacer z twoją podopieczną, więc to zrobiłam. A sama mam masę własnych problemów na karku i nie chcę być terapeutą dla twoich wariatów.

– A jakie ty masz problemy? Masz wszystko, i to ja ci to zapewniam dzięki pracy, której muszę poświęcać czas. Na tym polega właśnie dorosłość, moja droga, na wypełnianiu obowiązków, a nie na stałym bujaniu w obłokach. – Teraz z kolei Anna podniosła głos.

Emily zmierzyła ją gniewnym spojrzeniem i na moment zapanowała cisza, ale nie był to bynajmniej rozejm.

– Jakieś tam problemy mam – odparła wymijająco Emily. – Powiem ci tylko, że poszłam z tą twoją wariatką do lasu, tak jak mnie prosiłaś, żeby poczuła się jak w rodzinie. Wydarzyło się tam coś dziwnego i myślę, że powinnaś o tym wiedzieć.

Anna spojrzała z zaciekawieniem na Emily.

– A więc słucham, powiedz mi – powiedziała.

## **Opóźniony start samolotu**

*Kanada, Quebec City*

Jasmine siedziała jak na szpilkach, samolot miał już trzydziestominutowe opóźnienie i ciągle nic się nie działo. Nagle rozległ się głos kapitana, który przeprosił wszystkich i wyjaśnił, że oczekują na ostatniego pasażera.

– No tak, pewnie jak zwykle ktoś z biznesklasy – stwierdziła chmurnie kobieta siedząca obok Jasmine. – Tylko tego się oczywiście nie dowiemy. Ci ludzie myślą, że cały świat należy do nich.

Jasmine nic nie powiedziała. Zapaliła się kontrolka informująca, by zapiąć pasy, a stewardesy zaczęły instruktąż postępowania w sytuacjach awaryjnych. Samolot powoli ruszył na pas startowy. Jasmine siedziała przy oknie, za którym z wolna zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu. Z każdą chwilą było ich coraz więcej. Po chwili do dołączył do nich silny wiatr. Nad Kanadę z Syberii nadciągała potężna burza śnieżna. Jasmine czytała o niej, sprawdzając pocztę. Dziennikarze okrzyknęli ją mianem Syberyjskiej Bestii. *Dlaczego akurat teraz?* – pomyślała w panice Jasmine. *Mam nadzieję, że nie odwołają lotu. To byłby istny pech.*

Samolot ruszył na pas startowy. Ustawił się i silniki zaryczały. Jasmine odetchnęła głęboko i oparła wygodnie głowę na oparciu fotela. Gdy wystartowali, chciała się śmiać i skakać, ale zamiast tego zacisnęła zęby. *Udało się, naprawdę się udało* – powtarzała w myślach. Była wolna przynajmniej tak się czuła. Przymknęła oczy, czekał ją długi lot. Samolot ciągle wzbijał się wyżej, a burza śnieżna została gdzieś na dole. *Bye, bye, Kanado* – pomyślała Jasmine.

## **Emily mówi dalej**

*Kanada, Quebec City*

Emily poprawiła się w fotelu i zaczęła opowiadać. Anna słuchała uważnie.

– Ruszyliśmy na ten spacer i Jasmine na początku nic nie mówiła. W życiu nikogo takiego nie spotkałam. – Emily uśmiechnęła się tajemniczo dla wywołania lepszego efektu. – Po prostu szła i nic nie mówiła. Cisza dosłownie dzwoniła w uszach. Czułam się bardzo niezręcznie. Kiedy normalny człowiek przyjeżdża do kogoś na weekend, to panuje jakaś przyjazna atmosfera. Tymczasem ona szła sztywno jak obrażona księżniczka i tylko rozglądała się po lesie. Nagle przystanęłam, bo zorientowałam się, że ona wypatruje dogodnego miejsca, by mnie zabić. W lesie na południowym krańcu jeziora pełno jest niebezpiecznych urwisk. Ona najwyraźniej wyczuła moje zmieszanie i delikatnie się uśmiechnęła. Ciarki mi przeszły po plecach, bo mogę przysiąc, że zorientowała się, że odkryłam jej myśli. Bałam się wtedy jak diabli, czy jej do tego zwariowanego łba nie przyjdzie, żeby coś mi zrobić. Jest w końcu wyższa i silniejsza ode mnie. Ot, taki miły akcent podczas weekendu. Zabójstwo na leśnej ścieżce. Przynajmniej rozwiązałoby to mój problem i już na pewno nie musiałabym studiować prawa.

– Ale ty jesteś cyniczna – westchnęła Anna.

– No cóż, nic na to nie poradzę, taka już jestem. – Emily wzruszyła ramionami. – W każdym razie gdy twoja wariatka zorientowała się, że czuję się nieswojo, zmieniła od razu swoje zachowanie. To było naprawdę dziwne. Kiedy idziesz na spacer do lasu z normalnym człowiekiem, nie dostajesz ataku lęku z obawy, że ten ktoś cię zabije. No chyba, że jest to Jasmine Reynolds. Nagle ona zaczęła mówić, a słowa wprost zaczęły się z niej wylewać. Czułam, że chce mnie zagadać. Tymczasem wchodziliśmy coraz głębiej w las. Mówię więc

do niej: „Wiesz, może wracajmy, bo kawa, śniadanie i w ogóle”, a ona nic, ciągle idzie dalej. Ja w końcu przystanęłam i powiedziałam głośno i z naciskiem: „Wracamy”. A ona znowu się uśmiechnęła w ten sam sposób i widziałam, jak się dyskretnie rozgląda. Naprawdę chciała mnie wtedy zabić, czułam to. W każdym razie na pewno rozważała taką możliwość. Taka jest właśnie ta twoja wariatka. Więc powiedz, po co ściągasz ją do naszego domu? Chcesz, żeby nam po cichaczku w nocy łby poucinała?

– Nie chcę tego. – Anna uczyniła nieokreślony ruch dłonią. – Po prostu wyrzucić to wszystko z siebie.

– O, wreszcie mnie słuchasz, widzę, że temat jest dla ciebie interesujący – odparła Emily zjadliwie.

– Po prostu mów – zachęciła ją matka.

– Zawróciłyśmy, a ona szła jakoś tak wolniej, przedłużała i ciągle mówiła.

– A co opowiadała?

– Mówiła o okolicy, że ta przesieka prowadzi do takiej i takiej drogi, a że las otacza autostrada i jakby się szło tyle i tyle, to by się doszło do miasta. Przyjeżdżam tu od dziecka, a nie miałam pojęcia o tych rzeczach. Mówiła jakieś ciekawostki o lesie, że jest tam podobno jakaś stara kopalnia czy coś. Zupełnie jakby przestudiowała całą mapę. Wszystko wiedziała, jakby miała jakieś plany związane z tym miejscem. Jakby dostała zadanie: „Naucz się wszystkiego o okolicy i wyrecytuj jednym tchem”, tak to właśnie wyglądało. A najgorsze jest w tym wszystkim to, że bardzo ją lubisz i wolałabyś mieć taką córkę jak ona. Ciągle o niej wspominasz, częściej niż o mnie. Stale tylko słyszę „Jasmine to, Jasmine tamto”. A to zwykła wariatka.

– Co ty wygadujesz? – Anna obruszyła się. Emily jakimś cudem dokładnie odczytała jej sekretne myśli, trafiła w dziesiątkę. Teraz patrzyła na nią świdrującymi czarnymi oczami.

– Widzisz, jak ci głupio, szkoda, że nie możesz zobaczyć wyrazu swojej twarzy – stwierdziła gorzko Emily.

– Przestań, pleciesz brednie! – Anna podniosła głos.

– Nawet to, że teraz krzyczysz na mnie, jest świetnym dowodem na to, że mam rację. Ty prawie nigdy nie krzyczysz. Zawsze trzymasz nerwy na wodzy.

– Widzę, że ty stale doświadczasz apofenii. – Anna zmarszczyła brwi. Była naprawdę zła na Emily.

– Przepraszam, czego?



– Dopatrujesz się związków pomiędzy przypadkowymi, niemającymi ze sobą nic wspólnego zdarzeniami – wyjaśniła Anna.

– Nieważne, nazywaj to sobie, jak chcesz. – Emily machnęła ręką. – Powiem ci tylko, że ta twoja Jasmine, którą tak bardzo lubisz, wcale nie jest taka fajna. Pokazała ci jedną ze swoich kilku twarzy, które chowa na różne okazje. Prawda jest taka, że to pokręcona psycholka, która uchylła przed tobą jedynie rąbek tajemnicy. A ja nie jestem najgorsza, po prostu jestem inna niż ty, jestem sobą. To chyba nie jest taka wielka zbrodnia. W końcu nikogo nie zabiłam. Staram się, ale ty nigdy tego nie widzisz. W twoich oczach nie mam żadnej dobrej cechy. Może gdyby zadźgała mnie w tym lesie i wrzuciła do szybu starej kopalni, to byłoby lepiej. Zostałybyście same i wtedy mogłabyś ją nawet sobie adoptować. Wydarzyło się coś jeszcze, ale nie powiem ci, co, żebyś mogła dalej żyć w swoim bajkowym domku zbudowanym z fikcji. Ta wariatka jest dla ciebie ważniejsza niż własna córka, która nie wie, co to apofenia!

– Co ty mówisz, Emily!

– Mam dosyć! – Dziewczyna poderwała się z fotela i wybiegła z pokoju. Jej nogi zatupały na schodach, a chwilę później trzasnęły drzwi.

Anna ruszyła za nią, ale drzwi od pokoju córki były zamknięte od wewnątrz.

– Otwórz, proszę, wiem, że mnie słyszysz. Jeżeli coś się stało, to musisz mi o tym powiedzieć.

– Odejdź, nie chcę już z tobą rozmawiać. Zadzwoń sobie do Jasmine.

Anna jeszcze chwilę pukała i mówiła coś, ale natrafiła na mur ciszy. Emily więcej się już nie odezwała. Anna nie potrafiła rozmawiać z córką, to było pewne. Czuła się, jakby stały z Emily na dwóch odległych skałach i krzyczały do siebie, a echo przeinaczało ich słowa. Nie mogły się w żaden sposób porozumieć, a żadna nie chciała zejść ze swego szczytu, bo w końcu po to ma się swój szczyt, by na nim trwać. Może jednak były zbyt podobne do siebie i mylnie brały to za różnice. Anna wróciła do salonu i naląła sobie ginu. *Gdyby Sam nie zginął w wypadku...* – pomyślała. *Może gdyby Emily miała ojca, to on jakoś potrafiłby do niej przemówić.* Miała rację, kobietom czasem trudno jest się porozumieć. Niby są podobne i to powinno pomagać, a tymczasem przeszkadza. Czasem ludzi bardziej zbliża odmiennosc.

Anna wzięła duży łyk drinka. Wszystko, co jej córka mówiła o Jasmine, wydawało się egzaltowanym wybuchem zazdrości. Nie odebrała tego poważnie,

był to błąd. W końcu osoby stojące obok potrafią spojrzeć na daną sprawę z zupełnie innej perspektywy.

## ROZDZIAŁ 25

*Świat rzeczywisty jest o wiele mniejszy niż świat wyobraźni.*

Friedrich Nietzsche

### **Pierwsze wrażenie**

*Polska, Warszawa*

Marta była zła, samolot spóźniał się już dwie godziny, a ona wzięła ze sobą Marka i Stasia. Malec był głodny i zaczął marudzić. Dostał słoik Gerbera z warzywami, owo małe wybawienie dla zabieganych rodziców, ale okazało się, że potraktował to jedynie jako przystawkę. Głośne i rozpaczliwe „am!” co rusz rozlegało się w sali przylotów.

– Mamo, czy mogę iść do tamtego sklepu? – zapytał błagalnym głosem Marek, wskazując na butik z pamiątkami.

– Am, am – zawtórował mu Staś.

– Nie, synku, siedzimy i czekamy na kuzynkę wszyscy razem.

– Ale samolot ma być dopiero za trzydzieści minut. – Marek wskazał na tablicę z przylotami.

– Boże, znowu kolejne opóźnienie. – Marta złapała się za głowę.

– Am, am! – zawołał rozpaczliwie Staś.

– To mogę iść? Proszę – zaskomlał żałośnie Marek.

– Nie – zaprotestowała Marta. – Masz tu zostać, bo inaczej oszaleję. Masz butkę. – Wcisnęła małemu do ręki kajzerkę, która została w wózku z wczorajszego spaceru. – A ty – syknęła do starszego syna – siadaj i się uspokój. Jak masz w tyłku propeller, to go lepiej wyłącz.

– A co to jest propeller? – zainteresował się chłopak.

– Taki mały motorek – wyjaśniła Marta. *Po co ich tutaj zabrałam? – pomyślała, pocierając ręką czoło. Mikołaj miał rację, przecież dziś ma wolne, mógł zostać z chłopakami. Mówił, że to bez sensu, że się umęczę. Ale oczywiście ja*

*chciałam jakoś fajnie przywitać kuzynkę. Idiotka ze mnie. Zawsze się zżeram, a potem okazuje się, że i tak nikt tego nie docenia.*

– Mamo, czy wszystko okay? – spytał Marek, widząc, że Marta znowu dotyka czoła. Znał dobrze te subtelne oznaki rozdrażnienia matki.

– Wszystko w porządku, synku. – Marta pogłaskała go po głowie. Znowu powrócił ten nieznośny natłok myśli. *Dobrze, że przynajmniej Staś przestał marudzić. Czasami jak się zaniesie płaczem, to trwa godzinę. To był chyba głupi pomysł z tym zaproszeniem Jasmine na święta. Ostatnio mam same złe pomysły, i jeszcze ta choroba Stasia. A jeśli to będzie jakaś rozwyrzona panienka, co wtedy? No właśnie. Kolejny wyjazd będzie zmarnowany, jak wakacje dwa lata temu w domu matki, nafaszerowane awanturami jak bigos trującymi grzybami. Co drugi dzień była sprzeczka, dosłownie o wszystko. Najbardziej o wychowanie dzieci, o to, że Marek jest niby trzymany pod kloszem. A przecież ma dopiero jedenaście lat. Nosi okulary, lubi czytać książki, jest spokojnym chłopcem. Wiadomo, że nie będzie się uganiać całymi dniami za piłką. Trzeba to zaakceptować, a nie szukać dziury w całym.*

Czarne myśli hulały w najlepsze w głowie Marty, gdy wtem usłyszała szept Marka.

– Mamo, zobacz, on zasnął.

Marta spojrzała na wózek. Maluch zwiesił głowę i spał w najlepsze. Na posadzce leżała nadgryziona bułka.

– Marek, proszę, podnieś to – powiedziała Marta.

– Wyrzucić do kosza?

– Oczywiście, że nie. W Polsce nie wyrzucamy pieczywa do śmieci. To wynika z naszej kultury.

– Wiem... Ale ta bułka jest strasznie brudna.

– Schowaj ją na dół do wózka, nakarmimy nią ptaki.

Upłynęła kolejna godzina. W końcu do hali zaczęli wchodzić pierwsi pasażerowie, którzy przylecieli z Quebecu.

– Marek, kartka – poinstruowała syna Marta, wstając z krzesła. Ruszyli do bramki, z której zaczęli wychodzić podróżni. Marta wzrokiem szukała nastoletniej blondynki, a Marek trzymał kartkę z napisem: „Witamy w Polsce, Jasmine”. Minę miał nietęgą. Pomysły rodziców zawsze mają dla dzieci smak porażki.

Mijali ich kolejni pasażerowie. Szli od razu do wyjścia lub kierowali się do kogoś z grupki oczekujących. Wszyscy powoli rozchodzili się, w końcu

zostali tylko Marta z dziećmi i mężczyzna w garniturze trzymający kartkę z korporacyjnym logo. Widniał na niej napis „President Alex Brisbane”.

Na widok tego napisu Marcie mocniej zabіło serce. Znowu powróciła wspomnieniami do Alexa, ale z bólem odpędziła je od siebie, to nie był dobry czas na to. Poczuciła się trochę głupio. *Może ona nie przyleciała* – zmarszczyła czoło. W jej głowie nie zdążyła pojawić się następna myśl, bo oto w drzwiach stanęła wysoka, młoda kobieta i zaczęła się rozglądać. Obrzuciła przeciągłym spojrzeniem faceta w garniturze. Potem zauważyła Martę i uśmiechnęła się isticie hollywoodzkim uśmiechem. Na czole miała oparte wielkie okulary przeciwsłoneczne Gucciego.

*To ma być Jasmine?* – pomyślała zaskoczona Marta. *Przecież ona wygląda na co najmniej dwadzieścia pięć lat.* Na obcistej, podkreślającej kobiecie kształty dziewczyny bluzie widniał czerwony napis „No problem”. Ale Marta szóstym zmysłem wyczuwała już całe mnóstwo problemów.

Przez kilka sekund rozważała możliwość pomyłki, ale twarz dziewczyny przypominała tę ze zdjęć przesłanych mailem. Marta spodziewała się raczej nastolatki w bluzie z kapturem, w dużych ciężkich butach z naszywkami jakichś zespołów, ucieleśnienia buntu. Chciała w tej dziewczynie odnaleźć dawną siebie. Sama była właśnie taką nastolatką, zbuntowaną, jeżdżącą stopem na koncerty punkowe. Ale to było dawno, jeszcze zanim się nawróciła i odnalazła Boga. Teraz w jej stronę szła młoda, atrakcyjna kobieta, za którą oglądali się mężczyźni. Marta była skonfundowana. *To naprawdę musi być jakaś pomyłka* – pomyślała w panice. Jej zmieszanie dostrzegł nawet facet w garniturze czekający na szefa. On również patrzył na dziewczynę i zapewne żałował, że nie jest ona Alexem Brisbanem. Marek stał jak zamurowany, on też nie takiej kuzynki się spodziewał.

Na szyi Jasmine kołysał się niewielki złoty krzyżyk. *Dobre i to* – pomyślała Marta.

Dziewczyna podeszła i przywitała się. Dobrze mówiła po polsku, a francuski akcent był jedynie subtelnie słyszalny. Marta zmarszczyła czoło. To również bardzo ją zdziwiło. Jej kuzynka Monika pisała, że Jasmine nigdy nie była w Polsce. Marta nastawiała się na to, że będzie musiała mówić po francusku. Przez kilka dni powtarzała sobie kluczowe zwroty. Marek też się uczył. Miał się nawet przedstawić po francusku, a tu takie zaskoczenie.

Na Jasmine ciotka też zrobiła dziwne wrażenie. Taka szara mysz z rozbieganymi oczami. Dziewczyna nie lubiła tego typu kobiet. Zawsze miała z nimi problem, sfrustrowane widziały w niej konkurencję.

*Ona ma włosy spięte gumką recepturką. Co za porażka – pomyślała dziewczyna. Mogłaby je ufarbować, to chyba nie kosztuje tak wiele. Na pewno się nie myje i śmierdzi.* Przymknęła oczy i zmusiła się, by pocałować Martę w policzek. Źle wycelowała, a ponieważ była wyższa, trafiła ciotkę w czoło.

Marta zmieszana się, nie tak miało wyglądać to powitanie. Nastąpił pierwszy zgrzyt. Zupełnie jakby Jasmine przejechała wielkim zardzewiałym gwoździem po tafli szkła. Najgorsze jednak było to, że absolutnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Pocałowała w policzek Marka i Stasia, który już zdążył się obudzić i zaczął płakać.

*Co ona najlepszego wyrabia? – pomyślała w panice Marta.*

Kończąc ceremonię powitalną, Jasmine szeroko uśmiechnęła się do każdego. Marta natomiast poczuła, jakby ktoś ubłoconymi buciorami wszedł w sam środek jej rodziny.

*Zarozumiała panienska, która zepsuje nam świąteczny wyjazd – pomyślała i wskazała na wyjście z terminalu.*

– Zapraszam do samochodu. Marek, proszę, pomóż kuzynce z walizką.

– Dobrze – odparł skwapliwie chłopak.

– Możesz już to wyrzucić. – Marta wskazała na kartkę z napisem „Witamy w Polsce, Jasmine”. Wszystko wydawało jej się teraz żałosne. Jasmine nie zauważyła kartki, zresztą według Marty sprawiała wrażenie osoby, która zauważa tylko siebie. Idealna przedstawicielka kapitalizmu i konsumpcjonizmu, czyli wszystkiego, czego Marta nienawidziła z całą mocą i z czym walczyła z całych sił już od czasów młodości. Niestety jej walka spęzła na niczym. Młodzieńczy anarchizm rozwiął się niczym dym z przygastego ogniska. Galopujący konsumpcjonizm miał się za to wyśmienicie.

Marek z walizką popędził w głąb terminala.

– Boże, gdzie on poleciał? – zapytała sama siebie zaskoczona Marta. Już chciała rzucić wszystko i biec za nim, ale nagle Marek zawrócił i po chwili już stał obok nich zdyszany z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Gdzie ty pobiegłeś?

– Wyrzucić kartkę – wyjaśnił chłopak z rozbajającym uśmiechem.

– To musiałeś biec aż tak daleko? Przecież kosze są wszędzie, na parkingu, gdzie idziemy, również. Zresztą nieważne, ruszamy, bo zaraz zrobią się gigantyczne korki. – Uniósła brwi i spojrzała na Jasmine.

Dziewczyna w odpowiedzi tylko uśmiechnęła się lekko. Marta odniosła wrażenie, że był to bezmyślny grymas.

*Źle zrobiłam, że zgodziłam się na jej przyjazd – besztąła się w myślach. Na pewno będą z tego problemy. Jaka jestem głupia. I to wszystko dla paru kanadyjskich dolarów.*

## **Harry w szpitalu**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

W okolicach dziewiątej Harry zjadł z Sally śniadanie: jajka, smażone kiełbaski i świeże bułeczki wprost z piekarni, po które specjalnie pojechał. Już dawno nie jadł tak dobrego posiłku. Samemu je się szybko, byle co i byle gdzie. Przy kawie powiedział, że jedzie do szpitala rozejrzeć się trochę. Sally oznajmiła, że będzie w tym czasie porządkować dom.

– Mam nadzieję, że dowiesz się czegoś ciekawego. – Pocałowała Harry'ego w usta na pożegnanie.

– Też na to liczę – odparł zmieszany. Nikt od dawna tak się z nim nie żegnał.

– Kup wino do kolacji – rzuciła do niego, zamykając drzwi.

Harry podjechał pod szpital.

Nikt nie zwrócił uwagi na to, że ze zwykłego samochodu wysiadł mężczyzna w szarym drelichowym kombinezonie. Do poważniejszych akcji Harry wynajmował od znajomego furgonetkę, ale to było proste zadanie i nie było sensu robić aż takiego kamuflażu. Wszedł głównym wejściem i od razu skierował się do recepcji. Na kontuarze położył kwestionariusz, przebiegł wzrokiem po plakietkach, ale żadna z pielęgniarek nie nosiła imienia Betty. Ta pewnie odsypiała nocny dyżur.

*Bardzo dobrze – pomyślał. Wszystko idzie zgodnie z planem.*

– W czym mogę panu pomóc? – spytała go jedna z sióstr. Na jej identyfikatorze widniało imię Kate.

– Witam, Jeff Hamilton – przedstawił się Harry. – Rozmawiałem wczoraj z Betty.

– Niestety nie ma jej dzisiaj – wyjaśniła pielęgniarka.

– Mam przejrzeć instalację. – Harry podsunął Kate kwestionariusz.

– Jaką instalację? – Siostra zmarszczyła brwi.

*Trafiła się dociekliwa służbistka* – pomyślał Harry i odpowiedział, udając zdziwienie:

– No jak to jaką? Podobno kamery znowu szwankują. Przyjechałem sprawdzić wszystkie punkty. Tu trzeba podpisać. – Wskazał na okienko w formularzu.

– Sama nie wiem... Betty nic mi nie przekazała. Mamy wyraźny zakaz wpuszczania osób z zewnątrz.

Harry zrobił zawiedzioną minę.

– Specjalnie przyjechałem, to kawał drogi. Dzwoniłem kilka razy, żeby potwierdzić, ale linia jest wciąż zajęta. Bardzo trudno się do was dodzwonić. Muszę tylko przejść po oddziale, nim cały system się wysypie. Gdy jedna z kamer przestanie działać, to reszta leci jak klocki domina. Na pewno widziała pani kiedyś coś takiego. Jeden klocek uruchamia prawdziwą lawinę i wszystko przestaje działać.

– No tak. – Kate nieufnie zmarszczyła brwi. Gorączkowo przeglądała jakieś kartki, szukając najwyraźniej notatki od Betty, ale w stosie dokumentów nic nie mogła znaleźć. Szpitale wprost toną w papierach, w zasadzie już bardziej wypełniają druczki, niż leczą.

– W każdym razie, żeby to znowu nie nawaliło, przystali mnie – Harry wskazał na siebie – czyli człowieka, który potrafi naprawić wszystko. Dziewczyny, chyba nie chcecie, żeby pootwieraly się wam tu wszystkie klatki w środku nocy? – Zaśmiał się, patrząc na inne pielęgniarki.

– Dobrze, to gdzie mam podpisać? – Pielęgniarka poddała się.

– Tutaj i jeszcze na tej stronie. – Poinstruował ją skwapliwie.

– Dużo tego. – Podniosła brwi.

– Jak wszędzie. – Harry wzruszył ramionami.

– Te formularze są dla mnie? – zapytała.

– Dla mojego szefa. – Detektyw wyszczerzył się. – W przeciwnym razie nie uwierzy mi, że wszystko naprawię.

Pielęgniarka wyciągnęła księgę wizyt.



– Proszę się tu wpisać. – Wskazała rubrykę.

– Potrzebuję jeszcze osoby, która przejdzie się ze mną i pokaże mi kamery – powiedział z poważną miną Harry. – Kogoś, kto dobrze zna szpital.

– Zaraz zadzwonię po pielęgniara. Bob będzie najodpowiedniejszą osobą – zawyrokowała Kate. – Ile może potrwać ten obchód?

– Myślę, że góra trzydzieści pięć minut. – Harry zawsze podawał niestandardowe przedziały czasowe. Dobrze wiedział, że piętnaście minut to znaczy bardzo szybko, pół godziny to zazwyczaj coś w okolicach kwadransa, a godzina to już długo. Nigdy nie należało mówić, że praca zajmie godzinę, to zazwyczaj wzbudzało podejrzenia i rodziło niepotrzebne pytania w rodzaju „A co tak długo, a co pan będzie robił przez ten czas?”. Najlepiej działać szybko i sprawnie. Oczywiście nie za szybko, bo to też nie wygląda najlepiej. Tyle się fatygował, jechał taki kawał i był raptem pięć minut? Podejrzany typ.

– Dobrze, proszę poczekać. – Pielęgniarka wskazała na rząd wysłużonych krzesel. – Zaraz ktoś po pana przyjdzie.

– Dziękuję – odparł Harry, siadając.

Niedługo później zjawił się Bob, potężnie zbudowany pielęgniarz.

– Mam na imię Bob i mam pana oprowadzić. – Wyciągnął wielką jak bochen dłoń.

– Travis – przedstawił się Harry, podając olbrzymowi rękę. Od razu ugryzł się w język. *Cholera, ja się chyba nazywam Jeff Hamilton. A zresztą pal licho.*

Podeszli razem do zakratowanych drzwi. Brzęknął zamek i weszli na oddział zamknięty.

– O, tu mamy pierwszą kamerę – powiedział Bob.

Harry spojrzał w górę. Kamery nie dało się nie zauważyć. Wysoko pod sufitem wisił przedpotopowy sprzęt w potężnej metalowej obudowie. Prawdziwy zabytek, który nie wiadomo jakim cudem działał.

– Czy wy w ogóle coś widzicie na tych monitorach? – zainteresował się Harry.

– Coś tam widać – bąknął pielęgniarz. Najwyraźniej mankamenty sprzętu mało go obchodziły. Miał pokazywać kamery, to pokazywał.

– Jakoś pustawo tutaj – zauważył niby od niechcienia Harry. Faktycznie, nie widać było żadnych pacjentów, a drzwi od sal były pozamykane.

– Trafiał pan na obiad, wszyscy są w stołówce, a ci, którzy nie wychodzą, siedzą pod kluczem.

– Dużo macie pacjentów?

– Kto ich tam liczy. – Bob wzruszył potężnymi ramionami. – Jedni przychodzą, drudzy odchodzą. Siostry znają dokładną liczbę. – Pielęgniarz zdawał się być jakiś nieobecny. Coś go trapiło, marszczył czoło i patrzył daleko w przestrzeń, a jego spojrzenie zdawało się przenikać mury.

*Trzeba będzie trochę olbrzyma rozkręcić* – pomyślał Harry i zapytał:

– Ma pan syna?

– Mam syna i dwie córki, dlaczego pan pyta? – zdziwił się Bob

– Wygląda mi pan na kogoś, kto ma syna i gra z nim w futbol.

– Dokładnie. – Bob uśmiechnął się lekko. – Gramy co weekend.

– Jak ma na imię pana syn?

– Mike.

– Zwięźle i prosto, podoba mi się – pochwalił Harry.

– Nie lubię wyszukanych imion – stwierdził Bob. Kontakt został nawiązany, dalej rozmowa toczyła się już gładko, zahaczając o problemy szpitala i pacjentów.

– O, tu jeszcze jest kamera. – Bob wskazał miejsce nad drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową.

Harry skrupulatnie zapisał coś w swoim notesie.

– A pan tylko to ogląda? – zdziwił się Bob. – Kate mówiła, że pan coś będzie sprawdzał.

– I miała rację. – Harry uśmiechnął się szeroko. – Na końcu podepnę takie małe sprytne urządzenie i szczytam wszystkie kamery w sieci.

– Nie wiem, czy ja wszystkie znam, to naprawdę duży budynek – odparł zatroskany Bob.

– Spokojnie, najważniejsze to znaleźć pierwszą i ostatnią kamerę, one są kluczowe – wyjaśnił Harry.

– A, rozumiem, to nie tak źle.

– Praca nudna jak flaki z olejem – stwierdził Harry. – Pan za to ma ciekawe zajęcia. Pewnie trafiają się tu nietypowe przypadki.

– Różne rzeczy się tu dzieją. – Bob wyraźnie posmutniał.

– Nie rozumiem, coś się stało? – Harry przystanął.

– Zginął mój przyjaciel, który uczył mnie wszystkiego w tej pracy.

– Właśnie zauważyłem, że wszyscy są jacyś nerwowi. Jak wchodziłem, pielęgniarka mnie tak przepytowała, jakbym chciał się dostać co najmniej

do Fort Knox.

– Mamy ostatnio trochę problemów. Do niedawna było tu spokojnie, ale teraz wszystko jest inaczej. Mój przyjaciel niedługo miał iść na emeryturę. Codziennie słuchałem jego opowieści, jak będzie grillował i jeździł na ryby, a tu taka tragedia... Nic już nie ugrilluje i nie złowi.

– No tak – westchnął Harry. – A jak to się stało? – Poczuł, że zaraz dowie się czegoś ważnego. Bob był w nastroju do zwierzeń, wystarczyło go tylko trochę bardziej pociągnąć za język.

## **Marta i jej wątpliwości**

*Polska, Warszawa*

Na parkingu przy lotnisku już z daleka widać było wściekle seledynową Multiplę, samochód, który może zniszczyć każdą randkę. Kiedyś zrobiono ranking najbrzydszych samochodów i Fiat Multipla wygrał bezapelacyjnie.

Marta dyskretnie obserwowała idącą obok niej Jasmine. Była to bardzo atrakcyjna dziewczyna, nawet aż za bardzo. Bił z niej ten rodzaj pewności siebie, za którym inne kobiety jakoś nie przepadają.

*Marek ledwo ją zobaczył i już zwariował* – pomyślała Marta. *Ciekawe, co będzie z Mikołajem.*

Mało która kobieta lubi, gdy jej dom odwiedza atrakcyjna, młoda dziewczyna. Tym bardziej, jeśli w domu są sami mężczyźni. Co prawda Mikołaj nigdy nie zwracał uwagi na inne kobiety, ale zawsze mógł się zdarzyć ten pierwszy raz.

Co gorsza, ta dziewczyna miała w sobie coś bezczelnego. Roztaczała wokół siebie specyficzną aurę, właściwą dla najpopularniejszej dziewczyny w szkole, takiej, która jest najładniejsza, ma najfajniejsze ubrania i chodzi na całe mnóstwo zajęć dodatkowych. Przez to nigdy nie ma na nic czasu, nawet ułamka sekundy, by odpowiedzieć na przykład na zwykłe „cześć”. Marta dobrze знаła ten typ.

– Oto nasz wehikuł. – Otworzyła drzwi kluczykiem. Multipla miała zepsuty centralny zamek. – To auto nie jest zbyt piękne, ale za to bardzo pakowne. – Uśmiechnęła się, ale twarz Jasmine ani drgnęła.

*Trafiła się nam księżniczka z lodu* – pomyślała Marta. *Ona chyba nie wie, co to poczucie humoru. W lodowej krainie wszystko jest zamrożone na kość. A może*

*ona śmieje się tylko ze swoich żartów?*

To był drugi zgrzyt. Marta uwielbiała grać pierwsze skrzypce i jak ognia unikała osób, które spychały ją na margines. Teraz okazało się, że sama zaprosiła kogoś takiego na święta do własnego domu.



## ROZDZIAŁ 26

*Wszyscy wiedzą, że czegoś nie da się zrobić. I wtedy pojawia się ten jeden, który nie wie, że się nie da, i on właśnie to coś robi.*

Albert Einstein

### **Powrót do domu**

*Polska, Warszawa*

W drodze na parking Stasio znowu zasnął. Marta posadziła go w foteliku, a potem złożyła wózek. Następnie włożyła walizkę Jasmine do bagażnika. Nikt nie zaoferował jej pomocy. To był trzeci zgrzyt. Wszyscy zajęli miejsca i kobieta przekręciła kluczyk. Na szczęście auto odpaliło od razu, ale za to zaczęło dziwnie klekotać.

– On tak zawsze ma, ale tylko na samym początku – wyjaśnił Marek. Siedział z tyłu z Jasmine, sami wybrali swoje miejsca. Pomiedzy nimi spał Staś.

*I bardzo dobrze, niech się kuzynka integruje z dziećmi – pomyślała Marta. Przynajmniej nie będę musiała siedzieć obok niej.*

Marta była bardzo wyczulona na specyficzne aury, które wytwarzali ludzie. Od Jasmine czuła wielki chłód, tak namacalny, że mimo ciepłej kurtki ustawiła ogrzewanie na maksimum.

Multipla ruszyła przez miasto. Jak zapowiedział Marek, po pewnym czasie dziwne klekotanie silnika ustało. Marta co chwila coś pokazywała Jasmine. Widziała w tylnym lusterku, że dziewczyna spogląda z zaciekawieniem, wszystko ją interesowało. *Może nie jest taka najgorsza? Może to tylko pierwsze wrażenie – tłumaczyła sobie Marta w myślach, ale jakaś część kobiecej natury wiedziała swoje i nie dawała się przekonać. Głupia, zarozumiała suka i tyle. Zobaczmy, co powie Mikołaj, on rzadko się myli w ocenie ludzi. A może też zwariuje jak Marek i wtedy zupełnie stracę wiarę w facetów.* Potem pomyślała o Joannie d’Arc, która zbudowała armię, wypędziła Anglików z Francji, a na koniec spalono ją na stosie za czary. Ot, sprawiedliwość w męskim wykonaniu.

W okolicach warszawskiej cytadeli natknęli się na korek. Marta włączyła radio, które zaszumiło. Zdawało się, że w tym samochodzie wszystko działa połowicznie. W końcu udało jej się złapać jakąś stację, ale tylko na moment. Po chwili znowu pojawiły się szумы. Marta poczuła się w obowiązku, by zabawić Jasmine rozmową.

Minęli cytadelę i jechali wciąż Wisłostradą. Kiedy skręcili w ulicę Gwiazdzistą, z daleka widać już było osiedle Ruda rozciągnięte na skraju Lasu Bielańskiego. Wysokie bloki strzelały w niebo, najwyższe miały po dwadzieścia pięter. W czasach PRL-u było to pierwsze osiedle w Polsce, gdzie można było kupić dwupoziomowe apartamenty. Mieszkali tu kiedyś aktorzy, dziennikarze, lekarze, słowem sama elita.

Na ulicy Klaudyny znaleźli miejsce pod rozłożystym kasztanem rosnącym tuż pod blokiem. Obok znajdował się od dawna przez nikogo nieużywany trzepak. Dawniej co weekend ktoś czyścił tu dywan. Na nowo budowanych osiedlach już nie spotyka się trzepaków.

Marta sprawnie zaparkowała kanciasty samochód. Gdy wysiedli, gdzieś z góry rozległo się wołanie.

– Halo, halo!

– Tata! – ucieszył się Marek, wskazując na Mikołaja, który stał oparty o poręcz i machał do nich energicznie.

Jasmine również pomachała. Marek stał i kiwał obiema rękoma. Staś nie witał ojca, bo zajęty był drzemką. Marta też nie brała udziału w tej ceremonii powitalnej, bo akurat szarpała się z używanym wózkiem, który ciężko było rozłożyć.

– Może ktoś by mi pomógł? – syknęła.

Marek i Jasmine jak na komendę ruszyli w jej stronę, przez co wpadli na siebie.

– Takiej pomocy mi nie potrzeba – fuknęła Marta. – Marek, ty rozłóż wózek, a ty – zwróciła się do Jasmine – proszę, weź swój bagaż.

Jasmine wyjęła swoją niewielką walizkę. Marta tymczasem włożyła Stasia do wózka i zamknęła Multiplę, co nie było taką prostą sprawą, ponieważ trzeba było ręcznie zablokować wszystkie drzwi.

– Mamo, winda znowu zacięta – zauważył Marek, gdy weszli już do bloku.

– Skąd wiesz? – spytała Marta.

– Guzik wtedy zawsze tak dziwnie mruga.

Jasmine lekko uniosła brew i spojrzała uważnie na Marka. Ten odczytał to jako wyraz uznania, a Marta zauważyła kątem oka, jak się dumnie wyprężył.

– Na szczęście mamy dwie windy. – Wskazała na drugie drzwi. – Nie sądzę, żeby ten migający guzik oznaczał awarię, spokojnie poczekamy, może któraś przyjedzie.

Istotnie, wkrótce nadjechała druga winda. Wsiadł z niej jakiś słabo znany sąsiad z góry. Obrzucił uważnym spojrzeniem Jasmine i bąknął niepewnie: „Dzień dobry”.

*Naprawdę zastanawiające* – pomyślała z przekąsem Marta. *Ten facet zawsze był taki cichociemny, przemykał w milczeniu pod ścianami, a teraz nagle przemówił.*

Jasmine pierwsza wsiadła do windy.

*Księżniczka zawsze na czele* – westchnęła w duchu Marta. *Dobrze, że przynajmniej wzięła swoją walizkę i sługi nie muszą jej za nią taszczyć. A Monika tyle pisała, że ona taka pomocna. Ale matki zawsze bywają kopnięte w kwestii swoich dzieci. Ciekawe, czy ja jestem taka sama.*

Wysiedli na szóstym piętrze.

– Moja ulubiona cyfra – zauważyła z uśmiechem Jasmine.

*Normalnie Pollyanna* – zadrwiła z niej w duchu Marta. *Wszystko ją cieszy. Powinnam umieścić ją w najgorszym pokoiku na facjatce, jak wredna ciotka Polly.*

## **Harry w szpitalu**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

– Mój przyjaciel został znaleziony w pokoju socjalnym. Powiesił się na pasku – mruknął ponuro pielęgniarz Bob. Szedł teraz ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Myślisz, że ktoś mu pomógł? – zapytał Harry.

– Oczywiście, że tak – zapalił się Bob. – Dzień wcześniej widziałem się z nim. Rozmawialiśmy, żartował ze mną. Znałem go długo, nic nie wskazywało na to, że chce się zabić. Jak się kogoś tak długo zna, to da się wyczuć takie sprawy.

– Też tak uważam – zgodził się Harry.

– Ale policja jest innego zdania – stwierdził pielęgniarz. – Nie znaleźli żadnych śladów, więc szybko ustalili, że Tomowi po prostu życie zbrzydło



i skończył ze sobą na nocnej zmianie. Żenada. Myślałem, że będzie prawdziwe śledztwo, a oni trochę się tu pokręcili i wszystko zamarło. – Bob smętnie pokiwał głową. – Stary Tom nie był milionerem, tylko ciężko pracującym człowiekiem. Taki to się może wieszać nawet dziesięć razy dziennie i nikogo to nie zdziwi. Ale gdyby dotyczyło to jakiegoś ważniaka, to by miesiącami dociekali, czy to na pewno było samobójstwo. Tak to wygląda. To jest jedno wielkie świństwo. Człowiek powinien być zawsze traktowany jak człowiek, i to niezależnie od grubości portfela.

Bob zamilkł, a Harry'emu zrobiło się smutno. Teraz idąc, patrzył kątem oka na Boba. Olbrzym sunął w milczeniu, a na jego twarzy zagościł kamienny smutek. Okazało się, że Stary Tom nikogo nie obchodził.

Bob też kilka razy zerkał na Harry'ego, jakby badając grunt. Coś nie dawało mu spokoju.

*Niech sam zacznie mówić, nie można go spłoszyć* – pomyślał detektyw.

Idąc w milczeniu, dotarli na koniec korytarza. U góry w rogu wisiła stara kamera w zardzewiałej obudowie.

– To ostatnia – oznajmił Bob. – To chyba to, czego pan szukał.

– A co jest tam? – Harry wskazał na drzwi z zakratowaną szybą.

– To koniec oddziału, tam jest zejście do piwnicy, zamknięte na głucho.

Harry chwycił za klamkę i pociągnął. Drzwi otworzyły się.

– Trochę się tam rozejrzę. – I nim Bob zdążył coś powiedzieć, Harry był już za drzwiami.

Znajdowały się tam wąskie schody techniczne prowadzące w dół. Bob ruszył za nim. Po pokonaniu jednego piętra natrafili na kolejne drzwi, tym razem bez klamki.

– Od razu wiadomo, w jakim jest się szpitalu – zauważył Harry. Przytknął nos do zakurzonej szyby. – Co tam jest?

– Piwnica – odparł Bob.

– Dobrze byłoby tam zajrzeć. Był pan tam kiedyś?

– Oczywiście. – Pielęgniarsz wzruszył ramionami. – I to nie raz. Ale tam nic nie ma. – Machnął ręką. – Tylko jakieś graty. Łóżka, stare materace i pająki. Szpital nic nie wyrzuca, wszystko tam ląduje. Stale coś tam wynosimy.

– A jak się tam wchodzi? – dopytywał Harry.

– Mój przyjaciel Tom wszystkie drzwi od składzików w szpitalu urządził w bardzo sprytny sposób. Po prostu od przodu zdemontował w nich klamki.

Dzięki temu nie musieliśmy nosić pęków kluczy, a drzwi i tak były zamknięte i tylko my mogliśmy je otworzyć. Mamy taką specjalną techniczną klamkę.

– Rzeczywiście sprytnie – potwierdził Harry. – Ma ją pan przy sobie?

– No nie – mruknął Bob. – Nie wiedziałem, że będzie chciał pan wejść do piwnicy. Mam ją na górze w swojej szafce na rzeczy.

– A czy może ją pan przynieść?

– Mogę, ale czy to konieczne? – burknął niechętnie Bob.

– Nie chcę, żeby znowu coś wam wysiadło z tymi kamerami, w piwnicach zazwyczaj są rozdzielnie techniczne, warto tam zajrzeć – przekonywał Harry. – Założę się, że tam jest źródło wszystkich awarii.

– No dobrze. – Bob ruszył na górę, sapiąc. Gdy trzasnęły za nim drzwi na klatkę, Harry szybko wyjął z kieszeni śrubokręt. Manipulował nim trochę przy zamku i sprawnie otworzył drzwi.

*Warto w spokoju się tam rozejrzeć, nim on wróci – pomyślał. Mój nos mi podpowiada, że się nie zawiodę.*

## **Mieszkanie Marty**

*Polska, Warszawa*

Pierwszą rzeczą, na którą Jasmine zwróciła uwagę po wejściu do mieszkania, była niezwykła jasność. Akurat słońce wyszło zza chmur i dziewczyna odczytała to jako dobry omen. Większość okien mieszkania wychodziła na zachód, ściany były białe, podłogi jasne, zdawało się, że słońce dosłownie mieszka tu razem z domownikami. Naprzeciwko wejścia znajdowała się kuchnia z blatem pod ścianami w literę L. W kącie za lodówką stał stół. Ściany przedpokoju i kuchni obite były boazerią.

– O, jak fajnie, drewno jak w domku w górach. – Jasmine przesunęła dłonią po ścianie. Miała idealne paznokcie w kolorze pomarańczowym, efekt starań mobilnego punktu kosmetycznego na lotnisku.

*Powinna zmyć ten lakier. Chyba w krainie lodu nie wiedzą, że malowanie paznokci na takie kolory jest teraz passé – pomyślała Marta. I po co tak wszystko dotyka? Jeszcze porysuje mi moją oldskulową boazerię.*

Z salonu przybiegł kudłaty kundelek i zaczął szczekać; piszczał przy tym i merdał ogonem. Wyglądał jak karykatura psa, ale był bardzo przyjazny.

– Uspokój się, idź do siebie – fuknęła Marta.

– On chce się ze mną przywitać – rozpromieniła się Jasmine. Kucnęła i zaczęła głaskać psa, który polizał ją po twarzy.

– Jaki ty jesteś piękny, jak masz na imię?

– To Apis – wyjaśnił pospiesznie Marek.

– Będę chodziła z tobą na spacer – powiedziała wesoło Jasmine – o ile będziesz chciał.

Pies na wieść o spacerze wesoło zamerdzał ogonem.

*Wspaniale, że jest pies – pomyślała dziewczyna. Będę mogła wychodzić z domu bez problemów.*

Ten zachwyty Jasmine nad zwierzęciem nie umknął uwadze czujnej Marty, która przyjęła go z wyraźną satysfakcją. W końcu każdy człowiek lubi, gdy chwali się jego zwierzęta i dzieci. To sprawiło, że Marta spojrzała na Jasmine pierwszy raz łaskawszym wzrokiem. *Ktoś, kto lubi psy, nie może być złym człowiekiem – pomyślała.*

Obok kuchni było wejście do łazienki, a za nim znajdowało się niewielkie pomieszczenie zasłonięte kotarą, służące jako garderoba. Marek od razu rzucił się do zmiany obuwia. Jasmine poszła w jego ślady, zdjęła buty i kurtkę.

– Marek, proszę, daj Jasmine jakieś kapcie – powiedziała Marta.

W tym momencie do przedpokoju wszedł pan domu, z potarganymi włosami, boso, w spranych lewisach i T-shircie. Jako żywo przywodził na myśl zbuntowanego intelektualistę zamkniętego wbrew swej woli na resztę życia w betonowym bloku. Zrobił na Jasmine dobre wrażenie.

– A po co jej kapcie – stwierdził z uśmiechem Mikołaj – to sprzyja płaskostopiu. – Po tych słowach zmierzył spojrzeniem Jasmine, która była od niego odrobinę wyższa. Z pewnością nie takiej nastolatki się spodziewał. Wzrok pana domu zdawał się mówić: „O Boże, jaka ona wysoka”. Po chwili konsternacji Mikołaj otrzeźwiał, wyciągnął rękę i powiedział:

– Witaj w Polsce. Mam na imię Mikołaj.

– Dzień dobry, wujku.

– Widzę, że świetnie mówisz po polsku – pochwalił Jasmine z uśmiechem.

– Staram się.

– Mikołaj, proszę, zaprowadź Jasmine do salonu – powiedziała Marta. – Inaczej stratujemy się w tym korytarzu. I bądźcie ciszej, bo mały wciąż jeszcze śpi i chcę, żeby tak pozostało.

– Oczywiście, już przykręcamy głośniki. – Mikołaj zniżył głos. – Zapraszam naszego gościa na salony. – Uczynił szeroki gest ręką. – Chodź, pokażę ci dom. Jasmine skinęła głową. Uwielbiała oglądać obce mieszkania.

### **Harry schodzi do piwnicy**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Za drzwiami piwnicy znajdował się podłużny szeroki korytarz z małymi zakratowanymi okienkami tuż przy suficie. Było to przejście techniczne, zamienione na skład rupieci. Pod ścianami piętrzyły się łóżka, stoliki, przedpotopowe komputery i jakieś nieokreślone sprzęty medyczne. Nie wiadomo było, po co je trzymano. To wszystko od dawna nie działało i nie było nikogo, kto potrafiłby to zreperować i obsługiwać. W tej piwnicy była zamknięta poprzednia epoka. Wszystko pokrywał grubą warstwą kurzu, który narastał latami.

Harry szedł powoli i rozglądał się uważnie.

– O proszę, są nawet stare książki telefoniczne. – Pochylił się nad kartonem. – Rok wydania tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty piąty. – Wrzucił książkę z powrotem do pudła i otrzepał ręce. Tuman kurzu zakręcił mu w nosie.

Korytarz ciągnął się pod całym szpitalem. Dalej stał rząd metalowych szafek. Niektóre szuflady były otwarte i wysypywały się stamtąd stare akta pacjentów. Harry pochylił się i podniósł jedną z teczek. Otworzył ją i zaczął przeglądać. Ze zdjęcia przypiętego spinaczem do pierwszej, pożółkłej kartki maszynopisu patrzyła na niego dziewczyna z wykrzywioną twarzą rodem z horroru. Harry przeczytał nazwisko: *Caroline Brums. Ta piękność pewnie już wacha kwiatki od spodu* – pomyślał. Rok przyjęcia do szpitala: tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty drugi. W piwnicy była tylko kupa śmieci. Harry przyspieszył kroku. Bob pewnie wracał już z klamką, nie było czasu do stracenia.

Nie zatrzymywał się już więcej. Szybko dotarł do końca korytarza, gdzie znajdowały się stalowe drzwi z szybą, takie same jak na klatkę schodową, i drugie, szerokie, dwuskrzydłowe. Nagle dostrzegł na ziemi niewielki błyszczący przedmiot. Podniósł go przez chusteczkę i włożył do plastikowej torebki zamykanej na zacisk.

*Jak zwykle miałem rację, moja intuicja mnie nie zawiodła – pomyślał.*

– Halo, proszę pana! – dał się z daleka słyszeć głos Boba, który był zły, bo musiał przebiec przez całą piwnicę do Harry'ego. Po chwili dotarł do niego, dysząc niczym rozjuszony byk. Przez swoje potężne rozmiary szybko się męczył podczas biegu. – Nie powinien pan się tu sam kręcić – wysapał. – Przynajmniej nie po tym, co się stało. – Zmarszczył brwi i spojrzał groźnie na Harry'ego. – Jak pan tu w ogóle wszedł?

Detektyw milczał.

– Coś mi się wydaje, że wcale nie sprawdza pan żadnych kamer, jakoś mało pana interesują. Kim pan właściwie jest? Ma pan jakiś identyfikator z firmy?

– Coś ci pokażę. – Harry spoważniał i podszedł do dwuskrzydłowych drzwi. Chwycił za klamkę i nacisnął ją. Drzwi z jękiem otworzyły się na oścież i do piwnicy wpadło silne, białe światło, które na chwilę oślepiło Boba. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do blasku, dostrzegł tylny parking szpitala, pokryty śniegiem.

– Nie rozumiem, te drzwi powinny być zamknięte – wymamrotał.

– Ewidentnie macie tu problem z drzwiami – zakpił Harry – ale zastanawia mnie jeszcze to. – Pokazał Bobowi klamkę w foliowej torebce.

– To klamka Toma... – jęknął Bob.

– Tak myślałem. – Symond pokiwał głową. – Znalazłem ją tutaj na podłodze. – Wskazał na ziemię. – Ktoś użył jej, by otworzyć drzwi, a potem wyrzucił. Sprawdzę, czy nie ma na niej odcisków palców. Masz rację, nie naprawiam kamer. Przyjechałem tu się rozejrzeć, może uda się coś wyjaśnić w sprawie twojego przyjaciela. Może faktycznie nie było to samobójstwo. Będzie mi potrzebna twoja pomoc.

– Oczywiście, pomogę we wszystkim – powiedział z zapalem Bob.

– Bardzo mnie to cieszy. – Harry uśmiechnął się krzywo. Z ulgą pozbył się maski miłego technika i znowu był sobą, czyli zgryźliwym Harrym, który wszystko wie lepiej. Znowu chwycił trop. Uwielbiał ten zastrzyk adrenaliny i chyba tylko dlatego wykonywał tę pracę, bo na pewno nie z powodu marnych zarobków i nieprzespanych nocy.

– Zobacz, tam na śniegu odbijają się ślady jakiegoś dużego SUV-a. Nadal są widoczne pod warstwą świeżego śniegu. – Harry zbliżył się do drzwi i wskazał Bobowi ślady opon.

– To boczny parking, nikt tu nie podjeżdża, stąd jest daleko do głównego wejścia – powiedział Bob.

– A obsługa? – dopytywał Harry – Jakież dostawy?

– Nie korzystamy z tego wejścia. Te drzwi są stale zamknięte.

– W takim razie jest to bardzo podejrzane – stwierdził detektyw. – Ten SUV podjechał blisko drzwi. Stanął tuż przy ścianie, jakby nie chciał być widoczny z budynku. Samotny samochód na parkingu zawsze może wzbudzić czyjeś podejrzenie. Dokąd prowadzą te drzwi? – Popukał palcem w wąskie drzwi z zakratowaną szybą.

– To drzwi na schody, które wiodą do głównego holu.

Harry pociągnął za klamkę, ale ta nie ustąpiła.

– Zamknięte na głucho. Teraz powiem ci, jak to wszystko widzę. Ktoś podjechał tu w nocy. Dobrze wiedział o tym, że z korytarza do starego wyjścia ewakuacyjnego zrobiliście magazyn. Wszedł przez niego na oddział zamknięty. Nikt niestety tego nie sprawdził. Zakradanie się na oddział zamknięty szpitala psychiatrycznego jest dla niektórych niepojętą hipotezą.

– No tak, to ma sens. – Bob podrapał się w czoło, a Harry mówił dalej:

– Ten ktoś musiał wiedzieć, że w szpitalu jest awaria kamer, wszedł na górę i udał się do pokoju Toma. Udusił go, a następnie powiesił dla niepoznaki. Zabrał klamkę, żeby z powrotem otworzyć drzwi. A wiesz, czego to dowodzi?

– Niech pan mówi.

– Musiał znać szpital i wasz dziwny zwyczaj z tymi klamkami. Znał tę klamkę i zabrał ją, wiedział, że ona otwiera techniczne drzwi. Potem wyrzucił ją w piwnicy i odjechał.

– To ona – wymamrotał Bob.

– Jaka ona? – Harry zmarszczył brwi.

– To ta mała suka.

– Możesz jaśniej? Nie znam wszystkich małych suk z waszego szpitala.

– Chucky – odparł Bob.

Harry spojrzał na niego z politowaniem.

– Może ta suka ma jakieś imię? – spytał kwaśno Symond.

– Jasmine Reynolds.

– To niestety mało prawdopodobne, nie było jej tej nocy w szpitalu.

– Skąd pan o tym wie? – Bob zrobił głupią minę.

– Zdążyłem już to ustalić – odparł chętnie detektyw. – Jak się już zdarza, że się pojawia, to działam interaktywnie, czyli szybko. – Spojrzał na Boba przekornie. Trochę wymądrzenia i już pielęgniarz jakby się skurczył. Na mięśniaków dobrze działa wiedza. Onieśmiela ich, bo zazwyczaj mają głęboko zakorzeniony kompleks bycia tępym osiłkiem.

– Nie było jej wtedy w szpitalu – powiedział powoli Bob – ale mogła pożyczyć SUV-a swojej prawniczki i przyjechać tu w nocy.

Harry uniósł brwi w wyrazie uznania. Bob nie był jednak taki nierozgarnięty.

– Ciekawa hipoteza. – Pokiwał głową. – Teraz mam jednak kilka pytań. – Wyjął mały notes. – Gdzie przebywała Jasmine w noc śmierci Toma i kto pozwolił jej opuścić szpital?

– Pojechała do swojej prawniczki.

– Jakieś nazwisko?

– Anna Bouchard.

– Nawet ładnie jak na prawniczkę, one zazwyczaj mają jakieś pokręcone nazwiska. A co na to lekarz? Pozwolił jej opuścić oddział?

– Chomik? – Bob parsknął śmiechem. – Nie wiem, czy skończył jakiegokolwiek studia. Podpisuje wszystko jak leci i ciągle myli się w lekach. Ta prawniczka ma więcej do powiedzenia niż on. Zresztą Chucky... to znaczy Jasmine – poprawił się Bob – ma załatwioną stałą przepustkę. Może wychodzić ze szpitala, kiedy chce.

– Nie rozumiem. – Harry zmarszczył brwi – Jak to możliwe?

– Anna jej to załatwiła, jest jej prawnym opiekunem. Strasznie broni tej dziewczyny, a przecież ona zabiła całą swoją rodzinę.

– Wiem, ale teraz to nieistotne. – Detektyw pomachał długopisem. Te dywagacje burzyły jakiś sekretny tok jego myśli. – Jak się nazywa ten Chomik? Rozumiem, że to znowu jakiś pseudonim.

– Philip Qusack, zwariowany facet – stwierdził Bob. – Ciągle mylił dawki leków. Pielęgniarki ignorowały jego zalecenia, dosłownie nic nie wiedział.

– Nie rozumiem, to on też umarł? – zdziwił się Harry.

– Nie, skądże – odparł Bob.

– Użyłeś czasu przeszłego.

– Żyje i ma się dobrze. – Pielęgniarz uśmiechnął się. – Po prostu przeszedł na emeryturę.

– Słuchaj, Bob... – Harry zmarszczył brwi. – Jak chcesz mi pomóc, to bądź bardziej precyzyjny. Mów konkretnie i nie używaj więcej pseudonimów. Nie pracuję tutaj i ciężko mi się w tym wszystkim połapać. Okay?

– Pan jest prywatnym detektywem?

– Wróćmy do rozmowy – zachnął się Harry. – Nie pomagasz mi. Wiadomo, że jestem detektywem i zajmuję się sprawą twojego przyjaciela. Jak chcesz mi pomóc, to rób, co mówię. Może wtedy wspólnie uda nam się ustalić, co tu się właściwie wydarzyło.

Bob w odpowiedzi skinął głową.

– Będę potrzebował od ciebie adres... Chomika... – Harry zmieszał się na chwilę. – Tak go już nazywajmy, będzie łatwiej.

– Kiedy mam to załatwić?

– Jak to kiedy? – zdziwił się Harry. – Od razu, teraz, natychmiast. Działamy przecież interaktywnie – wyszczerzył się. – Myślałeś pewnie, że za tydzień? Ale tu trzeba działać od razu. Widzę tu masę zaniechań. Może uda mi się wznowić tę sprawę. A teraz wracajmy.

Ruszyli korytarzem w drogę powrotną.

– Oczywiście, nie muszę ci przypominać, że nikomu nie wolno ci mówić o naszej rozmowie.

Bob skwapliwie przytaknął.

– Chcę również zobaczyć pokój Jasmine i dostać adres rodziny w Europie, do której pojechała.

– To wszystko mam załatwić dzisiaj?

– Pokój Jasmine muszę zobaczyć teraz. Resztą możesz się zająć trochę później. Tu masz moją wizytówkę, zadzwoń, jak coś ustalisz.

Bob wziął w potężną dłoń wizytówkę Harry'ego z taką czcią, jakby ktoś podał mu świętą relikwię. Ten detektyw naprawdę znał się na swojej robocie.

– A teraz prowadź do pokoju tej małej – mruknął Harry.

Wyszli z piwnicy, otrzepując się z kurzu.





## ROZDZIAŁ 27

*Niektórzy ludzie – a ja do nich należę – nie znoszą szczęśliwych zakończeń.*

Vladimir Nabokov, *Pnin*

### **Jasmine ogląda mieszkanie**

*Polska, Warszawa*

Jasmine zaczęła rozglądać się ciekawie po dużym pokoju. Salon był spory, a królowała w nim wysłużona kanapa. Od razu było widać, że ktoś tu lubi oglądać filmy wieczorem i rozwalać się na niej, gniotąc poduszki.

Dalej znajdowało się duże okno sięgające do podłogi, które prowadziło na podłużną loggię. Regały umieszczone pod główną ścianą były gęsto zastawione książkami. Przed nimi na szafce zrobionej z palet stał niewielki telewizor jakiejś nieokreślonej marki. Kiedyś miał znaczek, ale ten odpadł albo został specjalnie usunięty. Zwisiał z niego kabel HDMI świadczący o tym, że oglądało się tu filmy podłączane z laptopa. Barek przed kanapą był zmontowany z dwóch palet na kółkach i przykryty szklanym blatem.

– To moje dzieło – pochwalił się Mikołaj.

Jasmine uśmiechnęła się i z uznaniem pokiwała głową.

Obok miejsce znalazł stary skórzany puf rodem z tureckiego bazaru. Mieszkanie jak skansen było zbieraniną przeróżnych mebli, z których część pochodziła jeszcze z czasów PRL-u.

Z salonu wychodziły na górę schody z drewnianymi tralkami. To był eksperymentalny blok z połowy lat siedemdziesiątych, gdy za wszelką cenę, łapiąc zadyszkę, chciano dogonić zachodni świat.

– Zapraszam na górę – powiedział Mikołaj. – Tam mamy jeszcze kilka pokoi. – W jego głosie słychać było nieukrywaną dumę. Mieszkanie było naprawdę duże i robiło wrażenie.

Na początek Mikołaj pokazał Jasmine niewielki gabinet wypełniony książkami. Piętrzyły się na biurku z lampą kreślarską i pod nim, na regałach,

na parapecie, dosłownie wszędzie. Nie było ich tylko na suficie, ale gdyby nie grawitacja, z pewnością i tam znalazłyby swoje miejsce.

– Tu jest najmniejsza toaleta. – Mikołaj otworzył drzwi z mleczną szybą. Za nimi skrywała się mała łazienka, w której również wisały półki uginające się od woluminów. Książki były niewątpliwie dominującym elementem wystroju tego mieszkania.

– A tu jest królestwo chłopaków. – Mikołaj wpuścił Jasmine przodem do kolejnego pomieszczenia. W tym momencie na górę dotarli Marta z Markiem. Oni również chodzili boso.

*Rodzina hippisów* – pomyślała Jasmine.

Marek stanął niepewnie obok kuzynki, która rozglądała się ciekawie. Pokój chłopca zastawiony był gęsto regałami, na których pełno było gier, książek i pudełek z klockami Lego. Stało tam tylko jedno biurko, należące do Marka, a na nim żółty dźwig, na którego haku dyndał czerwony samochód.

Chłopak spuścił wzrok, najwidoczniej głupio mu było przed kuzynką, że ma tak dziecinny pokój. Jasmine spojrzała na niego, uśmiechając się w kąciku ust, ni to zalotnie, ni to kpiąco. Nie umknęło to czujnemu oku Marty, która stojąc w drzwiach obok Mikołaja, dyskretnie śledziła każdy ruch gościa. W końcu Jasmine była młodą kobietą w domu pełnym mężczyzn, jej mężczyzn. Może niektórzy byli jeszcze dziećmi, ale w sumie mężczyźni zawsze nimi pozostają, więc nie miało to tak naprawdę wielkiego znaczenia.

Marek od powrotu z lotniska był zmieniony i jakiś napięty. Widać było, że nieznana dotąd kuzynka zrobiła na nim duże wrażenie. Długie blond włosy dziewczyny pachniały intensywnie szamponem. Każdy jej krok pozostawiał w powietrzu dyskretną aurę perfum, a każdy jej ruch miał w sobie ten powab, który działa na płęć męską niczym lep na muchy. Zalotność przejawiała się u niej dosłownie we wszystkim, nawet w mruganiu rzęsami. Tak odbierała to Marta. *Oj, poczekaj, kochana, będę cię obserwować* – pomyślała.

Marta przejęła rolę przewodnika. Od razu było widać, że to ona jest szefem domu, wszystkim steruje i pociąga za sznurki. Pozostali członkowie rodziny pełnili jedynie funkcje statystów. Jasmine od razu wyczuła ten specyficzny klimat kobiecego zamordyzmu, który z miejsca pacyfikował wszelkie przejawy męskiej inicjatywy. Wszystko musiało być pod kontrolą i wszystko było zawsze źle zrobione. To była norma. Marta niczym mały kapral musztrowała domowników. Jej spojrzenie zawsze było oceniająco-karcące.

*Będą z nią problemy* – pomyślała Jasmine, która dobrze znała takie klimaty z psychiatrika. Takie właśnie były pielęgniarki. Ciotka nie przypadła jej do gustu. Dziewczyna doskonale wyczuwała, że Marta po prostu nie dogaduje się z innymi kobietami. Dobrze czuła się jedynie w towarzystwie mężczyzn, o ironio, tak samo jak Jasmine.

Za pokojem chłopców była sypialnia Marty i Mikołaja, do której ciotka wprowadziła Jasmine.

– To będzie twój pokój.

Okna wychodziły na wschód i nawet w dzień trzeba było zapalać tu światło.

– Przygotowałam dla ciebie szafę i biurko. Na pewno będzie ci się spało wygodnie. – Wskazała na szerokie małżeńskie łóżko. Leżały na nim dwa równo złożone ręczniki, jeden do ciała, drugi do twarzy, przyozdobione gałązką lawendy. Jasmine obojętnym wzrokiem omiotła meble i ściany.

*Po co kładłam tę lawendę?* – zbesztła się w myślach Marta. *Zawsze chcę być za miła i potem nikt tego nie docenia. Ta pinda nawet nie zwróciła na to uwagi. Pewnie wyrzuci to do śmieci. Nie powinno się robić takich miłych, drobnych gestów dla ludzi, którzy są ignorantami.*

Jednak Jasmine podobało się tutaj. Pokój znajdował się na końcu korytarza w najdalszej części mieszkania, w dużej odległości od łazienki. Miała tu naprawdę sporo intymności. Tego jej było najbardziej potrzeba po tych kilku latach spędzonych w szpitalu. Nawet trudny charakter ciotki nie mógł tego zepsuć.

*Muszę tylko rozeznać, jaka jest i co lubi* – pomyślała Jasmine i odezwała się:

– Pięknie tu, ciociu. Dziękuję za tak ładny pokój.

– Proszę bardzo – odparła Marta oschłym tonem. Nie potrafiła ukryć, że Jasmine nie przypadła jej do gustu. – Chodź, pokażę ci jeszcze łazienkę. – Marta otworzyła drzwi, w które wstawiona była przezroczysta szyba. Widać było przez nią całe wnętrze.

*Prawdziwe dzieci kwiaty, make love not war.* – Jasmine uśmiechnęła się do swoich myśli. Marta pochwyciła ten uśmieszek.

W łazience znajdowała się duża umywalka i narożna wanna z szerokim rantem. Kafelki były białe, a w przestronnym pomieszczeniu było tak jasno, jakby było w nim okno. Jasmine aż zabłyśły oczy. *Wreszcie łazienka z prawdziwą wanną* – pomyślała.

– Odśwież się po podróży, a my pójdziemy na dół i przygotujemy kolację – powiedział Mikołaj. – Jak będziesz gotowa, to zejdź do kuchni.

– Dobrze, wujku.

– Marek, przynieś walizkę Jasmine – zwrócił się do syna Mikołaj.

Po chwili Marta i Mikołaj zeszli na dół, a Jasmine została w pokoju sama. Podeszła do okna z żaluzjami. Wychodziło na duży skwer z rzadka porośniętymi drzewami. Stało tam kilka ławek, a tuż pod blokiem znajdował się prostokątny klomb przypominający swym kształtem basen.

Marta schodząc po schodach, krzywiła się do swoich myśli. *Dlaczego udostępniłam jej własną sypialnię? Zawsze jestem za dobra, a potem żałuję. To ona powinna spać na kanapie w salonie, a nie ja.*

Jedna myśl Marty uruchamiała w jej umyśle zazwyczaj lawinę skaczących pasikoników. Czasami aż w głowie jej szumiło. Mikołaj stwierdził kiedyś, że jego żona ma szybki mózg i myśli o kilku sprawach naraz. Mylił się jednak. Przez głowę Marty przewijały się czasami setki myśli i obrazów. Zapamiętała słowa Mikołaja, bo prowadziła w głowie kronikę śmiesznych powiedzonek. Pod względem poczucia humoru byli bardzo dobrani: on miał sarkastyczne, a ona abstrakcyjne. Tworzyło to naprawdę ciekawą mieszankę.

– Dlaczego kazałeś wnieść Markowi walizkę? – spytała z wyrzutem Marta, gdy byli już w kuchni. – Ta księżniczka sama mogła się ruszyć.

– Niech chłopak pomoże kuzynce. Ja przynajmniej byłem tak wychowywany. – Mikołaj wzruszył ramionami. – Nie zapominaj, że ona jest naszym gościem, którego sama zaprosiłaś.

Świadomość tego zdawała się sprawiać Marcie fizyczny ból. Kobieta nic nie odpowiedziała. Jej twarz wykrzywił grymas niezadowolenia.

## **Harry odwiedza pokój Jasmine**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Bob wprowadził Harry'ego do sali, w której stały tylko jedno łóżko, szafka i niewielkie biurko. Był to pokój Jasmine. Detektyw nie tracił czasu i od razu zaczął w nim myszkować. Podeszedł do biurka, nad którym wisiła półka z książkami. Bob został przy drzwiach i nasłuchiwał, czy nikt nie nadchodzi. Harry przechylił głowę i zaczął czytać tytuły na grzbietach książek. Były tam

takie pozycje jak *Księżę Machiavellego*, *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta czy *Sztuka wojny* Sun Tzu.

Uwagę Harry'ego przyciągnęła jednak książka obłożona w kolorowy papier. Otworzył ją na pierwszej stronie. Było to *Mein Kampf*. Gwizdnął przeciągle.

– Niezłe lektury tutaj macie. – Pokazał książkę Bobowi, który wzruszył ramionami. – Bardzo sprytna ta Jasmine – stwierdził Harry. – Pewnie dlatego nikt nie zwrócił uwagi na tę książkę. A swoją drogą powinniście bardziej tutaj wszystkiego pilnować.

W biblioteczce Jasmine znalazły się jeszcze *Bunt mas*, *Wywieranie wpływu na ludzi* i kilka książek o filozofii. Resztę półki zajmowały podręczniki do nauki języków obcych, najwięcej do nauki polskiego.

– Ona chyba lubiła uczyć się języków? – Harry wskazał na podręczniki.

– Tak – przytaknął Bob. – Trzeba przyznać, że Chucky nie traciła czasu. Sama nauczyła się biegle pięciu języków. Nawet hiszpański znała. Pamiętam, że kiedyś tłumaczyła jakieś dokumenty dla jednej z pielęgniarek.

– Jednym słowem pilna uczennica. – Harry uśmiechnął się cynicznie. Pochylił się i zaczął szperać w biurku.

– Pospiesz się, ktoś może przyjść – ponaglił go Bob.

– Przestań – mruknął Harry – dopiero zacząłem. Jak się boisz, to idź. Najwyżej powiem, że sam tu wszedłem.

– Poczekam z tobą – bąknął zmieszany pielęgniarz. Przytyk o strachu zawstydził go, detektyw dostrzegł to kątem oka.

– Z twoją posturą nie powinieneś być taki bojaźliwy.

Bob nic już nie odpowiedział, tylko oparł się o framugę, blokując swoim wielkim ciałem drzwi.

W biurku nie było nic ciekawego, jakieś szpargały, długopisy, zeszyty i podręczniki.

– Bingo! – Harry ucieszył się nagle, wyciągając z dolnej szuflady starego czarnego laptopa z masywną obudową. – To można mieć takie rzeczy u was w szpitalu? – Spojrzał na Boba pytająco.

– Prawniczka jej to dała – odparł Bob. – Zresztą ona wszystko jej załatwiała.

– Zobaczmy, co tam mamy. – Harry otworzył laptopa i wcisnął guzik, by go włączyć. Sprzęt jednak nie zareagował. Po podłączeniu ładowarki również się nie uruchomił. Harry obrócił laptopa i spostrzegł, że ktoś odkręcił obudowę

i wymontował dysk i inne kluczowe podzespoły. To był stary model, który można było demontować.

– Ciekawe, co tu trzymała, skoro ktoś zadał sobie trud, by tu grzebać.

– Ja tam nic nie wiem – mruknął Bob, pocierając kark. Bardzo się denerwował. Nie znał się na prawie i nie był pewien, czy to, co robi Harry, nie jest przestępstwem.

Detektyw pokręcił się jeszcze po pokoju. Wprawnie sprawdził wszystkie potencjalne kryjówki, łóżko i miejsce między parapetem a grzejnikiem. Nie znalazł jednak niczego więcej. Przewertował książki, odwracając każdą grzbietem do góry w nadziei, że coś będzie tam ukryte. Wszystko na nic.

Nim wyszli z pokoju, chwilę nasłuchiwali, czy ktoś nie idzie korytarzem, ale nie dobiegł ich żaden dźwięk. Niezauważeni przez nikogo opuścili pomieszczenie.

– Chcesz jeszcze coś zobaczyć? – zapytał Bob.

– Wszystko już widziałem – odparł Harry. – Po za tym nie chcę przyprawić cię o zawał. Strasznie się denerwujesz.

– Chcę pomóc, Tom był moim przyjacielem – stwierdził Bob. – Ale nie wiem, czy można grzebać w jej rzeczach, może to jakieś dowody? – zastanawiał się na głos.

– Jakie dowody? – Harry uśmiechnął się krzywo. – Ta dziewczyna nie jest o nic oskarżona.

Szli teraz pustym korytarzem do wyjścia.

– Ale w końcu to jej rzeczy.

– Lepiej nie łam sobie tym głowy – odparł Harry. – Ona już tu nie wróci. Wspomnisz moje słowa. Te wszystkie szpargały za jakiś czas wylądują w piwnicy, a pokój zajmie ktoś inny.

Dotarli do drzwi. Bob otworzył je kluczem. Przed nimi widać już było wyjście z oddziału zamkniętego i dyżurkę pielęgniarek. Harry zwolnił kroku.

– Będę potrzebował od ciebie jeszcze ten adres Chomika... Chcę mu zadać parę pytań.

– Na kiedy mam go załatwić?

– Bob, przecież ci mówiłem w piwnicy, że od razu. – Harry spojrzał podejrzliwie na pielęgniarkę.

– No tak. – Bob spieszył się.

– Widzę, że masz dobrą pamięć, ale krótką. Pieniądzy bym ci nie pożyczył. – Harry uśmiechnął się kpiąco. Pielęgniarka nic nie odpowiedziała.

– Poczekam w barku na dole, a ty przyniesiesz mi adres tego faceta.

Bob skinął głową. Harry przystanął nagle.

– Oczywiście nikomu ani słowa o naszej rozmowie.

– Pamiętam – mruknął Bob.

– Tak tylko przypominam – westchnął Harry. – Już się trochę pogubiłem w tym, co pamiętasz, a co już zapomniałeś. Powiem ci tylko, że jeśli ktoś pomógł biednemu Tomowi się powiesić, to już ma przesrane. Coś zwęszyłem, a wiesz, że mój nos nigdy mnie nie myli.

Ruszyli do wyjścia z oddziału.

– Zadzwoń do mnie, jak coś ustalisz? – zapytał nagle Bob.

– Jak coś ustalę, to dowiesz się z gazet – odparł Harry.

– Nie możesz po prostu zadzwonić? – Bob posmutniał. – Chcę wiedzieć, co się stało z Tomem.

– Dobrze, zadzwonię. – Harry uśmiechnął się i poklepał olbrzyma po ramieniu.

– Obiecujesz?

– Obiecuję, a teraz mnie wypuść, wracam do normalnego świata. Czekam w barku, przyjdź zaraz.

Brzęknął zamek i Harry opuścił oddział.

Bob stał i patrzył za nim, jak znika na schodach. Potem odwrócił się i poszedł na oddział. Idąc, uśmiechał się do siebie pierwszy raz od kilku dni. Ten detektyw może nie był zbyt miły, ale z pewnością był skuteczny.

*Widzisz, Tom, nie wypijemy już razem piwa na tym twoim grillu – pomyślał Bob. Nie doczekałeś emerytury, ale może przynajmniej uda się złapać tego, kto ci to zrobił.*

Kiedy Harry dopijał kawę w barku, Bob przybiegł truchtem z rozbieganymi oczami. Robiąc konspiracyjne miny, wręczył mu pomietaną kartkę z adresem Chomika.

– Dobra robota – pochwalił go Harry. – Na mnie czas. – Zabrał papierowy kubek z resztką kawy i szybko opuścił szpital. Wskoczył do swojego wozu i ruszył z impetem, aż żwir poleciał spod kół. To była jego pierwsza i ostatnia wizyta w szpitalu. Dowiedział się wszystkiego, czego chciał. Cała sprawa



zaczynała układać się w spójną całość. Harry czuł, że zaczyna rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Bob wrócił na oddział, a uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

## **Szyba w łazience**

*Polska, Warszawa*

– Poczekaj, zaraz wrócę – rzuciła Marta do Mikołaja, wchodząc cicho na górę.

Jasmine brała akurat prysznic. Przez zaparowaną szybę widać było zarys jej ciała. Marta cicho weszła do sypialni. Tak jak się spodziewała, łóżko zajmowała torba z rzeczami, a gałązka lawendy leżała podeptana na podłodze.

– Idiotka – mruknęła kobieta. Chwilę później była z powrotem na dole.

– Szyba, szyba, szyba – powiedziała, wchodząc do kuchni.

– O co chodzi, jaka szyba? – zdziwił się Mikołaj.

– Powtarzam ci o niej od roku.

– Ale nie rozumiem, co się zbiło?

– Chodzi mi o szybę w łazience, za dużo przez nią widać. – Zmroziła go spojrzeniem. – Już dawno temu miałeś ją wymienić na mleczną, taką jaka powinna być w łazience. Przypominam ci, że mamy tu synów i traf chciał, że odwiedziła nas dorastająca kuzynka. Nie uważasz, że to krępujące? – Skrzyżowała ręce na piersi.

– A, ta szyba. – Mikołaj westchnął. – Daj spokój, Marek może jest wysoki, ale nie sięga do niej. Gwarantuję ci, że nie będzie podglądał kuzynki.

– O, świetna wiadomość. W takim razie podglądać możesz tylko ty, a Marek od wypadku podstawia sobie krzesło. Rozumiem, że Stasia weźmiecie na ręce?

– Ale po co te nerwy?

– Po prostu zrób od czasu do czasu to, o co proszę. Wtedy unikniemy niekomfortowych sytuacji, a nasze życie wejdzie na wyższy poziom.

– Dobrze, jutro zabiję szybę deskami, jak w tym filmie o zombie.

– Oj, przestań. – Marta machnęła ręką. – Nalej mi lepiej wina. Nie jestem dzisiaj w nastroju do żartów.

– Właśnie widzę, ale chyba mieliśmy zrobić kolację. Nie zapominaj, że mamy gości.

– To ty wyskoczyłeś z tą kolacją, więc ty ją rób. Ja będę piła wino.

– Wiesz, ja cię naprawdę czasami nie rozumiem – westchnął Mikołaj. – Namawiasz mnie na ściągnięcie tutaj kuzynki, a potem się wściekasz. Gdzie tu logika?

– Dostanę to wino czy nie?

– Dostaniesz, ale przestań się wkurzać.

– Uważam, że zaproszenie jej tutaj było wielkim błędem – syknęła Marta.

– Chcesz ją odesłać?

– Najchętniej tak bym zrobiła. Coś mi z nią nie gra, tylko jeszcze nie wiem, co.

Mikołaj otworzył butelkę wytrawnej Kadarki. Marta oparła się o blat i piła wino małymi łykami. Do kuchni wszedł Marek i powiedział, że Stasio się obudził.

– W tym domu nie ma chwili spokoju – jęknęła Marta. – Trzeba ich wszystkich wysłać wcześniej spać, a potem musimy pogadać.

## **Pierwszy wieczór**

*Polska, Warszawa*

Na kolację Mikołaj przyrządził jajecznicę. Zjadł ją z Markiem i Jasmine. Marta w tym czasie usypiała Stasia. Jasmine natychmiast po jedzeniu poszła spać, wymawiając się jet lagiem. W sypialni zapaliła nocną lampkę i położyła się na łóżku. Leżała z otwartymi oczami i słuchała, jak dom pogrąża się w wieczornej ciszy. Słyszała, jak Marek wszedł do łazienki. Kiedy wracał do swojego pokoju, natknął się na Martę. Chwilę coś szeptali. Jasmine doszły odgłosy kroków schodzącej na dół ciotki. Chwilę jeszcze leżała, wodząc oczami po pokoju, którego ściany pokrywała tapeta w zielone pędy bambusa. Dopiero teraz schodził z niej cały stres. To wszystko, co się wydarzyło w ostatnim czasie, było istnym szaleństwem. Miała wrażenie, jakby w jej życiu ktoś wcisnął przycisk przyspieszenia. Teraz następował reset.

Z pierwszego poziomu mieszkania dobiegał szcęk naczyń. Mikołaj sprzątał po kolacji. Jasmine odniosła wrażenie, że wszystko działa się tu powoli, czas jakby zwolnił.

Cicho wyszła ze swojej sypialni. Zatrzymała się przed drzwiami łazienki, nasłuchując, ale na górze chłopcy już spali, a z dołu dochodził przytłumiony głos telewizora. Weszła do największej łazienki z wanną. Odkręciła kurek

z gorącą wodą, wlała płyn i wsypała sól do kąpieli. Czuła się szczęśliwa i wolna. Zwykłe życie w zwykłym domu. Aż dziw, że takie drobiazgi mogą zachwycać.

*Chyba nikt mnie nie zabije, jak poleżę trochę w wannie* – pomyślała.

Umyła zęby i postanowiła zadzwonić do Anny. Po głowie chodził jej pewien plan i chciała mieć tę rozmowę już za sobą. Wróciła do pokoju i zamknęła drzwi.

Prawniczka odebrała po trzecim sygnale. Bardzo się ucieszyła, słysząc było, że czekała na telefon. Jasmine nie wyczuła żadnej podejrzaney nuty w jej głosie. Powiedziała, że u niej wszystko w porządku i odezwie się po świętach.

– Bez pośpiechu – odparła Anna – nikt cię nie oskalpuje, jak trochę odpoczniesz. Zresztą ja po świętach jadę w góry. Nic się nie stanie, jak zadzwonisz w połowie stycznia.

– Jesteś kochana. Chcę tu trochę pozwiedzać – powiedziała Jasmine.

– Po prostu jestem człowiekiem, a ty musisz wypocząć. Masz otwarty bilet, odezwij się w połowie stycznia.

Gdy Jasmine wyłączyła telefon, na jej twarzy pojawił się uśmiech triumfu. Natychmiast poszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Zrzuciła ubranie i weszła do w połowie napełnionej wanny. Wyciągnęła się wygodnie i zagryzła usta.

Na rancie wanny leżał telefon, który nagle wydał z siebie cichy szmer. Jasmine drgnęła, ten dźwięk oznaczał nowego maila. Wzięła telefon w dłoń i spojrzała na ekran. Adres, z którego wysłano kolejny tajemniczy mail, znowu był dziwnym ciągiem znaków. Jasmine siedziała z bijącym sercem, wpatrując się w ekran.

Chwilę bawiła się telefonem. Ważyła go w ręku, obracała, aż nagle pozwoliła, by wysunął się z jej dłoni i z pluskiem wpadł do wody. *Ups, i po mailu* – pomyślała. *Mogło się tak przecież zdarzyć. Na pewno mnie tu nie znajdą.* Ekran chwilę świecił pod wodą, aż w końcu przegrał walkę z żywiołem i po prostu zgasł.

Jasmine odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy. To było naprawdę genialne posunięcie. Nie chciała, by ktokolwiek do niej dzwonił i jej szukał. Miała wystarczająco dużo czasu, by wszystko zorganizować i dopiąć na ostatni guzik. Woda wciąż się nalewała, a dziewczyna przymykając oczy, już snuła plany nowego, wspaniałego życia. Tu w tym domu, w tej wannie poczuła, jak marna była jej dotychczasowa egzystencja. Tu będzie mogła od razu po wstaniu z łóżka wylegiwać się w wannie, nikt niczego od niej nie będzie chciał,

nie będzie musiała ścielić łóżka i nie będzie żadnych punktów. Nie wrócą też te dziwne zdarzenia, których nie rozumiała. Gdy telefon zatonął, poczuła się wolna. Przymknęła oczy i oparła głowę na rancie wanny. Teraz mogło być już tylko lepiej.

## ROZDZIAŁ 28

*Nie pojmuję, jak można nie palić; kto nie pali, dobrowolnie pozbawia się, że tak powiem, najlepszej części życia, w każdym razie wielkiej przyjemności!*  
Thomas Mann, *Czarodziejska góra*

### **Wielkie porządki Sally**

*Kanada, Lac-Écho*

Sally ubrała się w dres i założyła jedną z koszul Harry'ego. Zrobiła sobie kawę w dużym kubku i stanawszy pośrodku mrocznego salonu, zaczęła się zastanawiać, od czego zacząć. Dom detektywa przypominał stajnię Augiasza. Na regale z książkami były poutykane gazety, gdzie się nie spojrzęło, piętrzyły się stosy rzeczy w pudełkach, a każda szafka była zapchana do granic możliwości.

Kobieta zaczęła się przechadzać z kubkiem kawy. Zaglądała wszędzie. Oczywiście przy okazji myszkowała, szukając czegoś nieokreślonego z mrocznym konturem. Sprawdziła biurko w gabinecie. Szuflady ledwo dały się otworzyć, tak napchane były szpargałami. W jednej znalazła brudne skarpetki, w innej karton ze stęchłym mlekiem. Opakowanie było tak wybruszone, że zdawało się bliskie eksplozji.

Postanowiła zajrzeć do piwnicy. W końcu to najczęściej tam ukrywa się wszystko, co ma być schowane przed światem. W piwnicy oprócz zakurzonych sprzętów nie było jednak niczego ciekawego. W sumie było tu najmniej rzeczy. Kilka starych mebli i stół do ping-ponga. Sally zrobiła sobie nową kawę i poszła na strych. Tam z kolei było mnóstwo pudeł. Zaczęła przeglądać je wrywkowo. Szybko zorientowała się, że w większości należą do starych właścicieli, od których Harry kupił dom.

*Chyba będę musiała zamówić kogoś do pomocy – pomyślała. Ale najpierw wszystko trzeba dokładnie przejrzeć.*

Jej wrodzona sumienność nie pozwalała wyrzucić wszystkiego ot tak. Wzięła jeszcze jedno pudełko, by je sprawdzić. Nie było ani duże, ani ciężkie. Otworzyła je powoli, a serce mocniej jej zabiło. To było właśnie to, czego szukała, jakiś skrawek sekretów Harry'ego. Powoli, z wielkim skupieniem zaczęła wyjmować rzeczy z pudła. Wiedziała, że zaraz trafi na jakąś tajemnicę.

## **Marta rozmawia z Mikołajem**

*Polska, Warszawa*

W końcu dom pogrążył się już w przyjemnej wieczornej ciszy. Mikołaj otworzył w salonie pękatą butelkę czerwonej wytrawnej Kadarki. Marta siedziała na logii pod kocem przy włączonym gazowym piecyku. Pomysł Mikołaja z zimowym ogrzewaniem był genialny. Teraz mogli korzystać z balkonu przez cały rok. Piecyk dawał przyjemne ciepło, a ściany logii doskonale osłaniały od wiatru.

Mikołaj nalał wino do pękatych kieliszków, do których po umiejętnym rozlaniu wchodziła cała butelka wina.

- Oto twój puchar – powiedział wesoło.
- Cicho – syknęła Marta – bo obudzisz dzieci.
- Śpią jak kamienie – mruknął.
- Myślisz, że mogę zapalić? – spytała przymilnie.
- Koniecznie – odparł. – Przynieść ci papierosa?
- Bądź tak dobry.

Po chwili stali oparci o balustradę i palili, Mikołaj papierosa elektronicznego, a Marta mentolowego Rothmansa z sekretnej paczki ukrytej na regale w salonie.

– Boże, jak ja kocham takie wieczory. Za oknem śnieg, a my siedzimy przy piecyku, pijemy wino i palimy. – Marta rozmarzyła się.

– Wszyscy, którzy powinni spać, już smacznie chrapią w swoich łózkach i są bezpieczni – dodał Mikołaj.

– Słuchaj, mam pytanie. – Marta ściszyła nagle głos, choć nie było to wcale potrzebne, na górze wszyscy już spali i nikt nie mógł usłyszeć ich rozmowy. – Co myślisz o naszym gościu?

Mikołaj w odpowiedzi wzruszył lekko ramionami.

– A niby co mam myśleć? Dziewczyna wydaje się być w porządku. A ty jak uważasz?

– Sama nie wiem, mam mieszane uczucia. Odnoszę wrażenie, że jest w niej coś dziwnego. Coś takiego jak z bajki o Królowej Śniegu. Pamiętasz tę opowieść?

– No ba, jak bym mógł nie pamiętać twojej ulubionej bajki Andersena?

– Królowa Śniegu w zasadzie nic złego nie zrobiła – stwierdziła Marta. – Kaj sam pozwolił, by zabrała go do swojego lodowego pałacu. Pocałowała go tylko w czoło i sprawiła, że zapomniał o swoich bliskich. Okruchy potłuczonego lustra w sercu i oku Kaja to też nie była jej robota. Tylko ten jeden pocałunek zapomnienia. Można to porównać do złego wpływu.

Mikołaj pokiwał głową.

– Uwielbiam te twoje freudowskie przemyślenia.

– Dziękuję za miłe podsumowanie. – Uśmiechnęła się lekko. – Poza tym zawsze, jak czytałam tę opowieść, wyobrażałam sobie, jak okrutnie musiało być zimno tuż obok Królowej Śniegu. Tak właśnie czułam się dzisiaj obok Jasmine. Ona jest dla mnie taką małą Królową Śniegu.

– Poetycko to ujęłaś – stwierdził Mikołaj.

– Wiesz, zapalę jeszcze jednego – powiedziała Marta z błyskiem w oku. Wyjęła papierosa z szerokiej, eleganckiej paczki. Mikołaj kupił jej kiedyś cały karton mentolowych Rothmansów, bo stwierdził, że to wyjdzie taniej. Karton gdzieś się zawieruszył i przy okazji wielkich porządków okazało się, że przeleżał na pawlaczu ponad dziesięć lat. Marta już od dawna nie paliła. Ale gdy Mikołaj pewnego wieczoru wręczył jej z tajemniczą miną cały odnaleziony karton, poczuła, jakby dał jej sztabkę złota. Marta paliła je na studiach; teraz były już przeszłością, już dawno ich nie produkowano.

– Mam je wyrzucić? – zapytał wtedy Mikołaj.

– Nie żartuj – oburzyła się. – Jestem chyba jedyną na świecie posiadaczką całego kartonu zielonych Rothmansów. Będę je paliła przez całe życie. Wnuki będą się pytały: „Co babcia pali?”, a wtedy ja odpowiem z dumą: „Najlepsze papierosy świata, kochani”. Wtedy wnuki wytrzeszczą oczy ze zdumienia. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego przestali je produkować. Mam wrażenie, że świat schodzi na psy i teraz opłaca się wytwarzać samo gówno. I wytłumacz mi, proszę, po co umieszczają na paczkach te straszne zdjęcia z chorymi płucami? Przecież jesteśmy w końcu dorośli.

Mikołaj wzruszył wtedy ramionami. Marta zawsze zadawała dużo retorycznych pytań.

W czasie balkonowych posiadówek pozwalała sobie na chwilę powrotu do przeszłości. Pałac, przymykała czasami oczy i wydawało się jej, że jest tą samą Martą, co na studiach, że czas nie istnieje i wszystko jest po staremu. Naprawdę miłe uczucie.

Teraz Marta zaciągnęła się papierosem i powoli wypuściła dym.

– Uwielbiam palić z tobą mentolowe Rothmansy i pić wino – stwierdziła. – Dym wtedy tak śmiesznie łaskocze w gardło.

– Chcesz dolewkę? – Mikołaj podniósł butelkę Kadarki.

– Poproszę. – Marta wyciągnęła kieliszek. – Co myślisz o jej twarzy? – spytała nagle.

– Nie można zaprzeczyć, że to ładna dziewczyna.

– Jakoś wymijająco mówisz. – Marta uśmiechnęła się krzywo, wydychając dym. Mikołaj zmieszał się.

– A co mam mówić? – Wzruszył ramionami.

– Możesz na przykład powiedzieć, że ci się podoba.

– Cicho, jeszcze nas usłyszysz – mruknął.

– Czyli coś ci tam chodzi po głowie. – Popukała go w czoło i zachichotała. – Ta szyba w łazience będzie cię korciła. Przyznaj, że się speszyłeś. Nie bój się, nie usłyszysz nas, dalej będziesz mógł uchodzić za superwujka. Bierze teraz kąpiel i namydla swoje boskie ciało. Sam pomyśl. – Marta uczyniła rękoma ruch zakreślający kształt dużych piersi.

– Byłaś na górze?

– Nie zmieniaj tematu. – Zaśmiała się. – Oczywiście, że byłam. Musiałam skontrolować, co tam się dzieje. Byłam ciekawa, czy przypadkiem nie poukręcała łebków naszym dzieciom.

– Jesteś pijana – stwierdził Mikołaj.

– Oj, przyznam ci się, że trochę tak. Tak mi ciągle dolewasz tego wina... A cycki? Co myślisz o jej cyckach? – Uśmiechnęła się przekornie.

## **Wieczór w wannie**

*Kanada, Lac-Écho*



Mimo że Harry miał kupić tylko wino na kolację, wrócił do domu obciążony zakupami. Ledwo zdołał otworzyć drzwi. Postanowił tego wieczoru przyrządzić dla Sally swoje popisowe danie, czyli krewetki ze szpinakiem.

– Jestem w domu – zawołał w progę. Odpowiedziała mu cisza. Rozebrał się w holu i wszedł do salonu. Panował tam wzorowy porządek, a wiele rzeczy zniknęło, na przykład kolekcja białej broni znad kominka. Uprzątnięto też wszystkie pudła stojące po kątach. Cały salon lśnił czystością i jakoś inaczej pachniał. Harry wciągnął powietrze przez nozdrza.

*Zapach czystego domu* – pomyślał. Już od dawna nie czuł tej woni.

– Wróciłem! – powtórzył, ale znowu odpowiedziała mu cisza. *Może Sally posprzątała tę stajnię Augiasza i po prostu dała nogę?* – przemknęło mu przez myśl. W aneksie kuchennym na blacie znalazł kartkę napisaną przez Sally: „Zajrzyj do łazienki”.

– Okay – mruknął do siebie i ruszył na górę. Po drodze zajrzał do kilku pokoi. Wszędzie panował sterylny porządek; zniknęły niepotrzebne rzeczy. Harry był naprawdę zaskoczony, zastanawiał się, jak jedna wążka Sally mogła wykonać taki ogrom pracy w jeden dzień. Pamiętał, jak zostawił ją rano po śniadaniu, myślał wtedy, że może uporządkuje parę pudeł, a potem oklapnie.

Zapukał do drzwi łazienki.

– Zapraszam – dał się słyszeć głos Sally.

Harry z mocno bijącym sercem wszedł do środka. We wnętrzu panował półmrok, który rozświetlały tylko migoczące świece. W wielkiej wannie leżała wygodnie rozciągnięta Sally. Spod grubej warstwy piany wystawały tylko jej głowa i smukła dłoń, w której trzymała kieliszek szampana.

– Jesteś niemożliwa. – Harry uśmiechnął się. – Nie dość, że sprzątnęłaś cały dom, to jeszcze kupiłaś szampana?

– Szampana znalazłam w twojej lodówce. Proszę, to dla ciebie. – Podążyła mu kieliszek. – Dołączysz do mnie? Przyznam, że jestem wykończona, to była gigantyczna praca. Ale mam nadzieję, że dom ci się podoba.

– Oczywiście – odparł Harry, rozbierając się pospiesznie. – Nie sądziłem, że zrobisz aż tyle.

Był trochę zawstydzony tym, że Sally mu się przygląda. Ona z uśmiechem śledziła jego wysportowane ciało.

*Każdy mężczyzna w tym wieku powinien wyglądać tak jak on* – pomyślała. Harry naprawdę poruszał w niej struny totalnej namiętności. Była między nimi niezwykła chemia. Z Thomasem nigdy tak nie było, nawet gdy byli młodzi. Harry miał w sobie coś, co sprawiało, że przez ciało Sally przebiegały przyjemnie łaskoczące prądy.

– Teraz można sprzedać ten dom, na pewno mnóstwo ludzi będzie chciało go kupić – powiedziała.

– Jesteś niezwykła. – Harry wszedł do wanny. Nie potrafił odnaleźć w pamięci wspomnienia, kiedy z byłą żoną brał kąpiel. *A może to się nigdy nie wydarzyło?* – pomyślał. Z Sally działo się dużo i szybko. Mieszkali ze sobą raptem kilka dni, a odnosił wrażenie, że zna ją całe lata.

– A tobie jak poszło? – zapytała, unosząc brew.

– Dowiedziałem się kilku ważnych rzeczy.

– No to za sukces! – Uniósł kieliszek ku górze. – Zobacz, jaką jesteśmy parą, nic nie może nas powstrzymać.

– Kupiłem mnóstwo rzeczy na kolację, będę dzisiaj dla ciebie gotował.

– Wyśmienicie, wprost umieram z głodu po tej katorzniczej pracy.

– Ale powiedz, jak to zrobisz?

– Po prostu zakasałam rękawy. – Roześmiała się.

– A tak na poważnie? – Drążył dalej.

– Zamówiłam kontener, pomagało mi dwóch pracowników, ale wszystko wcześniej przejrzałam. Rzeczy, które uznałam za cenne, są w garażu, można je sprzedać. Ta kolekcja noży znad kominka i tak dalej.

– Wreszcie ten dom wygląda jak... – Harry szukał odpowiedniego słowa.

– Jak dom – dokończyła Sally. – A teraz powiedz, czego się dowiedziałeś, umieram z ciekawości.

– To przy kolacji, bo mam ci mnóstwo do opowiedzenia. To bardzo zawiła historia. – Mówiąc to, Harry zbliżył swoje usta do ust Sally i pocałował ją przeciągle.

## **Marta pełna obiekcji**

*Polska, Warszawa*

– Co ja mogę powiedzieć o jej cyckach? – Mikołaj zamyślił się – No, coś tam ma, jak to osiemnastolatka – odparł.

– Ty chyba żartujesz! – Marta prychnęła. – Jak twoim zdaniem osiemnastolatki mają takie cycki, to ja jestem angielską królową. Zresztą ona w ogóle wygląda na starszą. Na początku myślałam, że to jakaś pomyłka. Stoję na tym lotnisku z tłumem dzieci jak kretyka...

– Mówiłem ci, żebyś nie brała chłopaków – przerwał jej Mikołaj.

– Masz rację. – Skinęła głową. – Ale zrobiłam po swojemu, no i stoję jak ta matka Polka, czekając na nastolatkę. Tymczasem w moją stronę idzie dorosła kobieta i wita się ze mną, mówiąc słodkim głosem „ciociu”. – Marta przedrzeźniła głos Jasmine. – Przypomniał mi się wtedy horror o takiej rodzinie, która adoptowała małą dziewczynkę. Po czasie okazało się, że ta mała dziewczynka to dorosła psychopatka, tyle że karlica. Happy endu niestety nie było. Karlica wymordowała całą rodzinę siekierą.

– Ta nasza na szczęście nie jest karlicą – zauważył Mikołaj – i nie mamy w domu siekiery.

– To prawda, ale sam pomyśl, może jest psycholką. Poznała w samolocie naszą prawdziwą kuzynkę, która leciała do nas na święta, zamordowała ją, ukradła jej tożsamość i niczym wąż wślizgnęła się do naszej rodziny. – Marta uczyniła ruch przypominający pełzającego gada.

– A niby dlaczego miałyby to robić? – Mikołaj zaśmiał się.

– Mój drogi, muszę przyznać, że niezły z ciebie romantyk. Kobiety robią o wiele bardziej szalone rzeczy zupełnie bez powodu. Ale może jest przestępczynią, która kradnie tożsamości i ukrywa się w różnych rodzinach. Przyznaj się, że nie pomyślałeś o tym?

– Widzę, że dzisiaj masz wieczór teorii spiskowych – zauważył Mikołaj.

– W każdym razie będę ją miała na oku. Uważam też, że jest w niej coś okropnie sztucznego i oziębłego. Ale to tylko moje zdanie jako kobiety. Teraz trochę żałuję, że zgodziłam się na jej przyjazd. Może zepsuć nam święta, a tak bardzo chciałam, żebyśmy odpoczęli. – Przytuliła się do męża.

– Odpoczniemy. – Mikołaj pogłaskał ją po czole. – Będzie dobrze, zobaczysz.

– Zawsze tak mówisz, a potem jest...

– Zazwyczaj dobrze – dokończył ze śmiechem. – Zresztą pamiętaj o planie. Zaprosiłaś ją z pewnego konkretnego powodu.

Marta wyrzuciła papierosa za balustradę.

– Dlaczego to robisz? Nie możesz wziąć popielniczki jak człowiek?

– Mówisz jak mój tata. – Uśmiechnęła się zawadiacko. – A powinieneś już wiedzieć, że najbardziej na świecie nienawidzę popielniczek. Mają w sobie coś obleśnego. Po za tym nie chcę, żeby dzieci wiedziały, że czasem palę.

Mikołaj nic nie odpowiedział, a Marta przypomniała sobie dom rodzinny w Jastarni i garaż na tyłach ogrodu, gdzie dziadek Edward urządził niewielki warsztat. W weekendy stale tam przesiadywał.

Marta zaglądała tam często jako mała dziewczynka, a dziadek pozwalał jej wbijać gwoździe we wszystko, w co się dało. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie da się wbić gwoździa w betonową podłogę. Dziadek pozwalał jej na wszystkie desperackie próby i całował w palec, gdy przywalila sobie w niego młotkiem. Palił wtedy zawzięcie i zamiast popielniczki przez lata używał tego samego dużego stoika. Napętniał go do połowy wodą i topił w nim wypalone papierosy. Stoik był cały pozółkły od nikotyny i niemiłosiernie cuchnął. Chyba dlatego Marta nabyła popielniczkowej fobii.

*Może powinnam jechać na święta do Jastarni? Dziadek Edek jest już coraz starszy – pomyślała.*

Zdawała sobie sprawę, że pewnego dnia mama zadzwoni i przekaże jej tę smutną wiadomość. Oczami wyobraźni widziała już dziadka leżącego nieruchomo w ciemnym garniturze, który zresztą wisiał przygotowany u niego w szafie, ot tak na wszelki wypadek.

– Nie udawaj teraz świętej – mruknął Mikołaj, wrywając ją z zamyślenia. – Zaprosiłaś Jasmine tylko z jednego powodu. Dolary, dolary i jeszcze raz dolary.

– Dziwi mnie tylko to, jak ona dobrze mówi po polsku – wyznała Marta. – Podobno nigdy nie była w kraju.

– To nic wielkiego, po prostu Monika ją nauczyła.

– À propos, muszę poprosić ją jutro, by zadzwoniła do matki. Nie uważasz, że to podejrzane, że nie skontaktowała się z nią od razu po przyjeździe do nas?

– Może zrobiła to na lotnisku – zauważył Mikołaj. – Chodź już, chcę się do ciebie przytulić – mruknął, zabierając Marcie z ręki pusty kieliszek. – I proszę, przestań wszędzie wietrzyć problem.

– O nie, mój kochany. – Zaśmiała się przekornie. – Zapomnij o przytulankach. Pamiętaj, że mamy gościa, którego nie możemy deprawować.

Weszli do salonu i Mikołaj zabrał się za rozkładanie kanapy. Marta na palcach zakradła się na górę, ale panowały tam absolutna cisza i ciemność, wszyscy spali. Intuicja podpowiadała jej jednak, że coś jest nie tak. Miała

wrażenie, jakby wpuściła do domu najgorszego wroga, który teraz smacznie śpi w pokoju obok jej dzieci. Czuła, jakby jakiś lodowaty podmuch przechodził po mieszkaniu.

Mikołaj w doskonałym nastroju przygotował łóżko i włączył film z laptopa. Mężczyźni zazwyczaj odczuwają wszystko zupełnie inaczej, jeżeli w ogóle cokolwiek odczuwają.

## ROZDZIAŁ 29

*To, co dla mnie jest radością, rozkoszą, przeżyciem, ekstazą i podźwignięciem to świat zna i szuka chyba tylko w poezji, w życiu zaś uważa za obłąd.*

Hermann Hesse, *Wilk Stepowy*

### **Harry opowiada o sprawie**

*Kanada, Lac-Écho*

Nim Harry zaczął przyrządzać kolację, nalał Sally kieliszek czerwonego wina. Potem usmażył na patelni krewetki ze szpinakiem.

– Lubisz czosnek? – zapytał.

– Nie mam nic przeciwko. – Uśmiechnęła się. – O ile ty też będziesz go jadł. Nie chcę, żebyś się potem krzywił, gdy będę cię chciała pocałować. – Zachichotała.

– Oczywiście, że będę jadł czosnek. W końcu to moje popisowe danie.

Harry gotował, popijając wino.

– Zaczynaj opowiadać – poprosiła Sally. – Nie mogę się już doczekać. – Wierciła się na wszystkie strony, stojąc przy blacie w kuchni.

– W szpitalu podałem się za montera kamer – powiedział Harry. – Sporo się tam dowiedziałem. Oprowadzał mnie jeden z pielęgniarzy, niezbyt rozgarnięty, ale bardzo miły. Wyciągnąłem od niego wiele informacji. Ta mała już wyjechała do rodziny, tak jak mówiłaś. Facet obiecał, że zdobędzie dla mnie ich adres. Ma do mnie zadzwonić.

– To bardzo dobrze. – Sally ucieszyła się.

– Okazało się, że zginął tam jeden z pielęgniarzy. Chucky, bo taką ma ksywkę w szpitalu Jasmine, wtedy akurat nie było.

– Niezły pseudonim. – Sally parsknęła śmiechem. – A gdzie była?

– Spędzała weekend ze swoją prawniczką.

– No właśnie, prawnicy i przestępcy idą, jak widzę, ręka w rękę – stwierdziła gorzko Sally, splatając ręce na piersiach. – W sumie gdyby

nie przestępcy i ludzie nieuczciwi, prawnicy byłiby bezrobotni. A wiadomo, że jak nikt inny uwielbiają porządnie napchać sobie kabzę.

– Ten pielęgniarz się powiesił – powiedział Harry. – Coś nie dawało mi jednak spokoju. Zadzwoiłem do mojego dobrego kolegi, który wciąż pracuje na komendzie.

– To ten, co polecił ci knajpę na randkę?

– Dokładnie, ten sam. W kwestii knajp może nie jest autorytetem, ale to naprawdę dobry glina. Podpytał o tę sprawę i okazało się, że choć było w niej wiele nieścisłości, została już skierowana do zamknięcia.

– Widzę, że bardzo się spieszyli przed świętami – zauważyła Sally.

– Powód był trochę inny... – Harry zawiesił głos i przerwał na chwilę opowieść, by nałożyć krewetki. Kiedy zaczęli jeść, podjął wątek.

– Śledztwo prowadził kuzyn szeryfa, młody inspektor bez doświadczenia. To była jego pierwsza sprawa. Facet uczeplił się tego, że wisielec czubkiem jednego z butów dotykał blatu biurka. Czyli nie do końca mógł się sam powiesić. Gdyby zaczął się dusić, chciałby się wyswobodzić, a tu nic takiego nie nastąpiło. Inspektor wysnuł więc wniosek, że ktoś pomógł pielęgniarzowi popełnić samobójstwo. Jednak to była dość ryzykowna hipoteza. Zorganizował wielkie przesłuchania personelu i pacjentów w namiocie ustawionym przed szpitalem i kilkoro dzieciaków się przeziębiło. Ich rodzice zrobili podobno straszną awanturę. Szeryf też się wściekł, tym bardziej, że z ratusza miał telefon z reprimendą za cyrk, który urządził w szpitalu dla nieletnich tuż przed świętami. Sprawę na razie zawieszono. Jasmine nie została nawet przesłuchana, bo zdążyła już wyjechać.

– Ale powiedziałaś, że w czasie zabójstwa była ze swoją prawniczką, więc nie mogłaby tego zrobić – zauważyła Sally.

– Ale mogła poprosić o pomoc któregoś ze swoich kolegów świrów. Podobno przyjaźniła się z samymi zabójcami.

– Widzisz, to potwierdza moją teorię. Jednak swój do swego ciągnie. Gdyby była niewinna, nie zadawałaby się z takimi ludźmi. – Sally wzięła łyk wina i zamyśliła się. – Harry, musisz zdobyć numer telefonu ludzi, do których ona pojechała na święta. Musimy tam zadzwonić i ich ostrzec.

Harry pokiwał głową.

– Zrobimy to, jak tylko pielęgniarz spełni obietnicę. Muszę załatwić jeszcze jedną rzecz – powiedział tajemniczo.

– Jaką?

– Porozmawiać z jej psychiatrą. Może on coś będzie wiedział.

– Doskonały pomysł – powiedziała Sally. – Jesteś naprawdę dobrym detektywem. – Uniosła kieliszek do toastu. – I świetnie gotujesz. Krewetki są boskie. Twoje zdrowie.

Harry stuknął się z nią kieliszkiem, a potem nachylił się nad stołem i pocałował ją w usta.

– Straciłem dla ciebie głowę – szepnął.

– Zawstydzasz mnie. – Spuściła wzrok.

– Nigdy nie poznałem tak pięknej i niezwykłej kobiety jak ty. Twoje zdrowie.

Teraz Sally dla odmiany nachyliła się nad stołem i odwzajemniła pocałunek. Szybko skończyli kolację i wylądowali w łóżku.

Gdy leżeli już po seksie, Harry patrzył w sufit, a Sally położyła mu głowę na piersi. Dotykał jej pleców i myślał nad czymś intensywnie.

– Coś cię gryzie? – spytała nagle.

– Absolutnie nie – mruknął. – Uznasz pewnie, że jestem głupi, ale ciągle myślę o tej sprawie. Sądzę, że ktoś pomaga tej małej.

– Nie rozumiem. – Sally zmarszczyła brwi.

– To może być część czegoś większego. Możliwe, że zabójstwo jej rodziców to tylko tło dla jakiejś innej sprawy.

– Dlaczego tak uważasz?

– Mój nos mi to podpowiada – odparł wesoło. – A tak naprawdę to ktoś ją chroni. Ona nie działa sama, to pewne. Ktoś usuwa wszelkie przeciwności z jej drogi. Przynajmniej jak dotąd tak to wygląda. Może coś się wyjaśni po rozmowie z psychiatrą i będę mógł ci więcej powiedzieć. Przepraszam, ale tak pracuję. Gdy czymś się zajmuję, to myślę o tym cały czas.

– Rozumiem, nie musisz się tłumaczyć.

– Mam nadzieję, że cię nie nastraszyłem? – spytał. – Pamiętaj, przy mnie nic ci nie grozi. – Pocałował ją w czoło.

– A co śpisz z bronią pod poduszką? – Zachichotała. – Nic nie mów, sama sprawdzę. – Przesunęła ręką pod głowę Harry'ego.

– Nic tam nie znajdziesz. Broń trzymam pod łóżkiem – mruknął.

– Poważnie? Śpimy nad nabitym pistoletem?



– Rewolwerem – poprawił ją. Sięgnął pod łóżko i wyjął spod niego potężnego smitha & wessona dwudziestkę dziewiątkę, kaliber czterdzieści cztery magnum.

– Pokaż mi – poprosiła Sally.

– Uważaj, jest nabity – ostrzegł ją Harry.

– Jakie to ciężkie. – Sally aż ugięła się ręka od masywnej broni. Wycelowwała w ścianę. – Bam, bam! – zawołała.

– I już by nie było ściany. – Detektyw zaśmiał się. – Tej broni nic nie powstrzyma. Siła ognia jak w kałasznikowie. Używał jej Brudny Harry.

– O proszę. – Sally uniosła brew i spojrzała z ukosa. – Tak cię będę teraz nazywać: Brudny Harry. – Uśmiechnęła się, oddając mu broń.

– Tak, jestem twoim Brudnym Harrym – zgodził się. – Odstrzelę łeb każdemu, kto będzie chciał cię skrzywdzić. Dopiero potem będę zadawał pytania.

Sally przytuliła się mocno do Harry'ego. Przy nim czuła się naprawdę bezpieczna i rozumiana. Tej nocy pojęła, że go kocha. Przymknęła oczy. To nie było zwykłe zauroczenie.

## **Dziwny sen Jasmine**

*Polska, Warszawa*

Jasmine po kąpieli bardzo szybko zasnęła. Tej nocy przyśnił się jej dziwny, niepokojący sen, chyba bardziej realny od rzeczywistości. Kolory i zapachy były bardziej jaskrawe i wyraźne, a myśli miały w sobie coś odkrywczego.

Przy pierwszym zabójstwie morduje się nie tylko człowieka, ale również swój strach. Po tym akcie wszystkie granice znikają i nagle okazuje się, że można już wszystko. Przy drugim zabójstwie jest już o wiele łatwiej. Okazuje się, że świat się wcale nie zawalił. Wszystko toczy się normalnym trybem. W barach ludzie piją drinki i głośno się śmieją. Absolutnie nikt nie wie, co się wydarzyło. Świat gna naprzód, a dokonane morderstwo jest tylko drobiazgiem, który nikogo nie obchodzi.

Najważniejsze w tym wszystkim jest, żeby nie dać się złapać. Nie można dać się wciągnąć w tryby potężnej, skomplikowanej maszyny sprawiedliwości. Trzeba za wszelką cenę omijać ją z daleka, bo kiedy kogoś pochwyty, nic już nie może jej zatrzymać.

Jasmine pierwsze zabójstwo miała już za sobą. Pozbyła się swojej rodziny. W zasadzie ten czyn ją wyzwolił, nareszcie mogła robić tylko to, co chciała. Nie było nikogo, kto mógłby ją ograniczyć albo wpłynąć na jej myśli, albo mówić za jej plecami, że coś jest głupim pomysłem i nie warto. Czasem dobrze jest być samemu ze swoimi myślami. Jednym słowem Jasmine czuła się wolna.

Przyleciała do Paryża, kiedy liście opadały już z drzew, tworząc na alejach szeleszczący kolorowy kobierzec. Niestrudzeni sprzątacze zamiatali liście i pakowali do worków, a one wciąż spadały. Miało się wrażenie, że jest ich niewyczerpana ilość. Jasmine nie miała ochoty sprawdzać, kiedy w Paryżu z ostatniego drzewa spadnie ostatni liść. Zawsze jest takie drzewo i taki liść, ale oczywiście ludzie nigdy nie zastanawiają się nad tym. Dla nich to błahe sprawy, a tak naprawdę to oni i całe ich życie są błahostką. Natomiast ostatni liść spadający z drzewa to bardzo poważna sprawa.

Idąc w stronę wieży Eiffła, Jasmine przypomniała sobie książkę pewnego francuskiego pisarza. Nie pamiętała zupełnie fabuły ani nazwiska autora, ale zapamiętała jeden fragment powieści. Pisarz poszedł na spacer po Paryżu, była piękna pogoda, w pewnym momencie postanowił odpocząć na jednym ze skwerów. Wyciągnął się wygodnie na trawie i wtem poczuł, że coś uwiera go w rękę. Namacał mały biały kamyczek. Wyłuskał go z trawy i spojrzał na niego. Zupełnie możliwe, że kamień leżał tu od milionów lat i żaden człowiek nigdy go nie dotknął. Teraz ten pisarz trzymał go w dłoni, a potem wyrzucił daleko przed siebie, by leżał kolejne milion lat, czekając, aż znowu ktoś go odnajdzie.

Takie myśli krążyły w głowie Jasmine. Wjechała na drugi taras wieży Eiffła i spojrzała na panoramę. Miało się wrażenie, że po niekończących się dachach można by przejść ponad całym miastem. Ale oczywiście do tego trzeba być kotem. Daleko wyrastała ciemna ściana wieży Montparnasse, zupełnie jakby ktoś postawił w środku miasta klocek. Dalej na zachód dzielnica La Défense wyglądająca jak miasto obcych przeniesione z kosmosu i doklejone do Paryża. Nad tym wszystkim niebo z chmurami porozrywanymi przez wiatr, łączące krajobraz w jedną całość. Podobno artyści zjeżdżali do Paryża właśnie dla tego nieba, wynajmowali marne izdebki na mansardach i malowali, starając się uchwycić jego codzienny nastrój, który przecież za każdym razem jest inny. Raz dany układ chmur już nigdy się nie powtórzy.

Wielu z nich nie zdobyło sławy, ich obrazy gdzieś przepadły, a może kurzą się gdzieś na strychach, do których zapomniano kluczy? Ale w końcu

malarze to marzyciele i nie ma to dla nich większego znaczenia. Zazwyczaj chcą uchwycić coś ulotnego: śniadanie na trawie, światła samochodów błyszczące w ciemności, słoneczniki, wino pite przy zachodzie słońca, gdy promienie odbijają się w kieliszku, ostatni papieros z paczki smakujący zawsze wyjątkowo, ukłucie w sercu, gdy myśli się o kimś ważnym.

Tylko co właściwie zmienia zatrzymanie tych ulotnych chwil? Może tylko ptaki krążące nad Paryżem mają właściwy stosunek do wszystkiego, bo same są ulotną chwilą. I może to jest właśnie sens życia, odnalezienie tej lekkości, a nie skupianie się na sprawach, które i tak przeminą. Pory roku następują po sobie, budynki powstają i rozpadają się, samochody pędzą, ludzie spieszą się do swoich spraw, a to wszystko z perspektywy nieba może nie ma żadnego znaczenia, wieczność i tak pochłonie wszystko. Takie myśli krążyły w głowie Jasmine. Do jej serca zakradła się nostalgia jesiennego Paryża.

*Muszę jechać dalej, tu jesienią jest zbyt wiele smutku* – pomyślała.

W krajach z rozległymi lasami położonych dalej na wschód jest wiele zapomnianych miejsc, zupełnie jak na tych obrazach malowanych na strychach pod niebem Paryża. W starych budowlach zatrzymana jest wieczność. Tyle czasu minęło, a one wciąż trwają. Stworzyli je ludzie, ale w zasadzie nie są już im potrzebni do niczego. Stare budowle żyją własnym życiem.

Po opuszczeniu wieży Eiffla Jasmine natychmiast udała się do wypożyczalni samochodów i jeszcze przed wieczorem ruszyła na wschód. Jechała autostradami, ale gdy wjechała do krajów wschodu, zboczyła z głównych szlaków, wybierając lokalne drogi. Przejeżdżała przez wielkie lasy, w których rosły potężne drzewa, a grube dywany mchów ścieliły się gęsto na ziemi. Zapach był tak intensywny, że aż kręciło się od niego w głowie.

Z rzadka mijaly ją samochody. Miasta były niewielkie i po zmroku szybko się wyludniały. Wszędzie panował spokój ludzi żyjących w zgodzie z naturą. Nie przeciwstawiali się jej prawom, nie walczyli z nią, wiedzieli, że są jej częścią. Jasmine jechała wciąż dalej.

W końcu dotarła do miasta położonego na wzgórzu. Opasywał je stary mur obronny. Uliczki były wąskie i z trudem wjechała samochodem na rynek. Zaparkowała i poszła do restauracji coś zjeść. Lokal był połączony z hotelem, więc od razu wynajęła tam pokój.

Recepcjonista był bardzo gadatliwym człowiekiem i dowiedziała się od niego, że niedaleko znajdują się ruiny Czarnego Zamku wystawione

na sprzedaż. W krajach wschodu wszystko jest tańsze, zamiast małego mieszkania można kupić dom, a zamiast domu – zamek.

– Czarny Zamek jest niewielki – wyjaśnił recepcjonista. – Kiedyś mieszkała tam hrabina, która chodziła ubrana cała na czarno. Stroniła od ludzi, najlepiej dogadywała się z krukami, wilkami i kotami. Podobno była czarownicą. Pewnego dnia służba uciekła od niej i hrabina została sama. Nigdy nie wychodziła z zamku, świat zapomniał o niej, a ona o świecie. Zamek powoli zamienił się w ruinę, ale nigdy nie spotkano hrabiny ani nie odnaleziono jej ciała. Odtąd nazywano to miejsce Czarnym Zamkiem. Nikt tam nie chodzi. To złe miejsce. Teraz ruiny wystawiono na sprzedaż, ale kto to kupi? No kto to kupi? – Recepcjonista śmiał się do siebie. – Przecież tam tylko wiatr hula w strzępach murów.

*To coś dla mnie* – pomyślała Jasmine. W końcu każdy dąży do czego innego. Niektórzy karmią się swoimi fantazjami, bo to one napędzają całe życie. Czasami z pozoru nierealny plan staje się osnową całego życia. W końcu na czymś trzeba się oprzeć, coś musi być konstrukcją.

Recepcjonista tymczasem wciąż paplał zadowolony z faktu, że młoda, atrakcyjna kobieta go słucha. Był już w tym wieku, w którym towarzystwo młodych kobiet staje się bezcenne.

Jasmine oparła się o kontuar. Niby słuchała, ale myślami błędziła już po ruinach zamku.

*Nieduży – pomyślała. Czyli da się go odbudować, a potem to ja będę krążyć po tych salach ze srebrnym kielichem pełnym czerwonego wina Cheval Blanc, gęstego jak czekolada. Każdy łyk pozwala zatopić się tylko w swoich własnych myślach. Oddana tylko sobie, odgradzona od całego świata grubymi murami. Tak, muszę tam wyruszyć jutro z samego rana. Ciekawe, czy prowadzi tam jakiś szlak. Pójdę niby na spacer i zrobię rekonesans.*

Ludzie zazwyczaj o czymś marzą. Jeśli myślą o jakimś miejscu do mieszkania, to zazwyczaj jest to dom albo luksusowy apartament. Jasmine zawsze chciała kupić zamek. Mógł być zupełną ruiną, nie miało to większego znaczenia. Zamek daje poczucie bezpieczeństwa. Można zamknąć ciężką bramę i zadekować się w nim. Nie wychodzić całymi miesiącami. Czytać książki, spacerować po murach i spoglądać na księżyc. Na świecie mogą trwać zarazy, wojny, a zamek przetrwa to wszystko. Jego mieszkańcy również. Marzenia

trzeba realizować, niezrealizowane mogą stać się naszymi demonami. Jasmine dobrze o tym wiedziała.

Wyruszyła rano szczegółowo poinstruowana przez recepcjonistę, który porzuciłby hotel, gdyby tylko kiwnęła palcem. Ale nie był jej potrzebny. *Czemu na świecie jest tak dużo nieciekawych ludzi?* – Jasmine nigdy nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na to pytanie. *Zresztą ja też pewnie dla większości jestem okropną nudziarą.*

Rozmyślając tak, szła piaszczystą leśną drogą. Teren wznosił się i opadał. Kiedy wchodziła na wzniesienie, widziała z niego następane. Była już jesień i drzewa przebarwiały się w niezwykle kolory. Słońce świeciło blado i powoli zaczęło chować się za wzgórzami.

*No gdzie ten zamek?* – pomyślała Jasmine. *Miał być zupełnie niedaleko.*

Przyspieszyła kroku. Las ciągnął się aż po horyzont. Nie miała zamiaru spędzić nocy sama w leśnej głuszy. Mogły wytropić ją dzikie zwierzęta. Pewnie już dawno trafiły na jej ślad. Kiedy szła, nie minął jej żaden turysta. Szlak, tłumnie odwiedzany latem, późną jesienią był zupełnie opustoszały.

Już dawno powinna dojrzeć najwyższe wzgórze z Czarnym Zamkiem, ale nie było po nim śladu.

– Może pomyliłam drogę? – Przystanęła i rozejrzała się. Słońce chowało się już za las. Zachodziło szybko, jakby uciekając.

*No pięknie* – pomyślała. *Idiotka ze mnie.*

Już wiedziała, że się przeliczyła. Odległe przestrzenie zawsze wydają się łatwiejsze do pokonania, niż są w rzeczywistości. *Mogłam się domyślić, że recepcjonista nigdy nie był w Czarnym Zamku i nie ma pojęcia, jak to daleko* – zbeształa się w myślach. Nagle w głębi lasu dostrzegła światło.

*Może to schronisko* – przemknęło jej przez głowę. Bez namysłu skręciła w las w stronę smugi światła.

Mylła się jednak. Światło padało z okien niewielkiego domu zbudowanego z ciemnego kamienia, który wyglądał złowieszczo w gęstniejącym mroku. Małe okienka i grube mury dobitnie świadczyły o tym, że okolica nie była zbyt bezpieczna. Nie powinno się odwiedzać nieznannej rodziny mieszkającej na odludziu. Kto wie, co może czaić się w takim samotnym domu. Mrok lasu sprzyja ukryciu wszelkich tajemnic.

**Sally pokazuje zdjęcie**

## *Kanada, Lac-Écho*

Następnego dnia przy śniadaniu, kiedy właśnie pili kawę, Sally nagle sięgnęła do kieszeni i wyjęła zdjęcie. Położyła je na środku stołu.

– Kto to jest? – spytała.

– Skąd to masz? – zdziwił się Harry.

– Przecież nie sądzisz, że wyrzuciłam rzeczy z domu bez przejrzenia ich.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się mgliście. – To mój syn. Od lat się nie widzieliśmy. To zawiła sprawa.

– Myślę, że powinieneś do niego zadzwonić. Rozwód to jedna rzecz, a kontakty z synem druga.

– Dobrze, zadzwonię kiedyś – odparł wymijająco.

– Zrób to teraz. – Podsunęła mu telefon. – Zadzwon.

– Nie rozumiesz, co zaszło między nami – obruszył się.

– Nieważne, co zaszło. – Sally położyła mu rękę na dłoni. – To naprawdę nie ma znaczenia, po prostu zadzwon.

– I niby co mam powiedzieć? – spytał Harry.

– Może: „Cześć, synu, mówi tata, chciałem się dowiedzieć, czy kupiłeś już choinkę”? – Sally uśmiechnęła się delikatnie. – Mieliśmy wieczór szczerości, ale ani jednym słowem nie wspomniłeś wtedy o synu. A to cię gryzie, czuję to.

Harry wziął do ręki telefon. Wiedział, że Sally ma rację, ale wciąż czuł niezabliźnioną ranę.

## ROZDZIAŁ 30

*Światem rządzi wyobraźnia.*

Napoleon Bonaparte

### Sen

*Polska, Warszawa*

Jasmine ruszyła w stronę mrocznej chaty. Nie myślała o żadnych złych rzeczach, które mogą się czaić w domu na odludziu. Była zmęczona i głodna. Marzyła tylko o odpoczynku i ciepłej herbacie, więc śmiało zapukała do grubych dębowych drzwi. Otworzył jej wysoki mężczyzna z gęstą brodą.

– W czym mogę pomóc? Chyba pani zabłądziła? – zapytał, a jego niebieskie oczy zdawały się uśmiechać.

Jasmine w odpowiedzi skinęła głową.

– W takim razie zapraszam do środka. Mam na imię Vitalij. – Mężczyzna wyciągnął do niej rękę i ukłonił się lekko w staromodnym stylu. Był ubrany w kraciatą koszulę drwała i znoszone płócienne spodnie przytrzymywane przez szelki. W tym stroju przypominał trochę amisza.

Jasmine z ulgą weszła do wnętrza. Noc w lesie napawała ją lękiem.

Sień była długim, ciemnym korytarzem, którego lwią część zabierał rząd drewnianych szaf. Pozostawało jedynie ciasne przejście. Z sufitu zwieszała się żarówka dająca nikłe światło. Wystroju dopełniał kotyszający się lep na muchy. Oprócz drgających owadów dyndał tam również wielki czarny pająk. Przebierał bezradnie owłosionymi odnóżami. Złośliwość losu w czystej postaci: ofiary i prześladowca złapani razem w jedną pułapkę. Jasmine wzdrygnęła się z obrzydzenia.

Z kuchni wychyliła się pogodna kobieta w staromodnym czepek i fartuchu.

– To moja żona Lena – przedstawił ją mężczyzna.

Kobieta skłoniła się i zniknęła na powrót w kuchni. Wyglądała na osobę niezmiernie czymś zajęta.

– Ona teraz pilnuje dzieci – wyjaśnił gospodarz. – Zresztą zaraz poznasz nasze pociechy.

Przeszedł z Jasmine przez długi korytarz, który zdawał się być tunelem. Na samym końcu znajdowały się schody. Dom z zewnątrz wyglądał niepozornie, ale w środku był bardzo rozległy. Udali się na górę, gdzie Witalij pokazał Jasmine niewielki pokój gościnny na poddaszu.

– Tu będziesz spać. – Wskazał na żelazne łóżko.

Jasmine wzdrygnęła się, przypomniało jej ono szpital. W tym momencie poczuła, że nie chce spędzić nocy w tym domu. Gospodarz jednak zaprosił ją na kolację.

W kuchni pełnej przedpotopowych sprzętów uwijała się Lena. Za stołem rozsiadły się trzy najdziwniejsze indywidua, jakie Jasmine widziała w swoim życiu.

Lena i Witalij mieli troje dzieci. Wszystkie były dziwnie zdeformowane i cierpiały na jakieś przypadłości. Najstarszy chłopiec, wysoki ze spiczastym nosem, miał bardzo krótkie ręce i szponiaste palce. Nie potrafił mówić, tylko krzyczał piskliwym głosem. Był łysy i zupełnie pozbawiony zębów. Na plecach w miejscu łopatek wyrastało mu coś na kształt maleńkich skrzydeł. Cała jego postać była karykaturą ptaka. Wszyscy zwracali się do niego nie inaczej jak Ptasiek. Średni chłopiec był wysokim, barczystym debilem z zaciętym wyrazem twarzy. Czoło miał niskie i pomarszczone, a żuchwę wysuniętą jak małpa. Jego podobieństwo do tego zwierzęcia podkreślały złączone brwi. Najmłodsze dziecko przypominało pająka. Ciało miało poskręcane, zupełnie jakby robiło mostek. Z wykrzywionych ust groźnie błyszcząły ostre zęby. Oczy, chciwie i jadowicie łypały na wszystkie strony.

– Poznaj nasze szkraby – powiedział wesoło Witalij.

Jasmine widząc to przedziwne towarzystwo, które rozsiadło się za szerokim kuchennym stołem, cofnęła się odruchowo. Natrafiła jednak na przeszkodę, stała za nią gospodyni, blokując drzwi.

– Zapraszam do stołu. – Lena z naciskiem wskazała Jasmine wolne krzesło.

W tym momencie dziecko przypominające pająka zeskoczyło z krzesła i zaczęło biegać po kuchni jak oszalałe. Nagle skoczyło na ścianę i z chrobotem pobiegło aż pod sufit. Było tak szybkie, że wymykało się sile grawitacji. Przebiegło po suficie, potrącając lampę, która rozhuśtana zaczęła rzucać na ściany dziwne, powykręcane cienie.



– Synu, siadaj na miejsce – rzucił stanowczym głosem Vitalij.

Dziecko posłusznie wskoczyło na krzesło. Reszta siedziała jakby przyczajona. Jasmine miała wrażenie, że dzieci zaraz rzucą się na nią i rozerwą na strzępy. Patrzyły na nią chciwymi, głodnymi oczami, zupełnie jakby czasami zdarzało im się pożerać ludzi.

– Utknęła pani w lesie? – spytała z troską gospodyni, zupełnie ignorując szaleństwa młodego pająka.

– Tak – odparła niepewnie Jasmine. Cały czas usilnie zastanawiała się, co ma powiedzieć, by zręcznie wykręcić się z tej kolacji.

– Jesienią tak szybko zapada zmrok, to bardzo zdradzieckie, a las pełen jest dzikich zwierząt – zauważyła Lena.

– Niedawno w nocy pod drzwiami mieliśmy niedźwiedzia – dodał Vitalij. – Na szczęście jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Dobrze wiemy co robić. Jeden strzał z dubeltówki w powietrze i misiek zwiewał aż się kurzyło.

– Człowiek do wszystkiego przywyknie – powiedziała z uśmiechem Lena. – Ale życie w głuszy ma też swoje dobre strony: cisza, spokój, świeże powietrze.

Dzieci opuściły swoje krzesła i otoczyły Jasmine. Gospodyni machnęła ścierką.

– Jeszcze widno, uciekajcie na dwór. Kolacja dla was będzie później.

Po tych słowach dzieci jak na komendę wybiegły z domu niczym tabun dzikich zwierząt, tupiąc i piszcząc. Choć były różne od siebie, wszystkie panicznie bały się sieni i wysoko zawieszzonego lepu. Może to drgające muchy napawały je takim lękiem? A może wielki pająk? Przebiegły przez sień galopem, bojąc się, że lep zaraz spadnie, a one przykleją się do niego i dołączą do jego ofiar.

*Dziwne – pomyślała Jasmine. Lena jest przystojną kobietą, Vitalij też jest całkiem do rzeczy jak na zarośniętego faceta z lasu, skąd więc te potwory?*

Małżeństwo kochało się i kochało również swoje dzieci. Wcale nie uważali ich za swoje przekleństwo. To było naprawdę pouczające, ta ich umiejętność życia w piekle, które postrzegali jako raj.

Po wyjściu dzieci zapanowała bardziej przyjazna atmosfera. Jasmine przestała myśleć o opuszczeniu dziwnego domu.

*Może tylko mi się zdawało, jestem po prostu zmęczona – pomyślała. W sumie to mili ludzie. To nie ich wina, że takie mają dzieci.*

Zjadła z gospodarzami prostą kolację i spokojnie wypita herbatę. Gdy na dworze zrobiło się już ciemno, Lena wyszła na próg domu i zaczęła wołać dzieci. Długo trwało, zanim wyłoniły się zdyszane z gęstniejącego mroku. Każde z nich coś przeżuwało. Zmęczone biegiem niespiesznie zajmowały miejsca.

– Jak to dzieci, zawsze coś znajdą w lesie do jedzenia. – Lena roześmiała się beztrosko. Wszystko zawsze brała za dobrą monetę. Szklanka była u niej zawsze do połowy pełna.

*Szkoda tylko, że płyn w tej szklance to sama gorycz – pomyślała Jasmine. Kiedyś nadejdzie czas, że będzie trzeba to wypić. Nie da się wiecznie zaklinać rzeczywistości.*

Jasmine ze zdumieniem obserwowała, z jakim uczuciem rodzice nakładali dzieciom posiłek na talerze. One tymczasem siedziały nieruchomo i wodziły za rodzicami wzrokiem. Były to jednak gniewne spojrzenia. „Jeszcze nie próbujemy was zjeść, jesteście za mali” – zdawały się mówić ich oczy. Lena i Vitalij nie dostrzegali tego.

Jasmine od razu zorientowała się, kim są dzieci. One też szybko spostrzegły, że ona wie, że przybyły wprost z piekła. Ta rodzina była dla nich tymczasowym domem. Miały tu tylko rosnąć i nabrać sił. Los rodziców był już dawno przesądzony. Małe potwory łyptały na siebie nieufnie, naradzając się spojrzeniami, co zrobić z Jasmine, która odkryła ich tajemnicę.

Po kolacji, mimo protestów matki, że już ciemno i nie można, ponownie wybiegły na dwór. Pierwszy pajak z chrobotem, potem Ptasiak, a na końcu debil wydający bełkotliwe okrzyki. Lena poklepała się po zaokrąglonym brzuchu i uśmiechnęła szeroko.

– Czwarte w drodze.

Dopiero teraz Jasmine spostrzegła, że kobieta jest w ciąży. To musiały być pierwsze miesiące. Lena położyła rękę na brzuchu, a wtedy wyczuła bardzo mocne kopnięcie, aż skóra się wyciągnęła. Coś bardzo silnego chciało wydostać się na zewnątrz. Vitalij spojrzał na żonę lekko zaniepokojony, ale ta powiedziała z błogim uśmiechem:

– Spokojnie, kochanie, mamusię to boli, ale mamusia cię kocha. Nie spiesz się tak, leż sobie spokojnie w brzuszku.

*Jakie to upiorne – pomyślała Jasmine. Nic jednak nie dała po sobie poznać. Wiedziała, że musi zostać w tym domu na noc. Jeżeli tu czaiły się takie potwory,*

to co kryło się w leśnej głuszy?

Idąc do pokoju gościnnego na górę, Jasmine w myślach liczyła stopnie. Było ich dokładnie trzynaście. Pokój znajdował się naprzeciwko schodów. Stały w nim tylko żelazne łóżko, które wcześniej tak ją przeraziło, szafa, dzbanek na wodę i miednica. Dziewczyna rozebrała się i położyła do łóżka, które było zimne i nieprzyjemne. Przebierała nogami, by się rozgrzać.

Słyszała jeszcze jakieś dźwięki z głębi domu, jakieś strzępy rozmów, odgłosy zamykanych drzwi. W końcu wszystko ucichło i dom pogrążył się w nocnej ciszy, ale takiej nieprzyjemnej i ciężkiej.

*Martwa cisza* – pomyślała Jasmine.

Mimo że była zmęczona, nie mogła zasnąć i przewracała się z boku na bok. Gdzieś z dalekiej sypialni dobiegło ją chrapanie Vitalija. Zegar w salonie zaczął wybijać północ. Dziewczyna liczyła uderzenia, pierwsze, drugie, trzecie...

Kiedy zegar w końcu zamilkł, cicho skrzypnęły drzwi. Jasmine usłyszała szybkie kroki i chrobot. Po chwili koło jej łóżka stały dzieci. Ptasiek z groźnym spojrzeniem, debil, a na końcu pająk nerwowo przestępujący z nogi na nogę. Wszyscy wbili jadowite spojrzenia w Jasmine, która nakryła się pod same oczy kołdrą. To nocne spotkanie nie wróżyło niczego dobrego. Pająk przerwał ciszę i chrząknął. Najwyraźniej on tu dowodził. To chrząknięcie było jakimś znakiem, bo debil odezwał się jako pierwszy.

– Twój koniec jest bliski.

*Już po mnie* – pomyślała w panice Jasmine.

– Lepiej zamknij oczy – zaskrzeczał pająk. – Lepiej nie patrzeć na własną śmierć.

*Trzeba było ich zabić od razu, natychmiast po wejściu do domu* – zdała sobie sprawę Jasmine. *Dałabym im wszystkim radę. Zaskoczeni pewnie by się nie bronili. Teraz rozszarpią mnie na strzępy. Ale to moja wina, nigdy nie należy się wahać. Już nie wyjdę z tego domu. Po co liczyłam stopnie na schodach? To zawsze przynosi pecha.*

Nagle Jasmine ocknęła się cała mokra od potu.

– Trzeba było zabić, póki był na to czas – szepnęła sama do siebie.

Cały T-shirt kleił się do jej ciała. Przetarła oczy i sięgnęła po butelkę wody. Wzięła duży łyk. Pierwszy sen w nowym miejscu jest bardzo ważny, wiedziała o tym dobrze. Zmieniła koszulkę i położyła się z powrotem. Długo nie mogła

zasnąć, przewracała się z boku na bok. Tej nocy nic więcej już się jej nie przyśniło.

## **Czarny notes**

*Polska, Warszawa*

Jasmine obudziła się o piątej rano. Był to efekt jet lagu. Nie chciało się jej spać, więc postanowiła wykorzystać czas i opisać straszny sen. Miała zwyczaj robienia notatek z dziwnych myśli i snów, które pojawiały się w jej głowie.

Usiadła przy biurku i zapaliła lampkę gabinetową z zielonym kloszem. Otworzyła czarny notes moleskina do połowy wypełniony zapiskami i szkicami obrazów, które pojawiały się w jej głowie.

W szpitalu świętego Wawrzyńca prowadzono zajęcia artystyczne na naprawdę wysokim poziomie. Chyba tylko to udało się dobrze zorganizować w tym miejscu. Na zajęciach terapii poprzez sztukę Jasmine nauczyła się ładnie szkicować. Teraz zaczęła od rysunku dziwnego domu w środku lasu. Narysowała go dokładnie tak, jak widziała go we śnie. Potem zabrała się za opis koszmaru. Niektóre fragmenty zapomniała.

*Mogłam opisać wszystko od razu, jak tylko się przebudziłam – pomyślała.*

Nagle cicho skrzypnęły drzwi. Jasmine zamarła i odruchowo zamknęła zeszyt. Obróciła głowę i ujrzała stojącą w drzwiach Martę. Aż otworzyła usta ze zdumienia, zupełnie jakby zobaczyła ducha.

*Skąd ona się tu u diabła wzięła? – pomyślała w panice.*

– Przepraszam, zobaczyłam światło. – Marta szepnęła speszona. W ręce trzymała butelkę Stasia z niedopitym mlekiem.

– Nie mogę spać – wyjąkała Jasmine.

– Pisziesz pamiętnik, nie będę ci przeszkadzać – powiedziała Marta. Nie czekając na odpowiedź, cicho zamknęła drzwi.

Jasmine zgasiła lampę, schowała notes pod poduszkę i wściekła wróciła do łóżka. Była na siebie zła, że dała się zaskoczyć.

*Co ona robiła tu tak wcześnie rano? – myślała. Idiotka szpieguje mnie. Może coś podejrzewa, tak dziwnie patrzyła. Może źle, że utopiłam telefon, opiekun by mi pomógł, załatwiłby sprawę raz-dwa. Serce biło jej mocno. Muszę znaleźć kryjówkę dla notesu. Kretynka ze mnie – zgrzytnęła zębami z wściekłości. Jak mogłam dać się tak podejść?*



## ROZDZIAŁ 31

*Minuta pojednania więcej znaczy niż całe życie przyjaźni.*

Gabriel García Márquez, *Sto lat samotności*

### **Agent Alex dostaje sprawę**

*Kanada, Montreal*

Alex Symond nie był jeszcze swój. W Canadian Security Intelligence Service pracował od roku i ciągle był traktowany jak świeżak. Zrzucono na niego niespodziewanie różne sprawy, a koledzy nie zapraszali go na drinka po pracy. Często zastanawiał się, kiedy w końcu go przyjmą do swojego grona, kiedy skończą się głupie docinki i żarciki z żółtodzioba. Miał już tego trochę dosyć. Wcale nie czuł się jak nowicjusz, kilka lat w policji sprawiło, że był zahartowany w tej robocie. Jednak bez słowa sprzeciwu brał sprawy, które mu przydzielano w ostatniej chwili. Pewnie chcieli sprawdzić, czy w końcu się wkurzy, ale nigdy nie dał się wyprowadzić z równowagi. Jednak zawsze kiedyś nadchodzi taki dzień, w którym każdy, nawet najgrubszy dzban pęka. W przypadku Alexa ten moment zbliżał się wielkimi krokami.

Tego dnia szedł później do pracy. Jeszcze pił w domu kawę i przeglądał gazetę, gdy nagle zadzwonił telefon. Ku swemu zdziwieniu Alex stwierdził, że dzwoni ojciec.

Komórka leżała obok kubka z kawą. Alex patrzył, jak wibruje, nie uczynił jednak żadnego gestu, zmarszczył tylko czoło i powrócił do czytania gazety. Telefon zamilkł i w kuchni zapadła dojmująca cisza.

W pracy znowu był młyn. Alex zapomniał o telefonie. Kiedy opuścił biuro, było już po dwudziestej drugiej. Skierował swe kroki do Baru u Jacka. Przychodzili tu policjanci i ludzie z agencji. Tego dnia było raczej pustawo. Alex rozejrzał się, ale nie zauważył nikogo znajomego. Zamówił Jacka Daniel'sa z colą. Gdy barman postawił przed nim ciężką szklankę z grubego szkła, Alex wziął pierwszy łyk ulubionego drinka i zamyślił się. Znowu zadzwonił ojciec.

Alex patrzył w ekran telefonu, ale znowu nie zrobił niczego. Pozwolił, by włączyła się poczta.

By zająć myśli czymś innym, zaczął wspominać początki Baru u Jacka. Znał to miejsce, odkąd powstało. Jak sama nazwa wskazywała, knajpę założył Jack, były policjant z dochodzeniówki. Kiedy był na służbie, zanudzał wszystkich opowieściami o barze, który był jego marzeniem. Miały w nim być rzutki i zdjęcia ze wszystkich parków narodowych oprawione w drewniane ramy. Dodatkowo poroża jeleni i inne myśliwskie trofea. Jack kochał broń i był zagorzałym myśliwym.

W końcu jego marzenie ziściło się, jak większość marzeń, o których śnimy dniami i nocami – po prostu pewnego dnia realizują się i tyle. Zawsze jednak towarzyszy temu pewna doza rozczarowania. Długi czas oczekiwania sprawia, że marzenia są jak nierealne sny, a gdy w końcu się spełniają, zostają odarte z tej magicznej mgiełki, stają się po prostu częścią naszego życia. Wymarzony samochód z czasem jednak się psuje. W marzeniach to się nigdy nie dzieje.

Tak więc po przejściu na emeryturę Jack otworzył Bar u Jacka, gdzie stał za barem i nalewał drinki i piwo. Całymi latami marzył o tym, by stać po drugiej stronie baru. Kiedy już faktycznie stanął, było jakoś inaczej, niż sobie wyobrażał. W swoich marzeniach Jack był barmanem i policjantem jednocześnie, ale w życiu tkwił się w jednym miejscu. Jack szybko przedzierzgnął się w barmana.

Do baru zaczęli wpadać policjanci, niektórych dobrze znał. Rozmawiali przy kieliszku o pracy i innych sprawach, ale on był już poza tym. Co prawda wszyscy wiedzieli, że był kiedyś policjantem, ale jednak stał po drugiej stronie baru i nalewał drinki. Nikt nie chciał omawiać z nim spraw, snuć nowych hipotez. Dlatego czasami Jack mylił zamówienia i bywał zmieszany i opryskliwy. Właściwie bar powinien nazywać się „U zmieszanego, wkurwionego Jacka”.

W końcu pewnego letniego dnia, gdy panował niemłosierny upał, Jack targając na zapleczu beczki z piwem, poczuł silny ból w klatce piersiowej. Wyprostował się, myśląc, że to kręgosłup, ale to był zawał. W pobliżu nie było nikogo z obsługi. Mężczyzna upadł i odżył. Żona Jacka po jego śmierci sprzedała bar zupełnie nieznanemu mężczyźnie, który wydał się jej godny zaufania. Istotnie, nie oszukał jej i zapłacił za knajpę żadaną sumę. Kobiety mają jednak niezawodną intuicję.

Roy, bo tak miał na imię mężczyzna, który kupił knajpę, nie zmienił w lokalu niczego poza uchwytami na ręczniki w toaletach. Zdjęcia parków narodowych w drewnianych ramach pozostały na miejscu. Tym sposobem za barem stał od tej pory zupełnie inny facet, wtłoczony w zupełnie nie swoje marzenie. Jednak lubił swoją pracę, robił lepsze drinki niż poprzedni właściciel i często się uśmiechał. To on sprawił, że lokal naprawdę się rozkręcił. Może miał więcej dystansu? Nie zmieniło się również to, że w Barze u Jacka jak zawsze przesiadywali policjanci. Wszystko więc pozostało po starym. Czasem życie bywa naprawdę nieźle pokręcone.

Mimo że Alex usilnie starał się zająć głowę czym innym, myśli o ojcu powracały uparcie.

*Może jednak powinienem być odebrać? – myślał. Może coś się stało?*

– Jeszcze jednego? – Barman Roy wskazał na pustą szklanekę Alexa.

– Tak, poproszę. – Agent skinął głową. Czuł, że tego mu tak naprawdę dzisiaj potrzeba. Chciał rozpuścić wszystkie swoje myśli w Jacku Daniel'sie, by zmieniły się w przyjemny, kojący szum.

Ciągle był zły na ojca. Nie można wkraczać w czyjeś życie w wojskowych butach i zaprowadzać swoje porządki. Często powracał myślami do Marty. Od czasu zerwania z nią miewał tylko przelotne związki. Zupełnie jakby Marta ukradła mu coś z serca, taki małeńki element odpowiadający za zakochiwanie się. Alex niedawno skończył czterdzieści pięć lat. Ciągle podobał się kobietom i nie narzekał na brak powodzenia. Ale mimo wielu randek miał wrażenie, że jest tratwą dryfującą samotnie w dal.

Dziewczyny zmieniały się, były coraz młodsze, a on był coraz starszy. Łapał się na tym, że czasami nie wiedział, o czym z nimi rozmawiać. Różnica wieku dawała się we znaki. Jego rówieśniczki były od dawna zajęte. Te, które były wolne, po prostu mu się nie podobały albo miały jakiś ukryty defekt. Jednym słowem Alex zapędził się w ślepy zaułek. Nurt życia wyrzucił go na mieliznę. Leżał więc na niej niczym bezsilny wieloryb i czuł, że coś nie gra. Czekał na przyptływ, który z powrotem zabierze go do oceanu, ale ten jakoś nie nadciągał. Wszystko to było z winy ojca. Wsadził wtedy przysłowiowy kij w szprychy. Może teraz życie wyglądałoby inaczej?

Alex często się nad tym zastanawiał, ale już sam nie wiedział, jaka jest na to odpowiedź. A może jednak byłoby tak samo? Może rozstałby się z Martą



i tkwił w tym samym punkcie, co teraz? Jednak nigdy nie było dane mu tego sprawdzić i dlatego czuł do ojca taki głęboki żal.

*Sam przekichał swoje małżeństwo – myślał. Ślepy by się domyślił, że coś jest nie tak. Związkowi trzeba poświęcać czas, a nie siedzieć stale w pracy.*

Matka odplynęła w swoją stronę, po prostu ich łódki zbyt daleko oddaliły się od siebie, a wiadomo, że życie usiane jest zdradliwymi prądami.

*Pewnie starego ruszyło sumienie, ale już za późno, mleko się wylało. Niech teraz sobie dzwoni – pomyślał Alex. Mogę przecież nie usłyszeć telefonu. W końcu ludzie pracują całymi dniami, nikt nie ślęczy przy komórce, chyba tylko jakiś zwariowany emeryt.*

– Jeszcze jednego? – zapytał ponownie barman.

– Już dziękuję. – Alex wstał i wyszedł na ulicę. Wiał silny wiatr i nadciągała kolejna śnieżna burza.

*Po prostu nie będę odbierał – pomyślał Alex, utwierdzając się w swoim przekonaniu. Niektóre zadry tkwią zbyt głęboko.*

### **Jasmine rozmawia z Markiem**

*Polska, Warszawa*

Następnego dnia po śniadaniu Marta była już w lepszym nastroju. Jasmine nikogo w nocy nie udusiła. Sama z siebie zrobiła dla wszystkich śniadanie. Gdy Marta poprosiła Marka, by wyszedł z psem, okazało się, że Apis już dawno został wyprowadzony.

*No proszę – pomyślała Marta. Ona naprawdę potrafi pomagać.*

Tego dnia wypadło szczepienie Stasia. Marta zabrała malca do przychodni, która znajdowała się pod blokiem. Jasmine i Marek zostali w domu sami, Mikołaja już dawno nie było, pojechał rano na pocztę zawieźć paczki z zamówieniami ze sklepu Marty. Do pracy na razie nie chodził, odbierał zaległy urlop, który w połączeniu z przerwą świąteczną dał mu prawie miesiąc wolnego.

Jasmine założyła kurtkę i wyszła na balkon ze szklanką soku pomarańczowego, który wypijała zawsze po śniadaniu. Obserwowała rozciągający się tuż za ulicą park. Nagle poczuła czyjąś obecność. Spojrzała w bok i zobaczyła Marka.

*A ten czego znowu tu chce? Nigdy nie będę miała dzieci, chwili spokoju nie ma w tym domu – pomyślała.*

– Co robisz? – spytał chłopiec.

– Piję sok. – Postukała palcem w szklankę. Zapadła cisza.

Odkąd przyjechała, Marek nie bawił się już na balkonie żaglówką w misce. Było mu głupio przed kuzynką. Szukał z nią kontaktu, miał nadzieję, że może wciągnie go trochę do swojego świata. W tym swoim czuł się samotny. Wszystko kręciło się wokół małego Stasia.

Jasmine zreflektowała się, że może była niemiła, i szturchnęła go łokciem.

– A ty nie pijesz soku? Ja sobie ustaliłam, że nawet jak będę na pustyni, to będę codziennie pić jedną szklankę soku. To bardzo zdrowe.

– To może też sobie naleję – bąknął.

– Napij się ode mnie. – Podąła mu szklankę.

Przez park szedł ryży chłopak z rudym wyżłem.

– Zobacz, jak śmiesznie. – Jasmine wskazała na chłopaka na dole. – Ma taki sam kolor włosów jak pies. Jednak coś w tym jest, że pies upodabnia się do pana. – Zaśmiała się cicho, ale Marek stał nachmurzony.

– Nie śmiesz cię to? – Spojrzała na chłopca z ukosa.

– To mój największy wróg, chodzi ze mną do klasy. – Marek obrócił się na pięcie i chciał odejść, ale Jasmine była szybsza. Chwyciła go za rękę.

– Gdzie idziesz? – Uniósł brwi. – Mnie możesz powiedzieć.

– Ale o czym tu mówić? – Marek oparł się zrezygnowany o balustradę. – Dałbym wszystko, żeby tu nie mieszkał.

– A co on ci takiego robi?

– Jak tylko mnie widzi, to od razu coś komentuje.

– Podaj jakiś przykład.

– Pyta o spodnie, czy się skurczyły, czy tak urostem. – Zwiesił smętnie głowę i wskazał na sprane sztruksy, które były za krótkie i odstaniały pomarańczowe skarpetki. – Ciągle mi dokucza. Mama poradziła, bym traktował go jak powietrze, wtedy się znudzi i przestanie; mówiła, żebym był ponad to. Ale on wszystko o mnie wie i wszystko jest dla niego śmieszne. Mama na spotkaniu w szkole powiedziała kiedyś, że Stasio jest chory, i on z tego też się śmieje.

– Wiesz, oglądałam kiedyś ciekawy film. *Noc oczyszczenia*, widziałeś może?

– Oczywiście, że nie. Mamy odłączony telewizor – odparł Marek tonem głównego oskarżyciela. – Bo telewizja niby deprawuje. Tylko rodzice stale coś

oglądają wieczorem. Ale na pewno nie jest to *Noc oczyszczenia*, tylko jakieś nudy, żeby można było pomyśleć i podyskutować.

– Nieważne – mruknęła Jasmine. – Ten film jest bardzo pouczający. Wyobraź sobie, że w niedalekiej przyszłości wprowadzają jedną noc w ciągu roku, w której możesz dokonać przestępstwa i nic ci za to nie grozi. Możesz robić, co zechcesz. Co ty byś zrobił?

– Nie wiem, chyba okradł bank. Ciekawe, jakie rodzice mieliby miny, gdybym wrócił z wielkim workiem pieniędzy na plecach. A ty?

– Ja na twoim miejscu zlikwidowałabym tego rudzielca. – Jasmine spojrzała na kuzyna z uśmiechem.

– To pachnie więzieniem – stwierdził Marek z poważną miną.

– Przecież mówiłam, że każde przestępstwo jest dozwolone i nie ma za nie żadnej kary.

– Brzmi nieźle – ożywił się Marek. – Tak go zająć od tyłu i nożem w plecy.

– Ciekawe, co by pomyślał. – Jasmine zaśmiała się.

– Odwraca się, a tam nóż w plecach. „Ojej, i jak ja teraz zdejmę kurtkę! Mamo, pomóż!” – zapiszczał Marek, przedrzeźniając rudzielca.

Jasmine parsknęła śmiechem i potargła mu włosy na głowie.

– Naprawdę jesteś dowcipny.

– Dziękuję – odparł z dumą Marek. – Albo siekiera, tak go zająć od tyłu i trach prosto w łeb. – Dalej snuł plany. – Noc oczyszczenia, dobry pomysł.

– Moim zdaniem to jest właśnie wolność. Móc oczyścić swoje życie z takich ludzi, którzy tylko szkodzą i niczemu nie służą. Wiesz, że naukowcy dowiedli, że już mamy katastroficzne przeludnienie i że biedna ziemia tego nie wytrzyma?

– Ale jak to? – zdziwił się Marek.

– Każdy chce jeść i pić, mieć dom – wyjaśniła. – Niedługo ludzie wytną wszystkie lasy, wypiją całą wodę i zostanie sama pustynia. Wtedy wszyscy się zjedzą i zostaną tylko muchy. – Trąciła go łokciem w bok. – Ale może ludzie pójdą po rozum do głowy i wprowadzą noc oczyszczenia. Myślę, że tylko w ciągu pierwszej takiej nocy liczba ludzi na świecie zmniejszyłaby się o połowę. W końcu każdy ma jakiegoś wroga.

– No właśnie. – Marek pokiwał głową.

– To by była prawdziwa wolność, teraz są tylko same zakazy i nakazy – ciągnęła Jasmine. – Wolność ogranicza się co najwyżej do obejrzenia filmu

na YouTubie albo zalajkowania czegoś. A tak naprawdę to musimy znosić takich rudzielców. – Wskazała na chłopaka, który krążył po parku.

Marek z powagą pokiwał głową. Imponowało mu, że Jasmine dyskutuje z nim jak równy z równym. Wreszcie ktoś go słuchał, miał dla niego czas, by porozmawiać, i nie dawał głupich rad w stylu: „Ignoruj go, bądź mądrzejszy”. Nie chciał być mądrzejszy. Chciał się odegrać.

– Czasami bawię się w pewną zabawę – powiedziała Jasmine.

– Jaką? – zainteresował się żywo Marek.

– Kiedy idę przez miasto, to wyobrażam sobie, że jest noc oczyszczenia i dokonuję decyzji, kogo załatwić, a kogo nie. Widzę staruszkę z siatkami i myślę: „Dobrze, tobie odpuszczam, jesteś w końcu biedną kobieciną”. Ale jak widzę kogoś z wrednym ryjem, to od razu strzelam z tej mojej niewidzialnej broni. Spróbuj, fajna zabawa, aż się zdziwisz, ile osób będziesz chciał sprzątnąć.

– Dobra – ucieszył się Marek.

– Chcesz iść do sklepu? – spytała nagle. – Kupimy lody.

– Jasne! Tylko jest zima i mama nie pozwala jeść teraz lodów – posmutniał.

– Ale przecież nie będzie jej w sklepie. – Jasmine uniosła brew. – Nic jej nie mów, to się nie dowie. – Wyciągnęła z kieszeni czarną, błyszczącą kartę kredytową i pomachała nią przed oczami Marka. – Dzięki temu kupimy sobie wszystko, co chcemy.

– Spoko wodza.

– Spoko co?

– Spoko wodza – powtórzył niepewnie.

Jasmine spojrzała na niego z drwiącym uśmiechem. Marek zawstydził się i lekko poczerwieniał.

– Co to za głupie powiedzonko? – Dziewczyna zaśmiała się. – Jak wróci twoja mama, od razu idę do sklepu. Zapytaj ją, czy możesz ze mną iść.

## **Bałwan**

*Polska, Warszawa*

Gdy Jasmine zapytała, czy może zabrać Marka do sklepu, Marta od razu się zgodziła. Sądziła, że dziewczyna podejmie temat wspólnych zakupów. Monika przecież pisała w mailu, że Jasmine przywiezie pieniądze na życie. Gdy Marta

wręczyła jej krótką listę zakupów, ta jednak wcale nie zaoferowała, że za nie zapłaci. Wtedy ciotka ze sfatygowanej i pustawej portmonetki wyciągnęła pognieciony banknot pięćdziesięciozłotowy. Z westchnieniem wykreśliła z listy mleko dla Stasia; miała jeszcze ostatnią puszkę. Jasmine przyglądała się temu bez słowa.

Stasio po szczepionce zasnął i Marta zaparzyła sobie kawę. Wyrzała przez okno i zobaczyła, jak Jasmine idzie razem z Markiem w stronę osiedlowego sklepu Globi. Szli, rozmawiając o czymś, i wyglądali na bardzo zaprzyjaźnionych.

*Może ona nie jest taka zła – pomyślała Marta.*

W sklepie Jasmine kupiła Markowi wszystko, co chciał.

– Nie ograniczaj się – zachęcała go – jesteśmy rodziną.

Dla Marka była to totalna nowość. Pieniądze w domu były zawsze wyliczone na styk i chłopiec właściwie dostawał coś tylko z okazji świąt i urodzin. U babci oczywiście było inaczej, ale teraz nie zanosił się na podróż do Jastarni.

Gdy wracali już do domu, przechodzili przez park Irysek. Była w tym miejscu jakaś awaria. Pękła rura, a woda, która zalała sporą część chodnika, zamarzała, tworząc lodową skorupę.

– Daj mi rękę. – Jasmine wyciągnęła dłoń. – Tu jest ślisko, boję się, że się przewrócę.

Miała rękawiczki bez palców; Marek wyczuł jej długie, wypielęgnowane paznokcie. Nagle poskrobała mu lekko wnętrze dłoni. To było miłe. Spojrzał na nią. Płatki śniegu padały na jej usta. Jasmine była magicznym człowiekiem, z każdej najzwyczajszej chwili potrafiła uczynić coś niezwykłego.

Nagle puściła jego rękę i zaczęła biec. Marek ruszył za nią. Przez moment gonili się pośród drzew. W końcu Markowi udało się chwycić ją za kurtkę. Jasmine upadła w śnieg, pociągając go za sobą. Chwilę tarzali się jak wariaci.

– No dobra, dosyć tego. – Wstała nagle, otrzepując się. – Musimy zabrać się do roboty.

– Jakiej roboty? – zdziwił się

– No jak to jakiej? W tym parku nie ma bałwana. Nie lepicie tu bałwanów?

– Lepimy – mruknął Marek – ale to raczej dla dzieci.

– A ja jestem dorosła i chcę lepić. – Wzruszyła ramionami. – Ty też zawsze rób to, co chcesz. Nigdy nie patrz na innych, bo zawsze cię będą tylko

zniechęcać do twoich planów. Pomożesz mi?

– Okay. – Marek uśmiechnął się.

Podobała mu się filozofia Jasmine. U niej wszystko było proste. Nic jej nie krępowało. Zabrali się razem do pracy. Po dwudziestu minutach bałwan był gotowy. Był tak wysoki jak Jasmine.

– Brakuje nam garnka i marchewki – zauważył Marek.

– Dolepię mu ręce – powiedziała Jasmine

– Miotły też brakuje – stwierdził chłopak.

– Jakiej miotły? On nie potrzebuje żadnej miotły.

– Przecież bałwan zawsze ma miotłę – oznajmił Marek.

– To bzdury, on powinien mieć nóż, to psychobałwan.

– A to dobre. – Marek zaczął się zaśmiewać.

Tymczasem Jasmine narysowała bałwanowi usta wygięte w groźnym grymasie. Potem wyjęła czerwony błyszczący i w kąciku bałwanowych ust namalowała strużkę krwi.

– A z tego można zrobić oczy. – Marek podał jej dwa kapsle od piwa, które znalazł.

– Świetny pomysł – pochwaliła go Jasmine. – Chodź, stań obok. – Wyjęła telefon i chciała zrobić zdjęcie, ale zupełnie zapomniała, że dzień wcześniej utopiła go w wannie i przestał działać.

– Telefon mi się zepsuł – mruknęła. – Daj swój.

– Ale ja nie mam telefonu – odparł Marek. – Mama mi nie pozwala.

– Trudno, nie będzie zdjęć.

– Może wrócimy do domu i przyniosę jakiś nóż? – zaproponował Marek.

– Daj spokój, to wystarczy. – Jasmine wetknęła bałwanowi w rękę długi patyk. – To jego bicz.

– Ha, ha, ha! – roześmiał się Marek. – To najlepszy bałwan na świecie!

– To nasz bałwan, przybij piątkę.

Śmiejąc się, wrócili do domu. Marek już dawno tak dobrze się nie bawił. Po drodze spotkali rudzielca, który widząc Jasmine, jakoś skurczył się w sobie. Marek szedł obok niej i żartowali jak równy z równym.

– Widziałaś, jak mu opadła szczęka? Od razu położył uszy po sobie – mówił podekscytowany Marek, gdy weszli już do windy.

– Nie przesadzaj. – Jasmine machnęła ręką, ale jej obojętność była udawana. Dobrze wiedziała, jakie wrażenie robi na ludziach, a w szczególności

na mężczyznach.

Ten spacer otworzył jakieś drzwi. Marek i Jasmine zaczęli zbliżać się do siebie. Chłopiec już nie czuł się jak najgorszy lamus z osiedla, tylko chłopak, do którego przyjechała superkuzynka. To było coś. Wreszcie czuł się na miejscu, po prostu był fajny, a takiej fajnej osobie nikt nie dokucza, bo niby z jakiego powodu? Nie musiał puszczać żadnych uwag mimo uszu ani być mądrzejszy od innych. Świat odwrócił od niego swoje złe oblicze; to było niezwykle. To stało się dzięki Jasmine. Do jej przyjazdu Marek stał wraz z całą swoją rodziną na brzegu skutym lodem, wyczekując jakiejś łodzi. Teraz część lodu, na której stali, oderwała się i z wolna zaczęła płynąć z nurtem w stronę drugiego brzegu, na którym stała Jasmine. Ot, taka magiczna sztuczka. Czasami gość potrafi otworzyć drzwi, które dla domowników były zamknięte na głucho.

### **Sally wykonuje telefon**

*Kanada, Lac-Écho*

Harry dzwonił trzy razy, ale telefon Alexa uparcie milczał. Detektyw chciał na to machnąć ręką, taki właśnie był. Nie skupiał się na drobiazgach, które potem w ukryciu kietkowały w potężne baobaby kładące się cieniem na wszystko. Sally w mig wyczuła tę cechę Harry'ego. Dobrze wiedziała, że pod płaszczkiem twardziela skrywają się niezabliźnione rany. Tak nie da się zbudować nowej przyszłości. Nie można też żyć w cieniu niezatałwionych spraw.

Postanowiła więc wziąć sprawy w swoje ręce i pewnego dnia, gdy Harry wyszedł do miasta, zadzwoniła do Alexa ze swojego telefonu. Po trzech sygnałach usłyszała męski głos. Wtedy wytoczyła najcięższe działa i ochrzaniła Alexa za to, że nie odebrał żadnego telefonu od ojca. O dziwo, ten zamiast się wyłączyć, wysłuchał całej tyrady. Nieodrodny syn swojego ojca hodował własne baobaby, ale nagle zrobiło mu się głupio przed tą nieznaną kobietą i coś w nim pękło. Obiecał Sally, że zadzwoni do Harry'ego. Istotnie, zrobił to po południu. Nie rozmawiali długo, po prostu umówili się na kawę. Po tym telefonie Harry odżył i jakby się wyprostował. Ze zdwojoną energią wziął się do pracy. Sally posiadała niezwykle umiejętność odkręcania zawitych spraw. Dobrze mieć przy sobie taką osobę.

## Ojciec i syn

*Kanada, Montreal*

Harry spotkał się z Alexem w Montrealu. Usiedli w jednej z niewielkich knajpek położonej przy Rue Saint-Paul. W sali było tylko kilka stolików, wybrali ostatni, wciśnięty w kąt. Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Harry sączył swoje americano, a Alex latte macchiato. Ludzie wciąż wchodzili, zamawiali kawę i wychodzili. Pomiędzy mężczyznami panowała cisza, ale otaczający ich gwar sprawiał, że była znośniejsza.

– Przed wyjściem dokładnie wiedziałem, co mam ci powiedzieć – zaczął Harry – ale teraz wszystko zapomniałem.

– Ja również. – Alex pokiwał głową.

Siedząc tak w milczeniu i pijąc kawę małymi łykami, powoli uświadamiali sobie, jak dużo czasu zmarnowali. Życie jest za krótkie na chowanie uraz. Niby chce się kogoś ukarać, a w efekcie karze się tylko siebie. W końcu człowiek nie czuje się w porządku, zawsze na końcu przychodzi taka myśl.

– Cokolwiek by się nie działo w naszym życiu, nie powinniśmy byli do tego doprowadzić – powiedział nagle Harry. – Powiem ci, co teraz zrobimy.

– Co proponujesz?

– Skończymy kawę, a potem zaczniemy do siebie dzwonić jak normalny syn i normalny ojciec. Będziemy po prostu rozmawiać i przejdziemy nad tym całym gównem do porządku dziennego.

Alex w odpowiedzi pokiwał głową. Jednemu i drugiemu nagle zrobiło się lżej na sercu.

*Sally jest jednak genialna* – pomyślał Harry, dopijając kawę.





## ROZDZIAŁ 32

*Kto żyje w świecie wariatów, musi nauczyć się być wariatem.*

Aleksander Dumas, *Hrabia Monte Christo*

### **Marta wierzy podstęp**

*Polska, Warszawa*

Od przyjazdu Jasmine Marta zdążyła nabrać poważnych podejrzeń. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż zakładała. Przede wszystkim zaczął ją zastanawiać brak kontaktu ze strony Moniki. Jasmine tłumaczyła się, że przez przypadek utopiła telefon w wannie. Powiedziała też, że Monika miała operację i obecnie przebywa w klinice.

Najważniejszą kwestią był jednak brak funduszy na wydatki związane z kuzynką. Jasmine miała przecież przywieźć pieniądze, a dotąd nie wykazała żadnej inicjatywy. W końcu Marta nie wytrzymała i wieczorem, gdy dzieci i dziwny gość poszli spać, poprosiła Mikołaja o włączenie piecyka na loggii. Chciała napić się wina i spokojnie porozmawiać. Piecyk na razie świetnie spełniał swoją funkcję. Do Polski nadchodziło jednak załamanie pogody, Syberyjska Bestia, o której Jasmine czytała przed odlotem. Burze śnieżne już dotarły do Hiszpanii i posuwały się dalej.

– Posłuchaj, czy to nie dziwne? – powiedziała Marta do Mikołaja, gdy już byli na balkonie.

– Ale co ma być dziwne? – spytał Mikołaj, zapalając elektronicznego papierosa.

– Ja też chcę zapalić – szepnęła Marta błagalnym głosem.

– Pomyślałem też o tobie, a jakże. – Mikołaj wyciągnął ukrytego w dłoni papierosa. – Ale tylko jeden – zastrzegł, cofając rękę, gdy chciała po niego sięgnąć. – Pamiętaj, że sama mnie prosiłaś o to, żebym cię pilnował. W przeciwnym razie wypalisz wszystkie Rothmansy w miesiąc.

– Wiem, a teraz już daj – poprosiła.

Mikołaj podał jej papierosa.

– Wszyscy już śpią? – Upewniła się.

– Oczywiście, wszystko pozamykane na głucho, a nasi podopieczni śpią snem ludzi poczciwych.

– No nie wiem, czy wszyscy zasługują na to miano – zauważyła.

– Daj spokój, nie ma co się uprzedzać.

– Nie jestem wcale uprzedzona, tylko w mojej głowie rodzą się różne pytania. Dziwnie się czuję z pewną kwestią. – Marta ściszyła głos.

– Zamieniam się w słuch.

– Ona miała przywieźć pieniądze. Przynajmniej tak było napisane w wiadomościach, przecież czytałeś je ze mną.

Mikołaj pokiwał głową.

– A tu nic. – Marta rozłożyła ręce. – A wyjazd już niedługo. Poza tym powinna chyba przywieźć jakieś wiadomości od Moniki. No nie mówię już o prezencie, bo to, umówmy się, jest wyższa szkoła jazdy. Ale wparadowała tu w okularach Gucciego, a dla nas nie miała nawet głupich czekoladek.

– Ma okulary Gucciego? – zainteresował się Mikołaj. – Fiu, fiu, to my taką personę gościmy? Nie wiedziałem.

– Sam widzisz.

– Masz rację – przyznał Mikołaj – ale wiesz, jakie są nastolatki. A może i nie wiesz, bo to w końcu ja pracuję w szkole.

– Wiem, jaką ja byłam nastolatką. – Marta westchnęła. – Powiem ci, że na pewno nie taką jak ona. Byłam co prawda zbuntowana i niepokorna, ale wygląd zewnętrzny nie był dla mnie najważniejszy. Ona przyjechała do nas w odwiedziny, a jakoś nie szuka z nami kontaktu. Ciągle tylko przesiaduje w łazience. Codziennie bierze kąpiel. Wiesz, jaki rachunek przyjdzie za wodę? Poza tym uważam, że jest złośliwa.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Ona nie jest głupia. Ta posiadaczka okularów Gucciego już na pewno zauważyła, że nie mamy kasy, i po prostu bawi się tą sytuacją. Myślę, że chce mnie w jakiś sposób sprowokować.

– Widzę, że awansowała. Już nie jest lodową księżniczką, tylko zręczną manipulatką. No, ale żeby ciebie sprowokować, to już naprawdę przegięła. Nie powinna wkładać palców między drzwi.

– Nie powinna, a widzisz, co się dzieje.

– Sam nie wiem. – Mikołaj podrapał się elektronicznym papierosem za uchem. – W kwestii wanny można z nią porozmawiać i powiedzieć, że u nas to raczej bierze się prysznic, że ważne są dla nas ekologia i oszczędzanie wody. Reszta za bardzo pachnie mi teorią spiskową. Ona nie zagaduje, bo jest nastolatką. Może to my powinniśmy z nią częściej rozmawiać.

– A wiesz, że większość teorii spiskowych się sprawdza? – ożywiła się Marta.

– Wiem. – Zaśmiał się. – To twój konik. Królowa brytyjska jest reptilianką i tak dalej.

Marta wybuchnęła śmiechem.

– Daj jeszcze papierosa.

– Masz. – Mikołaj wyjął z kieszeni kolejnego Rothmansa.

– Wiedziałaś, że na jednym się nie skończy. – Marta dała mu lekkiego kuksańca w bok.

Podał jej ogień.

– Ja widzę to w ten sposób, że błahym symptomom nadajesz inne, bardziej poważne znaczenie. Dziewczyna pewnie jest roztrzępana i oto cała intryga. A wszystkie te teorie spiskowe są tu niepotrzebne.

## **Dom Chomika**

*Kanada, Montmagny*

Harry'emu zależało na rozwikłaniu tej sprawy ze względu na Sally. Pielęgniarka Bob nie dał rady załatwić telefonu krewnych Jasmine. Udało mu się jednak pozyskać adres psychiatry Philipa Qusacka. Harry natychmiast udał się do lekarza z niezapowiedzianą wizytą.

Dom Chomika był położony w Montmagny niedaleko Quebec City. Na końcu ulicy droga przechodziła w leśny dukt. Harry spojrzął na nawigację, ale ta uparcie wskazywała, że ma nadal jechać prosto. Pokonał dwie mile przez las i za zakrętem natrafił na coś, co tylko z nazwy mogło być domem. Był to omszały drewniany budynek ze stromym dachem. Mech był dosłownie wszędzie, przez co dom przypominał duży szałas. W nocy, gdy nie paliło się w nim światło, z pewnością był zupełnie niewidoczny, zamaskowany niczym tajna baza komandosów.

– A więc tu mieszka Chomik – mruknął do siebie Harry, mijając powoli dom. Z komina nie leciał dym, a przecież tego dnia był mróz.

– Najwidoczniej Chomika nie ma w domu. Trzeba będzie przejść do planu B. To wszystko zaczyna mi śmierdzieć. – Harry lubił wygłaszać przed sobą monologi. Nie miał partnera i pomagało mu to zebrać myśli.

Za kolejnym zakrętem znowu wjechał w las. Zatrzymał wóz pod rozłożystym świerkiem. Ze schowka wyjął latarkę i broń, a także neseser z niezbędnymi narzędziami. Za wszelką cenę chciał sprawdzić, co też skrywa dom psychiatry. A musiał coś ukrywać, przecież nikt normalny nie mieszkałby na takim odludziu; to od razu nasuwa wiele podejrzeń. Harry miał nosa, a tu coś najwyraźniej śmierdziało.

Ruszył drogą w stronę domu. Gdy dotarł na miejsce, obszedł go wokół, uważnie nasłuchując. Z wnętrza nie dochodził jednak żaden dźwięk. Budynek miał obszerne przyziemie, do którego prowadziły małe zakratowane okienka. Jedno było lekko uchylone. Właściciel najwidoczniej nie dbał o zabezpieczenie dobytku.

Harry zapukał energicznie do frontowych drzwi, ale odpowiedziała mu cisza. Ponownie okrążył dom, pukając przy okazji w szyby, ale nikt nie wyszedł. Z tyłu natrafił na dodatkowe wejście, które prowadziło na niewielką polanę pełniącą rolę ogrodu.

Dom nie miał ogrodzenia i miało się wrażenie, że cały las przynależy do niego. Z pewnością tak nie było i własnością Chomika była tylko ta niewielka polana.

*Pewnie urządza tu grilla, o ile ma z kim – pomyślał Harry. A może wcale nie lubi grillować, tylko zaprasza kumpli na piwo. Siadają na składanych turystycznych krzesłach, piją browary i kłócą się, kto ma rozpalić grilla, aż w końcu padają od ilości wypitego alkoholu.*

Detektyw uśmiechnął się krzywo do siebie. Już widział w myślach bandę starych pryków z brzuskami i wielkimi okularami, którzy wlewają w siebie piwo, a potem leżą na łączce jak wielkie dżdżownice. Zabawy psychiatrów w czasie wolnym. Banda popaprańców, którzy myślą, że dzięki jakimś bzdurnym teoriom zbawią świat. A pewnie nie potrafią nawet porządnie się upić.

Harry zapukał energicznie w drzwi od strony lasu. Bez skutku. Wszędzie panowała cisza, tylko drzewa lekko szumiały poruszane zimowym wiatrem.

Przekręcił klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte. Wtedy otworzył neseser. Spojrzał na zamek. Nie był skomplikowany, pasował do niego płaski klucz. Na filmach sensacyjnych takie zamki otwiera się kartą kredytową, co oczywiście jest totalną bzdurą. Harry wyjął odpowiedni wytrych i umieścił go w zamku. Poruszał nim delikatnie, wyczuwając, jak przesuwają się zapadki. Wytrych był płaską blaszką, od której odchodził wygięty drucik. Wystarczyło pstryknąć, by drut podniósł zapadki blokujące bębenek zamka. Jednocześnie jednym ruchem należało przekręcić blaszkę, by poruszyła bębenek. Dla wprawnej ręki otwarcie takiego zamka zajmowało nie więcej niż sekundę.

*Jak go spotkam w domu, to powiem, że zepsuł mi się samochód i szukam telefonu, a drzwi były otwarte – pomyślał detektyw.*

Harry miał swoje sprawdzone metody postępowania, które nigdy go nie zawodziły. Z bijącym sercem przekręcił mosiężną klamkę i wszedł do mrocznego holu. We wnętrzu było raczej chłodno, najwyraźniej gospodarza nie było w domu, chyba że był zwolennikiem hartowania się w zimnie. Harry nie chciał zapalać latarki, bo światło byłoby widoczne z drogi. Na szczęście dzień był dosyć jasny i przez okna wpadało trochę słońca.

Gdy oczy Harry'ego przyzwyczyły się do mroku, detektyw zaczął cicho chodzić po domu. Przez jego środek biegł korytarz od drzwi frontowych do tylnego wyjścia. Na podłodze leżał gruby chodnik w trójkolorowe pasy, który doskonale tłumił odgłos kroków. Ściany pokrywały poszarzałe tapety, miejscami powydzierane. Przełączniki do świateł pamiętały chyba czasy drugiej wojny światowej. Dom był stary, pachniał kurzem i zapomnieniem. Po obydwu stronach korytarza znajdowały się niewielkie pokoje, a wśród nich gabinet ze stosem książek na ciemnym masywnym biurku. Potężny świerk zasłaniał okno, przez co pomieszczenie było bardzo mroczne.

Dalej była kuchnia, z której czuć było zapach jedzenia. W wielkim żeliwnym zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń, a pomiędzy nimi zwinnie uwijało się kilka spasionych karaluchów.

Harry podszedł do staromodnej kuchenki, na której stał garnek. Nachylił się i powąchał. *Gulasz, góra dwa dni – zawyrokował w myślach. Wyprostował się i zaczął nasłuchiwać. Całkiem możliwe, że gospodarz był jednak w domu, tylko gdzieś na górze. Może śpi, w końcu jest na emeryturze – pomyślał detektyw. Co lepszego miałby dziadek do roboty. Chwila, przecież on jest młodszy ode mnie. Dokładnie o rok, wczoraj sprawdzałem jego akta. W takim razie może robi pompki*

*na górze, ćwicz formę. Sprawdzę dół i szybko oblecę piętro. Nagle nadepnął na plastikową butelkę, która głośno zatrzeszczała. Harry, ty idioto – zbeształ się w myślach, zastygając w bezruchu. A swoją drogą niezły flejtuch z tego Chomika. Takiego bałaganu to nawet ja nie potrafię zrobić.*

Dom wciąż pogrążony był w grobowej ciszy.

*Chomiczka najwyraźniej nie ma. Może poszedł na randkę? A to bym się zdziwił, tak nisko go oceniałem. No, ale na zdjęciach wyglądał na dziadogę.*

Harry nie kryjąc się już, zaczął wchodzić do kolejnych pokoi. Największy z nich był salonem, w którym królowała wielka kanapa w kwiaty. Przed nią stał telewizor. To był jedyny nowy sprzęt w tym domu. Lśniące sześćdziesięciocalowe monstrum pozostawało w wielkim dysonansie z resztą domu, która wyglądała jak żywcem wyjęta z lat pięćdziesiątych.

Z sufitu smętnie zwisał urwany kabel od żyrandola. Chomik najwyraźniej nie dbał o bieżące naprawy w domu. Na podłodze leżał stos błyszczących przedmiotów. Harry nie widział ich dokładnie, bo kanapa zasłaniała widok. Gdy podszedł bliżej, okazało się, że to płyty DVD błyszczały niczym srebro.

*Co to ma niby być, u licha? Może Chomik zorganizował sobie noc filmów – przemknęło mu przez myśl. Tylko dlaczego tak to porzrzucał?*

Płyt było naprawdę sporo. Wszystkie były połamane. Harry podniósł kawałek jednej z nich. Widniała na nim data wypisana cienkim markerem. Na podłodze znalazł jeszcze więcej fragmentów płyt oznaczonych datami.

– Chomik, co ty tu oglądasz nocami, wariacie? – szepnął do siebie. Nagle ochota do żartów mu minęła, kątem oka dostrzegł bowiem, że zza kanapy wystają czyjeś nogi. Ktoś leżał i wszystko wskazywało na to, że nie żyje.

## **Teorie spiskowe**

*Polska, Warszawa*

– O nie, kochany. – Marta pogroziła Mikołajowi palcem. – Tu nie ma mowy o żadnych teoriach spiskowych. Stąpam twardo po ziemi. – Dla podkreślenia swoich słów tupnęła lekko. – Jak już coś mówię, to mówię, a jak mówię, to wiem... kobieto.

– O proszę, nie mogło się obyć bez cytatu z *Kogla-Mogla* – zauważył Mikołaj.

– No i brawo, Jasiu. – Zaśmiała się. – A wiesz, że to najczęściej puszczone filmy w polskiej telewizji?

– Należałoby jeszcze wspomnieć o *Putkowniku Kwiatkowskim* – dodał Mikołaj.

– No i *Kevin sam w domu* – podrzuciła Marta.

– A właśnie, że nieprawda. W ostatnie święta nie było.

– Zła odpowiedź, zawodnik odpada z gry. – Marta zakryła rękoma twarz w geście udawanej rozpaczki.

– Chcesz wina?

– Tak, poproszę mały kieliszek.

– Nie ma sprawy, nałogi zazwyczaj chodzą parami – odparł Mikołaj.

– I należy je wspierać i pielęgnować – uzupełniła Marta. – W końcu może się okazać, że są wszystkim, co dobre w naszym życiu, pamiętasz?

– Oczywiście, to mój tekst – podkreślił Mikołaj.

– W dodatku z naszej pierwszej randki – dodała Marta. – Wypiliśmy kawę w barku na wydziale geografii, a potem powiedziałeś to, zapraszając mnie na wino.

– Teraz zajeżdża mi to trochę pesymizmem.

– Mój drogi, wtedy pesymizm był w modzie, podobnie jak czarne swetry i kurtki parki.

– To ja lecę po wino, nim odlecimy w oparach nostalgicznych wspomnień. – Mikołaj cicho otworzył drzwi od balkonu.

Marta oparła się o balustradę. Naprawdę lubiła te wieczorne rozmowy i wspólne picie wina. Po prawie dwudziestu latach ciągle ze sobą rozmawiali. Dało się między nimi wyczuć taką chemię jak na pierwszej randce. Mikołaj miał osobliwe poczucie humoru, ona zresztą również. Lubiała te ich abstrakcyjne dyskusje. Brak poczucia humoru był w jej mniemaniu dużą wadą. Miała nawet na to powiedzonko, które sama wymyśliła: „Poziom abstrakcyjność poczucia humoru określa człowieka”. Stale przychodziły jej do głowy jakieś nowe złote myśli. Mikołaj najlepsze z nich nawet zapisywał.

– Proszę, milady, oto wino i fajura.

– Za fajurę dziękuję, ale papieros może być. – Wyciągnęła rękę. – Dlaczego tak mówisz? Wiesz, że tego nie lubię. Fajura i tym podobne, a do syna najlepiej zwracać się per „kolego”. To kaleczy moje uszy.



– Ależ, milady, po co te nerwy? – Mikołaj roześmiał się i pogładził jej włosy.

– A tak jakoś. – Marta wzruszyła ramionami, ale już w kącikach jej ust zaczął pojawiać się delikatny uśmiech.

– No dalej – zachęcił ją Mikołaj – nie tłamś tego. Przecież wiem, że chcesz się uśmiechnąć.

– Proszę bardzo, niech ci będzie. – Wyszczrzyła się. Mikołaj zawsze potrafił ją rozśmieszyć,

– Twoje zdrowie. – Stuknął się z nią kieliszkiem. – Posłuchaj, wiem, że wkurza cię ta cała sytuacja...

– Wkurza to mało powiedziane. Raczej wkurwia na maksa. – Zakryła dłonią usta. – Boże, jak ja przeklinam... A niech tam, dzieci już śpią. – Machnęła ręką.

– Myślę, że jutro trzeba jakoś delikatnie napomknąć o pieniądzach – zauważył Mikołaj.

– Tak, najlepiej mówiąc: „Dawaj kasę, głupia burżujko”.

– Coś w tym duchu. – Mikołaj zaśmiał się.

– Nie ma sprawy, możesz liczyć na moją dyplomację, ale mówiąc poważnie, jak mi radzisz zacząć?

– Może po prostu zapytaj, czy nie ma dla ciebie jakiegoś listu albo czegoś od Moniki.

– Masz rację! – Marta ucieszyła się. – To będzie aluzja tak grubymi nićmi szyta, że idiota by się połapał.

– I o to chodzi. No to mamy plan.

– Widzisz, ty zawsze potrafisz mi dobrze doradzić.

– Dziękuję, wiem – odparł Mikołaj. – Teraz, kiedy już wypaliliśmy wszystko, co mieliśmy wypalić, i wypiliśmy wszystko, co się do tego nadawało, zapraszam cię na film.

Mikołaj odebrał od Marty pusty kieliszek. Wrzuciła do niego chyłkiem niedopałek papierosa.

– Tylko proszę, spuść go w toalecie – poprosiła.

– Wiem, żeby Marek nie domyślił się, że czasami popalasz.

– Jakie czasami! – oburzyła się. – Palę od wielkiego dzwonu. A dobrze wiesz, że tu chodzi o zasady. Rodzic musi być wzorem dla dziecka.

– Chodź już, ty mój chodzący wzorze.

– I nie zapominajmy o inspiracji.

– Dokładnie, mój inspirujący wzorzec. – Mikołaj uśmiechnął się.

## **Co się stało z doktorem Qusackiem**

*Kanada, Montmagny*

Za kanapą leżały zwłoki Chomika. Szyję obwiązaną miał kablem, a na jego plecach leżał połamany żyrandol. Włosy miał przyprószone tynkiem.

– Powiesił się, biedaczek – stwierdził Harry. Od razu rozejrzał się za krzesłem. W kącie leżał wysoki stołek kuchenny. Chomik najwyraźniej powiesił się sam, zresztą cały dom do tego nastrajał, i jeszcze ta przedwczesna emerytura.

– Ciekawe, co też on oglądał. – Harry schylił się i długopisem zaczął przesuwać szczątki połamanych płyt. Miał nadzieję, że uda mu się znaleźć jakąś ocalałą. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by wszystko zniszczyć. – Może będę miał trochę szczęścia – mruknął do siebie detektyw.

Założył elastyczne rękawiczki i pieczołowicie przejrzał stos uszkodzonych płyt. Za każdym razem, gdy wydawało mu się, że trafił na cały dysk, okazywało się, że jednak posiada jakieś uszkodzenie.

W końcu na samym dnie znalazł to, czego szukał. Pospiesznie umieścił swoje znalezisko w odtwarzaczu DVD. Pojawiło się jednak powiadomienie o błędzie i płyta wysunęła się. Harry wyczyścił ją porządnie.

Za chwilę na olbrzymim ekranie telewizora pojawił się widok piwnicy i siedzącej na fotelu przeraźliwie chudej dziewczyny. Była to jedna z anorektyczek z oddziału Jasmine.

– Chodź już, zaraz muszę wracać na oddział. – Dziewczyna założyła nogę na nogę. Najwidoczniej ona rozdawała tu karty. Widać było, że czuła się dość pewnie.

– Zaraz, zaraz... Przecież to piwnica pod szpitalem – szepnął Harry.

Zza kamery wyszedł Chomik w znoszonej sztruksowej marynarce.

– No i jest nasz Adonis. – Detektyw uśmiechnął się kpiąco.

Na filmie Qusack niezdarnie poczłapał w stronę dziewczyny.

– Niech ona wstanie – odezwał się zza kamery głuchy męski głos. Przy kręceniu filmu brał udział ktoś jeszcze.

Dziewczyna wstała i zaczęła się rozbierać. Robiła to dość nieporadnie. Była w szpilkach, a niższy od niej o głowę Chomik stał i patrzył.

– Przecież ten stary osioł zaraz dostanie zawału. – Harry zakrył ręką usta.

Nagle do lekarza dołączył mężczyzna, który dotychczas stał za kamerą. Był to łysawy pielęgniarz z brzuszkiem.

– Stary Tom – mruknął Harry. Dobrze pamiętał jego zdjęcie z policyjnych akt. Nagle film się urwał. Pomimo usilnych zabiegów Harry'ego płyta odmówiła dalszej współpracy. Detektyw westchnął i odłożył ją z powrotem na miejsce, zakrywając szczątkami innych płyt. Nie ulegało wątpliwości, że Chomik był zbrojcem. Być może wybranym pacjentkom załatwiał coś w zamian za uczestnictwo w tych filmach, które były kręcone w szpitalnej piwnicy.

Harry spojrzał na rozsypane płyty. Może ktoś pomógł Chomikowi się powiesić, tak jak pielęgniarzowi, i szukał jakiejś konkretnej płyty? Większość z pudełek była otwarta, zupełnie jakby ktoś je przeglądał. Detektyw nie wiedział, co o tym myśleć.

Postanowił jeszcze trochę się rozejrzeć, ale w domu nie znalazł już nic ciekawego. Przed wyjściem wytarł dokładnie odciski palców z klamek. Przeszedł się po ogrodzie i tu czekała go niespodzianka.



## ROZDZIAŁ 33

*Kiedy przeskoczysz, to i wtedy nie mów hop. Zobacz najpierw, w co wskoczyłeś.*

Julian Tuwim

### **Burzliwa rozmowa**

*Polska, Warszawa*

Gdy usiedli w salonie, Marta poprosiła Mikołaja, by dolał jej wina. Chwilę piła je z zamyśloną miną. Coś jeszcze w niej siedziało. Mikołaj domyślił się, że chodzi o ostatnią kłótnię z matką.

Marta zaczęła mówić przytłumionym głosem. W domu panowała zupełna cisza i kobieta była pewna, że wszyscy śpią. Myliła się jednak. Ktoś skryty w cieniu schodów na górze słuchał całej rozmowy. Ta na balkonie toczona była również zbyt głośno. Wino zrobiło swoje.

Marta wróciła do tematu pieniędzy. Bardzo chciała zrobić Markowi przyjemność i pojechać do Leśnej Rzeki.

– Na pewno nie chcę jechać na święta do rodziców – stwierdziła. – Matka przegięła z pretensjami do mnie. Wyobraź sobie, że to mnie obarcza winą za to, że Stasio nie chodzi i ma napięcia mięśniowe. Czasami mam wrażenie, że moja matka żyje na innej planecie, która się nazywa „Zrzędlivość” i jest położona w galaktyce „Zawsze, kurwa, wiem lepiej”. „Dobra rada”, tak powinna mieć na imię, a nie Barbara. Na wszystko ma patent, a to, co robię ja, to jedna wielka pomyłka.

– Nie mów tak – uspokajał ją Mikołaj.

– Dosyć mam tej dusznej atmosfery. W każdym razie jutro zadzwonię do Moniki, niech zabierze Jasmine do domu. – Wskazała na schody.

– Ciszej – syknął Mikołaj.

– Co ciszej, u siebie jestem i nie pozwolę się rolować na każdym kroku. Odnoszę nieodparte wrażenie, że świat robi sobie ze mnie jaja. W każdym razie jutro to zrobię – fuknęła. – Nalej mi jeszcze wina.

– A proszę bardzo. – Mikołaj sięgnął po pękatą butelkę. – Mogę włączyć film?

– Możesz – odburknęła.

– Wszystko będzie dobrze. – Pocałował ją w czoło.

– Stale to powtarzasz i nic nie jest dobrze – mruknęła.

– Masz jeszcze wina. Zobaczysz, wszystko się ułoży. Wspomnisz moje słowa.

– Oby – odparła zniechęcona. Położyła rękę na czole i wzięła duży łyk wina.

Dobry nastrój jakoś siadł. Marta czuła niepokój, wciąż coś jej nie grało w tej całej sytuacji. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak jej odczucia są bliskie rzeczywistości. W najgorszym scenariuszu nie wymyśliłaby, co może stać się z jej rodziną. Ale podskórnie czuła zagrożenie. Kobiety często posiadają niezawodny instynkt.

Gdy Mikołaj włączył film, inna, o wiele młodsza kobieta, która również miała instynkt, drgnęła i cicho wróciła do pokoju. Jasmine udało się podsłuchać prawie całą rozmowę, również tę na balkonie. W tym celu weszła do pokoju, gdzie urządzone było biuro, i otworzyła okno, które znajdowało się nad loggią. W wieczornej ciszy słyszała niemal każde słowo Marty i Mikołaja. Pobyt w szpitalu psychiatrycznym zrobił swoje. Jasmine potrafiła bezszelestnie się przemykać, umiejętnie podsłuchiwać i skutecznie ukrywać wszelkie przedmioty. Nie wiedziała jednak, że ma przeciwnika równego sobie. Marta wpadła na trop czarnego notesu i usilnie go szukała. Poświęcała na to każdą wolną chwilę.

Dziewczyna nakryła się kołdrą i zaczęła układać w głowie plan. To wszystko mogło zakończyć się totalną katastrofą. Trzeba było działać, i to natychmiast.

### **Jasmine w banku**

*Polska, Warszawa*

Najwyraźniej nikt w Kanadzie nie szukał Jasmine. Stąpała jednak po kruchym lodzie. Od utopienia telefonu nie sprawdzała maila. *Może o mnie zapomnieli* – myślała. W każdym razie postanowiła udawać, że nie ma dostępu do Internetu. *Jak chcę mnie znaleźć, to proszę bardzo.* Nie był to jedyny problem, który ją trapił. Nie mogła przekazać ciotce karty kredytowej, którą dostała od Anny, bo wówczas zostałaby zupełnie bez pieniędzy.

Kilka godzin szperała w Internecie i w końcu obmyśliła plan. Powiedziała Marcie, że musi jechać do sklepu. Zabrała ze sobą Marka, który był wniebowzięty, że może gdzieś jechać sam z kuzynką. Był już w tym wieku, kiedy stałe przebywanie z rodzicami zaczyna boleśnie doskwierać. Ten moment nadchodzi niespodziewanie i zazwyczaj rodzice absolutnie go nie wyczuwają. Szczególnie matki, które naiwnie wierzą w przywiązanie dzieci. Marta niechętnie zgodziła się, by Marek pojechał z Jasmine do Arkadii, a Mikołaj machnął ręką i powiedział: „Niech jadą. Dziewczyna jest w końcu dorosła”. W odpowiedzi Marta tylko skrzyżowała ręce na piersiach. Instynktownie wyczuwała, że Marek odrywa się od niej, szybując w stronę Jasmine. Mikołaj tego nie zauważał, ale on nie był spostrzegawczy w tych sprawach.

W Arkadii Jasmine pierwsze kroki skierowała do Levi'sa. Kupiła tam Markowi kilka par spodni, jakieś bluzy i koszule. Gdy wyszli, chłopak nie wiedział, jak jej dziękować.

– Przestań – powiedziała Jasmine – przecież jesteśmy rodziną. Jestem twoją kuzynką. Teraz już nikt nie będzie się z ciebie śmiać, że widać ci skarpetki. Proszę, zamów dla mnie americano z mlekiem i jakieś ciastka. – Wskazała na cukiernię Wedla. – Ja zaraz wrócę.

– Tu jest bardzo dobra czekolada do picia – ucieszył się Marek.

– Zamów wszystko, co chcesz. – Podążyła mu plik pieniędzy.

Obładowany siatkami Marek wszedł do cukierni, a Jasmine ruszyła do Orange, gdzie kupiła telefon na kartę. Sprzedawca wszystko sprawnie zainstalował.

– Już wszystko działa. – Z szerokim uśmiechem podał Jasmine telefon.

– Przepraszam, czy jest tu jakiś bank? – zapytała.

– Tutaj niedaleko naszego salonu jest oddział Millennium. – Sprzedawca wskazał jej kierunek. Był naprawdę bardzo pomocny.

W banku było zupełnie pusto. Jasmine wybrała stanowisko, które obsługiwał mężczyzna. Gdy tylko zobaczył Jasmine, natychmiast się poderwał, przywitał ją i szerokim gestem zaprosił, by usiadła. Dziewczyna rozpostarła się wygodnie w fotelu i położyła na blacie kanadyjski paszport.

– Chcę założyć konto w waszym banku – oświadczyła z poważną miną. Chciała wypaść jak najbardziej dorośle, okazało się to jednak zupełnie zbędne.

Konsultant o nijakiej aparycji natychmiast wyjął jakieś formularze i wszczął procedurę, ale gdy wszystko było już niemal gotowe i Jasmine składała ostatni

podpis, okazało się, że system nie zaakceptował nowo założonego konta. Mysi facet poleciał do kierowniczkę, która zbliżyła się z władcą miną. Oznajmiła, że przed założeniem konta Jasmine musi poświadczyć stałość swojego pobytu.

– Jest pani obywatelką Kanady. Gdyby pani tu studiowała, to zmieniłoby postać rzeczy, wówczas moglibyśmy otworzyć konto.

– No właśnie przyjechałam na studia – ucieszyła się Jasmine. – Tylko konto jest mi bardzo potrzebne, bo rodzice mają mi przelać pieniądze. Skończyła mi się gotówka.

– To proszę przynieść zaświadczenie z uczelni, jakąś legitymację, cokolwiek, wówczas założymy konto – wyjaśniła dyrektorka.

– Bardzo pani dziękuję. – Jasmine uśmiechnęła się. – Wrócę dzisiaj – powiedziała do konsultanta.

– Będę na panią czekał – rozpromienił się. – Jeśli będą klienci, obsłużę panią poza kolejką.

Jasmine pożegnała się i wróciła do cukierni. Pijąc z Markiem kawę, przeglądała Internet w nowo kupionym telefonie. Wyszukała strony kilku szkół wyższych. Postanowiła pominąć największe uczelnie i skupiła się na mniejszych placówkach. Zostawiła znowu Marka i poszła do toalety, skąd zadzwoniła do jednej z nich. Okazało się, że szkoła musi otrzymać komplet dokumentów z liceum, w tym świadectwo ukończenia, którego Jasmine jeszcze nie posiadała. Cała sprawa coraz bardziej się gmatwała.

Jasmine zaklęła i trzasnęła drzwiami od toalety, była wściekła. Wróciła do Marka i dokończyła kawę, usilnie starając się wymyślić jakiś plan, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Fortuna z kryptowalut była poza jej zasięgiem. Wiedziała, że lada moment skontaktuje się z nią opiekun, czasu było więc mało.

Po powrocie do domu czekały ją już nowe problemy. Gdy Marek z miną triumfatora z Koloseum pokazywał matce nowe spodnie kupione przez Jasmine, Marta zrobiła dziwną minę. Było jej to nie w smak, odebrała to jako afront.

*Bogata dziedziczka przyjechała do zubożałych krewnych i biednemu pacholęciu latającemu w przykrótkich portkach z łaski nowe ubrania kupiła – tak w myślach oceniła sytuację Marta. Poza tym miała przywieźć pieniądze, a nie kupować prezenty.*

Jasmine złapała wściekłe spojrzenie ciotki. Zaoferowała pomoc w pracach domowych, ale gdy ciotka nie skorzystała z nich, dziewczyna poszła do swojego pokoju z postanowieniem, że kolejnego dnia spróbuje w innym banku.



## **Bunkier Chomika**

*Kanada, Montmagny*

W kącie ogrodu pod rozłożystym krzewem widać było otwartą kłapę z drabiną prowadzącą w dół. Harry wyjął z kieszeni latarkę i zszedł po drabinie. Znalazł się w niewielkiej ziemiance. Ściany były umocnione drewnianymi deskami, spomiędzy których wystawały korzenie. Po bokach ustawiono sklecone byle jak z desek regały, na których stały puszki z prowiantem i zgrzewki wody. W kącie znajdował się prycza, obok stolik ze zwykłej skrzynki, na którym stała lampa naftowa. Harry rozejrzał się, instynktownie szukając łańcucha lub innego śladu wskazującego na przetrzymywanie kogoś, ale w niewielkim pomieszczeniu nie było niczego takiego. Na ścianach wisały instrukcje oczyszczania wody i robienia opatrunków. Najwyraźniej Philip Qusack był po prostu prepersem, a to był jego schron na wypadek upadku cywilizacji. Chomik nie był więc aż tak zboczony, jak zakładał początkowo detektyw.

– Idiota. – Harry ze śmiechem podsumował leśny bunkier. Niedługo potem opuścił posesję lekarza, wrócił do wozu i powoli odjechał. Ze stojącej przy pustej drodze budki telefonicznej zadzwonił na policję i powiadomił o znalezieniu zwłok. Potem pojechał do niewielkiego baru, w którym zamówił naleśniki z syropem klonowym i kawę.

Jadł powoli, zastanawiając się nad całą sprawą. To wszystko było pokręcone. Harry czuł się zupełnie jak w szalupie, która natrafiła na niewielką krę. Chciał odepchnąć ją wiosłem, a wtedy okazało się, że kra była czubkiem skrytej pod wodą olbrzymiej góry lodowej. Detektyw czuł, że to taka właśnie sprawa.

Najwyraźniej ktoś szperał w tych płytach. Może został spłoszony, nie zdołał znaleźć tego, czego szukał? Może na pozostałych płytach było więcej nagrań z innymi dziewczynami i któraś z nich chciała się pozbyć Chomika?

*Nie, to głupie* – stwierdził w myślach Harry. *Nawet najsilniejsza z nich nie zdołałaby go podnieść. Chyba że miała pomocnika.*

## **Marta szuka czarnego notesu**

*Polska, Warszawa*

Ten brak jakiegokolwiek listu od Moniki i przede wszystkim brak pieniędzy, na które tak liczyła Marta, wzbudzały jej coraz większą podejrzliwość. Zaczęła bacznie przyglądać się Jasmine, a im bardziej się przyglądała, tym większych nabierała wątpliwości.

Zauważyła, że Jasmine w wolnych chwilach pisze coś w czarnym moleskinie. To bardzo ją zaintrygowało. Walczyła ze sobą przez cały dzień, aż w końcu wieczorem przy winie przyznała się Mikołajowi, że chce odnaleźć ten zeszyt i go przeczytać.

– Umieram z ciekawości, co ona tam wypisuje. To z pewnością jej pamiętnik.

Mikołaj jak zwykle uspokajał ją, ale myśl o odszukaniu notesu niczym ziarno kiełkowało w Marcie. Odganiała ją, odpędzała, ale ta wciąż powracała jak niechciany kundel. W końcu zadomowiła się i została już w głowie kobiety. Marta była typem planisty, który gdy już wymyśli jakiś projekt, to nie spocznie, dopóki go nie zrealizuje.

Następnego dnia spadło dużo śniegu i wszystko stało się białe. Marek i Jasmine wyszli z psem na spacer do Lasu Bielańskiego. Marta dobrze wiedziała, że nieprędko wrócą. Miała całą godzinę. Staś spał, a Mikołaj wyszedł z paczkami na pocztę. Pieczołowicie przejrzała rzeczy Jasmine, ale na nic nie trafiła. Stanęła na środku pokoju, wzięła się pod boki i rozejrzała. Chciała poczuć się jak Jasmine, wejść w jej głowę.

*Gdzie schowałaś ten zeszyt? On musi gdzieś tu być. To tu siedzisz i piszesz.*

Sprawdziła dokładnie pod łóżkiem i w komodzie, a także w dużej wnękowej szafie, ale wszędzie nic. Wiedziała jednak dobrze, że tajemniczy zeszyt jest gdzieś blisko.

*Ona często otwiera okno – przemknęło jej przez myśl. Ciągle wietrzy pokój.*

Podeszła do uchylonego okna i otworzyła je na oścież. Oparła ręce na blaszanym parapecie. Wtem usłyszała głosy na dole. Do domu wrócili Jasmine i Marek. Marta szybko zamknęła okno i opuściła pokój.

## **Harry i piłeczka w garażu**

*Kanada, Lac-Écho*

Po powrocie do domu Harry jak zwykle wstawił wóz do garażu. Od rana we wszystkich mediach trąbiono o dalszych opadach śniegu i detektyw

nie chciał, żeby Brunhilda stała pod chmurką. Zawsze nazywał swoje samochody. Zazwyczaj były to imiona kobiece. Nie wiadomo, dlaczego stary chevrolet stał się Brunhildą, po prostu jakoś tak wyszło i już.

Poprzedni właściciel domu był bardzo przemyślny. Wprowadził kilka udogodnień na miarę MacGyvera. Na przykład kuchenne drzwi od strony ogrodu miały zamontowaną długą sprężynę, która napinała się, gdy się je otwierało. Potem wystarczyło je puścić, a same zamykały się z trzaskiem. W wąskim garażu sprytny gospodarz zawiesił na suficie piłeczkę tenisową na żyłce.

– O co w tym chodzi, do cholery? – zastanawiał się Harry, gdy pierwszy raz to zobaczył. Szybko odkrył przeznaczenie piłeczki, gdy po raz pierwszy wprowadził Brunhildę do garażu. Jechał powoli i uważnie, gdyż garaż był za mały i za krótki. Co chwila wysiadał i sprawdzał, czy może jeszcze jechać do przodu. Samochód ciągle wystawał poza bramę. Nagle piłeczka dotknęła szyby. Harry wysiadł i stwierdził, że z przodu zostało może jakieś dziesięć centymetrów do ściany, z tyłu również. Auto mieściło się w środku dosłownie na styk.

– Ty sprytny draniu. – Harry zaśmiał się na myśl o dawnym właścicielu. – Chyba miałeś podobny wóz.

Piłeczka działała idealnie. Od tej pory detektyw parkował powoli, czekając, aż piłka dotknie szyby. To był znak, że czas gasić silnik.

Tego dnia jak zwykle wjeżdżał do garażu, patrząc na piłkę. Jakie było jego zdziwienie, gdy rozbił światła o mur. Piłka dyndała jak gdyby nigdy nic daleko od szyby.

– Co u licha?

Najwyraźniej ktoś musiał ją przewiesić.

*Może to robota Sally? – przemknęło mu przez myśl. Ale po co miałyby się trudzić, by przewieszać piłkę? Pewnie by ją zerwała i wyrzuciła.*

Podszedł do piłki, coś było z nią nie tak. Trącił ją palcem. Powoli obróciła się. Jej druga strona była cała we krwi. Harry odruchowo sięgnął do kabury, rozejrzał się i zaczął nasłuchiwać. Najwyraźniej ktoś dawał mu znak, by zostawił sprawę Jasmine. Kto to mógł jednak być, skoro Jasmine była w Europie? Pomyślał o Sally i rzucił się gwałtownie przed siebie. Jak bomba wpadł do domu.

– Sally, gdzie jesteś?!

## **Obawy Harry'ego**

*Kanada, Lac-Écho*

Sally wyszła z kuchni z kubkiem gorącej kawy.

– Jak dobrze, że jesteś. – Przytulił ją.

– A gdzie niby miałabym być?

– Czy ktoś odwiedzał cię w domu?

– Nie – odparła wyraźnie zaniepokojona. – Czy coś się stało?

Harry dla porządku sprawdził cały dom, a potem w salonie półgłosem opowiedział jej o wszystkich dziwnych zdarzeniach tego dnia.

– Nie wiem, co się dzieje – zakończył swą opowieść – ale jedno jest pewne: nie jesteśmy tu bezpieczni. Jeszcze dzisiaj przeniesiemy się do hotelu. Potem sprzedamy dom.

– I nie zapominaj, że trzeba ostrzec tych ludzi, do których pojechała ta wariatka.

– Wiem, czekam cały czas na telefon od tego pielęgniarza.

Harry postanowił opuścić dom już tego wieczoru. Spakowali z Sally najpotrzebniejsze rzeczy. Przed wyjściem detektyw umieścił piłeczkę w plastikowej torebce, by przekazać ją do ekspertyzy koledze z policji.

Kiedy wyjechali z domu, długo krążył po mieście, upewniając się, że nikt ich nie śledzi. To naprawdę nie była zwykła sprawa.



## ROZDZIAŁ 34

*Pieniądze szczęścia nie dają – dopiero zakupy.*

Marilyn Monroe

### **Dzień sukcesu**

*Polska, Warszawa*

Następnego dnia Jasmine udała się do niewielkiego oddziału banku, który znajdował się na osiedlu. Wyciągnęła paszport i okazało się, że nie było żadnych problemów z założeniem konta. Starsza kasjerka o nic nie pytała, tylko podsunęła jej papiery do podpisu i poinformowała o opłatach. Tego samego dnia po południu dziewczyna weszła na konto zajmujące się handlem kryptowalutami, które założyła już wcześniej w szpitalu. Przełała cyfrowe waluty z przenośnego portfela na nowy rachunek. Konto zasililo się natychmiast o pięćdziesiąt bitcoinów. Następnie kliknęła przycisk „sprzedaj natychmiast”. Za jednym zamachem po gorszym kursie spieniężyła kryptowaluty. Jej konto na giełdzie kryptowalut natychmiast wykazało dwadzieścia milionów złotych. Szybko wpisała numer świeżo założonego rachunku bankowego i kliknęła przycisk „przelej środki”.

*Jakie to proste – uśmiechnęła się do siebie. Przelew na pewno przyjdzie jutro.*

Rozpierała ją energia. Po kilku latach izolacji w szpitalu psychiatrycznym ręce aż jej drżały na myśl, że może kupić sobie teraz wszystko, o czym zamarzy. Czowała się naprawdę szczęśliwa. Pieniądze może szczęścia nie dają, ale zakupy już tak, dlatego postanowiła ruszyć do sklepów. Nie wiedziała, że przelewając tak dużą kwotę pieniędzy, rozpętała wielką burzę. Psy gończe zostały spuszczone.

### **Prezent**

*Polska, Warszawa*

Jak tylko Jasmine otrzymała pieniądze na swoje prywatne konto, postanowiła załatwić sprawę z ciotką. Dobrze wiedziała, że aby uzyskać błogi spokój, należy dać innym to, czego potrzebują. Niezaspokojone potrzeby zawsze rodzą konflikty.

W wesołych podskokach zbiegła po wąskich schodach na dół i pobiegła do kuchni, w której Marta właśnie robiła kawę.

– Ciociu, mogę też trochę? – spytała, siadając przy stole w kuchni.

– A ty pijesz kawę? – zdziwiła się Marta. – Jesteś jeszcze chyba na to trochę za młoda. W końcu kawa to używka.

– Oczywiście, że piję kawę, bez niej nie mogę się obudzić – odparła Jasmine.

– Wolalabym jednak usłyszeć to od twojej mamy – stwierdziła sucho Marta. – A właśnie, masz z nią jakiś kontakt? Chcę do niej zadzwonić i porozmawiać.

– Niestety mama jest nadal w szpitalu.

– A co jej jest? – spytała podejrzliwie Marta.

– Wycinają jej coś tutaj. – Jasmine dotknęła się brzucha w miejscu wyrostka robaczkowego. – Nie wiem, jak to się mówi po polsku.

– Ale po zabiegu zadzwoni do mnie, tak? Dawno się nie widziałyśmy. Chciałabym z nią porozmawiać. Nie wiem na przykład, czy możesz pić kawę.

– Mogę też wypić herbatę.

– Wolalabym, żeby mama do mnie zadzwoniła. Chyba masz z nią jakiś kontakt? – naciskała Marta.

– Tak, oczywiście, ale prosiła, żebym nie dzwoniła do niej przez kilka dni po zabiegu.

Marta już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Jasmine weszła jej w słowo.

– Ale jestem głupia, zupełnie zapomniałam, że mama dała mi dla ciebie list i prezent.

– Dobrze, że sobie przypomniałaś – stwierdziła Marta. – Zaczęłam się już poważnie niepokoić.

– Pójdę i przyniosę. – Jasmine zerwała się z krzesła.

– To może wypijemy na początek tę kawę? – zaproponowała łaskawie Marta. Jednak za późno, bo Jasmine już była w sypialni. Po chwili wróciła, trzymając w ręku żółtą kopertę i nieduży prezent zapakowany w złoty papier.

– Proszę, ciociu, to dla ciebie. – Wręczyła zaskoczonej Marcie kopertę i pakunek. – Odpakuj – zachęciła ją. – Prezent wybierałam razem z mamą. Była bardzo ciekawa, czy ci się spodoba.

– Dobrze, już otwieram. – Marta uśmiechnęła się. – Ojej, jakie чудо! – Zachwyciła się, wydając z pudełka kolczyki i naszyjnik z pereł. – Uwielbiam taką biżuterię, elegancką, a jednak dyskretną.

– Przepraszam, że o tym zapomniałam. – Jasmine przytuliła się do ciotki. – To przez to przestawienie czasu. Ostatnio jestem taka skołowana. – Machnęła ręką i przybrała niewinną minę.

– Wiem – powiedziała Marta i zrobiło się jej głupio. Czuła się teraz trochę jak Judasz. W końcu nie można mówić źle o kimś, kogo nie poznało się do końca. – List przeczytam później – stwierdziła.

– Mama wyrobiła mi też specjalną kartę, żeby nie wiozła ze sobą pieniędzy. Miałam dać ci ją od razu, o czym oczywiście też zapomniałam. – Jasmine spuściła wzrok i wyjęła z kieszeni czarną elegancką kartę z rysunkiem dwóch różowych flamingów.

– O, jaka ładna – zauważyła Marta.

– Mama wybrała ten wzór – powiedziała Jasmine. – Tu są pieniądze na jedzenie i podróż. To nasz budżet, do twojej dyspozycji ciociu. Mama mówiła, że planujesz dla nas jakiś wyjazd.

– Tak. – Marta uśmiechnęła się. – Chcemy zabrać cię w kilka miejsc, żebyś poznała trochę Polskę. Ale nie przejmuj się, to nie będzie tylko nudne zwiedzanie. Na koniec pojedziemy w góry, do pięknej miejscowości położonej wśród lasów nad jeziorem.

– Cudownie. – Jasmine ucieszyła się.

– Leśna Rzeka – powiedział Marek, który zwabiony rozmową właśnie wszedł do kuchni.

– W rzeczy samej – potwierdziła Marta. – Leśna Rzeka to niezwykle urokliwa miejscowość, leżąca nad piękną rzeką z krystalicznie czystą wodą, która przepływa przez same lasy. Stąd też nazwa. Jest też tam jezioro z przystanią i łódkami.

– I dużą plażą – dodał Marek. – Lubisz pływać? – Spojrzał na Jasmine.

– Oczywiście, pływam jak ryba. W Kanadzie mamy mnóstwo jezior. Prawie każdy weekend spędzaliśmy nad wodą. A ty?

– Ja dopiero się uczę.



– Gdyby było cieplej, dałabym ci kilka lekcji. – Jasmine puściła do Marka oczko.

– A mówisz, że spędzaliście? – Marta zdziwiła się. – To już nie jeździcie razem?

– Teraz już trochę rzadziej, mam dużo nauki w liceum – wyjaśniła pospiesznie Jasmine.

– No tak, nauka na pierwszym planie – skomentowała ciotka. – Teraz kończysz szkołę, to później pewnie jakieś studia?

– Tak, już mam nawet wybrany kierunek.

– Chcesz jeszcze trochę kawy? – spytała Marta.

Jasmine skinęła głową i podsunęła kubek.

– Jaki kierunek wybrałaś?

– Prawo.

– To chyba ciężkie studia.

– Tak, ale zawsze mnie pasjonowały procesy sądowe.

– To na pewno bardzo ciekawe – przyznała Marta.

– Ciociu, a ty czym się zajmujesz?

– Teraz jestem na urlopie, opiekuję się Stasiem. On ma trochę kłopotów ze zdrowiem. – Westchnęła.

– A co mu jest?

– Ma problemy z nogami, już dawno powinien chodzić, ale tak nie jest.

– To okropne. – Jasmine zrobiła zboląłą minę. – Ale mam nadzieję, że znajdziesz jakiegoś lekarza, który mu pomoże.

– Ciągle go szukamy – powiedziała smutno Marta. – Na razie lekarze zupełnie nie wiedzą, co jest Stasiowi. Ale skończmy smutne tematy. Pytałaś mnie, czym się zajmuję. Skończyłam filologię francuską, więc trochę tłumaczę i udzielam korepetycji. Prowadzę też internetowy sklep ze zdrową żywnością.

– Naprawdę? To bardzo ciekawe, uważam, że ludzie powinni się tym bardziej interesować. Wszędzie teraz pełno niezdrowego jedzenia. Ciociu, czy mogę jechać z Markiem do sklepu? – Jasmine nagle zmieniła temat.

– Znowu? – Marta zmarszczyła brwi.

Jasmine pokiwała głową.

– Dobrze – zgodziła się Marta – tylko proszę, nie wracajcie zbyt późno.

W sumie była zadowolona z tej komitywy. W domu było o wiele więcej spokoju.

– Ciociu, czy jak Marek będzie coś chciał, to mogę mu to kupić? – spytała przed wyjściem Jasmine. Marek zakładał buty w przedpokoju i nie mógł tego usłyszeć.

– Tak, oczywiście – odparła Marta. – Tylko proszę cię, nie za dużo. Staramy się, żeby nie wyrósł z niego materialista. I tak już dostał od ciebie dużo prezentów.

– Wiem, ale głupio mi będzie, jak kupię coś dla siebie, a on nic nie dostanie.

– Coś tam kupcie, tylko rozsądnie. A teraz uciekajcie, żebyście zdążyli na obiad.

### **Marta sprawdza kartę**

*Polska, Warszawa*

Kiedy Marek i Jasmine wyszli, Marta odczekała do momentu, gdy dojrzała przez okno, jak idą przez park.

Natychmiast pobiegła do gabinetu, gdzie Mikołaj grzebał w komputerze. Oparła się o jego krzesło.

– Co robisz?

– Sprawdzam pocztę – odparł.

– A już myślałam, że znowu komentujesz artykuły o polityce.

– Nie, tym razem nie. Słuchaj, czy ty masz jakąś konkretną sprawę, czy przyszedłaś najnormalniej w świecie poprzekadzać mężowi?

– Możesz zostać ze Stasiem? – spytała.

– Wychodzisz gdzieś? – zdziwił się.

– Chcę sprawdzić to. – Marta pomachała triumfalnie kartą, którą dostała od Jasmine.

– W takim razie idź, ale wracaj szybko – powiedział.

– Tylko proszę, zmień Stasiowi pieluchę, bo tam jest taka bomba, że to wszystko zaraz eksploduje i będzie trzeba salon odmalować.

– Mam lepszy pomysł. Zeskrobie to ze ścian i zapakuję do puszek, powstanie nowa *Merda d'artista*. Piero Manzoni tak zrobił i sprzedawał swoje puszki w cenie złota. À propos, po ile teraz jest uncja złota? – zapytał.

– Przestań. Jeżeli Staś ma ochotę zajmować się sztuką, to niech to będzie coś klasycznego, a nie sztuka konceptualna.

– I za to cię kocham. – Mikołaj ożywił się. – Ty zawsze wiesz, o czym mówię. Nie wiem czy słyszałaś, ale podobno wszyscy jesteśmy gównożercami.

– A co to znowu za głupoty?

– To nie głupoty, to *Ciemna materia. Historia gówna* Floriana Wenera. Opowiem ci, jak wrócisz.

– Teraz to czytasz?

– Tak sobie przeglądam. Wiesz, że zawsze czytam kilka książek naraz.

– Jesteś niepoprawny. Wychodzę. Ciao.

Marta wróciła po dwudziestu minutach wyraźnie podekscytowana.

– Gdzie oni są? – spytała, rozglądając się po mieszkaniu.

– Staś śpi – Mikołaj wskazał na łóżeczko – a ta dwójka jeszcze nie wróciła.

– Właśnie widzę, że zbliżyli się do siebie – zauważyła Marta. – To dobrze, Marek nie ma przyjaciół. Zresztą nieważne. – Wyciągnęła z kieszeni kartę i zamachała nią. – Kochanie, tu jest istna fortuna.

– To znaczy ile?

– Dokładnie trzydzieści dziewięć tysięcy.

– Nieźle. – Mikołaj gwizdnął przeciągle. – Czy nadal żałujesz, że zaprosiłaś kuzynkę?

– Chyba żartujesz, za taką kasę to mogłabym ją tu rok trzymać i spać na balkonie.

– Ciekawa koncepcja.

– À propos balkonu... – zniżyła głos. – Za te pieniądze możemy położyć nową terakotę.

– Nie żartuj – odparł Mikołaj – tak nie można.

– Przestań być takim moralistą – odparła podniecona. – To są pieniądze, które mamy wydać. Jak weźmiemy dwa tysiące, nic złego się nie stanie. Przecież nie zamierzam jej głodzić. Jasmine wyraźnie powiedziała, że to dla nas na wyjazd.

– No właśnie, na wyjazd, a nie remont balkonu.

– Dla mnie balkon jest bardzo ważny, wszyscy uwielbiają tam przesiadywać.

– Dobrze, kochanie, obgadamy to jutro, kiedy ochłoniesz. – Mikołaj pocałował ją w czoło.

– Rozmawiać możemy, ale nie chcę, żebyś mnie odwodził od mojego genialnego pomysłu. Nigdy nie ma kasy na remont balkonu, a wiesz,

że uwielbiam tam siedzieć. Zrobić kawę?

– O tak, zrób – ucieszył się Mikołaj.

– Podasz mi ekspres? – Wskazała na szafkę nad kuchenką.

– Pomyślałem, że może jutro zaproszę Jasmine na zwiedzanie miasta.

Zabralibyśmy też Marka. Co ty na to?

– Nie, ty masz na jutro zupełnie inne plany – stwierdziła poważnie Marta.

– Tak, a niby jakie?

– Pojedziesz do sklepu i obejrzysz płytki.

– Porozmawiamy o tym jutro, ale wiedz tylko, że uważam, że to kiepski pomysł.

– Opowiedz mi lepiej o tej książce, którą czytasz – odparła.

– *Historia gówna* Wenera? Naprawdę uważasz, że to dobry temat przy kawie? – Zmarszczył brwi.

– No tak, to może kiedy indziej... – zawahała się.

– Może przy obiedzie – dokończył Mikołaj.

– Dokładnie, zrecenzujesz ją przy obiedzie, ale po zupie. Mój ojciec zawsze uważał, że przy zupie nie należy rozmawiać.

– Znam bardzo dobrze jego poglądy – odparł Mikołaj. – Teść ma swoje nienaruszalne zasady.

– A więc przy drugim daniu możemy rozpocząć intelektualną dysputę, która może przeciągnąć się aż do deseru.

– I wtedy Jasmine stwierdzi, że jesteśmy nienormalni i zabierze nam kartę.

– Przestań, nie oddam! Coś słyszałam, oni chyba wrócili... – powiedziała Marta.

– Marek! Jasmine! – Mikołaj zawołał w głąb mieszkania, ale nikt nie odpowiedział. – Cicho i głucho, coś ci się przestyszało. – Wzruszył ramionami.

– Jakoś długo ich nie ma – zauważyła. – Integracja pełną gębą, nie ma co.

– Może to i lepiej, nareszcie Marek przestał bawić się całymi dniami na balkonie. Niech się socjalizuje.

W ekspresie zasyczała kawa. Kiedy już pili espresso, Marta zrobiła poważną minę.

– Chcesz coś powiedzieć – zauważył Mikołaj. – Widzę, że wpadłaś na jakiś szatański pomysł.

Marta tylko uśmiechnęła się szelmowsko. Mikołaj znał ją dobrze i czuł, że nie skończy się tylko na remoncie balkonu. Jak zwykle miał nosa. W jego żonie odezwał się szalony duch. Dość już miała siedzenia w jednym miejscu. Postanowiła wypożyczyć kampera i ruszyć do Leśnej Rzeki.

– Ty po trzech dniach dołączysz do nas, święta spędzimy w Leśnej Rzece – powiedziała. – Potem zrobimy objazd po Bieszczadach. Drogi zasypane śniegiem i my w wielkim kamperze. Zobacz, jakiego znalazłam. – Marta wyciągnęła telefon i pokazała Mikołajowi zdjęcia samochodu.

– Widzę, że jest nawet osobna sypialnia – zauważył Mikołaj.

Marta przytaknęła.

– Dzieciaki będą spały w salonie. Na tym filmie widać, że jedna ściana się wysuwa i zobacz, jaki salon robi się wtedy olbrzymi.

– Ten kamper to gigant – stwierdził Mikołaj. – Myślisz, że możemy go prowadzić?

– Oczywiście, wszystko sprawdziłam, wystarczy zwykłe prawo jazdy.

– Czyli święta traperów.

– Dokładnie. Zawsze chciałam pojechać w wielką podróż kamperem.

– A dlaczego ja mam dojechać trzy dni później? – zdziwił się Mikołaj.

– Musisz położyć płytki na balkonie. Potem wsiądziesz w pociąg i przyjedziesz do nas.

– To szalony plan. – Mikołaj pokiwał głową. – Ale czy możemy wziąć tyle pieniędzy z karty?

– Możemy. – Marta uśmiechnęła się. – Ja pozwalam. W końcu to moja krewna. – Chwyciła Mikołaja za rękę. – Zgadzasz się?

– A mam wyjście?

– Nie masz – odparła ze śmiechem.

– W takim razie dobrze.

– Kocham cię. – Pocałowała go uradowana. – Wpadłam na jeszcze jeden pomysł.

– Już się boję – powiedział Mikołaj.

– Ogłoszę wyjazd bez komórek.

– Hola, hola, nie puszczę cię samej kamperem w góry bez telefonu.

– Będę dzwoniła do ciebie codziennie, na pewno znajdzie się przyjazna dusza, która pożyczy mi telefon. Dzieciaki się zintegrują, zamiast grzebać w telefonach. Jasmine ciągle siedzi i coś sprawdza, a Marek ją naśladuje.

– W sumie masz rację, to dobry plan – zgodził się z nią Mikołaj. – Tylko masz do mnie codziennie dzwonić. Inaczej ruszę w pościg.

## **Szał zakupów**

*Polska, Warszawa*

Jasmine znowu pojechała z Markiem do Arkadii. Krążyli po sklepach, kupili trochę ubrań dla niej i buty zimowe dla chłopaka. Kiedy jedli pizzę, Jasmine nagle zapytała:

– Słuchaj, gdzie twój tata ogląda samochody?

– W Internecie.

– To wiem. – Uśmiechnęła się. – Ale na jakiej stronie?

– Na Otomoto, na tym portalu jest najwięcej ogłoszeń.

Jasmine szybko wpisała stronę i zaczęła przeglądać oferty SUV-ów.

– Mój tata znalazł świetny samochód, Dacia Logan, wóz na trudne czasy. Nawet jakby nadeszła inwazja zombiaków, to on pokona każdą drogę – powiedział Marek.

– Dacia Logan. – Jasmine szybko wystukała w telefon. – Nie, to raczej nie w moim stylu. – Wydęła usta. – Ja szukam czegoś takiego.

Podana chłopcu telefon. Na zdjęciu srebrnymi felgami błyskał olbrzymi czarny Hummer H2.

– Wow. – Marek z wrażenia aż zakrztusił się pizzą. – To jakiś potwór.

– Dokładnie, drogowy potwór. – Jasmine uśmiechnęła się.

– A ty dasz radę to prowadzić?

– Oczywiście, że tak. – Wzruszyła ramionami. – Mam prawo jazdy, a to w końcu automat. To dziecinnie proste. Chodź, zbieraj się, jedziemy go zobaczyć, jest w komisie samochodowym w Warszawie.

Wyszli przed centrum handlowe i udali się na postój taksówek. Jasmine podała kierowcy adres i wóz ruszył. Dziewczyna oparła głowę na zagłówek i przymknęła oczy.

– Śpisz? – zapytał Marek.

– Głupi, oczywiście, że nie śpię. – Uśmiechnęła się. – Po prostu myślę, daj mi chwilę.

Marek też oparł głowę na zagłówek i przymknął oczy, naśladowując kuzynkę. Jechali z zamkniętymi oczami, a taksówkarz w lusterku obserwował tę dziwna

parę. *Bananowe dzieciaki* – pomyślał i pokręcił głową z dezaprobatą. Pasażerowie nie zwrócili jednak na niego uwagi.

Jasmine zastanawiała się, czy zakup hummera to dobry pomysł. Ale z drugiej strony zawsze tak bardzo chciała mieć wóz. Gdy pojechała na weekend do Anny i zobaczyła jeepa Emily, poczuła wielką niesprawiedliwość, że niektórzy mają wszystko i są niezadowoleni, a inni nie mają niczego i każe się im być szczęśliwymi i cieszyć się, że w ogóle żyją.

*Może to głupie – rozmyślała w taksówce. Ale co w życiu jest tak naprawdę logiczne? Kupię tego hummera.*

Marek tymczasem o niczym nie myślał, po prostu był szczęśliwy. Na początku bał się przyjazdu kuzynki, a teraz jakby wydorósł, a świat, który pokazywała mu Jasmine, był fajny, prosty i wesoły. To nie był świat za krótkich spodni i przeproszenia, że się żyje. Wreszcie czuł się zrozumiany.

## **Komis samochodowy**

*Polska, Warszawa*

Komis znajdował się na Białołęce przy ruchliwej trasie. Na sporym placu stało wiele samochodów. Czarnego Hummera H2 widać już było od wejścia. Ustawiono go na specjalnej rampie, żeby przyciągał wzrok. Istotnie, kierowcy stojąc na światłach, masowo spoglądali na tego stalowego smoka, który błyskał chromami jak bożonarodzeniowa choinka.

Gdy Jasmine i Marek weszli do budki, która służyła za biuro, sprzedawca, tyczkowaty, blady facet, natychmiast odłożył kanapkę, którą łapczywie pożerał i jak na komendę poderwał się z krzesła. Przetykając resztę kanapki, rzucał pospiesznymi uśmiechami na lewo i prawo i witał Jasmine, zupełnie jakby była gwiazdą z Hollywood. Marek też się dumnie wyprężył. W nowych spodniach i nowej kurtce wyglądał na dziecko sukcesu. Też nie ominęło go wylewne powitanie.

– Chcemy obejrzeć hummera – powiedziała Jasmine poważnym tonem.

Blady facet szybko odszukał kluczyki i ruszyli na plac. Idąc, opowiadał o samochodzie, który dużo palił, ale miał założoną instalację LPG.

– Wie pani, ten samochód albo się kocha, albo nienawidzi. W każdym razie to świetny wybór, nikt nie pozostaje obojętnym wobec takiej maszyny. – Wcisnął guzik pilota, wielki wóz błysnął światłami. – Proszę, tu są schody. –

Wskazał ręką na aluminiowe stopnie prowadzące na pochylnię. Jasmine zgrabnie wskoczyła na górę. Chwyliła wielką chromowaną klamkę.

– Pomogę pani – zaoferował się blady facet. Podskoczył jednym susem jak pasikonik i otworzył ciężkie drzwi. – To prawdziwy czołg Sherman.

Jasmine wsiadła na szeroki fotel. Tymczasem sprzedawca otworzył drzwi przed Markiem. Po chwili w trójkę siedzieli w obszernym wnętrzu.

Chłopak rozglądał się ciekawie.

– Ten samochód jest wielki jak dom – zauważył. – A tam w bagażniku jest jeszcze jedno miejsce.

– Dokładnie. – Sprzedawca uśmiechnął się. – Ten samochód spokojnie pomieści siedem osób. Fotel w bagażniku można złożyć. Takie dodatkowe miejsce dla zbłąkanego imprezowicza.

Marek wyszczerzył się.

– Wóz ma pojemność prawie sześciu litrów. Ma wir w baku, ale założono instalację gazową.

Jasmine chwyciła ręką kierownicę.

– Nie rozumiem. – Zmarszczyła brwi.

– Chodzi mi o to, że ten wóz dużo pali – wyjaśnił sprzedawca.

– Okay, to nie ma znaczenia. – Jasmine machnęła niedbale ręką. – Mamy pieniądze na paliwo.

– Jednym słowem to nie jest wóz dla tych, co przytulają się do drzew – stwierdził sprzedawca.

– Czy on nie jest za szeroki na drogę? – Jasmine położyła dłoń na wajsze zmiany biegów, która do złudzenia przypominała potężną dźwignię z samolotu F-16.

– To wielki wóz, ale jest dopuszczony do ruchu. Trzeba podkreślić, że wystarczy zwykłe prawo jazdy; ma wbite w dowód poniżej trzech i pół tony. Ale oczywiście na niektóre ulice faktycznie lepiej nie wjeżdżać. Mam jeszcze inną propozycję.

– Jaką?

– Proszę za mną, to powinno się spodobać pani i synowi.

– Dobrze. – Jasmine uśmiechnęła się, Marek również. Blady facet śmieszył ich niepomiernie.

Wysiedli z wielkiego wozu, zeskoczyli z pochylni i ruszyli przez plac w ślad za sprzedawcą. Ten lawirował między samochodami, szedł bardzo szybko,



prawie biegł. Naprawdę chciał coś sprzedać tego dnia. Okres świąteczny to słaby czas dla dilerów samochodowych.

Jak się okazało, na samym końcu pod płotem ukrywał się prawdziwy skarb. Jasmine aż szerzej otworzyła oczy. Samochód, który zobaczyła, od razu do niej przemówił. Pod płotem stał Hummer H3, błyszczący czernią i chromami. Tablica z Kalifornii lśniła niczym tęcza kolorami.

– Proszę spojrzeć na ten lakier, ani jednej rysy – zachwalał sprzedawca. – Ten wóz wygląda, jakby wyjechał prosto z salonu. A najładniejsze jest wnętrze.

Jasmine otworzyła drzwi. Środek był cały kremowy. Jasne skóry wyglądały idealnie. W dachu był wielki szklany szyberdach.

– Ten wóz jest mniejszy, to wersja europejska – wyjaśnił dealer. – Jest lepiej wyciszony. To model Alpha, najbogatsza wersja, z silnikiem pięć i trzy dziesiąte litra. Ta zabawka ma naprawdę moc. Rozpędza się do setki w osiem sekund. To świetny wynik jak na tę masę. Tamten, którego oglądaliśmy, to smok, a ten to jego syn.

Jasmine usiadła w fotelu kierowcy. Ten samochód był jak marzenie, które samo przychodzi. Marek usiadł z tyłu, gdzie skórzane kanapy nie miały ani jednego wgniecenia; nikt na nich wcześniej nie siedział.

– I jak się pani podoba? – zapytał blady facet.

– Bardzo mi się podoba.

– To może chce się pani przejechać?

Jasmine czuła się trochę jak amerykański żołnierz wyruszający na operację „Pustynna burza”. Zza olbrzymiego kokpitu prawie nie było widać maski. O dziwo, wóz w środku był dosyć niski, ale za to bardzo szeroki. Sprzedawca usiadł na siedzeniu pasażera. Jasmine powoli przekręciła kluczyk, silnik zamruczał, ale jakby z oddali.

*Jestem naprawdę stuknięta* – pomyślała. *Przecież ja nie mam prawa jazdy.*

– Proszę jechać na wprost – powiedział sprzedawca. – Objedziemy parking i wyjedziemy na trasę.

– Okay.

– Tylko proszę uważać z gazem, to naprawdę mocne bydlę. Dokładnie trzysta koni mechanicznych.

## ROZDZIAŁ 35

*Miłość to najgorsze, co się może człowiekowi przytrafić. Człowiek chodzi jak idiota i przestaje troszczyć się o siebie samego.*

Mario Vargas Llosa, *Szelmostwa niegrzecznej dziewczynki*

### **Niepokojący telefon**

*Polska, Warszawa*

Jasmine powstrzymała się i nie kupiła hummera, chociaż bardzo się jej podobał. Zamiast tego wróciła do domu z Markiem taksówką. W drodze biła się z myślami. Postanowiła przespać się z tematem do następnego dnia. Zawsze tak robiła, by na chłodno podjąć decyzję. Zresztą nie chciała wtajemniczać Marka w swoje plany. W końcu nie mogła odkryć wszystkich kart.

Wieczorem cała rodzina siedziała w salonie, jedząc przygotowaną naprędce kolację, kiedy zadzwonił telefon. Wszyscy jak na komendę spojrzeli po sobie. Od dawien dawna nikt nie dzwonił na stacjonarny. Najbardziej przestraszyła się Jasmine; już wietrzyła problem, a serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Mikołaj odłożył widelec i odebrał.

Szybko zrobił niezręczną minę i odsuwając słuchawkę, wyszeptał do Marty:

– Ktoś z Kanady.

Jasmine zakrztusiła się z wrażenia, a Marta otrzepała ręce i wstała. Zamieniła z rozmówcą kilka zdań po francusku, po czym spojrzała na Jasmine.

– To do ciebie.

Poblada dziewczyna wstała i podeszła do telefonu. To był stary aparat, jeszcze na kręconym jak sprężyna przewodzie, relikwyt technologicznej przeszłości. W głowie huczały jej myśli: *Kto to może być, jak znalazł ten numer?* Marta mierzyła ją podejrzliwym spojrzeniem. Opanowując drżenie, Jasmine odebrała słuchawkę od ciotki.

– Witaj, czarownico. – W słuchawce dał się słyszeć głęboki kobiecy głos mówiący po francusku. – Jestem twoim opiekunem, ale nie przejmuj się,

wszyscy myślą, że dzwonię z urzędu w Kanadzie. Nie mogę się z tobą skontaktować. Twoja komórka milczy, a maile nie zostały przez ciebie odczytane. Wyznaczam ci spotkanie jutro w Lesie Bielańskim. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie – skłamała Jasmine.

– Zapytaj swoją ciotkę. Pójdiesz tam na spacer o trzynastej. Ja sama cię znajdę. Teraz powiedz formułkę, że wszystko jest w porządku, że doleciałaś bez problemu i tak dalej. Powiedz, że niczego nie potrzebujesz i dziękujesz za zaangażowanie.

Jasmine powiedziała wszystko, co kazała jej kobieta. Potem odłożyła słuchawkę.

– Nieźle was sprawdzają w tej Kanadzie. – Marta zmarszczyła brwi. – Ciekawe, skąd mieli nasz numer.

– Teraz wszystko można znaleźć – skwitował jej słowa Mikołaj.

– W każdym razie mam nadzieję, że wszystko jest w porządku. – Ciotka spojrzała na Jasmine.

– Tak, chcieli się tylko dowiedzieć, czy doleciałam i poinformować mnie, że mama dobrze przeszła operację.

– No właśnie, liczę na to, że zadzwoni do mnie niedługo – powiedziała powoli Marta.

– Oczywiście – ożywiła się Jasmine. Na chwilę zapadła krępująca cisza. Powietrze można było dosłownie kroić nożem. Marta wciąż siedziała ze zmarszczonym czołem i powoli jadła.

*Ona się czegoś domyśla* – pomyślała Jasmine. *Ona już wie, że coś tu nie gra.*

Dziewczyna nie powiedziała już niczego więcej. Czasem lepiej jest milczeć i zdać się na swobodny bieg wydarzeń.

Widok napięcia Jasmine podczas rozmowy obudził na nowo w Marcie podejrzenia. Wieczorem, gdy dzieci poszły już spać, kobieta usiadła na balkonie z mężem i kieliszkiem czerwonego wina, otulona grubym swetrem. Dopiero co włączyli piecyk i na logii było jeszcze zimno.

Mikołaj zapalił papierosa; Marta też poprosiła o jednego Rothmansa, jednak długo zwlekąca z zapaleniem go.

– Ona jest dziwna. Ten dzisiejszy telefon uświadomił mi, że coś ukrywa. Zbladła jak ściana, gdy dowiedziała się, że dzwoni ktoś z Kanady.

– Jeszcze niedawno, po tym jak dostałaś kartę, wszystko było okay.

– Przyznaję, że trochę zamydliło mi to oczy, ale znowu mam to niejasne uczucie, że coś tu jest nie w porządku.

– Kochanie, jedziemy kamperem na święta, nie psujmy tego. – Mikołaj położył rękę na kolanie żony. – Sądzę, że to dzieje się tylko w twojej głowie.

– Dobrze, nic więcej nie mówię – odparła Marta.

## **Zoo biega po lesie i goni Klaudię**

*Polska, Warszawa, Las Bielański*

Zoo zaparkował wóz w ślepej uliczce tuż przy Lesie Bielańskim. Na jego skraju płynie niewielka rzeczka Rudawka, nazwana tak z powodu swego rdzawego koloru. Wiedzą o niej tylko okoliczni mieszkańcy. W zasadzie nie wiadomo, skąd wypływa.

Kiedy Zoo miał siedem lat, z bandą innych dzieciaków szukał kiedyś źródeł Rudawki. Nigdy się to jednak nie udało, bo rzeczka częściowo płynie pod ziemią. Banda poddała się dopiero po tygodniu. Zoo westchnął na to wspomnienie. Teraz są inne czasy, ktoś by po prostu to wygooglował i szybko dowiedziałby się, że ta tajemnicza rzeczka płynie przez prawie pół miasta, a jej źródła znajdują się na Woli. Teraz nikt nie zdiera sobie butów, łażąc po jakichś chaszczach, bo wszyscy gniją przed komputerami.

Zoo otrząsnął się ze wspomnień, zamknął wóz i ruszył przez drewniany mostek do lasu. Tuż przy wejściu wznosił się lśniący bielą apartamentowiec. Zbudowano go całkiem niedawno. *Ale tu muszą ciąć komary* – Zoo zaśmiał się w duchu. Z tego, co pamiętał, w Lesie Bielańskim była istna wylęgarnia komarów. Latały tam ich całe chmary. Było to zupełnie naturalne, las w tej części był pocięty małymi strumieniami i błotnistymi sadzawkami i stwarzał idealne warunki dla owadów.

Zoo zapiął bluzę i ruszył spokojnym truchtem. Zamierzał tego poranka solidnie pobiegać. Ziemia była rozmiękła, wszędzie czuć było wilgoć. Ruszył w stronę głównej drogi biegnącej przez las.

Przed wiekami była to główna droga dojazdowa do Warszawy. Zoo pamiętał to z jednej z wycieczek szkolnych. Biegł wciąż dalej, ale złapał lekką zadyszkę, więc przystanął na chwilę, rozpiął bluzę i porozciągał nogi na ławce. Nagle kątem oka dostrzegł, jak mija go wysoka dziewczyna w szarym dresie. Ciemne

włosy spięte w koński ogon skakały miarowo, dres opinał jędrne pośladki. Zoo nie dostrzegł twarzy, ale rozpoznał Klaudię. Serce zabiło mu mocniej.

– Klaudia! Poczekaj! – zawołał. Zdawało mu się, że kobieta lekko zwolniła, więc ruszył za nią. Gdy zaczął biec, zorientował się, że przyspieszyła. Też zwiększył tempo, ale nie mógł za nią nadążyć.

– Poczekaj! – krzyknął.

Kobieta skacząc zwinnie jak kozica, jednym susem zboczyła z głównej alei i zbiegła po łagodnym stoku pagórka. Biegła teraz na przełaj przez las. Zoo przystanął, by złapać oddech.

– Klaudia! Chcę pogadać!

W odpowiedzi Klaudia tylko przyspieszyła. Był pewien, że to ona. Od razu poznał ten tyłek, to, w jaki sposób biegła. To musiała być ona.

– A niech to – mruknął. – Tak chcesz się bawić, to proszę – warknął i z impetem zbiegł z pagórka. Pędził co sił jak wariat za nikiem za drzewami Klaudią. Widział, jak zgrabnie lawiruje między drzewami.

Dystans zaczął się zmniejszać. Kobieta ani razu się nie obejrzała. Zoo biegł sprintem, pozerając wprost odległość. Musiała słyszeć, że się zbliża, bo strasznie dyszał. Też przyspieszyła tempa, ale była już bardzo zmęczona. Dzieliło ich teraz jakieś dwadzieścia metrów.

W tej gonitwie dotarli do części lasu, gdzie znajdowała się tajemnicza okrągła kamienna budowla. Mech porastał kamienie i mogłoby się zdawać, że to ostatnia z wież jakiegoś starego, zagubionego w lesie zamku. Wokół jednak okropnie cuchnęło. Rotunda, mimo że zdobiona, była w istocie starym wentylatorem bielańskiego kolektora ściekowego. Żadna więc romantyczna baszta, tylko zwykłe ścieki, ale trzeba przyznać, że dawniej powstawały piękne budowle, we wszystkim była jakaś finezja, nawet w głupim wywietrzniku kanalizacji.

Kobieta była naprawdę zmęczona. Zoo dojrzał jej profil, gdy skręcała za okrągły budynek. Miał stuprocentową pewność, że to była Klaudia, te rysy poznałby wszędzie, takiej twarzy się nie zapomina.

– Klaudia, zatrzymaj się! – krzyknął, a ona zniknęła za budynkiem.

*Aha, no to bawimy się dalej* – pomyślał. Ruszył biegiem w drugą stronę rotundy. Obiegł ją dwa razy, ale uciekiniarka zniknęła. Przystanął. Wokół panowała zupełna cisza.

Obszedł powoli budynek. Nie było tu żadnych okien, jedynie małe stalowe drzwi zamknięte na głucho na zardzewiałą kłódkę. Przytknął do nich ucho i dobiegł go odległy szum wody. Klaudia po prostu rozplynęła się w powietrzu.

*To musiała być ona – pomyślał Zoo. Tylko ona potrafiła tak zniknąć. Ale czemu uciekała? Czy jestem aż tak okropny? A może to nie ona i napędziłem jakiejś innej lasce stracha. Myślała, że jakiś oszołom gania ją po całym lesie. Zresztą nieważne, uciekła i tyle.*

Zarzucił kaptur na głowę i ruszył w drogę powrotną.

– Dosyć tego biegania – westchnął. – Idę się napić.

## **Spotkanie, które się nie odbyło**

*Polska, Warszawa*

Jasmine w umówionym czasie poszła na spacer do Lasu Bielańskiego. Zabrała ze sobą Apisa. Las był raczej pusty, minęło ją zaledwie kilka osób. Krążyła po nim dobrą godzinę, ale nikt do niej nie podszedł ani jej nie zaczepił. Opiekun nie zjawił się. Pies tylko się zmęczył chodzeniem i w drodze powrotnej musiała go nieść. Wracała jednak zadowolona. *Może w końcu odzepię się ode mnie – myślała.*

Tego dnia kupiła kartkę pocztową z widokami Warszawy. Postanowiła wysłać ją do szpitala, do swoich starych przyjaciół, Rudolfa i Festera. Ogarnął ją jakiś sentymentalny nastrój. Pomyślała, że zaczynając nowe życie, wypadałoby pożegnać się ze starym. Kiedy skończyła wypisywać kartkę, przyszło jej do głowy, że jej wysyłanie to głupi pomysł i że może ona tylko zwrócić na nią uwagę, stać się jakimś tropem. Było to na wskroś logiczne rozumowanie, ale gdzieś w głębi czuła taką potrzebę. W końcu wrzuciła pocztówkę do skrzynki i zapomniała o całej sprawie.

Zrealizowała też ważną część swojego planu. Korzystając z faktu, że ciotka zajęta była przygotowaniami do wyjazdu do Leśnej Rzeki, postanowiła kupić hummera. Pojechała do komisju samochodowego, ale już bez Marka. Niby byli zaprzyjaźnieni, ale w końcu był tylko dzieckiem i mógł przez przypadek wygadać coś rodzicom. Nie chciała takich problemów. Przy okazji wypłaciła również w oddziale banku dwieście tysięcy złotych. Zamierzała uciec, teraz miała dość pieniędzy, by zacząć nowe życie.

Po zakupie hummera z duszą na ramieniu przejechała przez całe miasto. Samochód był niezwykle wygodny, ale miał dość długą drogę hamowania. Na szczęście wszyscy kierowcy ją przepuszczali i patrzyli z ciekawością na olbrzymi wóz. Wielkie, błyszczące chromami monstrum naprawdę rzucało się w oczy.

*Może źle zrobiłam, kupując go?* – biła się z myślami, jadąc przez osiedlowy parking. Postanowiła zaparkować wóz z dala od bloku ciotki, by czekał na wielką podróż w zacisznym miejscu. Nikt oprócz Jasmine nie wiedział o jego istnieniu. Mogła uciec choćby w tej chwili. Ta myśl ją pocieszała. Jadąc wąską osiedlową uliczką, pogrążała się coraz bardziej w swoich rozmyślaniach.

### **Zoo doznaje olśnienia**

*Polska, Warszawa*

Zoo umówił się z siostrą na obiad, ale obudził się z wielkim trudem o czternastej. Zadzwoił, żeby uprzedzić, że się spóźni.

Dzień wcześniej postanowił napić się Jacka Daniel'sa. Miała być tylko jedna szklaneczka na poprawę nastroju, ale w efekcie wypił pół butelki. Roztkliwił się nad swoimi niepowodzeniami. Domu w Jastarni nie kupił, a na domiar złego Klaudia zniknęła. Właśnie w tym momencie, kiedy zaczął się angażować. Po prostu rzuciła karty na stół i powiedziała „pas”. I jeszcze to dziwne spotkanie w lesie, kiedy gonił za nią jak wariat. *A może to wcale nie była ona* – zastanawiał się. Już sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Na koniec jak zwykle pojechał do kasyna i przegrał mnóstwo pieniędzy. Jednym słowem porażka goniła katastrofę.

Walcząc z potężnym kacem, wszedł do samochodu i pojechał na stare osiedle. Z trudem i krzywo zaparkował mercedesa na dwóch miejscach parkingowych. Jego żołądek kotłował się ściskany żelazną obręczą. Zoo czuł głód, ale wiedział, że jak tylko coś zje, to natychmiast będzie musiał zwymiotować. Od samego obudzenia pił tylko gorącą wodę, a zamiast śniadania zjadł kromkę chleba i połknął dwa panadole. To trochę pomogło, przynajmniej głowa przestała go boleć.

– Ten obiad to chyba kiepski pomysł – powiedział do siebie, wysiadając z wozu, i ruszył przez parking gęsto zastawiony samochodami.

Pamiętał, że kiedy był dzieckiem, to parking w połowie był pusty. Niewiele osób mogło wtedy pozwolić sobie na samochód. Ludzie cieszyli się

z drobnostek, na przykład takich, że autobus się nie spóźnił. Teraz każdy miał po dwa auta, a ludzie byli jakoś bardziej skwaszeni. Jednak posiadanie na dłuższą metę szczęścia nie daje.

Kiedy przechodził przez wąską uliczkę osiedlową, omal nie rozjechał go czarny hummer. Skacowany Zoo zapomniał się rozejrzeć i wszedł na jezdnię wprost pod jadący wóz. Stał jak wryty, chociaż powinien był odskoczyć. Hummer zaczął hamować i wpadł w poślizg. Koła zablokowały się na śniegu i wóz sunął teraz siłą bezwładności. Zoo ciągle stał jak skamieniały, a wóz uderzył go lekko i odrzucił w zaspę niczym podcięty świerk w syberyjskiej tajdze.

Potężna maszyna przejechała jeszcze kilka metrów i stanęła. Zoo już tego nie widział, bo na głowę spadła mu część śnieżnej zasy. Na moment go zamroczyło, nie wiedział, co się stało. Otworzył oczy i zobaczył wszechobecną biel. Nagle poczuł, jak ktoś mocno szarpie go za rękę. Usłyszał zdenerwowany kobiecy głos.

– Halo, żyjesz, nic ci się nie stało?

Zoo słyszał głos, ale nic nie odpowiedział, za bardzo był oszołomiony.

– Nie chciałam cię przejechać. Wszedłeś mi pod koła. *Sale con va! T'aurais pu faire attention, merde*<sup>[1]</sup>! – rozbrzmiała seria francuskich przekleństw.

Wtedy Zoo usiadł i przetarł twarz.

– *Tout va bien. Je n'ai rien*<sup>[2]</sup>. – mruknął po francusku. Zrobił to zupełnie bezwiednie. Jednak przydały się lekcje z ojcem, których w dzieciństwie tak nie lubił. Popatrzył do góry i zobaczył nachylającą się nad nim młodą blondynkę. Spojrzał jej w oczy i zdębiał.

– To ty... Ja cię znam – wyjąkał.

– To niemożliwe. – Jasmine zmieszła się. – Kilka dni temu przyleciałam z Kanady.

– Znam cię, dałbym sobie głowę uciąć, że skądś cię znam.

– Jesteś w szoku, upadłeś. Możesz ruszać nogami? Chodź, pomogę ci wstać. – Jasmine podała mu rękę.

– Oczywiście, że mogę. – Zoo wstał i nawet podskoczył. – Nic mi nie jest. – Zaśmiał się nerwowo.

– Uważaj następnym razem. – Pogroziła mu palcem, wycofując się w stronę samochodu. Wsiadła do hummera i zatrzasnęła ciężkie drzwi z małą szybą. Zbierała się już do odjazdu, chciała jak najszybciej się oddalić, tym bardziej, że za nią w wąskiej uliczce stały już trzy inne samochody i trąbiły ponagląco.



Oszołomiony Zoo nie protestował, zszedł z jezdni i patrzył, jak czarny hummer odjeżdża. Nagle zatrzymał się inny wóz. Opuściła się szyba i grubas z czerwoną twarzą zawołał:

– Widziałem, co się stało, ta wariatka pana potrąciła. Mogę być pana świadkiem.

– Nie ma problemu – mruknął Zoo i ruszył w stronę bloku.

Grubas jeszcze coś krzyczał, że nie można odpuszczać i że trzeba tępić piratów drogowych, ale Zoo już go nie słuchał. W Polsce zawsze jest dużo samozwańczych stróżów prawa.

Idąc do klatki, zastanawiał się, skąd zna tę dziewczynę. Pamiętał jej oczy, nie mogło być mowy o żadnej pomyłce. Jadąc windą na szóste piętro do Kurczaka, nagle doznał olśnienia. To była dziewczyna z jego snu, ta sama, która zawsze ostrzegała go przed potworem szukającym go w pustym mieście. Był tego pewien na sto procent.

*Ja naprawdę jestem równo popieprzony – pomyślał. Muszę przestać pić. Zapytam Kurczaka, może ona wie, gdzie ta dziewczyna mieszka. Na pewno jest z tego osiedla. Nie ma to jak wrócić na stare śmieci, wszystko można tu znaleźć.*

Wysiadając z windy, ciągle uśmiechał się do siebie.

## **Bar Binduga**

*Polska, Warszawa*

Po obiedzie okraszonym umoralniającymi tekstami Kurczaka Zoo zapytał o dziewczynę z hummera. Amelia jednak nic o niej nie wiedziała, ale obiecała mieć oko na sprawę.

– Dam ci znać, jak ją spotkam na osiedlu – przyrzekła, gdy się żegnali. – I proszę, nie pij więcej.

– Dobrze. – Zwiesił smętnie głowę i wbił wzrok w podłogę. – Spotykałem się z pewną dziewczyną – mruknął – ale jak zwykle nic z tego nie wyszło.

– Słuchaj, może ty się za bardzo na to wszystko nakręcasz? Teraz, jak mama odeszła, masz parcie na związek. Obudziłeś się jak niedźwiedź z zimowego snu i latasz w amoku. To tak nie działa. Jeśli coś ma wyjść, to samo wyjdzie na przekór wszystkiemu, pamiętaj o tym – stwierdziła Amelia. – Już wiem! – Chwyła go nagle za ramię. – Mam genialny pomysł, po prostu nic nie rób.

– Jak to mam nic nie robić? – zdziwił się Zoo. – Ostatnio mówiłaś mi, że mam działać na maksa. – Uśmiechnął się przekornie.

– Właśnie to była pomyłka – powiedziała szybko Kurczak. – Nie rób nic i przyczaj się jak pająk.

– Przyczaić się jak pająk – powtórzył machinalnie Zoo niczym członek sekty za guru.

– A kiedy jakaś muszka nóżką trąci sieć, to wtedy atakuj – dodała Kurczak.

– Dobrze. – Zoo zaśmiał się i ruszył do windy.

– Pa, wariacie – zawołała za nim siostra.

Obejrzał się i zobaczył ją, jak stoi na progu mieszkania i kiwa mu energicznie ręką na pożegnanie. Poczłł ścisk w sercu. Tak się o niego troszczyła, a on ciągle nawalał.

– Pa, wariatko – zawołał. *Muszę kupić ten dom w Jastarni* – pomyślał w windzie.

Kiedy wyszedł z bloku, skierował się w głąb osiedla. Szedł znanym z dzieciństwa chodnikiem. Dotarł do niewielkiego starego domu, który ostał się w środku osiedla i gdzie urządzono biuro administracji. Obok znajdował się mały bar o nazwie Binduga. Lokal zajmował dwudziestometrową salę. Właśnie tam Zoo wypił z ojcem swoje pierwsze w życiu piwo i był na pierwszej randce z dziewczyną.

Teraz usiadł przy niewielkim stoliku i zamówił piwo na kaca. Siedząc nad kuflem, zaczął bezwiednie gapić się w umieszczony nad barem telewizor. Popijając zimne piwo, wspominał stare czasy. Bar Binduga przez te lata nie zmienił się w żaden sposób. W kącie siedział zasuszony dziadek, sącząc z flegmą rozgazowane piwo. Za barem stała nawet ta sama kelnerka, starsza pani z trwałą ondulacją. Nie poznała go, ale Zoo ją pamiętał. Miał wrażenie, że znowu jest w liceum. W tym miejscu czas niewątpliwie się zatrzymał.

Zoo popijał piwo i coraz bardziej pogrążał się w rozmyślaniach. W sali mieściło się zaledwie siedem stolików. Wszystkie były ustawione jak dawniej, nie zmieniono niczego. Ściany były w kolorze oliwkowym, teraz tylko bardziej pociemniałym. Zoo wybrał stolik, przy którym siedział na pierwszej randce. Teraz przypomniał sobie nawet, o czym rozmawiali z tamtą dziewczyną. Jego myśli bezwiednie powędrowały do Klaudii, był ciekaw, co teraz robi. *Z pewnością dobrze się bawi* – stwierdził w duchu. Klaudia była żywiołem, a planowanie związku z nią – głupotą. To tak jakby ktoś chciał zamknąć

huragan w słoiku i postawić na półce w spiżarni. Śmieszne mrzonki naiwniaka. Teraz docierało do niego, że przynajmniej czegoś się od niej nauczył. Faktycznie, była trochę jego lekarstwem.

*A gdyby nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich na przykład ta laska z hummera? Od razu bym się z nią umówił – pomyślał. Nie można wiecznie siedzieć w kącie i płakać nad rozlanym mlekiem.*

Piwo wygazowało się nadzwyczaj szybko. Zoo zostawił połowę, a kiedy wyszedł na dwór, zaczął padać śnieg. Płatki wirowały w świetle latarni. Chciał już wrócić do domu, ale postanowił odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Wsunął rękę w kieszenie kurtki i ruszył w stronę rozlewiska na Kępie Potockiej. Ta nieistotna z pozoru decyzja miała wszystko zmienić.

## **Kępa Potocka**

*Polska, Warszawa*

Zoo zmierzał w stronę podłużnego jeziora, które było starorzeczem Wisły. Mieszkańcy Żoliborza nazywali je potocznie Kanałkiem. Szedł teraz wzdłuż trasy Armii Krajowej. Docierał do niego przytłumiony szum pędzących samochodów.

Pamiętał, jak przed laty budowano tę drogę. To było naprawdę dawno temu. Bawił się na tej budowie wraz z innymi dziećmi. Skakali po wykopach jak wariaci. Kiedy robotnicy wylali asfalt, dzieciaki jeździły tam na rowerach jak szalone. Dopiero potem trasę dopuszczono do ruchu i stała się tym, czym była obecnie, czyli rzeką pędzących samochodów. We wspomnieniach Zoo była zupełnie inna.

Czasami Zoo odnosił wrażenie, że w jego głowie jest zupełnie inny świat. Naprawdę dziwne uczucie. Przeszedł po pasach na ulicy Gwiazdzistej i ruszył przez wąski łukowaty mostek przerzucony nad Kanałkiem. Po drugiej stronie ciągnęły się ogródki działkowe. Pisał o nich Marek Hłasko, który lubił włóczyć się po Marymoncie.

Akcja opowiadania *Pierwszy krok w chmurach* rozgrywa się na tych właśnie działkach. Zoo wiedział o tym, bo mama kiedyś wspominała, że w młodości wynajmowali z ojcem mieszkanie u matki pisarza, wysokiej, ponurej kobiety, u której uśmiech był czymś w rodzaju yeti – wszyscy o nim słyszeli, ale nikt go nie widział. Mama lubiła opowiadania Hłaski i dlatego dokładnie wypytywała matkę pisarza o różne lokalizacje. Kobieta, o ile była w lepszym nastroju,

chętnie opowiadała. Zoo nasłuchał się tych historii, ale zapamiętał tylko tę jedną o działkach. Resztę zapomniał. Więc może nigdy tego nie było? Teraz Zoo już o nic nie mógł zapytać.

Skręcił w prawo i ruszył wąskim chodnikiem. Po jednej stronie rozciągał się Kanałek, a po drugiej wysoka siatka oddzielająca ogródki działkowe. Ogródki działkowe to polski pomysł. Zoo był kiedyś na wycieczce szkolnej z przewodnikiem i poznał bogatą historię działkowców. Pisał o tym nawet referat w podstawówce. Pamiętał wszystkie szczegóły. Pierwsze ogródki działkowe powstały w Grudziądzu w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku pod szumną nazwą „Kąpiele słoneczne” i istnieją do dziś. Potem fala społecznych towarzystw zalała cały kraj i dosłownie wszędzie powstały działki. Małe spłachetki terenów zielonych w centrach miast, na których ciasno stłoczono drewniane domki. A wszystko poprzedzielane płótkami wysokimi na pół metra, które można przeskoczyć jednym susem. Zdesperowane mieszcuchy łaknące przyrody, nie zważając na spaliny docierające z okolicznych tras, uprawiają marchewki, pietruszki, ogórki i narzekają, pijąc kawę na składanych krzesłach turystycznych, że „jakoś słabe te plony w tym roku”. U polskiego emeryta zawsze to, co było kiedyś, było lepsze, smakowitsze i dojrzałe. Teraźniejszość do pięt nie dorasta przeszłości. A może wszyscy emeryci tak mają? Zoo często się nad tym zastanawiał. *Ciekawe, jakim ja będę emerytem. Zoo, emeryt hodujący na działkach marychę i w przerwach popijający kawę ze szklanki w koszyczku.* Uśmiechnął się do swoich myśli.

Gdy ogródki się skończyły, daleko między drzewami na rozległej polanie zamajaczyły światła baru Kępa Potocka, najlepszej piwiarni na Żoliborzu. Kiedyś było ich tu całkiem sporo, została tylko ta, jako tradycja picia piwa w otoczeniu zieleni. Zieleni i piwo – to lubią warszawiacy.

Zoo przeszedł przez zadaszony taras i pchnął drzwi. Znalazł się w gwarnej sali, gdzie buzował kominek, a za barem krzątała się pochmurna barmanka o przydomku Pyza. Ten, kto potrafiłby wywołać u niej uśmiech, powinien natychmiast dostać Nobla. Nic takiego jednak nigdy nie nastąpiło. Pyza z biegiem lat stawała się coraz bardziej okrągła i coraz bardziej ponura. Przemieszczała się po salach baru z zawrotną prędkością śnieżnej kuli. Kiedy nadciągała, klienci umykali w popłochu na bok. Gdy ktoś nieuważny zatarasował jej drogę, Pyza kwitowała to zawsze krótko: „No przepraszam, czy mogę w końcu przejść?”.

Zoo oczywiście pamiętał Pyzę. Bez niej bar Kępa Potocka nie byłby tym samym miejscem. W każdym innym lokalu zatrudniono by ładną, uśmiechniętą barmankę, ale nie na Kępie. Pyza pamiętała jeszcze mroczne czasy piwnych ogródków, gdy złążyły się tu przeróżne szemrane typy. W tym klimacie nie każdy potrafił się odnaleźć. Ona jednak dawała radę, pływała na powierzchni niczym wielka boja ratunkowa. Potrafiła okiełznać pełną piwiarnię, zupełnie jakby zajmowała się grupą przedszkolaków.

Niedaleko baru siedzieli szczupła właścicielka i jej wąsaty mąż z nieodłącznym yorkiem na ręku. Jak zwykle rozmawiali z jakimś znajomym, który coś zawzięcie opowiadał. Słuchali go obydwójce, wodząc oczami po sali zgodnie z maksymą, że pańskie oko konia tuczy.

Przy wejściu stało całe mnóstwo automatów z kulkami, gadżetami, gumami i lizakami. Wszystkie słodyczne wepchnięto do szklanych baniaków. Można było je kupić za drobne i skutecznie uciszyć lamentsy nawet najbardziej rozkapryszonemu dziecku. Zoo cieszył się w takich momentach, że nie jest ojcem i że nikogo nie musi uciszać. Twierdził, że marnie by mu to szło. Dzieci jakoś zawsze potrafiły go przechytryć i ilekroć był z siostrzeńcami na Kępie Potockiej, wydawał fortunę na słodczyce z automatów, skaczące i grające piłeczki i inne wymysły cwanych Chińczyków. W każdej piłce zamknięty był kolorowy płyn. Zoo wymyślił teorię, że Państwo Środka opracowało genialną metodę recyklingu odpadów radioaktywnych. Wlewa je do tych piłeczek, a potem hulaj dusza, zabawa na całego. Tak, Chińczycy są mistrzami w produkowaniu niechcianych przedmiotów.

Za automatami stały rzędem metalowe miski i wisiał duży plakat z napisem „Woda dla piesków, przyprowadź swojego czworonoga”. Tak, Kępa była jak Arka Noego, przygarniała wszystkich. Ściany baru były obite drewnem. Przywodziło to na myśl bar na Alasce. W głębi stały stoły z bilardem, a toalety były ciasne i cuchnące. Ten stan rzeczy próbowano zmienić poprzez kartki z zabawnymi komunikatami typu „Podejdź bliżej, on nie jest tak długi, jak myślisz” albo „Nie lej, gościu, na kafelki, trafisz w sedes, będziesz wielki!”. Autorką tych sentencji była oczywiście barmanka Pyza, która zwykła mawiać: „Pub to pub, a nie perfumeria”. Być może w ten sposób tłumaczyła szefostwu pewne niedociągnięcia sanitarne. Przy toaletach wisiała jeszcze kartka ze złowrogim komunikatem „WC tylko dla klientów!!!”. Kępa miała swój jedyny niepowtarzalny klimat.

– Poproszę piwo. – Zoo oparł się o bar.

– To wiem – mruknęła Pyza. – Tylko może jeszcze pan mi powie, które. – Pulchną dłonią wskazała na rząd kranów.

– Poproszę Paulanera.

– Niech będzie – mruknęła przyjaźnie. – Coś do jedzenia? – Zmarszczyła troskliwie brwi.

– Jakieś orzeszki.

Pyza bez słowa podała mu puszkę. Zoo usiadł przy stoliku z widokiem na bilard. Dwie dziewczyny, ani brzydkie, ani ładne, usiłowały grać, ale jakoś marnie im to szło. Notorycznie wbijały sobie nawzajem bile, niektóre wypadały im ze stołu. Wówczas napotykały na karcący wzrok Pyzy, która wszystko miała na oku. Mogłoby się wydawać, że będzie to zwykły wieczór spędzony w barze przy piwie, ale stało się coś nieoczekiwanego, co mogło się zdarzyć tylko w najdziwniejszym ze snów.

### **Zoo podejmuje ryzykowną grę**

*Polska, Warszawa*

Nagle drzwi otworzyły się i do środka weszła dziewczyna z hummera. Zoo od razu ją poznał. Niespiesznie podeszła do baru. Pyza spiorunowała ją wzrokiem, który zdawał się krzyknąć: „Dajcie mi siekierę, to od razu odrąbie jej ten blond łeb, nim zdąży powiedzieć choćby słowo”. Jednak nic takiego się nie wydarzyło. Dziewczyna zamówiła piwo. Pyza naląła je z obrażoną miną, a Zoo siedział jak zamurowany. *Życie to jednak najprawdziwszy sen* – pomyślał.

Gdy dziewczyna zabrała szklankę i obróciła się, złapała jego wzrok.

– Śledzisz mnie? – zmarszczyła brwi.

– Gdzie twój samochód? – Zoo uśmiechnął się krzywo.

– Spokojnie, został na parkingu, na razie jesteś bezpieczny. Co tu robisz? – zapytała.

– A tak wpadłem opić to, że żyję. Przysiądziesz się? Mam na imię Zoo. – Wyciągnął do niej rękę.

– A nie będziesz przynudzał?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – W końcu walnąłem głową o beton. Jasmine zdjęła kurtkę i usiadła naprzeciwko Zoo.

– To czym się zajmujesz, jak nie włazisz pod mój wóz? – zapytała.

- Jestem muzykiem.
- Mam faceta w Kanadzie. – Wydęła usta.
- Cieszę się – odparł Zoo – ale dlaczego mi to mówisz?
- Po prostu uprzedzam twoje pytanie – wyjaśniła.
- Następne pytanie miało być inne. – Zaśmiała się.
- A więc słucham.
- Co tu robisz?

– Przyjechałam do ciotki na święta. I powiem ci w sekrecie, że ona bardzo mnie pilnuje. – Zastłoniła ręką usta w teatralnym geście. – Ciągle mam wrażenie, że zaraz tu wparuje niczym Rambo. Ledwo zdołałam się wyrwać. Ciągle siedzę w jej mieszkaniu i słucham tych domowych bzdur o praniach, obiadach i tym podobnych sprawach. A tobie pewnie znudziło się już siedzenie z żoną, przyznaj się?

- Nie mam żony.
- Jesteś gejem?
- Kiedyś byłem. – Zoo zamyślił się. – W podstawówce.
- A to dobre. – Parsknęła śmiechem. – Opowiedz mi o tym.

– Moja siostra zawsze miała krótko obcięte włosy – wyjaśnił. – Kiedyś pocałowałem ją w policzek, a koledzy ze szkoły myśleli, że ona jest chłopakiem. Nieważne – mruknął. – Wszystko kryją mroki PRL-u.

- Przepraszam, czego? – zdziwiła się.
- No, komunizmu – wyjaśnił.

– Okay, rozumiem. Czasem mam wrażenie, że cała historia Polski to zabory, wojna z Hitlerem i komunizm.

– Nie wiem, nie jestem znawcą historii. – Wziął łyk piwa. – Ale może coś w tym jest. – Zamyślił się. – A dlaczego twój chłopak został w Kanadzie?

- Studiuje – odparła z przeciągłym uśmiechem.

– A zresztą to i tak nie ma znaczenia. Nie ma takiego wagonu, którego nie da się odczepić – stwierdził Zoo z szelmowskim uśmieszkiem. – Za spotkanie. – Uniósł szklanę.

Jasmine stuknęła się z nim.

– Przepraszam, może to głupie, ale odnoszę wrażenie, że skądś cię znam – powiedział nagle.

- Byłeś kiedyś w Kanadzie? – Uniósł brew.
- Nie.

– W takim razie po prostu tylko ci się podobam.  
– Mówię poważnie, naprawdę znam cię – upierał się.  
– Głupi – parsknęła. – Powinieneś powiedzieć „Tak, oczywiście, podobasz mi się”. Pokaż mi ten tatuaż. – Dotknęła palcem jego przedramienia. – Co to za cyfry? – Wskazała paznokciem.

- To ważne daty z mojego życia – wyjaśnił.
- Dobrze, opowiesz mi o tym na następnej randce.
- To będzie kolejna randka? – zdziwił się.
- Będzie, o ile wygrasz ze mną w bilard. – Zrobiła poważną minę.
- A jak przegram?
- To się więcej nie spotkamy. – Uśmiechnęła się zawadiacko.
- Niech będzie – odparł.

Akurat zwolnił się stół do bilarda, więc ruszyli w jego stronę. Zoo ułożył bile w trójkącie.

– Zaczynaj.

Jasmine wprawnym ruchem rozbiła bile. Jedna z pełnych wpadła do łuzy. Treningi przy stole bilardowym w świetlicy szpitala psychiatrycznego nie poszły na marne.

– Grasz połówkami – zauważyła. Przy kolejnym ruchu wbiła następną bilę, potem kolejną.

– Hej, poczekaj. – Zoo zaśmiał się. – Gdzie się tak spieszysz?

Gdy czwarta bila uderzyła o bandę, Jasmine nagle posmutniała i położyła kij na stole.

– Co robisz? Teraz moja kolej – zdziwił się.

– Przykro mi, ale muszę już iść.

– Ale dlaczego?

– Po prostu muszę. – Rozłożyła ręce. – Uznajmy, że wygrałam. W końcu ty nie wbiłeś niczego.

– Skąd wiesz, może jestem mistrzem bilarda?

– Jakoś nie wyglądasz – parsknęła. – Zresztą nie powinieneś się ze mną spotykać, nic o mnie nie wiesz. Mogę być wariatką, antychrystem, morderczynią.

– To co, jutro o dwudziestej dogrywka? – zaproponował Zoo, wskazując na stół.

– *Oui*<sup>[3]</sup>, jeśli wiesz, co to znaczy.



– *Bien sûr*<sup>[4]</sup>, będę na czas – odparł.

– Tylko nie nawal. – Dotknęła palcem jego piersi – Nienawidzę, jak ktoś się spóźnia. Zresztą naprawdę nie wiem, po co to robisz. I tak niedługo wracam do Kanady.

– Mówiłaś, że przyjechałaś tu studiować.

– Mówiłam, że przyjechałam odwiedzić ciotkę – poprawiła go. – Do jutra. – Podeszła do stolika i narzuciła na siebie kurtkę.

– Poczekaj, jak masz na imię? – zapytał.

– Jasmine – rzuciła krótko i wyszła.

Zoo stał z kijem w ręku pośrodku sali. Wszyscy spojrzeli na niego, wyglądało, jakby się pokłócili z Jasmine. Na stole zostało niedopite piwo dziewczyny.

Gdy wyszedł na dwór, nie było po niej ani śladu. Zapalił papierosa i poczuł się naprawdę dobrze. Spojrzał w górę i uśmiechnął się lekko, wydychając dym. Był tak oszołomiony spotkaniem, jakby ktoś uderzył go obuchem w głowę. Nawet nie pamiętał, jak dziewczyna wyglądała, pamiętał tylko jej oczy. W ogóle ta rozmowa była jakaś nierealna, jakby się znali od lat i tylko udawali, że to nieprawda, odgrywając pastisz pierwszej randki. Miał wrażenie, że zna te przekomarzenia, te rozmowy. Zamówił Ubera i powoli ruszył w stronę ulicy Gwiazdzistej, zostawiając za sobą ciemny park i pub błyskający światłami niczym okręt żeglujący przez mrok.

## ROZDZIAŁ 36

*Obawiam się Greków, nawet gdy niosą dary.*

Wergiliusz, *Eneida*

### **Harry i dalsze perypetie z piłką**

*Kanada, Montreal*

Po incydencie z piłką Harry zamieszkał z Sally w hotelu na obrzeżach Montrealu. Piłkę z krwią przekazał Stevenowi, a ten z kolei oddał ją swojemu koledze z laboratorium. Gdy wyniki były gotowe, Steven zadzwonił do Harry'ego.

– To nic ważnego, na piłce jest krew zwierzęcia – powiedział grobowym głosem. Zaraz jednak wpadł w swój sarkastyczny ton. – A może u sąsiadów załęgł się sataniści? Radzę ci sprawdzić, czy koty nie giną w okolicy. – Zaśmiał się.

– Przestań, nic się nie załęgło – odparł zamyślony Harry. – A koty mają się doskonale. A co z klamką, którą dałem ci do sprawdzenia?

– Jaką klamką? – zdziwił się Steven.

– Tą ze szpitala.

– Pamiętam doskonale – odpowiedział rozbawiony Steven. – Nic nie znaleziono, była wytarta z odcisków palców. Myślałem, że może chociaż twoje znajdą. – W słuchawce znowu rozległ się śmiech.

– Strasznie jesteś dzisiaj zabawny – stwierdził kwaśno Harry.

– A tak jakoś – odparł Steven. – Ale za to ty powinienes mieć lepszy nastrój. Moi szpiedzy mi donieśli, że się z kimś spotykasz. Jakaś kelnerka, miałeś mi o niej opowiedzieć.

*O Boże, Maria* – pomyślał Harry. Miał się do niej odezwać, ale po prostu zapomniał. Związek z Sally zupełnie go pochłonał. *Może już lepiej nie będę do niej dzwonił* – stwierdził w duchu. *Bo co jej niby powiem?*

– Halo, jesteś tam? – Z zadumy wyrwał go zniecierpliwiony głos Stevena.

– Jestem, ale muszę już kończyć. Dziękuję ci za pomoc, stary. Oczywiście umówimy się na drinka, ale na razie porządkuję dom.

Steven jeszcze żartował, ale Harry już go nie słuchał. Kiedy odłożył telefon i pomyślał o Marii, poczuł się jak ostatnia świnia. A piłeczka była wyraźnym ostrzeżeniem, preludium do tego, co może się wydarzyć. Nie zamierzał jednak wcale rezygnować ze sprawy.

## **Nocne spotkanie Jasmine**

*Polska, Warszawa*

Gdy tylko Jasmine dowiedziała się o wyjeździe w góry, omal nie podskoczyła z radości. Chciała wywinąć się ze spotkania z opiekunem. Planowała ucieczkę, dlatego kupiła hummera. Stwierdziła jednak, że gdy nagle zniknie, ciotka szybko zgłosi to na policję. Hummer wzbudzał zbyt duże zainteresowanie, obawiała się więc, że szybko ją złapią. Postanowiła poczekać z realizacją swoich planów i ruszyć w podróż z rodziną. Miała nadzieję, że wtedy pojawi się nowa szansa na ucieczkę. Deprymowała ją tylko decyzja ciotki, że na wyjazd nie zabiorą telefonów. Niedawno kupiła nowego smartfona, o którym wszyscy wiedzieli. Nie lubiła takich ograniczeń, pachniało jej to psychiatrykiem. Równo zastane łóżka i pełno obostrzeń. Nic jednak nie powiedziała. Przyjęła taktykę dwudziestu czterech znaków Deng Xiaopinga, która z Chin uczyniła potęgę. Nie podnosiła głowy; wzrastała w ciszy, nie zwracając niczyjej uwagi.

Po ogłoszeniu planu podróży kamperem do Leśnej Rzeki Marta z miejsca przystąpiła do jego realizacji. Zarządziła wielkie pakowanie. W całym domu stały rozstawione walizki i torby, rzeczy fruwały na lewo i prawo. Marta wstawiła chyba ze sto prań z zamiarem powieszenia ich na kaloryferach. Wszystko musiało wyschnąć na rano. Wyprawa miała się rozpocząć następnego dnia w samo południe. Mikołaj miał pojechać Uberem do wypożyczalni, by odebrać kampera. Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Ponieważ Marta rozpędziła się i wyprąta nawet pościel, postanowiła tę część prania powiesić w suszarni. Na ostatnim, dwunastym piętrze bloku znajdowały się pomieszczenia techniczne, a także schowki dla lokatorów. Za niewielką opłatą można było korzystać również z suszarni. Marta posłała Mikołaja do dozorczyń,

która mieszkała na parterze, by wypożyczyć właśnie jedno z takich pomieszczeń. Na nic się zdały protesty, że jest późno i że dozorczyńni pewnie już śpi.

– Zwariowałaś, kto w dzisiejszych czasach śpi o dwudziestej drugiej? – Marta roześmiała się. – Na pewno ogląda filmy na Netfliksie. Odbierzesz tylko klucz i po sprawie. Zresztą dozorczyńni cię uwielbia.

– Ale nie będę musiał wieszać prania? – mruknął Mikołaj.

– Pewnie, że nie, Jasmine z Markiem pójdą, prawda?

– Jasne, ciociu – odparła Jasmine z uśmiechem.

– Sam widzisz, młodzież chętna i pomocna. Leć więc szybko i się nie ociągaj.

Mikołaj wyszedł, sapiąc głośno niczym tur. Wrócił po dziesięciu minutach z wystużonym kluczem pamiętającym czasy sekretarza Gierka. Jak tylko wszedł do mieszkania, Marek i Jasmine, którzy czekali już w holu z miskami, pospieszyli na górę rozwiesić pranie. Wjechali windą na jedenaste piętro, a stamtąd schodami weszli na dwunaste, gdzie znajdowało się poddasze bloku.

Ciągnął się tu długi, mroczny korytarz. Gdzieś daleko migotało błędne światełko oznaczające wyjście przeciwpożarowe.

– Strasznie tu – stwierdziła Jasmine.

Marek natychmiast zapalił przełącznik czasowy i korytarz rozświetlił się, ukazując mnóstwo drzwi do schowków i suszarni.

– Chodźmy szybko, bo światło zaraz zgaśnie – poinstruował ją.

Ruszyli w głąb korytarza, który zakręcał niczym wąż, omijając pomieszczenia techniczne wind. Odnaleźli drzwi z numerem piętnastym. Jasmine szybko je otworzyła. Kiedy weszli do środka, przekręciła klucz od wewnątrz.

– Tu nie jest zbyt przyjaźnie – powiedziała. – Teraz nikt nie wejdzie.

– Też zawsze tak robimy z mamą – odparł Marek.

Suszarnia była niewielkim, bardzo ciepłym pomieszczeniem. Od ściany do ściany rozciągnięto gęsto sznurki na pranie. Słychać było, jak za oknami świszcz zimowy wiatr. Jasmine zdążyła powiesić zaledwie jedno prześcieradło, gdy wtem rozległo się pukanie do drzwi.

– Co to? – zapytał z przestraszeniem Marek.

– Cicho. – Dziewczyna położyła palec na ustach.

Pukanie powtórzyło się. Na korytarzu wyłączył się przełącznik automatyczny i panowały tam zupełne ciemności. W suszarni paliło się światło

i niestety było doskonale widoczne na korytarzu. Przenikało przez szpary w drzwiach. Ten, kto pukał, dobrze wiedział o ich obecności. Jasmine ruszyła w stronę drzwi.

– Co robisz? – bąknął przestraszony Marek.

– Jak to co? Otwieram – odparła. – Przecież ktoś puka.

– Nie rób tego, mam telefon – szepnął chłopak. – Zadzwońię po ojca.

– Przestań. – Jasmine skrzywiła się. – Sami damy sobie radę. – Przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi. Na progu stała wysoka, ciemna postać.

## **Agent Alex**

*Kanada, Montreal*

Alex Symond nie pracował już od dwóch lat w policji, przejęła go Canadian Security Intelligence Service. Dostał awans i zajmował się praniem brudnych pieniędzy. To była naprawdę ciekawa praca, trochę z pogranicza filmów akcji, w sam raz coś dla Alexa. Wysportowany, ciągle w ruchu, stale żył na walizkach rzucany od jednej sprawy do drugiej. Nigdzie nie mógł zagrzać miejsca. Ale nie dbał o to. Po rozstaniu z Martą nie liczył już na poważny związek, zupełnie jakby został obleczony grubą skorupą. Miewał tylko przelotne randki; niby czegoś szukał, ale tak naprawdę to zagubił się w tym szukaniu. Nie potrafił się zatrzymać i tak oto szukanie stało się celem samym w sobie.

Tego dnia, gdy sprawa trafiła na jego biurko, poszedł do barku zrobić kawę. Nikogo nie spotkał, było już późno, przedświąteczny czas wymiótł wszystkich z wydziału. Jeszcze godzinę temu wszędzie panował ruch, ludzie biegali z papierami, a teraz boksy stały puste. Gdzieś dalej na odległym stanowisku pod oknem ktoś jeszcze pracował. Alex widział jednak, że już składa papiery i szykuje się do wyjścia. *Dlaczego ta sprawa musiała trafić akurat do mnie?* – zachodził w głowę Alex. Może dlatego, że był singlem i oczywiste było, że może pracować nawet w święta.

Alex postawił kubek na stole i otworzył teczkę. Znajdowało się tam dossier atrakcyjnej blondynki oskarżonej kiedyś o zabójstwo rodziców. Dalej informacja o zeznaniach jej sąsiadki. Kilka dni wcześniej kobieta alarmowała, że blondynka była w domu w asyście jakiejś innej kobiety i przekonywała, że Jasmine na pewno znowu kogoś zabije.

Alex spojrzał na jej fotografię i pomyślał:

*Ciekawe, co by było, gdybym taką dziewczynę przyprowadził do domu i przedstawił rodzicom. Ojciec z pewnością poklepałby mnie po plecach i pogratulował, ale mama na bank byłaby przeciw. Matki nie lubią takich kobiet.*

Dziewczyna ze zdjęcia była naprawdę atrakcyjna.

*Podobno zabiła całą rodzinę. Wprost idealna kandydatka na żonę – Alex zaśmiał się pod nosem do swoich myśli. Jednak to nie w porządku, że ta sprawa trafiła do mnie tuż przed świętami. To, że nie mam rodziny, nie znaczy, że nie chcę posiedzieć przy choince ze szklaneczką czegoś mocniejszego. Święta to jednak wielka dyskryminacja – myślał, wciąż przeglądając dossier. No i ten sylwester. Święta jeszcze można jakoś opędzić, ale sylwester to już samotność na całego. Teraz jednak nie będę samotny, mam sprawę, no i ciebie.*

Alex spojrzął na zdjęcie Jasmine. Dziewczyna niedawno uzyskała pełnoletność. Z akt wynikało, że pojechała odwiedzić rodzinę w Polsce. Widniały tam adres i nazwisko jej ciotki. Zgodę na wyjazd podpisała adwokatka, która obecnie pełniła rolę prawnej opiekunki Jasmine.

System bankowy automatycznie podał sprawę jako nadzwyczaj pilną do sprawdzenia, gdyż dziewczyna po przybyciu do Polski założyła konto, na które wpłaciła drobną kwotę. Kilka godzin później na rachunek wpłynęło dwadzieścia milionów złotych. Pochodziły ze sprzedaży bitcoinów. To wszystko na kilometr pachniało praniem brudnych pieniędzy, a może nawet terroryzmem. Dziewczyna prawdopodobnie była tylko podstawiona, ale trzeba było to sprawdzić. Najpewniej wokół niej trup już ścielił się gęsto. Kiedy miała trzynaście lat, wymordowała całą rodzinę. Podobno raz obudzony instynkt zabijania nigdy już nie chce zasnąć. „Kto raz posmakuje krwi, ciągle czuje ją na wargach”, tak mawiał kolega Alexa pracujący w policji kryminalnej.

Zadaniem Alexa było wyjaśnienie dziwnego przelewu, sprowadzenie dziewczyny do Kanady i postawienie jej przed obliczem wymiaru sprawiedliwości. Jak się okazuje, można zabić i jakoś się z tego wykręcić, ale w dzisiejszym zwariowanym świecie przelanie kilku milionów dolarów nie pozostanie bez echa. Gdyby nie ta transakcja, to pewnie słuch by po dziewczynie zaginął.

Na końcu teczki znajdował się telefon do rodziny zapisany na żółtej kartce z notesu. Ktoś więc zajmował się już tą sprawą, tylko w ostatnim momencie podrzucił ją Symondowi.

– No nic – westchnął Alex – trzeba się za to zabrać.

Otworzył Google i wpisał zapytanie o aktualną godzinę w Polsce. U niego była dwudziesta pierwsza, w Polsce trzecia w nocy. Nie było sensu dzwonić i budzić rodziny.

– O ile jeszcze żyją – mruknął do siebie Alex z krzywym uśmiechem.

Na końcu teczki była rezerwacja biletu lotniczego na jego nazwisko na pojutrze.

*Nastawię budzik na drugą – pomyślał. Zadzwonię wywoławczo, a jakbym nikogo nie zastał, to jutro o dziesiątej, wtedy będzie tam godzina szesnasta.*

Znowu spojrzął na stronę ze zdjęciem przypiętym dużym spinaczem.

– No, kotku, nadciągam, by przyciąć ci pazury. Trafisz tam, gdzie twoje miejsce, czyli do klatki.

Spakował rzeczy i wyszedł. Wstąpił jeszcze do Baru u Jacka. Miał nadzieję, że spotka jakiegoś kolegę, ale nie było nikogo z wydziału, sami obcy ludzie. Zamówił gin z tonikiem. Sączył drinka i siedząc przy barze, spoglądał na ulicę. Wozy sunęły powoli, a śnieg padał wielkimi płatami. Przechodnie z postawionymi kołnierzami mknęli przed siebie w zawrotnym tempie.

– Kogo ja widzę? – Usłyszał nagle za plecami.

Obrócił się na wysokim stołku i zobaczył Malcolma, starszego kolegę z wydziału.

Malcolm otrzepał buty ze śniegu i dosiadł się.

– Dla mnie to samo. – Wskazał barmanowi szklanekę Symonda. – Podobno będziesz fruwał?

– Tak jakoś wyszło – mruknął Alex.

– Dokąd?

– Do Polski.

W odpowiedzi Malcolm gwizdnął przeciągle.

– To daleko i podobno zimnej niż u nas. Kogo masz sprowadzić?

– A taką jedną – odparł wymijająco Alex.

– No, pokaż. – Malcolm skinął palcem.

Alex wyjął teczkę i dyskretnie pokazał zdjęcie.

– Ale ci się trafiło, ona może być ideałem niejednego faceta.

– Daj spokój, to tylko sprawa. – Alex westchnął.

– Nigdy nie myślałeś, żeby zgarnąć taką dziewczynę? – Malcolm oddał mu fotografię. – Razem z pieniędzmi, które zdefraudowała, i fru, polecieć gdzieś?

– Żebyś musiał mnie później szukać? Nie, dziękuję. – Symond machnął ręką. Nie przepadał za rubasznymi żartami Malcolma, który od trzydziestu lat wiodł spokojne życie z tą samą żoną, ale innym niewybrednie sugerował skoki w bok, romanse z co atrakcyjniejszymi poszukiwanymi i tym podobne. Może to był zew krwi?

– Co ona tam przeskrobała?

– Tylko skromne dwadzieścia milionów polskich złotych.

– To ile to w naszych dolarach?

– Sześć milionów z hakiem – wyjaśnił Alex.

– To jak córka milionera. Ty to lepiej przemyśl. – Malcolm postukał się palcem w skroń. – Zresztą widzę, że już nawet sobie wszystko policzyłeś.

– Daj spokój, mam nadzieję, że uwinę się z tym szybko i nie spędzę świąt na lotnisku.

– Oczywiście żartuję. – Malcolm poklepał Alexa po plecach. – Wiem, że ty jesteś porządny facet i dzięki temu ta nasza firma prosperuje jako tako.

– Wiem, wiem. – Alex pokiwał głową. – Dlatego pewnie dostaję takie sprawy.

– Dostajesz, bo wszyscy wiedzą, że nie ulegniesz pokusie. Gdybym ja miał się tym zająć, to tyle byście mnie tu widzieli.

– Tak, jasne, a twoja rodzina?

– Muszę ci powiedzieć w sekrecie – Malcolm nachylił się w stronę Alexa – że po trzydziestu latach ma się dosyć absolutnie każdej rodziny. Jedź, zabaw się. Może spędzisz tam sylwestra w towarzystwie tej uroczej damy? – Puścił do niego oko.

– Czyli to twoja sprawka? – wypalił Alex.

– Nic nie potwierdzam, nic nie zaprzeczam. – Malcolm uśmiechnął się szeroko.

– Słuchaj, możesz mi powiedzieć, kiedy przestanę być świeżakiem i skończycie ze zwalaniem na mnie czarnej roboty?

– Załatw to, a obiecuję, że to będzie ostatnia taka sprawa. O, przyszedł mój gość. – Malcolm wskazał na mężczyznę o grobowym wyrazie twarzy. – Dobrej podróży. – Uścisnął dłoń Symondowi.

– Dobrych świąt – odciął się Alex.

Malcolm odszedł ze znajomym, a jego rubaszny śmiech zabrzmiał w drugiej części sali.



*Ale energię ma niezłą – pomyślał Alex. Zawsze wszędzie go pełno. Może wcale nie żartował i sam wziąłby się za tę dziewczynę?*

Dopił drinka i założył płaszcz. Dokładnie zapiął wszystkie guziki i poprawił szalik. Na ulicy owionął go mroźny wiatr.

*Ciekawe, czy w Polsce rzeczywiście jest zimniej niż tu – pomyślał.*

## **Za drzwiami suszarni**

*Polska, Warszawa*

Za drzwiami suszarni stała Klaudia ubrana w czarną skórzaną kurtkę i bejsbolówkę z daszkiem. Uczyniła krok i weszła do środka, stając w pełnym świetle. Mimo że była już noc, na nosie miała przeciwśloneczne okulary rodem z *Top Gun*. Kpiącym uśmiechem obrzuciła Jasmine i Marka, który spoglądał na nią bojaźliwie zza wiszącego prania.

– Przepraszam bardzo, że przeszkadzam, ale zgubiłam się. Zgasto światło i usłyszałam głosy. Pozwoliłam sobie zapukać – powiedziała głosem przestodżonym do granic absurdu. Idiota by się nie zorientował, że kpi. – Nie wiem, gdzie są windy. Czy nie zechciałyby pani mi pomóc?

– Windy są tam, wystarczy zejść schodami jedno piętro. – Marek wskazał stronę, z której przyszli z Jasmine.

– Chłopcze, do ciebie się nie zwracam. – Klaudia zmroziła go lodowatym głosem. – Może pani zechce mi pokazać drogę do windy? – Spojrzała wymownie na Jasmine. – Będę bardzo wdzięczna. Nie jest przyjemnie chodzić samej w takich ciemnościach. – Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Oczywiście, nie ma problemu. Marek, skończ wieszac pranie zaraz do ciebie wrócę. – Jasmine wyszła na korytarz.

– Tak, ty tu lepiej zostań! – warknęła Klaudia i zatrzasnęła drzwi od suszarni. – Nieznośny gnojek. – Wzięła Jasmine mocno pod rękę i energicznie ruszyła korytarzem przed siebie.

– Co ty najlepszego wyrabiasz? – wysyczała. – Nie ma z tobą absolutnie żadnego kontaktu.

– Telefon wpadł mi do wanny – mruknęła Jasmine.

– Jakoś w psychiatryku ci nie wpadał.

– Tam były tylko prysznice – odparła Jasmine.

– Mówi ci coś numer 1115678?

Jasmine pokręciła przecząco głową. Postanowiła jak najmniej się odzywać. Ta taktyka świetnie sprawdzała się podczas śledztwa i w szpitalu.

– To numer IP komputera twojej ciotki. Internet działa u niej doskonale. Czemu nie sprawdzasz poczty? – Klaudia aż kipiła ze złości.

– Ciotka ciągle kręci się przy komputerze.

– Nieważne – ucięła Klaudia. – Nie ma problemu, będę wyznaczać ci spotkania osobiście. Kiedyś nie było komórek ani Internetu i jakoś ludzie żyli.

– Przecież przyszedłam do lasu na spotkanie, ale nikt się nie pojawił – bąknęła Jasmine.

– Wiem, że tam byłeś, ale coś mnie zatrzymało. – Klaudia nagle przystanęła i tak mocno pociągnęła Jasmine, że dziewczyna wylądowała na ścianie. Zbliżyła się do niej. Była wyższa od Jasmine o dobre pół głowy. Ściągnęła okulary i spojrzała na nią z góry.

– Właśnie tak sobie ciebie wyobrażałam – stwierdziła. – Mała, biedna Jasmine, która robi tylko to, co sama zechce. – Uśmiechnęła się szyderczo. – Będę się teraz tobą osobiście zajmować. Twój opiekun z Kanady nie będzie się już więcej z tobą kontaktował.

– Marcel, ten ze szramą na policzku? – zapytała niepewnie Jasmine.

– W rzeczy samej – odparła Klaudia. – Tam w Kanadzie zawalił sprawę. Pozwolił, by zwinęła cię policja. Przez to utknęłaś w szpitalu. Zresztą ty też się nie popisałaś. Miałaś wyraźne instrukcje i nic nie zrobiłaś.

– Wiem – mruknęła Jasmine i spuściła wzrok.

– Nie przerywaj mi – syknęła Klaudia i ścisnęła palcami policzki Jasmine. Długie paznokcie nieprzyjemnie wbiły się w skórę. – Nie lubię, jak ktoś mi przerywa. Jak będę chciała poznać twoje zdanie, to cię zapytam, rozumiesz?

Jasmine w odpowiedzi tylko skinęła głową.

– Grzeczna dziewczynka. – Klaudia zwolniła uścisk i poklepała ją po policzku. – Nie wracajmy do tego, co było w Kanadzie. Teraz mamy nowe otwarcie. Nawet nie wiesz, ile zachodu kosztowało wyciągnięcie cię ze szpitala i posprzątanie tego całego bajzlu. Zrobiłam bardzo dużo, by nikt z niczym cię nie powiązał. Przyznam, że twoi przyjaciele ze szpitala odwalili kawał dobrej roboty. Marcel pojechał tam załatwić sprawę, a okazało się, że oni sami rozprawili się z tym grubym pielęgniarem. Szczególnie pomocny okazał się ten mały...

– Fester – dopowiedziała Jasmine.

– Dokładnie, prawdziwy mózg operacji. To on wymyślił, by upozorować samobójstwo. Wyobraź sobie, że ten pielęgniarz okazał się prawdziwym Sherlockiem Holmesem. Ktoś z policji udostępnił mu zdjęcia z monitoringu, a on spośród przejeżdżających samochodów wytypował wóz Marcela, który przyjechał do ciebie, kiedy miałaś załatwić sprawę ze swoimi rodzicami. Nie wiem, jak na to wpadł. Ale nie tylko dlatego musiał zginąć. – Klaudia spojrzała wymownie na Jasmine. – Widziałam twój film, który nagrali razem z tym zwariowanym lekarzem.

– Do niczego nie doszło. – Jasmine spuściła wzrok. – Chciałam dostać pozytywną opinię. Tylko się rozebrałam.

– Zresztą to nieważne, już po nich. Pamiętaj, że nikomu nie pozwolę cię krzywdzić. – Klaudia pogłaskała jej policzek z dziwną czułością.

*Może to lesbijka?* – przemknęło Jasmine przez myśl.

– Oczywiście wiem, że ci nie w smak, że to ja będę twoim opiekunem. Lubisz facetów, łatwo nimi manipulować. Zresztą dobrze ci to idzie nawet z kobietami, naprawdę jesteś niezła. Ta twoja prawniczka przeszła prawdziwe pranie mózgu. – Klaudia zachichotała.

– Nic nie zrobiłam, po prostu byłam miła – odparła Jasmine.

– I właśnie taka bądź dalej. – Klaudia nagle mocno wykręciła jej rękę. – Bądź miła i rób wszystko, co mówię, a nic złego cię nie spotka.

Klaudia ruszyła korytarzem, a Jasmine posłusznie podążyła za nią niczym cień. Dotarły do schodów przeciwpożarowych. W suficie widniał otwór wężu prowadzącego na dach. Klaudia zatrzymała się pod nim. Łokciem oparła się o metalową drabinkę prowadzącą na górę.

– Mam dla ciebie zadanie. – Mówiąc to, sięgnęła do kieszeni skórzanej kurtki i podała Jasmine płaski błyszczący przedmiot. – Wiesz, co to jest?

– Niby skąd? – Jasmine wzruszyła ramionami.

– Wystarczy wcisnąć tutaj. – Klaudia dotknęła guzik i z rękojeści z trzaskiem wyskoczyło lśniące ostrze.

– Po co mi to dajesz? – Dziewczyna zdziwiła się.

– Masz robotę do zrobienia. Jakoś działa mi na nerwy ta twoja nowa rodzinka. – Klaudia wyduła usta. – Daję ci tydzień, by rozwiązać ich problem. Najlepiej zacznij już dzisiaj. Jeden już czeka w suszarni. – Uśmiechnęła się cynicznie. – Zresztą chyba nie trzeba cię specjalnie namawiać.

Jasmine spuściła wzrok.

– Nie chcę tego robić – mruknęła.

– Nie chcę tego robić – przedrzeźniła ją szyderczym głosem Klaudia. – Wychodzi jednak na to, że musisz. Obawiam się, że oni mogą pokrzyżować nasze plany. A w szczególności twoja zwariowana ciotka. Ona jest groźna i czegoś się domyśla. – Klaudia chwyciła drabinkę. – Pamiętaj, masz tydzień. Gdy to zrobisz, po prostu czekaj na mnie w mieszkaniu. Sama się pojawię i cię zabiorę. Tylko nie nawal tym razem. Pamiętaj, u mnie tylko raz można popełnić błąd. Zamknij oczy – powiedziała nagle i nachyliła się do jej ucha.

– Zrób wszystko, jak należy, a zdradzę ci pewien sekret. Dowiesz się, dlaczego jeszcze żyjesz i czemu wszystko uszło ci płazem. Nie zawieź mnie. – Po tych słowach zwinnie wspięła się na górę. Buty zadźwięczały na metalowych szczeblach. Jednym ruchem pchnęła właz. Z dachu dobiegał jakiś potężny hałas. Zimny wiatr nasypał śniegu do wnętrza. Po chwili kłapa spadła z trzaskiem.

Zaciekawiona Jasmine weszła po drabince i nieznacznie uchyliła właz. Z boku dyndał ucięty łańcuch z potężną kłódką. Dziewczyna zobaczyła, jak Klaudia wskakuje do czarnego cywilnego helikoptera. Za sterami siedział mężczyzna z blizną na policzku. Serce mocno jej zabiło, wszędzie by go poznała. Był to Marcel, jej opiekun z Kanady, od niego wszystko się zaczęło. Drzwi od helikoptera otworzył barczysty albinos. Jego Jasmine widziała pierwszy raz. Maszyna poderwała się do góry i odleciała w stronę Lasu Bielańskiego.

Jasmine z ciężkim sercem zeszła na dół. Wróciła do suszarni i w milczeniu skończyła wieszać pranie. W kieszeni czuła nieznośny ciężar noża. Wszystko to, czego się bała, powróciło ze zdwojoną siłą. *Już chyba lepiej było w psychiatryku* – pomyślała. Nawet nie sądziła, że kiedyś zatęskni za szpitalem, a jednak tak się stało. Czasem zupełnie zwariowane myśli stają się rzeczywistością.



## ROZDZIAŁ 37

*Nie wspominaj, bowiem wspomnianie jest zajęciem starców.*  
Paulo Coelho, *Na brzegu rzeki Piedry usiadłam i płakałam...*

### **Ojciec Zoo**

*Polska, Warszawa*

O umówionej godzinie Zoo czekał na Jasmine w barze Kępa Potocka. Kiedy dziewczyna nie przychodziła przez pierwsze dwadzieścia minut, myślał, że tylko się spóźni. Po godzinie po prostu zaczął zamawiać kolejne piwa, które barmanka Pyza nalewała mu z ociąganiem. „Jak tak dalej pójdzie, to na bank zarzyga cały kibel”, zdawała się mówić jej mina.

Zoo już wiedział, że Jasmine nie przyjdzie. Podły nastrój, który nim zawładnął, sprawił, że zaczął myśleć o ojcu. Myślał i znieczulał się piwem. Kiedy Zoo miał dwa lata, ojciec wyjechał na wycieczkę do Francji i po prostu nie wrócił. To były czasy PRL-u, kiedy Europa była przedzielona żelazną kurtyną. Ten wyjazd był oczywiście wcześniej uzgodniony z mamą. Ojciec miał pracować, kupić dom i ściągnąć ich do siebie. Plan wydawał się idealny, nikt jednak nie przewidział ryzyka, które za sobą niósł.

Zoo i Kurczak wychowywali się tylko z mamą. Ojciec co miesiąc przysyłał paczki wyładowane zabawkami i słodyczami. W szarej rzeczywistości PRL-u uchodzili za bogaczy. Wyróżniali się drogimi kolorowymi ubraniami. Zoo miał dwustronny piórnik i specjalny flamaster nazywany znikaczem. Gdy przejechało się nim po tekście napisanym wiecznym piórem, znikacz wywabiał atrament. Z drugiej strony była końcówka niebieskiego flamastra, którą można było poprawić błąd. To razem z kolorowymi ubraniami z Francji w tamtych czasach czyniło Zoo i Kurczaka w oczach rówieśników milionerami. Tak się przynajmniej czuli.

To były czasy, gdy dzieci w Polsce zbierały puszkę po napojach gazowanych z Zachodu. Pomarańcze z Kuby pojawiały się w sklepach tylko na święta.

Każdemu wolno było kupić tylko jeden kilogram. Zoo i Kurczak stali w kolejce oddzielnie. Udając, że się nie znają, kupowali po kilogramie pomarańczy i z minami zwycięzców wracali do domu, ciesząc się jak wariaci, że tacy byli sprytni. Potem do sklepu szła jeszcze mama i kupowała trzeci kilogram. Na święta było więc mnóstwo pomarańczy, ale nigdy nie było taty. Był zbiegiem z komunistycznego rajy; gdyby wrócił, natychmiast po przekroczeniu granicy wylądowałby w więzieniu.

Spotykali się raz w roku w Czechosłowacji lub na Węgrzech. To był szalony czas, ojciec kupował im wtedy wszystko, co chcieli. Zarabiał dobrze, dostał pracę inżyniera w fabryce Citroëna. Miał pieniądze, ale nie miał rodziny. Coraz częściej żył wyobrażeniem o dzieciach. Chciał, żeby uczyły się francuskiego. „Kiedyś zabiorę was do Francji, kupię dom”. Stale to powtarzał, ale był w tym jakiś smutek. Zoo uczył się więc francuskiego, Kurczak również. Te spotkania raz w roku z ojcem pamiętali również jako nieustanne przepytywanie z francuskiego. Kiedy Zoo miał dziewięć lat, rzucił zeszytem i powiedział, że ma dosyć ojca, który raz w roku zgrywa nauczyciela.

– To jest bez sensu, nigdy nie kupisz domu, a my nigdy nie przyjedziemy, dobrze o tym wiesz.

Ojciec wtedy nic nie odpowiedział, ale jakby sposepniał. Zoo ugryzł się w język. Wszyscy spojrzeli na niego jak na zbrodniarza, ale on wzruszył tylko ramionami i wyszedł z pokoju. W końcu powiedział to, o czym wszyscy skrycie myśleli. Po prostu ubrał to w słowa.

Teraz, kiedy był już dorosły, wiedział, jak bardzo musiał zranić wtedy ojca, który żył tylko marzeniem o kupnie domu. Mieszkał w najgorszym mieszkaniu, jadł najgorsze jedzenie, by zrealizować ten plan, ale on ciągle wymykał mu się z rąk. Zbierał pieniądze, ale jak na złość ceny domów rosły. Jedno zdanie syna uświadomiło mu wtedy, jak nierealny jest to cel. To położyło się też długim cieniem na ich relację. Zoo oczywiście nadal uczył się francuskiego, ale ojciec już nie chciał go przepytywać. Powstał między nimi jakiś niewidzialny mur. Najgorsze miało jednak nadejść. Kiedy w dzienniku telewizyjnym Joanna Szczepkowska powiedziała, że „czwartego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku skończył się w Polsce komunizm”, to był dla ojca sygnał do powrotu.

Nie udało mu się kupić wymarzonego domu we Francji, więc zabrał wszystkie pieniądze i wrócił do kraju. Od razu zmienili z mamą mieszkanie

na większe, na to, w którym mieszkała teraz Kurczak. Kupili nowy samochód, Fiata Mirafiori w kolorze butelkowej zieleni z klimatyzacją i elektrycznymi szybami. Pojechali na niezwykle wakacje do Hajdúszoboszló na Węgrzech do centrum term. A potem to już zaczęła się codzienność. Ojciec przez lata odwykł od Polski. Czuł się obco w rodzinie. Dzieci, które znał, były tylko wyobrażeniami z jego głowy, a ta głowa niestety zaczęła szwankować. Coraz częściej popijał, a gdy był zły, przeklinał po francusku. Zoo i Kurczak byli nastolatkami, a ojciec chciał traktować ich jak małe dzieci. Dla niego byli ciągle maluchami, tak ich zapamiętał, gdy wyjeżdżał. To, co było w głowie ojca, rozmijało się z rzeczywistością. Nie mówił tego bliskim, ale czasami miał wrażenie, że został przeniesiony do innego świata, nieznanego i rządzącego się odmiennymi regułami. To rodziło całą masę napięć i sprzeczek.

Awantur było coraz więcej, pieniądze się skończyły i wszystkich dopadła zwykła, szara rzeczywistość. Ojciec nie miał już żadnego celu. Ten, dla którego wcześniej harował jak wół, był już nieaktualny. Pewnego dnia po prostu dostał ataku paniki. Była zima, a on w samych bokserkach biegał po osiedlu i zatrzymywał wszystkie samochody jadące na parking. Bełkotał coś po francusku. Pytał o drogę do Paryża. Po tym incydencie Zoo myślał, że zapadnie się pod ziemię. Całe osiedle dosłownie tarzało się ze śmiechu.

Zoo przestał odzywać się do ojca i to była najgorsza rzecz, jaką mógł zrobić. Miesiąc później po pamiętnym joggingu ojciec dostał zapaści. To było w niedzielę, zaczął nagle krzyczeć, że musi natychmiast wracać. Potem upadł na dywan z pianą na ustach i wywróconymi białkami. Zabrano go do zwykłego szpitala, a stamtąd szybko przewieziono do psychiatryka. Mieli odwiedzić go w poniedziałek, zaplanować leczenie, porozmawiać z lekarzami, ale okazało się, że zmarł. Może ocknął się w izolatce i nie wiedząc, co się dzieje, umarł ze strachu? Lekarze powiedzieli, że po prostu przestało mu bić serce. Ojciec chyba najzwyczajniej w świecie nie chciał już żyć. Nagły powrót z emigracji był ciosem. Jego dusza niczym ptak po prostu zerwała się do odlotu.

To była pierwsza śmierć, która spotkała Zoo. Ciągle przypominał sobie ten dzień z awanturą, gdy wbił ojcu szpilę. Wyrzucał sobie, że odwrócił się od niego. Czuł się winny jego śmierci. Teraz czasami Zoo zastanawiał się, ile osób jeszcze pamięta ten wieczór, gdy ojciec latał półnagi po osiedlu. To wszystko utonęło w odmętach głębokiego jeziora zapomnienia. *Po co więc*



*tak się stresowałem? – myślał. W końcu wszystko i tak zostaje zapomniane. Te myśli jednak nie uwalniały go, tylko jeszcze bardziej pogłębiały wyrzuty sumienia.*

Wszystko, co robił ojciec, było tak naprawdę wołaniem o pomoc. Nikt jednak tak tego nie odebrał. To było preludium wszystkich problemów, których miał doświadczyć Zoo. Zupełnie jakby ktoś kopnął prostą deskę tak, że w jednej chwili ze stabilnego podestu stała się pochylnią. Od momentu śmierci taty Zoo miał nieustannie wrażenie, że wszystko w jego życiu zsuwa się w dół. Śmierć matki to już było samo dno. Najczarniejsza piwnica bez najmniejszego okna, z której nie ma wyjścia. To maniackalne pragnienie ojca, by zapewnić rodzinie wszystko co najlepsze, i jego pogoń za pieniędzmi odcisnęły piętno także na Zoo. Tak często słyszał o pieniądzach, że stały się azymutem w jego życiu. W istocie były jednak błędnym światłem, które prowadziło go na manowce. Podobno Jim Carrey powiedział kiedyś: „Chciałbym, żeby każdy człowiek miał szansę kiedyś stać się sławnym i bogatym oraz żeby kupić wszystko, o czym marzył – bo tylko w ten sposób zrozumie, że nie taki jest cel życia”. Zoo, mimo że zarobił wielkie pieniądze na kryptowalutach, czuł się jak ostatni nędzarz bez grosza przy duszy.

## **Pocket Sulu**

*Polska, Warszawa*

Dzień wyjazdu przypominał trochę rewolucję. Niby wszystko było przygotowane, a jednak wisiąco na włosku. Marta zwijała się jak w ukropie, Mikołaj nosił z Markiem bagaże do kampera. W tym całym chaosie Jasmine zaproponowała, że wyprowadzi Apisa. Poszła szybkim krokiem na przelaj przez osiedle wprost do baru Kępa Potocka. Chciała spotkać się na dogrywkę bilarda z Zoo, ale poprzedniego wieczoru, na kiedy byli umówieni, nie mogła wyjść z domu. Ciotka ciągle czegoś od niej chciała. Teraz Jasmine czuła się winna, że nie przyszła na spotkanie.

Bar o jedenastej rano był zupełnie pusty. Jasmine podeszła do Pyzy i zostawiła u niej kartkę dla Zoo.

– Proszę, daj to temu facetowi, z którym grałam ostatnio w bilard – powiedziała.

– Czy ty myślisz, że ja zapamiętuję wszystkich, którzy przychodzą tu grać? – spytała kąśliwie Pyza. – Ja tu pracuję.

– No wiem, że tu pracujesz, dlatego proszę, żebyś przekazała mu tę kartkę. Wysoki facet w bejsbolówce z korkowym daszkiem z napisem: *Pocket Sulu*. Na pewno zwróciłaś na niego uwagę.

Pyza oczywiście pamiętała Zoo, ale nie dała nic po sobie poznać.

– Dobrze, postaram się to zrobić – odburknęła.

Jak tylko Jasmine wyszła, Pyza natychmiast otworzyła kartkę. Wiadomość była jednak napisana po francusku, by barmanka nie mogła poznać jej treści.

*Je vais aller à Noël à Leśna Rzeka, je t'invite pour une revanche au billard*<sup>[1]</sup>.

*Jasmine*

Pyza ze wstrętem zmięła kartkę i wyrzuciła do kosza.

– Też mi średniowiecze. Komórkę sobie, dziewczyno, kup – mruknęła.

Gdy Jasmine wróciła do domu, wszystko było już gotowe. Marta skończyła pić kawę z mężem i wszyscy ruszyli do kampera. Mikołaj odprowadził ich i machał na parkingu, kiedy odjeżdżali.

– Czy ktoś z was jechał kiedyś takim wspaniałym pojazdem? – zapytała Marta, wyjeżdżając z osiedla na ulicę Podleśną.

– Ja. – Jasmine uniosła rękę.

– Przestań. – Ciotka zaśmiała się. – Mogłaś przynajmniej udawać, że nie.

– Ale ten jest super, ciociu. To prawdziwy dom na kótkach.

– Jedziemy! – zawołał podekscytowany Marek.

Jasmine usiadła przy stoliku, wsunęła rękę do kieszeni bluzy i mocno ścisnęła sprężynowy nóż. Zdawała sobie sprawę, że w najbliższych dniach będzie musiała podjąć ważne decyzje.

## **Mikołaj pogrąża się we wspomnieniach**

*Polska, Warszawa*

Mikołaj został sam. Przez pierwszy dzień czuł się obco w pustym mieszkaniu. Cisza dosłownie dzwoniła mu w uszach. Kupił płytki na balkon, gotowy klej do terakoty oraz specjalną ząbkowaną pacę do nakładania. Zaopatrzył się też w krzyżyki do płytek i fugę oraz szpachelkę. Pracę miał zamiar rozpocząć następnego dnia po wyjeździe Marty, wieczór postanowił spędzić przy piwie i jakimś filmie. Usiadł na balkonie, wyciągnął wygodnie nogi na krześle, nalał do szklanki zimnego piwa i zapalił elektronicznego papierosa.

Palik powoli i rozkoszował się ciszą. Było przed północą i wokół panował zupełny spokój.

Mimowolnie zaczął wspominać dawne czasy, studia, pełną wolność. Starał się natrafić w głowie na ślad swoich starych myśli, ale ledwo udawało mu się przypomnieć klimat tamtych dni. Czuł się, jakby chciał przypomnieć sobie życie innego człowieka, a przecież to niemożliwe. Wszystko gdzieś uleciało. *Czym ja wtedy żyłem? – zastanawiał się. Egzaminami, jakąś dorywczą pracą, randkami?*

Mikołaj nigdy nie stronił od płci pięknej i można powiedzieć, że miał na tym polu niemałe sukcesy, chociaż na pierwszy rzut oka nic by na to nie wskazywało. Ale miał w sobie umiejętność słuchania. Reszty dopełniały niski, ciepły głos, ni to drwiący, ni to wesoły uśmiech i abstrakcyjne poczucie humoru. Było w nim coś przewrotnego. Jednym słowem kobiety lgnęły do Mikołaja, a on dobrze czuł się w ich towarzystwie.

Teraz jego myśli zaczęły podążać w stronę Marty. Pamiętał dokładnie ich pierwsze spotkanie w Warszawie. Oboje tam studiowali, Mikołaj polonistykę, a Marta romanistykę. Mikołaj miał zwyczaj odwiedzania barku na wydziale geografii. Mieścił się w piwnicach, jego wnętrze przykryte półokrągłymi sklepieniami tworzyło klimat oderwania się od wszystkiego. Przychodziło tu wielu studentów z różnych wydziałów. W bufecie na polonistyce zawsze panował młyn. Mikołaj nie lubił tego i jak tylko mógł, uciekał do piwnicy u geografów. Kiedy poznał Martę, był na etapie pisania magisterki. To był piękny czas, myślał, że od powstania tej pracy zależy los polskiej nauki. Teraz, będąc już nauczycielem, pozbył się złudzeń.

Jego praca wylądowała oczywiście w przepastnych piwnicach archiwum, jak zresztą większość innych prac magisterskich. Zapomniana, zakurzona, nikomu do niczego niepotrzebna. Kiedy ją pisał, chciał wierzyć, że naprawdę do czegoś się przyda, że ktoś z niej skorzysta, dlatego bardzo się przykładał, siedząc w bibliotece od rana do wieczora. Taki sobie opracował system. Wstawał rano, wypijał mocną czarną kawę, wypalał dwa papierosy i ruszał do biblioteki. Pracował tam zazwyczaj do godziny pierwszej, kiedy to robił przerwę na sałatkę i kolejną kawę. Tę przerwę zawsze spędzał w barku na wydziale geografii. Był to zupełnie inny świat, na dodatek można było tam palić. Zjadał więc szybko sałatkę, a potem w spokoju palił i delectował się kawą. Obmyślał nowe rozdziały pracy i czuł się jak wybitny naukowiec.

Tego dnia był piątek. Mikołaj zastanawiał się, co zrobić z wieczorem. Zazwyczaj pisał do dwudziestej i wychodził na piwo z kolegami albo włączył się po mieście. Te rozważania przerwało mu wrażenie bycia obserwowanym. Młoda dziewczyna w głębi sali dosłownie świdrowała go spojrzeniem. W jej oczach migotały tajemnicze błyski. Uśmiech był równie zagadkowy, a może wcale nie był uśmiechem, tylko grymasem. Serce Mikołaja zabiło wtedy mocniej, a nie powinno, bo przecież spotykał się z Mają, posągową blondynką jak ze snu. Mieli wziąć ślub, a ich rodziny znały się bardzo dobrze. Jeszcze przed chwilą planował wieczorne spotkanie ze swoją dziewczyną, ale teraz to wszystko jakby wyparowało pod wpływem tej tajemniczej nieznajomej siedzącej w kącie. Mikołaj dokładnie pamiętał, jak wyglądała. W zasadzie nie było w niej niczego olśniewającego. Była osobą, obok której można przejść zupełnie obojętnie. Jednak kryła się w niej jakaś niezwykłość. Maja zupełnie wyparowała z myśli Mikołaja. Bez namysłu wstał od stolika i podszedł do dziewczyny.

– Zastanawiam się, czy masz jakiś nałóg? – powiedział.

– Raczej nie mam nałogów. – Nieznajoma uśmiechnęła się ponownie.

– A to źle – odparł Mikołaj.

– Niby dlaczego? – Uśmiech nie zniknął z ust dziewczyny.

– Bo nałogi trzeba wspierać i pielęgnować, może są wszystkim, co najlepsze w naszym życiu.

– Ciekawa teoria – powiedziała powoli. – Sam to wymyśliłeś?

– Ostatnio dużo rzeczy wymyślam – odpowiedział. – Kończę pisać pracę na wydziale polonistyki. Twórczość Brunona Jasiońskiego.

– *Idę młody, genialny, niosę but w butonierce* – wyrecytowała jednym tchem dziewczyna.

– Dokładnie. – Mikołaj ucieszył się. – To pierwszy cytat z mojej pracy. – Odsunął krzesło i dosiadł się do nieznajomej.

– Może weź swoją kawę. – Dziewczyna wskazała na kubek, który zostawił na swoim stoliku.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł – bo zaraz zapraszam cię na wino.

– Okay. Mam na imię Marta. – Wyciągnęła do niego rękę.

– Cóż za *faux pas*. – Złapał się za czoło. – Bardzo mi miło. Mikołaj.

– Mnie również. – Marta energicznie potrząsnęła jego ręką.

– Silny, zdecydowany uścisk, to lubię – powiedział.

– Dziękuję. Pochodzę z Kaszub. Tam mamy silne ręce, bo ciągle wciągamy sieci i skrobiemy ryby.

*Ma poczucie humoru* – przemknęło przez myśl Mikołajowi.

– Teraz już możemy iść na wino – zdecydowała Marta, zbierając swoje rzeczy. – Nie można pić z nieznajomymi.

– Ani do lustra – dodał Mikołaj

Tak się zaczęło ich pierwsze spotkanie, które zakończyli dopiero nad ranem. Rozmawiali o wszystkim: o poezji, rodzinie, polityce, sztuce, muzyce. W toalecie Mikołaj wyciszył telefon, bał się, że może zadzwonić Maja. Marta zapytała go wprost, czy ma jakąś dziewczynę. Odparł, że nie i nie czuł przy tym w sercu żadnego ukłucia, zupełnie jakby Maja była obcym człowiekiem. Marta zdetronizowała ją w ciągu jednego wieczoru.

– To dobrze, wytrzymaj jeszcze w stanie wolnym, bo jutro wyjeżdżam do domu na dwa tygodnie. Będę uczyć się w spokoju do sesji letniej. I oczywiście skrobać ryby.

– Naprawdę wyjeżdżasz? – Mikołaj był szczerze rozżalony.

– Kopciuszek wyjeżdża – roześmiała się Marta – ale zostawi ci coś na pamiątkę.

Zgrabnie zsunęła but na płaskiej podeszwie i podała mu.

– I co mam teraz niby zrobić? – zdziwił się Mikołaj.

– Jak to co? Możesz go włożyć do butonierki, no, ale nie masz marynarki... – Zrobiła zatroskaną minę. – W każdym razie przechowaj go, za dwa tygodnie spotkamy się i mi go oddasz. – Uśmiechnęła się promiennie. – A gdyby się zdarzyło, że jednak przygruchałeś sobie jakąś dziewczynę, to ten but ją wykopie. – Po tych słowach drugi but schowała do torby i poprosiła Mikołaja, żeby odprowadził ją na dworzec.

– Ciekawe, co powiedzą rodzice, gdy zobaczą mnie boso. – Zaśmiała się. – Dobrze, że mieszkam blisko stacji, dosłownie dwa kroki.

– A gdzie dokładnie?

– Bardzo sprytnie, gdybym się nie pojawiła, będziesz wiedział, gdzie mnie szukać. – Pochwaliła go z błyskiem w oku. – Jastarnia, ulica księdza Stefańskiego.

Tak się rozstali. Mikołaj stał długo na peronie i machał ręką, w której trzymał but, mimo że pociąg już dawno zniknął. Z ciężkim sercem wrócił

do domu. Po drodze sprawdził telefon, miał kilka nieodebranych połączeń od Mai. Cicho przekręcił klucz i wszedł do mieszkania.

Maja spała w sypialni, zupełnie naga i piękna. Jej ciało okrywało tylko cienkie prześcieradło. Rozebrał się i chyłkiem wślizgnął do łóżka. Czuł się okropnie, jak złodziej, który wszedł do nie swojego mieszkania. Nagle przypomniał sobie o bucie. Wstał z łóżka. Na półce obok kluczy leżał pantofelek Marty. Mikołaj schował go na szafę. *Muszę to jakoś elegancko załatwić – pomyślał. Muszę powiedzieć Mai, że to koniec. Zrobię to rano.*

Z powrotem położył się do łóżka, a wtedy stała się rzecz, której najmniej pragnął. Maja obróciła się na bok i obudziła się.

– O, już jesteś. – Objęła go ramieniem i pocałowała pełnymi ustami. – Gdzie ty byłeś? Dzwoniłam chyba z tysiąc razy. – Przetarła oczy. Jej pełny biust zakotłosał się seksownie.

– Spotkałem się z kumplami – skłamał Mikołaj.

– Mam nadzieję, że zostało ci trochę siły, bo mam na ciebie dzisiaj wyjątkową ochotę. – Maja pociągnęła go do siebie.

Wszyscy zazdrościli mu takiej dziewczyny. Maja była pełna seksapilu; gdy szła ulicą, nie było mężczyzny, który by się za nią nie obejrzał. Mimo swojej nieziemskiej urody i seksowności Maja jednak po prostu wyparowała z głowy Mikołaja. Dotykała teraz rękoma jego karku, gotowa na miłosne uniesienia, ale jedynym pragnieniem, które czuł teraz Mikołaj, była chęć natychmiastowego zakończenia tego związku.

– Nie dam rady – jęknął.

– Ależ przestań – szepnęła Maja, przytulając go do swoich piersi. – One czekają na ciebie.

– Maja, nie dam rady. – Mikołaj położył się na wznak.



## ROZDZIAŁ 38

*Każdy wybiera sobie raj, który jest piekłem dla innych.*

Alberto Moravia, *Rzymianka*

### **Dziki seks**

*Polska, Warszawa*

Maja nie byłaby sobą, gdyby odpuściła. Była pewna siebie i swojej kobiecości, i to aż za bardzo.

– Widzę, że potrzebujesz pomocy – szepnęła.

Nim zdążył uczynić jakikolwiek ruch, odwróciła się i zaczęła całować jego penisa. W głowie Mikołaja szalała burza, ale penis jak na złość zaczął twardnieć. Położył rękę na czole. Wspominał wczorajszy wieczór i uśmiechał się do siebie. Nigdy nie powiedział Marcie, że kochał się wtedy z Mają. Ona jęczała, a on zamknął oczy i odpłynął.

– Widzisz, dałeś radę – wyszeptała Maja.

Mikołaj zatkał jej ręką usta. Zamknął oczy i wchodził w nią szybkimi ruchami. Ale wtedy kochał się tak naprawdę z Martą. Męska logika jest naprawdę czasami pokręcona. O jęczącej Mai nie myślał wcale. Coraz mocniej zatykał jej usta.

– Udusisz mnie – jęczała.

Nie zareagował, tylko mocniej przycisnął dłoń do jej ust. Zarzuciła ręce na poduszkę i chciwie łapała powietrze przez nos. Poddała się jego szaleńczym ruchom. Zmusił Maję, by uklęknęła na czworakach i kochał się z nią dalej jak oszalały. Gdy w końcu opadli na łóżko, Maja przytuliła się do niego.

– Musisz częściej wychodzić z kolegami – szeptała. – Tak naprawdę byłam na ciebie wściekła, ale właśnie było mi trzeba takiego ostrego seksu.

– Przestań, nic nie mów.

– Najlepsze było, jak mnie dusiłeś. Nie byłeś taki nigdy wcześniej.



– Leżał i myślał o tym, co się stało. Chciał od razu powiedzieć Mai, że to koniec, ale to na pewno byłby dla niej za duży szok.

*Ile bym dał, żeby być teraz z Martą* – myślał.

Następnego dnia Maja wstała wcześniej. Ubrała się w białą sukienkę, która idealnie podkreślała jej kobiece kształty.

– Jak się czujesz, kochanie? – Podeszła do Mikołaja i pocałowała go w czoło.

Ten nakrył się kołdrą.

– Daj spokój, wczoraj przegiąłem z winem.

– Wczoraj byłeś niezemiński.

– Przestań. – Obrócił się na bok. Czuł się skacowany i nie na miejscu. Teraz najbardziej na świecie chciał być sam.

– Wychodzę na uczelnię – powiedziała Maja. – Mam nadzieję, że tu będziesz, gdy wrócę, i będziemy kontynuować to, co robiliśmy wczoraj. Kupię butelkę wina.

Niedługo potem za Mają zamknęły się drzwi i mieszkanie pogrążyło się w ciszy. Mikołaj przeciągnął się na łóżku i zastanawiał się nad tym, co się wydarzyło. Czuł zmieszanie i obrzydzenie do siebie za to, że w nocy kochał się z Mają. Ale rzucanie wszystkiego dla nowo poznanej dziewczyny, z którą oprócz przegadanej nocy nic go nie łączyło, zakrawało na zwykłe szaleństwo.

Mikołaj zwlókł się z łóżka, zrobił sobie kawę i wyszedł na balkon na papierosa. Była już późna wiosna i zapowiadała się wspaniała pogoda. Słońce raziło go w oczy, więc wrócił do mieszkania. Chwilę kręcił się bez celu, aż w końcu poszedł do przedpokoju i ściągnął z szafy but Marty.

Serce zabiło mu mocniej. *Ona jest jak Kopciuszek, ma w sobie to coś* – pomyślał. Mały, skromny but wydał mu się czymś wspaniałym, jedyną cenną rzeczą w całym jego życiu. Znowu pomyślał o Mai. Ich związek trwał już trzy lata. Rodzice Mai byli królami plastiku. Produkowali opakowania do jogurtów na całą Europę. Wszystko było ustalone: on miał pisać książki, rodzice mieli po ślubie dać im dom, a w ich firmie czekało na Mikołaja miejsce pracy. Ich przyszłość była zaplanowana, aż tu nagle Marta w swoim niepozornym bucie wkroczyła w tę ich sielankę i zmieniła wszystko. A przecież nic o niej nie wiedział.

Ubrał się, wziął papierosy i poszedł na długi spacer. W tym dniu odpuścić pisanie pracy, bo i tak nie stworzyłby nic mądrego. Miał wrażenie, że to,

co dotychczas w jego życiu tkwiło na swoim miejscu, zmieniło położenie. Nastąpiło małe trzęsienie ziemi i wszystko wywróciło się do góry nogami.

Każdy z jego kolegów chciałby być z Mają, każdy mu jej zazdrościł. *Gdyby ona mnie teraz zdradziła i po prostu odeszła, przyszła do domu i powiedziała, że mnie nie kocha, to by było coś wspaniałego* – myślał posępnie, krążąc po małych uliczkach Żoliborza. Chciał wymyślić coś konstruktywnego, ale nic mu się nie udawało. Nieubłaganie nadchodził wieczór, kiedy trzeba było wrócić do domu i niechybnie spotkać się z Mają.

## **Ważna decyzja Mikołaja**

*Polska, Warszawa*

Mikołaj usilnie zastanawiał się, jak powiedzieć Mai, że to już koniec. Nie był świnią, nie chciał nikomu robić przykrości, ale rozumiał, że to wszystko było po prostu jednym wielkim oszustwem. Potrzebował czegoś więcej niż plastikowej książeczki. Dobrze wiedział, że nigdy nie będzie z nią toczył tak abstrakcyjnych rozmów, jak z dziewczyną poznaną w barku u geografów. Ba, wcześniej w ogóle nie wiedział, że takie rozmowy można toczyć. Marta była po prostu jego bratnią duszą. Dostownie kończyła za niego zdania.

Wieczorem do domu wróciła Maja. Jak zwykle wyglądała nieziemsko. Sprawiała, że Mikołaj znowu zaczął bić się z myślami, że oto wywraca wszystko do góry nogami i zmienia całe swoje życie. Gdzieś w głębi serca czuł, że Maja jest jasną stroną jego życia. Tymczasem jego niespokojna dusza ciągnęła do przygody i jednej wielkiej niewiadomej. Nie chciał spokoju, nie chciał jasno wytyczonego planu.

Po wypiciu pękatej butelki wina, podczas gdy Maja paplała o tym, co się działo u niej na uczelni, ciągle zbierał się, żeby powiedzieć jej, że to koniec. Po jednym kieliszku myślał, że może jednak nie, że się myli, a po następnym znowu chciał to wszystko skończyć, i tak od nowa. W ten sposób wypili dwie butelki i znowu wylądowali w łóżku.

Kochając się z Mają, Mikołaj zatykał jej usta, a ona jęczała; najwyraźniej bardzo jej to przypadło do gustu. Potem chwilę leżeli i odpoczywali. Potem znowu się kochali. Następnie Mikołaj otworzył kolejną butelkę wina i wypił haustem dwa kieliszki, żeby się znieczulić. Miał wrażenie, jakby czas się zapętlił:

wino, łóżko i tak w kółko. Kochał się wtedy z Mają kilka razy, to była najbardziej psychodeliczna noc w jego życiu. I cały czas miał przed oczami Martę.

Teraz siedząc na balkonie i wspominając te czasy, śmiał się do siebie. Zapalił kolejnego papierosa, a jego myśli znowu powróciły do tych szalonych dni, kiedy każdy poranek mógł zmienić wszystko w jego życiu. Na tym właśnie polega młodość, na tej niesamowitej mnogości doznań i możliwości podejmowania skrajnie odmiennych decyzji. Później życie zatracą swój nurt. Niepostrzeżenie zamienia się w bastion obrony tego, co udało się zdobyć. Rwący strumień zamienia się w leniwą rzekę z zamulonym dnem, po której szybkie łodzie nie potrafią pływać.

W Marcie było coś takiego, że postanowił postawić wszystko na jedną kartę, chociaż wcześniej nigdy nie był hazardzistą. Tym typem był raczej jego starszy brat Nikodem. Okazało się jednak, że wystarczyło jedno spotkanie z nowo poznaną dziewczyną, aby Mikołaj też się nim stał. Całe wcześniej zaplanowane życie, ułożone równo jak w pudełeczku, rozpadło się niczym domek z kart. Może tak miało być, może tego właśnie potrzebowała jego dusza?

Następnego dnia rano, które po upojnej nocy wypadło dla nich w okolicach godziny trzynastej, Mikołaj bez żadnych większych wstępów powiedział Mai przy kawie, że z tej mąki chleba nie będzie.

– Ty chyba żartujesz. – Maja zatrzepotała rzęsami. – Co to ma znaczyć?

Mikołaj zapalił papierosa i powiedział krótko:

– Po prostu już cię nie kocham. W zasadzie to nie wiem, czy kiedykolwiek cię kochałem.

– Nie wiesz, czy mnie kochałeś?!

– To wszystko było jakies takie wymuszone – kontynuował niewzruszony Mikołaj.

– Wymuszone?!

– Po prostu chcę być szczery. Nie czuję tego.

– Chcesz być szczery?! – Maja powtarzała słowa Mikołaja niczym nakręcana zabawka. To wszystko przerastało ją. Nie mogła tego pojąć. – To dlaczego nie byłeś szczery przez ostatnie trzy lata? Dlaczego trwałeś tak długo w zakłamaniu? Zresztą nieważne, mam tego dosyć. – Zaczęła nerwowo chodzić po mieszkaniu, zbierając swoje rzeczy. Założyła bluzkę i zlokalizowała torebkę.

– Usiądź, porozmawiajmy normalnie – powiedział Mikołaj.

– To rozmawiajmy, mieszkanie jest małe. To w końcu nie jest żaden pałac. Słyszę każde twoje słowo. – Mówiąc to, zgarnęła kosmetyki z łazienki.

– Ale tak nie można. Proszę cię, usiądźmy i spokojnie porozmawiajmy.

– Dostyc mieliśmy spokoju przez trzy lata i gówno z tego wyszło!

– Ale tu nie chodzi o to, że chcę cię zranić.

– Nie, a niby o co?

– Po prostu – Mikołaj rozłożył ręce – uważam, że tak będzie lepiej.

– Nie znajdziesz sobie lepszej dziewczyny niż ja. – Maja postukała się palcem w bujną pierś. – To, że przy porannej kawie przekreślasz wszystko, co było między nami, wyrzucasz do kosza całe trzy lata bez zmrużenia oka, to powiem ci... – zawiesiła głos.

– Co mi powiesz? – zapytał.

– To pokazuje, jakim jesteś hipokrytą. Totalny brak szczerości. – Groźnie wymierzyła w Mikołaja palcem wskazującym niczym włócznią.

– Ja jestem nieszczerzy? – zdziwił się Mikołaj. – Przecież ci wszystko mówię. Chcę, żebyśmy spokojnie porozmawiali, a ty latasz po mieszkaniu jak wariatka i przerzucasz swoje rzeczy z kąta w kąt.

– Nie przerzucasz, tylko się pakuję, to różnica.

– Jak to pakujesz?

– Ktoś tu jednak chyba zwariował. – Skrzywiła się nieprzyjemnie. – Cały czas opowiadasz mi, że mnie nie kochasz, więc się wyprowadzam. Dla mnie jesteś dwulicową świnią i nie zamierzam tu zostać dłużej, niż wymaga tego zabranie moich rzeczy.

– Nie rozumiem, przecież rozmawiam z tobą szczerze. Po prostu mówię, co czuję.

– Oj, taki jesteś biedny – przedrzeźniała go. – Tak się musiałeś męczyć ze złą Mają przez długie trzy lata. Co noc musiałeś oszukiwać, że ją kochasz. Całować, choć takie czujesz do niej obrzydzenie. No po prostu sam widzisz, że to jest jakaś paranoja! – krzyknęła.

– Po prostu coś się zdarzyło. – Zwiesił głowę.

– Tak, wiem, zwariowałeś.

– Tak, zwariowałem. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Po prostu poznałem kogoś. Poczekaj, coś ci pokażę. – Zdjął z szafy but Marty. Wrócił do pokoju, dzierżąc go triumfalnie w rękę, niczym dowód wyjaśniający wszystko.

– Co to niby ma być? – Maja wzruszyła ramionami. – Podtykasz mi pod nos jakiś but. Ty naprawdę zbzikowałeś. – Popukała się w czoło.

– To jest but osoby, którą kocham.

– But osoby, którą kocham – powtórzyła. – Normalnie, kurwa, jakiś Kopciuszek ci się trafił. Ja się poddam. – Rozłożyła ręce. – Najwyraźniej nie jestem z tej bajki. Jestem z bajki o normalnych ludziach, którzy są szczerzy i nie zakochują się, kurwa, w Kopciuszkach i ich rozczłapanych butach. – Machnęła ręką i wytrąciła Mikołajowi z ręki nieszczęsny but, który poleciał w kąt.

– Nie kocham buta, nie bądź idiotką.

– To ty jesteś idiotą, mój drogi – odparła zjadliwie. – No, skończyłam pakowanie, teraz możesz zostać sam z tym cudownym, koślawym buciorem. – Chwyliła w ręce naprędce spakowane torby. – Boże, w dodatku ta dziewczyna nie nosi obcasów, tylko jakieś zakurzone baleriny – prychnęła. Dotarła do drzwi, nagle przystanęła i obróciła się w stronę Mikołaja, który podążał za nią jak cień.

– Zapamiętaj sobie, że to, co zrobiłeś, pokazuje, jakim jesteś wrednym facetem. To, co mogliśmy razem stworzyć, już nie istnieje. A wszystko było ustalone. Mieliśmy dostać od moich rodziców dom, a ty pracę. Popołudniami mógłbyś pisać książki, a teraz – machnęła ręką i wydeła usta – czeka cię zwykła, szara rzeczywistość. Zapamiętaj sobie tę scenę. Właśnie zmieniłeś swoje życie na gorsze. Poczekaj mam coś dla ciebie... – Sięgnęła do torby i wyjęła seksowny stanik. Rzuciła go na podłogę. – Będziesz miał co wspominać. Teraz żegnaj i nie dzwoń do mnie więcej.

Po tych słowach Maja wyszła i zatrzęsnęła za sobą drzwi, że aż futryna jęknęła, a z góry posypały się kawałki tynku.

Mikołaj stał nieporuszony. W jego głowie pojawiły się czarne myśli. Nie było wiadomo, czy na tej drodze, którą właśnie obrał, czekało go coś dobrego.

Nigdy więcej nie spotkał Mai i teraz wspominając tamte chwile, robił w myślach szybkie podsumowanie. *Ciekawe, co ona teraz robi. Jak ułożyło się jej życie?* – zastanawiał się. Była atrakcyjną kobietą, pełną życiowej werwy. Na pewno zdołała wejść na jakiś szczyt. Przez jakiś czas myślał o tych ostatnich słowach, które powiedziała mu przy drzwiach. Wtedy traktował je jako pewien rodzaj kobiecej zemsty. Zazwyczaj przy rozstaniu kobiety mówią straszne rzeczy, coś w stylu: „Nigdy nikogo nie znajdziesz” albo: „Zobaczysz, że kiedyś

będziesz sam, wtedy przypomnisz sobie, jak odtrąciłeś prawdziwą miłość, ale już będzie za późno” lub: „Tak naprawdę to nigdy cię nie kochałam”. Starszy brat Mikołaja, Nikodem, nazywał te pożegnalne słowa harpunami.

– One mają utkwąć w ciele zdrowego samca i zatruć mu życie. To takie niby klątwy, ale tak naprawdę są niegroźne, no chyba że się trafi na prawdziwą czarownicę.

Nikodem miał za sobą mnóstwo związków i tym samym dużo rozstań. Jego życie biegło jednak nadal normalnym trybem. Może nie trafił na czarownicę. *Żadna z czarnych przepowiedni nie sprawdziła się w jego przypadku. Do tej pory wiódł spełnione życie. A ja?* – myślał Mikołaj. Nie był już pewien niczego.

Czasami zastanawiał się, jak by to wszystko wyglądało, gdyby jednak został z Mają. Może teraz byłby uznanym pisarzem. Może nie musiałby cichaczem zabierać nastoletniej kuzynce pieniędzy z karty, by położyć terakotę na głupim balkonie w wynajętym mieszkaniu. Własne mieszkanie było nieosiągalnym, ginącym gdzieś wysoko w chmurach szczytem. Na starcie z Mają miałby od razu dom. Czuł, że może głupio zrobić, może faktycznie była tą lepszą wersją życia, a on stojąc wtedy na rozdrożu, wybrał drogę wyboistą i trudną. Zaciągnął się papierosem. Takie samotne rozmyślenia o własnym życiu zawsze przynoszą wnioski, że oto coś umknęło, uleciało gdzieś w dal i nigdy już nie powróci. Sytuacje nie powtarzają się, bo to, co ma się przytrafić w życiu, wydarza się tylko raz. Dlatego trzeba wyczuć moment i mocno uchwycić wirującą w powietrzu właściwą niteczkę losu. Ona porywa nas i pociąga w odpowiednią stronę. W końcu życie jest sumą decyzji.

*Może powinienem zacząć pisać* – pomyślał i westchnął ciężko.

## **Mikołaj przegląda notatki**

*Polska, Warszawa*

Jeszcze tego wieczora Mikołaj wyciągnął z pawlacza karton ze swoimi zapiskami. Postawił go na barku, usiadł na kanapie i zaczął przeglądać jego zawartość. To było jak podróż w czasie. Natrafił tam na notatki ze studiów i nawet stare zeszyty z liceum. Była nawet odbita na ksero gazetka, którą wydał w liceum. Na pierwszej stronie widniał artykuł o brodatym podróżniku, który przemierzał Europę na rowerze. Ten człowiek był kiedyś na spotkaniu w szkole i Mikołaj zrobił z nim wywiad.

Gazetka zakończyła swój żywot na pierwszym numerze, po prostu zapal i opadł i wszystko rozpuściło się niczym wielka lodowa góra w oceanie. A takie były wielkie plany. Mikołaj był wtedy w pierwszej klasie i jako redaktor naczelny miał wydawać gazetkę aż do klasy maturalnej. Wówczas miało nastąpić oficjalne przekazanie gazetki nowemu rocznikowi pierwszej klasy. Dyrektor zgodził się nawet na korzystanie ze szkolnego ksera, ale co z tego, kiedy w młodych redaktorach entuzjazm wygasł. Teraz przeglądając pierwszy i zarazem ostatni numer, Mikołaj uśmiechał się sam do siebie. *Jak to możliwe, że zapomniałem o mojej pierwszej gazecie?* – zamyślił się. *To o ilu rzeczach jeszcze nie pamiętam?* Zaczął z zapalem przeglądać pudło. Natrafił na notes z opowiadaniem. *To wymaga wanny* – zdecydował.

Ruszył do łazienki, zahaczając jeszcze o kuchnię, skąd wziął dużą butelkę piwa. Potem zaczął przygotowywać kąpiel. Wlał płyn o zapachu sosen i wyszedł na balkon, by zapalić papierosa. Wtem zadzwoniła Marta. Mikołaj spojrzął na zegarek, dochodziła północ.

– Czy coś się stało? – zapytał od razu.

– To tak witasz żonę? – zganiała go. Mówiła przyciszonym głosem, jak konspirator z czasów drugiej wojny światowej.

– Myślałem, że coś się stało, jest już późno.

– A co ty myślisz, że ja tu chodzę spać z kurami? – Zaśmiała się cicho. – Nic się nie stało. Dzwonię, żeby usłyszeć twój głos. Dzieciaki już śpią, a ja mimo nałożonego przez siebie zakazu korzystania ze zdobyczy technologii przemyślałam komórkę, specjalnie do kontaktów z tobą.

– I dobrze, ten pomysł z zupełnym brakiem telefonów to była jakaś porażka.

– Co porabiasz?

– Palę papierosa na tarasie.

– Miałeś kłaść płytki.

– Kochanie, przecież jest północ.

– No tak, głupia jestem. A co dzisiaj robię? – spytała podejrzliwie.

– Kupiłem wszystkie potrzebne rzeczy. Terakotę, kleje i inne pierdoły.

– A którą wybrałeś, tę szarą kamienną? – upewniła się.

– Oczywiście, przecież taka ci się podobała.

– To ile dzisiaj położyłeś, pół balkonu?

– Zaczynam jutro rano.

– Jak zwykle maniana. – Parsknęła śmiechem do słuchawki, tak że wydało mu się, że stoi tuż obok.

– Poczekaj, muszę sprawdzić, czy się woda w wannie nie przelewa.

– To ty sobie, widzę, spa robisz.

– A wiesz, wyciągnąłem z pawlacza karton z moimi zapiskami i natrafiłem na brulion starych opowiadań. Pomyślałem, że fajnie będzie przeczytać to w wannie z piwem i papierosem.

– Brzmi nieźle, ale lepiej wybierz jedno albo drugie – powiedziała.

– Nie rozumiem...

– No piwo albo papieros.

– Ale dlaczego mam wybierać? Chcę mieć odrobinę wypasu. – Mikołaj wszedł do łazienki i zakręcił wodę. Zrobił to dosłownie w ostatnim momencie, bo właśnie zaczynała się wylewać z wanny.

– Z czegoś jednak musisz zrezygnować – powiedziała tajemniczo Marta. – W przeciwnym razie zabraknie ci ręki do trzymania brulionu.

– Uwielbiam twoje poczucie humoru, wiesz o tym?

– Wiem, powtarzasz mi to codziennie. Więc musisz zrozumieć, że jestem zdeprawowana twoimi komplementami. Dla odmiany chcę coś seksownego.

– Marto – zaczął poważnie Mikołaj – jesteś najbardziej seksowną kobietą na Ziemi. Masz najpiękniejsze nogi, usta i oczy.

– A piersi?

– Twoje cycki są boskie.

– Ej, ty! Nie mów tak o nich. Jakoś marnie je nazywasz, tak bez uczucia, a ja tu tęsknię.

– Ale, Niuniuś, bo mi tu woda stygnie.

– A co ty, z żoną nie możesz porozmawiać, bo się boisz, że ci woda z wanny wyparuje? – Marta wypaliła już lekko rozgniewana.

– Nie o to chodzi, zadzwonię za godzinkę.

– To wskakuj do tej wanny, tylko zadzwoń jakoś w miarę szybko, bo chcę iść spać.

Mikołaj wyłączył telefon i po chwili zanurzył się w przyjemnej, ciepłej wodzie. Marta tymczasem wyszła z kampera i zapaliła papierosa. Też ogarnął ją nastrój do przemyśleń.





## ROZDZIAŁ 39

*Bywają położenia, w których wszystko jest goryczą.*

Honoré de Balzac, *Ojciec Goriot*

### **Gorzkie przemyślenia**

*Kamper, gdzieś w Polsce*

Księżyc w pełni świecił bardzo jasno i jego białe światło odbijało się od śniegu. Marta szczerzej otuliła się kurtką i wyciągnęła papierosa.

*Idiota, woda mu stygnie. Wodę to on ma we łbie.* – Zachichotała do swoich myśli. *Dobrze, że sama potrafię się rozśmieszyć. My, kobiety, niestety musimy być samowystarczalne. Najmądrzejsze są pszczoły, one się ze swoimi facetami nie patyczkują. Po akcji prokreacyjnej na zimę wystawiają trutnie z ula.*

Marta z lubością zaciągnęła się dymem. Do pełni szczęścia brakowało jej jeszcze kieliszka wytrawnego czerwonego wina. Niestety w wiejskim sklepiku było jedynie wino *à la patik*. *You can't always get what you want* – przemknęło jej przez myśl. Chwilę stała i patrzyła na las, pozwalając myślom płynąć swobodnie. Lubiła takie chwile tylko dla siebie. Nigdy nie wiedziała, dokąd zaprowadzi ją ten nurt. Myśli pojawiały się same.

Już dawno ukuła teorię, że dosłownie wszystko można podzielić na dwie kategorie. Dla przykładu na tych, którzy boją się pajaków, i tych, którzy hodują je dla przyjemności. Te grupy w klasyfikacji Marty dzieliły się dalej i tworzyły przeróżne konfiguracje. Zabawa polegała na wynajdywaniu wciąż nowych podziałów.

Marta pogrążając się dalej w rozmyśleniach, doszła do wniosku, że Mikołaj należy do grupy facetów, którzy na siłę zamykają samoopadającą klapę w sedesie. Kiedy w końcu kłapa się psuła i spadała z trzaskiem, była to ewidentna oznaka, że nareszcie została naprawiona. Trzask spadającej klapy tak miły dla męskiego ucha z tej kategorii facetów był jak najbardziej prawidłowy. To swoiste zasklepienie i brak finezji promieniowały również

na inne aspekty życia i nie pozostawały bynajmniej zamknięte za drzwiami łazienki.

Marta oczywiście mogła pocieszyć się tym, że wszyscy faceci tacy są i w zasadzie żaden mężczyzna nigdy nie jest w stanie w pełni zaspokoić pragnień kobiety. Wiedziała jednak, że takie myślenie to jedno wielkie kłamstwo.

Był jeden facet, który wyłamywał się z tego schematu, i ona go знаła. Miał na imię Alex i łączył w sobie wszystkie idealne zdaniem Marty cechy. Był energiczny, zabawny, czuły, szarmancki, męski, ciepły i nigdy nie trząskał klapą w toalecie. Po prostu nie miał takich problemów, to było naprawdę boskie. Z Alexem nie trzeba było obniżać poprzeczki. On miał w sobie subtelność, a jak się już ma takie coś, to zawsze na całego i w każdym szczególe.

Mikołaj oczywiście miał swój urok, ale czasem najzwyczajniej w świecie brakowało mu inicjatywy. A zresztą czego mu nie brakowało? Z upływem czasu lista powiększała się o nowe punkty. Czasami Marta odnosiła wrażenie, że każdy kolejny rok zbliża ich do nieuchronnego rozstania. W ich związku poprzeczka już dawno spadła na ziemię, a nieświadomy niczego Mikołaj przekraczał ją niczym zwykły patyk. On nawet nie zdawał sobie sprawy z istnienia poprzeczki, i to było naprawdę smutne. Taki naturalizm w czystej formie. Jakiego mnie, Panie Boże, stworzyłeś, takiego mnie masz.

Najgorszy był jednak ten brak inicjatywy. Gdyby pewnego dnia przy śniadaniu Marta stwierdziła, że lecą na Marsa, to Mikołaj trochę by pomarudził, że za daleko i w ogóle, a potem po prostu by się spakował. Czasami Marta miała wrażenie, że jest jednym z jej dzieci, wyrosniętym i dowcipnym, ale ciągle tylko dzieckiem, a nie partnerem, na którym można się oprzeć. Może nie bez znaczenia był tu fakt, że byli z Mikołajem równoletkami. Oboje niedawno skończyli czterdzieści lat.

Dodatkowo gdy Mikołaj mówił komplementy, to zaraz obracał je w żart, jakby się tego wstydził, jakby chciał namiętność ukryć za parawanem śmiechu. Przez to nie było w tym ani krzty magii. „Marto, muszę ci powiedzieć, że jesteś najpiękniejszą kobietą na ziemi”. I na końcu ten głupi śmiech rodem z podstawówki. Alex to co innego. Po pierwsze był starszy od Mikołaja, po drugie wyższy. Jego mocne, nabite ciało było pełne energii. Był jak rzepka, ogorzały od słońca, uwielbiający sport – chodzenie po górach, pływanie, żeglarstwo, narty. Właściwie nie było dyscypliny, której Alex by nie próbował.

Do tego zawsze chodził w marynarce. Wyglądał elegancko, pachniał dobrą wodą i intrygował dwudniowym zarostem. Marcie na samą myśl o nim miękły nogi, a serce wpadało w przyjemny przyspieszony rytm. I ten niski głos, gdy szeptał jej coś do ucha, a stale coś szeptał. Do tej pory pamiętała wszystkie komplementy, które jej powiedział. Wierzyła w nie, były dla niej niczym drogowskazy. Naprowadzał ją nimi, dzięki niemu odszukała w sobie taką kobietę, jaką zawsze chciała być.

Alex zawsze miał coś do powiedzenia, i to coś ekscytującego. Jego poglądy zawsze były inne niż poglądy większości ludzi. Rozmowy z nim balansowały na pograniczu irytacji i ekstazy. Każda dyskusja była jak podróż rwącą górską rzeką. Marta nie potrafiła go ciągle poprawiać ani strofować, nie czuła się na siłach. To raczej on mógł poprawiać ją.

Mikołaj to zupełnie inna historia. Budził w niej dziewczynkę. To był marzyciel. Miał talent, jego opowiadania miały klimat, ale był potwornie leniwy, mimo że Marta dawała mu przestrzeń do pisania. Ten czas, który mógł na to przeznaczyć, mitrężył na zabawy z Markiem spychaczem na balkonie. To było słodkie, ale jednocześnie irytujące – Mikołaj nie był mężczyzną, który coś popchnie do przodu, coś zrobi. Brakowało mu ambicji. Był jak drzewo, które rośnie sobie powoli i wcale nie ma potrzeby, by być najwyższe w całym lesie. Po prostu trwa, ciesząc się słońcem i tym, że jakiś zajac posiedzi w jego cieniu. Alex natomiast był jak żywiol, nie można go było łatwo zasufladkować. Mikołaj bez oporów sam wciskał się do najmniejszej szufladki i jeszcze osobiście ją zasuwiał, by nie robić kłopotu.

Marta zapaliła kolejnego papierosa. Zawsze chciała wszystko ulepszyć, a efekt był taki, że wszystko jeszcze bardziej się plątało. Czasami miała wrażenie, że stoi otoczona zwojem lin.

Kiedyś zastanawiała się, czy nie zostawić Mikołaja. Ludzie wiążą się ze sobą, a przecież są dla siebie zupełnie obcy. Tę smutną prawdę uświadamiają sobie dopiero, kiedy opada fala zauroczenia i hormony nie działają już tak mocno. Marta nigdy nie powiedziała Mikołajowi o swoich sekretnych myślach. Ale w pewnym momencie była już zdecydowana go porzucić. Czasami miała wrażenie, że on jest tratwą, która dryfuje bezwładnie, a życie z nim zmierza donikąd, rozpuszcza się w codziennych dniach i przemija niepostrzeżenie.

Gdy jednak urodził się Staś, jej wątpliwości zeszyły na dalszy plan. Pojawienie się w domu malucha, który często płakał i budził się w nocy,

ponownie zbliżyło ich do siebie. Mogło się wydawać, że wszystkie doły między nimi zostały zasypane.

Rok przed poznaniem Mikołaja Alex zostawił ją bez słowa. Miał pojechać do rodzinnego miasta w Kanadzie, by tylko załatwić jakieś sprawy, ale nigdy już nie wrócił i nie zadzwonił. Marta na początku była wściekła za to milczenie. Potem postanowiła się z nim skontaktować. Walczyła ze sobą kilka dni, aż w końcu pewnej niedzieli chwyciła słuchawkę i zadzwoniła. Odebrał ojciec Alexa, który bardzo oschle poinformował ją, że syn jest zajęty i nie może rozmawiać.

– Proszę nie zawracać sobie nim głowy, on przygotowuje się do ślubu – powiedział szorstko.

Marta dokładnie zapamiętała te słowa. W pierwszej chwili myślała, że umrze, ale to nie nastąpiło. Zazwyczaj ludziom tylko się wydaje, że są słabi. W rzeczywistości potrafią znieść bardzo wiele.

Nigdy nie dowiedziała się, z jakiego powodu Alex z nią zerwał dwadzieścia lat temu. Zawsze czuła, że coś zostało jej zabrane albo że znajomość z nim była tylko snem, bo przecież w normalnym życiu nie zdarzają się takie miłości, żeby ktoś tak bardzo pasował do kogoś innego.

Kiedy Marta poznała Mikołaja w barku u geografów, wydał się jej zabawny i radosny. Rozmawiała z nim jak ze starym znajomym. Poczwała, że to jest strona, w którą musi podążyć, aby wydobyć się ze swojego smutku po Aleksie. Na drugim spotkaniu Mikołaj wydał się jej jeszcze miłszy. *Taki człowiek jak on nikogo nie może skrzywdzić* – myślała wtedy. Szybko zaczęli pomieszkiwać ze sobą u niego. Pewnego dnia robiąc porządki, Marta natrafiła na czerwony biustonosz w sporym rozmiarze. Sama miała głęboko skrywany kompleks małego biustu. W łazience przymierzyła stanik swojej rywalki. *Mikołaj, nie znałam cię od tej strony, nie sądziłam, że miałeś takie dziewczyny* – pomyślała wtedy z podziwem. Mikołaj jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki bardzo wiele zyskał w jej oczach. Nie był już tylko miłym, zabawnym kołem ratunkowym, ale facetem, który spośród innych wybrał właśnie ją. A odnaleziona bielizna potwierdzała, że miał jakieś partnerki, i to w dodatku atrakcyjne, co ma w oczach kobiet wielką wartość. Kobiety lgną do mężczyzn, którzy mają powodzenie, jakby instynktownie wyczuwały, że jeżeli on podoba się innym, to coś w nim jednak musi być. Brzytwa pływająca po wodzie nigdy nie była wymarzoną deską ratunkową dla Marty. Teraz nagle Mikołaj

stał się wręcz łódką, do której można było bezpiecznie wsiąść i popłynąć daleko w dal ku nowej, lepszej przyszłości.

Wyrzuciła peta daleko w śnieg, żeby dzieci nie odkryły, że paliła. Umyła dokładnie zęby mocną miętową pastą, wyłączyła komórkę i położyła się spać. Nie chciała już rozmawiać z Mikołajem i słuchać jego wątpliwych komplementów. Nie była w nastroju, a będąc już długo w małżeństwie, wiedziała, że lepiej to przespać, niż powiedzieć o jedno słowo za dużo. W końcu przecież to, co niewypowiedziane, nie istnieje. Z myśli nikt nikogo nie może rozliczyć, jedynie kiedyś Bóg, ale i tu teorie są bardzo różne.

Marta zagrzebała się w kołdrę i po chwili już spała. Tej nocy przyśnił się jej dziwny, zagadkowy sen.

### **Sen Marty**

*Kamper, gdzieś w Polsce*

Marta siedziała w kawiarni i przez dużą witrynę spoglądała na port i łódki kotłujące się leniwie na falach. Białe mewy krążyły nad rybackimi sieciami, a słońce świeciło blado. Była już jesień.

Przed Martą stał papierowy kubek z kawą. Chciała go wziąć na wynos, ale postanowiła usiąść w pustej kawiarni i przemyśleć wszystko jeszcze raz. Za chwilę miała spotkać się w starej winiarni z Alexem i poważnie z nim porozmawiać. W głowie czuła totalny zamęt, jej myśli były oderwanymi od siebie zdaniem.

Wstała i wyszła. Dało się wyczuć, że to był ostatni ciepły dzień tego roku. Ptaki krążyły niespokojnie po niebie. Spojrzała w górę – słońce też ostatni raz świeciło tak jasno. Każdego roku zawsze przychodzi taki dzień, kiedy ostatni raz jest ciepło, a słońce jaśnieje niezwykłym blaskiem. Potem pogoda już się psuje i zmienia się w jesienną szarugę, a później zimę. Dlatego tak ważne jest, żeby wyczuć ten dzień i go celebrować, bo potem zostaje już tylko czekanie na wiosnę.

Marta ruszyła wąskim chodnikiem. Spędzała z Alexem weekend w niewielkiej nadmorskiej miejscowości. Wszystko było tu jakby zminiaturyzowane. Mniejsze domy, niższe ogrodzenia i maleńkie ogródki. Ulice były wąskie, a sklepy niewielkie. Nie minął jej żaden przechodzień. Takie nadmorskie miejscowości zawsze jesienią otacza aura porzucenia.

W końcu stanęła przed winiarnią, która znajdowała się w starym budynku z cegły. Kiedyś trzymano tu rybackie łodzie, o czym świadczyły łukowate bramy zamienione teraz w przeszklone witryny. Zabrzęczał dzwonek umieszczony u góry drzwi. Również i ten lokal był pusty. Za szerokim kontuarem barman leniwie przecierał kieliszki. Z głośników sączyła się senna muzyka. Norah Jones śpiewała *Come away with me*. Na parapecie jednego z wielkich okien usiadła mewa. Zastukała dziobem w szybę jakby dla żartu i nagle odleciała.

– Halo! Tu jestem! – Z antresoli dał się nagle słyszeć głos Alexa. Mężczyzna wychylił się przez balustradę i pokiwał do Marty. – Tam są schody. – Wskazał na koniec sali.

Gdy Marta weszła na antresolę, z głośników popłynęła trzecia zwrotka piosenki:

*I want to walk with you  
On a cloudy day,  
In fields where the yellow grass grows  
knee-high,  
So won't you try to come.*

To była magia, Marta dobrze знаła każde słowo. To była ich piosenka. Każda para zwykle posiada swoją własną, ta należała do Marty i Alexa.

– Miło cię widzieć. – Alex musnął jej policzek swoim zarostem i pomógł zdjąć płaszcz. Głos miał ciepły i chropowaty.

Marta przymknęła oczy. *Ach, jak wspaniale słucha się takiego głosu* – pomyślała. Jego dźwięk przywodził jej na myśl zimowy wieczór przy rozgrzanym piecyku.

– Nasza piosenka. – Wskazała na bar.

*Come away with me and we'll kiss  
On a mountaintop,  
Come away with me  
And I'll never stop loving you.*

– Poprosiłem barmana, żeby puścił – wyjaśnił Alex. – Czuję, że nadchodzisz.

Marta spuściła wzrok i poczuła ścisk w sercu. *Czemu robisz takie niezwykle rzeczy – pomyślała. Dlaczego nigdy nie myślisz o tym, jak będę żyć kiedy odejdziesz? Jestem pewna, że kiedyś życie wykopie między nami głęboką przepaść i już nigdy się nie odnajdziemy.*

– O czym myślisz, kotku? – zapytał nagle Alex.

Marta w odpowiedzi wzruszyła ramionami. Wtedy nachylił się do jej ucha i odgarnął jej włosy, muskając przy tym policzek.

– Jesteś największą miłością mojego życia – szepnął. – Tak słodko spałaś, nie chciałem cię budzić, kiedy wychodziłem rano biegać. Zawsze mam wyrzuty sumienia, gdy wychodzę, a ty jeszcze śpisz.

– Jak twoje bieganie? – Marta podniosła wzrok.

– Bardzo dobrze, dotarłem do sąsiedniego miasteczka i wyobraź sobie, że przytrafiła mi się przygoda.

– Jaka? – zaciekawiała się Marta. Alex był człowiekiem, u którego stale się coś działo. Podczas gdy inni zdychali z nudów, on jakimś przedziwnym trafem wiódł życie pełne niezwykle zdarzeń.

– Trafiłem na targ ostryg, zjadłem kilka. Przyszło do płacenia i okazało się, że zapomniałem portfela. Musiałem przysiąc na honor, że natychmiast po porannej kawie wrócę tam z tobą i zapłacę. Mam jeszcze w planach kupić paczkę muli. Zrobię dzisiaj kolację.

– A mnie się dzisiaj śniło chyba tysiąc snów i wyobraź sobie, że żadnego nie pamiętam – powiedziała.

– Powinnaś mieć łapacz snów.

– Co takiego? – zdziwiła się

– Taką obręcz z piórkami i koralikami – wyjaśnił całkiem poważnie. – Wieszasz ją nad łóżkiem i jak się budzisz, to pamiętasz wszystkie sny. Już mam pomysł na prezent dla ciebie. – Uśmiechnął się szeroko. – Widzę, że już jesteś po kawie. – Wskazał na papierowy kubek.

– Tak, ale z chęcią wypiję następną. Jedna kawa dla mnie to o wiele za mało.

– Musisz zacząć ze mną biegać. Wtedy może się okaże, że w ogóle nie potrzebujesz kawy.

– Już ty lepiej biegaj – poklepała go po rękę – a ja po prostu będę pięknie wyglądać i wypijać te swoje dwie kawy.

– Taka mi się podobasz najbardziej. Z lekko zadartym nosem i ciętą ripostą.



Marta w odpowiedzi poprawiła włosy i uśmiechnęła się przeciągle. Uwielbiała te komplementy rzucane od niechcenia.

– Wiesz, chyba zejść do tego barmana, bo jest jakoś wyjątkowo ospały. Pewnie Norah Jones tak na niego wpłynęła. – Alex wstał i szybko zbiegł z antresoli. – Rozumiem, że jak zwykle zamawiasz latte? – zawołał z dołu.

– Tak.

Po wypiciu kawy ruszyli do samochodu. Szli teraz wąską uliczką obsadzoną drzewami z koronami w kształcie kuli.

– Ale zrobiło się ciepło – stwierdził Alex, zdejmując marynarkę.

Nagle pojawiła się przed nimi kobieta w białej sukience. Dostownie wyrosła jak spod ziemi. Chyba wyszła zza rogu wąskiej uliczki. Mijając ich, uśmiechnęła się, ale był to uśmiech adresowany tylko do Alexa. Ten uśmiech równych zębów i pełnych ust nie był przeznaczony dla Marty.

W całej jej postaci było coś zjawiskowego. Na głowie miała kapelusz z szerokim rondem. Była jakby żywcem wycięta z jakiegoś włoskiego katalogu mody z lat sześćdziesiątych, kiedy kobiety były jeszcze kobietami, a nie smętnymi wieszakami bez figury i kształtu. Alex spojrzał na nią, gdy ich mijają, a właściwie przeptynęła obok. Bo tego typu kobiety nie chodzą, tylko płyną w powietrzu. W tym momencie Marta jakby na moment zniknęła. Wąska uliczka należała tylko do nieznajomej i Alexa.

Gdy ta niezwykła postać minęła ich, przez dłuższy czas w powietrzu unosił się intensywny zapach jej perfum.

– Czyżbyśmy mieli wiosnę, a nie jesień? Widziałaś tę babkę? Miała na sobie sukienkę – zauważył od niechcenia Alex.

Marta przytaknęła. *Właśnie z taką kobietą mnie zdradzi. Dla takiej kobiety mnie zostawi* – pomyślała. Całe wrażenie magii z winiarni zniknęło tak nagle, jak się pojawiło. Szli dalej. Alex żartował i opowiadał jakieś historyjki, był naprawdę zabawny. Gdy podeszli do czerwonego kabrioletu, Fiata Barchetty ze złożonym dachem, Alex otworzył przed Martą drzwi. W tym momencie był najlepszą wersją samego siebie. Następnie jednym susem wskoczył na swoje siedzenie.

– Właśnie dlatego kocham ten samochód. – Uśmiechnął się.

Marta przytaknęła, ale czuła się marnie. Spojrzała w lusterko i spostrzegła, że jej twarz jest szara. Zerknęła ukradkiem na swoje dłonie. *W życiu nie widziałam brzydszych dłoni* – pomyślała. Spojrzała na swoje nogi, które

zdały się jej jeszcze gorsze. Odniosła wrażenie, jakby w oczach miała zamontowany skaner, który nieomylnie wychwytyuje wszystkie niedoskonałości ciała.

Alex uruchomił silnik i ruszyli przez miasteczko. Jechali drogą wzdłuż morza, a lista mankamentów ciała Marty zawierała już kilkanaście punktów. Po jej zamknięciu Marta zaczęła tworzyć następną, dotyczącą wad swojego charakteru. Ta również powstała w zawrotnym tempie.

Tymczasem Alex prowadził i się uśmiechał; jak zwykle po prostu był fajny, był w porządku. Jego zachowanie było niewymuszone i prawdziwe, to Marta była sztuczna. Tak to właśnie odczuwała. Pogrążona w myślach nawet nie zauważyła, kiedy dotarli do sąsiedniego miasteczka.

– Poczekaj chwilę – powiedział Alex, parkując samochód przy porcie. – Muszę zapłacić za zjedzone ostrygi i kupić mule na kolację. Poznasz mój sekretny przepis.

Wysiadł z samochodu. Gdy zniknął w sklepie z owocami morza, Marta również wysiadła. Nie zamknęła drzwi od wozu, tylko ruszyła drogą prosto przed siebie. Szybko opuściła miasteczko i szła wciąż dalej i dalej. Słońce świeciło spektakularnie. Naprawdę dawało popis w ten ostatni ciepły dzień. Marta zdjęła płaszcz i rzuciła go na ziemię. Po prawej stronie tuż obok drogi rozciągała się wąska dzika plaża. Łagodne fale obmywały piasek. Wszystko było spokojne i piękne, tylko we wnętrzu Marty szalała burza.

Droga była zupełnie pusta. Alex z pewnością już wrócił do samochodu. Gdyby chciał ją dogonić, zrobiłby to bez trudu. Ale nie usłyszała żadnego wozu. Po prostu pozwolił jej odejść. To znaczy ona zostawiła jego, a on nie ruszył za nią. Więc może tak miało być – rozdzieleni przez chwilową, przypadkową emocję.

*Już nigdy się nie spotkamy. Musiało się to stać w ostatni ciepły dzień tego roku* – pomyślała Marta.

Szła wciąż dalej prosto przed siebie i nawet nie wiedziała, czy znajduje się przed nią jakieś miasto.

*Dlaczego pozwoliłeś mi odejść, nie zatrzymałeś mnie?* – Przymknęła na moment powieki, a gdy z powrotem je otworzyła, po policzkach płynęły jej łzy.

Bezwiednie zaczęła śpiewać cicho piosenkę *Je voudrais la connaître* Patricii Kaas. Czowała, że tylko to może ugasić pożar, który rozszalał się w jej sercu. Ogień

spopielał wszystkie uczucia, nawet te, które zdawały się być niezniszczalne. W ustach czuła gorzki smak łez i bólu. Gdy umiera coś, co wydawało się niezwykle i nieśmiertelne, nie można się ot tak pozbierać. Po prostu się nie da.

Marta szła coraz wolniej, droga była zupełnie pusta, żaden wóz nie nadjechał i tylko słońce świeciło, dalekie i odległe. Każdy jego drżący promień zdawał się mówić: „Tylko dzięki mnie żyjecie, ale nie łudźcie się, kiedyś spalę was na popiół. Jestem waszym słońcem śmierci”. Dla Marty nie miało to jednak znaczenia, chciała umrzeć.

Nagle ocknęła się. Z głębokim westchnieniem usiadła na łóżku. Rozejrzała się zaskoczona, przez chwilę nie wiedząc, gdzie się znajduje. Gdy przetarła oczy, zorientowała się, że jest w kamperze. Ręce jej drżały, czuła, że gdzieś bardzo daleko ktoś bardzo intensywnie myśli o niej. Czuła to wyraźnie, była tego pewna. Serce biło jej mocno jak nigdy dotąd.

*Alex, czemu myślisz o mnie, czemu to robisz?* – szepnęła do siebie i nagle poczuła się okrutnie smutna i samotna. W oczach zakręciły się jej łzy. *Czemu życie jest takie podłe?*

Położyła głowę na poduszce i pozwoliła, by łzy same płynęły.



## ROZDZIAŁ 40

*Krążą o mnie plotki wyssane z wielkiego palca czyjejś brudnej nogi.*

Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Listy do żony*

### **Żadna praca nie hańbi, ale każda zbydlęca**

*Polska, Warszawa*

Mikołaj wziął zimne piwo, zapalił papierosa, przymknął oczy i oparł głowę o rant wanny. Kąpiel była idealna, ani za zimna, ani za ciepła. *Ale mi kurewsko dobrze* – pomyślał. Czasami tylko przekleństwo może zobrazować jakiś ekstremalny stan, a jemu w tej chwili było ekstremalnie dobrze. Już dawno nie był tak po prostu sam ze sobą. Na dodatek czekała go jeszcze podróż w czasie dzięki brulionowi, który leżał na brzegu wanny. Po leniwym wypaleniu papierosa, wytarł ręce i zaczął czytać opowiadania. Było ich trzynaście i wszystkie były w klimacie fantastyki. Gdzieniegdzie zdarzały się niedomagania formy i kulawe dialogi, imiona bohaterów były zbyt pretensjonalne, ale w zasadzie opowiadania czytało się dobrze.

– Ja naprawdę jestem niezły – szepnął sam do siebie. – Co by to było, gdybym pracował codziennie po kilka godzin? Może byłbym drugim Sapkowskim, może na podstawie jednej z moich książek zrobiono by kultową grę i mógłbym chodzić do pracy w koszulce z jej grafiką? Nie no, pewnie wtedy już nie pracowałbym w tej durnej szkole.

Nagle poczuł, jakby mu ktoś w bok wsadził szpilę. W jednym momencie pojął, że nie ma absolutnie żadnej kontroli nad swoim życiem i płynnie niesiony nieznanymi prądami.

*Muszę koniecznie podrasować te opowiadania, może uda mi się jakoś je wydać* – pomyślał i znowu zaczął czytać, aż woda w wannie zrobiła się zimna. Musiał zrobić dolewkę, czyli wypuścić połowę wody i dołał gorącej. Wypalił jeszcze kilka papierosów, dopił piwo i mniej więcej po godzinie przeczytał cały brulion. Kiedy wychodził z wanny, nie był już tak entuzjastycznie nastawiony

do swojej prozy. Początkowe zadowolenie ustąpiło wielkiemu zwątpieniu. Może jedno opowiadanie do czegoś się nadawało. Reszta to były chaotyczne opowieści bez ładu i składu, bez myśli przewodniej, bez określonego gatunku. Słownictwo zwykłe, niczym się niewyróżniające. Nie można się było oszukiwać, to nie było nic zachwycającego. Kilka opowiadań wręcz przewertował, bo nie dało się ich czytać. Rozległe opisy wymyślonych fantastycznych krain wydawały mu się teraz banalne. Nie było w tym tego czegoś, tej iskry. *Może wcale nie potrafię pisać?* – zastanowił się w myślach, wycierając głowę rękami.

Ubrał się w domowy dres, wziął jeszcze jedno piwo z lodówki i zadzwonił do Marty. Chciał podzielić się z nią swoją refleksją. Ona zawsze potrafiła znaleźć na wszystko odpowiedź, jednym celnym zdaniem zmierzała zawsze wprost do sedna problemu. Taka była jej natura. Jednak jak na złość nie odebrała. Może już spała, w końcu był kwadrans po pierwszej. Zadzwonił jeszcze raz, ale telefon nie odpowiadał. Postanowił obejrzeć jeszcze jakiś dokument historyczny. Niektórzy przed snem czytają, inni jedzą, jeszcze inni się wyciszają. Mikołaj nie mógł zasnąć, jeśli nie obejrzał jakiegoś filmu. Może tak było, bo jako dziecko zawsze chodził spać po bajce? Może właśnie w ten sposób PRL odcisnął na nim swoje piętno? Trudno było tego dociec, zwyczajnie tak miał i już. Zasnął w połowie dokumentu o tajnych bunkrach Hitlera w Górach Sowich. Przyśniła mu się cała masa snów o szkole, do której przyjęto nowych nauczycieli. Musiał ich poznawać, a każdy miał jakąś niezwykłą tajemnicę. Potem przyśnił mu się Nikodem, który pokazał mu czek na pięćset tysięcy złotych.

– Musisz to wypłacić – wyszeptał konspiracyjnie. – Masz jakiś zaufany bank?

– Mam – odparł Mikołaj. Jedna pani w banku, gdzie zawsze robił przelewy, bardzo go lubiła. Ale nie wiadomo, czy taka zwykła sympatia to nie było za mało.

– To pójdz tam i po prostu wypłać te pieniądze – namawiał Nikodem. – Połowa będzie twoja.

– Ale w czym mam wypłacić, w złotówkach czy w euro?

– Poczekaj, zaraz ci to policzę. – Nikodem wyjął skądś wielki kalkulator i zaczął robić żmudne wyliczenia, używając jakichś funkcji i procentów.

– Wychodzi na to, że w złotówkach. To będzie nawet lepiej, bo nie wzbudzisz żadnych podejrzeń.

– Ale co jest z tym czekiem, dlaczego ty nie możesz wypłacić?

– Oj, Miki, Miki, ja już wypłaciłem pięć takich czeków. – Nikodem wskazał na błyszczącą czarną walizkę leżącą na stole. Nie mogę stale wypłacać takiej forsy. Ty to co innego, dobrze z oczu ci patrzy. Pójdiesz i wypłacisz, wielkie mi rzeczy, nie bądź takim cykorem.

Cały sen był właśnie o tym. Mikołaj się wzbraniał, Nikodem go namawiał. Potem znowu robili jakieś wyliczenia. Wyszło, że jednak bardziej opłaca się wypłacić w euro. To był bardzo męczący sen. Im bardziej Nikodem namawiał brata, tym bardziej ten protestował.

### **Alex przesłuchuje Annę Bouchard**

*Kanada, Quebec City*

Anna Bouchard przyjęła Alexa w swoim gabinecie. Pośrodku stało potężne zdobione biurko z ciemną politurą, a na nim figurka z brązu przedstawiająca Temidę. Pod ścianami znajdowały się regały pełne książek oprawionych w skórę. Na podłodze rozłożona była miękka wykładzina tłumiąca kroki, a w oknach wisały grube zasłony. Wszystko to sprawiało, że w gabinecie panował nastrój ciszy i dyskrecji. Główną ścianę zdobił duży olejny obraz w złotej ramie, który przedstawiał żaglowiec majestatycznie prujący fale. Na ścianie za biurkiem widniały dyplomy Anny potwierdzające jej kwalifikacje, niezliczone kursy i wyróżnienia. W istocie, Anna Bouchard była uznanym prawnikiem. Czuła się pewnie i z władcą miną powitała Alexa, który jak petent usiadł na krześle przed olbrzymim biurkiem. Nie zdjął płaszcza, co może miało oznaczać, że wizyta będzie krótka. Anna odebrała to jednak inaczej. *Coraz większych prostaków przyjmują do policji. Dobrze, że facet przynajmniej ściągnął kapelusz* – pomyślała.

– Czemu zawdzięczam pana wizytę, inspektorze? – spytała chmurnie, poprawiając leżące na biurku akta.

– Pani mecenas, chodzi o Jasmine Reynolds, pani podopieczną. Jest jej pani prawnym opiekunem?

– Tak, zgadza się.

– To niezłe ziółko się pani trafiło. Zabójstwo całej rodziny.

– Niczego jej nie udowodniono, proces był poszlakowy, a Jasmine nie przyznała się do winy – odparła Anna z niezmaconym spokojem.

– Sam nie wiem... – Alex uśmiechnął się krzywo. – Podobno znaleziono ją stojącą z nożem w ręku nad ciałami rodziców.

– Wie pan, to naprawdę niczego nie dowodzi. Codziennie stoję z nożem w ręku w kuchni. Ten fakt nie czyni mnie jednak morderczynią.

*O proszę, już zaczynają się prawnicze gierki* – pomyślał Alex, lekko krzywiąc usta. Nie lubił prawników i nie starał się tego ukryć. Pani mecenas wyglądała na sprytną babę. Przeciwnik nie do ogrania.

– Z tego, co wiem, więźniowie zawsze mają się za niewinnych – zauważył.

– Podczas śledztwa ustalono, że ktoś włamał się do domu, co potwierdzało wersję zdarzeń mojej klientki. Zamek w kuchennych drzwiach był wyłamany. Zresztą to nie ma znaczenia, proces już dawno się odbył. A gwoli wyjaśnienia Jasmine nie siedzi w więzieniu. Chyba słabo zna pan sprawę – powiedziała lodowato Anna. – Jasmine w chwili zatrzymania miała trzynaście lat. Została w procesie poszlakowym skazana na pięć lat zamkniętego szpitala psychiatrycznego. Odbywała tam terapię.

– Czyli rozumiem, że niedługo wychodzi.

– Tak, jej pobyt na oddziale zamkniętym ma się zakończyć dokładnie w sylwestra.

– I co, tak od razu na wolność? – Alex uśmiechnął się drwiąco.

– Panie inspektorze, nie do końca. Jasmine przechodzi na oddział otwarty szpitala i tam będzie przebywać kolejny rok. Chyba nie muszę panu wyjaśniać, że takie mamy prawo. Nawet jeżeli Jasmine byłaby winna i udowodniono by jej zabójstwo, to i tak najwyższym wymiarem kary byłoby dla niej dziesięć lat pobytu w szpitalu psychiatrycznym. W przypadku dzieci pobyt w więzieniu nie wchodzi w grę. Stałoby to w głębokiej sprzeczności z zasadą resocjalizacji. Nie rozumiem więc za bardzo pana oburzenia. Co do Jasmine, to do niczego się nie przyznała, jest więc niewinnym człowiekiem. Rozumiem oczywiście, że część społeczeństwa z miłą chęcią spaliłaby ją na stosie, ale na szczęście mamy prawo, które ją chroni.

– No tak. – Alex pokiwał sceptycznie głową.

– Czy to wszystko? – Anna uniosła brwi. Nie przepadała za policjantami. Zazwyczaj zakładali, że każdy aresztowany jest winny. Wydawało im się, że mają nosa, instynkt i to załatwiało sprawę. Gdy zapadał wyrok nie po ich myśli, czuli,



że ich praca nie ma sensu. „My łapiemy zbirów, wy ich wypuszczacie” – często zdarzało jej się słyszeć takie komentarze po wygranych procesach.

– Czy pani podopieczna była przesłuchiwana na okoliczność śmierci jednego z lekarzy ze szpitala... – Alex zerknął do notatnika – doktora Qusacka?

– Oczywiście, że nie.

– Dlaczego?

– Z tego co pamiętam, to doktor Qusack popełnił samobójstwo, powiesił się w swoim domu. Moja klientka wówczas już była w Polsce.

– A co z pielęgniarem? On powiesił się w szpitalu kilka dni wcześniej na nocnej zmianie. Jakoś dużo tych samobójstw – zauważył Alex.

– Kiedy miało miejsce to smutne zdarzenie, Jasmine przebywała cały weekend ze mną w domku w górach. Nie było jej wówczas na oddziale. To również było samobójstwo, więc nie było potrzeby jej przesłuchiwać.

– Widzę, że każdy, kto spotka się z pani klientką, w niedługim czasie popełnia samobójstwo.

– Nie każdy – zastrzegła – tylko dwie osoby. Moja klientka nie odpowiada w końcu za stan psychiczny innych ludzi, to niedorzeczne.

– A czy wie pani, że w domu doktora Qusacka znaleziono całe stosy seksnagrań z młodymi kobietami, pacjentkami? Niektóre dziewczyny były niepełnoletnie.

– Czy Jasmine jest na jakimś nagraniu?

– Nie...

– Więc sam pan rozumie, że nic o tym nie wiem. – Rozłożyła ręce.

– To prawda, ale nagrania były w strasznym nieładzie. Ktoś czegoś wśród nich szukał. Może było tam coś ważnego, co zostało zabrane? Myśli pani, że to prawdopodobne?

– Nie wiem. – Anna ponownie rozłożyła ręce w geście bezradności. – Musicie szukać. – Uśmiechnęła się lekko. – Póki niczego nie ma, to po prostu niczego nie ma. – Dłonie Anny ułożyły się w kształt piramidy. – Liczą się twarde fakty i dowody, panie inspektorze, a nie mgliste hipotezy rodem z *Sherlocka Holmesa*.

– Czyli mam rozumieć, że pani zdaniem Jasmine nic nie łączyło z doktorem Qusackiem?

– Nie, absolutnie tak nie uważam. Zakładam, że miała z nim kontakty w szpitalu, ponieważ był przełożonym personelu medycznego i jej lekarzem

prowadzącym. Na tym jednak koniec, nic poza tym. Żadne dowody nie wskazują na to, by ich kontakty miały inny charakter.

– A czy nie uważa pani, że Jasmine mogła poprosić kogoś o zabójstwo lekarza?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Sądzę jednak, że była bardziej zaprzętnięta wyjazdem do rodziny na święta niż planowaniem zabójstwa lekarza, który wydał o niej bardzo dobrą opinię psychiatryczną.

– Tak, wiem o tym – mruknął Alex.

– Dodam tylko, że doktor Qusack przed śmiercią zdążył przejść na emeryturę. Z tego co wiem, prowadził również praktykę prywatną. Z pewnością znał wiele osób. Jasmine była kroplą w morzu jego pacjentów.

Zapadła chwila ciszy, podczas której Anna przyglądała się z lekkim pobłażaniem inspektorowi.

– To może wróćmy do wyjazdu na święta. – Alex przerwał niezręczne milczenie. – Przecież odbywanie kary jeszcze się nie skończyło. Czy to nie dziwne, że pozwolono jej wyjechać za granicę, do Europy?

– No cóż, Jasmine właśnie tam ma rodzinę. Złożyła odpowiednią prośbę, która została rozpatrzona pozytywnie. Zresztą tak jak wspominałam, lekarz prowadzący wydał jej bardzo dobrą opinię. Ten wyjazd był wielce wskazany dla celów terapeutycznych.

– Qusack, ten który się powiesił?

– Tak, doktor Philip Qusack – uzupełniła z przekąsem Anna. – Czy to wszystko? Nie ukrywam, że mój czas jest bardzo cenny. Zaczynam odnosić wrażenie, że nasze spotkanie zmierza w kierunku narady dochodzeniowej. Jeżeli moja klientka jest o coś oskarżona, proszę o jasne sformułowanie zarzutów.

– Rozumiem i jestem bardzo wdzięczny, że zechciała się pani ze mną spotkać...

– W takim razie czy coś jeszcze?

– Tak, jest jeszcze sprawa przelewu.

– Jakiego przelewu? – Anna zmarszczyła brwi.

Alex położył na biurku kopię potwierdzenia przelewu opiewającego na kwotę dwudziestu milionów polskich złotych, które wpłynęły ze sprzedaży bitcoinów na polskie konto Jasmine.

– Nie rozumiem... – Anna sięgnęła po dokument, by uważnie mu się przyjrzeć.

– Niech pani nie zmyli inna waluta. To bardzo duża kwota, w przybliżeniu sześć milionów dolarów kanadyjskich. Taka suma pieniędzy wpłynęła na konto pani klientki kilka dni temu.

– Naprawdę nie rozumiem – odparła zmieszana Anna. Cała dotychczasowa pewność siebie jakby z niej wyparowała.

– Tak się składa, że ja też zupełnie się w tym pogubiłem – ciągnął Alex z jadowitym uśmieszkiem. – Dlatego zdecydowałem się na to spotkanie. W końcu jest pani prawnym opiekunem Jasmine. Zarządza pani jej majątkiem i wszelkimi sprawami. Czy ona posiadała taką sumę pieniędzy tu w Kanadzie?

– Nic mi o tym nie wiadomo – przyznała zaskoczona Anna. Oglądała na wszystkie strony kopię przelewu, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. – Może to jakaś pomyłka – powiedziała powoli.

– Proszę mnie nie rozśmieszać – parsknął Alex. – Tu nie ma mowy o żadnej pomyłce. Jak pani widzi, tym razem to nie są żadne hipotezy, tylko twarde fakty.

– Wiem, że Jasmine posiada tylko dom i kilka tysięcy dolarów oszczędności po rodzicach. Mam podgląd do wszystkich jej kont. O takich kwotach nie było mowy.

– Więc skąd się wzięły? Proszę mi to wyjaśnić. Wyjechała do Europy, założyła tam konto i nagle w magiczny sposób pojawił się tam ten przelew.

– Nie wiem. – Anna wzruszyła ramionami. – Naprawdę nie mam pojęcia. Jestem bardzo zaskoczona.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza.

– Przepraszam, czy może mi pan przypomnieć, z jakiego jest wydziału?

– Z takiego. – Alex sięgnął do kieszeni płaszcza i położył na biurku odznakę. Widniał na niej napis „Canadian Security Intelligence Service” i znak pieczęci przedstawiającej liść klonu wpisany w błękitne tło ze złotą koroną u góry.

Annie załomotało serce. To była poważna sprawa, skoro zainteresował się nią sam wywiad. *Boże, w co ja się wplątałam?* – pomyślała. Zupełnie nie wiedziała, czemu wzięła tego agenta za policjanta. Odniosła wrażenie, że przedstawił się jako inspektor. Zresztą nie miało to teraz żadnego znaczenia.

– Pani podopieczna jest oskarżona o pranie brudnych pieniędzy i finansowanie terroryzmu – powiedział lodowatym tonem Alex, wstając.

Anna również podniosła się z krzesła wyraźnie zdenerwowana. *Co, u licha, się stało?* Myśli huczały jej w głowie.

– Byłoby dobrze, gdyby zechciała pani sobie coś przypomnieć albo przynajmniej naprowadzić mnie na jakiś trop. Sądzę, że tak będzie lepiej dla nas wszystkich. Ta sprawa musi zostać wyjaśniona. Na pani jako prawnym opiekunie ciąży duża odpowiedzialność. Ta dziewczyna była pod pani opieką i zgodnie z naszym prawem to pani zarządza jej majątkiem. Oczywiście może pani nadal uważać, że Jasmine jest aniołem, ale gołym okiem widać, że coś tu nie gra. Jeśli nie chce pani przekreślić swojej kariery, to proszę dać mi jakieś wskazówki, najlepiej dużo wskazówek.

Anna otworzyła usta, ale zupełnie nie wiedziała, co ma powiedzieć. Była blada jak śnieg leżący za oknem na wielkim trawniku.

– Proszę zadzwonić do wtorku z jakimiś informacjami. – Alex podał jej wizytówkę.

– Dobrze – jęknęła – ale ja naprawdę nic nie wiem. W niczym nie będę mogła pomóc. – Mówiła szybko, była przerażona.

– Oczekuję od pani pełnej współpracy. – Alex skierował się do drzwi. – Zapomniałbym... – Przystanął nagle.

– Tak, słucham? – spytała Anna, nerwowo dotykając czoła.

– Proszę nie planować świąt, możliwe, że będzie musiała pani udać się ze mną w podróż.

– W jaką podróż?

– Do Polski, dokąd poleciała pani podopieczna. Tę sprawę trzeba wyjaśnić.

Alex wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi gabinetu. Uwielbiał ucierać nosa prawnikom. To, co wykonał przed chwilą, było majstersztykiem.

*Ona z pewnością nic nie wie – pomyślał, zjeżdżając windą na dół. Ale zamiast grzać się w święta przy kominku, poleci ze mną do Europy. Pozna trochę policyjnej roboty. Może to otworzy jej oczy i przestanie tak ochoczo bronić przestępców. W końcu nigdy nie jest za późno na naukę.*

Na dworze zaczął z wolna prószyć śnieg. Alex ruszył do wozu.

### **Niezwykłe spotkanie**

*Polska, Warszawa*

O siódmej rano Mikołaja obudził natarczywie dzwoniący telefon. Mężczyzna na lekkim kacu po wieczornej degustacji piwa nie czuł się na siłach,

by odebrać. Obrócił się na drugi bok i zasnął ponownie.

Kiedy wstał o jedenastej, telefon wciąż dzwonił, ale Mikołaj ponownie go zignorował. *W końcu jestem na urlopie* – pomyślał, robiąc mocną kawę. Po śniadaniu złożonym z czarnej kawy i papierosa solidnie pracował nad loggią. Z upływem kolejnych godzin przywyknął do ciszy i poczuł się jak w niebie. Zadziwiające jest to, jak szybko ludzie przyzwyczajają się do pewnych spraw. Dawniej, jako student, nie wyobrażał sobie, że mógłby mieć dwójkę dzieci i żyć codziennie w ciągłym hałasie. Bo dzieci zawsze generują hałas, chyba że są chore, a to z kolei przynosi zmartwienie i w sumie nie wiadomo, co jest lepsze.

W okolicach osiemnastej terakota pokrywała prawie całą powierzchnię balkonu. Niestety okazało się, że zabrakło kleju dosłownie na dwie ostatnie płytki. Złośliwość przedmiotów martwych w czystej postaci.

*Mogłem kupić większe opakowanie* – łajał się w myślach Mikołaj. *Wtedy wystarczyłoby bez problemu. Ale oczywiście chciałem przyszczędzić. Teraz będę musiał kupić kolejne małe wiaderko, a zużyję tylko odrobinę. Chytry dwa razy traci.*

Zniesmaczony swoją indolencją Mikołaj ruszył do łazienki, by umyć ręce. Oczyszczenie ich nie było prostą sprawą, klej dostał się pod paznokcie. Jednym słowem Mikołaj wyglądał jak prawdziwy robociarz. Przebrał się szybko, spryskał dezodorantem i ruszył do sklepu.

*Mam nadzieję, że nie spotkam nikogo znajomego* – pomyślał, sadowiąc się w Klekotku.

Na szczęście śnieg nie padał tego dnia i ominęło go odśnieżanie wozu. Jechał powoli przez miasto, bo Multipla miała łyse opony, zresztą wszystko w tym samochodzie ledwo działało. Ogrzewanie uruchomiło się dopiero, gdy był w połowie drogi. Wcześniej leciało tylko zimne powietrze.

– Klekotku, ty już dawno powinieneś być na złomie – mruknął Mikołaj, parkując w centrum handlowym Arkadia. – Ale przynajmniej masz obłędny kolor.

Zamknął samochód i ruszył do sklepu. Multipla rzeczywiście bardzo wyróżniała się spośród innych aut. Pozostałe samochody były do siebie zbliżone stylistyką i kolorami, zupełnie jakby wyszły z tej samej fabryki. Dominowały czerń, biel i różne odcienie koloru srebrnego. Multipla na tym tle wyglądała niczym szalona artystka.

Przy wejściu do Leroy Merlin w okolicach kas, obok reklamy z hasłem „Bądź bohaterem w swoim domu”, ustawiono automaty z napojami i przekąskami.

Mikołaj przed zakupami postanowił wypić jeszcze kawę. Wybrał czarną z cukrem.

Maszyna posłusznie wysunęła kubek i z sykiem zaczęła przygotowywać napój. Mikołaj czekając, rozglądał się po sklepie, w którym panował spory ruch. *Czy ci ludzie powariowali, czy wszyscy remontują domy przed świętami?* – zachodził w głowę, patrząc na tłum kupujących.

Odebrał kubek z kawą i nagle stanął jak wryty. Zobaczył ją z daleka. Ona również go spostrzegła i zmierzała teraz w jego stronę.

*A to ci historia* – pomyślał Mikołaj. Serce waliło mu jak młotem. Z naprzeciwka nadchodziła bowiem Maja, jego dawna, studencka miłość.

### **Anna rozmawia z córką**

*Kanada, Quebec City*

Po wizycie agenta Alexa roztrzęsiona Anna wracała do domu. Przez całą drogę zastanawiała się nad rozmową z Emily. Wspominała, jak córka opowiadała o dziwnym zachowaniu Jasmine podczas spaceru w lesie. Przypomniała sobie, że Emily miała jej powiedzieć coś jeszcze, ale w końcu tego nie zrobiła. Gdy Anna weszła do domu, natychmiast skierowała się do pokoju córki i poprosiła ją na rozmowę.

– Musisz mi powiedzieć o wszystkim, co się działo podczas weekendu w domu w górach – stwierdziła stanowczo.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. – Emily zmarszczyła brwi.

– Chodzi mi o Jasmine – odparła Anna. – Wspominałaś, że w czasie waszego spaceru w lesie wydarzyło się coś ważnego.

– Nie rozumiem, dlaczego o to pytasz – rzuciła opryskliwie Emily.

– Przestań się wygłupiać, sprawa jest poważna, musisz mi wszystko opowiedzieć.

– Coś się stało?

– Myślę, że mam poważne problemy – wyznała Anna.

– Mówiłam ci, że z tą psycholką coś jest nie w porządku, ale nie chciałaś mnie słuchać – stwierdziła kwaśno Emily.

– Posłuchaj – powiedziała z mocą Anna – sprawa jest naprawdę poważna i nie mam czasu na takie dyskusje.

– To może powiesz, co się stało? Nie bądź taka tajemnicza.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? No to słuchaj. – Anna splótła ręce na piersiach. – Przyznaję się do błędu. Przeliczyłam się. Nie ukrywam, że wierzyłam w niewinność tej dziewczyny. Sama miałam trudną młodość i siedziałam w tym samym psychiatryku.

– Co? – Emily wybałuszyła ze zdumienia oczy. – Siedziłaś w wariatkowie?!

– Tak, siedziałam. – Anna spuściła głowę.

– No pięknie, najwyraźniej nic nie wiem o mojej matce. Może zaraz się dowiem, że kogoś jeszcze zabiłaś podczas tej swojej trudnej młodości.

– Nie, nikogo nie zabiłam. – Anna pokręciła przecząco głową. – Ale wierz mi, że byłam tego bliska. Kiedy miałam siedemnaście lat, należałam do młodzieżowego gangu. Włamywaliśmy się do aptek, kradliśmy leki. Potem zażywaliśmy wszystko, co się dało, piliśmy alkohol. Czasami zdarzało nam się pożyczyć jakiś samochód, który potem porzucaliśmy i zazwyczaj podpalaliśmy. Takie tam młodzieńcze wygłupy.

– Widzę, że święta nie byłaś. – Emily parsknęła śmiechem. – A jak ja kiedyś napiłam się piwa, to miałam szlaban na dwa tygodnie.

– Nie chciałam, żebyś powielala moje błędy. W końcu dograłam się i wylądowałam w psychiatryku. Teraz po latach uważam, że była to wspaniała sprawa, przystówiowy kubek zimnej wody, który skutecznie mnie otrzeźwił. Gdyby nie to, nie wiem, jak bym skończyła, ale na pewno marnie.

– Dobrze, że mi o tym powiedziałaś – westchnęła Emily. – Teraz przynajmniej będę wiedziała, że nie jesteś taka idealna. Mam nadzieję, że zrozumiałaś, że miałam rację na temat tej twojej wariatki, i że otworzysz się się czasami na moje zdanie.

– Otworzę się. – Anna chwyciła mocno rękę córki. – Obiecuję.

– Mam taką nadzieję.

– No dobrze, a teraz chcę, żebyś mi powiedziała to, czego jeszcze nie wiem o Jasmine. Mówiłaś, że w czasie spaceru jeszcze coś zrobiła.

– Nic wielkiego, wszystko ci wtedy powiedziałam.

– Ale było jeszcze coś.

– Tak, było – zgodziła się Emily. – Może to głupie, ale odniosłam wrażenie, że ona ma opracowaną trasę do miasta, że ma jakiś plan, potwierdzała tylko swoje informacje. To mogą być oczywiście tylko moje odczucia.

– To bardzo ważne, co mówisz – powiedziała poważnie Anna. – Myślisz, że ona mogła opuścić dom podczas tego weekendu i wrócić niepostrzeżenie

do szpitala psychiatrycznego?

– Nie wiem. – Emily wzruszyła ramionami. – Chociaż w nocy wydawało mi się, że ktoś pływa łódką po jeziorze. Ale niestety nie chciało mi się wstać z łóżka. – Rozłożyła ręce. – Teraz miłybyśmy odpowiedź na nasze pytania. Uważasz, że opuściła nasz dom w nocy i pojechała do szpitala? Po co miałyby to robić?

– Sama nie wiem, za dużo tajemnic w tej sprawie – odparła Anna. – Kiedy była u nas podczas weekendu, zginął jeden z pielęgniarzy. Powiesił się, ale policja sądzi, że nie było to samobójstwo. Ten pielęgniarz miał podobno jakieś nowe rewelacje na temat Jasmine. Nie żyje również doktor Qusack, jej psychiatra. Przeszedł na emeryturę, ale zdążył wypisać jej dobrą opinię. Na jej podstawie zresztą wyjechała. Lekarz popełnił samobójstwo, tak samo jak ten pielęgniarz. Obaj się powiesili. – Anna zamyśliła się. – Jej chyba ktoś pomaga. Za dużo śmierci wokół niej, a ona wychodzi ze wszystkiego cała. Może ma współnika? Ta mała jest chyba zupełnie kimś innym, niż sądziłam.

– Myślisz, że tamtej nocy mogła wziąć łódkę i popłynąć do kogoś na drugą stronę jeziora?

– Nie można tego wykluczyć.

– A co to ma właściwie wspólnego z tobą? – Emily zmarszczyła czoło.

– Okazuje się, że ma. – Anna pokiwała smętnie głową. – Jasmine wyjechała na święta do rodziny w Polsce, a na jej konto wpłynęła olbrzymia suma pieniędzy, kilka milionów dolarów. Teraz jest oskarżona o finansowanie terroryzmu.

– No to pięknie – mruknęła Emily. – Co prawda nie jestem prawnikiem, ale wyczuwam, że to jest totalne bagno. Mogą odebrać ci licencję, mam rację?

– Tak – westchnęła Anna – ten scenariusz jest całkiem możliwy.

– A więc musisz udowodnić, że o niczym nie wiedziałaś.

– Ale to nie takie proste. Jestem jej prawnym opiekunem i ponoszę za nią odpowiedzialność.

– To co zamierzasz?

– Chyba nie będzie mnie w domu na święta, możliwe, że pojedę do Polski.

– Do Polski?

– Agent wywiadu, który zajmuje się tą sprawą, wspominał, że raczej będę musiała z nim pojechać.



– Jedź – powiedziała stanowczo Emily. – Zapuszkuj tę psycholkę i wracaj. Jedne święta możemy spędzić oddzielnie, nic się nie stanie. Chociaż smutno będzie bez ciebie. – Emily przytuliła się do Anny.

Anna otarła płynące po policzkach łzy i pogłaskała córkę po włosach.

– Jak dobrze, że cię mam.

– Nie przejmuj się, wszystko się ułoży – pocieszyła ją Emily. – Nie takie problemy miałeś w swoim życiu. Siedziałeś przecież w psychiatryku, a jakoś wyszłaś na prostą.

– Przestań – mruknęła Anna. – Nie żartuj, jest mi ciężko.

– Muszę trochę żartować, ty jesteś zawsze taka poważna. Pamiętaj: kocham cię i wszystko będzie dobrze, jestem z tobą.

– Dziękuję.

– I nie płacz. W młodości paliłaś samochody, więc twarda z ciebie babka.

– Jak mogłam dać się tak oszukać?

– Myślę, że ona jest bardzo niebezpieczna i przebiegła. Proszę, obiecaj, że zabierzesz ze sobą broń.

– Nie ma potrzeby w końcu jedzie ze mną agent specjalny.

– O proszę – zainteresowała się Emily. – Jakiś przystojniak?

– Przestań. – Anna zaśmiała się.

– No powiedz!

– Dobrze, masz rację, jest dosyć przystojny, ale to najbardziej wkurzający facet na ziemi. Gdybyśmy razem trafili na bezludną wyspę, to musiałbym go zamordować gołymi rękoma.

– Też tak czasem myślę o Jacobie – odparła Emily z uśmiechem. – Czasem wydaje mi się, że na tym właśnie polega miłość.



## ROZDZIAŁ 41

*Kobiety w ogóle są dobre, miłe i szczerze – jak ich wielbiciele, ale zarazem złe i przewrotne – jak ich wrogowie.*

Leopold von Sacher-Masoch, *Wenus w futrze*

### **Mikołaj z Mają**

*Polska, Warszawa*

Mikołaj musiał przyznać, że Maja wyglądała bosko. Długie blond włosy łagodnymi falami splotywały na jej ramiona. Sprężysty biust podskakiwał przy każdym kroku. Jakiś dobry chirurg musiał zaangażować w to swoje zwinne palce, bo przecież nie było do końca możliwe, by wyglądała aż tak dobrze. Ubrana była jak kobieta, która ma dużo pieniędzy i nie zdarza jej się oszczędzać na niczym.

– Kopę lat, Mikołaj – rzuciła, posyłając mu hollywoodzki uśmiech.

– Cześć, Maja.

– Nie stój tak jak sierota, tylko przytul się. – Rozłożyła ramiona.

Mikołaj pocałował ją w policzek. Pachniała klasyczną wersją J'adore Christiana Diora. Poczł dotyk jej jędrnego biustu.

– Tak już lepiej – westchnęła. – Opowiadaj, co u ciebie. Napisałeś już tę swoją wymarzoną książkę?

– Na razie dzieci, praca, remont i znowu dzieci. Zresztą pewnie wiesz, jak to jest.

– Niestety nie. – Pokręciła głową i zaśmiała się. – Ja mam dwoje dzieci i napisałam już sześć książek. Nie, przepraszam, wróć... – Spojrzała w sufit, dokonując jakichś skomplikowanych obliczeń. – Dokładnie siedem. Nie policzyłam debiutu.

– A co napisałaś? – zainteresował się Mikołaj.

– Kilka romansów, pewnie nie czytałeś. – Machnęła lekko dłonią. – Babska literatura, ale bardzo intratna. A jak mają na imię twoje dzieci?

– Marek i Stanisław.

– No popatrz, my zawsze jak ogień i woda, ty masz dwóch synów, ja dwie córki, Polę i Lenę.

Mikołaj zaśmiał się w odpowiedzi.

– Robisz jakiś przedświąteczny remont? – zagadnął.

– Nigdy w życiu. – Maja sięgnęła do torby i wyjęła owalne pudełko z proszkiem na mrówki. – W willi zrobiło mi się mrowisko. A ty co kupujesz?

– Kładę płytki na balkonie i skończył mi się klej. A gdzie ta twoja willa? Mieszkasz w Warszawie? – zapytał.

– Nie, no skąd – zachnęła się, udając oburzenie. – Mieszkam w Konstancinie, pewnie słyszałeś o tej miejscowości. To takie polskie Beverly Hills.

– Sypialnia dla bogaczy – zauważył Mikołaj.

– Dokładnie. – Pokiwała głową. – Wiesz co, mam świetny pomysł! – Rozpromieniła się. – Proponuję kawę jutro w Konstancinie i wspomnienia z dawnych czasów, co ty na to? – Uniósł pytająco brew.

– A co na to twój mąż i córki?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Rozjeżdżają stoki w Austrii, miałam do nich dołączyć, ale zostałam.

– I walczysz z mrówkami – dokończył Mikołaj.

– Walczę, kończę pisanie, jednym słowem ogarniam wszystko. – Uczyniła kolisty ruch dłonią. – W końcu ktoś musi. Proszę, tu jest mój numer. – Sięgnęła do torebki i podała Mikołajowi złotą wizytówkę wydrukowaną na ekskluzywnym papierze. – Tylko nie dzwoń przed jedenastą. – Pogroziła palcem. – W nocy będę pisała i muszę się porządnie wyspać. Teraz już lecę. Zadzwoń, fajnie będzie pogadać o starych czasach.

Pożegnali się. Maja skierowała się w stronę wyjścia, a Mikołaj powoli ruszył wózkiem na zakupy.

– I co teraz? – zastanawiał się, przemierzając sklep. W pierwszym odruchu chciał wyrzucić wizytówkę, ale Maja wyglądała olśniewająco. Dodatkowo zżerała go ciekawość, co wydarzyło się w jej życiu. Z tej krótkiej przyjacielskiej pogawędki wynikało, że złość już jej minęła. W końcu nikt nie gniewa się wieczność, a w sumie czuł, że tyle czasu minęło. Ich związek ginął we mgle studenckich czasów. *Przecież nikt się nie dowie, jeśli się spotkamy* – pomyślał, wkładając wiadro kleju do wózka. Rozmyślając, ruszył do kasy. Zapragnął

zobaczyć się z Mają i poznać alternatywną wersję swojego życia. Nie uległo wątpliwości, że jego dawna dziewczyna była kobietą sukcesu. Udało się jej wdrapać na swój szczyt, a w dodatku była kobietą, za którą wszyscy mężczyźni się oglądają. *Dlaczego pozwoliłem jej odejść?* – zasepił się.

– Dzień dobry, poproszę sześćdziesiąt siedem złotych. – Z zadumy wyrwał go głos kasjerki z miękkim ukraińskim akcentem. – Płaci pan kartą czy gotówką?

– Gotówką – odparł.

– Czy ma pan kartę „Dom”? Można na niej zbierać punkty za zakupy.

– Nie, dziękuję – odparł. – Na szczęście kończę już remont.

Kasjerka wydała resztę. Mikołaj ruszył w stronę wyjścia. Trzeba przyznać, że z Martą nie było kolorowo. Mieli swoje kryzysy. Oczywiście można powiedzieć, że były też sukcesy. Ostatnio wypływali na spokojniejsze wody, było mniej kłótni. Finansowo jednak było bardzo krucho. Prawdziwa droga przez mękę, oszczędzanie dosłownie na wszystkim. Jak by się człowiek nie gimnastykował, to i tak na koniec miesiąca pieniędzy brakowało.

Mikołaj sunął mozolnie z wózkiem przez zaśnieżony parking. Po Mai nie było śladu, zniknęła jak piękny sen, zapewne swoim ekskluzywnym samochodem. Tymczasem on pozostał w szarej rzeczywistości, pchając rozklekotany wózek. Wzdychał do siebie ciężko, nie tak planował swoje życie, czuł to teraz niczym mocne ukłucie ostrej szpilki. *Gdzie się podziały wszystkie moje marzenia?* – zastanawiał się w duchu. *Nie zrealizowałem żadnego. No tak, utonęły w morzu pieluch i codziennych, głupich spraw.* Ze złością wrzucił klej do bagażnika i tak mocno zatrzasnął klapę, że aż Multipla jęknęła żałośnie. Sukces osiągamy nie dzięki czemuś, ale wbrew wszelkim trudnościom. Mikołaj znał tę gorzką prawdę i był zły na siebie. *A może to mój związek jest beznadziejny? W końcu prawdziwa miłość powinna dodawać skrzydeł.* Sam już nie wiedział, co ma myśleć.

## **Sekretna randka Mikołaja**

*Polska, Warszawa*

Następnego dnia Mikołaj wstał o ósmej i od razu po kawie zabrał się do pracy. Loggia pokryta była warstwą śniegu. Zmiótł go dokładnie i wytarł podłogę do sucha. Przeczytał na pojemniku z klejem, że nie można go stosować

przy ujemnych temperaturach. Termometr wskazywał tymczasem minus pięć stopni.

– Trudno, to będzie eksperyment – westchnął, otwierając bańkę. Wymieszał gęsty klej i zaczął kłaść płytki. O dwunastej terakota była ułożona, a szczeliny między płytkami zafugowane. Pozostał tylko wąski pasek, który powinien zostać docięty, ale Mikołaj postanowił zasłonić to miejsce szeroką donicą. Wrócił do mieszkania zrobić nową kawę. Gdy czekał, aż kawiarka zagrzeje wodę, zapalił jednego papierosa. *Po robocie się należy* – pomyślał. Jego myśli bezwiednie zaczęły dryfować w stronę Mai i jej wielkiego, sztucznego biustu. Walczył ze sobą, czy do niej zadzwonić, czy też nie. Bał się siebie samego. Ona była jak alternatywna rzeczywistość, tyle, że ta lepsza, do której chcemy się przenieść, i to natychmiast.

W końcu po wypiciu kawy kwadrans po dwunastej zadzwonił do niej. Odebrała, ziewając; słyszał w telefonie, jak się przeciąga w pościeli. Umówił się z nią na piętnastą w restauracji hotelu Eva Park w Konstancinie.

– Doskonale – mruknęła – tylko się nie spóźnij, jak to masz w zwyczaju.

Kiedy wyłączył telefon, czuł się jak zdrajca. Wyjrzał na loggię i zapalił kolejnego papierosa. *Marta będzie zadowolona* – pomyślał. Ot, pokręcona męska logika. Ale w istocie loggia prezentowała się teraz naprawdę dobrze. Nie widać było, że terakotę ułożył kompletny amator z dyplomem Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Pałac papierosa, Mikołaj ciągle bił się z myślami, czy powinien jechać, czy nie. W końcu postanowił rzucić monetą.

– Reszka – jadę, orzeł – zostaję.

Podrzucił monetę i położył ją na rękę. Wypadł orzeł. Mikołaj westchnął ciężko. W tym momencie moneta spadła na nowo położone płytki reszką do góry. *Los jednak mnie do tego pcha* – pomyślał. Postanowił pojechać. Był zwyczajnie ciekawy, co u Mai, w głębi duszy jednak wiedział, że ona ciągle na niego działa i podoba mu się chyba bardziej niż wcześniej. Nie mógł odpędzić jej obrazu ze swoich myśli.

Podjechał Klekotkiem pod hotel Eva Park spóźniony piętnaście minut. Dzwonił z trasy do Mai, żeby ją o tym uprzedzić. Jak zwykle zaskoczyły go korki, a tyse opony też dały się we znaki.

– Nic nowego. – Zaśmiała się do telefonu. – Zawsze się spóźniałeś. Zacznę już zamawiać. Wybiorę dla ciebie wino.

– Dobrze – zgodził się.

Sala restauracyjna hotelu ulokowana była na parterze. Znajdował się przed nią duży taras, obecnie zamknięty ze względu na porę roku. Gdy Mikołaj pchnął szklane drzwi, otoczyła go woń wykwinnych potraw. Restauracja miała okrojone, ale za to bardzo wyszukane menu. Dyskretna muzyka delikatnie pieściła uszy gości, którzy rozsiedli się grupkami, rozprawiając półgłosem o tylko sobie znanych sprawach.

Przy stoliku obok dużej, bogato udekorowanej choinki siedziała Maja. Zgrabne wycięcie czarnej sukienki prezentowało jej idealny pooperacyjny biust dopompowany symetrycznie w każdym możliwym kierunku. Wszyscy goście zerkali w stronę jej stolika i dekoltu. Zamierzony przez Maję efekt był osiągnięty po stokroć. Elegancji dodawał strojowi sznur pereł. Widok był powalający i Maja doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Kelner, barman i goście restauracji również.

Mikołaj przywitał się, a Maja znowu wylewnie go ucałowała. Spostrzegł, że wszyscy dyskretnie zerkają w jego stronę. Byli ciekawi, kto dosiędzie się do stolika tak pięknej kobiety.

– Dobrze, że dotarłeś, już zaczęłam popadać w zwątpienie – powiedziała z niewyraźnym uśmiechem, podpierając podbródek w geście lekko znudzonej dziedziczki.

– Przepraszam, ale klej... – mruknął niewyraźnie Mikołaj. – Chciałem się jakoś ogarnąć przed naszym spotkaniem.

– Jaki klej? – Uniosła w zdziwieniu brwi.

– Przecież mówiłem ci, bawię się w robociarza i kładę płytki na balkonie – wyjaśnił z uśmiechem.

– No, mam nadzieję, że tylko się bawisz. – W oczach Mai mignął cyniczny błysk, ale niezrażony Mikołaj nawet go nie dostrzegł. Nie było w nim ani krztyny kompleksu.

– Zobacz, mam całe ręce w kleju. – Dla zobrazowania swoich słów podwinął koszulę i pokazał rękę, na której pełno było sinych plam.

– To cię usprawiedliwia – odparła pojednawczo. – W tym stanie nie mogłeś być na innej randce.

– Dowcipna jak zawsze – zauważył.

– Moi czytelnicy też chwalą moje poczucie humoru.

– Musisz dać mi jakąś swoją książkę.

– Coś tam znajdę i ci sprezentuję. – Zrobiła nieznaczny ruch ręką, delikatny i bardzo wyreżyserowany.

Mikołaj odniósł wrażenie, że oto teraz poznaje Maję od nowa. Powoli, niespiesznie odstaniała karty. Na oparciu krzesła wisiła torebka Chanel, model jesienny, o który zabijały się kobiety na całym świecie. Żeby go zdobyć, były gotowe stać w długich kolejkach. Torebka wisiła nonszalancko, niby od niechcienia. Mikołaj oczywiście zupełnie nie był świadomy tych szczegółów. Jego ignorancja w zakresie mody była w zasadzie nieuleczalną chorobą.

Myśli Mikołaja błędziły w innych rejonach. Zdawał sobie sprawę, że Maja jest już kimś zupełnie innym. Ostatni raz widzieli się na studiach. Czas potrafi zmienić każdego. Zbrodniarza potrafi przedzierzgnąć w pełnego skruchy pokutnika, a atrakcyjną blondynkę? Bóg jeden wie, co może się z nią stać.

Do stolika bezszelestnie zbliżył się kelner. Mikołaj zamówił cielęcinę w sosie kurkowym.

– A twój mąż, jak on właściwie ma na imię? – zapytał nagle.

– Przepraszam bardzo, ale nie mogę ci powiedzieć. – Maja uśmiechnęła się szeroko, ukazując w pełnej krasie garnitur białych zębów.

– A to niby dlaczego? Czy to jest jakaś tajemnica?

– To nie jest żadna tajemnica – prychnęła.

– Czyli nie będziesz mnie musiała zabić, jeśli poznam jego imię? – Mikołaj uśmiechnął się z przekąsem.

– Nie poznasz jego imienia, mój drogi. – Maja wzięła łyk wina. – O, jakie dobre. Prawdziwe chianti z apelacją. Proszę, spróbuj, zamówiłam również dla ciebie. – Wskazała dłonią na kieliszek.

Mikołaj napił się, a Maja mówiła dalej półgłosem:

– Całkiem możliwe, że będę miała ochotę się z tobą przespać, więc poznanie imienia mojego męża byłoby tutaj wielce niewskazane.

– Masz ochotę się ze mną przespać? – zapytał rozbawiony Mikołaj.

– Nie wiem. To się dopiero okaże. – Wzruszyła ramionami. – Zawsze miałeś jakiś urok, który na mnie działał. – Uśmiechnęła się tajemniczo. – A jak ma na imię twoja żona?

– Ja też ci nie powiem – odparł Mikołaj. – Obowiązuje reguła wzajemności.

– To ta dziewczyna od buta. – Maja spojrzała z ukosa.

– Tak.



– Nie chcesz powiedzieć jej imienia, czyli również myślisz o seksie ze mną. No to wstępny plan jest już ustalony. Teraz możemy spokojnie zjeść. – Na jej twarzy pojawił się wyraz triumfu. – Później pójdziemy do mnie rozsypać proszek na mrówki.

Do stolika zbliżył się kelner z przygotowanym zamówieniem. Na szerokich talerzach umieszczono niewielkie smakowite porcje, ozdobione kropkami sosu i gałązkami jałowca.

– Halibut dla pani – powiedział kelner – i cielęcina w sosie kurkowym dla pana. Czy dolać jeszcze wina?

– Tak, poprosimy – odparła Maja.

Mikołaj nie zaprotestował. *Jak szaleć, to szaleć* – pomyślał. Całe wieki nie był w restauracji. Mieli z Martą tylko swój balkon; dzieciaki skutecznie blokowały wszelkie wyjścia, a niani jeszcze się nie dorobili.

## **Harry sprzedaje dom**

*Kanada, Montreal*

Od dziwnego zdarzenia z piłką Harry i Sally cały czas mieszkali w hotelach, zmieniając je co chwila. Z pomocą przyjaciółki detektyw sprzedał dom, zamiast jednak od razu kupić następny, wpadł na pewien szalony plan. Wieczorem w hotelu zaprosił ją do baru, by tam przedstawić jej swój pomysł.

Gdy kelner otworzył smukłą butelkę Ice Wine z winnicy Vignoble du Mitan, Harry poprawił się uroczyście i wziął Sally za rękę.

– To wszystko twoja zasługa. Uznałem, że przyda nam się trochę słodkości. – Wskazał na butelkę. – Gdyby nie ty, pewnie do końca życia mieszkałbym w tej graciarni. A ty przysłaś, pstryknęłaś palcami i wszystko stało się proste.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się, spuszczając wzrok.

– Sprzedaż poszła tak dobrze tylko dzięki tobie. Posprzątałaś cały dom i przywróciłaś mu dawny blask. Dzięki temu udało się go naprawdę dobrze sprzedać. Nawet nie wiedziałem, że jest tak dużo wart. Mamy więc pewną nadwyżkę i wpadłem na pewien pomysł.

– Zamieniam się w słuch.

– Nim kupimy inny dom, chciałbym zaprosić cię w podróż – wypalił Harry. – Najpierw na Hawaje, jak chciałaś, a potem pokręcimy się trochę

po świecie. Myślałem o Australii i Azji.

– Też zawsze chciałam podróżować. – Sally aż zaklaskała w dłonie. – Tylko nigdy nie było czasu. Inne sprawy były ciągle ważniejsze.

– W końcu na wszystko przychodzi czas – stwierdził filozoficznie Harry.

– A nie boisz się, że przehulamy pieniądze? – zmartwiła się Sally.

– Boję się, że po tej podróży wcale nie będziemy chcieli kupić domu, tylko już stale podróżować.

– A może zamieszkamy na jakiejś wyspie? – rozmarzyła się Sally.

– Albo w Europie – dodał Harry. – Sama widzisz, że jeszcze nie wiemy, jaki pomysł wpadnie nam do głowy.

– Wiesz, nigdy nie sądziłam, że poznam kogoś takiego jak ty – powiedziała Sally, unosząc kieliszek w górę. – Nawet nie przypuszczałam, że istnieją tacy mężczyźni. Twoje zdrowie, Harry.

Stuknęli się kieliszkami. Zaczynał się nowy rozdział w ich życiu. Niektórzy ludzie szaleją za młodu, by na stare lata się ustatkować. Harry czuł, że dla niego ekscytujące życie pełne szaleństw i spełniania nawet najbardziej niezwykłych marzeń zaczyna się właśnie teraz. Sally była do tego wspaniałym kompanem. Przez ten cały czas, gdy się spotykali, nie było między nimi ani jednego zgrzytu, ani jednej kłótni. Harry nie przypuszczał, że życie z kimś w takiej harmonii jest w ogóle możliwe. Dodatkowo pogodził się z Alexem, który poleciał do Polski aresztować Jasmine Reynolds. Detektyw postanowił więc zakończyć prywatne śledztwo dotyczące dziewczyny i zająć się swoim życiem. Wszystko, co wiedział o sprawie, przekazał synowi. Sprawiedliwości miało stać się zadość. Wydawało się, że wszystko zmierza do szczęśliwego finału.

## **Wyspa**

### *Polska*

Klaudia jako szefowa grupy nakazała założenie obozu. Cały plan, nad którym usilnie pracowali od kilku lat, wchodził w ostatnią fazę. Marcel dostał polecenie wytypowania miejsca. Od tego czasu ślęczał nad zdjęciami satelitarnymi i oblatywał helikopterem potencjalne punkty. Nie mógł jednak znaleźć lokalizacji, która zapewniałaby pełną dyskrecję i ukrycie obozu przed służbami leśnymi i policją. Takie warunki podała Klaudia. Zadanie wydawało się

niewykonalne. Rozwiązanie nadeszło jednak pewnego wieczoru, gdy Marcel jak zwykle przeglądał na komputerze mapy.

W pewnym momencie jego uwagę zwróciła Wisła. To, co dostrzegł na ekranie, z początku wziął za nieostrość zdjęcia satelitarnego. Ale gdy zaczął się przyglądać dokładniej, z miejsca poprawił się na krześle. Uważnie przypatrywał się rzece. Sprawdził cały jej nurt od źródeł do ujścia. Uśmiechał się sam do siebie, bo oto wpadł na wprost genialny pomysł. Na ratunek przyszła mu przyroda.

Wisła to ostatnia dzika rzeka Europy. Jako jedyna nie została uregulowana ręką człowieka. W większych miastach jej brzegi są tylko częściowo zagospodarowane. W zasadzie jest zupełnie wolna. Płynąc, swobodnie kształtuje swój nurt. Czasami rozlewa się szeroko, tworząc dzikie wyspy, które są siedliskiem niezliczonych gatunków ptaków. Niektóre z wysp są naprawdę pokaźnych rozmiarów, a najwięcej z nich znajduje się za Nowym Dworem Mazowieckim. Rzeka jest tam nimi dosłownie usiana. Są to dzikie tereny porośnięte nieprzebytymi zaroślami. Właśnie te wyspy przykuły uwagę Marcela.

Wytypował kilka lokalizacji. Pierwszą z nich była Kępa Ośnicka, ale szefowa odrzuciła jego pomysł, bo na wyspie wciąż uprawiano ziemię, mimo że nikt tam już nie mieszkał.

– A co będzie, jak jakiemuś rolnikowi zimą wpadnie do łba pojawić się tu i sprawdzić, jak mu coś tam rośnie, i nas nakryje? – stwierdziła Klaudia. – Po za tym za blisko Płocka. To duże miasto, ktoś może nas zauważyć. Przecież na pewno będziemy palić ogniska, jest w końcu zima.

Marcel się nie poddawał. W kilka dni z helikoptera prześledził cały nurt Wisły, odwiedził też każdą z wysp. Stał się prawdziwym ekspertem z zakresu lokalnej przyrody. Z góry rozpoznawał potężne białodrzewy nadwiślańskie, nierzadko przypominające afrykańskie baobaby. Zauważył, że za zaporą elektrowni wodnej we Włocławku rzeka wyraźnie się zwężała. Na tamtym jej odcinku dostrzegł jedynie łachy piasku bez żadnej roślinności. Te piaszczyste wysepki zostały przez Klaudię odrzucone ze względu na brak możliwości ukrycia obozu. Kolejna duża wyspa, Kępa Wykowska, również spadła z planu, mimo że wydawała się miejscem wprost idealnym: oddalona od miast, cicha i spokojna. Znajdował się tam jednak rezerwat ptaków, który był pod stałą obserwacją przyrodników. Kępę Śladowską Klaudia odrzuciła ze względu na zbyt słabe zadrzewienie.

– Trudno będzie ukryć obóz – stwierdziła. – Poza tym po co nam tyle terenu? Jak ktoś ucieknie, będziemy go szukać po tych chaszczach w nieskończoność.

Gęsto zalesiona wyspa na wysokości wsi Mochty-Smok odpadła ze względu na bliskość osiedli ludzkich. Ostatnią możliwością była wyspa bez nazwy, położona w Lubelskiem na wysokości wsi Kopiec. Rzeka w tym miejscu płynęła przez lasy i pola.

– Jest tak daleko od czegokolwiek, że nikt nie będzie się nią interesował. Nie będzie tu wędkarzy ani innych maruderów – podsumowała Klaudia.

Kiedy wybór lokalizacji został dokonany, Klaudia, Marcel i albinos zabrali się za przygotowania. Wszystko rozpoczęło się, nim jeszcze nad Polskę nadciągnęła Syberyjska Bestia. W samym środku wyspy rozstawiono namioty i przygotowano miejsce na ognisko. Wszystko zostało zakryte siatką maskującą. Z powietrza nic nie było widać, Marcel specjalnie wykonał lot kontrolny. Obozowisko zostało ogrodzone leśną siatką z drutem kolczastym u góry. Na ziemi rozciągnięto spiralę z drutu żyłkowego. Gdyby ktoś krążył wokół obozu, musiałby się zranić, a wówczas krew byłaby widoczna na śniegu. Marcel zakupił dwa szkolone wilczury, które miały pilnować obiektu.

– To najlepszy system alarmowy – stwierdził.

Klaudia tylko pokiwała głową. Generalnie akceptowała jego pomysły, czuł to na każdym kroku. Jeżeli miała jakieś obiekcje, to podyktowane były tylko względami praktycznymi. Nigdy nie krytykowała bez powodu. Ufał jej; czujność i przezorność szefowej wielokrotnie uchroniła grupę przed wieloma niebezpieczeństwami.

Zaproponował, by powiesić na płocie żółte tabliczki z napisem „Teren wojskowy, wstęp wzbroniony”. Klaudia jednak odrzuciła ten pomysł jako zbyt zuchwały, mimo że Marcel argumentował, że gdyby nawet przez jakiś totalny przypadek ktoś przybił do tej wyspy i zaczął tu myszkować, to tego typu oznaczenia uwiarygadniałyby całą infrastrukturę i odstraszały potencjalnych intruzów.

– Jeżeli tak się stanie, to wówczas będziemy improwizować – stwierdziła Klaudia. – To zawsze jest lepsze.

Marcel nie dyskutował, w końcu to ona była szefem grupy.

Po niecałych dwóch tygodniach wytężonej pracy obozowisko było przygotowane i dopięte na ostatni guzik. W wielkich mauzerach zgromadzono

zapasy wody. Rozstawiono trzy namioty sypialniane wyposażone w niewielkie piecyki. W każdym równo rozłożono wojskowe prycze. Zgromadzono zapas suchego opału i kanistry z paliwem. Zainstalowano generator prądu.

Na kuchnię przeznaczono oddzielny namiot połączony ze spiżarnią. Kolejny służył jako polowa łazienka. Został podzielony na część damską i męską. Dodatkowo w obozie zamontowano barak szkoleniowy, który Marcel przetransportował helikopterem w częściach. Znajdowały się w nim sala, łazienki, biuro i kwatery dla kadry zarządzającej.

W obozie mogło przebywać łącznie pięćdziesiąt osób. Zgromadzono wyżywienie i wodę, które wystarczyłyby na dwumiesięczny pobyt. Wszystko zostało zrobione na wyrost i z rozmachem. Klaudia nie szczędziła środków. Pieniądze nie grały roli, choć baza miała działać tylko przez dwa tygodnie. Całe przedsięwzięcie robiło wielkie wrażenie.

Gdy Klaudia odwiedziła obozowisko, była naprawdę zadowolona.

– Świetnie to wymyśliłeś – chwaliła Marcela. – To miejsce jest genialne. Potrzebujemy je tylko przez dwa tygodnie, ale nikt go nie odkryje nawet za dziesięć lat. Będziemy mogli tu wracać.

Gdy nad Polskę nadciągnęła śnieżna burza, na szczęście wszystko było gotowe. Okolica była zupełnie odcięta od świata, a Wisła miejscami zamarzła. Na śniegu w promieniu kilku kilometrów nie było ani jednego śladu. Idealne warunki na tajną bazę. Padający puch zamaskował wszystkie ślady prac. Marcel był naprawdę zadowolony. *Wszystko idzie zgodnie z planem* – pomyślał.



## ROZDZIAŁ 42

*W morzu ciała giną nieraz całe statki.*

Pandelis Prévélakis, *Słońce śmierci*

### **Maja**

*Polska, Konstancin-Jeziorna*

Po obiedzie Maja w wyuczony sposób otarła usta serwetą i odłożyła ją od niechcienia niczym wyniosła magnatka.

– Jak zwykle wyborne jedzenie. Uwielbiam tę restaurację – oświadczyła teatralnym szeptem. – W zasadzie stołuję się tutaj, bo nie mam czasu gotować. Osobiście czuję się tu jak w domu, a rzadko się to zdarza. – Pokiwała głową z miną znawcy. – Ta restauracja to część hotelu, mają tu basen, który też lubię odwiedzać.

Mikołaj siedział i słuchał w milczeniu tej tyrady. Najwyraźniej Maja miała potrzebę się uzewnętrznić. Zaczęła mówić bardzo szybko.

– W tym basenie jest woda solankowa, która tak delikatnie pieści skórę, zupełnie jakby opływał ją jedwab. Byłam w wielu hotelach, ale żaden nie miał takiego basenu jak ten. – Wskazała ręką za okno, gdzie przez wielkie panoramiczne szyby widać było błękitny basen, zupełnie pusty. – I co najważniejsze nie ma tu tłumu ludzi. Muszę ci się zwierzyć. – Przybliżyła do niego twarz.

– Zamieniam się w słuch – mruknął Mikołaj.

– Uwielbiam hotele. W zasadzie mogłabym sprzedać dom i tylko podróżować. A ty co uważasz? Jakoś tak zamarłeś.

– Po prostu słucham, co mówisz – odparł Mikołaj. W myślach przywołał ostatnie wakacje, na które udało im się wyjechać z Martą, dwa lata temu, i drewniany domek nad morzem, na którego wynajęcie ledwo starczyło pieniędzy. Marta znalazła w nim wielkiego czarnego pająka, którego później

gonił z klapkiem w rękę. „Tylko go nie zabijaj, to przyroda. On tu mieszka, to my jesteśmy intruzami”. Mikołaj uśmiechnął się do swoich myśli.

– Ja lubię raczej małe hotele – powiedział powoli – ale ten jest niezwykły. Na pewno kiedyś tu przyjadę.

– Naprawdę powinieneś – stwierdziła Maja – wtedy zrozumiesz, o czym mówię.

Do stolika zbliżył się kelner i przerwał ich rozmowę. Mikołaj zapytał Maję, czy chce jeszcze coś zamówić, ale ona odparła, że czas na mrówki.

Gdy Mikołaj otrzymał rachunek, popadł w lekką konsternację. Miał do zapłacenia prawie trzysta złotych, a w portfelu kryła się tylko jedna mocno sfatygowana pięćdziesiątka trzymana w charakterze zaskórniaka. Postanowił użyć karty Jasmine, którą bez najmniejszego problemu dokonał transakcji. *I tak to nic w porównaniu z remontem balkonu – pomyślał.*

Maja czekała przy wieszaku, aż Mikołaj założy jej płaszcz. To pompatyczne namaszczenie, z którym robiła dosłownie wszystko, zaczęło go trochę irytować. No, ale cóż, w końcu była to zupełnie nowa Maja, która żyła sobie spokojnie na swój własny sposób, aż ją niespodziewanie odnalazł, gdy kupowała w sklepie proszek na mrówki. To nieoczekiwane spotkanie przypominało zderzenie z meteorytem tunguskim. Spotkanie bezbronnych romantycznych wspomnień z kosmiczną bryłą niklu i żelaza. Mikołaj był coraz bardziej zmieszany tą sytuacją. Podskórnie wyczuwał, że Maja ma jakiś chytry plan, a on jest jedynie marną szmacianą kukiełką biorącą udział w jej przedstawieniu.

Gdy wyszli na dwór, Maja ujęła go pod rękę i ruszyli chodnikiem wzdłuż Parku Zdrojowego.

– Przejdziemy się, mieszkam całkiem niedaleko. – Wskazała palcem na wprost. Zaczęła głęboko oddychać.

– Co robisz? – zdziwił się.

– Wdycham sosny – wyjaśniła, biorąc kolejny potężny wdech. – Konstancin to uzdrowisko, też spróbuj.

– Wierzę ci na słowo. – Zaśmiał się. Maja wydała mu się komiczna.

Rozpięta płaszcz; jej wydatny biust podnosił się i opadał. To była jej sekretna broń, której nader często używała.

*Najwyraźniej przy okazji dopompowania cycków pozwoliła sobie odessać mózg – pomyślał Mikołaj. Kiedyś naprawdę miała zadatki na sympatyczną towarzyszkę życia, a stała się absurdalnie irytująca.*



– Jeszcze tylko trzy wdechy – oznajmiła. – Dotlenienie organizmu jest bardzo ważne.

– Rób swoje, nie krępuj się. – Machnął ręką. *Co ja najlepszego robię?* – zbeształ się w myślach.

– Gdzie masz samochód? – zapytała nagle, gdy zakończyła już swoje ćwiczenia oddechowe.

– Tam. – Mikołaj wskazał głową Klekotka, który stał żałośnie przekrzywiony z jednym kołem na krawężniku. Z daleka wyglądał tragicomicznie, jak dziwne auto ze świata kreskówek.

– Czy to ta seledynowa Multipla? – upewniła się Maja.

– Tak, to właśnie Klekotek.

– Rozumiem, nie mam więcej pytań – odparła z lekkim uśmiechem.

Szła, stawiając sprężyste kroki i lekko obracając przy tym biodrami. Wszystko było dla niej trochę zabawą, a trochę kpina. Chwyciła Mikołaja pod rękę i przytuliła się do niego mocno. Spojrzał na nią kątem oka i chwycił ten uśmiech najedzonego kota, który jest już syty, ale złapał mysz i chce ją odrobinę podręczyć.

To wszystko zaczynało mu coraz bardziej nie pasować. Inaczej zapamiętał Maję. Ta była plastikową wersją jego dawnej dziewczyny, na pewno seksowną i uśmiechniętą, ale sztuczną do granic możliwości. I ten jej irytujący sposób bycia.

*W zasadzie to drażniąca, głupia pinda* – pomyślał Mikołaj. Od razu przypomniał sobie słowa Marty: „Pamiętaj, Mikołaj, jak będziesz kiedyś chciał mnie zdradzić, to mam nadzieję, że wybierzesz kogoś zabawnego i ciekawego. Kogoś, kogo bym polubiła, a nie czuła całego morza wstydu i żenady”. Mikołaj nagle posmutniał. Maja zajęta kroczeniem u jego boku absolutnie nie dostrzegła tej zmiany nastroju. W ogóle mało co dostrzegła oprócz własnej wspaniałej osoby.

– Oto mój domek. – Zatrzymała się przed wysokim ogrodzeniem, za którym na rozległej działce poroślej starymi sosnami królowała secesyjna willa, pieczołowicie odremontowana w każdym najdrobniejszym detalu.

Maja przytknęła kartę do domofonu i pchnęła furtkę. Ruszyli krętą alejką, omijając potężne sosny, które szumiały nad ich głowami targane podmuchami zimowego wiatru.

Hol willi stanowił jednocześnie klatkę schodową dla szerokich schodów, które biegły łagodnym łukiem ku górze.

– Tu masz wieszak. – Maja wskazała ręką, jednocześnie ustawiając się tyłem do Mikołaja, by zdjąć jej płaszcz.

– Mam zdjąć buty? – zapytał, spoglądając na błyszczący, wyfroterowany jak szkło parkiet.

– Nie żartuj – skrzywiła się. – Ja sobie tylko zmienię na moje puszki. – Zdjęła kozaki i założyła pantofle na wysokim obcasie wykończone białym puchatym futrem. – To moje domowe bambosze.

*Nie ma co, seks w czystej postaci* – pomyślał Mikołaj. Wiedział, że Marta w życiu nie założyłaby czegoś takiego. Nie ukrywał, że czasem brakowało mu u niej tych atrybutów kobiecości, szpilek czy sukienek.

Po prawej stronie holu znajdowało się wsparte na dwóch kolumnach wejście prowadzące do rozległego salonu. W jego wnętrzu bez problemu zmieściłyby się dwa mieszkania Marty i Mikołaja. Na kominku płonął ogień, kinkiety dawały lekko przytłumione światło, było miło i ciepło. Za oknami sięgającymi podłogi rozciągał się olbrzymi taras.

– Położyć tutaj płytki to wyzwanie – zażartował Mikołaj.

– Płytki? Tak, no trochę dużo tej przestrzeni – odparła Maja roztargnionym głosem. Mikołaj znowu dostrzegł jakiś uśmieszek błakający się po jej ustach. Ona tymczasem podeszła do barku.

– Służba ma dzisiaj wychodne. Wszystkim kazałam się wynosić, więc osobiście będę robiła ci drinki. Zacznijmy od martini, co ty na to?

– Okay, może być – mruknął Mikołaj. Czuł się nieswojo w tym olbrzymim domu. Spojrzał na podłogę. Jego podniszczone buty deptały nieskazitelny puchaty perski dywan. *Cholera, może jednak powinienem je zdjąć* – pomyślał.

Maja podała mu drinka, a jej oczy błyszczały jakimś nieznanym blaskiem.

– Na zdrowie. – Uniosta kieliszek.

Mikołaj stuknął się z nią nieporadnie. To nie była jego bajka. Nie nadawał się do wyrachowanych gier. Maja nie była szczerą, grała cały czas. Wiedział, że pokazuje mu swoją wyreżyserowaną wersję. *A może chce się na mnie jakoś odegrać?* – przemknęło mu przez myśl. *Chyba źle zrobiłem, że tu przyszedłem.* Popijając martini, pogrążył się coraz bardziej w niewesołych rozmyślaniach.

Tymczasem Maja krążyła po salonie.

– Dawno nie tańczyłam – rzuciła od niechcenia. Chwilę kręciła się z przymkniętymi oczami. Nagle usiadła na kanapie i poklepała miejsce obok siebie.

– Chodź do mnie – powiedziała słodkim tonem.

*Zupełnie jakbym był pieskiem* – przyszło do głowy Mikołajowi.

– Wiesz, ja mam dwie córki – oznajmiła, gdy już przy niej usiadł. – W jakim wieku są twoi synowie?

– Marek jedenaście, a Stasio trzy lata.

– Ja mam bliźniaczki, niedawno obchodziły dwunaste urodziny. Czuję się przez nie trochę zakompleksiona, one są mną, tylko w wersji turbo lepszej.

– To faceci będą ci tu pojedynki urządzać w ogródku. – Mikołaj zaśmiał się.

– No właśnie tego chcę uniknąć. Mam genialny pomysł! – Podskoczyła nagle, aż zakołysał się jej duży biust.

### **Skinhead Rudolf**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Po wyjeździe Jasmine Fester przeżył załamanie nerwowe i praktycznie cały czas pozostawał w izolacji. Wokół Rudolfa zrobiła się pustka. Był najstarszy ze wszystkich niepełnoletnich i inne dzieciaki na oddziale zwyczajnie się go bały i omijały szerokim łukiem.

Z dnia na dzień stawał się coraz bardziej posępny. Brakowało mu rozmów z Jasmine. Przyjaźnili się, tak to odbierał. Patrząc teraz w zadumie w wielkie zakratowane okno w świetlicy, za którym ciągle padał śnieg, wspominał ich spacer po ogrodzie. Przecinali olbrzymi trawnik i szli wciąż dalej. Błotnista ścieżka wyprowadzała ich aż pod mur szpitala, gdzie wśród zielska dogorywała stara szpitalna ciuchcia. Siadali w zardzewiałym wagoniku, z którego płatami łuszczyła się farba. Rudolf opowiadał Jasmine niezliczone historie o drugiej wojnie światowej. Zazwyczaj były to opowieści o bitwie o Ardeny, ostatniej straconej nadziei na wygraną fűhrera. Gdyby nie zabrakło paliwa, może wojna potoczyłaby się zupełnie inaczej. Brytyjczycy i Amerykanie zostaliby zepchnięci do Atlantyku. Powtórzyłaby się Dunkierka, ale nie byłoby litości. Zostaliby zgnieci. Potem spokojnie można by było się zabrać za front wschodni.

Rudolf snując te opowieści, widział, że Jasmine rozumie wszystko, o czym on mówi. Miał nadzieję, że dzięki tym historiom ona również przypomni sobie

swoje poprzednie życie, tak jak on. Był głęboko przekonany o tym, że jego obecna egzystencja to farsa. Wrzucony w nowe wcielenie dobrze pamiętał swoje poprzednie losy. Był dowódcą dywizji Das Reich. Zginął na polu bitwy i odrodził się w tych parszywych czasach jako zwykły chłopak w zwykłej rodzinie. Ojciec był robotnikiem, a matka gospodynią domową. Rudolf nie pasował do nich, a oni do niego. Najgorszą karą było jednak to, że musiał wieść zupełnie banalne, nic nieznaczące życie. Został wyrwany wprost z pola bitwy i zamknięty w obskurnym domu z cegły z ludźmi, którzy podawali się za jego rodziców, a z którymi nie miał absolutnie nic wspólnego.

Z poprzedniego życia pamiętał jeszcze kogoś bardzo ważnego, swoją miłość Irmę. Szybko odkrył, że jej wcieleniem była Jasmine. Podczas długich rozmów starał się jej to przekazać, mając nadzieję, że przyjaciółka poczuje to samo co on, że jakimś cudem przypomni sobie ich dawne uczucie. Sądził, że powoli to następuje, ale nie chciał jej spłoszyć banalnym zdaniem: „Hej, ty, znam cię z poprzedniego wcielenia”. Wystarczyło, że cały personel szpitala uważał, że żyje w wyimaginowanym świecie. Dostawał na to nawet leki, ale nie pomagały za bardzo, jedynie go otępiały. Zresztą nie ma co się dziwić, dawkę dobierał Chomik, który miał luźne podejście do farmakologii.

Rudolf opracował sobie system funkcjonowania w szpitalu. Po prostu z nikim nie rozmawiał. Dyskusje toczył tylko z Jasmine, ona jedna go rozumiała. Czasami Fester prosił go o zrobienie czegoś specjalnie dla niej. Ona sama o ważne rzeczy nie prosiła nigdy wprost. Zawsze przekazywał to Fester. Rudolf pomagał, jak mógł. Potrafił na przykład groźnie spojrzeć na anorektyczki, by nie wchodziły Jasmine w drogę. Najtrudniejsze było zadanie ze Starym Tomem. Ale i z tym poradził sobie znakomicie.

Policja coś podejrzewała. Nie byli idiotami, mundur zawsze do czegoś zobowiązuje. W końcu jednak odpuścili. Stary Tom podobno dobierał się do Jasmine, tak powiedział Fester. Rudolf od razu załatwił sprawę, wszystko wyglądało na zwykłe samobójstwo. Po całej akcji Fester do kubka z kawą Starego Toma wrzucił małą figurkę czarownicy na miotle.

– Po co to robisz? – zapytał wtedy Rudolf.

– Żeby ona nie odleciała – zachichotał Fester.

Rudolf zupełnie tego nie rozumiał. Dopiero teraz, z opóźnieniem, tajemnicza układanka utworzyła jedną całość. Obraz był dość ponury, wynikało z niego, że Jasmine i Fester byli w zмовie, a Rudolf był jedynie ślepym

narzędziem do brudnej roboty. Był wściekły na Festera. Jak się okazało, ten mały wiedział o wiele więcej niż on.

Był też zły na Jasmine. Zastanawiał się nad tym długo i czuł się podle. Chociaż byli tak zaprzyjaźnieni i tyle dla niej zrobił, ryzykując naprawdę wiele, ona po prostu zniknęła. Fester zresztą też. *Może uciekli razem* – zastanawiał się Rudolf. Nie wiedział, że Fester siedzi w izolacji. Czuł się oszukany i porzucony. Coraz większy smutek zakradał się w jego mroczne serce. Zastanawiał się nad ucieczką, a pierwsza taka myśl pojawiła się zaraz po wyjeździe Jasmine. Od razu poczuł, że dziewczyna już nie wróci.

Ta myśl jednak, choć intrygująca, przerażała go. Tak naprawdę bał się świata poza szpitalem. Tu wszystko biegło swoim rytmem. Rudolf znał każdy dzień, czuł się bezpiecznie i bez przeszkód mógł przebywać na wewnętrznej emigracji. Poza murami zakładu świat stale czegoś od niego chciał. Musiałby chodzić do szkoły albo pracować. To go paraliżowało. Świat wymagał od niego, by wiódł zwyczajne życie, ale to nie było jego życie. Rudolf czuł głęboką niezgodę na otaczającą go rzeczywistość. Chciał, by cały świat odczepił się od niego raz na zawsze i w spokoju pozwolił mu odbyć swoją karę.

Teraz bardzo brakowało mu Jasmine. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak ważna była dla niego. Wkradła się do jego pokręconego życia i w ciągu tych kilku lat stała się najważniejszym elementem, wokół którego zaczął budować misterne konstrukcje. Niestety wszystkie okazały się zamkami z piasku.

O sprawie ze Starym Tomem nie myślał wcale. Po prostu tak musiało być. Stary Tom był obleśnym łajdakiem i tak właśnie musiał skończyć. On tylko mu pomógł, nic w tym wielkiego. Jeżeli coś jest zaplanowane i ma się stać, to w końcu się dzieje. Naprawdę nic w tym nadzwyczajnego.

Pewnego wieczoru Rudolf zaczął zastanawiać się nad czymś zgoła innym. Ta myśl zakradła się do jego głowy niczym złodziej. Odkąd pojawiła się pierwszy raz, nie mógł się jej w żaden sposób pozbyć. Była natrętna i złośliwa jak mucha. Gdyby była tu Jasmine, ta myśl z pewnością nigdy by nie przyszła. Ale Jasmine zniknęła jak duch, a może nawet nigdy jej nie było? Rudolf już sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Zaczął obawiać się, że Jasmine była tylko wytworem jego wyobraźni.

### **Nieoczekiwany pomysł**

*Polska, Konstancin-Jeziorna*

– Co wymyśliłaś? – zapytał zaciekawiony Mikołaj.

– Plan jest naprawdę genialny – odpowiedziała żywo Maja.

– No to mów – ponaglił ją.

– Zeswatamy jedną z moich córek z twoim synem. Ona jest co prawda trochę starsza, ale to przecież nic takiego. Pojedziemy razem na przykład na Malediwy. Ja – wskazała na swój dekolt – dzieciaki i oczywiście ty.

– A co z twoim mężem? – zapytał Mikołaj.

– Zostanie i będzie pracował. – Machnęła dłonią. – On to bardzo lubi. Twoja żona również, będzie miała okazję zająć się swoimi sprawami, o ile naturalnie nic się nie zmieniło w kwestii waszego związku. – Maja wbiła w Mikołaja pytający wzrok.

– Wszystko układa się znakomicie.

– I bardzo dobrze. – Maja znowu machnęła dłonią. – Niech tak pozostanie. W każdym razie sam pomyśl: twój syn i moja córka. Chłopak nigdy w życiu nie znajdzie lepszej teściowej ode mnie. Czeka go świetlana przyszłość. Od razu zacznijmy nad tym pracować. Proponuję, żebyśmy pojechali w maju. Dasz radę wyrwać się na tydzień w majówkę?

– Czemu nie? – Mikołaj uśmiechnął się szeroko. Zwariowana gra Mai nawet go bawiła. Była to miła odmiana po serii irytujących zachowań.

– Nam co prawda się nie udało – stwierdziła Maja – ale za to naszym dzieciom może wyjść wielka i wspaniała miłość.

– Jak twoja córka jest tak piękna jak ty, to syn po rękach mnie będzie całował do samej śmierci.

– Przecież ci mówię, że jest turbo lepsza.

– Ale jaja. – Mikołaj klepnął się z rozmachem w udo.

– W końcu możemy być rodziną. – Maja spojrzała przeciągle na Mikołaja. – A może chcesz popływać w basenie?

– Masz tu basen? – Mikołaj wybałuszył oczy.

– Oczywiście, że mam – prychnęła jak kotka. – Co to za willa w Konstancinie bez basenu, sam przyznaj. Co prawda nie ma tu mojej ulubionej wody solankowej, jak w Eva Parku, no, ale cóż, w końcu nie można mieć wszystkiego. – Rozłożyła ręce. – To co, idziemy pływać?

– Poczekaj – powstrzymał ją – może napijemy się jeszcze? Nie mam kąpielówek.

– A po co ci kąpielówki, przecież będziemy tam sami – zdziwiła się z lekkim uśmieszkiem.

– Musiałem dokończyć płytki, trochę jestem padnięty – odparł Mikołaj.

– Ubóstwiam, jak mężczyźni się tłumaczą. Jesteście jak dzieci zagubione we mgle. Słuchaj, a ty nie mogłeś po prostu wziąć kogoś do tego remontu? Słyszałeś może o czymś takim jak delegacja obowiązków? – Uniósł brew. – Chyba jednak nie. Sam widzisz, w ten sposób żadnej książki nigdy w życiu nie napiszesz – dodała z teatralnym smutkiem. – Jak tak dalej pójdzie, możesz jedynie zostać dobrym glazurnikiem. Ale w sumie czemu nie, podobno to też niezła praca. Zresztą... ludzie dzielą się na tych, co brną przez kałuże i są opryskiwani błotem, i na tych, co ich tym błotem opryskują. Pamiętasz? – Uśmiechnęła się przekornie. – To Głowacki, twój ulubiony pisarz.

– Pewnie, że pamiętam – odparł Mikołaj. – „Niechaj tam inni księgi piszą. Nawet niechaj im sława dźwięczy jak wieża studzienna” – wypalił bez namysłu.

– I za to cię zawsze podziwiałam. – Mai błysnęły oczy. – Za te niezliczone cytaty, którymi mnie codziennie uraczałeś podczas naszego burzliwego związku.

– Co było, to było. – Mikołaj machnął ręką. – Co złego, to nie ja. A skoro już jesteśmy przy Głowackim, to też pamiętam jeden cytat. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Zresztą niezwykle życiowy... „Za pięć czwarta kończ robotę, sraj na szefa, kładź kapotę. Tak dożyjesz starczej renty, nawet w dupę nie kopnięty”.

Maja wybuchnęła śmiechem.

– Ty zawsze potrafisz mnie rozśmieszyć. Należysz jeszcze czegoś? – poprosiła.

– A na co masz ochotę? – Mikołaj ruszył w stronę barku.

– Na wódkę – odparła nieśmiałym głosem, poprawiając kokieteryjnie włosy.

– Coś wymyślę – mruknął. Zrobił drinki w kryształowych szklankach.

Maja spróbowała i skrzywiła usta.

– Co to jest? Ktoś tu chce mnie chyba upić.

– Wódka z sokiem pomarańczowym.

– Czuję samą wódkę – parsknęła śmiechem. – Ale niech będzie, raz się żyje. A po za tym idą święta, czas rozpusty.

– To jakie ty święta obchodzisz? – zdziwił się Mikołaj.

– Święta to dla mnie wielki czas zatracenia się w cieniu zielonej choinki – odparła teatralnie.

– No dobrze, niech ci będzie. Długo tu mieszkasz?

– Będzie z dziesięć lat. – Pokiwała głową. – Jak kupiłam ten dom, to była totalna ruina, w zasadzie stały tylko mury. Remont kosztował bająnskie sumy, ale teraz już tylko mieszkam, nie muszę kłaść żadnych płytek.

– Domyślam się – odparł Mikołaj. – Wygląda to wszystko porządnie. – Dla zaakcentowania swoich słów tupnął w podłogę. – Nie ma co, czuć pod nogą kawał solidnej dechy, nie jakiś paździerz. Wszystko na lata i z gustem. – Wskazał na ściany gęsto obwieszzone obrazami.

– A ty gdzie mieszkasz, pochwal się. – Spojrzała, przekornie przechylając głowę.

Mikołaj opowiadał o mieszkaniu, ciągle żartując, a Maja w tym czasie bawiła się włosami. Trochę go słuchała, a trochę nie.

– A jakie masz sąsiedztwo? – przerwała mu nagle. – Przyznam, że u mnie jest całkiem znośnie. Po prawej sędzia, a po lewej notariusz.

– U mnie jak to w bloku, trochę nauczycieli, paru lekarzy, trochę urzędników, mnóstwo emerytów, a wszystko doprawione odrobiną żuli.

– Słuchaj, dlaczego ty tak daleko ode mnie siedzisz, przecież cię nie ugryzę. – Maja zrobiła smutną minę. – W końcu mamy być rodziną, mam oddać córkę twojemu synowi. Musimy się jakoś zbratać.

– A niby jak chcesz się bratać? – zapytał zaczepnie Mikołaj.

– A tak. – Maja przyciągnęła go dłonią za kark i przywarła do jego ust. Pocałowała go długo i przeciągle. Czuł jej mięsiste wargi na swoich. Chwyła jego ręce i położyła na swoim dużym biuście.

– W rodzinie takie rzeczy to kazirodztwo – mruknął.

– Po ślubie naszych dzieci będziemy tylko powinowatymi. Możesz mnie pieprzyć bez problemu. – Przysunęła się jeszcze bliżej i przyciągnęła go do siebie, tak że jego głowa wylądowała centralnie w jej dużym dekolcie.

– O właśnie tak, wiem, że tego chcesz – jęknęła. – Widzę, jak się gapisz na moje cycki z tą miną zbolatego psa. – Opadła na kanapę i pociągnęła za sobą Mikołaja. – One też za tobą tęskniły.



## ROZDZIAŁ 43

*I niech sobie będą wszyscy mądrzy ze swoimi rozumami, a ja z moją miłością niech sobie będę głupi.*

Edward Stachura, *Siekierzada*

### **Komisariat**

*Polska, Warszawa*

Alex poleciał do Polski z Anną Bouchard. Zatrzymali się w Warszawie w hotelu Marriott. Prawniczka ciągle czuła się niezręcznie, a podróż odbierała jako swoistą karę. Alex nie powstrzymywał się przed docinkami pod jej adresem. Dodatkowo czuła się jak piąte koło u wozu. W zasadzie cały czas siedziała w hotelu, a Symond załatwiał jakieś sprawy w mieście. Absolutnie w nic jej nie wtajemniczał. Nawet gdy jechał na komendę główną, rzucił tylko zdawkowo, że spotkają się wieczorem. To wszystko było dla Anny bardzo upokarzające. Właściwie wcale nie była do niczego potrzebna Alexowi, ale ojciec ostrzegał go, że sprawa Jasmine jest bardzo zagmatwana i można się spodziewać różnych rzeczy. Postanowił się więc zabezpieczyć. W końcu Anna Bouchard niefrasobliwie zgodziła się być prawnym opiekunem Jasmine.

W Komendzie Głównej Policji w Warszawie Alex pojawił się o jedenastej dwadzieścia. Od razu rozpoczął wędrówkę po wielu pokojach, gdzie musiał podpisywać mnóstwo dokumentów. Asystowała mu miła policjantka Bogna, która dobrze mówiła po angielsku. Nawet trochę żartowali. Na koniec został zaprowadzony do dużej sali na piętrze, gdzie stał wielki stół z grafitowym szklanym blatem. To był pokój narad. Wisiąco tu pełno map i nie było okien. Alex usiadł, a po chwili do pomieszczenia weszła młoda policjantka z laptopem w ręku i jej o wiele starszy kolega. Zaczęła się poważna rozmowa, bez uśmiechów, nie tak jak z Bogną. Policjanci byli bardzo rzeczowi, bardzo kompetentni i bardzo wkurzeni, że jakaś kolejna sprawa wyłynęła akurat przed świętami. Sprawy dotyczące międzynarodowych przekrętów finansowych

dla żadnej ze stron nie są miłe. Wymagają wielu dokumentów, wielu ustaleń, a potem jeszcze większej ilości dokumentów.

– Witam, inspektor Jagoda Filipiak, zastępca dyrektora. – Policjantka wyciągnęła do Alexa szczupłą dłoń. Uścisk miała zdecydowany, a jej ostry, spiczasty nos jako żywo przypominał ostrze siekiery. Dyrektor Biura Międzynarodowej Współpracy Policji już dawno był na świątecznym urlopie i teraz ona tu rządziła. To od razu się wyczuwało. Jej kolega mruknął niewyraźnie swoje imię. Zabrzmiało jak Tomek. Wypalony starszy aspirant na siłę wbity w mundur. Ale nie zawsze tak było. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych wówczas posterunkowy Tomasz Sobkowicz złapał Małgorzatę Rozumecką. Tą sprawą żyła kiedyś cała Polska. Dwudziestoletnia atrakcyjna studentka resocjalizacji z Pruszkowa napadła dwóch mężczyzn. To wszystko było szalone, tak jak lata dziewięćdziesiąte, gdy w Polsce w ekspresowym tempie narodził się kapitalizm. Mafie wyrosły w całym kraju niczym trujące grzyby po deszczu. Szybkie pieniądze, luksusowe samochody – to imponowało młodym ludziom. Chcieli używać życia, iść na skróty, a nie harować jak rodzice.

Małgorzata Rozumecka też marzyła o tym, by szybko dojść do pieniędzy. Zmontowała naprędce gang, wciągając do niego brata i kilku chłopaków z sąsiedztwa. To miała być jednorazowa akcja, szybki skok. Pod pretekstem zakupu dużej liczby aparatów komórkowych dla znanego aktora Małgorzata umówiła się z dwoma dilerami telefonów. Na spotkaniu, które odbyło się w lesie koło Komorowa, aktor oczywiście się nie pojawił, ale czekała już Rozumecka i jej kompani. Z boku czerniały wykopane w ziemi doły. To miało przerazić dilerów i skłonić ich, by bez szemrania oddali telefony, które wtedy jako totalna nowość w Polsce miały naprawdę dużą wartość. Za ostateczny argument miał posłużyć pistolet. Rozumecka chciała tylko nastraszyć dilerów, tak przynajmniej zeznała w sądzie. Coś jednak poszło nie tak. W wyniku spotkania sprzedawcy telefonów zostali zabici i zakopani w płytkich dołach.

Z jednego grobu wystawał but, z innego ręka, ale nie było czasu na takie szczegóły. Szefowa kazała się zwijać i gang odjechał z piskiem opon.

Policja bardzo szybko wpadła na ślad nieudolnej szajki. Ale to nie posterunkowy Tomasz grał wówczas pierwsze skrzypce. Rozumecka wylądowała na obserwacji psychiatrycznej w szpitalu w Tworkach. Wiedząc, że córce grozi poważna odsiadka, jej ojciec postanowił zorganizować

Małgorzacie ucieczkę do Meksyku. Wystarał się o paszport i wizę, kupił nawet bilet na samolot. Wszystko było dopięte na ostatni guzik.

Niestety dla szefowej gangu do akcji wkroczył wówczas Tomasz. W dniu planowanej ucieczki miał służbę. Razem z kolegą patrolowali teren wokół szpitala. Nagle Tomasz wskazał ruszające się krzaki. Po chwili przez dziurę w płocie na ulicę wybiegła wysoka szatynka w piżamie. Wyskoczyła dosłownie dziesięć metrów od policjantów. Gdyby dziewczyna poczekała chwilę, już by jej nie złapali, schodzili właśnie z patrolu. Dalej na ulicy stał samochód, za którego kierownicą siedział dziadek dziewczyny, a obok niego jej ojciec. Wóz uciekł, ale Tomasz zdążył zapamiętać numery. Zachował się jak superglina. Przez kilka dni był bohaterem. Udzielił kilku wywiadów do gazet. Szef osobiście obiecał mu przyspieszony awans. Wszystko wydawało się jasne i proste. Stało się jednak inaczej, szef zmarł nagle na zawał, a na jego miejsce przyszedł ktoś inny. Awans był zapowiedziany ustnie, czas mijał, o sprawie powoli zapomniano.

Rozumecka nie uciekła, on nie dostał obiecanego awansu, jednym słowem sami przegrani. Teraz Tomasz był już za stary, a przez te lata pracy w policji udało mu się dochrapać stopnia starszego aspiranta. W trampolinie, którą dla jego kariery mogła być tamta sprawa, wysiadły sprężyny. Tomasz był rozzarowany. Do policji przyjęto pełno młodych i to ich pchano do góry. Pracował na pół gwizdka. *Niech się młodzi wykazują* – myślał.

Ta nowa sprawa była dla niego bolesnym ukłuciem. Znowu zamieszana w coś młoda, ładna dziewczyna. To przypomniało mu tamtą historię. Rozumecka musiała czuć się tak samo jak on. Już jedną nogą była w samolocie lecącym do Meksyku, tylko napatoczył się ten patrol.

Czasami Tomasz miał dosyć tej roboty. To był właśnie ten dzień, gdy czuł to w przygnębiająco mocny sposób. W dodatku szefowa Jagoda była znacznie młodsza od niego. Awansowano ją za to w ekspresowym tempie. Podobno ktoś w jej rodzinie miał mocne polityczne plecy. Tomasz nie przepadał za szefową. Uważał, że do policji zakradło się za dużo polityki.

Jagoda wiedziała o gorzkich przemyśleniach Tomasza, ale zwyczajnie miała to gdzieś. Była ostra, nie skupiała się na tym, co myślą inni, parła do przodu. Dla niej Tomasz był dinozaurem. Nie awansował, bo nie był wystarczająco dobry i tyle. W końcu to nie on rozbił mafię pruszkowską, tylko złapał jakąś smarkulę, i to w dodatku dzikim fartem. Tak uważała, świat był dla niej prosty. Już dawno przecięła go na pół. Po jednej stronie policja, po drugiej wszyscy inni.

W zasadzie każdy był dla niej podejrzany, wszyscy skrywali jakieś tajemnice. Jagoda wierzyła, że człowieka od zejścia na złą drogę dzieliła zazwyczaj ledwo wyczuwalna granica. „Wystarczy trochę poskrobać i od razu schodzi piękna, błyszcząca farba – mawiała. – Nie ma świętych”.

*Takiej to dziecko nigdy nie oszuka* – pomyślał Alex, przyglądając się jej bacznie.

Pani inspektor powoli rozłożyła akta sprawy.

– Przepraszam, czy ma pani dzieci? – zapytał nagle Symond.

– Nie rozumiem. – Jagoda zmarszczyła brwi.

– Tak tylko pytam. – Wzruszył ramionami.

– Mam syna. – Uśmiechnęła się cierpko. Nie lubiła wycieczek osobistych. –

Ale to chyba nie ma znaczenia dla sprawy?

– Czy on też chce być policjantem? – dopytywał Alex.

– Nie wiem – mruknęła policjantka – nie rozmawiamy na takie tematy, on ma dopiero cztery lata. – Ucięła temat. – Tu jest teczka, to wszystko, co udało nam się ustalić w sprawie tej dziewczyny: miejsca, gdzie logował się telefon i aktualne zdjęcie z kamery na Okęciu.

Alex otworzył teczkę i zaczął przeglądać dokumenty. Na początku natrafił na zdjęcie Jasmine.

– Kim jest ten facet? – Alex wskazał na zdjęcie Zoo zrobione przez kamerę monitoringu.

– Polski raper – wyjaśniła Jagoda. – Nagrał jeden kawałek i zniknął. Jest majątnym człowiekiem, na czymś się dorobił, w coś inwestował, ale to bez związku ze sprawą. Jest artystą, nie ma kryminalnej przeszłości, tylko jakieś drobne grzeszki w młodości. W każdym razie w więzieniu nie siedział.

– To co to za raper? – Alex uśmiechnął się krzywo.

– U nas oni tylko śpiewają, żadnych strzelanin ani tym podobnych wygłupów – zauważyła policjantka. – Zresztą to nie jest ważne. Pewnie skupisz się tylko na zwinięciu tej małej. Nam to w zupełności wystarczy. Po prostu zabierz ją do siebie. – Machnęła ręką. – Za te dziwne przelewy i tak już coś na nią znajdziesz. Wsadzisz ją na kilka lat, ot, taki prezent na gwiazdkę.

– A ta kobieta? – Alex wyjął zdjęcie Klaudii.

– Ten raper często się z nią kontaktował. To Klaudia Kozłowska, jej były mąż był dyplomatą. To wszystko, co można o niej powiedzieć. Po prostu

ekszona byłego męża. Nigdy nie była skazana. Co oczywiście nie oznacza, że nie ma żadnych grzeszków na sumieniu. Zapewne coś by się znalazło, ale bez związku ze sprawą. Ostatnio ich kontakty zamarły, dokładnie wtedy, gdy pojawiła się ta mała, której szukasz.

Sierżant Tomasz wstał. Na tym spotkaniu był tylko cieniem, miał dosyć.

– Czy możesz przynieść mi kawy, skoro wychodzisz? – rzuciła za nim Jagoda.

– Przyniosę – odparł sennym głosem.

– I dla kolegi również. – Wskazała długopisem na Alexa. – Mam nadzieję, że pijesz kawę?

Symond w odpowiedzi skinął głową. Klimat jak na każdej komendzie. Wszyscy zmęczeni, wszyscy wkurzeni, wszyscy non stop pijący kawę.

– U nas grupy przestępcze często używają ładnych kobiet jako przynęty – ciągnęła Jagoda. – Możliwe, że ta mała jest elementem czegoś większego. A może wręcz przeciwnie, jest tylko kurierem i miała podjąć pieniądze. W każdym razie tu w Polsce kontaktowała się tylko z osobami, których zdjęcia znajdziesz w teczce. Zresztą nie będę cię uczyć roboty. To twój bałagan.

Alex w odpowiedzi pokiwał głową.

– Resztę przejrzyś sobie później na spokojnie – stwierdziła policjantka. – Wszystko jest tam dokładnie opisane. To będzie proste zadanie. Zobacz, jak ci wszystko przygotowaliśmy. Masz ją dosłownie na widelcu. Tylko proszę, nie rozgrzeb tego, jeżeli nie będzie sensu. – Zniżyła głos. – Jeśli oczywiście rozumiesz, co mam na myśli.

– Rozumiem. – Alex pokiwał głową i zamknął teczkę. Znał się na rzeczy, wiedział, że tutejsza policja jest zawalona robotą, zresztą jak każda inna. W zasadzie to jego rodaczka przyjechała i coś nabroiła. Jego obowiązkiem jest teraz zabrać ją z tego podwórka, zgodnie z zasadą, że każdy powinien trzymać swój bałagan u siebie.

Wrócił policjant z kawą. Wypili, właściwie już się żegnając. To naprawdę była prosta sprawa. Alex też nie chciał tego rozdmuchiwać, jeżeli nic nowego by nie wypłynęło. Dobrze wiedział, że procedury mogą ich pochłonać. Nikt tak naprawdę tego nie chciał. On zabiera małą i wszyscy są zadowoleni. Nie wiedział, że ta z pozoru prosta sprawa to jedynie czubek góry lodowej. Jedna z takich gór zatopiła kiedyś Titanica.

Po powrocie z komendy poszedł z prawniczką do hotelowego baru na drinka. Anna uśmiechała się pojednawczo, postawiła nawet jedną kolejkę polskiej wódki.

*Ciekawe, czy jest zamieszana w tę sprawę* – przemknęło Alexowi przez myśl. Wychylił kieliszek zmrożonego alkoholu, który przyjemnie rozgrzał mu przetyk. Mimo że prawniczka podpytywała go delikatnie o sprawę, nic jej nie powiedział. Instynkt podpowiadał mu, że nie może ufać absolutnie nikomu. W pokoju zaczął przeglądać teczkę. Nagle serce zabiło mu mocniej, bowiem pośród innych materiałów odnalazł zdjęcie Marty. To była ona, poznałby ją wszędzie. Tylko nazwisko było inne, bo pewnie wyszła za męża.

*A już myślałem, że nigdy więcej się nie spotkamy* – pomyślał.

Los potrafi jednak płatać niezłe figle. Alexowi mocno biło serce. Czuł wyraźnie każde jego uderzenie. Zaprzagnął spotkać się z Martą najszybciej, jak to możliwe.

## **Mikołaj traci głowę**

*Polska, Konstancin-Jeziorna*

Mikołaj nie mógł się dłużej opanować. Ściągnął z Mai sukienkę, potem chwilę walczył ze stanikiem. W końcu mu się udało i uwolnił jej duży biust. Zatopił się w nim z lubością, ścisnął go, całował i gryzł. Zupełnie stracił głowę. Maja jęczała, wijąc się na wszystkie strony. Po jej szyi przemykały podskórne węże, dyszała ciężko. Mikołaj miał wrażenie, że wszystko dzieje się trochę poza jego świadomością. Instynkt zawładnął nim całkowicie. Chwytał Maję za szyję i zaczął dusić. Nie mogła złapać tchu.

– Czekałam na to... Ty lubisz takie zabawy – jęknęła.

Zatopił się ponownie w jej piersiach. Położyła mu rękę na karku, zachęcając go.

– O tak, całuj moje cycki. Bardzo dobrze.

Zastonił jej dłonią usta, by ją uciszyć. Ciągle coś mówiła, to go rozpraszało. W końcu zaczęła się prawie dusić. Wtedy cofnął rękę, zaczęła łąpać powietrze szeroko otwartymi ustami. Nagle wywinęła się zwinnie i uklękła przy kanapie. Chwilę majstrowała przy rozporku Mikołaja i po chwili wydobyła jego penisa.

– Daj mi klapsa. – Pokręciła pośladkami. – O tak! – jęknęła, gdy spełnił jej prośbę. Włożyła penisa Mikołaja między swoje piersi i zaczęła energicznie

przesuwać. Była pochylona i jej biust wydawał się jeszcze większy. – Przyznaj się, że o tym myślałeś tam w restauracji – wydyszała. Otworzyła usta i pochyliła się nad nabrzmiętym członkiem.

Mikołaj instynktownie złapał ją za włosy.

– Zmuś mnie – zachęciła go – wiesz, że to lubię.

Mikołaj zawahał się. Maja rozgniatła mu na kolanach piersi. Kręciła pośladkami.

– No dalej, na co czekasz? – ponaglała. – Na pewno tęskniłeś za moimi cyckami. One za tobą tak...

Mikołaj był na granicy. Przymknął oczy i nagle w myślach zobaczył twarz Marty. To go otrzeźwiło. Maja tymczasem wyciągnęła język i polizała jego penisa.

– Drażnisz się ze mną – warknęła. – Chcę go possać.

Mikołaj pociągnął ją za włosy, oddalając jej usta na bezpieczną odległość.

– Nie mogę, po prostu nie mogę... – jęknął.

– Przestań być taki święty – wydyszała. – Upiłeś mnie, a teraz mnie przeleć – mruknęła. – Jak zrobisz to dobrze, to pozwolę ci wrócić do płytek i tego twojego kopciucha w koślawych butach. – Wydęła usta, a słowo „kopciuch” wymówiła z wyraźną pogardą.

Mikołaj zastygł w bezruchu.

– Drugiej szansy nie będzie – szepnęła Maja. – No dalej, wsadź mi go w usta.

Te słowa rzucone z kpiącym uśmieszkiem podziały na Mikołaja niczym kubek zimnej wody. Był tylko zabaweczką, znudzona bogaczka postanowiła się odegrać. Właśnie tak to odebrał. Marta była dla niej kopciuchem. *Co ja robię?* – złapał się za głowę. Całe podniecenie momentalnie opadło. Maja wdepnęła swoim drogim pantoflem z puszką w sam środek jego związku i zrobiła przy tym minę pełną obrzydzenia. Zupełnie jakby jego miłość była zwykłą stertą śmieci.

Wstał i założył spodnie. Maja wciąż klęczała przy kanapie z otwartymi ze zdziwienia ustami. W tym momencie wyglądała naprawdę komicznie.

– Nie rozumiem, to już koniec? – prychnęła nerwowo.

– Po prostu idę.

– Jak to idziesz?! – Skoczyła na równe nogi jak tygrysica, zagradzając mu drogę.

Mikołaj bez słowa założył jeden but. Drugiego jak na złość nie mógł znaleźć. Co gorsza, były to jedyne zimowe buty, jakie miał. Rozgorączkowany rozglądał się po pokoju.

– Ja zawsze dostaję dokładnie to, czego chcę – rzuciła nerwowo Maja, nieudolnie zastaniając rękoma wielkie piersi. – A teraz chcę się pieprzyć. Wracaj na kanapę, głupi frajerze!

– O nie, moja droga. Tam masz sędziego – Mikołaj wskazał na prawo – a tam prawnika. – Wskazał w drugą stronę. – Może któryś z nich cię przeleci. Ja muszę wracać, a służba niestety ma wychodne. – Podniósł z podłogi koszulę.

– Ty gnoju! – Maja tupnęła nogą. – Ty cholerny gnoju! Nigdzie nie pójdziesz! Masz tu natychmiast wrócić!

– Ani mi się śni – odparł.

Maja aż zgrzytnęła zębami z wściekłości. Chwyciła wazon i rzuciła w stronę Mikołaja, który zwinnie się uchylił. Wazon rozbił się w drobny mak.

– Przestań się ośmieszać – powiedział cierpko Mikołaj. – Zachowujesz się jak dziecko. – Zapinając pospiesznie koszulę, ruszył do holu. Buta nie znalazł, ale postanowił jak najszybciej opuścić willę. Bał się nawet myśleć, do czego mogła posunąć się rozwścieczona blondynka.

– Chyba mnie tak nie zostawisz? – Maja rozłożyła ręce w dramatycznym geście.

– No chyba jednak tak – rzucił Mikołaj. – Muszę wracać fugować balkon. – Zniknął w holu i zerwał z wieszaka kurtkę.

– O nie, mój drogi, tak szybko stąd nie wyjdiesz! – huknęła Maja i ruszyła w ślad za nim. Pantofle na wysokich obcasach, które ciągle miała na nogach, spowalniały ją.

Mikołaj otworzył drzwi i wyskoczył na dwór.

– Skończony idiota, co ja tu w ogóle robię? – wyrzucił sobie z goryczą. Pędem ruszył do furtki.

Maja wybiegła przed drzwi na schody. Była półnaga. Owionął ją mroźny wiatr, więc się zatrzymała. Zastoniła rękami piersi.

– Mikołaj, ty idioto! – wrzasnęła, tupiąc puszką. – Masz tu natychmiast wrócić i mnie przelecieć!

Z drzew poderwały się przestraszone gawrony. Mikołaj nie zatrzymał się jednak. Zatrzasnął furtkę i w jednym buciu wyskoczył na ulicę.



– To wracaj do swojego frajerskiego życia! – krzyknęła jeszcze za nim. – Twój rzęch już czeka.

Mikołaj ruszył pędem w stronę hotelu. Nikt go nie gonił, ulica była zupełnie pusta, tylko obudzone krzykami Mai psy zaczęły szczekać.

– To są, kurwa, szczyty gór skąpane w blaskach słońca! Co za palant! – Maja wróciła do rezydencji, zatraskując za sobą z łoskotem ciężkie drzwi.

W Konstancinie zapadła cisza. Wszyscy słyszeli, ale nikt nic nie powiedział. Miejscowości bogaczy mają swoje tajemnice, skrętnie zamiatane pod drogie perskie dywany. Wszyscy ze swoimi zmiotkami i szufelkami czekają w pogotowiu, by pomóc posprzątać sąsiadowi największą stertę brudów, byle cicho i dyskretnie. Zgodnie z maksymą, że co kiedyś spotkało kogoś innego, może również spotkać ich samych.

Mikołaj wszedł do Klekotka i z trudem odpalił.

– Cholerna Barbie, myśli, że cały świat kręci się wokół jej wypielęgnowanej dupy. Dostała nauczkę i dobrze jej tak.

Ruszył przez pusty Konstancin.

– A w sumie mogłem ją przelecieć – westchnął. – Tylko do tego się nadaje. Jak ja w ogóle mogłem się z nią spotykać? – Nagle spochmurniał, pomyślał o Marcie i o tym, że tak naprawdę to chciał kochać się z Mają. Chciał tego, tylko jakimś cudem się opanował. Może gdyby tyle nie mówiła, to by do tego doszło. Zrobiło mu się smutno. Czuł, że Maja chciała z niego zakpić. Zaprosiła go na seks tylko po to, by się odegrać, by pokazać mu, że jego miłość jest nic niewarta. I szczerze mówiąc, prawie się jej to udało. Uderzył ręką w kierownicę.

W smętnym nastroju wrócił do mieszkania. Dzwoniła Marta, ale nie odebrał, nie czuł się na siłach, by z nią rozmawiać. Całe jego życie wydało mu się jakimś kiepskim żartem. Nie tak to miało wyglądać. Otworzył piwo i włączył telewizor. Przynajmniej wspomnienia zostały tego popołudnia uśmiercone raz na zawsze. I dobrze, bo to, co minęło, powinno spoczywać w spokoju na wielkim cmentarzysku przeszłości, a nie być ożywiane wbrew wszystkiemu niczym Frankenstein.

## **Kludia i człowiek z bliźną**

*Polska, wyspa na Wiśle*

Do wojskowego namiotu, który pełnił funkcję kuchni polowej, weszła, a raczej wkroczyła Klaudia. Na składanych krzesłach siedzieli barczysty albinos z przerośniętą szczęką i Marcel ze szramą na policzku, poprzedni opiekun Jasmine. Pośrodku namiotu trzeszczał rozpalony piecyk. We wnętrzu panowało przyjemne ciepło.

– Złaż z mojego krzesła! – warknęła Klaudia, podchodząc do albinosa. Mężczyzna uśmiechnął się krzywo i ustąpił jej miejsca.

– Do usług, szefowo – rzucił.

Klaudia bez słowa rozparła się wygodnie na krześle z napisem „Reżyser”. W zagłębienie oparcia włożono plastikowy kubek.

– Co pijecie?

– To co zwykle po dobrze wykonanej robocie – stwierdził Marcel, wskazując na butelkę wódki wystającą z coolera. – Cała akcja z przewiezieniem ludzi poszła gładko mimo śnieżycy. Dobrze, że kupiliśmy helikopter. Nie będę mówił, czyj to był pomysł. – Uśmiechnął się chętnie.

– Dobrze już, dobrze – mruknęła Klaudia. – Nalej mi też, napiję się z wami za pomyślność misji. Gdzie?! – zachnęła się, gdy Marcel chciał nalać do kubka stojącego przy jej krześle. – Do czystego. Nie będę po nim pić. – Wskazała głową na albinosa.

Gdy Marcel nalał jej wódki, stuknęła się z nimi bez słowa i wypita jednym haustem. Wyciągnęła przed siebie nogi i obserwując czubki ciężkich traperów, zaczęła się nad czymś intensywnie zastanawiać.

– Idź, sprawdź teren – rzuciła do albinosa. – Upewnij się, że wszyscy już śpią.

Mężczyzna bez słowa wstał i wyszedł z namiotu. Gdy opadła za nim płachta, Klaudia wyciągnęła rękę z kubkiem.

– Nalej mi jeszcze.

Marcel bez słowa spełnił jej prośbę.

– Młodzi są beznadziejni, słabi jak pisklaki, trzeba nad nimi popracować. Jutro wezmę się za nich żelazną ręką – stwierdziła.

– Nie jest źle – mruknął mężczyzna. – Zapędziliśmy ich do roboty, pomagali przy obozie. Przygotowali całą stołówkę.

– No widzę, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik – pochwaliła go Klaudia. – Ale nie zapominaj, kto przyjeżdża. Do tego czasu oni muszą być gotowi. W każdym razie jutro pobudka o piątej. Biorę się za nich.

– Chcesz jeszcze? – Podniósł butelkę.  
– Nalej, skończymy flaszkę, jutro ciężki dzień. Masz papierosa?  
– Zawsze mam papierosa. – Marcel sięgnął do kieszeni.  
– To daj. – Wyciągnęła rękę.  
– Czemu kazałaś mu wyjść?  
– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Jakoś ostatnio wszystko działa mi na nerwy. Czuję, że coś pójdzie nie tak.  
– Przestań, wszystko będzie dobrze. – Zaciągnął się dymem.  
– Może masz rację. – Klaudia zapaliła papierosa. – To pewnie tylko głupie przeczucie.  
– Oczywiście, że tak. – Uśmiechnął się. – Nie takie rzeczy robiliśmy.  
– Jest jeszcze wódka? – zapytała.  
– Jest, ostatni kieliszek, specjalnie dla ciebie.  
– Rozlej po równo. – Wskazała na jego kubek. Gdy spełnił jej życzenie odezwała się zniżonym głosem:  
– Martwię się o naszą grupę.  
– Dlaczego? – zmarszczył brwi.  
– Pomyśl tylko. Zawsze wszystkie grupy tworzone są w ten sam sposób. Pięć osób, zawsze pięć.  
– Ale to nie nasza wina, że trójka naszych zginęła i zostało nas dwoje.  
– Nieważne. Powinni kogoś przysłać, by uzupełnić stan grupy. Przysłali tylko albinosa. Czasami zastanawiam się, dlaczego? – Spojrzała na niego przeciągle.  
Marcel nachylił się do niej. Ona również się zbliżyła. Siedzieli, prawie stykając się głowami.  
– Co myślisz? – wyszeptał.  
– Myślę, że nas sprawdzają.  
– Sądzisz, że on ma z tym coś wspólnego? – Marcel wskazał na wyjście, przez które albinos opuścił namiot.  
– Ciągle mam wrażenie, że nas szpieguje – szepnęła. – Ufam tylko tobie, pamiętaj o tym.  
Marcel skinął głową. Klaudia patrzyła na niego bardzo intensywnie, wyczuł, że chce mu powiedzieć coś bardzo ważnego. Kiwnęła palcem, by się bardziej zbliżył.  
Skłonił głowę i doszedł go ledwo słyszalny szept:

– Przysłali cień.

Marcel zdrętwiał. Spojrzał uważnie na Klaudię, ale ta położyła palec na ustach. Potem zacisnęła pięść, dając znak, że dadzą radę.

Mężczyzna zamyślił się głęboko. Czuł się winny, że zawalił sprawę w Kanadzie. Klaudia była szefową grupy i jakimś cudem wybroniła go. Często zastanawiał się, jak to możliwe, że wtedy to wszystko wymknęło się spod kontroli. Udzielił mu się ciężki nastrój Klaudii. Zaczął rozmyślać nad przeróżnymi scenariuszami. Nawet nie przypuszczał, jaki nieoczekiwany obrót mogą przybrać sprawy.



## ROZDZIAŁ 44

*To możliwość spełnienia marzeń sprawia, że życie jest tak fascynujące.*

Paulo Coelho, *Alchemik*

### **Marta dzwoni i ma plan**

*Polska, Warszawa*

Nie skończyło się na jednym piwie. Mikołaj poprzedniego wieczoru wypił wszystkie, jakie miał w lodówce, czyli dokładnie pięć butelek, i dokończył resztę czerwonego wina, która została z wieczoru z Martą. Zasnął na kanapie przy telewizji. W południe obudził go natarczywie dzwoniący telefon. Przetarł oczy i odebrał.

– Co ty wyrabiasz, od wczoraj nie mogę się do ciebie dodzwonić. – Marta mówiła szybko podekscytowana. Mikołaj od razu domyślił się, że wpadła na jakiś swoim zdaniem genialny plan.

– Skończyłem balkon... – mruknął.

– I dlatego masz taki zdołowany głos? – zdziwiła się.

– Wczoraj trochę się zasiedziałem przy filmie i piwie i dzisiaj awaria głowy, i w ogóle...

– Bo pić to trzeba umieć. – Zaśmiała się. – Słuchaj uważnie. Wpadłam na genialny plan. Już wczoraj chciałam ci wszystko powiedzieć, ale byłeś uprzejmy nie odebrać mojego telefonu i nie oddzwoniłeś.

– Przepraszam – bąknął.

– Nie przepraszaj, tylko słuchaj – przerwała mu. – Wczoraj rozmawiałam długo z mamą i wyobraź sobie, pogodziłyśmy się. Powiedziałam, że pożyczyłam kampera. Nie wspomniałam, że święta spędzamy w Leśnej Rzece, bo byłoby jej smutno.

– No, ale przecież musi się kiedyś dowiedzieć, nie zamierzasz chyba czekać do Wigilii?

– Posłuchaj, ja mówię o tym kamperze, a mama na to, że zawsze chciała zobaczyć taki samochód i że może kiedyś pojedą z tatą w podróż po Europie. Od słowa do słowa zaczęłyśmy gadać i nie miałam serca jej powiedzieć o tych świętach. Czułam się jak wyrodna córka. Więc powiedziałam, że wpadniemy do nich kamperem na święta. Nawet nie wiesz, jak mama się ucieszyła. Boże, jaka jestem szczęśliwa.

– Poczekaj, to gdzie ty teraz jesteś? – zapytał Mikołaj.

– Przy rynku w Toruniu. Dzieci poleciały kupić pierniki, a ja dzwonię na szybko z tajnej komórki.

– Ale co ty robisz w Toruniu? Przecież to przeciwny kierunek. Leśna Rzeka jest w Bieszczadach. Dobrze, że zadzwoniłaś, dzisiaj miałem do was jechać.

– Pozwól mi powiedzieć. Dzieci zaraz wrócą i będę musiała kończyć.

– To mów.

– Nie jedziemy do Leśnej Rzeki. Nie dojechaliśmy nawet do niej. Dwadzieścia kilometrów przed celem zawróciłam i jedziemy teraz do Jastarni. Nie przyjeżdżaj.

– To mam święta spędzić sam w domu? – zdziwił się.

– Nie przyjeżdżaj do Leśnej Rzeki, głuptasie, tylko przyjedź od razu do Jastarni, tam się spotkamy.

– Nie rozumiem, to nie mogłaś zabrać mnie po drodze?

– Kotek, przepraszam cię, była noc. Po rozmowie z mamą po prostu ruszyłam w drogę. Zatrzymałam się dopiero w Łodzi. Mam po ciebie wrócić? Tylko to chyba bez sensu, dzieci są już trochę zmęczone drogą.

– To już jedź – mruknął Mikołaj. – Ogarnę się i ruszam za wami, może dogonię was w trasie.

– Nie musisz nas gonić. Dokończ wszystkie sprawy w domu. Masz teraz trochę spokoju. Może coś napiszesz? Po co masz od razu przyjeżdżać do Jastarni? Może pojedź do Radziejowic do Domu Pracy Twórczej i popracuj nad opowiadaniem? Przed świętami są tam pustki.

– Sam nie wiem – westchnął Mikołaj. – Chcę już się z tobą zobaczyć.

– Wiem – odpowiedziała ze śmiechem – ale na to masz całe życie, a zawsze chciałaś coś napisać. Zobacz, jaką jestem dobrą żoną. Umożliwiam ci to.

– Dziękuję – mruknął Mikołaj. Czuł się podle, jak zbrodniarz. *Jak mogłem w ogóle spotkać się z tą głupią blondynką?* – pomyślał. *Na szczęście do niczego*

*nie doszło.*

– To co, pojedziesz do Radziejowic? – spytała Marta.

– Pojadę – odparł.

– Tylko napisz coś, to mi przeczytasz w święta. Dobra, kończę, bo dzieci wracają. Nie chcę, żeby widziały, że mam komórkę. Pa, kochanie, do zobaczenia w Jastarni za parę dni.

– Kocham cię – rzucił Mikołaj. Usłyszał jeszcze, jak Marta wysłała mu pocałunki i rozłączyli się.

– A więc zostałem słomianym wdowcem – westchnął. *Może to niegłupi pomysł z tymi Radziejowicami, może w końcu coś napiszę* – pomyślał. *Marta naprawdę jest wspaniała. Jestem szczęściarzem i pomyśleć, że o mały włos ta królowa plastiku wszystkiego nie zniszczyła. Po prostu uznam, że to wszystko nigdy się nie wydarzyło.*

## **Jastarnia**

*Polska, Jastarnia*

Gdy Marta podjechała pod dom, zatrąbiła energicznie kilka razy. Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich pani Barbara przepasana fartuchem, bo oderwała się od robienia pierogów. W kuchni słychać było kolędy puszczane z magnetofonu.

– Mamuś! – Marta wyskoczyła z kampera. – Przyjechałam na święta!

– A co to za dom na kółkach?

– To nasz kamper, pożyczyłam go.

– Przyjechałaś sama? Gdzie dzieci i Mikołaj?

– Mikołaj został jeszcze w domu, robi mały remont. Ale dzieci są w komplecie. Trutnie, chodźcie przywitać się z babcią! – Marta zawołała do wnętrza wozu.

Po chwili wysiadł Marek, a za nim, przecierając oczy, wyszła rozespana Jasmine. Na piętrze domu poruszyła się franka. Pan Edward oderwał się od czytania gazet i obserwował scenę przez okno skryty za bujną paprotką.

– A co to za piękna dziewczyna? – mruknął do siebie na widok Jasmine. – Czy ja mam taką wnuczkę? Już chyba zwariowałem do reszty, czasami niczego nie pamiętam.

Pani Barbara wyściskała Marka i przywitała się z Jasmine.



– To córka naszej kuzynki Moniki – wyjaśniła Marta. – Pamiętasz Monikę?  
– No jak bym miała jej nie pamiętać? – zachnęła się pani Barbara.  
– Jasmine przyjechała do nas z Kanady na święta.  
– To bardzo dobrze – skwitowała pani Barbara. – Zobaczysz, jak się spędza święta w Polsce. A gdzie Bąbelek?  
– Śpi. Zresztą wejdź do środka, to przy okazji obejrzysz samochód.  
Pani Barbara weszła do wozu po niewielkich schodkach.  
– Czy on nadal nie chodzi? – Pogłaskała malca po głowie.  
– Jakoś słabo z tym – bąknęła Marta, spuszczać wzrok.  
– Jest cały napięty. – Starsza pani dotknęła rączek dziecka. – Zupełnie jak kamień.  
– Daj spokój, nie rozmawiajmy o tym teraz.  
Pani Barbara lekko się skrzywiła w odpowiedzi. Niefrasobliwość córki zawsze była dla niej powodem do irytacji.  
– Chodź, zobacz lepiej samochód – powiedziała Marta. – Tu jest sypialnia.  
– Później obejrzę to cudo. Muszę lecieć do kuchni wyłączyć wodę. Zostaw auto na tym parkingu po drugiej stronie ulicy.  
– Nie chcesz od razu zobaczyć kampera? – Marta była wyraźnie zawiedziona.  
– Kochanie, pokażesz mi go, jak się rozpakujesz – rzuciła pani Barbara, wychodząc. Kręciła przy tym lekko głową z dezaprobatą.  
*No i mamy pierwszy zgrzyt* – pomyślała Marta.

## **Dobry plan to plan zrealizowany**

*Polska, Warszawa*

Święta zbliżały się wielkimi krokami. Zoo zaczął znowu przeglądać ogłoszenia. Powróciła koncepcja zakupu domu dla Kurczaka. *Nie będę wydziwiał, po prostu kupię coś z ładnym widokiem na zatokę* – pomyślał. Doskonale pamiętał, że siostra zawsze lubiła Zatokę Pucką. Przypomniał sobie, że przy uliczce Abrahama, którą zwykle wędrowali w stronę zatoki, znajdowała się obskurna przetwórnia ryb z płotem z zardzewiałej blachy. Stróżował tam wielki kudłaty pies, a pijany dozorca zawsze drzemał w budce. W zasadzie dozorca był nic niewart, powinni na jego miejsce zatrudnić raczej tego kudłatego psa. Za miskę

paskudnego jedzenia odwałwał kawał dobrej roboty. Był naprawdę mądry. Taki wiejski kundel, co to wyrósł ponad miarę, ale miał dobre oczy.

– On szczeka, bo kazali mu pilnować – mówiła zawsze Kurczak. – A tak naprawdę chce się zaprzyjaźnić. Kiedyś przyjadę tu i go ukradnę, będzie mógł się kąpać w morzu i będzie szczęśliwy. Nigdy już nie będzie musiał być zły i szczekać. On tak naprawdę tego nie chce.

Dalej uliczka Abrahama zmieniała się w piaszczystą ścieżkę. Czuć tam było idący od zatoki wiatr, który kołysał trzciniami. Wychodziło się na wielką, pustą plażę. W zatoce leniwie kołysały się małe rybackie łódeczki. Woda jest tu bardzo płytka, sięga zaledwie po kolana i można tak iść w nieskończoność, patrząc na małe rybki. Zoo i Kurczak wsiadali do łódki i udawali, że gdzieś płyną. Wokół nie było nikogo i ta zabawa mogła trwać godzinami.

– Wiesz – mówiła Kurczak – kiedyś, kiedy będę już bogata, kupię dom nad zatoką. Zaproszę cię i będziemy mogli całymi dniami siedzieć w tych łódkach.

Zoo dobrze pamiętał jej słowa. Teraz chciał pomóc Kurczakowi zrealizować to marzenie. Wiele się nie namyślając, ponownie ruszył do Jastarni.

## **Pan Edward schodzi z góry**

*Polska, Jastarnia*

Pan Edward założył marynarkę i skropił się wodą kolońską. Przechodząc obok starej szafy, przejrzał się w lustrze i krytycznie ocenił swój wygląd.

– No tak, brak muchy. – Zaklął pod nosem, wrócił do szafy i założył bordową muchę w czarne kropki. – Teraz może być. – Przygładził włosy dłonią i cicho zszedł na dół po wąskich schodach. Tuż przy nich znajdowała się kuchnia.

– Basiu, córeczko – powiedział, wchodząc do kuchni – czy mi się zdawało, czy ktoś przyjechał na święta?

– Dobrze słyszałeś, tato. – Pani Barbara oderwała się od zagniatania ciasta na pierogi i spojrzała na ojca. – Przyjechała Marta z dziećmi. A ty gdzie wychodzisz?

– Nie, ale w końcu święta idą, postanowiłem wczuć się w klimat.

– Święta dopiero za kilka dni. – Pani Barbara uśmiechnęła się. – Możesz wrócić do siebie, Marta zaraz przyjdzie się z tobą przywitać. Na razie

rozpakowuje się.

– A Mikołaj też przyjechał? – dopytywał starszy pan.

– Jeszcze został w Warszawie, ma jakieś sprawy do załatwienia.

– Tylko żeby z tych spraw nie było żadnych nieślubnych dzieci – zachichotał pan Edward.

– Tato, przestań – obruszyła się pani Barbara.

– Co „tato, przestań”? Ty jesteś dorosła, ja jestem dorosły, i to już bardzo, i obydwójce wiemy, na czym świat polega. Niech lepiej tu przyjeżdża, a nie pałęta się po tej Warszawie.

Po tych słowach pan Edward opuścił kuchnię. W holu prawie wpadł na Martę, która niosła olbrzymią ilość toreb z Biedronki i Lidla.

– Moja ukochana wnuczka. – Starszy pan szeroko rozpostarł ramiona. – No chodź, powitaj dziadka. A co ty, z jakichś zakupów wracasz?

– Dziadku, dopiero przyjechałam, to moje bagaże.

– Za moich czasów to się podróżowało z walizką, a nie siatką ze sklepu. „O tempora, o mores!”, jak powiedział kiedyś jeden pan. Ale nieważne. Gdzie dzieci?

– Idą już. – Marta wskazała głową na drzwi.

Pierwsza weszła Jasmine, a za nią Marek.

– A co to za piękna, wspaniała dziewczyna? – zachwycił się pan Edward.

– To Jasmine – odparła ponuro Marta. – Przyjechała do nas z Kanady na święta. Za nią natomiast stoi twój wnuk, jakbyś nie pamiętał.

– A, wnuk, tak, ale to za chwilę. Na początek muszę się przywitać z tą młodą damą, która przebyła taki szmat drogi, by się z nami zobaczyć.

– Tato, proszę, idź na górę poczytać gazety. – W holu pojawiła się pani Barbara. – Znowu szaleje – szepnęła do ucha Marcie. – Musimy go pilnować.

– Nie ma sprawy – zachichotała Marta. – Nic nowego.

– No, piękna młodzież! – perorował dalej pan Edward. – A tu jakiego mamy silnego mężczyznę! – Chwycił Marka za ramiona. – Taszczy samotnie torbę niczym tytan. Dzielny chłopak. – Starszy pan tak energicznie poklepał Marka po plecach, że aż zadudniło. – No, zamykajcie drzwi, bo cały dom się wyiębi.

– Ale dziadku, my nosimy bagaże – jęknął Marek.

– Bagaże rzecz święta, ale drzwi możesz przymknąć. Zawsze używaj głowy, przy każdej czynności. No, może nie każdej. Czasami należy używać też innych

narządów.

– Dziadku – fuknęła Marta.

– No co „dziadku”? Mówię, jak jest. Jacyś ogłupiali jesteście. Przecież to duży chłopak, chyba ma w szkole biologię. Wypuść go spod tej spódnicy, niech sobie pohasa.

– Dziadku, proszę cię – jęknęła Marta, wchodząc na schody.

– Dobrze, wracam do moich gazet, bo z wami nie pogadam. – Starszy pan westchnął z rezygnacją. – Ale ty odwiedź mnie, chętnie posłucham, co tam w dalekiej Kanadzie. – Mrugnął do Jasmine, która spuściła wzrok.

– O, jaka nieśmiała, uwielbiam takie interlokutorki.

– Tato, proszę – fuknęła pani Barbara.

– No co, przecież to nic obraźliwego. Nie wiecie, kto to jest interlokutorka? Z kim ja mieszkam? – Pan Edward westchnął i wolno ruszył po drewnianych schodach na górę. – I ja, były dziennikarz, mieszkam z nimi tutaj, dodając splendoru tej maleńkiej miejscowości, a oni jeszcze na każdym kroku chcą mnie pouczać, zamiast wyjąć karteczki i notować moje złote powiedzonka. Bo to wszystko poleci do góry, rozwieje się jak dym. Marek, weź kartkę i zapisuj! – zawołał z góry schodów.

– Dobrze, dziadku.

– I pamiętaj, przykniij drzwi, nie bądź tumanem.

– Dzieci, zaraz ktoś musi wyprowadzić psa – zawołała Marta.

– No tak – westchnął pan Edward, zamykając drzwi od swego pokoju. – Oto cała skala ich problemu. Wracam do gazet.

## **Dom na Błękitnej**

*Polska, Jastarnia*

Tym razem Zoo spotkał się z agentem Konradem Radeckim, przeraźliwie chudym mężczyzną w krzywo założonej czapce. Gdy agent zdjął nakrycie głowy, spod niego wystrzeliła bujna czupryna. Z tą burzą włosów przypominał trochę szalonego naukowca. Szybko podpisał z Zoo oświadczenie i oprowadził go po willi Błękitna, urokliwym domu, którego większość okien wychodziła na zatokę. Po drugiej stronie błyszcząły odległe światła Trójmiasta.

– Za płotem jest już pas nadmorski – wyjaśnił agent – niczego tam nie zbudują. Przynajmniej w świetle dzisiejszych przepisów. W płocie jest nawet

mała furтка, ma więc pan własne wyjście na zatokę.

Zoo obejrzał dom. Nie wymagał za dużo pracy, podłogi były w dobrym stanie, jedynie ściany trzeba było odmalować, ale tylko w salonie na pierwszym piętrze, gdzie był kominek. Budynek składał się z dwóch niezależnych mieszkań. Typowy nadmorski dom jakich wiele na wybrzeżu. Zoo szybko stwierdził, że chce go kupić. Podpisał od razu umowę przedwstępną i wziął numer konta, na który miał przelać zaliczkę. Umówił się z agentem, że jeszcze przed świętami otrzyma klucze. Specjalnie się nie targował, kupił dom z wyposażeniem. Agent był trochę zdziwiony tym pośpiechem, ale kiedy usłyszał, że to prezent dla siostry, naprawdę dał z siebie wszystko i już na następny dzień umówił notariusza. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Dom miał wyglądać jak wielki prezent. Zoo ruszył do Trójmiasta, by kupić czerwoną szarfę, którą chciał przepasać budynek. Jechał właśnie przez Jastarnię, gdy wtem dojrzał znajomą postać spacerującą z koszmarnie brzydkim kundelkiem. Natychmiast zahamował. Dziewczyna spojrzała na niego uważnie, a potem uśmiechnęła się. Zoo wysiadł z wozu. Kundelek zaczął szczeekać.

– Jednak miałam rację, śledzisz mnie – stwierdziła Jasmine.

– Niech ci będzie – mruknął Zoo.

### **Jasmine kupuje chleb dla ptaków**

*Polska, Jastarnia*

– Idę na spacer z psem – powiedziała Jasmine. – Chcesz pójść ze mną?

Zoo skinął głową.

– Tylko przeparkuję wóz.

Po chwili skręcili w wąską uliczkę.

– Jak mnie tu znalazłeś?

– Nie szukałem – odparł z uśmiechem. – Kupuję tu dom dla siostry.

– Jaki ten świat mały. – Uśmiechnęła się. – A ja mam tu rodzinę. Gdzie się zatrzymałeś?

– Na razie nigdzie. – Wzruszył ramionami. – A mam zostać?

– No, wypadłoby, jak już przejechałeś taki kawał. Może odegrasz się w bilard – powiedziała tajemniczo.

– Pewnie znowu uciekniesz – zauważył.

– Może będę miała lepszy nastrój. W końcu idą święta – odparła przekornie.

Stanęli przed piekarnią Konkol, która znajdowała się na parterze dwupiętrowego domu.

– Poczekaj tu na mnie. – Z uśmiechem wręczyła mu smycz, a pies obrzucił go uważnym spojrzeniem. – Zaraz wracam.

Zoo został na pustej ulicy. Po błękitnym niebie dwie mewy wolno przeleciały w stronę morza. Zimowe słońce świeciło radośnie. Zoo założył ciemne okulary i zapalił papierosa. Rozglądał się po pustym miasteczku, które wydawało się nierzeczywiste. Wokół żywego ducha, zupełnie jak te sztuczne koreańskie miasteczka Kim Dzong Una budowane dla stworzenia pozorów dobrobytu.

Naprzeciwko piekarni znajdował się dom z okrągłym oknem w szczycie. Wisiąca w nim zawieszka z aniołem ze szkła. Pod spodem na wypłowiej desce wyciągniętej z jakiegoś kutra widniał napis „Stary dom”. Dziwne, bo dom wcale nie wyglądał na stary. Nowy tynk lśnił bielą. No cóż, małe miasteczka mają swoje sekrety. Całkiem możliwe, że było na to jakieś wytłumaczenie. Za piekarnią stał dwupiętrowy dom z półokrągłym bokiem w stylu art déco. Na dachu jak gdyby nigdy nic siedział kruk. Pazurem chrobotał w rynnę, okrutnie chciał być zauważony. W dziobie trzymał bułkę skradzioną z zaplecza piekarni. Prężył się jak orzeł, ale wokół była totalna pustka. Wtem ptak dojrzał Zoo i szuuuu, zleciał ostro w dół prosto na niego.

– Uciekaj mi stąd. – Zoo machnął ręką i pochylił głowę. Kruk tymczasem poszybował ku potężnej wieży kościoła z zielonym dachem.

*Cwaniaczek – pomyślał Zoo. Ale na jego miejscu też bym kradł bułki z piekarni i straszył przechodniów. W życiu trzeba się trochę zabawić.* Spojrzał na przeszkolone drzwi piekarni. Wisiąca na nich kartka z informacją, że poszukiwana jest ekspedientka. Zoo zaciągnął się mocno ostatni raz i wyrzucił papierosa.

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanęła w nich Jasmine. Włosy delikatnymi falami okalały jej twarz. Spojrzenie miała intensywne i zdawało się, że w jej oczach migoczą miliony diamentów. Po jej ustach przebiegł znowu ten uśmieszek, jakiś znak zapytania, subtelne coś. Nie dało się zaprzeczyć, że nawet jak wychodziła z piekarni z siatką bułek, była zjawiskiem. Dziwne, Zoo

nigdy nie postrzegają w ten sposób żadnej kobiety. Może za wcześnie odkrył seks w swoim życiu, a to zawsze odziera mężczyzn z fascynacji.

– Co tak długo? Już myślałem, że się zatrudniasz.

– Nie rozumiem. – Jasmine zmarszczyła brwi.

Zoo wskazał na ogłoszenie o pracy. Jasmine nic nie odpowiedziała, nawet się nie uśmiechnęła. Zoo na ułamek sekundy zmieszał się, zazwyczaj jego dowcipy śmieszyły towarzystwo. Wszyscy zawsze rechotali jak małe żabki, a tu nic, cisza. Żart trafił w próżnię, przeleciał przez całe miasto i zarył w ziemię gdzieś w lesie niczym zabłąkana kula.

– Myślisz, że łabędzie lubią takie butki? – Jasmine podała mu siatkę. Gdy kobiety chcą przerwać milczenie, to zazwyczaj pytają o cokolwiek. System prosty jak drut, ale pewny i niezawodny. Każdy mężczyzna zawsze wyczerpująco odpowie na takie pytanie pomocnicze. Gody mają swoje rytuały.

– Te mogą być. – Zoo wyciągnął rogalika z siatki. Spojrzał na czarny chleb. – Ale to się nie nadaje.

– Ale się wymądrzasz – prychnęła. – To dla mojej ciotki.

Ruszyli w stronę mola. Jasmine pociągnęła mocno nosem.

– Palłeś?

– Tak. – Zmarszczył brwi. – Zostawiłaś mnie samego przed sklepem i jakoś tak mnie naszło.

– Nie znoszę papierosów. Po co to robisz?

– Bo czasem lubię. Nie rozumiem, czemu ci to przeszkadza?

– Domyśl się, Einsteinie. – Spojrzała na niego z ukosa.

– Czy to załatwi sprawę? – Rozpakował gumę do żucia.

– Zobaczymy.

Skręcili w ulicę Stelmaszczyka, która była szeroką promenadą biegnącą w stronę mola. Po obydwu stronach ciągnęły się małe sklepiki, zamknięte po sezonie na głucho. Ulica była teraz rzadko uczęszczana. Jasmine spuściła ze smyczy Apisa, który chwilę biegał, zataczając coraz większe koła. Radość psa ze spaceru zawsze ma w sobie coś szalenie optymistycznego.

Szli dalej w milczeniu, a Zoo zastanawiał się w duchu, co takiego ma w sobie ta dziewczyna, że teraz czuje się głupio, że zapalił tego papierosa. *Może faktycznie powinienem rzucić palenie* – myślał.

Jasmine szła, uśmiechając się delikatnie, zupełnie jakby znała jego sekretne myśli. No cóż, kobiety są nieodgadnioną zagadką, nigdy nie wiadomo, czego się

domyślają, a czego nie; co wiedzą, a na co w milczeniu przymykają oczy.



## ROZDZIAŁ 45

*Człowiek musi jeść, pić i ubierać się; reszta jest szaleństwem.*

Stanisław Lem, *Powrót z gwiazd*

### **Jasmine i Zoo w hotelu**

*Polska, Jastarnia*

– To co, zostajesz? – zapytała Jasmine, gdy już wracali z mola.

– Tak. – Skinął głową. – Zatrzymam się w Domu Zdrojowym. Może podaj mi numer telefonu, to umówimy się na wieczór – zaproponował.

– Nie mam telefonu. Ostatni, jaki miałam, utopił mi się w wannie. Nie mam też maila, Facebooka ani Instagrama. Jak chcesz się ze mną umówić, to po prostu przyjdź na spotkanie i się nie spóźnij.

– Ostatnio to ty nie przyszłaś – zauważył.

– Nie moja wina. – Jasmine rozłożyła ręce. – Ciotka rzuciła hasło do wyjazdu. Co miałam zrobić? Proponuję dzisiaj o piątej. Zrobimy dogrywkę bilardu.

– Dobrze. Spotkajmy się w hotelowym barze na ostatnim piętrze, wypijemy po drinku.

– Brzmi zachęcająco. – Uśmiechnęła się. – W takim razie jesteśmy umówieni.

Kiedy Zoo rozstał się z Jasmine, pojechał do Gdańska i kupił czerwoną szarfę, by przystroić dom. Zadzwoił do siostry i powiedział, że zaprasza ją na Wigilię.

– Jak to zapraszasz na Wigilię? – Kurczak parsknęła śmiechem. – Co ty przygotujesz, koks i wódkę? Pamiętaj, że ja mam dzieci.

– Wszystko zamówię, a Wigilię spędzimy w Jastarni w hotelu, już wynajęłam ci apartament. Zrelaksujesz się, popływasz w basenie i nic nie będziesz musiała gotować.

– Ale ja już zrobiłam pierogi – jęknęła Kurczak.

- To weź je ze sobą.
- Kiedy mam przyjechać?
- Po prostu wsiadaj w samochód i przyjeżdżaj nawet jutro.
- Jesteś wariat, wiesz o tym?
- Poczekaj, aż ci wręcę prezent – powiedział tajemniczo. – Ciekawe, co wtedy powiesz.

## **Randka**

*Polska, Jastarnia*

O szesnastej trzydzieści Zoo był już w barze. Kiedyś spotkał się tu z Klaudią, teraz jednak nie myślał o tym za bardzo. Nie chciał, żeby coś pokrzyżowało plany spotkania z Jasmine. Sącył truskawkową margaritę i czuł się naprawdę dobrze. Gdy Jasmine weszła do baru, wstał, by się z nią przywitać. Pocałowała go w policzek.

- Pijesz beze mnie?
- A tak sobie degustuję – mruknął.

Bar był pusty, wszyscy byli jeszcze w mieście. Hotel miał spore obłożenie. Wiele osób wpadło na pomysł spędzenia świąt nad morzem w połączeniu z balem sylwestrowym, na którym miały pojawić się gwiazdy opery. Plakaty wisiały w całym hotelu. Małżeństwo operowe, sylwester z gwiazdami.

- Co robisz w sylwestra? – zapytał Zoo.
- Nie wiem. – Jasmine wzruszyła ramionami. – Pewnie spędzę go z rodziną. W końcu przyjechałam ich odwiedzić.
- Ja spędzam święta w hotelu. Przyjeżdża moja siostra. Będę tu też w sylwestra.

- Pomyślimy o tym. – Uśmiechnęła się delikatnie.
- Słuchaj, naprawdę nie masz Facebooka, czy po prostu nie chcesz mnie zaprosić?

– Naprawdę. Uwierz mi, jest sporo osób, które nie używają portali społecznościowych. Kiedyś tam byłam, ale teraz jakoś mi się odwidziało wrzucać zdjęcia i oznaczać siebie. Nie chcę, żeby jakieś głupie programy wiedziały, jaki piję jogurt i jakiej słucham muzyki, a znajomi komentowali moje retuszowane zdjęcia.

Zoo nic nie powiedział. Do stolika podszedł kelner. Zamówili drinki, a za oknem powoli zaczął padać śnieg.

## **Marta rozmawia z matką**

*Polska, Jastarnia*

Marta weszła do kuchni, gdy matka skończyła robić świąteczny bigos.

– Wypijemy herbatę? – zapytała.

– Tylko ty zrób – odparła matka – ja padam na twarz.

– Zawsze cię podziwiałam za to, że wszystko na święta masz przygotowane wcześniej.

– Nie dałabym sobie rady w ostatniej chwili. Poza tym wiesz, jak lubię się postarać. Dobrze, że przyjechaliście. Tylko martwi mnie trochę, że nie ma jeszcze Mikołaja.

– Mamo, przestań – odparła Marta. – Dziadek znowu rozsiewa jakieś teorie spiskowe. Mam nadzieję, że nie będzie gadał żadnych głupot do Jasmine. Ona mówi po polsku, ale boję się, że może nie zrozumieć wszystkich jego żartów.

– Masz rację – zachichotała pani Barbara. – Może powinnaś jakoś ją na to przygotować. Wiesz, był dziennikarzem przez tyle lat, a po śmierci babci strasznie się nudzi. Chodził na zebrania towarzystwa przyjaciół Jastarni, ale stwierdził, że to nic ciekawego. Potem zaczął chodzić na spotkania do kółka rybackiego, a przecież w życiu nie siedział nawet w kutrze. To mu bardziej przypadło do gustu. Pijąc biber razem z rybakami, pomstował na Unię, która wprowadziła limity połowów. Musiałam to ukrócić. Teraz nigdzie nie chodzi i nudzi się jak mops.

– A gdzie tata?

– W Trójmieście, wysłałam go na zakupy. Ma przywieźć indyka i śledzie, i całe mnóstwo innych rzeczy. Mam nadzieję, że niczego nie zapomni, lista była długa.

– To może zrobimy mu niespodziankę i powiesz mu, że nie przyjechałam?

– On już od kilku dni czeka na ciebie, więc nie da się oszukać. Od razu zobaczy kampera na parkingu.

– No tak.

– I co tam u ciebie, córeczko, w tej Warszawie, jak ci tam idzie?

– Jakoś tam dajemy sobie radę – mruknęła Marta.

– Wiesz, że obok nas jest dom do kupienia? Nawet za sensowne pieniądze. Mogłabyś wziąć kredyt. Swój biznes możesz prowadzić równie dobrze tutaj.

– Ale przecież wiesz, że zależy mi, żeby dzieci poszły na studia w Warszawie – odparła Marta.

– Kiedy to będzie... – Pani Barbara machnęła ręką. – Tu mogłabyś prowadzić pensjonat i skończyłyby się twoje problemy z pieniędzmi. Twój sklep oczywiście nadal może działać, bo przecież jest w Internecie. Mikołaj bez problemu dostałby pracę w naszej szkole.

– Mamo, w Jastarni jest podstawówka, a on uczy w liceum.

– No to zatrudni się w Helu, raptem dwadzieścia minut pociągiem. Dzieci miałyby świeże powietrze.

– Mamo, świeże powietrze nie załatwia wszystkiego. Stasio jest chory, a w Warszawie jest więcej lekarzy.

– Jakoś do tej pory w tej Warszawie nie znalazłaś nikogo, kto potrafiłby pomóc małemu. Powiem ci tylko, że na takie napięcia mięśniowe to najlepszy jest zwykły masaż. Nie śmiej się. – Barbara pogroziła palcem. – Niedaleko mieszka pan Hubert Wałaszek, wspaniały specjalista, który robi masaże niemowlakom.

– Mamo, to naprawdę nie o to chodzi! Stasio ma poważniejsze problemy.

– Ale nie rozumiem, czemu nie chcesz spróbować – drążyła dalej matka. – Taki masaż przecież nie zaszkodzi, a może te napięcia mięśniowe ustąpią, może to właśnie jest przyczyna tego, że on nie chodzi. Może po prostu wszystko go boli. Przecież on tak często płacze. Obiecuj, że jeszcze przed świętami pójdziesz do pana Huberta.

– Obiecuję.

– Nie oszukuj.

– Mamuś, to mi trochę pachnie szarlatanerią. Najlepsi lekarze w Warszawie nie wiedzą, dlaczego Stasio nie chodzi, a pan Wałaszek to ogarnie? Proszę cię... Chyba sama rozumiesz, że to brzmi nedorzecznie.

– Dobrze, zrobisz jak zechcesz – odparła z godnością pani Barbara. – Ale wiedz, że robisz głupio, nie próbując różnych metod.

– Jakbym słyszała dziadka Edka.

– W końcu jestem jego córką – odcięła się z błyskiem w oku pani Barbara – i byłam dyrektorem tej szkoły w Jastarni, o której masz takie marne zdanie.

- Wcale nie mam marnego zdania.
- Sama mówiłaś, że Mikołaj nie chce tam pracować.
- Mamo, to podstawówka, a on uczy w liceum. Może nie chce się użerać z dziećmiakami.
- Przesadzasz, dobry nauczyciel po prostu lubi uczyć, koniec i kropka.
- Mamo, dobrze, pójdę do pana Huberta, jeżeli to cię tak uszczęśliwi.
- Mnie nie, ale może Stasiowi pomoże – odpowiedziała cierpko pani Barbara.
- Dobrze, widzę, że nastrój trochę siadł. Czy my zawsze musimy się kłócić?
- Nie musimy – odparła pani Barbara – ale z tobą najprostsze rzeczy urastają do rozmiaru górskiego szczytu. W życiu trzeba szukać najprostszyc i najszybszych rozwiązań.
- Dobrze – skwitowała Marta. – Idę trochę odpocząć na górę. – Wstała od stołu i pocałowała matkę w policzek.

### **Dom Zdrojowy**

*Polska, Jastarnia*

Po wypiciu drinków Zoo chciał jeszcze coś zamówić, ale Jasmine stwierdziła, że chce zobaczyć pokój, w którym się zatrzymał.

– Masz lodówkę z minibarkiem? – zapytała.

– Tak.

– To tam się napijemy. Uwielbiam alkohole w małych buteleczkach.

Opuścili bar i wsiedli do windy. Wcisnęli przycisk na pierwsze piętro. Drzwi się rozsunęły, ale nagle otworzyły się ponownie. Wsiadło dwóch mężczyzn. Pod obcisłymi swetrami rysowały się przerośnięte mięśnie.

– Wciśnij na minus jeden, tam są siłownia i bilard – powiedział bardziej opalony do bledszego.

– Dobrze mówisz, dobrze mówisz – przytaknął ten bledszy. Sweter też miał jaśniejszy, a mięśnie jakoś mniej napompowane. Najwyraźniej stał niżej w hierarchii. Stanęli pod ścianami windy niczym dwa goryle. Żuli gumy, ich zuchwy pracowały nerwowo. Ręce mieli nienaturalnie wielkie. Winda ruszyła do góry, a nie na siłownię. To wzbudziło ogólny rechot.

Ten opalony zaczął kręcić głową na wszystkie strony jak oszałały, aż coś chrupnęło mu w karku. Oczy mieli wielkie, okrągłe, wodzili nimi po całej windzie, ale była w nich pustka, zupełnie jak w oczach ryb, tyle że one

nie posiadają mózgow, tylko układ nerwowy. Całkiem możliwe, że mózgi tych dwóch też były w stanie szczątkowym; potrafili wypowiadać jakieś słowa, ale sposób ich postępowania to były jakieś wyuczone odruchy. Zoo bardziej nasunął daszek czapki na oczy. Nie chciał, żeby zaraz wybuchła bomba, żeby któryś z mięśniaków go rozpoznał i zaczęły się wspólne zdjęcia i cały ten cyrk.

Gdy winda stanęła na pierwszym piętrze, Zoo i Jasmine mieli spory problem, żeby wysiąść, bo góry mięśni dosłownie zagradzały przejście.

– Co, drzwi się otworzyły i nikt nie wsiada? – zdziwił się jeden z mięśniaków.

– Przepraszam – powiedział Zoo.

– A widzisz. – Ten bardziej opalony wysiadł i cmoknął mięsistymi ustami, patrząc na Jasmine. – Pani chce wysiąść, a my tu zagradzamy.

– No właśnie, co tak tarasujesz? – mruknął ten bledszy, wychodząc z windy.

Zoo i Jasmine wysiedli.

– To ty tarasujesz, ja wysiadłem – odparł ten opalony. Mięśnie znowu napięły się mu pod sweterkiem. Strasznie był nerwowy, każdemu jego słowu towarzyszyło naprężenie mięśni. Ruszył do windy kotuszącym się krokiem, jego ręce bujały się bezwładnie, jakby były przeszczepione z innego ciała. Przypominało to chód goryla, który dowodzi stadem. W tym kotusaniu potężnych ramion było zawarte czytelne ostrzeżenie: mogę walnąć, i to mocno.

Bledszy zarechotał nerwowo, wszystko go śmieszyło, dosłownie pękał ze śmiechu. Wdychane powietrze zdawało się łaskotać go w płuca. Strasznie wesoły gość. Ten opalony w milczeniu wsiadł do windy. Rysy twarzy miał jakby wyciosane w kamieniu, zupełnie jak u indiańskiego wodza. Tylko kartoflany nos psuł cały efekt. Drzwi zasunęły się i przez chwilę słychać było stłumiony rechot. Winda pomknęła w dół na siłownię.

– Niezłe towarzystwo tu przyjechało na sylwestra. – Zoo zaśmiał się. Musiał to jakoś skomentować. Za dużo mięśni drgających pod opiętymi sweterkami, za dużo mlaskania i rechotu. Tak, to wymagało komentarza, testosteron ma swoje prawa. Jasmine zamlaskała energicznie gumą, zupełnie jak dwa mięśniaki, i uśmiechnęła się zawadiacko.

– A swoją drogą zawsze ciekawi mnie, skąd tacy ludzie mają pieniądze – zastanowił się na głos Zoo, ruszając korytarzem do pokoju. – Na pewno je mają, skoro ich stać na taki hotel. Ci wyglądali mi na hurtowników wódki, co myślisz?

– Raczej sprzedawcy sterydów – odparła Jasmine.

Zoo zaśmiał się. Lubił takie poczucie humoru, trafiające w punkt, w samą dziesiątkę.

– Jesteśmy – oznajmił, stając przed pokojem czterysta dwadzieścia pięć. Wsunął kartę do czytnika. Zapaliła się zielona lampka i weszli do środka.

Po prawej stronie znajdował się ciąg szaf, po przeciwnej – drzwi do łazienki. W całym wnętrzu wyczuwało się zapach wanilii. Dalej w pokoju stały biurko z ukrytą lodówką i minibarkiem i wielkie łóżko. Naprzeciwko rozłożona była kanapa, a w kącie łóżeczko dla dzieci.

– A to dobre! Czy ja o czymś nie wiem? – Jasmine wskazała na nie i zaśmiała się.

– To jakaś pomyłka. – Zoo machnął ręką. Dla mężczyzn jego pokroju dzieci były jakimś odległym, mglistym tematem. Zupełnie jak tajemniczy okręt płynący w niezbadane, dalekie krainy.

Na końcu pokoju królowało wielkie okno do samej ziemi.

– Zobacz, tam jest taras.

Jasmine otworzyła drzwi. Owionął ją chłodny wiatr idący od morza, pełen zapachu soli i jodu. Na stalowych poręczach balustrady niczym brylanty wisiły zamrożone krople deszczu. Odbijało się w nich światło latarni oświetlających pobliskie wyjście na plażę. Jasmine podeszła do poręczy. W dole był plac zabaw dla dzieci. Zoo zbliżył się do niej. Wyjął paczkę papierosów.

– Proszę, nie. – Dotknęła jego dłoni. – Nie chcę, żebyś później cuchnął jak popielniczka.

Słychać było szum morza biegnący z oddali. Był sztorm. W dole widać było, jak przejściem na plażę idzie wolno jakaś przytulona do siebie para. Dalej był las z nadmorskimi sosnami powykręcany na wszystkie strony. Spośród ich koron wyrastała latarnia morska pomalowana w biało-czerwone pasy. Błyskała swym ostrzegawczym światłem, które wirowało wkoło. Jasmine wsunęła się pod ramię Zoo. Pachniało śniegiem i morzem. Wrócili do pokoju, do zapachu wanilii.

– Poproszę Jacka Daniel'sa z colą i orzeszki – powiedziała Jasmine, siadając w fotelu. – Wypiję drinka i muszę uciekać.

– Nie chcesz zostać?

– Chcę – odparła z przekornym uśmiechem – ale ciotka przygotowuje kolację i muszę na niej być. Jutro rano odwiedzę cię, będę o ósmej. Wypijemy

kawę, a potem pójdę na basen popływać.

– Zostań – poprosił. – Mieliśmy zrobić dogrywkę bilardu.

– Nie zostaję z nieznanymi mężczyznami. Mówiłam ci, mogę być zabójczynią, antychrystem. To dla twojego dobra. A dogrywkę zrobimy jutro.

– Niech ci będzie – odparł. – Ale jak wygram, to...

– Nie mów. – Położyła mu palec na ustach. – Jutro się przekonamy, kto wygra. Zwycięzca powie swoje życzenie.

Chwilę jeszcze rozmawiali. Kiedy Jasmine skończyła drinka, pocałowała Zoo czule w policzek.

– Do jutra – rzuciła i wyszła.

Pokój zrobił się bez niej pusty.

## **Rozmowa**

*Polska, Jastarnia*

Gdy Jasmine wróciła do domu, w holu przy kuchni spotkała pana Edwarda, który kładąc palec na usta, zaczął jej dawać znaki, by poszła z nim na górę.

*Niezła rodzinka* – pomyślała, ruszając w ślad za starszym panem.

Pokój pana Edwarda pachniał lekami. Na oknie stały bujnie rozrośnięte paprocie, takie same na szafie i etażerce. Pośrodku dużego stołu z gazetami górował wysoki kufel piwa.

– Nie przejmuj się tym bałaganem. – Starszy pan niedbale machnął ręką. – W pewnym wieku porządek schodzi na dalszy plan. Proszę, siadaj. – Wskazał na fotel. – Chcę z tobą porozmawiać i dowiedzieć się, co tam słychać w Kanadzie.

– Nic takiego. – Jasmine wzruszyła ramionami.

– Dobrze mówisz po polsku – pochwalił ją pan Edward. – Chcesz trochę piwa?

– Nie, dziękuję. – Uśmiechnęła się.

– A, przepraszam, ty jesteś jeszcze za młoda. Lepiej nie będę cię częstował, bo mnie jeszcze ukrzyżują w tym domu. – Zaśmiał się. – Ciężko być wybitnie inteligentnym człowiekiem. Często głupcy w swoim zadufaniu, ponieważ sami nie mają zwyczaju myśleć zbyt wiele, zaczynają sądzić, że pozjadali wszystkie rozumy. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak, jasne. – Pokiwała ze śmiechem głową.



– No, wreszcie bratnia dusza – westchnął pan Edward. – Miło się z tobą gawędzi.

Nagle rozległo się szybkie pukanie do drzwi i nim starszy pan zdążył powiedzieć „proszę”, na progu pokoju stanęła Marta. Spojrzała na Jasmine.

– O, tu jesteś.

– Tak, rozmawiamy sobie – powiedział pan Edward.

– Ale nie na żadne dziwne tematy? – spytała podejrzliwie Marta.

– Ale co masz na myśli, Kanta, Hegła czy Schopenhauera? Bo do tego jeszcze nie doszliśmy, kochana wnuczko. Największą bolączką współczesności jest to, że filozofia zupełnie obumarła – westchnął pan Edward. – W tej materii dosłownie nic się nie dzieje. Współczesny świat jedzie na baku paliwa zatankowanym już dawno temu. Ciekawe, co się stanie, jak paliwo się skończy. Jesteście w stanie wymyślić jakiś oryginalny pogląd, koncepcję? W końcu każdy człowiek ma swoją wolę, która jest siłą sprawczą we wszechświecie. Obawiam się jednak, że prędzej maszyny zaczną za was myśleć.

– Dziadku, przepraszam cię, ale musimy iść – przerwała mu Marta.

– Dobrze, idźcie, ogarnijcie swoją rzeczywistość. A ty – zwrócił się do Jasmine – wpadnij jeszcze do mnie kiedyś.

– O czym rozmawialiście? – Marta zapytała na korytarzu.

– O niczym szczególnym – odparła wymijająco Jasmine.

– Dziadek czasami porusza różne kontrowersyjne tematy – wyjaśniła Marta. – Po śmierci babci plecie, co mu ślina na język przyniesie. Mam nadzieję, że nie zrobił ci przykrości?

– Nie, skądże – zaprotestowała żywo Jasmine. – Bardzo miło rozmawialiśmy.

– To dobrze – mruknęła Marta. – Pamiętaj, że na początku zawsze jest miło, dziadek ciężkie działa wyciąga później. Chowa je za paprotkami. – Uśmiechnęła się. – Za dziesięć minut jest kolacja na dole. Zejdź, poznasz resztę rodziny. Mieszkamy od pokoleń w Jastarni, wszyscy chcą się z tobą spotkać.

– Dobrze, ciociu, zaraz przyjdę. Rano chcę zobaczyć port, będę mogła pójść?

– Oczywiście. – Marta uśmiechnęła się. – Rano port w Jastarni jest jedyny w swoim rodzaju.



## ROZDZIAŁ 46

*Venimus, vidimus, Deus vicit.*

Jan III Sobieski

### **Pan Edward**

*Polska, Jastarnia*

Tego dnia pan Edward wstał przed ósmą i po szybkiej toalecie ruszył do sklepu. Uruchomił swoją żółtą Pandę i zaczął powoli wycofywać. Jednocześnie wkładał płytę CD do odtwarzacza.

– Dzisiaj czas na polskie przeboje – stwierdził. Z głośników popłynął głos Tadeusza Faliszewskiego z miękkim przedwojennym akcentem.

*To jest życie hokus pokus,  
zwykły hazard, zwykła gra,  
albo orzeł, albo reszka,  
raz się ni ma, raz się ma.*

Panda ruszyła w tył wąskim przejazdem w stronę uliczki księdza Stefańskiego.

*Jeśli wygrasz, to w porządku,  
wtedy, bracie, rób, co chcesz,  
a jak przegrasz, też się nie martw,  
tylko ze mnie przykład bierz.*

Z tyłu w dzikim pędzie przejechał czarny hummer z wielkimi błyszczącymi felgami.

– Co za diabeł tu jeździ? – mruknął pan Edward, wciskając mocno hamulec. Udało mu się zatrzymać auto w ostatnim momencie. Potężny wóz

dostownie zmiotłby żółtą Pandę. – To już drugi raz. – Staruszek pokręcił głową. – Świat naprawdę zwariował, dokąd ci obłąkani ludzie tak pędzą?

Tymczasem hummer przejechał przez całą Jastarnię i skręcił w ulicę prowadzącą do hotelu Dom Zdrojowy. Wjechał na parking rozlokowany pośród drzew i zatrzymał się, jakby wrósł w ziemię. Silnik zgasł, z wozu jednak nikt nie wysiadł. Na parkingu zapanowała cisza. Był kwadrans po ósmej i hotel dopiero budził się ze snu. Hummer najwyraźniej zaczął się i czekał na kogoś. Zza przyciemnianych szyb nie widać było kierowcy.

## **Jasmine na basenie**

*Polska, Jastarnia*

Równo o ósmej Jasmine zapukała do drzwi pokoju hotelowego Zoo. Otworzył jej rozespany, z potarganymi włosami.

– *Salut*<sup>[1]</sup> – rzuciła, całując go w policzek. – Widzę, że jeszcze śpisz. Pójdę na basen. Ty się w tym czasie ogarnij, a potem pójdziemy na kawę do baru na dachu, okay?

– Świetny plan. – Zoo podał jej kartę do pokoju.

– Po co mi to dajesz? – zdziwiła się.

– Ta karta otwiera drzwi na basen, inaczej tam nie wejdiesz – wyjaśnił.

Jasmine zjechała na poziom zero i przeszła koło recepcji. Basen znajdował się w części spa. Kartą otworzyła drzwi do przebieralni. W środku panowała zupełna cisza; o tej porze większość gości jeszcze spała, a ci, którzy się obudzili, szykowali się raczej na śniadanie niż pływalnię.

Woda w basenie była zupełnie nieruchoma niczym tafla szkła. Jasmine zeszła do niej po schodkach. Na początku było jej zimno, ale kiedy zaczęła płynąć, to uczucie stało się przyjemne. Przymknęła oczy i płynęła przed siebie. Gdy dotarła do brzegu, lekko się odbiła i ruszyła w drugą stronę. Nagle usłyszała trzaśnięcie drzwiami; ktoś wszedł do przebieralni i zmierzał na basen. Jasmine otworzyła oczy, serce забиło jej mocniej. Instynkt podpowiadał jej, że zaraz stanie się coś złego. Poptynęła w odległy kąt basenu, gdzie znajdowały się okolone murem zatoczki z hydromasażem. Ukryła się tam i nasłuchiwała w skupieniu. Nagle usłyszała czyjeś kroki, ktoś był już na basenie. Serce podeszło jej do gardła.

## **Agent Alex jedzie do Jastarni**

*Polska, Warszawa*

Agent Alex dzwonił kilka razy na telefon stacjonarny do mieszkania Marty. Za każdym razem mocno biło mu serce, bo sądził, że za chwilę usłyszy jej głos. *Co mam jej powiedzieć? – zastanawiał się. A jak odbierze jej mąż?* Mimo ciągłych prób telefonu nikt nie odebrał. Wówczas Alex postanowił jechać pod wskazany adres na wielkie osiedle. W mieszkaniu również nikogo nie zastał. Był piątek, godzina siedemnasta. Postanowił wrócić wieczorem, jednak i to nic nie dało. Mieszkanie było ciemne i głucho. *No cóż, będę musiał wyruszyć do Jastarni – pomyślał Alex.* Pamiętał, że w teczce podana była jeszcze ta lokalizacja, związana z rodziną Marty. Doszedł do wniosku, że kobieta musiała pojechać tam na święta. Wracając taksówką do hotelu, sprawdził trasę dojazdu. Postanowił rano wypożyczyć samochód.

W hotelu od razu poszedł na basen i pływał ponad godzinę. Gdyby tego nie zrobił i obejrzał jakieś wiadomości, dowiedziałby się, że nad Polskę zbliżała się potężna burza śnieżna, która dotarła tu aż z Kanady. Była to ta sama burza, która omal nie unieruchomiła samolotu Jasmine.

Wracając z basenu, czuł się zmęczony. Potrzebował ruchu. Już dawno nie pływał, a jego ciało nawykłe do wysiłku fizycznego musiało od czasu do czasu porządnie się zmęczyć. Potrzebowało również czasami Jacka Daniel'sa, by stłumić niespokojne myśli. Przed snem wstąpił jeszcze do baru na szczycie hotelu, skąd rozciągał się wspaniały widok na miasto. Tego dnia wcale nie widział się z prawniczką. Sącząc drinka, wysłał jej lakonicznego SMS-a: „Jutro rano wyjeżdżamy, wiem gdzie ona jest, czas zakończyć tę sprawę”. Plan został obmyślony.

## **Albinos**

*Polska, Jastarnia*

– Wiem, że tu jesteś. – Na basenie dał się słyszeć męski głos. – Lubisz wcześniej wstawać, jednak czegoś cię nauczyli w tym psychiatryku.

Jasmine zamarła i przestała oddychać. Nagle zapadła cisza. Wtem tuż nad nią znad muru odgradzającego hydromasaż wyłoniła się głowa albinosa, tego samego, którego Jasmine widziała w helikopterze z Klaudią.

– A tu się ukryłaś. – Zaśmiał się złośliwie. – Przysyła mnie Klaudia. Nie mogła sama przyjechać, więc przekazuje ci to. – Mężczyzna podał Jasmine niewielkie pudełko. – Fajnego hummera kupiłaś – stwierdził z krzywym uśmiechem. – Zabrałem go, po co ma stać bezczynnie na parkingu. Ciekawe tylko, co powie Klaudia, jak się dowie, że kupujesz takie zabawki.

W tym momencie na basenie zrobił się ruch. Weszła duża rodzina z dziećmi, a z zaplecza wrócił ratownik. Widząc przybysza w pełnym ubraniu, od razu zwrócił się do niego i wskazał na szatnię:

– Na basen wchodzimy tylko w stroju kąpielowym. Proszę się przebrać.

– Właśnie już wychodzę – rzucił albinos lodowatym głosem. – Nie rób żadnych głupot, mamy cię na oku – szepnął do Jasmine, po czym zniknął w przebieralni.

Dziewczyna domyślała się, co zawiera pakunek. Postanowiła otworzyć go w jakimś dyskretnym miejscu. Prezenty od Klaudii zazwyczaj bywały kontrowersyjne.

Wracając z basenu, ukryła paczkę w skrzynce hydrantu na klatce schodowej. Kiedy weszła do pokoju, Zoo był już przygotowany i czekał na nią.

– Zapraszam na kawę – rzucił wesoło.

– Idź sam – mruknęła.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Chcę być sama – warknęła.

– Dobrze, jak wrócę to pogadamy. Teraz mam wrażenie, że chcesz mnie ugryźć.

Jasmine w milczeniu podeszła do minibaru. Naprędce zrobiła sobie drinka z rumu i coli. Zoo chwilę kręcił się po pokoju, w końcu wyszedł.

Gdy wrócił, nie zastał Jasmine.

*Cholera, mogłem zostać – pomyślał. Coś było z nią nie tak. Po co szedłem na tę kawę?*

Pocieszała go myśl, że Jastarnia jest niewielka i łatwo tu na kogoś wpaść. Niebawem miała przyjechać Kurczak z dziećmi.

## **Jasmine otwiera prezent**

*Polska, Jastarnia*

Jasmine opuściła hotel boczną klatką schodową. Korzystający z niej goście wchodzili z pominięciem recepcji. Drzwi prowadziły na niewielki skwerek, za którym znajdowało się wejście na plażę, dokąd Jasmine skierowała swoje kroki. Idąc ku morzu, pospiesznie rozpakowała paczkę. Tak jak się domyślała, wewnątrz znajdował się telefon komórkowy.

Westchnęła ciężko i ruszyła przez pustą plażę. Wokół nie było żywego ducha, morze było spokojne, tylko mewy goniły się z piskiem. Wiatru nie było wcale i naprawdę nic nie zapowiadało śnieżnej burzy, która już dotarła nad zachodnią Polskę, zasypując wszystko zwałami śniegu. Nagle telefon zadzwonił.

Dziewczyna odebrała z mocno bijącym sercem. W słuchawce zadudniła muzyka puszczone na pełen regulator. Agnieszka Chylińska śpiewała z całą mocą:

*To właśnie ja, królowa łez, królowa strat.  
Chciałam pokochać cię, ale nie wiem jak.*

Raptem wszystko ucichło.

– Powinnaś była kazać albinosowi cię utopić. – W słuchawce dał się słyszeć głos Klaudii i szum pędzącego wozu.

– Przepraszam – bąknęła struchlała Jasmine.

– Zamknij się! – rzuciła Klaudia przez zaciśnięte zęby. – Po pierwsze kto pozwolił ci kupić tego hummera? Co ty kombinujesz, chcesz uciec? Przyznaj się!

– Nie. – Jasmine pokręciła energicznie głową. – Po prostu dostałam więcej pieniędzy na wyjazd i kupiłam go na nazwisko ciotki. Nigdy nie miałam samochodu, odbiło mi, przepraszam.

– Dlaczego oni wszyscy jeszcze żyją? – dopytywała Klaudia. – Widzę, że tobie się wydaje, że to jakaś zabawa. Przecież dostałaś wyraźne polecenie.

– Ciotka nagle wymyśliła, że wyjeżdżamy. Przysięgam, że chciałam to zrobić, ale spanikowałam. Jechaliśmy dużym kamperem, nie potrafię prowadzić tak wielkiego samochodu... Zresztą co miałabym zrobić z ciałami?

– Łzesz – warknęła Klaudia. – Tak to sobie ciotkę możesz oszukiwać, sąd, prawników i cały świat, ale ja się nabrać nie dam! – Na moment zapadła cisza. – Chwilowo nie ma mnie w Jastarni, ale nadciągam i jak już przybędę po ciebie,

chcę usłyszeć, że wszystko zrobiłaś, jak należy. Pamiętaj, że mamy cię na oku. Nie próbuj uciekać. Wiem, że chodzi ci to po głowie. Jakbyś mnie posłuchała, byłoby już po wszystkim. Teraz masz więcej osób do zabicia. Cała ta rodzina ma zniknąć. To twoja wina. Zrób, co masz zrobić, i czekaj na mnie. W innym wypadku koniec z tobą. Albo oni, albo ty. Więc nie baw się w żadne sentymenty!

– Dobrze – mruknięła Jasmine.

– Załatw sprawę z tą rodziną, a może pozwolę ci zatrzymać hummera – dodała już łagodniej opiekunka. – Będę się kontaktowała z tobą przez ten telefon, trzymaj go zawsze przy sobie. Zrozumiałaś wszystko?

– Tak...

– Pamiętaj, do Wigilii sprawa ma być załatwiona. Zostało ci raptem parę dni, więc spiesz się. Jeżeli tego nie zrobisz, to już po tobie, nie będziesz nam potrzebna i nawet ja ci nie pomogę. To zwykły test, więc po prostu go zdaj. Pokaż, że się do czegoś nadajesz.

– Zrobię to – mruknięła Jasmine.

– Przestań obiecywać – syknęła Klaudia – tylko, kurwa, zacznij działać! Jasmine nic nie odpowiedziała. Na moment zapadła ciężka cisza.

– Naprawdę lepiej cię oceniałam – rzuciła Klaudia.

Po chwili telefon wydawał już tylko sygnał przerwane połączenia. Jasmine w ponurym nastroju ruszyła plażą w stronę domu.

## **Teorie pana Edwarda**

*Polska, Jastarnia*

Jasmine była roztrzęsiona po tej rozmowie. Naiwnie sądziła, że nikt jej nie znajdzie w Jastarni tak szybko i że zaraz po świętach uda się jej uciec. Teraz opiekunka postawiła sprawę na ostrzu noża. Dziewczyna nie mogła się już dalej wykręcać, musiała robić, co jej kazano. Gdy wróciła do domu, zupełnie nie wiedziała, co ma ze sobą począć. Postanowiła odwiedzić starszego pana; tylko on wydawał jej się na tyle szalony, by móc zrozumieć jej podły nastrój.

Cicho zapukała do drzwi. Pan Edward siedział przy biurku zastanym gazetami i popijając czarną kawę, robił poranny przegląd prasy. W kącie stało szerokie łóżko, na którym pełno było gazet i książek.



– Miło cię widzieć, usiądź gdzieś. O, tam masz krzesło. Tylko zrzuć te książki na ziemię. Jak widzisz, lubię czytać. – Zaśmiał się.

Gdy Jasmine usiadła, starszy pan sięgnął do siatki pod stołem i wyjął puszkę piwa.

– Chcesz się napić? Zimne, prosto ze sklepu.

– Poproszę – odparła Jasmine.

– Wydajesz mi się smutna. – Pan Edward zmarszczył brwi.

– Sama nie wiem. – Wzruszyła ramionami.

– Nie dziwię ci się, świat zupełnie oszalał, czasami ciężko tu wytrzymać. – Zachichotał. – Ja mam swoją samotnię, gazety i tyle myśli w głowie, że czasami mam wrażenie, że pięknie jak bańka mydlana, a byłaby to niepowetowana strata dla świata.

Jasmine uśmiechnęła się rozbawiona.

– Uwierz mi, naprawdę mam tyle teorii, że jakby ktoś pocziwy usiadł i je spisał, to wyszłaby z tego niezła praca pod tytułem „Jak zrobić ze świata miejsce przyjazne dla ludzi”. Osobiście uważam, że świat poszedł w złym kierunku. Przykład pierwszy z brzegu. – Wskazał na półkę z książkami, gdzie stał opasty tom powieści kryminalnej.

– Chodzi o tę grubą książkę? – spytała Jasmine.

– Dokładnie. Piękna, kolorowa okładka, nie powiem, dałem się skusić zupełnie jak sztubak. Miałem wrażenie, że czytając to dzieło, poznam jakąś błyskotliwą myśl, niezwykłą ideę, a dostałem tylko papkę dialogów i słabo zbudowaną intrygę. Słownictwo pożałuj Boże, dno i wodorosty. Taka w skrócie recenzja. Zamiast głębi jeziora Bajkał sadzawka, w której nawet żaba się nie przepłynie. Naprawdę smutne.

Jasmine pokiwała głową, biorąc łyk zimnego piwa. Czuła się dobrze. To, co mówił pan Edward, skutecznie wyrywało ją z jej świata i wtlaczało w zupełnie inną rzeczywistość.

– Ja jestem skażony klasyką. – Starszy pan wskazał na siebie. – Te książki, które czytałem w młodości, były niezwykłe. Na przykład *Wielki Gatsby*, jedna z moich ulubionych lektur. Czasami odnoszę wrażenie, że niektóre powieści zostały napisane tylko dla jednego zdania. Poczekaj. – Zaczął myszkować pod stertą gazet. – A tu cię mam. – Wyciągnął pierwszy tom *Nędzników* Wiktora Hugo. – Znasz tę książkę?

– Tak. – Jasmine skinęła głową. W szpitalu psychiatrycznym dobre jest to, że ma się sporo czasu na czytanie. Podczas pobytu przeczytała prawie całą bibliotekę, w tym także dzieła Hugo.

– Pamiętasz zapewne akcję – powiedział pan Edward, wertując książkę. – Dla przypomnienia, były galernik odwiedza biskupa i kradnie mu srebra ze stołu. Ucieka, a następnego ranka przyprowadzają go żandarmi. Biskup mówi, że dał mu srebra w prezencie i jeszcze dokłada do nich dwa lichtarze. Potem dzieje się to. – Starszy pan odchrząknął i zaczął czytać:

„– Nie zapominaj, nie zapominaj nigdy, żeś mi obiecał z pomocą tego srebra zostać poczciwym człowiekiem.

Jan Valjean nie przypominał sobie, żeby co podobnego obiecał, i milczał zdumiony. Biskup wymówił te słowa z przyciskiem i dodał uroczyście:

– Janie Valjean, bracie mój, odtąd nie należysz do złego, lecz do dobrego. Kupuję ci twą duszę, wydzieram ją czarnym myśłem i duchowi zatracenia, a wracam Panu Bogu”.

– Dla tych kilku zdań powstała ta powieść. Właśnie tak się zmienia duszę człowieka. Trzeba w nią zajrzeć i tchnąć dobro. Żadna z tych nowych książek nie ma o tym pojęcia. – Pan Edward machnął ręką. – Przepraszam, pewnie cię zanudzam. – Pokiwał głową. – Piękna, młoda dziewczyna przyszła do starego piernika, a ten pieprzy głupoty. Dobrze, że chociaż piwem poczęstował.

Jasmine zaśmiała się.

– Przynajmniej trochę cię rozbawiłem – zauważył pan Edward z błyskiem w oku. – No, ale teraz ty coś powiedz. Powiedz, jak żyjesz, jak podoba ci się Polska? Jesteś tutaj pierwszy raz?

– Tak.

– Jak wrażenia? Powiedz, jestem ciekawy – zachęcał.

– Sama nie wiem.

– Jak to nie wiesz? – Starszy pan uśmiechnął się przekornie. – Inteligentny człowiek zawsze ma coś do powiedzenia i zawsze coś wie.

– Nie, to nie tak, po prostu myślę, że Polska w żaden sposób nie różni się od krajów, które znam. Myślę, że wszędzie jest tak samo.

– A tu się z tobą nie zgodzę – odparł pan Edward. – Polska jest niezwykłym krajem. Z każdym dniem, gdy będziesz tu dłużej, dostrzeżesz to wyraźnie, i nie chodzi mi tylko o historię. Wyobraź sobie, że jesteśmy jedynym krajem, który nigdy nie prowadził wojen zaborczych, nigdy nie mieliśmy kolonii.

Zamiast podbijać inne narody, zawieraliśmy z nimi przeróżne unie. Nasza polityka zagraniczna zawsze kierowała się moralnością i katolickimi wartościami. Nie gnębiliśmy słabszych, tylko wyciągaliśmy pomocną dłoń. Stoczyliśmy kilka bitew, które przeszły do historii. Można tu przypomnieć obronę Europy przez naszego króla Jana III Sobieskiego, który pokonał Turków pod Wiedniem. Nic z tej wojny nie mieliśmy, to nie była chłodna, cyniczna kalkulacja. Po prostu polski król ruszył na ratunek. Następnie powstrzymanie Armii Czerwonej w dwudziestym roku, kiedy maszerowała na Berlin zanieść rewolucję na bagnietach. Dalej rozsadzenie bloku komunistycznego od środka. Bez naszego potężnego ruchu Solidarność mur berliński by nie upadł. I to, co robił dla pokoju nasz papież Jan Paweł II. Przyznaj sama, że to całkiem sporo, jak na w sumie niewielki kraj. W końcu nie jesteśmy żadnym wielkim mocarstwem. I jeszcze nasz Chopin, i Kopernik, który wstrzymał słońce, a ruszył Ziemię, Maria Skłodowska-Curie i inni naukowcy...

– Nie wiedziałam o tym – mruknęła Jasmine.

– To teraz już wiesz. – Pan Edward puścił do niej oczko. – Twoje zdrowie. Dobrze się z tobą rozmawia. Coraz bardziej mi się podobaś, dziewczyno. W każdym razie uważam, że świat pędzi naprzód, ale przydałaby mu się odrobina zadumy. Jak weszłaś, ja tutaj sobie siedziałem na krześle. Myślę, że całemu światu zrobiłoby dobrze przynajmniej dziesięć minut takiego siedzenia. Za moich czasów może nie mieliśmy komputerów i Internetu, drukarek, faksów, a praca i tak była wykonana, i to z nawiązką. A jeszcze mieliśmy czas na zabawę i przyjemności. Teraz świat zupełnie oszalał. Ludzie wykonują mnóstwo pracy, która jest nikomu do niczego niepotrzebna. Jak zapewne już wiesz, byłem dziennikarzem i moja córka Basia założyła mi maila. Czasami go sprawdzam i włos mi się dostownie jeży na głowie. Czy zdajesz sobie sprawę, ile przychodzi do mnie wiadomości? Przecież to jest jakiś obłąd.

Jasmine pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Kto by tam miał pisać do takiego starego skurczybyka jak ja? – Pan Edward postukał się w pierś. – A jednak moja skrzynka codziennie jest bombardowana mailami. Stale jestem pod ostrzałem. Tymczasem jak przyjdzie jakaś ważna wiadomość, to w tym całym bałaganie po prostu nie mogę jej znaleźć. Powiem ci, że chyba wolę tradycyjne listy. A ty co myślisz?

– Ja znam tylko to, co jest teraz, ale to bardzo ciekawe, o czym pan mówi. Może przydałaby się nawet jakaś debata na ten temat. Już widzę tytuł: „W którą stronę zmierza świat”.

– Ciekawy pomysł. – Starszy pan pokiwał głową.

– Swoją drogą – mówiła dalej Jasmine – myślę, że świat szybkim krokiem zmierza w stronę technologii, która tak naprawdę skutecznie oducza nas myślenia. Ludzie już nie chcą z sobą rozmawiać, wolą wysyłać do siebie wiadomości. A już najchętniej oglądają zdjęcia z fikcyjnego życia toczącego się na portalach społecznościowych.

– Ty również tak robisz? – Pan Edward zmarszczył brwi.

– Ja nie uznaję portali społecznościowych. Wolę być sama ze swoimi myślami.

– Popieram w całej rozciągłości. – Staruszek pokiwał głową. – Świat powinien zdecydowanie więcej myśleć. Przecież teraz już nawet normalnie nie można rozmawiać. Dawniej Murzyn był Murzynem i nikogo to nie obrażało. Teraz już nie jest Murzynem, bo to go stygmatyzuje, że ma czarną skórę. No, ale przecież, na Boga, nie jest przecież różowym prosiaczkim! Naszą rzeczywistość trzeba jakoś określać. Myślę, że nakładamy sobie takie kagańce, że faktycznie lepiej się nie komunikować, tylko siedzieć i bezmyślnie przeglądać jakieś obrazki. Jednak nie na tym polega tolerancja, to jakaś fałszywa hybryda. Prawdziwa tolerancja polega na zauważaniu różnic i szanowaniu się, a nie na sprowadzaniu wszystkiego do tego samego mianownika. Świat jest różnorodny, kolorowy, niezwykły, pełen niespodzianek, a jak zmieszamy wszystkie kolory, to wiesz, co powstanie?

– Nie. – Jasmine pokręciła głową.

– Taki bury kolor jak z łagru, bo cały świat zrównany do wspólnego mianownika to nic innego jak wielki łagier, gdzie wszyscy mają myśleć i czuć na zawołanie to samo niczym pies Pawłowa. To jest chore, w tym nie ma ani krztyny wolności. I o to mam pretensje do ciebie.

– Do mnie? – zdziwiła się.

– Tak, ty jesteś młoda, a to wy, młodzi, tworzyacie świat, zmieniacie go. Zmieniajcie go więc mądrze. Powiem tak: przestańcie pieprzyć o ekologii, tylko po prostu zacznijcie żyć zdrowo. Hodujcie zwierzęta z sercem, szanujcie je. Niech wychodzą z tych swoich obórek, by chociaż raz zobaczyły słońce, a nie tylko wtedy, gdy idą na rzeź. Trzeba zerwać z tą kulturą mięsa, ograniczyć

trochę tę żarłoczność, którą wzbudzacie. Ten potwór konsumpcji kiedyś rzuci się na was i pożre, a potem połknie całą Ziemię i będzie koniec naszego pięknego świata. Ziemia niestety ma termin przydatności. Kiedyś słońce wybuchnie, to naukowy fakt. Cała niebieska planeta spłonie, każdy o tym wie, chyba że jest skończonym idiotą i zajmuje się jedynie swoją komórką. To jest właśnie cel dla ludzkości: podróże międzygalaktyczne. Kiedyś będzie trzeba się stąd wynieść. A na razie produkujemy mnóstwo sprzętów, które muszą się zepsuć. Są specjalnie zaprogramowane, by fabryki stale mogły coś produkować. To bezmyślny łańcuch konsumpcji. Trzeba go jakoś przerwać, nim świat zamieni się w gigantyczne wysypisko zepsutych pralek, lodówek, samochodów. Gdzieś tam – starszy pan wskazał na sufit – są inne planety, inne światy, które rządzą się innymi prawami niż ten. Niektóre są o niebo lepsze, inne gorsze. Wiem to na pewno, kiedyś miałem nawet taki sen. On był dosyć smutny, bo opowiadał o więzieniu dla dusz, które coś przeskrobały. To było bardzo dziwne więzienie, którego nikt nie musiał pilnować. Znajdowało się na niewielkiej planecie rzuconej gdzieś w ciemnym kącie kosmosu. To więzienie to była nasza Ziemia. Uważam, że dusze są tu specjalnie kierowane. Gradacja win jest różna. Tu na Ziemi musimy coś ze sobą zrobić, zmienić się, poprawić, a nie tylko oddychać, żreć mięcho, a w przerwach prokreować. Może kiedyś zbudujemy statki kosmiczne i najzwyczajniej w świecie damy stąd nogę. Okaze się, że daleko w kosmosie żyją wszyscy nasi bliscy. Tam są lepsze światy. Wierzę, że tam – pan Edward wbił znów oczy w sufit – żyje się dłużej i nie ma chorób. Tu na Ziemi musimy umrzeć, ale jestem pewien, że gdzieś się odradzamy. Gromadzenie bogactw, budowanie wielkich domów, potęga, władza – to wszystko nie ma sensu. Można mieszkać w szałasie i być szczęśliwym. Materia ciągnie nas w dół. Ona nie uskrzydla naszej duszy, która kiedyś będzie musiała wzbić się do lotu. Taka jest prawda, nikt się nie wywinie. Więc otwórz serce i się nie bój. Cały świat będzie twój, a potem cały wszechświat. Może masz mnie za starego, głupiego piernika, ale taka jest prawda. Ona zazwyczaj jest prosta i jasna. Więc nie bawmy się w piękne słówka, tylko wyrąbmy ją prosto w oczy. Ja mówię to tobie, ty też komuś powiedz. W końcu tylko słowa i myśli mogą zmienić świat. Sądzę, że tu na Ziemi mamy nauczyć się jednej rzeczy. Mamy nauczyć się kochać. To jedno jest nas w stanie wyzwolić z tego więzienia. Znajdź kogoś i pokochaj, tylko to masz naprawdę zrobić w życiu. – Starszy pan zamilkł i spojrzał uważnie

na Jasmine. – No chyba już doszczętnie cię zanudziłem. – Uśmiechnął się tajemniczo.

## ROZDZIAŁ 47

*Każdy, kto lubi seks i jedzenie, nie może być całkiem zły.*

Joan Collins, *Druga odłona*

### **Jasmine wraca do Zoo**

*Polska, Jastarnia*

Gdy Jasmine wyszła z pokoju pana Edwarda, naprawdę czuła się lepiej. Już wiedziała, co ma zrobić. Czasami jedna rozmowa potrafi zdziałać cuda. Na początek postanowiła wrócić do hotelu i wypić kawę z Zoo. Czuła, że nie powinien być ofiarą jej demonów.

Gdy zapukała do jego pokoju, otworzył jej zupełnie zaskoczony.

– Zapraszam cię na kawę i spacer – rzuciła krótko.

Kupili kawę na wynos w piekarni u Hinzkiego i ruszyli na spacer ulicą księdza Sychty.

– Wiesz, że jakbyśmy szli wciąż dalej przed siebie, to doszlibyśmy do Juraty? – spytał Zoo. – To przedwojenny polski kurort. Jest tam nawet posiadłość prezydenta.

– A długo się tam idzie?

– Myślę, że dwadzieścia minut, to niedaleko, niecałe dwa kilometry.

– To chodźmy – zaproponowała Jasmine. – Mamy taką romantyczną scenerię, zobacz, nawet zaczął padać śnieg.

Istotnie, śnieg prószył już, odkąd wyszli z kawiarni. Biały puch pokrywał wszystko. Po drugiej stronie ulicy również szła jakaś para przytulona do siebie. Bajeczne tło robiło swoje.

– Może też idą do Juraty – zachichotała Jasmine.

– To miasto ma bardzo ciekawą historię – powiedział Zoo.

– Opowiedz mi. – Uśmiechnęła się. – Dzisiaj jestem w nastroju do słuchania.

Zoo nie zdążył rozpocząć swojej opowieści. Gdy mijali zamkniętą na czas zimy restaurację Perkot, nagle zza drzewa wyszła jakaś ciemna postać. Jasmine schowała się za Zoo. Mężczyzna otoczony alkoholową aurą zbliżył się do nich.

– Przepraszam, ja nie chcę przeszkadzać. Chcę powiedzieć tylko jedno. – Wyciągnął rękę z dużą butelką wódki Wyborowej. Na dnie kołysała się resztką alkoholu. – Chcę napić się z państwem za Nowy Rok. – Wyciągnął kieliszek.

– Ale Nowy Rok jest za kilka dni – zauważył chłodno Zoo.

– Jutro, dzisiaj, wczoraj, to nie ma żadnego znaczenia. To tylko czas, a ja świętuję już teraz. Będę pewny, że niczego nie przegapię. A wy jesteście pewni? – Pijak uśmiechnął się przekornie. – Dobre rzeczy trzeba robić od razu, ja to dobrze wiem.

– Możemy się napić – odparła Jasmine.

Mężczyzna od razu nalał jej kieliszek, ale tylko do połowy. Pijacy zawsze uważają, że kobiety raczej nie piją, więc z reguły nalewają im mniej. Alkohol w pełnych dawkach jest zarezerwowany tylko dla mężczyzn. Pijak sięgnął do kieszeni i wyjął drugi kieliszek. Błyskawicznie napełnił go po brzegi.

– To dla pana, proszę, za Nowy Rok. – Wyciągnął rękę do Zoo.

– Nie, ja dziękuję.

– Jest pan *driverem*? – zapytał podejrzliwie.

– Tak – przytaknął Zoo. Dobrze znał te pijackie gadki, które zazwyczaj zaczynają się niewinnie, ale często prowadzą do awantur.

– W takim razie to tylko my się napijemy. – Mężczyzna zwrócił się do Jasmine, która trzymała kieliszek. Zoo nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestał istnieć. Nie pił, więc po prostu go nie było. Pijak nachylił się do dziewczyny.

– Za ten Nowy Rok, żeby był dobry, ale... – wyciągnął palec – diaboliczny. Dobry toast, co? Napijmy się. – Trącił się z Jasmine kieliszkiem.

Otarł ręką usta i uśmiechnął się szeroko, ukazując niepełne uzębienie. Każdy ząb rósł w inną stronę niczym drzewo w krzywym szpalerze zasadzone ręką szalonego ogrodnika. Oczy miał rozbiegane, ruchy koliste. Wszystko było w nim jakieś roztańczone, a jego myśli wirowały niczym kręgi.

Ulicą wolno przejechał radiowóz, policjanci obrzucili podejrzaną grupę badawczym spojrzeniem. Jasmine natychmiast ukryła kieliszek w rękawie i przytuliła się do Zoo, jakby zlewając się z jego ciałem. Twarz obróciła w bok, by z radiowozu nie było jej widać. Policja zwolniła, ale odjechała dalej. Ten



człowiek był im najwyraźniej znany. W Polsce pijacy zawsze są traktowani pobłażliwie. Nikt przecież nie pije, bo jest szczęśliwy. Życie potrafi czasem nieźle dopiec, każdy to wie. Ale pijak tego wieczoru był w doskonałym nastroju.

– Życie jest jednak, kurwa, piękne – powiedział z szerokim, szczerbatym uśmiechem. – Przepraszam za przekleństwo, ale czasem używam dla podkreślenia, nigdy zamiast przecinka. Dzisiaj jest pięknie, chociaż dawniej moja prywatna była żona potrafiła zatruć każdą chwilę. Zawsze, gdy było najpiękniej, mówiła, że nie potrafiłem uratować Dominiki. „Jednak jej nie uratowałeś” – zawsze tak powtarzała. A przecież Dominika ma się dobrze i żyje.

– Nie rozumiem. – Jasmine zmarszczyła brwi.

– Nic takiego. – Pijak machnął ręką. – Po prostu tonął jacht, ja ratowałem wszystkich, a Dominikę, moją córkę, na końcu. I stało się to, że po prostu ktoś inny ją wyciągnął. Została uratowana, ale nie przeze mnie. Po prostu nie uratowałem Dominiki, została uratowana, ale nie przeze mnie. – Pijak nagle spochmurniał, alkoholowa euforia przechodziła w stadium czarnych przemyśleń. Alkohol na początku zmienia każdy dołek w szczyt, a potem na odwrót – wszystko już jest wielką cieniastą doliną, pełną złych myśli. Dopiero kolejny łyk i jeszcze następny mogą pomóc się z niej wydobyć, ale też nie zawsze.

– Napijmy się. – Pijak znowu potrząsnął butelką.

– Już idziemy – odparła Jasmine. – Jeden toast wystarczy.

– Dobrze, to pozwólcie, że ja się napiję za wasze zdrowie. – Nalał sobie kieliszek i wychylił jednym haustem.

– Do zobaczenia – powiedział Zoo.

– Do zobaczenia – powiedział pijak do Jasmine. Patrzył tylko na nią, jakby była jego aniołem. Teraz ten anioł odchodził z kimś, kto nawet nie chciał napić się wódki. A jak już facet nie chce się napić z drugim facetem wódki, tak normalnie i po ludzku, to zawsze jest podejrzany. Jego myśli są najwyraźniej za bardzo splecione z tym światem, wydaje mu się, że coś trzeba, że coś wypada. A przecież życie jest jak wartki górski potok. Po prostu rwie do przodu i za nic ma nasze działania i plany. Czasem może nam się wydawać, że oto właśnie nasze starania są kwintesencją życia, że je stwarzają, że bezruch nas zabije, ale to ułuda. Jesteśmy listkami unoszącymi się na falach życia. Nawet

gdybyśmy nie robili nic, to i tak prąd niesie nas w dal. To, co było przed sekundą, jest już przeszłością. Po prostu nie ma tego, rozplynęło się gdzieś. Istnieje tylko w naszej pamięci, a jak jej zabraknie, to gdzie się podzieje, no właśnie – gdzie? Życie jest jednak wielką fikcją. Każdy pijak dobrze to wie, kiedy płynie na fali upojenia alkoholowego.

Anioł odchodził, to było pewne jak dwa razy dwa. Pijak posmutniał i odpłynął w swoją stronę. Jasmine i Zoo ruszyli na spacer do Juraty.

– Mogłem się z nim napić – westchnął Zoo. Spojrzał gdzieś w dal, znowu przypomniał mu się ojciec. On też kiedyś tak zaczepiał ludzi i nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Daj spokój. – Jasmine poklepała go po ręce. – Dzisiaj to ja jestem w nastroju do picia i liczę na to, że będziesz moim kompanem.

– *Bien sûr*<sup>[1]</sup>. Mam nadzieję, że dzisiaj nie będziesz musiała znowu uciekać.

– Dzisiaj chcę być z tobą i chcę, żebyś zaprosił mnie na bilard – odparła.

### **Marta znajduje czarny notes**

*Polska, Jastarnia*

Marta ani na chwilę nie przestała szukać tajemniczego notesu Jasmine. Pozwalała jej wychodzić z domu i wtedy spokojnie oddawała się poszukiwaniom. Wydawało się jej, że w kamperze może łatwiej natrafić na ślad pamiętnika, ale i tam jej starania spęzły na niczym. Przełom nastąpił dopiero w Jastarni. Wracając samochodem z przedświątecznych zakupów, dojrzała, jak z okna pokoju, na samej górze wychyliła się Jasmine i chwilę majstrowała coś pod parapetem. Chwilę później okno zamknęło się.

– Mam cię. – Marta uśmiechnęła się do siebie. – Oczywiście, chowa notes pod parapetem. Genialna kryjówka.

Teraz wystarczyło poczekać, aż Jasmine wyjdzie z domu, a często gdzieś wychodziła, co było Marcie bardzo na rękę. Już cieszyła się na myśl, że oto przeczyta tajemnicze zapiski. Wydarzyło się jednak coś, co zepchnęło lekturę pamiętnika Jasmine na dalszy plan.

### **Alex leci do Jastarni**

*Polska, Jastarnia*

Syberyjska Bestia, która dotarła nad Polskę, z dnia na dzień przybierała na sile. Śnieżna nawałnica kilometr po kilometrze paraliżowała kraj, zasypując drogi i odcinając kolejne miejscowości od reszty świata. W sobotę Alex pożyczył samochód i o ósmej rano był już na autostradzie A2. Jechał szybko, w zasadzie cały czas lewym pasem, wyprzedzając wszystkich. Obok siedziała nachmurzona Anna Bouchard, pocieszając się tylko, że cała sprawa miała zakończyć się lada dzień. Była zła na Jasmine, że wykorzystwała ich przyjaźń.

Jechali w milczeniu, nie wiedząc, że zmierzają wprost w białe objęcia śnieżnej burzy. Kilka kilometrów przed Łodzią trafili na karambol samochodów spowodowany zaspami. Alex był wściekły, już myślał, że zakończy szybko sprawę. Nie poddawał się jednak. Wszedł z wozu i zorientował się, że do ofiar wypadku przyleciał śmigłowiec. Używając kanadyjskiej odznaki, załatwił, że helikopter zabierze go do Łodzi, skąd miał nadzieję jakoś się wydostać. Zostawił przerażoną Annę na autostradzie i po prostu odleciał.

– Wybacz, ale służba, zadanie... – rzucił, żegnając się z nią pośpiesznie. Tak naprawdę nie to gnało go do Jastarni. Marzył o spotkaniu z Martą.

Policja w Łodzi jakimś cudem uległa jego perswazjom i oddała mu do dyspozycji helikopter. Chciano przydzielić mu również pilota, ale wykręcił się argumentem, że sam świetnie da sobie radę. Obawiał się, że pilot widząc złe warunki, zawróci albo odmówi lotu. Alexowi jednak ciężko pilotowało się helikopter. Już dawno nie siedział za sterami.

Leciał na wschód, uciekając przed nadciągającą Syberyjską Bestią. Potem chciał zrobić koło i skierować się do Jastarni. Z mocno bijącym sercem leciał, aby spotkać się z Martą. *Później aresztuję tę małą. Cały kraj i tak jest odcięty, nigdzie mi nie ucieknie. Tylko mam nadzieję, że z Martą nie ma jej męża* – myślał.

W okolicach Gdańska trafił w końcu na śnieżną burzę, ale ryzykując, ruszył do Jastarni. Kilka razy podmuch wiatru omal nie cisnął helikopterem niczym piłką do Zatoki Puckiej, ale w końcu po szaleńczym locie Alex wylądował pod Jastarnią na łąkach od strony zatoki. Dawniej były to torfowiska, które dopiero po wojnie zaczęto zabudowywać domami.

Alex na chwiejnych nogach ruszył do miasta. Pierwsze kroki skierował do restauracji Łózko, gdzie zamówił grzane wino. Chwilę siedział w cieple, a w głowie mu szumiało. Nie mógł pojąć, że oto jest na ziemi. Cały ten lot w śnieżnej burzy to było jakieś szaleństwo. Gdy już się trochę ogrzał, ruszył wprost do domu rodzinnego Marty.

Od Zatoki Puckiej dął silny wiatr. Burza jeszcze nie dotarła nad Jastarnię; zbierała się nad zatoką, gdzie Alex walczył z nią, lecąc śmigłowcem. Teraz przemykał w cienkim płaszczu po opustoszałych uliczkach miasteczka. Lodowaty wiatr sprawił, że zmarzł na kość.

Adres domu rodzinnego Marty był w aktach. Polska policja wszystko świetnie przygotowała. W zasadzie ci w Kanadzie powinni uczyć się od Polaków. Wskazówki miał dosłownie podane na widelcu.

Kiedy stanął przed drzwiami domu na ulicy księdza Stefańskiego dwadzieścia jeden, serce waliło mu jak młotem. Już miał zadzwonić, ale zawahał się. *A co, jak zatrzaśnie mi drzwi przed nosem?* – pomyślał nagle. *No nic, wtedy pójdę do tej knajpy, napiję się jeszcze kilka kolejek i po prostu wrócę i aresztuję tę małą* – westchnął do swoich myśli. *Jeżeli nie zatrzaśnie drzwi, powiem, że zepsuł mi się samochód, zabłądziłem. Coś wymyślę.*

Już wyciągnął rękę, by zadzwonić, gdy wtem stało się coś nieoczekiwanego.

## **Gra w bilard**

*Polska, Jastarnia*

Zoo z Jasmine wrócili ze spaceru zmarznięci i wygłodniali. Burza śnieżna złapała ich w połowie drogi z Juraty. Przemarzli na kość. Od razu poszli do restauracji na czwartym piętrze, gdzie na początek wypili grzane wino. Zjedli kolację, do której Zoo zamówił butelkę czerwonego bordeaux. Potem poszli do sauny wygrzać się i chwilę leżeli w jacuzzi. Basen z jednej strony obudowany był szklaną ścianą, przez którą widać było szalejącą na zewnątrz burzę śnieżną. Obserwowanie jej było dla nich niezwykłym doświadczeniem.

– Chodźmy już stąd – powiedziała nagle Jasmine.

– To co chcesz robić?

– Chcę pograć w bilard – odparła.

– Już nie uciekasz do ciotki? – Zoo uśmiechnął się krzywo.

– Ciotka może poczekać.

Bilard znajdował się w piwnicy i był połączony z siłownią. Zoo zapalił światła. W siłowni nie było żywego ducha. Jasmine zaczęła próbować wszystkich sprzętów. Chwilę wygłupiali się, udając, że ostro ćwiczą.

Potem zaczęli grać w bilard. O dziwo, Jasmine wcale nie szło tak dobrze, a może tylko udawała. Pierwszą partię wygrał Zoo.

– Powiedz swoje życzenie – powiedziała Jasmine.

– Chcę, żebyś została dzisiaj ze mną.

– Zobaczymy – rzuciła krótko, wyjmując bile z łuz. Ułożyła je w trójkącie i rozbiła wprawnym ruchem. Wpadła czerwona, potem kolejne. Tę partię Zoo przegrał z kretesem.

– Teraz twoje życzenie – powiedział.

– Chcę, żebyś podszedł. – Jasmine kiwnęła palcem, siadając na rancie stołu.

– I co dalej?

– Pocałuj mnie.

Zoo poczuł jej chłodne usta. Przygarnęła go mocno. Dłonią chwyciła za kark i pociągnęła tak, że wylądowali na stole. Zoo zaczął całować ją jak oszalały.

– Chcę się kochać – wydyszała.

Zaczęli pospiesznie zrzucać z siebie rzeczy. Zoo chwycił jej silne, sprężyste ciało.

To był szybki seks, ale Zoo był oszołomiony jej dotykiem i zapachem. Kochali się pospiesznie, bojąc się, że ktoś zaraz nadejdzie. Nagle zgasło światło; na siłowni był zamontowany przełącznik czasowy. Zoo znieruchomiał.

– Co robisz? Nie przestawaj – ofuknęła go. Oparła się o kant stołu i napierała na niego pośladkami. – O, właśnie tak.

Zoo chwycił jej biodra i przymknął oczy.

– Szybciej – ponagliła go Jasmine. Jej jęki stawały się głośniejsze.

Nagle na korytarzu zapaliło się światło i rozległy się czyjeś kroki.

– Co to? – Jasmine zamarła.

Zoo natychmiast założył spodnie. Dziewczyna też pospiesznie zebrała porozrzucane rzeczy. Umknęli w głąb siłowni, by tam szybko się ubrać. Tymczasem do pomieszczenia ktoś wszedł. Zapaliły się światła. Jasmine, chowając się za atlasem, roztrzęsionymi rękoma usiłowała założyć bluzkę. Zoo walczył z koszulą.

– O, przepraszam. – Do sali wszedł chudy, wysoki okularnik ze szpiczastym nosem przypominającym dziób ptaka. – Wydawało mi się, że słyszę jakieś krzyki.

– Tylko ćwiczymy – mruknął Zoo, a Jasmine parsknęła śmiechem z ukrycia.

– To nie przeszkadzam – bąknął speszony facet i wyszedł.

– Chodź tu – zawołała. Gdy Zoo podszedł do niej, pocałowała go przeciągle. – Chodźmy do pokoju, chcę więcej.

## **Marta otwiera drzwi**

*Polska, Jastarnia*

Jak zwykle w ostatnim momencie skończyły się ubrania dla Stasia. Malec zwymiotował i trzeba było go szybko przebrać, a torba okazała się pusta. Reszta rzeczy była w kamperze. Marta poprosiła mamę, by została z dzieckiem, i zbiegła po schodach. Narzuciła na siebie byle jak polarową bluzę i z rozmachem otworzyła drzwi. Stał za nimi przystojny mężczyzna, trzęsąc się z zimna w cienkim płaszczu. Jego palec wskazujący znajdował się tuż nad dzwonkiem. Dwudniowy zarost i dyskretna opalenizna w głowie Marty kojarzyły się tylko z jednym człowiekiem. *Alex* – przemknęło jej przez myśl.

– *Bonsoir* [2], Marta – rzucił mężczyzna.

*Nie, to niemożliwe* – pomyślała i zatrzasnęła z rozmachem drzwi. *To musi być jakaś projekcja mojego mózgu. To nie może być on. To nie jest możliwe.*

Nagle z powrotem otworzyła drzwi. Wciąż stał za nimi Alex we własnej osobie. Z pochyloną głową i miną zbitego psa obserwował czubki swoich butów.

– Przepraszam, Marta, to chyba nie pora – bąknął po francusku, spoglądając na nią swoimi jasnoniebieskimi oczami, na widok których zawsze przechodziły ją ciarki.

– Co tu robisz?

– Wpuścisz mnie? Zrozumiem, jeśli mnie odprawisz.

– Tak, odprawiam cię – wypaliła bez namysłu Marta. *Tak jak ty odprawiałeś kiedyś mnie* – pomyślała. *Poczuj to samo, dobrze ci zrobi kubek zimnej wody wylany na głowę.*

Z powrotem zatrzasnęła drzwi i weszła do kuchni, by wstawić wodę na herbatę.

Nigdy nie sądziła, że w jej życiu może wydarzyć się taki zbieg okoliczności. *Boże, dlaczego go tam zostawiłam?* – pomyślała. Porzuciła parzenie herbaty i wybiegła na zaśnieżoną ulicę.

– Alex, wróć! – zawołała za odchodzącym mężczyzną. Ten nie zareagował. Wtedy podbiegła i chwyciła go za ramię.

Obrócił się zaskoczony.

– Chodź, zrobię ci gorącej herbaty i wyjaśnisz mi, skąd się tu wzięłaś – powiedziała, dziwiąc się jednocześnie, z jaką łatwością przychodziło jej mówienie w dawno nieużywanym języku francuskim.

Wrócili do domu. Alex otrzepał buty i rozejrzał się nieufnie.

– Nikt nie będzie miał pretensji, że tu jestem? – zapytał.

– Spokojnie.

– A twój mąż?

– Utknął w zaspach gdzieś bardzo daleko – odparła Marta.

– Nic się nie zmieniłaś.

– Nie mów tak, bo czuję się dziwnie.

– Jak?

– Dokładnie tak jak wtedy, gdy chodziliśmy na randki. Wszystkiego bym się spodziewała, ale nie ciebie pod moimi drzwiami.

– Naprawdę pamiętasz nasze randki? – Alex usiadł i rozpiął marynarkę. Uśmiechnął się przy tym swoim zawiadackim uśmiechem. – Żeby się tu dostać, zabrałem helikopter polskiej policji i pokonałem śnieżną burzę. Gdy zatrzęsnęłaś mi drzwi przed nosem, to miałem ochotę utopić się w zatoce. Takie poświęcenie i zero sentymentu. Jak mogłaś?

Gdy tylko zaczął mówić, pod Martą dosłownie ugięły się nogi. Alex wkroczył tu jak wyjęty z najlepszych wspomnień, w eleganckim garniturze, opalony, z białymi zębami, porywający helikopter. W jednej chwili poczuła smutek, jakby Mikołaj ukradł jej część życia i schował do kieszeni wraz z brudną chusteczką i jakimiś nieważnymi szpargałami.

– Mów dalej. – Postawiła przed Alexem kubek z herbatą.

– Nie masz nic mocniejszego? Jakiś koniak? Rum? Wiesz, Marta, to, co zazwyczaj piją faceci.

Nagle usłyszeli kroki. Z góry schodziła pani Barbara zaniepokojona długą nieobecnością córki.

*Przecież miałam pójść do kampera po rzeczy dla Stasia* – pomyślała w panice Marta. Jednak ledwo pojawił się Alex, a już straciła głowę. Wszystko przestało się liczyć.

– A tu jesteś. – Pani Barbara weszła do kuchni.

– Dzień dobry – bąknął Alex, wstając zza stołu.

– To mój kolega ze studiów – wyjaśniła Marta. – Zepsuł mu się samochód i... To niesamowity przypadek... Alex zapukał akurat do naszych drzwi.

– No naprawdę przypadek – odparła lodowatym tonem pani Barbara. – Pójdiesz po te rzeczy do samochodu? Trzeba przebrać dziecko. Potem będziecie sobie rozmawiać. – Pani Barbara spojrzała na Alexa z wyraźną dezaprobatą. – A Mikołaj kiedy przyjeżdża?

– Jak poprawi się pogoda – mruknęła Marta.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Czekam na rzeczy na górze.

– Dobrze, już idę – odparła skwapliwie Marta.

– Jutro o dziesiątej przychodzi pan Wałaszek, zobaczy Stasia – rzuciła jeszcze na odchodnym matka.

Marta nic nie odpowiedziała. Przeprosiła na chwilę Alexa i poszła do kampera po ubrania.

Gdy zaniosała je na górę, pani Barbara nie odezwała się, ale wzrok, którym patrzyła na Martę, mówił: „Co ty najlepszego wyrabiasz, dziewczyno?”. Od razu skojarzyła fakty. Dobrze pamiętała historię miłosną córki z jej młodości. Przystojny Kanadyjczyk i szalone lato. Ten facet w garniturze siedzący w kuchni i nieobecność Mikołaja wróżyły jedną wielką katastrofę.

Następnego dnia Marta poprosiła matkę, by zajęła się dziećmi, a sama poszła do Jastarni na spotkanie z Alexem. Pani Barbara przeczuwała, że tak się stanie. Zawsze uważała, że Marta jest lekkomyślna, ale to przekraczało wszystkie granice. Nic jednak nie powiedziała. Nie chciała tuż przed świętami wywoływać nowej wojny z córką. *W końcu jest dorosła i robi, co chce* – pomyślała. *Ja w tym czasie zajmę się Stasiem. Może pan Wałaszek zdoła mu pomóc.*



## ROZDZIAŁ 48

*Wielka miłość zdarza się w życiu tylko raz, wszystko, co następuje potem, jest tylko szukaniem tej utraconej miłości.*

Marek Hłasko

### **Mikołaj w Radziejowicach**

*Polska, Radziejowice*

Mikołaj uwielbiał opowiadania Marka Hłaski. Zawsze zanim zaczynał coś pisać, wertował tomik z utworami pisarza. Najbardziej lubił *Pierwszy krok w chmurach* i *Pijany o dwunastej w południe*. Pamiętał wywiad z Hłaską, w którym ten chwalił się, jak został pisarzem: wyciągnął starą maszynę do pisania, zamknął się w domu i w kilka wieczorów po prostu napisał te wszystkie wspaniałe opowiadania.

– Po prostu trzeba usiąść i napisać – śmiał się do siebie Mikołaj, siadając nad pustą kartką w pokoju domu pracy twórczej w Radziejowicach. Pomieszczenie podzielone było na niewielki salonik i sypialnię. Klimat tego miejsca tworzyły stare meble i trzeszczące parkiety pachnące pastą.

Mikołaj zabrał z domu ryzę papieru i walizkową maszynę do pisania Łucznik. Usiłował pisać, ale marnie mu to szło. Postanowił zejść do restauracji i odnaleźć inspirację w butelce piwa.

Targany rozterkami twórczymi wyłączył się zupełnie z rzeczywistości. Kiedy po piwnej degustacji wyszedł przejść się po parku, właśnie w tym momencie zaatakowała Syberyjska Bestia. Drzewa dosłownie gięły się do ziemi, a śnieg sypał tak mocno, że prawie nic nie było widać. Mikołaj z postawionym na sztorc kołnierzem ledwo odnalazł drogę powrotną do pałacu.

– To jakiś armagedon – rzucił w recepcji.

– Nie ma się czemu dziwić – odparł wąsaty portier – w końcu jest zima.

*I co teraz?* – pomyślał Mikołaj, człapiąc do pokoju w zamkniętych butach. *Jak dostać się do Jastarni w taką burzę? Przecież za dwa dni jest Wigilia.*

Syberyjska Bestia jednak wcale nie miała zamiaru ucichnąć. Szalała w najlepsze po Polsce, paraliżując cały kraj. Gdy wichur trochę się uspokoił, zaczęto powoli oczyszczać zablokowane drogi, ale wszystko szło bardzo mozolnie. Dodatkowo panowały silne mrozy. Władze zalecały, by pozostać w domach. Mikołaj ustalił z Martą, że poczeka, aż burze śnieżne ustaną.

– Najwyżej przyjedziesz dopiero na sylwestra – stwierdziła.

Chcąc nie chcąc, odcięty od świata Mikołaj był skazany na pisanie. Zabrał się więc do pracy nad opowiadaniem, rozkręcając się z każdą chwilą.

*Może coś z tego będzie – myślał.*

### **Kartka z Polski**

*Kanada, Quebec City,*

*Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca*

Gdy kartka Jasmine doszła do szpitala świętego Wawrzyńca, nie wiadomo, co z nią zrobić. Fester cały czas przebywał w sali obserwacyjnej, zapadł w śpiączkę. Rudolfa kilka dni przed dojściem kartki znaleziono w jego pokoju z podciętymi żyłami. Najwyraźniej dosyć miał już świata, który był mu obcy. Bitwy, które toczył w swojej, głowie były już dawno przegrane.

Co do Festera to nie było wiadomo, czy kiedykolwiek się obudzi. Chyba tak bardzo bał się głosów, że po prostu wolał uciec w sen. Tak więc z dawnych znajomych Jasmine nie pozostał nikt. Anorektyczki, które ją znały, wróciły do swoich domów. Cały szpital powoli o niej zapominał. Za jej powrót odpowiadała mecenas Anna Bouchard, z którą od jakiegoś czasu nie było żadnego kontaktu.

Życie w szpitalu biegło normalnym trybem. Ponura instytucja wcale się nie zaważyła z powodu nieobecności Jasmine. Śmierć Skinheada też przeszła właściwie bez echa. Nikt z rodziny nawet nie przyjechał na jego pogrzeb. Został pochowany na pobliskim cmentarzu w grobie pod płotem. Tak się zakończyło niechciane życie Rudolfa. Nie potrafił wydobyć z niego żadnej głębi, a przecież każde istnienie niesie w sobie pewną zagadkę i każdy człowiek powinien dążyć w skrytości ducha do jej rozwiązania. Może nie dla świata, ale dla siebie samego. Każdy powinien wykonać powinność swej duszy. Etapów nie należy przeskakiwać. Rudolf absolutnie o tym nie myślał, był naprawdę bardzo zagubiony.

Kartkę Jasmine wrzucono na stos odebranej korespondencji. W końcu wpadła gdzieś za szafkę i cały świat o niej zapomniał. Szpital Psychiatryczny świętego Wawrzyńca nie był zbyt sentymentalnym miejscem. Przywodził na myśl zamulony kanał odchodzący od wielkiej rzeki. Nurt był tu prawie niewyczuwalny. Dla pensjonariuszy, którzy tu przebywali, czas raptownie zwalniał. Nawet zegary tykały tu inaczej, a wskazówki czasami zapominały się przekręcać. Zapomniane miejsce.

## **Marta z Alexem**

*Polska, Jastarnia*

W odciętej przez burzę śnieżną Jastarni Marta jakby została wyrwana ze swojego dotychczasowego życia i wtłoczona we własne wspomnienia. Mimo że Alex bardzo często gościł w jej myślach i zastanawiała się, co teraz robi, nie sądziła, że go jeszcze kiedyś zobaczy. Teraz spotkali się w hotelu, gdzie się zatrzymał.

Burza przycichła i zostały po niej zwały śniegu. Zrezygnowali ze spaceru na molo, bo musieliby brnąć po kolana w śniegu. Skończyło się na siedzeniu w restauracji Łóżko i wspomnianiu przeszłości.

Wyjaśnili sobie rozstanie i Marta poczuła się jak ofiara dawnych czasów. Teraz, kiedy powszechne były Internet i komórki, dowiedziałyby się prędko o tym, co się wydarzyło u Alexa. Zrozumiałyby, że jego ojciec bez sensu wkroczył we wszystko.

*Mogłam z nim być – myślała.*

Alex nie stracił nic ze swego uroku. Ciągłe działały na nią jego wysportowana sylwetka, lekko cyniczny uśmiech i ten głęboki głos. Mogła słuchać go godzinami. Pławiła się w tych chwilach jak w przyjemnym śnie. Oto pojawił się znowu w jej życiu. Jakoś zdołał dotrzeć do Jastarni mimo burzy śnieżnej. Zawsze wszystko był w stanie załatwić. Mikołaj nawet nie próbował przedrzeć się przez zasypane drogi, to wykraczało poza jego możliwości. Marta miotła się targana emocjami. W pierwszym odruchu chciała przekreślić całe swoje życie, zmiąć i wyrzucić je do kosza jak papierek. To wszystko było jakąś farsą. Czuła, że żyje życiem, jakiego nigdy nie chciała. Jedynie dzieci były coś warte, ale o tym nie chciała myśleć.

W restauracji Łózko, kiedy wypili już grzane wino, Alex pocałował ją pierwszy raz. Po prostu nachylił się nad stołem i nagle poczuła jego usta na swoich. Przymknęła oczy i odpłynęła. Oddzielili się od siebie, gdy podeszła do nich kelnerka. Bez namysłu zamówili grzane wino, byle szybciej zniknęła, i znowu zaczęli się całować.

– Chodź ze mną do hotelu – szepnął Alex.

– Teraz?

– Tak, napoje weźmiemy na wynos.

Po chwili szli przytuleni do siebie przez ośnieżoną Jastarnię z papierowymi kubkami, z których parowało grzane wino. Oboje milczeli. Przyciągała ich do siebie potężna siła, potężniejsza niż praca, obowiązki czy rozsądek. Po prostu zwariowali, nic się nie liczyło.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– Tutaj. – Alex wskazał nowoczesny apartamentowiec Marina.

Weszli do klatki schodowej.

– Mam dwupoziomowe mieszkanie, tak olbrzymie, że nie zdążyłem zobaczyć całego. Na górze jeszcze nie byłem, bo myślę tylko o tobie. – Alex wcisnął guzik windy. Działo się coś zupełnie szalonego.

## **Zoo sprząta dom**

*Polska, Jastarnia*

Zoo otrzymał klucze do nowego domu dzień przed Wigilią. Poprosił Jasmine o pomoc w przygotowaniach. Przepasali budynek czerwoną szarfą, tak że wyglądał jak wielki prezent. Zoo chciał zamówić firmę sprzątającą, ale z powodu odcięcia półwyspu przez śnieżycę starania spęły na niczym. Sam przyjazd Kurczaka na Wigilię stanął pod znakiem zapytania.

Jasmine zaoferowała, że mogą sami posprzątać dom. Pracowali cały dzień. Wszystko zostało dokładnie odkurzone i umyte. Zoo naznosił drewna ze składziku i napalił w kominku. Usiedli na dywanie przed nim i otworzyli butelkę wina, zmęczeni, ale szczęśliwi. Zoo nigdy nie spędzał w taki sposób czasu z dziewczyną. Teraz czuł, że dostał się w końcu do normalnego świata, gdzie robi się coś razem, a nie tylko włóczy po knajpach i klubach. Przytulając Jasmine i popijając wino, był naprawdę szczęśliwy. Nie zastanawiał się nad niczym. Nie chciał myślami płoszyć tej radości.

Wigilię Jasmine spędzała z ciotką i jej rodziną. Marta była jakby nieobecna. Krótco po kolacji oświadczyła, że idzie na pasterkę. Jasmine stwierdziła, że pójdzie na spacer. Marta wyszła pierwsza, lecz zamiast do kościoła ruszyła wprost do apartamentów Marina. Jasmine niezauważona szła chwilę za ciotką wiedzona ciekawością. Od jakiegoś czasu Marta była zupełnie pochłonięta swoimi sprawami. Teraz okazało się, że również skrywa jakąś tajemnicę. Jasmine zobaczyła, jak ciotka wchodzi do nowoczesnego apartamentowca. Wtedy ruszyła na swoją randkę z Zoo do Domu Zdrojowego.

Spędzili chwilę w hotelu, kochając się pospiesznie, a później poszli do nowo zakupionego domu. Zoo zadzwonił na WhatsAppie do Kurczaka i wirtualnie wręczył jej prezent, machając kluczami przed kamerą.

– Kupiłeś dom w Jastarni? Nie żartuj! – krzyknęła Kurczak i nagle dostrzegła Jasmine. – A kto to jest? – zapytała ciekawie.

– To moja przyjaciółka.

Jasmine zbliżyła się do telefonu. Chwilę rozmawiali w trójkę. Kurczak obiecała przyjechać, jak tylko drogi staną się przejezdne.

– Zadzwoń do mnie później – poprosiła.

Zadzwonik również Misiek. W swoim rubasznym stylu życzył smacznego karpia i mokrego dyngusa.

– Ale to nie te święta – poprawił go Zoo.

– Nieważne – mruknął Misiek. – Interes jest do zrobienia. Już raz dzięki mnie stałeś się milionerem. Posłuchaj mnie jeszcze raz i przelej wszystkie pieniądze na nowy projekt. Powstała nowa kryptowaluta Xon. Zrób to, a zwiększysz zyski minimum dziesięć razy.

Zoo trochę się przekomarzał, że nie ma już pieniędzy i że to nie do niego z takimi interesami, ale w tyle głowy zaświtała mu myśl, by odbić się trochę po wszystkich hazardowych przygodach, w szczególności po Klaudii. Nadal miał dziesięć milionów polskich złotych na lokatach bankowych.

Gdy później zadzwonił do Kurczaka, która chciała porozmawiać o Jasmine, napomknął o nowej inwestycji.

– Nie słuchaj go – ostrzegła Amelia. – Raz dobrze ci doradził, ale pamiętaj, że to kretyn. Ten raz, kiedy akurat mądrze mówię, to był czysty przypadek. I tak masz kupić forsy, po co ci nowe inwestycje?

Zoo przytaknął, ale w głowie snuł nowy plan.

## **Jasmine z Zoo**

*Polska, Jastarnia*

Odkąd Alex pojawił się w Jastarni, Marta jakby odplynęła. Sprawa pamiętnika Jasmine przestała ją nagle interesować. Dziewczyna wyczuła tę zmianę i wszelkie krępujące ją więzy opadły. Nikt nie interesował się tym, co robi ani gdzie wychodzi. Nikt z wyjątkiem pani Barbary, ale kiedy Marta zniknęła, jej matka musiała zajmować się małym Stasiem, a to bardzo ją absorbowało.

Jasmine rzuciła się w wir spotkań z Zoo. Widywali się codziennie i każde spotkanie było bardziej ekscytujące od poprzedniego. Dziewczyna jakby zapomniała o wszystkim. Wiedziała, że Jastarnia jest odcięta od reszty świata i nikt nie pojawi się tu przynajmniej do sylwestra. Myślała oczywiście o ucieczce, ale drogi były zablokowane, linia kolejowa również. Połączenia statkami także zostały zawieszane. Podczas spacerów w porcie poznała co prawda rybaka, który zgodził się ją przewieźć na ląd, ale postanowiła jeszcze zostać i uciec w ostatniej chwili. Na razie pełną piersią korzystała z wolności i nie myślała o tym, co dalej. Tego właśnie było jej trzeba. Zoo był doskonałym kompanem, wesołym i energicznym, nie nudziła się w jego towarzystwie.

W przerwach pomiędzy spotkaniami z nim rozmawiała z panem Edwardem. Jego słowa sprawiły, że coś w niej pękło. Zrozumiała, że ma jedno życie, i postanowiła nikogo więcej już nie słuchać, tylko robić to, czego chce. To był najszczęśliwszy czas w jej życiu.

Dowiedziała się, że ciotka spotyka się z jakimś znajomym z przeszłości, ale jej czujność była uśpiona. Nie łączyła tego faktu ze swoją sprawą. Agent Alex też odwiesił sprawę na kołku i postanowił odłożyć aresztowanie Jasmine na ostatni moment, czym złamał wszelkie procedury. Te wszystkie przeciwstawne chęci i dążenia splotły się niespodziewanie w jedną wspólną nić. Na moment wszystko zamarło. Była to jednak tylko cisza przed burzą.



## ROZDZIAŁ 49

*Świat się zmienia, słońce zachodzi, a wódka się kończy.*

Andrzej Sapkowski, *Ostatnie życzenie*

### **Anna na Helu**

*Polska, Jastarnia*

Był ostatni dzień roku. Alex pocałował Martę w usta i poszedł do cukierni Hintzke po pączki. Marta zamówiła dwa z tradycyjną marmoladą różaną i dwa z mięsem. W drodze powrotnej agent dostrzegł zmierzającą w jego stronę kobietę. Zdębiał, bo okazało się, że była to Anna Bouchard we własnej osobie. Szła wprost na niego z kamienną twarzą.

Stanął jak wryty, tymczasem Anna zbliżyła się.

– Marny z ciebie agent – rzuciła oschle. – Idę za tobą dobre piętnaście minut, a ty nic nie zauważyłeś. A może ty jesteś zakochany?

– Anna, skąd się tu wzięłaś? – wyjąkał zdziwiony.

– Wyobraź sobie, że też mam swoje sposoby. Pewien rybak zaryzykował rejs i oto jestem. Aresztowałaś Jasmine?

– Słuchaj, to nie jest takie proste.

– Właśnie widzę i mam nadzieję, że wyjaśnisz mi kwestie proceduralne, bo sądzę, że coś tu nie gra. Miałeś ją aresztować, a ty zostawiłeś mnie na autostradzie i postanowiłeś zrobić sobie wakacje. – Spojrzała ostro.

– To nie tak. Wyjaśnię ci to wszystko, ale nie teraz. Gdzie się zatrzymałaś?

– Nigdzie, przyjechałam przed chwilą. A ty?

– Mały pensjonat... – mruknął. – Nie pamiętam nazwy.

– Zastanawiam się, po co ty mnie tu w ogóle ściągnąłeś. – Skrzyżowała ramiona na piersi. Wyglądała teraz jak groźna więzienna strażniczka. – Myślę, że coś tu nie gra.

Alex otrząsnął się z pierwszego wrażenia i uznając, że najlepszą obroną jest atak, zmarszczył groźnie brwi.



– Posłuchaj, Anno, to, co robię, leży również w twoim interesie. W końcu jesteś prawnym opiekunem Jasmine. Czyli de facto to ty odpowiadasz za wszystkie jej machlojki. – Uśmiechnął się cynicznie. – Nie masz pojęcia o mojej pracy. Nie siedzę za biurkiem i nie wypełniam świstków. Nie pouczaj mnie więc, jak mam prowadzić sprawę. A skoro już zgodziłaś się być opiekunem dziewczyny, to mogłaś lepiej jej pilnować.

Anna nieco zmieszana tą tyradą odpowiedziała:

– W każdym razie mam nadzieję, że wszystko mi wyjaśnisz.

– Naprawdę nie musiałaś tu przyjeżdżać. Miałaś czekać na mnie w Warszawie. Proszę, żebyś znalazła sobie jakiś pensjonat i nie krążyła po miasteczku. Nie chcę, żeby przez twoje działania Jasmine się ulotniła. Pozwól mi wykonywać moją robotę. – Spojrzał na nią z całą mocą. – Wieczorem spotkamy się i wszystko ci opowiem, a na razie nigdzie się nie pokazuj, rozumiesz? Nie zdajesz sobie sprawy, z czym masz do czynienia.

– Niech będzie. – Anna kiwnęła głową i odeszła.

Alex upewnił się, że za nim nie idzie, i ruszył do Mariny. Był wściekły, idylla z Martą została nagle przerwana. *Niepotrzebnie zabrałem tę prawniczkę* – myślał, wsiadając do windy. *Ale skąd mogłem wiedzieć?* Wszedł do apartamentu.

– Co się stało? – spytała Marta, która w lot wyczuła jego nastrój.

Za chmur wyszło słońce i załało cały apartament swoim blaskiem.

Alex rzucił torbę z pączkami na kuchenny blat i usiadł ciężko na wysokim barowym krześle.

– Marta musimy porozmawiać.

– Mikołaj przyjechał? – zapytała z przestraczem i owijając się kocem, wstała z kanapy, na której wcześniej leżała naga.

– Gorzej – mruknął.

– Masz jednak żonę? – Spojrzała jadowicie.

– Przecież mówiłem ci tysiąc razy, że nie – westchnął.

– To co się stało?

– Musimy porozmawiać o Jasmine, muszę ci coś wyjaśnić.

Marta zaczęła się ubierać, romantyczny nastrój prysł.

– Ona jest twoją dziewczyną?

– Boże – Alex złapał się za głowę – nie jest! To coś zupełnie innego.

– To powiedz mi.

– Opowiem ci przy kawie.

– Wychodzimy?

– Tak.

## **Wyjaśnienia Alexa**

*Polska, Jastarnia*

W drodze do restauracji Łóżko Alex prawie nic nie mówił. Układał w głowie plan rozmowy. W tym celu zaproponował wyjście. Chciał zyskać trochę na czasie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że od tej rozmowy będzie zależało bardzo wiele. Nie chciał, by ta sprawa ich podzieliła. Nie chciał też mówić Marcie wszystkiego. Mogłaby się obrazić, że od razu nie powiedział jej prawdy, zarzucić mu nieszczerłość. Bał się, że odnaleźli się na przekór całemu światu tylko po to, by się ponownie zgubić, tym razem już na zawsze. Marta szła obok, a jego sercem zawładnął ciężki nastrój. Udało mu się popłynąć łódką mimo niesprzyjających prądów i dotrzeć wprost do odległych światełek z przeszłości, które, o dziwo, ciągle się tliły i były prawdziwe. Teraz czuł, że miał wszystko utracić. Pchnął drzwi i weszli do restauracji. Usiedli przy stoliku w kącie sali. Alex zamówił grzane wino.

– Miała być przecież kawa – powiedziała Marta po francusku.

– No tak – odparł roztargniony Alex. – To poproszę do tego podwójne espresso z kroplą mleka – zwrócił się po angielsku do kelnera.

– A ja poproszę americano z mlekiem i również grzane wino – powiedziała Marta po polsku.

Kelner uśmiechnął się rozbawiony tym zamawianiem w różnych językach.

– Zamieniam się w słuch – powiedziała Marta, siedząc w napięciu. Ona również czuła, że dzieje się coś dziwnego, że oto ma się przed nią odkryć rzeczywistość, o istnieniu której nie miała pojęcia. To nigdy nie jest miłe.

## **Randka Jasmine**

*Polska, Jastarnia*

Jasmine od samego rana była z Zoo. Długo spacerowali po pustej plaży, a potem poszli na łódki nad zatokę, tam, dokąd dawniej Zoo chodził z Kurczakiem. Wygłupiali się jak wariaci, a gdy wrócili do pokoju hotelowego, kochali się. Zoo czuł, jakby nagle jakaś potężna, dobra siła włożyła jego

roztrzaskane życie do pudełka i mocno nim potrząsnęła. W magiczny sposób cała skomplikowana układanka ułożyła się w prawidłowy sposób.

Był naprawdę szczęśliwy. Towarzystwo Jasmine działało na niego jak balsam. Dziewczyna wyciągała z niego wszystko to, co najlepsze, i bezwzględnie wypleniła wady. Już prawie przestał palić, alkohol też zszedł na dalszy plan. Jasmine bez zbędnych ceregieli odrzuciła propozycję wyjazdu do kasyna w Grand Hotelu w Sopotcie. Odpowiedziała, że może jechać sobie sam, bo ona takich rozrywek nie lubi. Fascynowała go ta dziewczyna, która nie miała Facebooka ani Instagrama i żyła tu i teraz. Była młodsza od niego, ale w zasadzie to on uczył się od niej. Jednym słowem przywracała go na właściwe tory. O ile Klaudia była lekarstwem, które zadziało krótkofalowo, to Jasmine była genialnym antidotum na wszystko.

Zoo znowu zaczął komponować. Wymykał się rano do restauracji jeszcze przed jej otwarciem. Jeden z barmanów wpuszczał go, by mógł w spokoju grać na czarnym fortepianie, który się tam znajdował. Jasmine zazwyczaj pływała wtedy w basenie.

Zoo brzdąkał dla siebie, ale szybko okazało się, że pisze nową piosenkę. Miał rację co do Jasmine: każdy z nas posiada swoją drugą, czasem zagubioną połówkę. Podobno dawno temu, jeszcze w starożytności, bogowie zobaczyli, że ludzie są zbyt dumni, składają za mało ofiar i prawie wcale się nie modlą. Byli istotami idealnymi, niemal dorównywali bogom. Mieli po cztery nogi i cztery ręce. Zeus postanowił ich ukarać i przeciął każdego człowieka na pół. Z jednego ciała nagle powstały dwa. Przepołowione zostały również dusze. Odtąd ludzie już nigdy nie czuli się doskonali. Każdy z nas ma głęboko zakorzenioną potrzebę znalezienia tej brakującej połówki duszy. Gdy to nastąpi, dzieją się cuda. Zoo miał wrażenie, że w jego życiu właśnie nastąpił taki czas – czas cudów.

Jasmine leżała obok niego. Zimowe słońce świeciło pięknie, wesołe promienie wędrowały po całym apartamencie. Zoo gładził dziewczynę po plecach i nagle poczuł, że po prostu ją kocha. To przyszło samo. Chciał to wypowiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle, coś go blokowało. Chyba za bardzo bał się, żeby jej nie spłoszyć. Przytulił ją tylko mocno i pocałował. *Powiem jej to dzisiaj na sylwestrze – pomyślał.*

– Idę wziąć prysznic – rzucił, wstając z łóżka.

Do pełni szczęścia wystarczy tylko kilka słów. Zoo czuł to bardzo wyraźnie w tym momencie.

## **Marta z Alexem**

*Polska, Jastarnia*

Marta siedziała chwilę bez słowa zupełnie rozbita. W jej wnętrzu walczyły dwie osoby. Jedna chciała oddzielić całe dotychczasowe życie grubą kreską i dać się ponieść emocjom, druga zaś starała się myśleć trzeźwo i racjonalnie.

– Naprawdę nie rozumiem, jak mogłeś mi tego od razu nie powiedzieć – stwierdziła gorzko.

Alex milczał.

– Zjawiasz się w moim domu tak po prostu, a teraz okazuje się, że wcale nie po to, żeby się ze mną spotkać. Co za idiotka ze mnie. – Dotknęła palcami skroni. – Byłam tylko przykrywką dla jakiejś twojej akcji.

– Nie mów tak. – Chwycił ją za rękę. – Nie sądziłem, że cię spotkam, przysięgam. Kiedy się dowiedziałem, że tu mieszkasz, przestałem myśleć o sprawie i już tylko chciałem cię zobaczyć.

– To wszystko jest bez sensu. – Zamknęła oczy. – Alex, przecież ja mam męża. Mam też dzieci, tego nie da się wyrzucić ot tak do kosza. Moja matka ma rację, co ja sobie myślałam?

– Przestań – powiedział stanowczo Alex. – Wróciłem po ciebie.

– Ale ja nie jestem sama – westchnęła Marta. – Mam rodzinę i oni również są dla mnie ważni. Po prostu pojawiłeś się tu tak nagle... Nie wiem, straciłam głowę. Ale ty tak naprawdę nie przyjechałeś tu do mnie, tylko załatwić sprawę.

– Marta, kiedy dowiedziałem się, że tu jesteś, sprawa przestała dla mnie istnieć.

– To kiedy zamierzałeś mi powiedzieć?

– Kiedyś obiecałeś, że ze mną wyjedziesz. – Zmienił temat.

– Dlaczego więc nie przyjechałeś wcześniej? Jakoś przed tą sprawą nie starałeś się mnie odnaleźć. – Marta wstała.

– Poczekaj. – Alex złapał ją za rękę.

– Zostaw mnie. – Wyszarpnęła ją nagle. – Siedzę tu z tobą i olewam własne dzieci, myśląc, że przyjechałeś specjalnie dla mnie, a tak naprawdę tylko napatoczyłam ci się przy okazji pracy.

Marta wyszła w pośpiechu. Alex chwilę siedział jak skamieniały. Nagle uderzył ręką w blat.

– Wiedziałem, że tak będzie – warknął. – Nam to po prostu nie jest pisane. Wiedziony nagłym impulsem poderwał się z miejsca i ruszył w ślad za Martą.

– A co z rachunkiem? – Zatrzymał go kelner.

– Proszę. – Alex podał mu plik banknotów. – To na pewno wystarczy.

Widział sylwetkę Marty oddalającej się ulicą Stelmaszczyka w stronę mola.

– Marta, poczekaj! – krzyczał, biegnąc, ona jednak nie zwolniła. – Poczekaj, chcę ci coś powiedzieć. – W końcu dogonił ją i chwycił za ramię.

Spojrzała na niego bez słowa. Wiedział, że to, co teraz powie, może wszystko uleczyć albo zniszczyć. Czasem nadchodzi taki moment, w którym słowa mogą odmienić wszystko.

– Ucieknij ze mną – powiedział.

– A co z dziećmi? – Uśmiechnęła się mgliście.

– Jak to co? – Wzruszył ramionami. – Mają twoją mamę, są tu szczęśliwe.

– Przestań – zachnęła się. – Dzieci to nie meble, które można przestawiać z kąta w kąt albo sprzedawać, gdy się znudzą. No, ale skąd ty to możesz wiedzieć, nie masz przecież dzieci. Nawet psa nie masz – rzuciła tonem oskarżyciela.

– Nie mam, ale chcę być z tobą.

– Ale ja nie jestem sama. – Marta zakryła dłońią oczy. – Jaka ja jestem głupia, chciałam wrócić do czegoś, czego nie ma.

– Co ty mówisz, Marta? – Alex uśmiechnął się nieporadnie. – To wciąż istnieje. Ja stoję przed tobą i mówię ci: bądźmy razem.

– To nie twoja wina. – Spuściła wzrok. – To ja jestem inna. Jestem już inną Martą, a mój syn jest chory i nie chodzi. Rozumiesz? Nie, ty masz to gdzieś. On cię nie interesuje, jest ci zupełnie niepotrzebny. Pewnie chciałbyś, żeby go nie było, przyznaj się?

– Nie mów tak.

– Ale taka jest prawda. – Marta pokiwała głową. – Nic nas nie łączy, za bardzo oddaliliśmy się od siebie. Nie mówię tego, żeby cię zranić, bo nawet nie wiesz, jak bardzo chciałam cię spotkać. – Z jej oczu popłynęły łzy. – Ale nie rozumiesz tego, co mnie śmieszy albo zasmuca. A nie można być z kimś, kiedy się nie rozumie jego serca.

Alex podświadomie czuł, że Marta ma rację. Nie powinien jej wyrywać z jej życia, za dużo czasu minęło.

– Nie gniewaj się, ale chcę być sama ze swoimi myślami – powiedziała i ruszyła przed siebie w stronę mola.

## **Anna dzwoni do Jasmine**

*Polska, Jastarnia*

Przyjazd Anny wszystko skomplikował. Mając przy sobie prawnego opiekuna Jasmine, Alex nie mógł już dłużej zwlekać z jej aresztowaniem. Postanowił uczynić to niezwłocznie. Nie chciał jednak robić tego w domu Marty. Uciekł się do wybiegu i wciągnął do operacji Annę.

Zadzwoił do komendy głównej i poprosił o pomoc w ustaleniu nowego numeru telefonu Jasmine. Odpowiedź przyszła błyskawicznie. *Z taką policją to lepiej nie zadzierać* – pomyślał.

Wraz z nowym numerem otrzymał informację, że nie wykonano z niego żadnego połączenia wychodzącego i tylko jeden raz ktoś odebrał. Ewidentnie był to telefon do przekazywania instrukcji.

Alex umówił się z Anną. Podał jej numer telefonu Jasmine i poprosił, by zadzwoniła do niej i spróbowała umówić się na spotkanie w mieście. Wówczas miał aresztować dziewczynę.

– W tamtym domu jest sporo ludzi, w tym dzieci. Nie wiem, do czego ona jest zdolna, nie chcę ryzykować – wyjaśnił.

– Czy jeśli to zrobię, nie będę mieć więcej problemów? – zapytała Anna.

– Obiecuję, że jak to zrobisz, śledztwo cię ominie.

– Jak możesz mi to zagwarantować?

– No już ci zagwarantowałem. – Uśmiechnął się kpiąco. – To ja i tylko ja prowadzę tę sprawę.

Anna pokiwała głową i wzięła do ręki telefon. Z ciężkim westchnieniem wybrała zapisany na kartce numer. Z początku nie chciała tego robić, ale musiała jakoś wyplątać się z tej sytuacji. Czuła, że Jasmine nadużyła jej zaufania. *Nie można jednocześnie darzyć kogoś sympatią i robić takie świństwa* – pomyślała. *Zawsze byłam dla niej wyrozumiała. Mogła mi opowiedzieć o swoich problemach, a nie zrobiła tego.*

Gdy Zoo brał prysznic, nagle zadzwonił telefon Jasmine. Dzwonek był świdrujący i natarczywy. Dziewczynie mocniej zabiło serce, spojrzała na ekran. Nieznany numer pochodził z Polski i nie należał do Klaudii. Po chwili wahania Jasmine odebrała. Dobrze pamiętała polecenie opiekunki, że ma zawsze odbierać połączenia. W słuchawce usłyszała zduszony głos:

– Halo, Jasmine.

– Tak, słucham.

– To ja, Anna...

– Anna? – wyjąkała zdumiona Jasmine, siadając na łóżku. – Skąd masz ten numer?

– Po prostu mam.

– Dzwonisz z Polski. Co tu robisz? Nie jesteś w swoim domku w górach?

– Posłuchaj, dzwonię, żeby cię ostrzec, grozi ci niebezpieczeństwo. Spotkajmy się, proszę.

– Oczywiście. Wszyscy chcą mojego dobra, wszyscy chcą mi pomóc, ale ja chcę być sama.

– Jesteś w Jastarni? – spytała nagle Anna.

Na sekundę zapadła cisza.

– Nie, skąd ten pomysł – mruknęła Jasmine.

– Nieważne, wiem, że tu jesteś. Zawsze traktowałam cię jak córkę, po prostu chcę się z tobą zobaczyć.

– Ale po co ten patetyczny ton, zupełnie nie rozumiem. Wyjechałam na święta, tak jak mi radziłaś. Przed czym chcesz mnie niby ostrzec?

– Jak chcesz się dowiedzieć, to przyjdź za pół godziny do kawiarni Siódmy Kontynent. Obok jest nieczynna restauracja z sushi.

– Wiem, gdzie to jest.

– To przyjdź, czekam. To nieduże miasto, dotrzesz tu z każdego punktu w trzydzieści minut.

– Nie wiem, jak mam to zrobić, skoro mnie tam nie ma.

– Wiem, że jesteś – ucięła Anna.

W słuchawce znowu na moment zapadła cisza. Słychać było tylko przyspieszony oddech Jasmine.

– Słuchaj, nie przyjdę, nie czekaj na mnie. Zobaczymy się w Kanadzie po moim powrocie.

– Jak wrócisz do Kanady, będziesz po tobie.

- Nie rozumiem...
- Widzę, że ty naprawdę nic nie wiesz, więc lepiej przyjdź na to spotkanie.
- Nie przyjdę – odparła Jasmine – ale dziękuję, że ostrzegasz mnie przed czymś tam.
- To już lepiej nie wracaj – odparła Anna.
- Słucham?
- Jak nie zamierzasz przyjść do kawiarni, to lepiej nie wracaj do Kanady.
- Nie rozumiem.
- Dobrze rozumiesz. Będę czekała na ciebie. Do zobaczenia.

Jasmine wyłączyła telefon. Serce tłukło się w jej piersi niczym ptak w klatce. Doznała dziwnego uczucia duszności i łaskotania.

*Ona chyba naprawdę sądzi, że przyjdę. Może jeszcze sama założę sobie kajdanki? I kto tu jest idiotką?* – myślała, ale z drugiej strony czuła, że to może być coś ważnego. Anna zadała sobie trud, by zdobyć jej nowy numer telefonu, zadzwonić do niej i ją ostrzec. To było zupełnie irracjonalne, stała przecież po drugiej stronie, tam, gdzie cały system.

## **Alex ustala plan**

*Polska, Jastarnia*

Anna wyłączyła telefon, a Alex patrzył na nią intensywnie.

- Po co jej to powiedziałaś?
- Niby co?
- O tym, że grozi jej niebezpieczeństwo i żeby lepiej nie wracała do Kanady. – Westchnął głęboko. – Przecież miałaś powiedzieć to, co ustaliliśmy.

– Nie wiem. – Anna rozłożyła bezradnie ręce. – Sam słyszałeś, coś podejrzewała, nie chciała przyjść. Chciałam ją jakoś zachęcić.

– Mam nadzieję, że nam teraz nie ucieknie przez to twoje zachęcanie.

Anna nic nie odpowiedziała.

– Teraz pamiętaj, masz wejść do knajpy, zacząć z nią rozmawiać, a potem ja się zjawię i założę jej kajdanki. Ona niczego się nie spodziewa. To będzie kaszka z mleczkiem. Razem odstawimy ją na komendę, a potem napijemy się za nowy rok.



– No tak, przecież dzisiaj sylwester. – Anna uśmiechnęła się. – Gdzie ja mam głowę?

– To do dzieła. – Alex zaklaskał w dłonie. – Mamy mało czasu. Trzymaj się planu, a wszystko pójdzie gładko.

## **Akcja**

*Polska, Jastarnia*

Anna usiadła w głębi w sali kawiarni Siódmy Kontynent i zamówiła kawę. Osłodziła ją niezliczonymi ilościami łyżeczek cukru, ale i tak napój nie chciał przypominać jej ulubionej latte ze Starbucksa. Wielkie sieci mają w sobie coś z sekt. Być może dosypują czegoś specjalnego do kawy, która potem smakuje tak wyjątkowo.

Anna popijała kawę małymi łykami i była pewna, że siedzi tu na próżno i że Jasmine nie przyjdzie. *Nie jest aż tak głupia, żeby mi ufać, bo niby dlaczego miałyby to robić* – myślała. Nagle zadzwonił jej telefon.

– Wszystko zgodnie z planem? – Ze słuchawki dobiegł głos agenta Alexa.

– Tak.

– To dobrze. Wejdę po pięciu minutach, jak tylko ona się zjawi.

– Dobrze, daj nam wypić kawę – poprosiła Anna.

– Jasne – mruknął niechętnie. – Robisz to dla jej dobra, pamiętaj o tym – uspokoił ją. – Może w końcu wyjdzie na ludzi, będzie miała uczciwy proces i możliwość wyjaśnienia wszystkiego.

– A ja będę jej obrońcą.

– Okay. – Zaśmiał się. – O ile ona tego zechce.

– A ty gdzie jesteś? – zapytała i spojrzała przez okno. – Nie widzę cię.

– Pani mecenas, proszę nie uczyć mnie mojego fachu. – Alex parsknął do słuchawki. – Stoję naprzeciwko na ulicy między drewnianymi budkami. Ani się obejrzysz, jak będziemy siedzieć w samolocie. No, ale dosyć tych pogaduszek, coś może ją spłoszyć.

Anna wyłączyła telefon. Nawiedziły ją wyrzuty sumienia. Serce biło jej bardzo mocno, była przerażona. *To będzie jakaś katastrofa* – myślała w panice. Zaczęła nerwowo miąć serwetkę. Tak się właśnie kończą konszachty z policją.

Wstała od stolika i ruszyła do baru. Idąc, spojrzała przez duże witryny. *Może go tam nie ma?* – przemknęło jej przez myśl. Wtem zobaczyła czarną postać

chowającą się w wąskiej szczelinie między nieczynnymi budkami z lodami. Alex czekał w gotowości niczym pajak na muchę, która zaraz miała nadlecieć. Anna biła się z myślami. Uczyniła ruch, jakby chciała wyjść, ale opanowała się w ostatnim momencie. To napięcie ją przerastało.

– Przepraszam, gdzie jest toaleta? – spytała barmana ubranego w gruby zimowy sweter w renifery. Wskazał jej drogę do drugiej sali. Wróciła więc. Drzwi znajdowały się niedaleko jej stolika, przez roztargnienie ich nie zauważyła. Pociągnęła za klamkę, ale były zamknięte.

– No pięknie, wszystkie możliwe pechy świata – westchnęła.

Obok znajdowały się drzwi do łazienki męskiej. Kawiarnia była raczej pustawa, więc Anna nie wahając się, weszła do toalety dla mężczyzn.

– Kretynka – szeptała do siebie nerwowo – totalna kretynka. Po co się w to mieszałam?

Przemyła twarz wodą. Niedługo potem wróciła do stolika, do spotkania zostało dziesięć minut. Zegar jakby zwolnił. Czekanie było dla niej fizyczną torturą.

Do sali zajrzał barman, który po sezonie był również kelnerem. Anna zamówiła tym razem herbatę. *Może ona nie przyjdzie. To by było najlepsze* – myślała.

W końcu wskazówki zegara osiągnęły długo oczekiwany punkt. Wpół do jedenastej. Wtedy stała się rzecz nieoczekiwana. Tuż obok stolika zestresowanej pani mecenas wyrosła Jasmine. Kobieta zupełnie się tego nie spodziewała. Filizanka z kawą prawie wypadła jej z rąk.

– To ty. – Anna wstała pospiesznie. – Jak tu weszłaś?

– Nie weszłam.

– Jak to?

– Cały czas tu byłam, siedziałam w toalecie. Podobno mamy czas tylko na kawę. Twój przyjaciel zaraz wpadnie tu niczym Rambo i zakuje mnie w łańcuchy.

– Słyszałaś moją rozmowę?

– Oczywiście, ty chyba rzeczywiście masz mnie za idiotkę. Zwabiłaś mnie w pułapkę.

– Chciałam cię tylko zobaczyć...

– I wydać glinom, a tak mnie niby lubisz. – Jasmine skrzywiła się nieprzyjemnie.

– Chciałam cię ostrzec, nigdy nie wierzyłam w twoją winę.  
– I bardzo dobrze, bo jestem niewinna. – Jasmine wzruszyła ramionami. – Zresztą mogłaś ostrzec mnie przez telefon.  
– Jakbym mogła, to bym to zrobiła – odparła Anna. – Skoro wiedziałaś, że to pułapka, to dlaczego przyszłaś?  
– Bo jestem idiotką. – Jasmine spuściła wzrok. – Po prostu myślałam, że ty i ja to coś więcej, że naprawdę mnie lubisz.  
– Bo tak jest – odparła Anna.  
– I co teraz, założysz mi kajdanki i powiesz, że to dla mojego dobra?  
– Niczego ci nie założę, tam jest tylne wyjście dla obsługi. – Anna wskazała na oszklone drzwi. – Specjalnie wybrałam to miejsce. Chciałam cię ostatni raz zobaczyć. Nigdy nie wierzyłam w to, że zrobiłaś coś złego.  
– Dlaczego? – Jasmine zmarszczyła brwi.  
– Nie wiem, może za bardzo się zbliżyłam do ciebie. Sama też nie byłam święta w młodości.  
– Tylko ty nie zabiłaś rodziców.  
– Ty też nie.  
– Skąd wiesz? W końcu za to mnie ścigają.  
– Właśnie mylisz się. Nie mogą dwa razy sądzić cię za to samo przestępstwo.  
– Nie rozumiem.  
– Nie za to jesteś poszukiwana. Chcą cię oskarżyć o pranie brudnych pieniędzy.  
– Mnie? – Jasmine zaśmiała się.  
– Jakieś cztery miliony dolarów.  
– A, to. – Machnęła ręką. – Głupie bitcoiny. Ojciec miał trochę na komputerze, sprzedałam je.  
– Musisz już iść – powiedziała nagle Anna. – Za długo rozmawiamy.  
– Czemu to robisz, czemu mnie ostrzegasz?  
– Bo widzę kogoś strasznie zagubionego i wiem, że jesteś niewinna. Nagle Jasmine przylgnęła do Anny całym ciałem.  
– Jesteś moim aniołem. – Z oczu trysnęły jej łzy.  
– Kieruj się tym, co masz tu. – Anna dotknęła jej serca. – Obiecuj.  
– Obiecuję.  
– A teraz idź i bądź wolna.

- Jesteś moim pieprzonym aniołem.
- Nie przeklinaj, anioły tego nie lubią.
- Nie wiesz, jak bardzo chciałabym tu zostać z tobą i wypić tę kawę.
- Ale ja nie chcę pić z tobą kawy. Idź już i nie płacz.

Nagle brzdęknął dzwonek w drzwiach.

- Dzień dobry – powiedział barman, ale nikt nie odpowiedział.

Alex zmierzał do drugiej sali szybkim krokiem. Jasmine odskoczyła jak kot, dopadła do tylnych drzwi dla obsługi i runęła na dwór. Anna z całej siły uderzyła czołem w ścianę. Upadła na podłogę, przewracając stolik i zagradzając przejście. Gdy Alex wbiegł do sali, po Jasmine nie było ani śladu, a na podłodze leżała Anna zalana krwią.

- Co z tobą? – Agent dopadł do niej. – Gdzie ona pobiegła?
- Poczekaj – jęknęła Anna – nie mogę oddychać.
- To przez krew, uniosę ci głowę. – Alex ukląkł przy niej.

Na ustach kobiety pojawił się delikatny uśmiech. Agent nawet go nie zauważył, ale nie miało to znaczenia. Najważniejsze, że Jasmine zdołała uciec.



## ROZDZIAŁ 50

*Należenie do mniejszości, nawet jednoosobowej, nie czyni nikogo szaleńcem.*

George Orwell, *Rok 1984*

### **Pożegnanie**

*Polska, Jastarnia*

Jasmine biegła w stronę portu. Chciała z pomocą poznanego rybaka łodzią opuścić miasto. Nagle jednak zmieniła zdanie i zrobiła coś zupełnie nieoczekiwanego. Dzięki codziennym spacerom dobrze poznała Jastarnię. Dotarła, bocznymi uliczkami do domu Marty. Wpadła jak bomba do swojego pokoju i porwała ukrytą na szafie torbę z pieniędzmi. Na korytarzu spotkała Marka, który ją zatrzymał, pokazując świeżo sklejoną model samolotu. Na stoliku chłopca stała torba po jedzeniu z McDonald'sa.

– Piękny model. – Jasmine pośpiesznie pochwaliła chłopaka, głaszcząc go po głowie w taki sposób, że potargała mu włosy, które pośpiesznie zaczął poprawiać. – Zabieram to. – Porwała ze stolika torbę.

– Ale tam jest moja kanapka – jęknął desperacko Marek.

Jasmine wyjęła ją i wcisnęła mu do ręki.

– Masz i nie kupuj tego więcej, to śmieciowe żarcie.

– Podoba ci się ten samolot? – dopytywał. – Sam go skleіłem. To spitfire z Dywizjonu 303. Zobacz, nawet ma naklejki.

– Jest piękny, zaraz wróć. – Jasmine skierowała się szybko do pokoju pana Edwarda.

Zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Nie miała czasu, więc nie namyślając się, nacisnęła klamkę. Pomieszczenie tonęło w mroku, ale pokój nie był pusty. Przy biurku z rękoma opartymi o blat siedział starszy pan w ponurym nastroju. Cały pokój zdawał się być odmieniony przez jego podły nastrój.

– Dobrze, że jesteś – powiedział, gdy zobaczył Jasmine. – Podejdź na chwilę. Jestem gnojem, pamiętaj – wyznał cicho. – Dzisiaj wziętem w ramiona mojego najmłodszego wnuka i coś we mnie pękło. Mówili prawdę, jest taki mały, ale coś mu jest. Zbagatelizowałem to, bo jestem skończonym idiotą. Ciągłe tylko żartuję jak maniak. A mój wnuk nie może rozprostować rąk, jest cały napięty. – Zakrył dłonią oczy. – Boże, co ze mnie za skończony dureń. Myślałem, że pozjadałem wszystkie rozумы. Powinno się mnie zrzucić ze Skąły Tarpejskiej. W Rzymie mieli taką specjalną skałę, szkoda, że tu w Jastarni nie ma czegoś podobnego. Na starość w głowie wszystko się miesza.

– Niech pan tak nie mówi – powiedziała Jasmine.

– Ale będę mówić – przerwał jej. – Jestem skończonym durniem, pamiętaj, i tak się masz do mnie zwracać. Gdybym nim nie był, to wziąłbym się w życiu za jakieś poważne zajęcie, zarobił pieniądze. Teraz mógłbym je wręczyć mojej wnuczce i powiedzieć: „Masz, wylecz swojego syna”. A ja mam tylko te durne mądrości, których i tak nikt nie chce słuchać i które nie pomogą mojemu wnukowi. Na nic to wszystko, zostaw mnie, przepraszam, nie mam dziś nastroju. Nie powiem nic pociesznego, nic zaskakującego, nie będzie śmiesznych teorii. W życiu chodzi chyba tylko o pieniądze. Myślałem inaczej, nie dbałem o nie, a teraz, jakby Bóg mógł mnie usłyszeć, starego idiotę z Jastarni, to wiesz, co bym mu powiedział?

– Co? – spytała Jasmine, ściskając w ręku papierową torbę z McDonald’sa.

– Powiedziałbym mu: „Słuchaj, Boże, proszę, przyślij anioła, mądrego anioła, który mógłby to wszystko odczarować. Tylko o to proszę”. Nawet jakby miałby to być anioł śmierci, wiesz, kto to jest, prawda?

– Tak.

– On tak sobie krąży i w pewnym najmniej spodziewanym momencie dopada i łaps, już nas ma i wtedy to koniec tej zabawy tutaj. Więc prosiłbym, żeby przyszedł i załatwił tę jedną jedyną rzecz. Te cholerne pieniądze, o które nigdy nie zabiegałem. Pojawiały się w życiu, ale teraz jakoś ich nie ma. Bo o nich nie myślałem zbyt mocno. A to, o czym nie myślisz cały czas, rozptywa się jak mgła, którą widzisz, ale nie możesz złapać w palce. Jeszcze nikt nie złapał cholernej mgły. Przepraszam, że widzisz mnie takiego, ale jestem zupełnie bez sensu. – Starszy pan zapłakał. – Nic nie mogę. Kocham tego malucha, ale nic nie mogę zrobić. – Zakrył oczy drżącą dłonią. – Przepraszam, idź już. Po co komu stary dureń. – Machnął ręką.

- Przyszłam się pożegnać.
- Jak to pożegnać? – Otarł nagle oczy.
- Muszę odejść.
- Ale dokąd?
- Po prostu muszę iść.

– Jesteś bardzo tajemnicza, ale miło, że przyszłaś. Szkoda tylko, że to tak wygląda, że rozłożyłem się na czynniki pierwsze akurat w dniu naszego pożegnania. Chodź, uściśnij mi rękę. Zapamiętaj mnie wesołego i głupiego.

Jasmine podeszła do niego.

– Idź, zawojuj świat. Mnie przeżuł i wypluł – westchnął. – Przegrałem, tak to czuję, a tyle zapasu we mnie było, gdy byłem młody.

– To dla pana. – Wręczyła mu torbę.

– Co to, McDonald's? Chcesz mnie otruć. – Zaśmiał się nerwowo.

– Niekoniecznie, to w podziękowaniu za niezwykle rozmowy. – Pocałowała go w policzek. – I niech pan pamięta, że w końcu wszystko zawsze dobrze się kończy.

– To moje słowa.

– Pańskie, a czyjeż by inne? – Uśmiechnęła się.

– Dziękuję za wszystkie rozmowy, dobrze być wysłuchanym.

Jasmine wyszła cicho, zamknęła drzwi i niepostrzeżenie opuściła dom. Starszy pan został sam, siedział jak skamieniały. Na stole stała papierowa torba. Chciał myśleć o czymś innym, ale przyciągała jego wzrok.

W końcu nie wytrzymał i otworzył ją powoli. Nie było tam jednak kanapek ani żadnego innego jedzenia. Wyjął jeden z kilkunastu grubych plików banknotów. Same nowe pięćsetki prosto z banku.

– A niech to szlag, anioł, po prostu anioł! A już zacząłem wątpić. – Starszy pan spojrzął w sufit. – Drażnisz się ze starym głupcem, draniu. – Otarł łzy i wyszedł szybko z pokoju. – Dziadek ma prezent – szeptał, idąc do salonu. – Gały wam wszystkim wyjdą na wierzch.

## **Alex po akcji**

*Polska, Jastarnia*



Gdy Anna doszła do siebie, Alex zaczął ją wypytywać o zajście. Pytał też barmana, ale ten jedynie wzruszył ramionami.

– Nic nie wiem – mruknął po angielsku na widok odznaki, którą pokazał mu Alex. Najwyraźniej w nic nie chciał się mieszać.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? – Agent kręcił głową z dezaprobatą. Usiedli przy stoliku, by porozmawiać. – Jak ona tu w ogóle weszła?

– Nie wiem. – Anna wzruszyła ramionami. – Nagle po prostu pojawiła się przy mnie. Rozmawiałam z nią, bo byłam pewna, że zaraz wkroczysz do akcji, tak jak się umawialiśmy. Zaczęła coś podejrzewać. Rzuciła się na mnie, gdy usłyszała, że ktoś idzie, i uciekła.

– Nie weszła od frontu – powiedział Alex. – Zresztą nieważne, i tak jej tu już nie ma. – Westchnął.

– I co teraz? – spytała Anna. – Może zadzwońmy po policję.

– Przecież to ja jestem policją – prychnął. – Sam ją znajdę. Jastarnia jest odcięta.

– Ja tu jakoś dotarłam.

– Ona na pewno nie jest taka sprytna jak ty. Odstawię cię do lekarza, niech zobaczy to rozbite czoło. – Wziął Annę pod rękę, wyjął telefon i wyszukał adres przychodni. Potem odprowadził ją tam i poprosił, by po wizycie u lekarza czekała na niego w pensjonacie.

– Wyślij mi adres, żebym mógł cię znaleźć.

Kiedy się rozstali, ruszył w stronę domu Marty. Idąc, ze złością kopał grudy lodu. Wiedział, że Anna nie ma doświadczenia operacyjnego, w końcu była prawnikiem, ale jej nieudolność była dla niego wielce podejrzana. Wietrzył spisek. Nie mógł pozwolić uciec Jasmine, to nie wchodziło w grę. W tej sprawie było za dużo zaniechań. Jak wytłumaczyłby przełożonym, że przez kilka dni nie zdołał jej aresztować? Zgrzytał zębami z wściekłości.

– A ojciec ostrzegął mnie przed tą sprawą – westchnął.

Marta przyjęła go bardzo chłodno.

– Przyszedłeś do mnie czy w sprawie pracy? – rzuciła zaczepnie.

Pani Barbara ostentacyjnie wyszła z kuchni, gdzie piła herbatę.

– To jest jakiś cyrk – stwierdziła, kręcąc głową.

– Przyszedłem ją aresztować. – Alex pokazał Marcie odznakę.

– Po co mi to pokazujesz? Już wiem, kim jesteś.

– Procedury.

– A więc praca. – Marta uśmiechnęła się kwaśno. – Masz pecha, Jasmine nie ma i nie wiem, gdzie się podziewa. – Rozłożyła ręce. – Możesz sprawdzić jej pokój, jeśli chcesz.

– Tak, pokaż mi go.

Ruszyli na górę. Z pokoju na pierwszym piętrze wyjrzał zaciekawiony Marek z modelem samolotu w ręce.

– Tata przyjechał? – zapytał wesoło.

– Nie – mruknęła Marta. – Pan z Kanady po Jasmine. Nie widziałeś jej?

– Ostatnio była u dziadka.

– A co ona tam robiła?

– Nie wiem. – Marek wzruszył ramionami. – Ale podobno dziadek ma jakiś prezent dla wszystkich, powiedział, że zaraz przyjdzie do salonu.

– Dobrze, na razie wracaj do pokoju. – Marta machnęła ręką.

Alex obszedł cały dom, ale Jasmine nigdzie nie było.

– Gdzie ona może być? – Zmarszczył brwi.

– Poczekaj, chyba wiem – powiedziała Marta, której złość nagle minęła. Wciąż miała słabość do Alexa.

Usiedli w kuchni. Marta na chwilę udała się do pokoju Jasmine i ze skrytki pod parapetem wydobyła czarny notes. Kiedy wróciła, z poważną miną wręczyła Alexowi zeszyt.

– Co to jest? – zdziwił się.

– Jej pamiętnik. Może tu będzie jakieś rozwiązanie.

Alex zaczął przeglądać zapiski Jasmine. Było w nim sporo rysunków wykonanych czarnym ołówkiem. Jeden przedstawiał wielką pieczarę, a w niej mnóstwo pustych łóżek. Przypominało to podziemny szpital. Wszystkie rysunki dotyczyły snów Jasmine i jakichś urywków jej wspomnień, przechowywanych gdzieś głęboko na dnie podświadomości.

– Pamiętnik psycholki – zawyrokował agent, przeglądając pobieżnie notes. Nagle natrafił na rysunek przedstawiający sprężynowy nóż, ten sam, który Jasmine dostała od Klaudii. – To może być jakiś trop – stwierdził. – Całkiem możliwe, że to rysunek narzędzia zbrodni.

– Spójrz na to. – Marta przewertowała notes i odnalazła opis snu o Czarnym Zamku. – Ona ciągle pisze o zabójstwach.

– Zatrzymuję to jako dowód. – Alex schował zeszyt do płaszcza. – Później przeczytam go dokładnie, może posłużyć do wyjaśnienia tej sprawy.

– A teraz chcę, żebyś opowiedział mi o wszystkim. – Marta skrzyżowała ręce na piersi. – Chcę znać sprawę, to dotyczy mojej rodziny.

Alex odczuł te słowa niczym ukłucie szpilki.

## **Ratunek**

*Polska, Jastarnia*

Jasmine uciekła do hotelu Dom Zdrojowy. Zupełnie nie wiedziała, co ma zrobić. Oczami wyobraźni widziała już siebie skutą kajdankami w samolocie lecącym do Kanady. Wjechała windą na ostatnie piętro i wyszła na boczną klatkę schodową. Wyjęła telefon i wybrała numer Klaudii. Przerażona opowiedziała o tym, co się stało. Wiedziała, że tylko opiekun może jej pomóc.

– Dobrze, że zadzwoniłaś – pochwaliła ją Klaudia. – Uciekaj do Domu Zdrojowego.

– Już w nim jestem.

– Wejdź na sama górę i przyczaj się gdzieś.

– Właśnie to zrobiłam.

– Naprawdę czasem mnie zadziwiasz – mruknęła zadowolona Klaudia. – W takim razie siedź tam i nie wychodź. Przylecę po ciebie. Na dachu hotelu jest lądowisko dla helikopterów.

– Za ile będziesz?

– Spodziewaj się mnie przed północą.

– Tak długo? – jęknęła Jasmine. – Co mam robić przez ten czas?

– Postaw sobie pasjansa – parsknęła Klaudia.

– Ale nie rozumiesz, szuka mnie jakiś agent. Przyjechał z Kanady, chce mnie tam zabrać.

– Uspokój się – odparła chłodno Klaudia. – Po prostu siedź i czekaj. Najlepiej w jakimś bocznym korytarzu albo składziku. Nikt cię tam nie znajdzie, o ile będziesz mądra. Pamiętaj, że służby już cię szukają, może również polska policja. Nie wiadomo, kogo ten agent zawiadomił. Kiedy przylecę, zadzwonię po ciebie i wyjdiesz na dach. Wiesz, co masz robić?

– Tak, ale czy nie mogę czekać na dworze? – zdziwiła się Jasmine.

– A po co masz marznąć? Będę dopiero za pięć godzin. Poza tym Jastarnia nie jest duża, jeszcze ktoś cię zobaczy. Hotel to idealne miejsce. Po prostu czekaj tam, a nic ci się nie stanie.

Jasmine znalazła na samej górze niewielką salę konferencyjną wypełnioną przeróżnymi meblami. Na czas sylwestra zrobiono tu skład niepotrzebnych przedmiotów. Jasmine zbliżyła się do okna, które zakrywała ciężka kotara. Usiadła na podłodze przy wielkiej tafli szkła, skąd rozciągał się wspaniały widok na las i pustą plażę. W tej kryjówce postanowiła poczekać na Klaudię. Serce mocno jej biło. Wyciszyła dźwięk telefonu i nasłuchiwała. Hotel jednak pogrążony był w zupełnej ciszy.

Tymczasem na dole w recepcji Alex w asyście dwóch policjantów załatwiał przeszukanie budynku. Dzięki informacjom od Marty zdołał ustalić, że Jasmine odwiedzała ten hotel. Postanowił poprosić o wsparcie polskich stróżów prawa. To była jego polisa ubezpieczeniowa, żeby nikt nie zarzucił mu później, że nieprawidłowo przeprowadził akcję. Obawiał się, że jakimś cudem Jasmine może zdołać uciec.

Stróże prawa wjechali na ostatnie piętro i przechodzili przez puste korytarze, sprawdzając wszystkie schowki. Nieświadoma niczego Jasmine siedziała nadal w swojej kryjówce. Nagle zamarła. Drzwi od sali konferencyjnej otworzyły się i zapalono wszystkie światła. Rozległy się odgłosy kroków i przesuwanych mebli. To Alex z policjantami przeszukiwał pomieszczenie. Serce Jasmine oszałało. *Już po mnie* – pomyślała.

Agent Alex zbliżył się do okna, gdzie za zastoną siedziała ukryta Jasmine.

*Skąd oni wiedzą, gdzie mnie szukać? Mogłam uciec do lasu, nigdy by mnie tam nie znaleźli.*

Rozejrzała się rozpaczliwie w poszukiwaniu ratunku.

## **Torba**

*Polska, Jastarnia*

Pan Edward wszedł do salonu z uroczystą miną. Przy stole siedziały pani Barbara i Marta. Rozmawiały półgłosem o tym, co zaszło.

– Mam coś, co rozwiąże wszystkie nasze problemy – powiedział starszy pan. – To naprawdę smutne, że banalne skrawki papieru są tak ważne, ale proszę, zajrzyjcie do środka. – Położył na stole papierową torbę z McDonald'sa.

Pierwsza zajrzała do niej pani Barbara.

– Tato, ile tego jest? – Wyjęła jeden z grubych plików banknotów.

– Nie mam pojęcia. – Pan Edward wzruszył ramionami. – Może milion, może dwa, ale na wyleczenie Stasia starczy z pewnością.

– Skąd masz te pieniądze, dziadku? – spytała Marta tknięta nagłym przeczuciem.

– Po prostu mam – odparł pan Edward.

– Dała ci je Jasmine, prawda?

– To nieistotne.

– Proszę, oddaj mi te pieniądze, trzeba je zwrócić policji.

– Może umówmy się, wnuczko, że będziesz zwracać swoje pieniądze, a moje zostawisz w spokoju. – Pan Edward zdecydowanym ruchem zabrał torbę.

– Dziadku, proszę, daj mi to. – Marta wyciągnęła rękę.

– Głupia jesteś i tyle. – Starszy pan wcisnął zawiniątko pod pachę.

– Dziadku, to jest przestępstwo, nie możesz zatrzymać tych pieniędzy.

– A pocałujcie mnie wszyscy w dupę – rzucił cynicznie pan Edward i wyszedł z pokoju. – Banda nawiedzonych idiotów. – Trzasnęły zamykane drzwi.

– Mamo, zrób coś – jęknęła Marta.

– Ale co? – odparła bezradnie pani Barbara. – Znasz przecież dziadka. Jest uparty jak osioł.

Gdy Marta weszła do pokoju pana Edwarda, ten siedział przy stole i nalewał do szklanki piwo Kasztelan.

– Dziadku, proszę, oddaj mi tę torbę.

– Przepraszam, moja panno, ale chyba się zapominasz – odparł starszy pan. – Pamiętam, jak byłaś dzieckiem i usiłowałaś w garażu wbijać gwoździe w beton. Nigdy w niczym cię nie ograniczałem. Ale teraz po prostu mówię ci „stop”. Wchodzisz do mojego pokoju i każesz mi oddawać coś, co nie należy do ciebie. To raczej ty powinnaś mi coś oddać.

– Ja? – zdziwiła się.

– Tak, ty. Odrobinę szacunku. To jest moja torba i nic ci do niej.

– Gdzie ona jest, dziadku?

– Nie ma jej. Zniknęła, takie czary. – Starszy pan wzruszył ramionami i zachichotał.

– Dziadku, to jest przestępstwo – zdenerwowała się Marta. – Nie bądź uparty.

– Przestań gadać głupoty i zacznij myśleć.

Marta milczała.

– A teraz wyjdź z mojego pokoju i zamknij za sobą drzwi.

– Na pewno tego chcesz?

– Na pewno – odparł. – Potem mi podziękujesz, a teraz zostaw mnie samego.

Marta wyszła. Wiedziała, że z dziadkiem nie da się dojść do ładu. W drodze do kuchni miała zupełny mętlik w głowie. Alex pokierowany przez nią udał się do hotelu Dom Zdrojowy, dokąd według Marty najpewniej uciekła Jasmine. Tam miała spędzić dzisiejszej nocy sylwestra, czyli mógł być tam ktoś, kto jej pomagał.

*Mam nadzieję, że dziadek nie pośle nas wszystkich za kratki* – pomyślała Marta, wstawiając wodę na herbatę. Potem jej myśli bezwiednie powróciły do Alexa. Poczła ścisnięcie serca. Tak naprawdę nie chciała, by aresztował Jasmine, to wiązałoby się z jego wyjazdem. Ciągle miał w sobie to coś, co sprawiało, że na przekór wszystkiemu na myśl o nim jej serce biło mocniej.

## ROZDZIAŁ 51

*Żyłem jak chciałem i umrę jak mi się podoba.*

Henryk Sienkiewicz, *Quo vadis*

### Poszukiwania

*Polska, Jastarnia*

Agent Alex jednym szarpnięciem odstonił zasłonę. Okienna wnęka była jednak pusta. Podszedł do kolejnej i uczynił to samo. Przeszedł przez całą salę i odstonił wszystkie okna. Policjanci w tym czasie sprawdzali stertę mebli pośrodku pomieszczenia. Zaglądali pod stoły i płachty.

– Tu nikogo nie ma – stwierdził jeden z nich, starszy stopniem. Nie była mu w smak ta nagła akcja.

Alex ostatni raz przeszedł przez salę, rozglądając się uważnie. Tymczasem Jasmine w swojej kryjówce wstrzymywała oddech. Kiedy zgasty światła i zamknęły się drzwi, bacznie nasłuchiwała. Siedziała wciąż bez ruchu, skulona. Zaczęły drętwieć jej nogi, ale była zbyt blisko ucieczki, by dać się teraz złapać. Mimo skrajnie niewygodnej pozycji wytrwała w ukryciu kilka następnych godzin. Gdy bezgłośnie zadzwonił telefon, odebrała go. Usłyszała głos Klaudii:

– Przyleciałam wcześniej. Wyjdź szybko na dach.

Dopiero wtedy czerwone drzwiczki od hydrantu umieszczone we wnęce okna uchyliły się. Z ciasnego otworu wypęzła Jasmine. Dotarła do drzwi i ostrożnie wyjrzała na korytarz. Był pusty. Chwilę nasłuchiwała, po czym ruszyła do bocznej klatki schodowej, gdzie znajdowało się wyjście na dach. Piętro niżej usłyszała jakieś kroki. Najciszej jak tylko możliwe weszła na sam szczyt i pchnęła klapę. Ta jednak nie ustąpiła. Z boku dyndała potężna kłódka. Jasmine, wyjęła telefon i wybrała numer Klaudii.

W słuchawce dał się słyszeć szum helikoptera.

– No, gdzie ty jesteś? Miałaś czekać na dachu. – Klaudia była najwyraźniej poirytowana.

– Nie mogę wyjść – jęknęła Jasmine. – Kłapa na dach jest zamknięta.

– Posłuchaj uważnie, co masz robić – powiedziała Klaudia. – Zejdź na czwarte piętro. Z nikim nie rozmawiaj. Idź do restauracji, tam znajduje się wyjście na taras. Z boku jest drabinka na wyższy poziom dachu. Zrób to natychmiast.

Jasmine wyjrzała przez poręcz. Klatka schodowa była pusta. Kroki, które wcześniej słyszała, ucichły. W hotelu zaczął się już ruch, przygotowywano się do sylwestra, który miał odbyć się w sali na pierwszym piętrze. Jasmine zbiegła piętro niżej po schodach. Weszła do restauracji i szybko ją przemierzyła, kierując się wprost do przeszklonych drzwi, które prowadziły na rozległy taras. Nie widziała niczego, chciała jak najszybciej wyjść na zewnątrz. Gdy dotarła do drzwi, poczuła, że ktoś chwyta ją za rękę. Obróciła się i zobaczyła Zoo.

– Co się dzieje? – zapytał z mocą. – Gdzie ty idziesz? Mieliśmy spędzić razem sylwestra, a ty nagle zniknęłaś.

– Zostaw mnie – warknęła Jasmine. Pchnęła drzwi i wyszła na taras.

Zoo zamarł, a potem ruszył za nią.

Jasmine dopadła do metalowej drabinki i w panicznym pośpiechu wspięła się na górę. Na wyższym poziomie dachu znajdowało się lądowisko. Stał tu błyszczący helikopter gotowy do odlotu. Potężne śmigło zdmuchiwało śnieg. Jasmine pochylając głowę, ruszyła biegiem w stronę maszyny. Drzwi rozsunęły się z trzaskiem i wychyliła się z nich Klaudia.

– Szybciej! – ponaglała.

W tym momencie na dach wbiegł Zoo i ruszył pędem za Jasmine.

– Stój, wariatko! – krzyczał.

– Odczep się! – odpowiedziała mu dziewczyna. – Zostaw mnie!

Podbiegła do helikoptera. Klaudia wyciągnęła do niej rękę.

– Wskakuj, szybko!

Jasmine została wciągnięta do wnętrza maszyny.

– Startuj! – rzuciła Klaudia do albinosa, który siedział za sterami. – Na co czekasz?!

Zoo przyspieszył, chcąc dopaść helikoptera. Od maszyny dzieliło go już tylko dwadzieścia metrów. Nagle zdębiał i zwolnił. W drzwiach dojrzał bowiem Klaudię z nieodłącznym lizakiem w ustach. Błyskawicznie wyciągnęła broń z tłumikiem i z cynicznym uśmieszkiem wycelowała w stronę Zoo, prosto



w jego pierś. Zoo zamarł, po prostu skamieniał. Padł strzał, ale w ostatniej chwili Jasmine podbiła rękę Klaudii i kula świsnęła obok niego.

– Startuj, do cholery! – wrzasnęła na pilota Klaudia. Uderzyła Jasmine na odlew w głowę i pchnęła do wnętrza maszyny.

Helikopter jednym skokiem poderwał się do lotu. Klaudia zasunęła drzwi, a maszyna wzleciała w górę i pomknęła ponad lasem i zatoką w stronę Gdańska. Zoo stał i patrzył, jak niknie w oczach. Czuł, jakby ktoś wyrwał mu serce z piersi. Chciał podskoczyć i lecieć w ślad za helikopterem, ale przecież było to niemożliwe. Śmigłowiec robił się coraz mniejszy.

## **Lot na wyspę**

*Polska, wyspa na Wiśle*

Helikopter ominął Gdańsk i zniżył lot.

– Leć nad Wisłą – poinstruowała pilota Klaudia.

Maszyna ciągle trzymała się rzeki. Większe miasta omijała łukiem. Ruch powietrzny był znikomy z uwagi na sylwestra. W końcu po godzinie lotu helikopter wylądował na jednej z wiślanych wysp. Klaudia wyskoczyła i przeciągnęła się jak kot. Jasmine wysiadła niepewna tego, co ją czeka. Opiekunka wzięła ją pod rękę i ruszyły w stronę wojskowych namiotów.

– Jak zwykle uratowałam ci tyłek – mruknęła Klaudia. – A ty tradycyjnie nawaliłaś. Miałaś ich wszystkich zabić.

Jasmine spuściła wzrok.

– Dzisiaj nie będziemy o tym rozmawiać. Ważne, że jesteś bezpieczna.

Z baraku szkoleniowego wyszedł Marcel.

– Jak helikopter ostygnie, zabezpiecz go siatką maskującą – rzuciła do niego Klaudia, po czym zwróciła się do Jasmine: – Chodź, zrobię ci mocnej kawy, wiem, że taką lubisz.

Weszły do baraku. We wnętrzu było ciepło i przyjemnie. Minęły pustą salę szkoleniową.

– Jest tu więcej ludzi? – zdziwiła się dziewczyna.

– A co, myślałaś, że ta cała szopka jest tylko z twojego powodu? – Klaudia zaśmiała się. – Jest tu parę osób, zaraz wszystkich poznasz.

Dotarły do barku, gdzie Klaudia zrobiła kawę. Usiadły przy jednym ze stolików.

– To, czego się dowiesz tutaj – Klaudia wskazała na blat stołu – wstrząśnie twoim światem. To wszystko, co się działo, nie wydarzyło się bez powodu. Wszystko ma swój ukryty cel.

– To wytłumacz mi – poprosiła Jasmine.

– Wszystkiego dowiesz się jutro.

Po wypiciu kawy Klaudia zaprowadziła Jasmine do dużego namiotu, który pełnił rolę sypialni. Stały tu w rzędach składane łóżka. Jasmine zajęła ostatnią wolną prycz. W obozie oprócz Marcela, albinosa i Klaudii przebywało ponad trzydzieści osób – nastolatków, którzy przyjechali wcześniej niż Jasmine i już zdążyli się poznać. Dziewczyna czuła się bardzo nieswojo, mimo że podchodzili do niej i przedstawiali się, a niektórzy nawet żartowali. Całej grupie zdawał się przewodzić, barczysty blondyn o imieniu Max. Wśród dziewczyn najbardziej wygadana okazała się wysoka, piegowata Sandra. Wszystko, co mówiła, było jakąś formą zaczepki.

Jasmine chciała się dowiedzieć czegoś o tym miejscu, ale nikt nie potrafił jej niczego wyjaśnić. Od kilku dni młodzi ludzie siedzieli zamknięci w obozie, rozmawiali, jedli w stołówce i grali w ping ponga. Obóz otoczony był drutem kolczastym, poza który nie wolno było wychodzić.

– Jutro powiedzą nam, o co tu chodzi. Najwyraźniej czekaliśmy na ciebie – zauważyła złośliwie piegowata Sandra.

Jasmine dowiedziała się jednego: wszyscy przyjechali z rodzin zastępczych z różnych krajów. To naprawdę było bardzo zagadkowe.

## **Barak**

*Polska, wyspa na Wiśle*

Równo o ósmej rano do baraku weszła z wyniosłą miną Klaudia. Była ubrana w czarny kombinezon, który ściśle opinał jej ciało. Wyglądała, jakby została zanurzona w atramencie. Włosy miała związane w koński ogon. Gdy wkroczyła do sali szkoleniowej, panował w niej rozgardiasz. Niektórzy się przechadzali, parę osób pochłoniętych było rozmową. Ktoś spał na ławce, ktoś inny trzymał nogi na blacie. Klaudia stanęła na środku przy dużej tablicy i założyła ręce za siebie. Stała w milczeniu, wyprostowana niczym struna, jak żołnierz na warcie. Patrzyła intensywnie na salę, ale nie na kogoś konkretnego. Część osób nie zauważyła nawet, że weszła, ale powoli gwar

zaczął cichnąć. W spojrzeniu Klaudii było coś miazdzącego. Zdawało się, że patrzy na każdego z osobna. Sprawiała wrażenie osoby tak pewnej siebie, że po niedługim czasie wszyscy umilkli i zajęli miejsca w ławkach. Od razu widać było, że jest tu jakąś ważną szychą. Gdy w sali zapanowała cisza, Klaudia drgnęła.

– Długo kazaliście na siebie czekać – stwierdziła oschle. – Następnym razem to się nie powtórzy. – Mówiła po angielsku, niezwykle cicho, co sprawiło, że wszyscy zaczęli wytyęczać słuch.

– Zostaliście tu ściągnięci z różnych krajów, czasem wbrew swojej woli, a teraz nadeszła pora, żeby wam to wyjaśnić.

Po sali przeszedł pomruk i słychać było zduszone szepty.

– Teraz powiem wam coś niezwykle ważnego. – Klaudia usiadła na ławce. – Jeżeli usłyszę najmniejszy szmer albo wyda mi się, że go słyszę, to po prostu wyjdę z sali. Potem każę strażnikom podzielić was na dwie grupy. Jedna przez tydzień będzie kopać dół, a druga go zasypywać. Po tygodniu ponownie spotkamy się tutaj, a ja znowu będę czekała na jakiś szmer. Widzę, że dziwnie patrzycie, chyba nigdy nie kopaliście dołów, co? Ktoś miał tę przyjemność, bez jedzenia i wody, przez cały dzień?

W sali zapadła grobowa cisza.

– No, a teraz do rzeczy. – Klaudia uśmiechnęła się lekko. – Nie miejcie żadnych wyrzutów sumienia. Wasze rodziny wcale nie były waszymi rodzinami. W dzieciństwie zostaliście skierowani do adopcji. Nie możecie tego pamiętać. – Powiodła wzrokiem po sali, ale nikt się nie odezwał. – W końcu nadszedł czas, kiedy upomniała się o was wasza prawdziwa rodzina. Każdemu z was przestano instrukcje, ale niektórzy nie zrobili tego, czego od nich żądaliśmy. Niektórzy z waszych przybranych rodziców dowiedzieli się o wszystkim i musiało się to dla nich skończyć tak, jak się skończyło. Niektórzy dobrze wykonali powierzone im zadania, a inni nie zrobili niczego. – Klaudia podeszła do ławki Jasmine i zatrzymała się. – Teraz jest ostatnia szansa na zmianę tych negatywnych postaw. Niczego nie żałujcie i nad nikim nie płaczcie. Dopiero teraz jesteście w prawdziwej rodzinie. Wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami. Moim celem jest zaznajomić was z regułami, które tu panują. – Wolno ruszyła w stronę tablicy. Nagle odwróciła się, a w rękach trzymała szklaną ampułkę. – Wiecie, co to jest?

Zebrani pokręcili przecząco głowami.

– To jest serum. Każdy z was niebawem przejdzie inicjację i otrzyma taką ampułkę. Po jej wypiciu wasze mózgi przyspieszą, zaczniecie myśleć trzy razy szybciej i zapamiętywać wszystko od razu. Po przeczytaniu książki będziecie ją znać na pamięć. Każdy z was nauczy się wybranego języka, a później traficie do różnych krajów. Jednak przed inicjacją musicie przejść okres próby. W końcu żyliście wśród obcych ludzi, którzy swoim wychowaniem oddziaływali na was. To wszystko należy teraz wyrwać z korzeniami i wyrzucić do kosza. Mnie w udziale przypadła rola zresetowania waszych umysłów. Żądam pełnego posłuszeństwa, rozumiano?

Zebrani w milczeniu pokiwali głowami.

Jedna z dziewczyn nerwowo bawiła się ołówkiem. Uderzyła się nim po policzku i w pewnym momencie ołówek z cichym trzaskiem spadł na podłogę. Klaudia umilkła, podeszła z wolna do miejsca, w którym leżał, i podniosła go.

– Chyba coś ci upadło, kochanie. – Uśmiechnęła się jadownicę, nachylając się nad dziewczyną. – Może wydaje ci się, że jestem dobrą ciocią, bo mówiliśmy tu trochę o rodzinie. Ale chyba za bardzo nie rozumiesz, o co tu chodzi? Wstań, jak do ciebie mówię, głupia dziwko! – wrzasnęła.

Dziewczyna zamarta z przerażenia.

– Wstawaj! Powinnam wbić ci ten ołówek w twój głupi łeb. Po co ci on?! Myślisz, że jesteś w szkole? Wypieprzaj stąd. – Jednym szarpnięciem poderwała dziewczynę do góry. Ciągnąc ją za rękę, dotarła do drzwi i otworzyła je z rozmachem. Na progu stał albinos w czarnym kombinezonie.

– Zabierz ją. – Klaudia z obrzydzeniem pchnęła dziewczynę w jego stronę. – Potem do niej przyjdę i zajmę się nią osobiście. I tak oto kończą niegrzeczne dziewczynki. – Uśmiechnęła się, zamykając z trzaskiem drzwi. – Kiedy mówię, nie wolno mi przeszkadzać. – Powiodła groźnym wzrokiem po sali. – Ale wracając do tematu... – Przybrała słodki ton. – W Rodzinie żyjemy jak w komunie. Wszystko jest wspólne, dzieci również. Po ich narodzinach oddajemy je na wychowanie do zwykłych rodzin. Tam dzieci rosną, aż przychodzi czas, gdy zgłaszamy się po nie, tak jak teraz zgłosiliśmy się po was. Wszystko jest świetnie zorganizowane i każdy zajmuje się ściśle określonymi sprawami. Moją rolą na przykład jest przygotowanie nowicjuszy. No, ale dosyć o mojej skromnej osobie, przez te kilka dni będziecie jeszcze mieli okazję mnie poznać. – Uśmiechnęła się. – Muszę was przygotować

na spotkanie z Matką. Przyjeżdża za tydzień. Każdy z was się z nią zobaczy. Ona zadecyduje, czym się będziecie zajmować w Rodzinie. Do tego czasu wszystko musi być gotowe, a przede wszystkim wy. Nie oszukujmy się, czeka nas ogrom pracy. Jeżeli ktoś nie podoła, to znaczy, że nie nadaje się już do niczego. – Klaudia zamilkła dla podkreślenia wagi swoich słów. – Wykonujcie wszystko, czego chcę, a nagroda was nie ominie. Poznacie wszystko szczebel po szczeblu. Ten okres przygotowawczy jest jak drabina, do której na razie dopiero podchodzicie. Niektórym z was nie uda się nawet do niej zbliżyć. Niektórzy nie sięgną nawet pierwszego szczebla. Nie dadzą rady przez własną głupotę, bądźcie więc czujni. Ta mała już zakończyła swoją działalność. – Klaudia wskazała na pustą ławkę, w której przed chwilą siedziała dziewczyna bawiąca się ołówkiem. – Moim zadaniem jest odsianie ziarna od plew, do czego osobiście wyznaczyła mnie Matka. – Uśmiechnęła się krzywo. – Rozumiemy się?

Wszyscy pokiwali w milczeniu głowami.

– To, czym się tu zajmujemy, to bardzo ważne sprawy i nie możemy pozwolić sobie na żadne błędy. Żeby nie marnować czasu, nakreślę wam ogólny plan działania. Od teraz można się odzywać i zadawać pytania, ale tylko po podniesieniu ręki.

Klaudia podeszła do tablicy, wzięła wskaźnik i włączyła rzutnik. Na ekranie pojawiła się wielka mapa Europy i Azji.

– To mapa z trzeciego wieku przed naszą erą – wyjaśniła Klaudia. – Tu jest Morze Śródziemne, a wokół niego oczywiście Cesarstwo Rzymskie. – Zatoczyła koło wskaźnikiem. – Natomiast w tym miejscu, jak widzicie, znajduje się Wielka Lechia. – Wskaźnik pokazał tereny współczesnej Polski, Litwy, Łotwy, Ukrainy, Białorusi i części Rosji. – To stare państwo Słowian – wyjaśniła. – Jak widzicie, o wiele większe niż rzymskie imperium. Słowianie od zarania dziejów tworzyli wielkie państwa obejmujące bezkresne równiny i lasy. Na tych terenach zawsze istniały idealne warunki do sekretnego życia tuż pod okiem społeczeństw. Nasza Rodzina działa oczywiście na całym świecie. Jednak tu jest nasza macierz, epicentrum wszystkiego. – Klaudia postukała wskaźnikiem na terytorium Polski. – To styk zachodu ze wschodem. W tysiąc siedemset siedemdziesiątym piątym roku astronom Antoni Sobiekrajski jako pierwszy dokonał wyliczeń kartograficznych. Według niego środek Europy wypada w Polsce, we wsi Suchowola.

Zebrani spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Klaudia, niezrażona poruszeniem na sali, mówiła dalej:

– To ważna informacja wyjaśniająca naszą lokalizację. Przypominam, że Polska była od zawsze krajem wielkiej wolności i tolerancji. Tu nasza Rodzina mogła spokojnie się rozwijać. Czasem jednak nadchodzi moment, kiedy trzeba się rozproszyć, i to właśnie spotkało was. Wszyscy urodziliście się w Polsce, ale zostaliście skierowani do adopcji do różnych rodzin w różnych krajach. Dano wam ciepło, miłość i inne tym podobne rzeczy. To, czego się tam nauczyliście, to był jednak jeden wielki stek bzdur. Teraz nadszedł czas mądrości. Przez miesiąc zdobędziecie tyle wiedzy, ile świat nie poznał przez dwa tysiące lat. Serum, które dostaniecie, to dopiero początek wszystkiego. Powiem wam dzisiaj trzy ważne rzeczy. Oto pierwsza, najprostsza z nich. Spójrzcie na siebie nawzajem i powiedzcie, czy widzicie coś zastanawiającego. Zgłaszamy się przez podniesienie ręki – przypomniała.

Zrobił się ruch, wszyscy zaczęli się rozglądać. W końcu podniosło się kilka rąk.

– Proszę, ty. – Klaudia wskazała na chłopaka w kącie.

– Wszyscy jesteśmy do siebie trochę podobni.

– Bardzo dobrze – pochwaliła go. – Widzę, że podążasz tokiem moich myśli. Pierwsza rzecz: wszyscy jesteście jakoś ze sobą spokrewnieni. W końcu jesteśmy wielką rodziną. – Zbliżyła się do tablicy i szybko mazakiem napisała wzór:

$$N = R_{cc} \times L$$

– Czy ktoś z was wie, co to jest? – zapytała. Odpowiedziało jej jednak milczenie.

– To skrócone równanie Drake’a, amerykańskiego fizyka i astronoma – wyjaśniła. – Jest to wzór próbujący określić, ile cywilizacji technologicznych istnieje w naszej galaktyce. Dzięki temu szybko policzono, że naszą galaktykę zamieszkuje kilka milionów inteligentnych cywilizacji. Teraz ktoś zapewne zapyta, dlaczego w takim razie nikt nas jeszcze nie odwiedził? – Klaudia powiodła pytającym wzrokiem po sali. – Odpowiedź jest prosta: to są inne odległości i inny czas. Nasza cywilizacja, ta, którą znamy, liczy zaledwie pięć

tysięcy lat. W stosunku do odległości w czasie, liczących w kosmosie miliony lat, to tyle co nic. Zresztą sama nasza planeta Ziemia pędzi przez kosmos z całym Układem Słonecznym niczym wielki statek kosmiczny. Całkiem możliwe, że pewnego dnia znajdziemy się blisko innej, bliźniaczej Ziemi. Co jest ciekawe i co trzeba podkreślić, człowiek nie jest do końca przystosowany do życia na tej planecie. – Wskazała na podłogę. – Ziemskie przyciąganie jest dla nas odrobinę za mocne, każdy lekarz to wam potwierdzi. Przez to mamy problemy z kręgosłupem i krążeniem. Ewolucja, którą przeszły organizmy zamieszkujące Ziemię, nie dotyczy ludzi. Zostaliśmy przewiezieni na tę planetę dawno temu i nie do końca jesteśmy przystosowani do surowych warunków, które tu panują.

Po sali przeszły szept, a na twarzach zebranych pojawiły się uśmiešky, które Klaudia najzwyczajniej zignorowała.

– A teraz sprawa najważniejsza. – Spojrzała uważnie na słuchaczy. – Macie dowiedzieć się czegoś, czego nie wie nikt tu na Ziemi. – Ponownie wskazała podłogę.

Wszyscy spojrzeli na nią z zaciekawieniem. Klaudia skrzyżowała ramiona na piersi.

– Na początku to może wydać się wam jakąś obłądną teorią. Każdy z osobna będzie musiał się z tym uporać we własnej głowie. – Zamilkła na chwilę. – Ale całkiem możliwe, że niektórzy z was już się czegoś domyślają. – Uniósł brew.

W sali panowała zupełna cisza, wszyscy czekali na to, co powie im Klaudia.

## ROZDZIAŁ 52

*Ze wszystkich okropnych rzeczy w życiu najokropniejsze jest pożegnanie.*

Jane Austen, *Emma*

### **Alex szykuje się do odjazdu**

*Polska, Jastarnia*

Po próbie ujęcia Jasmine, która zakończyła się totalnym fiaskiem, Alex szykował się do powrotu do Warszawy. Zamierzał przekazać sprawę polskiej policji. Burze śnieżne odpuściły i drogi na powrót stały się przejezdne.

Anna Bouchard udała się na długi spacer po plaży. Słońce świeciło pięknie w bezwietrzny dzień. Po niebie z piskiem krążyły mewy. Kobieta rozmyślała nad ostatnimi wydarzeniami i naprawdę cieszyła się z takiego ich obrotu. Idąc, uśmiechała się do siebie. Doszła aż do Juraty, która o tej porze roku drzemała zimowym snem. Letnie domy i apartamenty były pozamykane na głucho. Działały nieliczne sklepy i pensjonaty, w tym hotel Bryza ulokowany tuż przy samej plaży. Anna dojrzała go, idąc brzegiem morza. Od razu skierowała tam swoje kroki. Udała się do baru, gdzie zamówiła koniak i kawę. Usiadła przy stoliku i popijając, czuła, jakby wielki kamień spadł jej z serca. Jasmine zniknęła, a środki na jej koncie najpewniej zostaną przejęte przez rząd. Anna domyślała się, że teraz sprawę przejmie polska policja. *Dobrze, że udało się jej uciec – pomyślała.*

Kolejny łyk koniaku przyjemnie rozgrzał jej gardło. Wyglądało na to, że także dla niej cała sprawa została zakończona. *O ile nie znajdą Jasmine – pomyślała i na moment serce забиło jej mocniej. Ale ona jest sprytna, na pewno do tego nie dopuści. Po prostu wróć spokojnie do swojego życia i kancelarii, a Jasmine też będzie szczęśliwa gdzieś daleko. Może nawet kiedyś się spotkamy, kto wie?*

Miłe przemyślenia przerwał dźwięk SMS-a od Alexa. „Gdzie jesteś, musimy porozmawiać”, brzmiała wiadomość.



Alex dotarł na łąki pod Jastarnią, gdzie przed kilkoma dniami udało mu się wylądować. Helikopter posłusznie stał na swoim miejscu i czekał na niego. Na śniegu nie było żadnych śladów, nikt nawet nie zwrócił uwagi na stojącą za kępą drzew maszynę.

*I bardzo dobrze – pomyślał Alex. Przynajmniej będę miał czym wrócić do Warszawy. Tam zostawię helikopter.*

Wysłał SMS-a do Anny. Trzeba było się zbierać. Westchnął ciężko, myśląc o Marcie. Naprawdę nie przypuszczał, że los kiedyś ponownie skrzyżuje ich drogi. Do niedawna była tylko jego wspomnieniem, teraz stała się namacalną rzeczywistością.

*Muszę z nią jeszcze raz porozmawiać – pomyślał i ruszył w stronę miasta.* Szedł ociężale, rozgniatając głęboki śnieg, który pokrywał łąkę białym kobiercem.

## **Ponowne spotkanie**

*Polska, Jastarnia*

Marta miała co prawda jechać do sklepu z matką, ale wymówiła się pod jakimś błahym pretekstem. Domyślała się, że Alex będzie chciał się z nią jeszcze spotkać, i nie myliła się. Zapukał do jej drzwi, gdy akurat parzyła herbatę. Wpuściła go do kuchni. Pani Barbara wyjechała do sklepu piętnaście minut wcześniej.

*Jak dobrze – pomyślała Marta. Będzie mogła spokojnie porozmawiać, bez akompaniamentu jej westchnień i widoku kwaśnych min.*

– Ciągłe pijesz herbatę, gdy przychodzę – zauważył Alex z lekkim uśmiechem. – Powinienem być chyba Anglikiem.

Marta nic nie odparła, ale również się uśmiechnęła. Lubiła poczucie humoru Alexa. Najgorsze było to, że nie potrafiła się na niego gniewać. Gdy opowiedział jej o sprawie Jasmine, była naprawdę wściekła. Powinien był ją ostrzec od razu, kiedy ją zobaczył. To cud, że nikt nie zginął. Dziewczyna była niezwykle groźna, to wszystko mogło się źle skończyć. Alex wdarł się do jej życia i narobił bałaganu, ale ona w zasadzie już mu wybaczyła. Postawiła przed nim kubek z herbatą i usiadła naprzeciwko przy kuchennym stole.

– No to teraz porozmawiajmy. – Podparła rękoma brodę. – Jak ty to sobie wyobrażasz? Że zostawię wszystko, dzieci, męża, który już do nas jedzie,

i wyruszę z tobą do Kanady?

– Wiem, że masz już swoje życie i bliskich, na których ci zależy...

– No właśnie. – Pokiwała głową. – Ciężko mi to mówić, ale chyba czas za bardzo nas od siebie oddalił. Mogłeś mnie odszukać wcześniej, zapukać do moich drzwi, nim poukładałam sobie życie.

– Wiem. – Alex zwiesił głowę. – Ale słuchaj, Marta. – Spojrzał na nią nagle. – Może jest jeszcze dla nas szansa.

– Myślisz, że jeśli nawet z tobą wyjadę, to nie będę tęskniła za dziećmi? One będą musiały zostać. Nie mogę ich zabrać Mikołajowi, są z nim bardzo związane. Może miesiąc da się tak żyć, a co potem?

– Wiem – przytaknął. – Zrozum, chcę, żeby było jak dawniej, ale to chyba naprawdę niemożliwe. Nawet nie wiem, jak ci to wszystko powiedzieć, co czuję...

– Nie musisz. – Położyła mu dłoń na rękę. – Czuję to samo. Chciałabym cofnąć czas, ale nie da się. Niech to żyje w naszych wspomnieniach.

Alex chciał coś odpowiedzieć, ale wtem usłyszeli odgłos otwieranych drzwi. Przyjechał Mikołaj. Miał być dopiero wieczorem, ale bardzo się spieszył.

– Halo, nikt mnie nie wita? – zawołał wesoło od progu, otrzepując buty ze śniegu. Nikt mu nie odpowiedział. Staś spał na górze, Marek pojechał z babcią i dziadkiem na zakupy, a pan Edward poszedł na samotny spacer. Dwie postacie w kuchni zamarty jak dwoje spiskowców.

*I co teraz?* – zdawał się pytać wzrok Alexa.

Marta bez słowa wskazała mu ręką korytarz prowadzący z kuchni do tylnego wyjścia z domu.

## **Kludia zdradza tajemnicę**

*Polska, wyspa na Wiśle*

– Naprawdę nie dbam o to, co pomyślicie – powiedziała Kludia. – Mam wam tylko przekazać najważniejsze informacje. Reszty dowiecie się podczas szkoleń. Może wyda wam się to zupełnie szalone, ale Ziemia jest wielkim więzieniem.

Wszyscy w sali spojrzeli po sobie.

– Nie przestyszeliście się. To jest druga tajemnica: Ziemia jest więzieniem – powtórzyła Kludia. – Nasz Układ Słoneczny zaledwie dwudziesty czwarty raz

okrążyła Drogę Mleczną. Jesteśmy znacznie oddaleni od innych układów, w których jest więcej planet. Nasz jest rzucony w strefę pustki. Istnieją miejsca bardziej zagęszczone. Nasze położenie to nie przypadek, to idealne miejsce na więzienie. Stąd nie ma ucieczki, jedynym wyzwoleniem jest śmierć. Wtedy dusza porzuca ciało i rusza do innych światów. Dusza jest światłem i może odbywać takie podróże. Tu na Ziemię trafiają dusze, które muszą przeżyć swoje życie. Dla każdej jest ono osobną próbą. Nawet najlepsze życie tu – Klaudia wskazała na podłogę – jest karą.

Nagle ktoś z tylnego rzędu podniósł rękę.

– Proszę, widzę, że mamy pytanie.

– Jeżeli to jest więzienie, to dlaczego tu trafiliśmy? – zapytała piegowata dziewczyna.

– A kto powiedział, że wy jesteście więźniami? – Klaudia uśmiechnęła się. – Oto tajemnica numer trzy: jesteście adeptami na strażników tego więzienia. Gdy przejdziecie cały proces przygotowawczy, będziecie dbali o to, by skazani mogli odbyć swoje wyroki. Każdy z nich ma tu do załatwienia jakąś swoją sprawę. Większość religii o tym traktuje, daje wskazówki, jak odbyć ten wyrok, jak stąd wyjść. Nie pytajcie, dlaczego i skąd trafiają tu dusze, bo tego nie wiem. Wie to z pewnością Matka stojąca na czele w hierarchii Rodziny. Dla nas ta wiedza jest zbędna. Każdy z nas na swoim poziomie wie dokładnie tyle, ile potrzeba. Wiedza nie jest rozrywką. Jest nam przekazywana, byśmy mogli efektywnie pełnić nasze role. Niektórzy z was potrafią prowadzić samochód. Wyobraźmy sobie, że jesteście taksówkarzami, ta umiejętność służy więc dokładnie waszej pracy. Tak to właśnie w skrócie wygląda. Niektórzy z was mogą nie wierzyć moim słowom, ale to nie ma znaczenia. Wiedza nie opiera się przecież na wierze, tylko na faktach. Te fakty będziemy poznawali przez ten krótki czas, nim spotkacie się z Matką. Teraz rozdaję wam grafiki. Na odwrocie znajduje się lista naszych zasad. Jest tam dokładnie opisane wszystko, co można, a czego pod żadnym pozorem nie wolno robić. Proszę, żebyście dokładnie się z tym zapoznali. Naczelną zasadą jest zakaz opuszczania obozu. Jeżeli ktoś zechce stąd uciec, niech będzie pewny, że go znajdziemy i uśmiercimy. Żądamy od was pełnego posłuszeństwa. Pamiętajcie też, że ten tydzień jest kluczowy i jest dla was czasem próby. Ci, którzy jej nie przejdą, nigdy nie spotkają się z Matką. Każdy z was odbędzie z nią osobiste spotkanie, to będzie drugi szczebel drabiny.

Klaudia przerwała przemówienie i powiodła wzrokiem po zebranych.

– Wiem, że to, czego się właśnie dowiedzieliście, to duży szok. Ale ja nie opowiadam wam bzdur, że Ziemia jest płaska i należy chodzić w folii na głowie. Wiedliście normalne życie. Może niektórzy z was zastanawiali się czasami, jak to się stało, że żyją akurat tu, że mają takie życie, a nie inne? Jak to jest, że niektórym jest tak ciężko, a inni wiodą żywot lekki i przyjemny? Gdzie jest Bóg, skoro na ziemi jest tyle zła? Nie odpowiem wam na to wszystko, ale pamiętajcie, że do więzień trafia się z różnymi wyrokami, stąd różna gradacja ludzkich żyć. Niektórym mogło się wydawać, że pamiętają strzępki poprzedniego życia, że byli kimś zgoła innym niż teraz. Każdy trafił tu, aby rozwiązać problem dręczący jego duszę. To wszystko jest zaplanowane. Nie trafiamy tu po to, by budować domy i kupować samochody, a w przerwach pić drinki i pływać w basenie. To strona materialna tej planety. Żadne więzienie nie może funkcjonować bez strażników. Więzienie nie tylko ma separować skazanych, ma również dawać szansę poprawy. O to dbamy właśnie my, stwarzamy możliwości, jesteśmy najważniejszym z elementów więzienia. Bez nas zostałoby ono tylko porzuconą w zakątku kosmosu planetą. Tej funkcji nie może pełnić zbyt wiele osób, zajmuje się tym właśnie nasza Rodzina i tylko ona. Robimy to od zawsze. Ja jestem waszą starszą siostrą, przewodniczką. Moja surowość jest tak naprawdę miłością do was.

Nagle w kącie sali podniosła się ręka.

– Tak, proszę?

– A co, jeżeli ktoś nie nadaje się na strażnika? – zapytała piegowata Sandra.

Jasmine wystrzyła w tym momencie słuch. Sama chciała zadać to pytanie, ale uznała, że jest zbyt niebezpieczne.

– Skąd wiesz, że się nie nadajesz? – Klaudia zmarszczyła brwi. – Próbowałaś już tego, byłaś kiedyś strażnikiem?

– Nie. – Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– To skąd możesz to wiedzieć? – Klaudia parsknęła śmiechem. – Sama widzisz, że to głupie pytanie. Wierz mi, że bycie strażnikiem to bardzo przyjemne zajęcie i wiąże się z różnymi ciekawymi profitami. Wiemy na przykład o wiele więcej niż zwykli ludzie. Możemy pić serum, które sprawia, że w zasadzie jesteśmy turbo ludźmi. Co jeszcze... – Klaudia chwilę błędziła oczami po suficie. – Dla przykładu nie chorujemy i bardzo wolno się starzejemy. To wszystko dzięki serum. Jednym słowem same plusy.

Dziewczyna pokiwała głową. Podniosła się następną ręką.

– Proszę. – Klaudia wskazała na siedzącego w pierwszej ławce chłopaka w rogowych okularach.

– Kiedy będziemy mogli wypić serum?

– Tak jak mówiłam, za tydzień, podczas obrzędu inicjacji, czyli oficjalnego przyjęcia was do Rodziny i związania dożywotnią tajemnicą. Rozpalimy wtedy wielkie ognisko i urządzimy imprezę. Na szczęście po serum nie ma kaca. – Uśmiechnęła się szeroko. – No, na tym koniec na dzisiaj. Macie już wolne.

Klaudia opuściła salę. Wszyscy powoli zaczęli wychodzić.

Rozmowy toczyły się niemrawo, nikt nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. To spotkanie było dla każdego jak cios obuchem w głowę. Jasmine czuła się źle. Wróciła do namiotu i położyła się na łóżku. Zamknęła oczy i naciągnęła na głowę koc. Z jednej strony chciała w tym uczestniczyć, a z drugiej jakiś wewnętrzny głos buntował się przed tym wszystkim. Ciągle przed oczami miała Zoo. To wydawała jej się droga, którą powinna podążać, a nie picie jakiegoś serum prawdy. Dla niej prawda była w spotkaniach z Zoo, piciu kawy i długich spacerach po plaży.

Dziewczyna, która bawiła się ołówkiem, miała na imię Pola. Grupa szeptała o niej w namiocie. Nie wróciła już, po prostu zniknęła. To pokazywało, jak bardzo ta „rodzina” odbiega od klasycznego jej pojęcia. To, co stało się z dziewczyną, przestraszyło Jasmine. W jej głowie zaczął układać się dziwny, szalony plan.

Następnego dnia grupa dostała nowe zadania. Pobudka była bardzo wcześnie, o szóstej. Potem na placu przed barakiem szkoleniowym był apel. Wszyscy stali na mrozie prawie godzinę i czekając na świt, słuchali wywodów Klaudii. Już nie było tak miło jak wczoraj. Coś się zmieniło. Strażniczka ewidentnie stała się bardziej agresywna. Po obu jej stronach niczym groźne wieże na szachownicy stali Marcel ze szramą na policzku i albinos. Za paskami mieli wetkniętą broń.

Apel zakończył się rozdaniem łopat.

– Po co to? – rozległy się zaskoczone głosy.

– Ruszajcie za mną – odparła Klaudia. – Zaraz się wszystkiego dowiecie.

**Zoo inwestor**

*Polska, Warszawa*

Zoo zrobił tak, jak radził mu Misiek. Przełał wszystkie pieniądze na konto giełdy i za wszystko kupił nową kryptowalutę Xon. To miała być rewolucja. Wartość waluty rzeczywiście wzrosła o połowę, ale za to giełda splajtowała. Była prowadzona przez założoną w raju podatkowym spółkę, która po prostu zwinęła żagle.

W jednym momencie Zoo stracił majątek. Zostały mu tylko kupiony na kredyt apartament i jakieś skromne oszczędności. Teraz nie dość, że był załamany po stracie Jasmine, to jeszcze dodatkowo splukany. Kiedy Kurczak przyjechała do domu w Jastarni, była przeszczęśliwa. Zoo nie powiedział siostrze o bankructwie. W końcu ostrzegła go przed tą inwestycją.

*Boże, czemu ja jej nigdy nie słucham – łajał się w myślach. Przecież to takie proste, wystarczy robić to, co ona radzi.*

Wrócił do Warszawy załatwiać sprawy finansowe. Zbierał ostatki wielkiego majątku, jakieś fundusze ulokowane w różnych bankach, jakieś pozostałości akcji. Zostało tego naprawdę niewiele, marne resztki, które nie pozwalały na życie, do jakiego przywykł. Dodatkowo to, co się stało z Jasmine, załamało go do reszty. Miał dosyć. Nie potrafił się pozbierać. To wszystko go po prostu przerosło.

Tego wieczoru siedział w pustym apartamencie na kanapie, a łzy ciekły mu po twarzy. Czuł się wielkim przegranym. Wszystko, czego chciał dotknąć, co chciał zatrzymać, umykało przed nim w popłochu. Ból jest czymś nieuchronnym, ale cierpienie to już kwestia naszego wyboru. Zoo zawsze uważał, że życie to gra; toczył ją ze zmiennym szczęściem, ale teraz czuł, że przegrał, że nie ma ani jednej karty, którą może rzucić na stół. Zdawał sobie sprawę, że w takiej chwili należy po prostu wstać i wyjść. Zawsze tak robił w kasynie, kiedy przegrał wszystkie pieniądze.

*Dobrze, że przynajmniej kupiłem dom dla Kurczaka – myślał. Jedną dobrą rzecz udało mi się załatwić w moim marnym życiu.*

Znowu dużo myślał o matce. Jej nagła śmierć wstrząsnęła jego życiem. Nagle zauważył, że świat pędzi naprzód, po prostu zapieprza, a on trwa jak samotna skała, jakiś relikwiarz przeszłości. Nie założył rodziny, nawet sukces był niepełny, bo tylko jedna piosenka okazała się przebojem. Tylko inwestycja w kryptowaluty dokonana dzikim fartem sprawiła, że mógł żyć na wysokim poziomie. Czasami odnosił wrażenie, że całe jego życie jest jakimś kiepskim

żartem. Ciągle miał w pamięci słowa matki, która powiedziała mu przed śmiercią: „Proszę, żebyś dbał o siostrę i ułożył sobie życie, założył rodzinę, miał ludzi, których będziesz kochał i którzy będą kochali ciebie. Nie tłumy dziewczyn, które chcą się tylko bawić”. To przez te słowa Zoo tak uparcie zaczął szukać związku. Dosłownie przerzucał się z jednej relacji w drugą. Był jak szalona małpa, która z liany na lianę pędziła przez dżunglę, a teraz spadła i leżała na ziemi pogruchotała i głodna. Tymczasem powoli nadchodziła ciemna, bezgwiezdna noc, pełna samotności i dzikich bestii.

## **Łopata**

*Polska, wyspa na Wiśle*

Grupa poszła za Klaudią w kąt obozu. Każdy dostał łopatę.

– Do roboty – rzuciła Klaudia.

Wszyscy jak na komendę z bezradnymi minami usiłowali wbić szpadle w zmarzniętą ziemię.

– Nie tak – wrzasnęła Klaudia i zarządziła: – Cztery osoby do mnie!

Kilka smutnych postaci podeszło do niej z ociąganiem. Klaudia odepchnęła wysokiego blondyna w okularach.

– Wracaj do łopaty – warknęła. – Ty podejdź! – Wskazała na Jasmine. – Stań prosto. – Szturchnęła ją w ramię.

Jasmine wyprostowała się niczym struna.

– Od razu lepiej – pochwaliła ją Klaudia.

Rozstawiła w pewnej odległości cztery osoby, które wyznaczyły krawędzie prostokąta. Miał trzy metry szerokości i około siedmiu długości.

– Reszta do łopat – zakomenderowała, a grupa znowu zaczęła nieudolnie kopać.

– Jesteście żałośni. – Klaudia roześmiała się głośno. – Powinniście sami siebie zobaczyć. Banda nieudaczników z łopatami usiłująca wykopać dołek. Dawaj to! – Wyrwała jednej z dziewcząt łopatę. Na początku odgarnęła śnieg i wyrzuciła go poza obręb wyznaczonego prostokąta. Kiedy odłaniała się zamrznięta murawa, Klaudia z agresją wbiła ostry szpadel w twardą ziemię. Uderzała z impetem. Udało się jej zrobić małeńki wyłom. Pod dziesięciocentymetrową warstwą zmarzliny pokazała się czarna ziemia. Teraz praca poszła sprawnie.

Klaudia wyprostowała się i oddała łopatę dziewczynie.

– Tak to się robi. – Otrzepała ręce i zaklaskała. – Dosyć się napatrzyliście, do roboty. – Zaczęła krążyć wokół powstającego dołu, uważnie obserwując.

– Może wydaje się wam, że to ciężka praca, ale gównu tam wicie. – Wydęła usta z obrzydzeniem. – W latach trzydziestych Stalin nakazał więźniom gułagów wykopanie dwustu dwudziestu siedmiu kilometrów Kanału Białomorskiego. Do pracy mieli jedynie młotki, kilofy i łopaty. Posiadanie taczki było przywilejem, bo czasem można było na niej usiąść i odpocząć. Więźniowie pracowali podczas upałów, ulew i mrozów, a kto nie pracował, ten nie jadł. A teraz uwaga, będzie najlepsze. Zgadnijcie, ile zajęło więźniom przekopanie tego kanału? Po co ja pytam? – Zaśmiała się i machnęła ręką z dezaprobatą. – Przecież i tak nikt nie wie. Wyobraźcie sobie, że jedyne dwadzieścia jeden miesięcy, i to bez żadnego ciężkiego sprzętu. Nikt z was nie wytrzymałby tam ani jednego dnia pracy. Do niczego się nie nadajecie! – ryknęła. – Moim zadaniem jest wasza reedukacja. Pokażę wam, że wykopanie takiego dołu to nic wielkiego. Sama bym to zrobiła w jeden dzień, gdyby było trzeba! Liczy się siła wewnętrzna człowieka. – Popukała się w pierś. – To ona pozwala przenosić góry! Wasza siła jest uśpiona. Jesteście jak rozleniwione krowy na pastwisku. Więc do roboty! Będziecie kopać ten pieprzony dół, aż nie powiem „dosyć”! Pokonacie ból!

Grupa pracowała z ponurymi, zaciętymi twarzami. Z każdym ruchem łopat praca szła lepiej. Prawie już usunięto zmarzniętą powłokę. Klaudia wciąż krążyła wokół pracujących. Złapała wzrok stojącej nieruchomo Jasmine, która nie musiała pracować i służyła jako żywy słupek. Na ustach kobiety pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiezek, dziewczyna jednak go zauważyła.

Po jakimś czasie dół miał już dobre pół metra głębokości. Zmarznięta ziemia została odrzucona na bok i teraz praca szła o wiele szybciej. W pewnym momencie jeden z chłopaków, barczysty i silny, oparł się na łopacie i otarł pot z czoła.

– Do roboty! Nie przestawaj! – wrzasnęła Klaudia.

W cieniu chłopaka pracowała piegowata Sandra. Była tak chuda, że szpadel zdawał się być cięższy od niej. Markowała pracę, tak naprawdę to bardziej bawiła się, niż kopała.

– Co ty wyrabiasz? – wysyczała z góry w jej stronę Klaudia. – Masz kopać, a nie bawić się jebaną łopatą!



Dziewczyna mruknęła coś do siebie. Po twarzach kilku osób przeszedł niczym cień dyskretny uśmiech. Klaudia natychmiast to zauważyła. Nie dosłyszała słów Sandry, ale nie miało to żadnego znaczenia. Niczym dziki kot zeskoczyła z nasypu do dołu i wylądowała przed dziewczyną.

– I co teraz? – rzuciła zaczepnie. – Myślisz, że jesteś tu, by żartować? Co tam mamrotałaś pod nosem? No, dawaj, rozśmiesz mnie. – Pchnęła prowokacyjnie dziewczynę.

Grupa oderwała się od kopania. Wszyscy stali teraz i patrzyli na konfrontację.

– No mów! – Klaudia ponownie trąciła dziewczynę.

– Powiedziałam tylko, że nie wiem, czy to kopanie może nas czegoś mądrego nauczyć – mruknęła Sandra, z wysiłkiem wbijając łopatę w ziemię.

Grupa zamarła. W jednym momencie piegowata dziewczyna stała się liderką. Potrafiła się postawić.

– Co ty nie powiesz – rzuciła rozbawiona Klaudia, biorąc się pod boki. – Widzę, że niezłe pomysły przychodzą ci to tego piegowatego łba – prychnęła. – Zostaw tę łopatę. – Znowu lekko pchnęła dziewczynę. – To jest bez sensu, i tak nie masz pojęcia o kopaniu.

Sandra wyprostowała się.

– No chyba nie mam – odburknęła.

– Patrząc na ciebie, zastanawiam się, czy do czegokolwiek się nadajesz, skoro nawet machanie głupią łopatą cię przerasta. – Klaudia wyduła pogardliwie usta. Z kamiennym spokojem odebrała dziewczynie z ręki szpadel. – Najlepiej sobie odpocznij, kopanie dołu jest bez sensu. – Machnęła ręką. – Wszystkie rozumy już dawno pozjadałaś. Teraz wyłażą z ciebie tymi obleśnymi piegami.

Ludzie wokół stali jak zaczarowani. A więc można było coś powiedzieć – taka myśl przeszła ich umysły niczym błyskawica.

Dziewczyna odwróciła się i ruszyła do krawędzi wykopu, by wyjść na powierzchnię. Wszyscy stali jak zahipnotyzowani, czekali na dalszy rozwój wypadków, wstrzymując oddech. Klaudia tymczasem jak gdyby nigdy nic zaczęła śpiewać, przedrzeźniając Agnieszkę Chylińską:

– *Jestem sama, taki los, niekochana, taki los.*

Śpiewając, machała do taktu szpadlem. Sandra wspięła się na ścianę wykopu. Już prawie udało się jej wyjść. Nie było to łatwe zadanie, bo wokół

dołu usypane były zwały ziemi. Nagle Klaudia zamilkła. Zbliżyła się do dziewczyny, wzięła potężny zamach i z całej siły uderzyła ją łopatą w tył głowy. Rozległ się krzyk i Sandra wpadła do wykopu. Klaudia okrążyła ją niczym sęp.

## **Powrót taty**

*Polska, Jastarnia*

Alex spotkał się z Anną w restauracji Weranda. Ona zamówiła truskawkową margaritę, a on piwo Złote Lwy. Ustalili, że misja jest zakończona i wracają. Alex zlecił już zablokowanie konta Jasmine. Niebawem środki nielegalnie zgromadzone na jej polskim rachunku miały zostać zablokowane. Alex w Komendzie Głównej w Warszawie miał załatwić wydanie międzynarodowego listu gończego za dziewczyną. Cała akcja dobiegła więc końca.

Alex usiłował skontaktować się z Martą, ale na próżno. Nie odbierała jego telefonów ani nie oddzwaniała. Wielkimi krokami zbliżała się chwila, gdy trzeba było wsiąść do helikoptera i opuścić Półwysep Helski. Alex ciągle bił się z myślami. Przez moment czuł, że odzyskał Martę, ale najwyraźniej była to jedynie romantyczna świąteczna przygoda. Ta prawda powoli docierała do niego. Poczul się przez to jeszcze bardziej samotny i przygnębiony. Postanowił zadzwonić do ojca, który teraz przeżywał drugą młodość ze swoją nową miłością. Alex czuł, że wszyscy wokół niego są szczęśliwi, tylko on został sam na bocznym torze.

Tymczasem Mikołaj był w siódmym niebie. W Radziejowicach udało mu się napisać kilka opowiadań, z których nawet był zadowolony. Dodatkowo był już w domu, z Martą, za którą bardzo tęsknił. Odkąd się poznali, nie rozstawali się na tak długo. Dzieci dosłownie oszalały na widok ojca. Mały Staś cały czas się śmiał, a Marek gadał jak zepsuta nakręcana zabawka, która nie chce przestać.

Marta czuła się jak zbrodniarz. Dopiero gdy wrócił Mikołaj, zrozumiała, jak wiele mogła stracić w imię zauroczenia z młodości, które niosło za sobą tylko niepewność. Razem z Mikołajem tworzyli niezwykłą rodzinę. Tak to teraz czuła. Alex pozostał blaknącym wspomnieniem.

*Wiem, że kiedyś Mikołaj mnie wkurzy – myślała na samotnym spacerze Marta. I wtedy będę żałowała, że nie uciekłam do Kanady. Ale moje miejsce jest tu, z moimi*

*bliskimi.*

## ROZDZIAŁ 53

*Nigdy nie jest dobrze tam, gdzie się jest.*

Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Książę*

### **Piegowata dziewczyna**

*Polska, wyspa na Wiśle*

– A ty dokąd? – rzuciła Klaudia przez zaciśnięte zęby. – Przecież jeszcze z tobą nie skończyłam. – Ponownie z całej siły uderzyła dziewczynę. Metalowy szpadel zadźwięczał głucho. Ofiara usiłowała wstać, ale spadł na nią kolejny potężny cios, a potem następny. Sandra leżała rozpląszczona na ziemi i już się nie ruszała, straciła przytomność. Z czubka głowy ciekła jej gęsta strużka krwi.

– *Może pukasz do moich drzwi, powiedz, czemu nie słyszę nic* – zanuciła Klaudia. Wpadła w jakąś ekstazę. Zaczęła bić dziewczynę jak oszalała, mimo że ta leżała nieruchomo. Jej ciało bezwładnie przyjmowało ciosy.

Wszyscy zastygli w bezruchu. Klaudia tymczasem z obrzydzeniem rzuciła łopatę na ziemię i otrzepała ręce.

– Głupia dziwka! Trzeba było trzymać gębę na kłódkę!

Jednym susem wyskoczyła z dołu. Odgarnęła włosy do tyłu. Oddychała ciężko zziajana. Do krawędzi dołu zbliżyli się albinos i mężczyzna z blizną. W rękach trzymali odbezpieczoną broń. Klaudia rozpięła kurtkę. Za paskiem tkwił wetknięty pistolet.

– No, dalej! – ryknęła – Kto ma jeszcze dosyć kopania dołu?! – Powiodła oczami po całej grupie. Wszyscy stali nieruchomo. – Tak myślałam – rzuciła z kpina. – Pamiętajcie – zawołała – ja tu jestem od myślenia! Ja wam mówię, co macie robić. Jak powiem, że macie nie spać, to nie śpicie. Jak wam powiem, że macie zdechnąć, to zdechniecie!

Na moment zapadła cisza, słychać było tylko szumiący zimowy wiatr.

– Tu takich słabeuszy nie potrzeba, co, kurwa, dołu nie wykopią. Co tak stoicie? Do roboty! – wrzasnęła. – Dzisiaj to ma być skończone. Ty i ty. –

Skinęła na dwóch chłopaków. – Wyciągnijcie tę piegowatą dziwkę. – Wskazała na zwłoki dziewczyny.

Ciało całe w ziemi i krwi zostało wydobyte na powierzchnię. Albinos i Marcel pociągnęli je na tyły obozu.

– A wy do roboty. – Klaudia spojrzała na Jasmine i inne osoby, które pełniły rolę oznaczeń dołu. Każdy pospiesznie chwycił leżącą na ziemi łopatę i wskoczył do wykopu. Grupa pracowała bardzo szybko. To, co się stało, podziało niczym zastrzyk adrenaliny.

Klaudia dobrze wiedziała, co robi. Grupa w jednym momencie już była inna. Wszyscy pracowali, patrząc na siebie. Naśladowali się nawzajem. Gdy ktoś lepiej kopał, inni podpatrywali, jak to robi. Widząc wspólnego brutalnego wroga, otworzyli się na siebie. Właśnie w taki sposób buduje się najlepsze zespoły i Klaudia świetnie zdawała sobie z tego sprawę. Była doskonała w zarządzaniu ludźmi, w lot wyczuwała emocje.

Jasmine pracowała bardzo szybko. Energicznie wyrzucała ziemię z wykopu. Nie chciała pójść w ślady piegowatej dziewczyny. Nie wiedziała, co miał oznaczać ten tajemniczy uśmiech Klaudii, który jej poślata. Może mówił: „Mam cię na oku, będziesz następna”?

Albinos przyniósł składane krzesła i strażnicy rozsiedli się wygodnie. Klaudia oczywiście na tym najwygodniejszym z napisem „Reżyser”. Wyciągnęli papierosy i zapalili.

Marcel podał butelkę wódki z coolera.

– Pamiętajcie, ściany mają być równe, a dno płaskie. To ma wyglądać jak pudełko! – zawołała do kopiących Klaudia.

– Pudełko? – zdziwił się albinos. – To chcesz powiedzieć, że wilczy dół tak się teraz będzie nazywał?

Marcel wybuchnął śmiechem. Klaudia też się roześmiała. Grupa w milczeniu kopała dalej. Przynajmniej teraz wiedzieli, że przyczyniają się do powstania wilczego dołu, czymkolwiek by on nie był. Wśród grupy krążyły różne teorie przekazywane półszepem. Pierwszą, najczęściej powtarzaną, mówiła, że to zbiorowy grób. Jak blisko byli rozwiązania zagadki, mieli się przekonać już niebawem.

Grupa pracowała bez przerwy. Ręce mdały z wysiłku. Wszyscy już dawno zdjęli kurtki i wyrzucili je na powierzchnię. Od fizycznej pracy mimo mrozu zrobiło się bardzo gorąco.

– Przerwa! – Z góry dał się słyszeć głos Marcela.

Wszyscy z ulgą odrzucili łopaty. Kilka osób chciało wyjść na powierzchnię.

– A wy gdzie?! – wrzasnęła Klaudia. – Zostajecie w dole.

Albinos rozdał papierowe kubki z czarną, mocną kawą.

– Wypijecie i do roboty – krzyknęła Klaudia. – Ten dół ma być dzisiaj gotowy! Ja was nauczę pracować! Banda leniwych nieudaczników.

Nim zaszło słońce, wilczy dół był gotowy. Prezentował się naprawdę imponująco. Był głęboki na trzy metry. Jego ściany i dno zostały pieczołowicie wyrównane. Nie można było z niego wyjść bez drabiny. W istocie przypominał duże pudełko. Na spód przesiąkło trochę wody z rzeki, tworząc błotnistą maź.

– Może być – rzuciła oschle Klaudia, zbliżając się do krawędzi. – Odbierzcie od nich łopaty – zwróciła się do albinosa i Marcela. – Niech wyjdą i ustawią się w szeregu.

Po chwili wszyscy na drżących nogach, cali umazani ziemią, stali równo w rzędzie. Klaudia splotła ręce z tyłu i przechadzała się z kpiącym uśmiechem.

– Nie patrz na mnie. – Podeszła do barczystego chłopaka. – Nie waż się więcej na mnie spojrzeć! – wrzasnęła.

Chłopak spuścił wzrok.

– Od tej chwili nie wolno wam na mnie patrzeć. Gdy do was mówię, spuszczaście głowy. Odzywacie się tylko wtedy, kiedy o coś pytam. Nie obchodzi mnie, co myślicie. Wasze myśli są głównie warte, więc najlepiej nie zaprzatajcie sobie nimi głowy. Słuchajcie moich słów, aż może w końcu uznam, że jesteście gotowi. Wtedy pozwolę wam podnieść głowy i o coś zapytać. Dzisiaj był ważny dzień. Jak widzicie to, co wydawało się wam prawie niemożliwe, nie było takie trudne. Musicie poznać swoje granice. Musicie wiedzieć, ile możecie nie spać, ile nie jeść, ile dołów wykopać. Jutro dobierzecie się w pięcioosobowe grupy. Każda wybierze swojego szefa. Będziecie się go ślepo słuchać. Jeśli myślicie, że dobrze być szefem, to lepiej uważajcie – przestrzegła. – Pamiętajcie, że to on za wszystko odpowiada, nie grupa. To, jak wybieriecie waszych przywódców, zależy od was. Niech każda grupa robi, jak chce. Możecie nawet sobie zrobić demokratyczne wybory. Mam to gdzieś. Jutro rano o siódmej szefowie grup meldują się tu przy wilczym dole. Dzisiaj spisaliście się, dostaniecie kolację.

Po twarzach zebranych przeszły nikłe uśmiechy. Dały się słyszeć oddechy ulgi.

– Odtąd tak właśnie będzie. Każda grupa będzie musiała zapracować na jedzenie. I pamiętajcie, bo powiem to tylko raz! – zawołała. – Za najmniejszą przewinę żarcia nie będzie. A jak ktoś będzie chciał uciec, to tak dla waszej informacji: jesteśmy na wyspie, a obóz jest otoczony drutem kolczastym. Nie wolno wam opuszczać jego terenu. Zresztą wokół nic nie ma, tylko same pustkowia. Jakby ktoś chciał zaryzykować, to prędko go znajdziemy po śladach, więc nie bądźcie głupi, stąd nie ma ucieczki! – zawołała i przebiegła wzrokiem po grupie, która stała, ledwo trzymając się na nogach.

– To, co dzisiaj stało się z waszą koleżanką, nie musiało się wydarzyć. Ale każdy jest kowalem swojego losu. Pamiętajcie o tym i bądźcie mądrzy. Rozdrażnianie mnie zawsze marnie się kończy. To, że wczoraj mówiłam o Rodzinie, nie znaczy, że będziemy was tu głaskać po główkach. Niektórzy z was pewnie tak myśleli. – Klaudia uśmiechnęła się zjadliwie. – Żeby być w Rodzinie, trzeba na to zasłużyć. Zapamiętajcie to sobie dobrze. A teraz myć się i do stołówki!

Ruszyła do baraku, a grupa ociężale powlokła się do namiotu sanitarnego. Szli w zupełnym milczeniu, śmiertelnie zmęczeni.

## **Harry w podróży**

*Karaiby, Wyspa Saona*

Harry udał się do recepcji hotelu, aby zamówić wycieczkę do rezerwatu żółwi morskich. Sally wspomniała o tym już na lotnisku. Zawsze chciała pływać z żółwiami. Następne na liście były delfiny. Kiedy sprzedali dom, wykupił podróż na Karaiby na wyspę Saona. Pierwszą noc spędzili w domku od zawietrznej. Domek był niewielki i miał wyjście na plażę, gdzie skłębione fale pchały masy wodorostów ku brzegowi. Harry nie tak wyobrażał sobie Karaiby. W recepcji załatwił przeniesienie do domku na wodzie od spokojnej strony wyspy.

Gdy właśnie opuszczał lobby, zadzwonił jego telefon. Na ekranie wyświetlił się numer Alexa. Harry odebrał. Szczerze powiedziawszy, czuł się trochę winny, że nie zdołał obronić syna przed tą zawiłą sprawą. W karierze każdego policjanta nadchodzi taka sprawa, która jest w stanie zatopić go niczym Titanica. Przydarza się raz w karierze i zawsze zaczyna się niewinnie. Harry usiadł w barze przy basenie i rozmawiając z synem, poczuł niezmierną

ulgę na wieść o tym, że wszystko jest już skończone i sprawa została przekazana polskiej policji.

– To gdzie ty właściwie teraz jesteś? – zapytał Alex.

– Na wyspie Saona.

– A gdzie to jest? – Alex zaśmiał się.

– Na Karaibach. Miały być Hawaje, ale Sally zmieniła zdanie i oto jesteśmy tutaj. Boska wyspa, synu, musisz tu kiedyś przyjechać. Zamiast morza jest wielki naturalny basen.

– Pomyślę o tym – odparł Alex.

Na chwilę zapadła cisza.

– Spotkałem ją.

– Kogo? – zdziwił się Harry.

– Martę, tę dziewczynę z Europy – wyjaśnił Alex.

– I co?

– I nic – westchnął Alex. – Ona ma rodzinę, męża, dzieci. Wszystko poszło naprzód.

– To ty też tak zrób. – Harry pospieszył z ojcowską radą. – Pamiętaj, synu, nie należy żyć przeszłością. Robiłem to przez wiele lat i marnie mi szło. Pomyśl o tym.

– Masz rację, tato.

– Zrób tak, żebyś był szczęśliwy – ciągnął Harry. – Pamiętaj, że szczęście nie musi być od razu olbrzymie. Czasami tworzą je maleńkie rzeczy. Po prostu zatrzymaj się na chwilę w tym pędzie i rozejrzyj. Podejdzie do ciebie wtedy samo, jak wierny pies, rozumiesz?

– Tak.

– Jest takie dobre powiedzenie... Życie trzeba smakować łyżeczką, a nie chochlą.

– Może coś w tym jest – odparł niepewnie Alex.

– Mam wrażenie, że jesteś za bardzo zachłanny i to nie pozwala ci być szczęśliwym. A co z tą prawniczką, która z tobą pojechała?

– Nic, a co ma być?

– No właśnie, może zainteresuj się nią.

– Daj spokój, tato, ciągle tylko się kłócimy.

– To bardzo dobrze, od czegoś w końcu trzeba zacząć. – Harry zaśmiał się.

– Dobrze, spróbuję – odparł Alex.



– Pamiętaj, synu, jeżeli mnie, staremu piernikowi, się udało, to tobie uda się w dwójnasób.

Gdy skończyli rozmowę, Harry zamówił drinka w barze przy basenie. Wypił go i wrócił do Sally. Na tej wyspie czuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Poznał wreszcie swoją bratnią duszę.

*To moja najlepsza sprawa – pomyślał. Odszukałem swoją miłość, a to zawsze najtrudniejsze zadanie.*

Czuł tylko trochę goryczy, że tak wyszło z Marią. *Może powinienem napisać do niej list? – pomyślał – Nie powinienem tego tak zostawiać.*

### **Spotkanie przy wilczym dole**

*Polska, wyspa na Wiśle*

Na spotkanie z Klaudią przyszło sześć osób wybranych jako szefowie grup. Z grupy Jasmine został wybrany barczysty chłopak o imieniu Max. Tak naprawdę to sam się wybrał na szefa, był najsilniejszy i mówił głośno i dużo. Wszyscy woleli się na to zgodzić, niż dostać po zębach. Takie zasady właśnie wprowadził Max. Nie do końca uważnie słuchał Klaudii, nie zdawał sobie sprawy, z czym tak naprawdę wiąże się prawdziwe przywództwo w Rodzinie.

Klaudia z kpiącym uśmiechem powitała szefów. Doskonale zdawała sobie sprawę z faktu, że bardzo szybko zostaną oni zastąpieni nowymi. Przywództwo w grupach opierało się na podejmowaniu właściwych decyzji i braniu pełnej odpowiedzialności za całą grupę i wszystkie działania jej członków. Było to niezwykle trudne, bo szef, mimo że posiadał władzę absolutną nad swoją grupą, w istocie był od niej uzależniony.

– Widzicie ten dół? – Klaudia wskazała na wykop, który poprzedniego dnia został przygotowany przez wszystkich. – To, jak już wiecie, jest wilczy dół. Tu rozwiązujemy wszelkie nasze problemy. Gdy ktoś na przykład będzie podważał wasze przywództwo w grupie, wyląduje tu z wami w wilczym dole i będzie musiał walczyć o władzę, skoro jej tak bardzo chce.

Barczysty Max z zadowoleniem pokiwał głową. Jego przywództwo wydawało się być niewzruszone. W swojej grupie miał samych słabeuszy. Chudego okularnika i trzy dziewczyny, w tym Jasmine.

– Tylko wy będziecie się kontaktować ze mną, a ja będę wam przekazywać zadania do wykonania – powiedziała Klaudia. – Potem ocenię, czy jako

przywódcy do czegokolwiek się nadajecie. Od waszych działań zależy bezpieczeństwo całej grupy. Rozumiecie?

Przywódcy w skupieniu pokiwali głowami. Wszystko wydawało się proste i klarowne. Klaudia patrząc na szeroko uśmiechniętego Maxa, nie mogła powstrzymać rozbawienia. Dobrze wiedziała, że jego przywództwo opierało się jedynie na walnięciu pięścią w stół i wykrzyczeniu oponentowi w oczy, że zaraz dostanie po ryju. Lider w grupie Jasmine stał więc na kruchych podstawach i nie wiadomo było, jak długo utrzyma się w tej roli.

Tego dnia grupa miała kolejne szkolenia. Wszyscy jak zwykle siedzieli w sali i słuchali Klaudii, która zdradzała im podstawy funkcjonowania Rodziny.

– Nikt nie wie, jak to się zaczęło. Albo może ktoś wie, ale tylko tam, na samej górze naszej hierarchii – stwierdziła. – Pamiętajcie, że Rodzina funkcjonuje niczym sprawna korporacja. Każdy zajmuje się dokładnie tym, czym powinien się zajmować. Jedni bezpieczeństwem, inni sprawami finansowymi, jeszcze inni wychowaniem dzieci, a kolejni szkoleniem młodych. – Uśmiechnęła się chętnie. – Każdy zajmuje dokładnie ten szczebel, który jest dla niego przeznaczony, i wie dokładnie tyle, ile ma wiedzieć. Dla przykładu Matka ma zupełnie inny poziom świadomości wszystkiego niż na przykład ja. – Wskazała na siebie. – Całkiem możliwe, że nad Matką stoi jeszcze ktoś inny, kogo jednak nigdy nie poznamy. Mówiąc w uproszczeniu, wszystko jest podzielone na sekcje. Osoby z poszczególnych poziomów nie znają się. Chyba że przejdą na poziom wyżej, ale to wcale nie jest wskazane. Bycie wyżej oznacza posiadanie większej liczby obowiązków. Cieszymy się więc z tego, gdzie jesteście. Przyjmujemy, że Rodzina trwa od samego początku. I co najważniejsze – podkreśliła Klaudia – Rodzina jest na pierwszym miejscu. Od teraz będziecie żyć w grupach pięcioosobowych. Poznajcie się więc i polubcie. Dzisiaj przyszli do mnie szefowie waszych grup. Pamiętajcie, że na tym etapie możecie ich zmienić. Dopiero poznajecie zasady panujące w Rodzinie. Zmiana szefa prowadzi przez wilczy dół. Jak ktoś chce władzy, musi wziąć ją sobie sam w walce.

Po sali przeszedł niewyraźny pomruk. Najwyraźniej część osób nie była zadowolona z wyboru szefów. Klaudia od razu to wychwyciła.

– Kiedy stwierdzicie, że chcecie zmian w grupie, dwie osoby wylądują razem w dole. Wyjdzie z niego jeden zwycięzca. Czy to jasne? – Klaudia powiodła wzrokiem po zebranych i dodała: – W Polsce w czasach komunizmu

panowały bardzo ciężkie warunki w więzieniach. Skazani, by chronić się przed systemem, wymyślili własny język – grypserę – i specyficzne zasady postępowania. Wymyślili również jedno słowo, które było używane jako ostrzeżenie. Można je wypowiedzieć bez poruszania ustami. – Klaudia lekko rozwarła usta i rzuciła przez zęby: – Atanda. Spróbujcie – zachęciła resztę.

Grupa zaczęła ćwiczyć.

– Ty ruszasz ustami. – Klaudia wskazała na chudego okularnika. – Już lepiej – pochwaliła go po chwili. – Tym słowem będziemy się ostrzegać i nawoływać. Jeżeli ktoś walcząc o przywództwo w wilczym dole, zawoła „atanda”, członkowie jego grupy mogą wskoczyć i mu pomóc. Taka jest nasza demokracja. Pamiętajcie, że przywództwo zależy od waszych kontaktów, a nie siły fizycznej. Teraz przejdźmy do innych spraw. Niedługo odbywa się wasza inicjacja. Rozpalimy wielkie ognisko, na które musimy zgromadzić opał. Ja idę na zastężoną kawę i papierosa, a wy ruszajcie po drewno.

Grupy wraz z albinosem i Marcelem opuściły obóz i ruszyły do lasu po opał. Klaudia usiadła w barku z filiżanką, zarzuciła ciężkie buty na blat stolika i zaciągnęła się mocno dymem papierosa. Wszystko szło w dobrym kierunku, tak czuła. Postanowiła wydać dyspozycję, by to albinos zajął się rano grupami. Miała w planie wreszcie porządnie się wyspać.

## **Hokej na Wiśle**

*Polska, wyspa na Wiśle*

Następnego dnia Klaudia obudziła się późno jak na swoje zwyczaje, bo o ósmej trzydzieści. Wzięła gorący prysznic, wypita kawę i wyszła przed barak rzucić okiem na obóz. Nagle serce mocno jej zabiło. Dostrzegła bowiem, że brama otwarta jest na oścież.

*Co u licha? – pomyślała. Przecież mieli siedzieć na terenie obozu, a wychodzić tylko po ustaleniu ze mną. Pieprzony albinos!* Ta myśl przesyła jej mózg niczym błyskawica.

Gniewie rzuciła w krzaki kubek z kawą i ruszyła w stronę szeroko otwartej bramy. Na śniegu grupa pozostawiła wyraźne ślady. Prowadziły do południowej części wyspy, na sam brzeg rzeki. Gdy Klaudia dotarła w okolice plaży, usłyszała głosy i śmiechy. Wyszła na plażę i aż zgrzytnęła zębami z wściekłości. To,

co zobaczyła, sprawiło, że odruchowo sięgnęła po broń, z którą się nie rozstawała od czasu przyjazdu do obozu.

Część grupy stała na brzegu i krzyczała głośno. Na tafli lodu w odległości dwudziestu metrów od plaży rozgrywał się właśnie mecz hokeja. Grupa Jasmine grała przeciwko grupie dziewczyn. Klaudii mocno zabiło serce, zaczęła się nerwowo rozglądać, by odnaleźć wzrokiem Jasmine, ale nigdzie nie mogła jej dostrzec. Rozpychając kibicujących na boki, weszła na lód. W pewnej odległości od grających stał albinos i zawzięcie sędziował.

– Co ty najlepszego wyrabiasz? – wysyczała Klaudia, podchodząc do niego.

– Cześć – rzucił beztrosko. – Miałem integrować grupy i właśnie to robię.

Grają w hokeja, wygrywa grupa Jasmine.

– Gdzie ona jest?

– Nie chciała grać, została w namiocie.

– Jedyna mądra – mruknęła Klaudia. – Zabierz ich z powrotem do obozu.

Zakazałam wychodzenia na zewnątrz, nie pamiętasz?

– Nie słyszałem tego – odparł z głupim uśmiechem.

– Jesteśmy na zakręcie rzeki, która w tym miejscu ma najsilniejszy nurt.

Zaraz lód się załamie i wszyscy utoniecie. Nie trzeba być Einsteinem, by to zauważyć.

– Nie wiedziałem – mruknął albinos.

– To teraz już, kurwa, wiesz – warknęła. – Wracajcie do obozu. Zawołaj ich natychmiast.

Albinos gwizdnął przeciągle.

– Koniec meczu! – Zaklaskał w dłonie. – Wracamy do obozu!

– Jeszcze trochę – dały się słyszeć głosy.

Klaudia wyciągnęła zza paska broń i strzeliła w powietrze.

– Wszyscy na brzeg! – wrzasnęła, a w tym momencie rozległ się głuchy jęk, potem zgrzyt i pięć osób z barczystym Maxem na czele nagle zniknęło. Lód załamał się i czarna, pędząca z zawrotną prędkością rzeka dosłownie wessała jedną z grających drużyn. Pozostali rzucili się do panicznej ucieczki. Klaudia również ruszyła biegiem w stronę wyspy. To, co wydarzyło się później, przypominało lodowy armagedon.

Rzeka z furią szarpnęła taflą lodu, jakby chcąc się wyzwolić z okowów. Potężne płyty lodowe drgnęły i natarły na siebie. Jedna z olbrzymich tafli została wyrzucona na powierzchnię lodu i pędziła teraz w ślad za uciekającymi.

Podcięła nogi dwóm osobom, które wyleciały w powietrze i z impetem wpadły w wielki przeręb. Silny nurt rzeki wciągnął ich pod lód. Niedobitki grupy z Klaudią i albinosem dotarły zdyszane na brzeg. Lód pękał teraz z hukiem na całej rzece. Nurt zaczął piętrzyć powstałe kry, które ruszyły w stronę wyspy.

– Uciekajcie w stronę drzew! – krzyknęła Klaudia.

Masy lodu niczym wielka lawina pędziły w ich stronę. Grupa potykając się, wpadła między pierwsze drzewa. Rozpędzone kry uderzyły z furią o brzeg. Tumany śniegu wystrzeliły w powietrze, zasypując wszystko wokół. Tafle lodu uderzyły o drzewa i zamarły z jękiem. Na całej rzece rozległ się trzask; rzeka szarpała się, łamiąc lodowe okowy.

Klaudia otrzepała się ze śniegu i bez słowa wyciągnęła broń. Przytknęła ją do skroni albinosa. Wszyscy wokół niej zamarli. Już miała pociągnąć za spust, nawet jedną ręką lekko przysłoniła sobie twarz, by nie obryzgała jej krew. Nagle jakimś cudem opanowała się. Szarpnęła albinosa za kołnierz.

– Wstawaj, gnoju – warknęła.

Wszyscy przerażeni na drżących nogach wrócili do obozu.

– Wracać do namiotów. – Klaudia krzyknęła w stronę grupy. – Ty ze mną – wydyszała do albinosa. Prowadziła go przed sobą, ciągle mierząc z broni. Kopniakiem otworzyła drzwi do baraku i pchnęła mężczyznę tak, że upadł na podłogę. Z pokoju wyskoczył przestraszony Marcel.

– Co ty robisz, zabijesz go! – zawołał z przestachem.

– Już dawno powinnam była to zrobić. Przez tego gnoja prawie straciliśmy dwie grupy.

– Co takiego?! – Marcel aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Wyprowadził ich na rzekę, żeby grali w hokeja, i lód się załamał – rzuciła.

– Faktycznie, słyszałem jakiś huk – stwierdził Marcel.

– Idź do siebie! – wrzasnęła Klaudia, mierząc do albinosa z broni. – I nie wychodź, bo przysięgam, że cię, kurwa, zabiję.

Mężczyzna prawie na czworakach umknął z linii strzału, potem dopadł drzwi i wpadł do swojej kwatery.

– I co teraz? – jęknął Marcel.

– Musimy pogadać. – Klaudia wzięła go pod ramię i pociągnęła do biura, gdzie stał komputer. – Może jednak nie tu – stwierdziła, patrząc na ekran.

– Chodźmy do sali szkoleniowej – zaproponował Marcel. – Tam nie ma żadnego sprzętu.

## ROZDZIAŁ 54

*Śmierć jest łatwa, prosta, życie jest trudniejsze.*

Stephenie Meyer, *Zmierzch*

### **Klaudia rozmawia z Marcelem**

*Polska, wyspa na Wiśle*

– Straciliśmy prawie dwie grupy. – Klaudia drżącą dłonią dotknęła czoła.

– Co z Jasmine? – zapytał z przestachem Marcel.

– Nic – odparła. – Została w namiocie. Nie jest tak głupia, by wchodzić na łód. To chyba jest genetyczne. – Klaudia wydeła usta. – Natomiast cała jej grupa utonęła. Z drugiej zginęły na rzece trzy osoby, plus ta piegowata dziwka, którą zabiłam łopata. Kurwa! – krzyknęła. – Nie było mowy o takich stratach. Dostałam wyraźne instrukcje. – Złapała się za głowę.

– Jeszcze ta jedna z pierwszego dnia – przypomniał Marcel. – Ta, która bawiła się ołówkiem.

– Dokładnie – podchwyciła ozywiona Klaudia. Żrenice miała rozszerzone. – Sama kazałam jej odstrzelić łeb, a zwłoki spaliliście w kącie obozu. To nam daje w sumie dziewięć osób. A dostałam zgodę na stratę góra dwojga ludzi. Nie no, pójdę i go normalnie zajebię – warknęła.

– Poczekaj. – Marcel chwycił ją za rękę. – On jest potrzebny do pilnowania obozu. Obiecuję, że potem osobiście go zastrzełę.

– Już po mnie – mruknęła Klaudia. – Odpowiadam za ten obóz, jestem tu szefem. Powinnam była wstać rano i dopilnować wszystkiego osobiście. Jak mogłam być tak głupia? – Oparła się o stół i pochyliła głowę. – Kurwa! – Zgrzytnęła zębami. – Oni jutro przyjeżdżają. To koniec.

– Przecież Matka miała przyjechać dopiero na inicjację – zdziwił się Marcel.

– Tak miało być, ale nie jest – odparła Klaudia. – Matka najwyraźniej już wie, że mamy problemy.

– Przestań, jakoś się wybronisz.

– Przyrowadź ją – powiedziała cicho Klaudia.  
– Kogo?  
– Przyrowadź Jasmine. – Wbiła w niego mroczne spojrzenie. – I zamknij bramę obozu.  
– Może już to dzisiaj zostaw – mruknął niepewnie Marcel.  
– Jebać to! Załatwię dzisiaj wszystkie nasze problemy raz na zawsze. –  
Z oczu ciskała błyskawice.

– Mam wysłać albinosa do pilnowania terenu?  
– Nie – zaprotestowała żywo. – Niech siedzi u siebie, nie chcę oglądać jego parszywej gęby. I ten jego, kurwa, głupi śmiech. Za samo to powinnam go odstrzelić. Zawsze mnie wkurzał. Powinnam ocalić świat od tego śmiechu. Trzeba było zabić go od razu, a nie czekać i jebać się z tym! – Stała teraz, dysząc ciężko od tej tyrady. Na skroni wyskoczyła jej wielka pulsująca żyła.

Marcel nic nie mówił, dobrze znał Klaudię, wiedział, że musi się wykrzyczeć.

– Przyrowadź ją do mnie i każ wszystkim czekać w namiocie. Niech nikt nie wychodzi na dwór. Idź tam i pilnuj grupy, rozumiesz?

– Tak.

– To wykonaj.

Marcel bez słowa opuścił salę. Czuł, że dzieją się rzeczy nieodwracalne. Klaudia została sama w sali i przez zaciśnięte zęby miotła przekleństwami.

## **Alex odlatuje**

*Polska, Jastarnia*

Alexowi nie udało się spotkać z Martą. Nie mógł zwlekać z powrotem do Warszawy i załatwieniem dalszych spraw w Komendzie Głównej. W końcu dotarła do niego smutna prawda, że jego ukochana powróciła do swojego życia, w którym nie ma dla niego miejsca.

– *No to mamy jeden do jednego* – pomyślał. *Najwidoczniej po prostu nie jest nam to pisane. Może ojciec faktycznie ma rację, powinienem chyba przestać żyć przeszłością.*

Alex opuścił apartament i umówił się z Anną na kawę w restauracji Łóżko.

– Musimy wracać – stwierdził cierpko.

– Widzę, że masz z tym jakiś problem – zauważyła. – Przeciągasz nasz powrót, ale to chyba nie ma sensu. Jasmine już tu nie wróci, nie aresztujesz jej.

– Wiem. – Pokiwał głową. – Proponuję, żebyśmy zakopali wojenny topór.

Anna spojrzała na niego z ukosa.

– I obiecujesz już nie być taki cyniczny?

– Tego nie mogę w pełni zagwarantować. – Uśmiechnął się zawadiacko. – Ale na pewno zapraszam cię na drinka po powrocie do Kanady.

– Okay. – Anna wyciągnęła rękę. Uścisnęli sobie dłonie. – Jak to było w *Casablance*? „Myślę, że to początek pięknej przyjaźni”.

Alex nic nie odparł, ale po jego ustach przesunął się enigmatyczny uśmiech. Trzeba przyznać, że naprawdę był mistrzem niedopowiedzeń i tajemniczych gestów. Anna najwyraźniej zaczynała być pod ich urokiem. Po kawie zgodnie ruszyli do helikoptera. Niedługo potem maszyna zatoczyła ostatnie, pożegnalne koło nad Jastarnią. Alex specjalnie przeleciał nad znajomym domem przy ulicy księdza Stefańskiego. Gdy Marta usłyszała stłumiony odgłos śmigłowca, akurat rozmawiała z Mikołajem. Po jej ustach przeszedł niewyraźny, smutny uśmiech.

## **Kludia i jej tajemnica**

*Polska, wyspa na Wiśle*

Jasmine cicho weszła do sali szkoleniowej. W głębi między ławkami stała Kludia. Wyglądała strasznie z podkrążonymi, zapadniętymi oczami i rozmazanym od płaczu tuszem. Nie dbała jednak o to, coś w niej pękło.

– Podejdz tu – rzuciła władcym głosem, ale słysząc w nim było silne drżenie.

Jasmine zbliżyła się, a Kludia przysiadła na jednej z ławek. Obok na blacie położyła dużego Colta tysiąc dziewięćset jedenaście, błyszczącego nierdzewną stalą.

– Siadaj. – Kludia wskazała na blat naprzeciwko. – Pamiętasz, jak się spotkałyśmy wieczorem w bloku twojej ciotki?

Jasmine skinęła głową.

– Powiedziałam ci wtedy, że zdradzę ci pewien sekret. – Kludia zawiesiła głos dla wywołania lepszego efektu. – Miałam to zrobić, kiedy wykonasz wszystko, o co prosiłam, ale jak zwykle nawaliłaś.



Jasmine wbiła wzrok w podłogę.

– Jednak teraz – mówiła dalej Klaudia – przyszedł na to czas.

Na chwilę zapadła cisza. Strażniczka była napięta jak struna, ale usiłowała się opanować. Jakaś wielka walka toczyła się w jej wnętrzu. Zupełnie jakby dwie Klaudie walczyły ze sobą na śmierć i życie. Wynik bitwy wciąż był jednak nierozstrzygnięty. Jasmine wyczuła, że dosłownie wszystko może spowodować wybuch niekontrolowanej agresji.

– Nie jestem dobra w tym, co mam ci powiedzieć – stwierdziła nagle Klaudia, poruszając się nerwowo.

– Rozumiem...

– Gówno rozumiesz! – wrzasnęła nagle, że aż Jasmine zadrżała. Klaudia poderwała się. – Wstawaj, jak do ciebie mówię! – Pociągnęła dziewczynę do góry. Stała teraz, górując nad nią. – Gówno wiesz! – ryknęła. – Jestem tarczą, która cię osłania.

Jasmine ponownie spuściła wzrok.

– Jestem jebaną tarczą i mam tego dosyć! Gdybyś tylko wszystko wiedziała, ale ja nie potrafię ci tego wyjaśnić. Nie do tego zostałam stworzona. Wyrwali to ze mnie z korzeniami, rozumiesz? – Popukała się w pierś.

Jasmine pokiwała głową.

– Nie odzywaj się, kurwa – wrzasnęła Klaudia – bo przysięgam, że odstrzelę ci ten dumny łeb. – Pomachała pistoletem. – Za to, co zrobiłaś, jest jedna kara. Takie rzeczy tutaj nie przechodzą. Nawet nie wiesz, jak wszystko się zjebało przez ciebie. Nawet nie wiesz, co narobiłaś. Już dawno powinnaś nie żyć. Marcel wszystko ci wyjaśni. – Zamilkła i dyszała ciężko.

Jasmine przymknęła oczy, Wiedziała, że zaraz nastąpi najgorsze, że to już koniec. Wiedziała, do czego zdolna jest strażniczka.

– Teraz idę zrobić sobie kawę – stwierdziła nagle Klaudia spokojnym tonem. Burza najwyraźniej minęła. – Tam jest okno. Przez pół godziny nikt nie pilnuje obozu. Rozumiesz?

Jasmine nic nie odparła. Wciąż stała sparaliżowana ze strachu z na wpół przymkniętymi oczami. Nagle poczuła, jak Klaudia nachyliła się do jej ucha.

– Uciekaj – szepnęła.

Jasmine czuła bicie swojego serca i szybki oddech Klaudii.

– A ty strzelisz mi w plecy, nim dotrę do okna?

– Głupia, po co w plecy? – Klaudia zaśmiała się cicho. – Najlepiej strzela się, patrząc prosto w oczy. Nawet nie wiesz, jaka to przyjemność. Idę zrobić kawę. – Odwróciła się na pięcie. – Nie będę cię szukać, powiem, że utonęłaś. Nie dziękuj. – Machnęła ręką. – Nie trzeba, taki prezent na pożegnanie. – Nagle przystanęła. – Powiem ci jeszcze jedno – Znowu zwróciła twarz do Jasmine i kiwnęła na nią palcem. – Podejdź tu na chwilę. Może jednak lepiej, żebyś wiedziała. To dla ciebie. – Wyciągnęła rękę.

Gdy Jasmine zbliżyła się, Klaudia wsunęła jej do dłoni srebrny medalion. Ten sam, który pokazywała Zoo.

– Tylko dzięki temu żyjesz – stwierdziła, biorąc się pod boki. – Otwórz go – zachęciła. – No dalej, nie bój się. – Najwyraźniej złość jej przeszła.

Gdy Jasmine spełniła jej prośbę, zobaczyła zdjęcie starszej pani w kapeluszu.

– To moja matka – wyjaśniła Klaudia.

– Po co mi to pokazujesz? – zdziwiła się Jasmine.

– Zaraz się przekonasz. Otwieraj dalej, to jest jak mała książka.

Jasmine otworzyła kolejną klapkę. Jej oczom ukazało się zdjęcie Klaudii. Następne zdjęcie przedstawiało Jasmine.

– I tak oto jesteśmy w komplecie.

– Nic nie rozumiem – powiedziała Jasmine.

– Naprawdę nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek ktoś mi się przeciwstawiał tak jak ty. – Klaudia dotknęła jej policzka.

Jasmine spuściła wzrok.

– Nikogo nie zabiłaś, Marcel musiał dokończyć za ciebie robotę.

– Nie jestem zabójcą – szepnęła Jasmine – nie nadaję się do tego.

– Najwyraźniej jesteś lepszą wersją mnie.

– Jak to możliwe? – spytała Jasmine.

– Normalnie, przecież jesteśmy wielką rodziną, a w rodzinie ma się dzieci. Tyle, że w naszej nie wolno nam ich wychowywać, są nam odbierane. Na końcu medalionu jest ostatnia skrytka, a w niej mała karteczka ode mnie.

Jasmine uczyniła ruch, by ją wyciągnąć.

– Nie teraz – zaprotestowała Klaudia. – Potem sobie zobaczysz.

Jasmine odwróciła się, by odejść. Klaudia chwyciła ją nagle za rękę i zatrzymała. Powoli zbliżyła usta do jej policzka i pocałowała ją.

– Zaimponowałaś mi – szepnęła. – Ja nie miałam odwagi zachować się tak jak ty. Weź jeszcze to. – Wsunęła Jasmine do ręki skórzane etui z kilkoma fiołkami ze srebrnym serum. – Może ci się to przydać. A teraz uciekaj.

Jasmine stała nieporuszona.

– No idź! – rzuciła groźnie Klaudia. – Uciekaj, nim zmienię zdanie.

Jasmine drgnęła i ruszyła w stronę okna.

Klaudia odwróciła się i ruszyła do barku. Włączyła ekspres. Czekając na kawę, zakryła drżącą dłonią oczy, nie mogła powstrzymać łez. Czarne rwące rzeki zmieszane z tuszem do rzęs ruszyły po policzkach.

– Kurwa, co się ze mną dzieje? – szepnęła. Chciała wziąć kubek z kawą, ale wypadł jej i roztrzaskał się na podłodze. Drżąca dłoń nie mogła go utrzymać. Gdy Klaudia doprowadziła się do ładu, wróciła do sali. Okno było otwarte. Wpadał przez nie lodowaty wiatr, a po Jasmine nie było śladu. Klaudia podeszła do okna i zamknęła je.

– Już dobrze, już po wszystkim – mruknęła, by dodać sobie otuchy. Potem ruszyła do Marcela, chciała jeszcze zamienić z nim parę słów.

## **Początek końca**

*Polska, wyspa na Wiśle*

Klaudia zamknęła się w sali szkoleniowej z Marcelem i długo z nim rozmawiała. Owładnął ją dziwny nastrój. Marcel nigdy nie widział szefowej w takim stanie.

– Może będziesz uważać, że zwariowałam, ale przestaję w to wierzyć – stwierdziła.

– Ale w co?

– W to wszystko, czym nas karmią. Wiem, zaraz powiesz, że jesteśmy tak wychowani, ale ja już dłużej nie mogę. Może się wypaliłam. – Zwiesiła głowę.

– Nie wierzysz w to, co mówi Rodzina? – zdziwił się.

– Naprawdę sama już nie wiem. – Zamyśliła się. – Może po prostu mam dosyć tego wszystkiego tutaj. Wiadomo, że nie jest źle, raz w miesiącu pijemy serum. Fizycznie czuję się naprawdę świetnie, mam wrażenie, że się nie starzeję.

– Bo tak jest. – Uśmiechnął się. – Każdy z nas będzie dzięki serum żył trzy razy dłużej niż zwykły człowiek. Ciekawe, co piją ci na górze? – zastanowił się.

Na chwilę zapadła cisza.

– Musisz objąć przywództwo w grupie – powiedziała.

– Co ty wygadujesz? – obruszył się Marcel.

– Nie daję rady. – Złapała się za głowę. – Za dużo tego wszystkiego. Ciągłe nas uczono, że nie wolno być słabym, a ja najbardziej bym chciała żyć jak normalny człowiek. Mieć dziecko i je wychować. To było moje marzenie. Ciągłe o tym myślę. Nie wiedziałam, że to takie silne. Wcześniej tak nie było. Po prostu robiłam, co mi kazali, i było dobrze. Dziwnie się czuję, zupełnie jakby ktoś wcisnął mi w głowie sekretny przycisk, który uruchamia całą masę wątpliwości. Nic już dla mnie nie jest proste. Wypaliłam się.

– Przestań – syknął. – Sama mówiłaś, że przystali cień.

– I co z tego? – Wzruszyła ramionami. – Nawet nie wiem, czy wierzę w jego istnienie.

– Dziwne rzeczy mówisz. – Pokręcił głową. – Jeżeli jest tak, jak powiedziałaś, i przystali cień, to może być wszędzie, nawet teraz tu z nami. – Marcel wskazał na podłogę.

– A niech sobie będzie. – Klaudia założyła nogę na nogę. – Mam to gdzieś.

Znowu na chwilę zapadła ciężka cisza. Marcel patrzył czujnym wzrokiem na Klaudię. Czuł, że dzieje się coś dziwnego, ale nie potrafił jej pomóc. Znał dobrze historię o niewidzialnych ludziach, których w Rodzinie nazywano potocznie cieniami. Wiadomo było tylko, że są. Byli wyższą kastą strażników. Niewidoczni, żyli jako cienie, a ich obecność można było zaobserwować tylko dzięki latarce. Kiedy światło załamywało się w dziwny sposób, można było dojrzeć jakieś niewyraźne kontury.

Klaudia też czuła, że za dużo powiedziała. Napili się jeszcze wódki. To nie były bezpieczne rozmowy. Zawsze ktoś mógł słuchać i donieść wyżej. Rodzina opierała się na fundamencie pełnego posłuszeństwa i lojalności. Nie można było niczego kwestionować. Klaudia swoimi przemyśleniami wkroczyła na grząski grunt. Jednak wódka i emocje, które w niej buzowały, wzięły górę. Nie dbała już ani trochę o konsekwencje. Po wypaleniu papierosa znowu zaczęła mówić, jakaś niewidzialna tama w jej wnętrzu pękła.

– Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, co uważam – powiedziała – to myślę, że cynicznie nas wykorzystują. Rozmnażają nas w podziemnych jaskiniach.

Jesteśmy jakimiś pieprzonymi biorobotami do specjalnych zadań. Trzymają nas w strachu, bo krąży jakiś, kurwa, cień, którego nie widać i który wszystko może podsłuchać. Odbierają nam dzieci. Pieprzę to. – Nerwowo potarła ręką czoło. Wbiła wzrok w Marcela, który nic nie odpowiedział. – Chcę tylko przytulić moje dziecko i powiedzieć mu, że je kocham, że jest dla mnie wszystkim. Ale nie mogę tego zrobić. – Po policzku spłynęła jej łza. – Nie mogę, kurwa, bo wtedy dziecku groziłoby za duże niebezpieczeństwo. Nie wiem, czy to rozumiesz; jesteś mężczyzną. Ten ciężar mnie wprost przygniata. Myślałam, że jestem silna, ale nie mogę już tak dalej. – Łzy wartkim strumieniem popłynęły po jej twarzy. – Jak chcesz przejąć dowództwo w grupie, to już jest twoje. – Zakryła ręką oczy. – Weź je sobie.

Zapadła przejmująca cisza. Marcel wstał, podszedł do Klaudii i przytulił ją.

– Nie chcę niczego przejmować. Jesteś moim największym przyjacielem. Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz. Pamiętaj o tym.

– To siadaj. – Klaudia otarła ręką oczy. Spojrzała na niego. Jeden raz w życiu widzi się takie spojrzenie, roziskrzone i drżące. – Będę prosiła cię o coś bardzo ważnego dla mnie. Posłuchaj mnie uważnie i obiecaj, że zrobisz wszystko, o co proszę.

– Obiecuję – odparł. – Jestem twoim człowiekiem, możesz na mnie liczyć.

Klaudia uśmiechnęła się lekko.

– Dobre i to – westchnęła.

Marcel odnalazł w tym uśmiechu cień dawnej, zawiadackiej Klaudii, jaką znał, i też się uśmiechnął. Kobieta zbliżyła głowę do jego ucha i szepnęła ledwo słyszalnym głosem.

– Jakby ktoś cię pytał o Jasmine, to powiedz, że wpadła pod lód. A teraz idź i zabij albinosa.

Marcel bez słowa wstał i wyszedł z sali.

## **Upadek**

*Polska, wyspa na Wiśle*

Następnego dnia w okolicach dziesiątej rano dał się słyszeć odgłos śmigłowca. Nad wyspą przesunął się duży cień. Potem pośrodku obozu wylądował czarny helikopter, z którego wysiadło dziesięciu ludzi. Klaudia wyszła przed barak i wszystko uważnie obserwowała. Pasażerami helikoptera

byli sami mężczyźni. Co najdziwniejsze, wszyscy byli albinosami. Nie było wśród nich żadnej kobiety. Matka nie przyleciała.

Klaudii mocno zabiło serce, czuła, że realizuje się czarny scenariusz. Jeden z albinosów podszedł do niej. Najwyraźniej dowodził grupą. Reszta zabierała wojskowe worki z helikoptera.

– Ty jesteś Klaudia? – zapytał.

– Tak – odparła.

– Gdzie wszyscy?

– W namiocie, przygotowują się, dzisiaj jest inicjacja.

– Dlaczego ich nie szkolicie? – Albinos zmarszczył czoło.

– Szkolimy – burknęła.

– Niech ci będzie – odparł z krzywym uśmiechem. – Wy, do mnie! – Machnął ręką. Podbiegło do niego trzech mężczyzn. – Musimy porozmawiać. – Zwrócił się do Klaudii: – Prowadź do biura.

Gdy weszli do pomieszczenia, albinos wyciągnął rękę.

– Oddaj broń – zarządził.

Klaudia bez słowa wyjęła zza paska pistolet.

– Mój ulubiony colt – pochwalił ją. – Wiesz, że ten pistolet grał w *Pulp Fiction*?

– Wiem – odparła.

– Mądrała z ciebie. – Albinos uśmiechnął się złośliwie i usiadł za biurkiem. Za nim stanęło trzech pozostałych mężczyzn. Wszyscy byli podobni do siebie jak dwie krople wody.

Klaudia wciąż stała pośrodku biura i patrzyła na nich zmieszana.

– Przejmujemy obóz. – Albinos położył nogi na blacie biurka.

– A kiedy przyjedzie Matka? – zapytała.

– Ja przyjechałem – odparł. – To ci nie wystarcza?

– Nie wiem, nie znam cię – mruknęła.

– Nie przejmuj się. – Albinos wyszczerzył się. – Zaraz mnie poznasz. Pogawędzimy sobie trochę.

Przez pokój przewędrował niewyraźny cień. Wydawało się, jakby z gorąca zadrżało powietrze, a przecież w baraku było raczej chłodno. Klaudia zaczęła wodzić oczami po pokoju, ale dziwny ruch ustał. Najwyraźniej cień był obok nich i przysłuchiwał się rozmowie. Albinos spostrzegł zmieszanie Klaudii.

– Widzę jednak, że obóz jest dobrze przygotowany – pochwalił ją.

– Zaraz wszystko pokażę – odparła.

– Może potem, na razie nie ma takiej potrzeby. – Pokręcił głową. – Wilczy dół gotowy?

– Tak.

– Zaprowadź mnie tam – poprosił – chcę go zobaczyć.

Wyszli z baraku i ruszyli w kąt obozu.

– Proszę bardzo. – Klaudia wskazała na wykop, gdy dotarli na miejsce.

– Całkiem, całkiem – pochwalił albinos. – Ktoś już w nim walczył?

– Nie.

– No właśnie, jest trochę za mały, ale ujdzie. – Pokiwał głową. – W końcu wilczy dół to nasza tradycja.

Z głębi obozu wolnym krokiem przyszedł Marcel.

– A on nie pilnuje grupy? – zdziwił się albinos.

Klaudia machnęła głową, dając Marcelowi znak, by odszedł. Powoli się oddalił.

– No dobrze, to teraz sobie porozmawiamy – stwierdził albinos, krzyżując ramiona. – Będę zadawał ci pytania, a ty po prostu odpowiadaj.

Klaudia skinęła głową.

– Dlaczego tylu ich zginęło?

– Na początku musiałam zdyscyplinować dwie osoby. Widać było, że nic z nich nie będzie.

– Okay. – Pokiwał głową. – A kto za to odpowiada?

– Ja – odparła.

– A co z resztą?

– Był wypadek, grupa grała w hokeja na rzece i łód się załamał – wyjaśniła.

– I kto za to odpowiada?

– Ja – mruknęła.

– No właśnie, jakoś dużo tych niedociągnięć – zauważył. – A co z albinosem, którego do was przysłał?

– Niestety już go nie ma.

– A dlaczego?

– Zawałił sprawę – wyjaśniła Klaudia. – To przez niego zginęło tyle osób.

Albinos pokręcił przecząco głową i cmoknął z dezaprobatą.

– Już ustaliliśmy, że wszyscy zginęli przez ciebie. Niegrzeczna z ciebie dziewczynka. Ty chyba lubisz zabijać, co?

Klaudia nic nie odpowiedziała.

– A co z ostatnią dziewczyną? Ona chyba miała na imię Jasmine?

– Zginęła pod lodem, już mówiłam.

Albinos tylko świdrował ją wzrokiem. Dostłownie przewiercał na wylot.

– Odpowiedz.

– Zginęła.

– Kłamiesz – syknął. – Powiedz prawdę, a może da się jeszcze coś zrobić.

– Zginęła – odparła z naciskiem Klaudia.

– Jesteś głupia. – Albinos uśmiechnął się krzywo i pchnął ją tak, że wpadła do wilczego dołu. – Ty wskakuj. – Chwycił jednego z mężczyzn za kark i popchnął do wykopu.



## ROZDZIAŁ 55

*Książki są lustrem: widzisz w nich tylko to, co już masz w sobie.*

Carlos Ruiz Zafón, *Cień wiatru*

### **Wilczy dół**

*Polska, wyspa na Wiśle*

Po upadku do wilczego dołu Klaudia mimo bólu natychmiast poderwała się na nogi. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jakie grozi jej niebezpieczeństwo. Kiedyś już była w wilczym dole, właśnie stamtąd wzięty się blizny na jej plecach. Zaczęła krążyć jak bokser w ringu. Potężnie zbudowany albinos, który wskoczył za nią, teraz starał się zagonić ją do rogu.

Przez chwilę zręcznie umykała, w końcu jednak albinos zapędził ją w kąt i wyprowadził potężny cios. Klaudia schyliła się i zrobiła unik. Przebiegła pod jego ramieniem i uderzyła mężczyznę w tył głowy. Gdy się obrócił, oddała cios nogą z półobrotu niczym Chuck Norris.

– Załatw ją! – krzyknął albinos, który był szefem. Klaudia schyliła się i wyciągnęła z cholewy buta nóż. Teraz krążąc, usiłowała zadać cios. Udało jej się drasnąć albinosa w ramię. Syknął jak wąż. Widząc to, dwóch innych albinosów wskoczyło do dołu. Serce Klaudii biło jak oszalone. W rękę mocno ścisnęła nóż.

Nad krawędź dołu zbliżyli się Marcel i wszyscy z obozu. Otoczyli w milczeniu wykop, w którym rozgrywała się mordercza walka. Klaudia dostrzegła to kątem oka. Marcel mrugnął do niej, czekając na hasło, by wskoczyć do wilczego dołu i pomóc szefowej. Klaudia zacisnęła mocno zęby. Chciała walczyć, ale wiedziała, że jest bez szans. Wystarczyło zawołać „atanda”, a Marcel natychmiast znalazłby się obok niej.

Jeden z napastników podciął jej nogi, wylądowała na ziemi. Zaczęła ciąć nożem na oślep. Wtedy albinosi poczęli ją kopać z całej siły. Nóż upadł na ziemię. Klaudia skuliła się, ale ciosy były bezlitosne.

Marcel stał jak zamurowany. Chciał wskoczyć do dołu i walczyć razem z Klaudią, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Nie chciała jego pomocy, nie wzywała go. Mógł tylko stać i patrzeć. Krew buzowała mu w żyłach. W końcu nie wytrzymał i wskoczył. Odpędził napastników od Klaudii i pomógł jej wstać.

– Co robisz? – warknęła.

– Krzyknęłaś „atanda”, słyszałem.

– Głupek... – Klaudia chciała jeszcze coś dodać, ale albinosi rzucili się na nich z całą mocą. Do dołu wskoczyło jeszcze dwóch. To był koniec, nikt nie byłby w stanie wygrać tak nierównej walki.

Gdy albinosi wyszli z dołu, po Marcelu i Klaudii zostały marne strzępy zmieszane z błotem.

– Co mamy zrobić z ciałami, szefie? Może zasypimy je w dole? – zapytał jeden z oprawców.

– Na początek polejcie zwłoki benzyną i spalcie.

Ktoś przyniósł kanister i po chwili z dołu wydobył się czarny dym.

– Tak kończą ci, którzy są nieposłuszni! – zawołał do zebranych dowodzący albinos. – Pamiętajcie o tym, my widzimy wszystko, nic się przed nami nie ukryje!

Wszyscy zebrani z przestraszeniem cofnęli się od wykopu.

## **Marta z Mikołajem**

*Polska, Jastarnia*

Marta nie powiedziała Mikołajowi ani słowa o tym, co się wydarzyło w Jastarni podczas świąt. *Co się dzieje w Jastarni, zostaje nad morzem* – myślała. Mikołaj również nie powiedział o historii z Mają, chociaż był to zupełnie inny kaliber, ale przecież nie mógł o tym wiedzieć. Czasem niewiedza jest lepsza niż gorzka prawda.

Kiedy jednak Marta spędziła wieczór z Mikołajem, nagle pojęła, że ich związek nadal ma w sobie magię, której nic nie może zastąpić.

*Może to jednak dobrze, że spotkałam Alexa* – pomyślała. *Jakoś się to wszystko odczarowało.*

Czasami wiemy życie, które jest wspaniałe, i nawet o tym nie wiemy. Dopiero jakieś wyjątkowe zdarzenie jest nam w stanie to uświadomić. Wtedy

pokrzepieni, z podniesioną głową, możemy odetchnąć pełną piersią. Tak też było w przypadku Marty. Nagle przestała żyć wspomnieniami.

Gdy opowiedziała Mikołajowi szaloną historię Jasmine, ten na chwilę opuścił pokój i udał się wprost do dziadka Edka. Okazało się, że w papierowej torbie, którą zapobiegliwy starszy pan ukrył, było dokładnie milion dziewięćset tysięcy złotych. Mikołaj aż się złapał za głowę.

– Wiesz, że teraz możemy zacząć zupełnie nowe życie? – powiedział po powrocie do pokoju.

– Wiem. – Marta uśmiechnęła się. – Myślisz o tym samym, co ja?

– Tak – odparł tajemniczo Mikołaj.

– Jednak dziadek Edek miał rację, że uparł się i nie oddał tej forsy – stwierdziła Marta.

## **Samobójstwo Zoo**

*Polska, Warszawa*

Zoo spędzał samotny wieczór w swoim apartamencie. Podszedł do szafki stojącej w korytarzu niedaleko siłowni i wyjął broń. Przeładował, upewniając się, że jest nabita. Usiadł na kanapie. Dobrze wiedział, co ma zrobić. Nic nie miało sensu. Wszystko, czego pragnął, na czym mu zależało, umykało przed nim. Był jak myśliwy, który niczego nie może pochwycić. Czuł, że gdzieś tam są inne wymiary. Pamiętał chwilę, gdy trzymał za rękę umierającą matkę. Czuł wtedy wyraźnie, że jej dusza odleciała. Gdy było po wszystkim, stali z Kurczakiem w sali, a pielęgniarki bez słowa odpinały aparaturę. Powoli wyprowadziły zapadnięte łóżko, zupełnie jakby matka zniknęła w nim.

Teraz Zoo poczuł, że ma dosyć. Czuł, że inne wymiary czekają na niego.

– Trzeba skończyć tę mękę – szepnął. – Mamo, wybacz. Staralem się, naprawdę, ale zawałem, wszystko zawałem.

Nalał sobie szklankę Jacka Daniels'a. Pił powoli, małymi łykami. Noc była długa, a on miał czas, wiedział, że i tak zakończy się dla niego pociągnięciem spustu. Był u kresu.

– Jeżeli ty uważasz – powiedział, spoglądając w sufit – że ma być inaczej, to proszę, ześlij anioła. Ale zresztą po co? Zobaczmy się, może tam jest lepiej. Tu formuły już się wyczerpały. Po co mam tu tkwić, i tak tylko wszystkich ranię

przez to, że jestem tak kurewsko zagubiony. Przepraszam, nigdy nie lubiłaś, jak przeklinałem. Niech ci będzie, niech już będzie.

Zwiesił głowę i nagle poczuł taki smutek, że nie można było znaleźć na to ani jednej łzy.

– Wiesz, nawet kiedy pieniądze są, jest do dupy – szeptał. – A kiedy ich nie ma, też jest dno. Może powinienem być robolem i codziennie ciężko tyrać. Może wtedy bym nie myślał, byłbym naprawdę szczęśliwy. Raz w tygodniu szedłbym ostro w tango z kolegami. To byłoby zdrowe i na miejscu. Układałbym chodniki, albo rozlewał asfalt. Może to komuś by służyło, dawałoby coś światu. Dziś się zobaczymy. Mam dosyć, naprawdę mam dosyć. Nie bądź zła, wybacz mi. Na nic się tu nie przydam. Kurczakowi też nie potrafię pomóc. To, co mi zostało, po prostu jej dam, na pewno zrobi z tym coś dobrego. Ja przepiję albo przegram. Pozwól mi odejść, po prostu pozwól. – Zoo podniósł rękę i przyłożył lufę do skroni. Wtem ze ściany spadło zdjęcie oprawione w szklaną ramę, która rozbiła się w drobny mak. Zoo drgnął, oblał go zimny pot. To wyrwało go na moment z zadumy, nie wytrąciło jednak z czarnych myśli. Był niczym mała mysz, która wpadła do głębokiej dziury, skąd nie ma już wyjścia. Wstał i podszedł do rozbitej antyramy. Nagle usłyszał pukanie do drzwi. Najwyraźniej tajemniczy gość nie chciał robić hałasu dzwonkiem. Zoo gnany dziwnym przeczuciem ruszył do holu.

## **Niespodzianka**

*Polska, Warszawa*

Za drzwiami stała postać w szarej bluzie z kapturem. Zoo mocniej zabiło serce. To była scena zupełnie jak z jego snu. Kiedy postać uniosła głowę, poznał ją natychmiast, była to Jasmine we własnej osobie. Przytulił ją mocno, a serce wciąż biło mu jak oszalałe.

– Co zamierzałaś zrobić? – mruknęła, patrząc na stolik w salonie, gdzie leżała naładowana broń. – Myślałam, że będziesz mnie szukał.

– Szukałem – bąknął.

– To nie jest żadne rozwiązanie. – Popukała go w pierś.

– Skąd się tu wzięłaś?

– Uciekłam. – Zwiesiła głowę. – Nie miałam się gdzie podziać. Jestem spletkowana, wszystkie pieniądze, które miałam, przepadły. A było tego dużo.

– Witaj w klubie – westchnął.

– Nalej mi, proszę. – Wskazała na butelkę Jacka Daniels'a. – Nic, tylko się napić. Ale nie jest źle. Jestem wolna, nawet nie wiesz, jakie to uczucie. – Usiadła z rozmachem na kanapie.

– A możesz mi wyjaśnić, co się właściwie stało?

– Umówmy się, że nie będziesz nigdy zadawał mi pytań. Nie mogę o tym mówić. Mogę z tobą zostać tylko pod tym warunkiem.

Zoo pokiwał głową.

– Obiecuj, że więcej mnie nie zapytasz.

– Obiecuję – odparł.

– W takim razie napiję się z tobą. – Podniosła szklanę do ust.

## **Matka**

*Polska, wyspa na Wiśle*

Po inicjacji do obozu na wyspie przyleciał w okolicach północy niewielki cywilny helikopter. Wsiadła z niego wysoka tajemnicza kobieta w asyście kilku mężczyzn ubranych na czarno. Mimo późnej pory jej twarz osłaniały przyciemniane okulary i kapelusz z szerokim rondem. Od razu bez żadnego odpoczynku usiadła w biurze i zabrała się do pracy. Niczego się nie napiła ani nie zjadła. Przeglądała papiery i poprosiła na rozmowę albinosa, który dowodził obozem.

Gdy wszedł, Matka siedziała za biurkiem w złotej masce przedstawiającej głowę lwa.

– Usiądź. – Wskazała na krzesło przed biurkiem. Albinos posłusznie spełnił jej prośbę. – Ten obóz na wyspie to twój pomysł?

– Nie – zaprotestował żywo. – Założyła go poprzednia grupa.

– Grupa Klaudii?

– Tak – odparł skwapliwie.

– Zrobiłeś, co należało?

– Tak, wszyscy zostali zlikwidowani.

– Bardzo dobrze, robimy porządki. Stare ustępuje nowemu i tym nowym jesteś ty. – Matka wskazała palcem na albinosa. – Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz. Niedługo zlikwidujesz ten bałagan i przewieziesz wszystkich w nowe miejsce. Tu nie jest bezpiecznie.

Albinos skinął posłusznie głową.

– A teraz zbierz to, co zostało z grup, w sali szkoleniowej.

Matka weszła do sali, gdy wszyscy już siedzieli w ławkach. W każdym rogu stał albinos z bronią. Zbliżyła się do biurka, ale nie usiadła. Stała i chwilę patrzyła bez słowa na grupę. W złotej masce lwa sprawiała upiorne wrażenie. Nagle przemówiła:

– Za moment każdy z was będzie miał możliwość porozmawiać ze mną osobiście. Najpierw jednak chcę wam coś powiedzieć. Żyjecie w czasach wielkich zmian. Wielka wędrówka ludów, zmiana systemu monetarnego, zmiana systemu politycznego. Już niedługo pieniądze zupełnie znikną, zostaną zamienione na cyfrowe waluty. Nie będzie już małych firm, a drobna własność prywatna zaniknie. Ludzie nie będą niczego posiadali i będą szczęśliwi. To stanie się na waszych oczach. Wszystkim będą rządzić wielkie korporacje. Nasza Rodzina również się zmienia. Przystosowuje się do nowej rzeczywistości. Niebawem zostaniecie wysłani do różnych krajów z różnymi zadaniami. Serum, które wypiliście, pozwoli osiągnąć wam niezwykle sukcesy. Nie zapominajcie jednak, że jesteście częścią Rodziny. Niektórzy nie pamiętali o tym i skończyło się to dla nich bardzo źle. Miejcie świadomość, że widzę wszystko i wiem o wszystkim. Teraz po kolei zapraszam na rozmowę ze mną. – Po tych słowach Matka opuściła salę.

Usiadła w biurze i kazała przyprowadzać do siebie pojedynczo osoby z obozu. Z każdą rozmawiała dziesięć minut. Następnie każdy z niewielką kartką w ręku udawał się do pokoju obok, gdzie już czekał jeden z albinosów z elektryczną maszynką. Golił nią głowy do gołej skóry po lewej stronie, tuż nad karkiem. Na podłodze wokół przygotowanego krzesła leżały kłęby włosów w przeróżnych odcieniach.

Potem należało przejść do kolejnego pokoju, gdzie inny albinos czekał z maszynką do tatuażu. Odbierał kartę i sprawdzał na niej, jaki ma wykonać symbol. To były ukryte znaki, rozpoznawane tylko przez wtajemniczonych. Kiedy włosy odrosły, tatuaże miały stać się zupełnie niewidoczne dla postronnych osób. Aby móc je zobaczyć, należało umiejętnie odgarnąć włosy. Ten punkt na ciele był wybrany specjalnie ze względu na brak podatności na łysienie. Nad całą operacją czuwali strażnicy ustawieni na korytarzach. Wszystko przebiegało niezwykle sprawnie i szybko.

Jedni mieli tatuowane kreski, inni kropki, w różnej liczbie. Niektórzy znaki „x”. Były to symbole przydziału do odpowiednich grup w strukturze Rodziny.

O ich znaczeniu i dalszych funkcjach wszyscy mieli dowiedzieć się z czasem. Matce wystarczyło tylko dziesięć minut, by zdecydować o przyszłości każdej z osób. Rozmawiała niezwykle spokojnie i każdego zdawała się dosłownie przewiercać na wylot swoim nieruchomym spojrzeniem, które rzucała zza maski lwa.

Wszyscy czuli się dziwnie po tym spotkaniu. Niektórych bardzo bolała głowa. Matka ewidentnie emanowała jakąś energią, która zdawała się przenikać wszystko. Od samego siedzenia z nią w jednym pomieszczeniu robiło się gorąco w głowie, a myśli zaczynały się bezwładnie plątać. Na koniec spotkania dosłownie każdy czuł potężne znużenie. Gdyby trzeba było z nią rozmawiać dłużej, byłaby to tortura nie do zniesienia.

Po zakończeniu spotkań Matka odleciała. Następnego dnia pierwsza z grup została zabrana z obozu. Przez kilka dni wyspę opuszczały kolejne osoby, aż w końcu prawie opustoszała. Zostało jedynie kilku albinosów. Podpalili obóz, by zatrzeć wszystkie ślady, i również opuścili wyspę.

## ZAKOŃCZENIE

Zoo utracił apartament w Żaglu i był zmuszony zamieszkać w domu w Jastarni. Na szczęście składał się on z dwóch niezależnych mieszkań. Na parterze mieszkała Kurczak, która również się tu przeprowadziła, a mieszkanie po rodzicach wynajęła. Zoo zajął piętro. Mieszkał tam z Jasmine, która nie pokazywała się w mieście. Ścięła włosy na krótko i ufarbowała na czarno. Gdy chciała pójść na spacer, Zoo jechał z nią. Siedziała w tym czasie ukryta w bagażniku i wysiadała dopiero w środku lasu. Chodzili na długie spacery. Często wieczorem popijali wino. W weekendy spotykali się z Kurczakiem, grali w planszówki i oglądali stare filmy. Zoo kupił dom z całym wyposażeniem. Do telewizora podpięty był odtwarzacz VHS, jakich się już dawno nie produkuje, a w dużej szafie w salonie znajdował się okazały zbiór kaset.

Jasmine lubiła wybierać film. Długo stała wtedy przed szafą i przeglądała tytuły. Nie używała Internetu, nie wchodziła do pokoju, gdzie stał komputer. Poprosiła Zoo, by zakleił kamerkę i nie korzystał przy niej z komórki. Dobrze wiedziała o tajnych programach rozpoznawania twarzy. Żyła zupełnie pozbawiona technologii i o dziwo jej życie stało się o wiele spokojniejsze. Miała w końcu mnóstwo czasu dla siebie.

Zoo wziął psa ze schroniska, wielkiego kundla z mądrymi oczami. Odtąd Barry, bo tak się nazywał czworonóg, towarzyszył im w czasie spacerów. Kiedyś doszli z nim aż na sam Hel. Jasmine uwielbiała tę zupełną pustkę, morze i piszczące mewy. Zimą polskie morze ma w sobie coś niezwykłego.

Dni biegły leniwie, co uspiło czujność dziewczyny. Zdarzało się, że gdy chciała побыć sam na sam ze swoimi myślami, jechała samochodem do lasu bez Zoo.

Pewnego dnia, gdy była już wiosna i słońce pięknie grzało, Jasmine postanowiła pójść z Barrym na długi spacer do Helu. Zaparkowała wóz w lesie za Juratą i ruszyła na zupełnie pustą plażę. Do Helu było jeszcze daleko. Szła powoli, co jakiś czas wrzucając Barry'emu w fale patyk, który pies wyławiał



z dzikim zachwytem. Słońce świeciło mocno, dziewczyna rozpięła kurtkę, bo zrobiło się naprawdę przyjemnie ciepło.

Idąc wciąż przed siebie, w pewnym momencie dostrzegła, że jakaś postać zbliża się w jej kierunku. Serce забиło jej mocniej i owładnęło nią złe przeczucie. Z początku chciała zawrócić, ale potem stwierdziła, że to zapewne nic takiego. Założyła kaptur. Kiedy postać była już bliżej, Jasmine zaczęła usilnie się jej przyglądać. Nadchodził wysoki mężczyzna, ubrany cały na czarno. Jego twarz i włosy były przeraźliwie blade. Jasmine chciała zawrócić, ale sparaliżował ją strach. To zresztą nie miałoby sensu, byli zbyt blisko siebie, a wokół było zupełne pustkowie. Pusta plaża, a za nią tylko las ciągnący się kilometrami bez żadnych domów.

Albinos też na nią patrzył. Gdy się mijali, uśmiechnął się lekko. Jasmine serce podeszło do gardła. Obejrzała się za mężczyznę, ale ten zwyczajnie się oddalał. Nie namyślając się wiele, puściła się pędem w stronę zejścia z plaży. Oglądała się kilka razy, ale nikt jej nie gonił. W pamięci miała jednak albinosa z grupy Klaudii. Ten nie był do niego w żaden sposób podobny, ale wyobraźnia Jasmine oszalała. Dziewczyna cały czas biegła do samochodu. Do domu wróciła roztrzęsiona.

Opowiedziała o wszystkim Zoo i ustalili, że opuszczą kraj.

– Sprzedam samochód – zaoferował Zoo. Była to jedyna cenna rzecz, która mu została.

– Musisz jeszcze załatwić mi dokumenty – zauważyła Jasmine. – Nie zapominaj, że jestem poszukiwana.

Na szczęście Zoo pozostało wystarczająco znajomości, by rozwiązać ten problem. Nieodzowny okazał się Misiek, który miał przeróżne kontakty.

W srebrnym medalionie Jasmine odnalazła karteczkę, o której mówiła Klaudia. W zasadzie była rozczarowana, bo spodziewała się listu od matki, a zamiast tego na pasku papieru widniał jedynie adres willi w Sopocie. Gdy Jasmine pokazała kartkę Zoo, od razu przypomniał sobie ten adres. Dobrze wiedział, co znajdą na werandzie domu. Nie wspomniał jednak o tym ani słowem, nie chciał, by cienie przeszłości przesłoniły teraźniejszość.

Dwa tygodnie później Jasmine i Zoo zdołali przewieźć wszystkie pieniądze z willi w Sopocie do bezpiecznej kryjówki, czyli na strych domu Kurczaka. Zapakowali je w metalowe pojemniki dla ochrony przed złośliwymi gryzoniami. Zoo kupił maszynę do liczenia pieniędzy. Okazało się, że teraz byli naprawdę

bogaci, mieli sto dwadzieścia milionów złotych. Zoo czuł nawet ulgę, że pieniądze nie należą do niego. Teraz mógł skupić się na tym, co najważniejsze, czyli na miłości. Nie do końca wierzył w zdolności znajomych Miśka fałszujących dokumenty, zaproponował więc Jasmine ślub.

– Tym sposobem zmienisz nazwisko i nikt już nie wpadnie na twój trop – stwierdził.

– Strasznie romantyczny jesteś. – Zaśmiała się, ale przystała na ten pomysł. Plan wydawał się prosty, a wiadomo, że do osiągnięcia celu najlepsze są najkrótsze drogi. I tak Jasmine i Zoo wzięli skromny ślub cywilny.

Kilka dni później wyjechali w długą podróż po świecie. Postanowili w każdym miejscu spędzać około miesiąca, a potem ruszać dalej. Jasmine zawsze wybierała duży hotel z basenem. Co rano pływała i chodziła na siłownię. Zaczęli od Brazylii. Kiedy byli w Rio de Janeiro, dziewczyna wpadła na pewien pomysł. W urzędzie pocztowym kupiła papier i taśmę. Przygotowała niewielką paczkę i wysłała ją do Polski. Wewnętrznie czuła, że to zamknie tę całą historię. Nie powiedziała o tym Zoo, mieli umowę, że nigdy nie będą rozmawiać o tym, co się stało. Może czasem tak jest lepiej – postawić kropkę i zamknąć temat raz na zawsze.

Pieniądze, które Jasmine przekazała panu Edwardowi, tylko w małej części posłużyły na leczenie Stasia. Pan Wałaszek, tak polecany przez panią Barbarę, za pięćset złotych zrobił chłopcu serię masażu. Napięcia mięśniowe ustąpiły. Pani Barbara chodziła od tej pory z dumnie podniesioną głową. Marta naprawdę nie mogła się nadziwić. Najwięksi specjaliści nie potrafili pomóc malcowi, a zwykły masażysta z Jastarni załatwił sprawę serią prostych zabiegów. To był prawdziwy cud. Reszta pieniędzy została przeznaczona na zakup domu w Jastarni. Marta postanowiła przeprowadzić się nad morze. Mikołaj zatrudnił się w szkole podstawowej, do której przeniósł się Marek. Nie było tam idealnie, ale przynajmniej chłopak pozbył się raz na zawsze rudego wroga z osiedla i co najlepsze nie potrzebował do tego celu nocy oczyszczenia ani siekiery.

Na wiosnę wydarzyła się jeszcze jedna rzecz, która niczym kłamra spięła całą historię. Do Jastarni na ulicę księdza Stefańskiego dwadzieścia jeden przyszła paczka zaadresowana do pana Edwarda.

– A któż to śle do mnie paczki z Rio? – mruknął do siebie starszy pan. Rozciął papier zabytkowym nożykiem do otwierania listów. Jego oczom

ukazało się eleganckie skórzane etui. Gdy je otworzył, dojrzał rząd niewielkich szklanych fiolek. Do paczki dołączony był liścik:

„Chyba tylko myśli mogą zmienić świat. U Pana zawsze było ich dużo i były niezwykle inspirujące. Gdy napisze Pan jakiś krótki esej z mądrym programem dla świata, proszę być pewnym, że będę go wyczekiwać. Potem przeczytam go przy kawie i puszczę dalej w świat. To bardzo ważne. Dzięki Panu zrozumiałam, że nie chcę, by moja łódka dryfowała w przeszłość. Nie chcę wypatrywać błędnych światła. Teraz myślę, że »żaden ogień, żaden niepokalany blask nie dorównuje temu, co człowiek może stworzyć w tajnikach swojego serca...«. To chyba najlepszy kierunek, w którym można podążać, o ile ma się serce. Myślę jednak, że zawsze można jakoś je odnaleźć.

Pana przyjaciółka

PS Proszę wypić to serum, ono podobno wzmacnia ciało i otwiera umysł. Będę również wdzięczna, jeżeli zniszczy Pan ten list po przeczytaniu”.

Mimo że list nie był podpisany, pan Edward od razu domyślił się jego autorstwa. Od razu poznał cytat ze swojej ulubionej książki *Wielki Gatsby*. Teraz trzymał w ręku jedną ze szklanych fiolek. Otworzył ją i na chwilę zastygł w bezruchu, zastanawiając się, czy wypić tajemniczy płyn, czy zapomnieć o nim na zawsze.

— Teraz rozumiem, co musiała czuć Alicja w krainie czarów. —  
Uśmiechnął się do siebie.

*Konstancin-Jeziorna 31.10.2021*

## PODZIĘKOWANIE

Pragnę podziękować wszystkim tym, którzy wsparli mnie podczas pisania tej książki. Specjalne podziękowania kieruję do: mojego Taty za niezwykle rady; mojej cudownej Żony za to, że zainspirowała mnie do napisania tej powieści i była jej pierwszym czytelnikiem; mojej Siostry za szalik pisarza, który uwielbiam, celne uwagi i wsparcie na każdym etapie pracy; mojej drugiej Siostry za rozmowy telefoniczne, pełne magii i cennych rad. Podziękowania także dla Davida za czujne oko w kwestii szczegółów – nie od dzisiaj wiadomo, że diabeł zawsze tkwi w szczegółach; dla Julii za motywację do dalszej pracy i dla Jana za niezwykle poczucie humoru, które skutecznie poprawiało mi nastrój. Dziękuję również Pani Annie za niezwykle twórczą i wyjątkową redakcję. Bez Was wszystkich ta książka nigdy by nie powstała.

*Wszystkie postacie i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących i miejsc jest zupełnie przypadkowe.*

[1] Pieprzony dupek! Mogłeś uważać, cholera! (franc.).

[2] Wszystko dobrze. Nic mi nie jest (franc.).

[3] Tak (franc.).

[4] Oczywiście (franc.).

[1] Pojechałam na święta do Leśnej Rzeki, zapraszam Cię na rewanż w bilard (franc.).

[1] Cześć (franc.).

[1] Oczywiście (franc.).

[2] Dobry wieczór (franc.).